



Kontynuacja losów bohaterów powieści *Goodbye, Love*

STAY, *my Love*

Winter Love #2

MARTYNA KELLER



MARTYNA KELLER

STAY, MY LOVE

WINTER LOVE #2

OŚWIĘCIM 2023



*Dla tych, którzy musieli powiedzieć
„żegnaj” o jeden raz za dużo*



PROLOG



RYDER

Moja Love naprawdę rozplynęła się w powietrzu.

Wysiadam pospiesznie z range rovera, grzęznąc podszwami butów w topniejącym śniegu, który pokrywa betonowy parking. Nie sięgając po płaszcz – ani nic, co w tej sekundzie nie wydaje mi się tak istotne jak odnalezienie tej jednej rzeczy w gabinecie – ruszam pędem do budynku, wsłuchując się w odgłos chlupoczącego pod nogami błota i swój szybki oddech.

Siedząca za kontuarem recepcji Elise podrywa głowę od razu, gdy chwytam za klamkę drzwi i przechodzę przez próg. Wygląda na zbitą z tropu, kiedy przecieram dłonią usta, a później zaczynam przeszukiwać kieszenie garniturowych spodni w poszukiwaniu pęku kluczy.

– Ryder? – dziwi się. – Zaraz zamykamy. Po co wpadłeś tak późno?

Odnajduję zgubę i po tym, jak wypuszczam ze świstem powietrze, odwzajemniam spojrzenie recepcjonistki.

– Właściwie to czegoś szukam i muszę przetrząsnąć cały gabinet. Pewnie trochę mi z tym zejdzie, więc możesz wyjść o swojej porze, ja zamknę poradnię – odpieram neutralnym tonem.

Elise wstaje i uśmiechając się, kręci głową z pobłażaniem.

– A ja sądziłam, że jesteś przykładem okropnego pedanta.

Po tych słowach kobieta mruga do mnie porozumiewawczo, a następnie kuca, by dosięgnąć szuflad znajdujących się pod blatem. Ja w tym czasie zaciskam szczękę i przemykam przez korytarz.

Tak się składa, że wszystko w moim gabinecie jest perfekcyjnie uporządkowane. Musiałem gdzieś jednak upchnąć ślad po tym, że Love Porter była moją pacjentką przez kilkanaście dni. Ślad w postaci notatnika, na którym widniał jej inicjał wraz z nazwiskiem.

Szlag, nie cierpiałem wracać do tego pamięcią. Do tych grudniowych wieczornych spotkań, które nie powinny dojść do skutku. Tyle że tej nocy muszę do nich wrócić, bo pewne wnioski dotyczące Love mogą mi się przydać.

Przeczesałem dłonią włosy, ignorując fakt, że są wilgotne od śniegu. Sterczałem pod budynkiem, w którym pracuje Love, dość długo. Później upewniłem się, że nie ma jej również w bliźniaku. A teraz wparowuję do swojego gabinetu, mając w głowie scenariusz, który jeśli okaże się prawdziwy, porządnie mi dokopie.

Bo jeszcze niedawno zapewniłem ją, że do *niego* nie wróci.

– Nie mogłem cię zapodziać, nie teraz... – mamroczę sam do siebie, przetrząsając różne zakamarki z wiedzą, że ten notes to moja deska ratunku.

Ciemności spowijają pomieszczenie, ale światło księżyca wpadające do niego przez szklaną ścianę, za którą roznosi się panorama wciąż zaśnieżonych gór, daje mi pewien ogląd na sytuację. Przemykam od mebla do mebla. Wertuję segregator za segregatorem. W międzyczasie słyszę nieco stłumiony trzask drzwi. Inny terapeuta najpewniej idzie w ślady Elise i opuszcza właśnie poradnię. Zostaję w niej więc tylko ja.

Prostuję się i splatam ręce na karku. Nie mogę odpuścić sobie informacji dotyczących życia mojej Porter w Nevadzie. Tych, które w dużej mierze są zapisane na stronach notesu. Mam wrażenie, że naprawdę mi się przydadzą.

Jestem bowiem pewien, że to przez Aarona Chatfielda Love zapadła się pod ziemię. W końcu w ciągu ostatnich tygodni ten sukinsyn szukał z nią kontaktu. Mało tego, ona sama wspominała, że miał w tym cel. Chciał, by do siebie wrócili. Gdyby tak się stało, oprócz niej zyskałby również jakieś żalosne korzyści związane z firmą ojca.

Odkąd o tym usłyszałem, starałem się ją chronić. Podążałem za nią niemalże krok w krok. Przywoziłem ją i odwoziłem, czy to do pracy, czy na lekcje baletu. Miałem ją na oku. Ale w ogólnym rozrachunku moje starania i tak nie okazały się, cholera, efektywne.

Opuszczam sfrustrowany ręce i podwijam rękawy białej koszuli. Z trudem trzymam wściekłość w ryzach. Z tak wielgachnym trudem trzymam ją w ryzach, bo jeśli kierunek, który obierają moje myśli, jest słuszny, Love znów będzie przeżywać koszmar ze swoim apodyktycznym ojcem, agresywnym bratem i bezdusznym byłym facetem.

Sznuruję usta w kreskę i podchodzę do ciężkich zasłon, które dawno nie były używane. W dalszej kolejności podrywam brodę i przesuwam spojrzeniem po elektrycznym karniszu. To musiały być desperacki krok, bym upchał notes tam. Ale wtedy – chcąc wyprzeć z głowy spotkania z Love – chyba mogłem się na to porwać.

Robi mi się jeszcze cieplej, gdy dobywam stamtąd swoją zgubę. Otwieram notatnik. Od razu biorę się za śledzenie wzrokiem stron uzupełnionych podczas pierwszej rozmowy z Porter. Stolica Nevady. Stamtąd wyniosła się do Aspen i tam *on* mógłby zabrać ją z powrotem.

Czytam w pośpiechu kolejne zapiski. Wszystkie myśli w mojej głowie zdają się za sobą pędzić i brać udział w jakiejś chorej gonitwie. Ten bałagan, który we mnie siedzi, narasta. Narasta i narasta, nie zamierzając pozwolić mi na chociażby moment wytchnienia. Wiele przemawia za tym, że to zrobiłem.

Dałem się, kurwa, podejść.

Mocniej ściskam pomiędzy palcami notes, a później wściekły ciskam nim w obitą skórą sofę. Obserwuję, jak przedmiot odbija się od siedzenia i ląduje na panelach. Moja klatka piersiowa unosi się i opada w ekstremalnie szybkim tempie, kiedy zastanawiam się nad tym, co dalej. Nie zrobię nic w pojedynkę, jeśli mam do czynienia z nadzianym i ostro popieprzonym Aaronem Chatfieldem.

Biorę jeszcze kilka uspokajających wdechów i schylam się po notes. Następnie przysiadam na krawędzi biurka i mimowolnie tupiąc nerwowo podszwą buta o podłogę, ponownie zaczynam śledzić bacznie spojrzeniem tekst. Zupełnie zaabsorbowany własnymi zapiskami, próbuję ignorować zmęczenie, które zaczyna mi doskwierać wraz z upływającymi kwadransami.

Po dłuższym czasie po raz ostatni omiatam wzrokiem widok rozpościerający się za oknem i z notesem pod pachą szybkim krokiem kieruję się do drzwi gabinetu, a później tych głównych, które zamykam właściwym kluczem. Nic tu po mnie. Mam, co chciałem.

Wiosna tradycyjnie, jak to w Aspen, daje w kość. Ale nawet niskie temperatury nie zdzierają ze mnie gorąca, które odczuwam w każdym skrawku ciała, kiedy idę do range rovera. Wyjeżdżając z parkingu, nie włączam radia. W towarzystwie zgiełku ulicy docierającego do wnętrza auta przez uchyloną szybę wracam do domu.

W nim witają mnie Gargamel i Klakier. Nawet oni odczuwają brak Love, bo drapią w drzwi, jakbym przynajmniej ukrywał ją za nimi, a ona miałaby zaraz wejść do środka i zaoferować im pieśczęty. Od razu czuję, jak w gardle wyrasta mi pierdolona gula. Ta noc będzie męczarnią. Jeśli jestem o czymś przekonany, to o tym, że nie zmrużę oka. A także o tym, że żadna myśl nie rozszarpywała mnie na liche strzępy tak jak ta, że straciłem swoją Love.

Po tym, jak cudem przełykam resztki śliny w ustach, mówię cicho:

– Chodźcie, dam wam kolację.

Wypowiadam te słowa i ruszam do kuchni, ale ani Klakier, ani Gargamel nie podążają za mną. Zamiast tego pies kładzie się tuż przed drzwiami, zaś kot siada na komodzie, co jestem w stanie zobaczyć, kiedy odwracam głowę przez ramię na krótki moment.

Ucisk w mojej klatce piersiowej narasta. Na powrót wbijam wzrok przed siebie, krzywię się i podchodzę do blatu, na którego krawędziach zaciskam mocno palce.

– Odnajdę ją – mówię zbolalym tonem pod nosem. – Odnajdę i sprowadzę do domu. Będzie tak jak kiedyś. Muszę tylko... zastanowić się przez moment – kończąc, zwieszam żałośnie głowę i opieram na wyprostowanych rękach cały ciężar ciała. – Przez krótki moment...

Przymykam powieki. Wszystko mnie dekoncentruje.

Otwieram oczy i odbijam się gwałtownie od blatu. Moje ruchy są nieskoordynowane, kiedy przygotowuję Klakierowi i Gargamelowi kolację. Sam nie zdołałem nic przełknąć, ponieważ niepokój poniewiera mną jak szmacianą lalką.

Snuję się po domu niczym duch, idąc raz w jedną, raz w drugą stronę. Przecierając po raz kolejny strudzoną twarz, mam ochotę wydobyć z siebie głośny ryk. Taki, który pomógłby mi pozbyć się wrażenia, jakby wszystko we mnie gniło wraz z nieobecnością Love.

Przechodzę na taras. Siadam na najwyższym stopniu schodów i po dłuższym namyśle wyciągam telefon z kieszeni, by wystukać wiadomość z prośbą o spotkanie do pewnej osoby. Później odkładam go na bok i dostrzegam stojącego przy mnie psa z patykiem w pysku. Biorę od niego gałąź i z całej siły rzucam nią daleko, w głąb skrytego w ciemnościach ogrodu.

Bezradność nadal jest tak samo cholernie frustrująca. Z taką samą siłą jak nigdy wyżera mnie od samego środka.

Znajome zmęczenie ponownie odzywa się gdzieś we mnie. Z grymasem wymalowanym na twarzy i mętlikiem w głowie opieram przedramiona na zgiętych kolanach i splatam palce, zaciekle myśląc i myśląc.

Myśląc nad tym, co mogę zrobić.

– Szkoła baletowa, uczelnia, a nawet lokalna wyprzedaż garażowa z hasłem przewodnim „ozdoby świąteczne” – słysząc znajomy, przygnębiony głos, zerkam za siebie na przechodzącego przez próg tarasu z rękami włożonymi do kieszeni bluzy Kaydena. – Nigdzie jej nie znalazłem, a w ostatnim miejscu pokładałem spore nadzieje.

Przesuwam w zamyśleniu kciukiem wzdłuż grzbietu nosa.

– Ja raczej nie pokładałem jej już w żadnym miejscu, które mogłoby ją skusić – przyznaję zupełnie szczerze, gapiąc się beznamiętnie gdzieś przed siebie.

– To znaczy? – dopytuje Graves.

Chłopak siada obok mnie i wyręcza w rzuceniu patyka, gdy podbiega do nas Gargamel.

– To znaczy, że mam silne przeczucie, że Love nie wybrała się nigdzie dla rozrywki – odpowiadam mruklawie. – A nawet takie, że została wpłątana w jakąś beznadziejną farsę.

Przypominam sobie moment, w którym Love powiedziała mi o tym, że Aaron chce ją z powrotem. A wszystko po to, by ojciec oddał mu firmę wedle jakiejś głupiej umowy, którą pomiędzy sobą zawarli. Przypominam sobie, co jej na to odpowiedziałem: *nie wrócisz do niego*.

Od razu spluwam rozdrażniony na trawnik i klnę siarczyście w duchu.

– Jaśniej, Ryder – ponagla mnie Kayden, a ja w końcu na niego spoglądam.

– Byłeś pierwszą osobą, przed którą Love otworzyła się po przyjeździe do Aspen, prawda? – pytam, skrupulatnie badając wzrokiem jego wyraźnie niespokojną twarz.

Graves pociera nerwowo dłonie o siebie, kiwając głową w geście potwierdzenia.

– Tak – dorzuca jeszcze na głos.

– Zdradziła ci coś o swoim bracie, ojcu – kontynuuję, a kiedy przychodzi pora na dodanie jeszcze kogoś, czuję, jak z marszu zaczynają świerzbić mnie ręce. – O Aaronie.

Kayden przenosi wzrok na swoje buty i rozmyśla przez paręnaście sekund nad moim bardziej stwierdzeniem niż pytaniem. W końcu znowu podrywa głowę i po tym, jak odwzajemnia moje spojrzenie, przyznaje zupełnie szczerze:

– Zrobiła to po pewnym czasie. Zresztą wydaje mi się, że wiesz dlaczego.

Bo było to dla niej cholernie trudne.

– Doskonale – potwierdzam cicho i już bez zbędnego przeciągania przechodzę do sedna sprawy: – Ale jeśli powiem ci, że właśnie Aaron chciał ją z powrotem i ciągle szukał kontaktu z nią, jej zniknięcie nie wyda ci się ani trochę dziwne?

Graves przez dłuższą chwilę milczy.

– Sugerujesz, że on zabrał ją do siebie? – pyta nareszcie.

Masując dłońią spięty kark, kontynuuję:

– Według mnie tak właśnie było. Ta wersja może brzmieć niedorzecznie, ale spójrz na to tak. Chatfield ma forszę, rozstawia służbę po kątach i nie cofnie się przed niczym. Jak wtedy, gdy podstępem wcisnął jej... – Biorę wdech nosem. – Jak podstępem wcisnął jej tabletki, by straciła dziecko. On nie ma hamulców. Jeśli ją zechciał, po prostu mógł ją sobie zabrać.

Zasłuchany Kayden zakrywa usta dłonią. Wiem, że to, co wypaliłem przed momentem może zdawać się wręcz surrealne, ale jak dla mnie ta układanka ma po prostu sens. Wyczekując odpowiedzi chłopaka, siedzę nadal żałośnie zgarbiony.

– Przez to wszystko i akcję z tabletkami, które podał Love byle tylko nie zostać ojcem, twoja wersja nie brzmi wcale tak niewiarygodnie – stwierdza niewyraźnie Kayden po tym, jak powolnym ruchem zsuwa rękę z ust. – Trzeba to sprawdzić, tylko, cholera. Carson City jest okropnie daleko od Aspen. To grubo ponad osiemset mil.

Wciskam boczny przycisk w telefonie leżącym obok i sprawdzam, czy osoba, z którą się kontaktowałem, odpisała. Wciąż jednak tego nie zrobiła. Wracam więc spojrzeniem do chłopaka i wzruszam z nieprzejęciem ramionami.

– To nie ma znaczenia, sprawdzę tę przeklętą Nevadę tak czy siak – zapowiadam bez zająknięcia, czując, że to musi być ten właściwy trop. – Najpierw jednak pogadam z kimś, z kogo wsparciem i pomysłami na pewno uda mi się to jakoś sensownie ograć.

Kayden wypuszcza oddech z płuc i zaczyna dociekać:

– Ten ktoś na pewno ci pomoże?

Kiwam głową bez choćby dozy zwątpienia.

– Tak – odpowiadam zdecydowanie. – Jestem przekonany, że tak. Ten ktoś pomoże mi zorientować się, czy Love faktycznie tam jest. A potem, jeśli to okaże się prawdą, pomoże mi ją stamtąd wyrwać i przy okazji dać nieźle w kość Chatfieldom i Porterom.

Kayden po paru sekundach wysnuwa trafny wniosek.

– Więc masz zamiar się im odwdziżyć – strzela.

Nie zastanawiam się długo nad odpowiedzią:

– Cholernie.

Przenoszę puste spojrzenie na rozpościerający się u dołu działki, skąpany w ciemnościach las. Gdy patrzę w przestrzeń, dociera do mnie, jak mało mam w sobie samokontroli, kiedy myślę o tym, że stoję z Chatfieldem oko w oko. Zresztą nie tylko z nim. Gavin i Jonathan Porter. Nad nimi też najchętniej bym się pastwił. Ich również najchętniej bym zatłukł.

Za to, że znęcali się nad Love latami. Za to, że zechcieli wciągnąć ją ponownie w bagno, z którego udało jej się parę lat temu wydostać. Jeszcze odwdziżyć się im za tę akcję. Już nigdy więcej nawet przez myśl im nie przejdzie, by ją, kurwa, powtarzać.

Studzę gniew, wiedząc, że muszę teraz chłodno kalkulować. Muszę mieć głowę na karku. Wyciągam rękę i głaszczę psa za uchem, gdy ten wbiega na schody. Gargamel dyszy, a potem układa się pod naszymi nogami, dołączając do wyraźnie niespokojnego grona.

Funkcjonowanie bez Love naprawdę przychodzi mi z trudem, a to dopiero pierwsze godziny. Mogę zgrywać twardziela o stalowych nerwach przy Kaydenie, ale wiem, że jak tylko chłopak wsiądzie do pick-upa, zapewne zaparkowanego na podjeździe, ogarnie mnie ten sam strach.

Boję się, ilu cierpieniom Love nie zdołam zapobiec. Tak bardzo się tego boję.

Przecieram szorstkimi dłońmi twarz i znowu zaciekle rozmyślam nad tym, co mam teraz robić. A gdy tylko dociera do mnie, że po prostu nie dam rady ślęczeć już dłużej w pustym domu, natychmiast opuszczam ręce i ponownie odwracam się do Kaydena.

– Wyświadczysz mi przysługę? – zagajam.

Szatyn wydaje się odrobinę zbity z tropu.

– Jaką?

– Zajmowałeś się już Gargamelem i Klakierem, więc jeśli kogoś powinienem werbować do tego zadania, to nadajesz się idealnie – mówię naprędce, a potem wyjaśniam, skąd ten mój nagły pośpiech: – Chcę jednak od razu, teraz, zaraz jechać do Denver i pogadać z osobą, o której ci mówiłem, na żywo. Nie mogę i nie zamierzam zwlekać.

Kayden trawi w duchu sens moich słów, powoli przytakując.

– W porządku – zgadza się w końcu.

Wstaję na równe nogi, a za mną Gargamel. Po chwili w nasze ślady idzie również Graves, który ponownie wsuwa dłonie do kieszeni bluzy. We trójkę pokonujemy taras i wchodzimy do domu, gdzie pali się tylko jedna, stojąca lampa. W półmroku zaczynam szukać płaszcza i kluczyków do samochodu, a w międzyczasie zaczynam czuć się jeszcze bardziej nieswojo, przebywając w cichym bliźniaku.

Gdzie podziała się moja Love?

ROZDZIAŁ PIERWSZY



LOVE

Uśmiech nie schodzi z twarzy Gavina, odkąd wsiedliśmy do samochodu. Wydaje się on nawet odrobinę szerszy z każdą pokonaną przez nas milą. Jego widok w lusterku wstecznym przyprawia mnie o ciarki na plecach, bo nie mam pojęcia, co się za nim kryje.

Zapewne jeszcze inne zamiary, których wolałabym nie znać.

Ścieram z twarzy zaschnięte już łzy i staram się wyprzeć z głowy wspomnienie dzisiejszego poranka. Nie chciałam wracać do słów, które wyszeptał mi Aaron prosto w twarz z nieukrywaną satysfakcją czającą się w oczach. *Będiesz naprawdę piękną panną młodą, Love*, słyszę je mimo prób zagłuszenia ich jednostajnym stukaniem paznokciami o drzwi samochodu.

Mam ochotę gorzko zapłakać. Po raz kolejny i z pewnością nie ostatni, bo wiem, że bycie skazaną na Aarona będzie wiązało się jedynie z nieustającym smutkiem i uczuciem upokorzenia. Muszę jakkolwiek się przed tym uratować.

Ale jak, gdy mają mnie w garści?

– Niestety u nas już wiosna trwa w najlepsze – słysząc zadowolony głos Gavina, moja dłoń mimowolnie zastyga w bezruchu.

Nie mogę przełknąć guli, która nagle wyrasta mi gdzieś w gardle, kiedy dociera do mnie, że nigdy nie słyszałam, by mój brat był tak szczęśliwy jak teraz. Teraz, gdy wraz ze swoim dobrym przyjacielem zamierza sprawić, bym... stała się po prostu wrakiem człowieka.

Tylko nim.

– Będziesz musiała odzwyczaić się od tej paskudnej pogody w pieprzonym Aspen – kontynuuje z niesmakiem Gavin. – Tak przy okazji chyba bym coś rozjechał po drodze, gdybym musiał fatygować się tam po raz kolejny. To w końcu taki kawał. Ale miło, że nie muszę, bo mamy cię już pod samym nosem.

Podrywam nieznacznie brodę, wypluwając:

– Jesteś odrażający.

– Bo szanuję swój czas? – drwi chłopak.

Odwracam się w stronę szyby i kręcę głową.

– Gavin, ty skaczesz z radości, bo udało ci się zabrać mnie tutaj wbrew mojej woli. To jest odrażające, nie wspominając o tym, co robiłeś mi przez ostatnie miesiące. Nachodziłeś mnie i straszyles, a przecież jestem twoją...

– Młodsza siostrą – kończy za mnie, a ja przeczuwam, że kącik jego ust unosi się jeszcze wyżej. – Dlatego wtedy starałem się pomóc ci dokonać właściwego wyboru, Love. Zupełnie tak, jak staram się to robić teraz. To Aaron jest najlepszą decyzją. Będzie tym, który cię naprawi, przynajmniej na tyle, ile może. Zadbaj o siebie, kupi to, co wpadnie ci w oko, zrobi z ciebie chociaż trochę ładną sztukę... Zresztą pamiętasz, ile z siebie dawał kiedyś, żebyś właśnie taka była.

Przed oczami stają mi pewne obrazy. Przypominam sobie moment, kiedy leżeliśmy z Aaronem wtuleni w siebie na kanapie, a jego dłoń prześlizgnęła się na moją talię. Wtedy grymas wymalował się na twarzy mojego chłopaka, a pomiędzy jego ust wydostało się wymowne: „Kiedy się tak spasałaś? Cholera, to obrzydliwe”.

Potem odsunął się ode mnie, utkwiał wzrok w komórcie i powymieniał się z Gavinem komentarzami na temat jakiejś według nich „ślicznotki”. To, jak się zachował, uderzyło we mnie bardzo mocno. Zanim poszłam w ustronne miejsce i wymierzyłam pierwszy cios bezradności w swój odstający brzuch, zapewniłam go, że nie będę już obrzydliwa.

Takich obrazów mam pełno w głowie. Pamiętam każdy raz, kiedy zwracałam posilek. Długie treningi. Ubieranie się wedle gustu Aarona w kupione przez niego ciuchy. Spóźnianie się na lekcje, gdy wracał nad ranem z domówek i oczekiwał, że go zaspokoję. Słuchanie, jaką jestem niedorajdą.

Po latach mam też świadomość tego, jak bardzo naiwną i zmanipulowaną byłam nastolatką. Dlatego teraz, w tej sekundzie, jadąc Bóg jeden wie gdzie z Gavinem, nie chcę znów grzęznąć w tym samym bagnie.

Muszę się wyrwać.

– Nie wierzę, że myślisz o sobie jak o kimś dobrym – dodaję pod nosem.

– Nie tylko ja tak o sobie myślę – wzdycha wręcz wyniośle Gavin. – Rodzice wciąż dziękują mi za nakierowanie cię na właściwą drogę. Są tego samego zdania, Love. Że z nim będzie ci dobrze. Dlaczego tylko ty nie jesteś w stanie tego pojąć, skoro przeżyłaś już związek z Aaronem na własnej skórze i wiesz, że doprawdy będzie ci z nim dobrze?

Ironia chłopaka brzmi tak paskudnie, że czuję pod językiem żółć.

– Wiesz dlaczego – mówię, a głos lekko mi drży. – Doskonale wiesz.

Gavin przewraca oczami.

– Nie maż się.

– Ojciec pewnie poklepał cię za to po głowie – rzucam kąśliwie, ale przez mój ton i tak przebija smutek. Chłopak wzrusza nonszalancko ramionami. Nie jest przejęty moim docinkiem, kiedy prowadzi ze swobodą samochód.

– Spróbujesz wyciągnąć to od niego za parę dni, gdy przyjedzie w odwiedziny. Na pewno utniecie sobie milutką pogawędkę, jak za dzieciaka – odpowiada, a następnie parska śmiechem.

Wie, jak wyglądają moje rozmowy z ojcem.

Mimo że wizja odbycia z nim kolejnej napawa mnie tylko obawą, nie zamierzam podczas niej grzecznie mu przytakiwać. Mogę przebywać w pułapce Gavina i Aarona, ale nie dam sobie prac mózgu. Nie po tym, jak Ryder tak wiele trudu włożył w to, by ściągnąć mi z oczu klapki.

No właśnie. Mój ukochany Ryder.

Smutek, który kielkuje nagle w moim sercu, jest zbyt silny, bym mogła go w sobie zdusić i tak po prostu odpowiedzieć siedzącemu za kierownicą Gavinowi. Jak mam to przełknąć? Jak mam przełknąć fakt, że w mojej codzienności nie ma już mojego Rydera? Został od niej odsunięty, jakby był mi kompletnie zbędny. A przecież taki nie jest.

Przecież jest tym, bez którego nie chcę nawet trwać.

Zaciskam usta oraz chowam twarz pod zasłoną ciemnych włosów. Mimo że ciężki oddech pragnie wyrwać mi się ze ściśniętej pasami bezpieczeństwa piersi, dzielnie trzymam go w sobie, bo dobrze domyślałam się, co zwiastuje.

Kolejną porcję łez. Potrzebuję się wypłakać. Wypłakać za przyszłość z mężczyzną, którego kocham całą sobą, a która nie dojdzie do skutku. Za moje piękne wizje, które teraz kruszeją. Za te, które trzymałam w sobie niczym najbardziej drogocenny skarb. Dlaczego nie mogę mieć go nadal dla siebie?

Z transu wytrąca mnie dopiero moment, w którym Gavin parkuje samochód. Wypuszczam w końcu powietrze na widok najzwyczajszego w świecie domu ogrodzonego sporych rozmiarów ogrodem i otoczonego podobnymi budynkami składającymi się na niewielkie osiedle.

O co tu chodzi?, zastanawiam się w myślach.

– Zbieraj szczękę z podłogi – rzuca manierycznie Gavin, wygodniej rozsiadając się na fotelu kierowcy i kładąc sobie dłonie pod głowę. – Domyślałam się, że Aaron przyzwyczaił cię do pałaców, ale jakoś przywykniesz do znacznie gorszej opcji. Będiesz się tu kisić, siostrzyczko, dopóki nie upewnimy się, że nikt nie podaży twoim tropem.

– Kisić? To zwyczajny dom – zauważam słusznie cichym głosem.

Gavin nie wygląda, jakby się ze mną zgadzał, gdy na jego twarzy pojawia się grymas.

– Dziura – komentuje, a potem odwzajemnia moje spojrzenie w lusterku wstecznym, znów się uśmiechając. – Cóż, umknęło mi, że przez długi czas mieszkałaś w czymś, co było w równym stopniu biedackie.

Ignoruję jego docinek.

– Do kogo należy? – pytam niewyraźnie.

– Do kuzynki Aarona. Niezły ruch, co?

Gavin mruga do mnie porozumiewawczo, po czym opuszcza ręce i wyciąga z kieszeni spodni komórkę. Obserwuję go z wręcz namacalną niechęcią, gdy korzysta z urządzenia. Przesuwam spojrzeniem po jego sylwetce. Przypakował. Barki skryte pod czarną bluzą wydają się szersze, a widoczne dzięki podwiniętym rękawom przedramiona pokrywają żyły.

Wykrzywiam usta i po tym, jak opieram łokieć na drzwiach samochodu, wplatom drżącą dłoń w splątane włosy. Czuję się jeszcze gorzej, kiedy wciąż tylko potwierdza się, jak skrzętnie uknute zostało przez Gavina i Aarona to ogromne wariactwo. Na co jeszcze się porwą?

Bez cienia emocji wpatruję się w ganek.

– Chciałabym od ciebie odpowiedzi – zaczynam nagle i czuję, jak brat namierza mnie swoim spojrzeniem. Jego ciężar przesuwają się po mojej zmizerniałej twarzy, a ja po chwili namysłu pomału recytuję kilkanaście słów: – Czym tak załazałam ci za skórę, Gavin? Czym doprowadziłam do tego, że wciąż patrzysz na mnie tak, jakbyś nie mógł znieść mojego widoku?

Dziwnie otępiła przenoszę wzrok na brata. Ten siedzi odwrócony do mnie bokiem i niezmiennie mi się przygląda. To trwa dłuższą chwilę, w trakcie której w powietrzu unosi się pewien rodzaj złowróżbnego napięcia. Czuję je doskonale w maleńkiej przestrzeni auta.

Aż w końcu chłopak bez choćby zająknięcia stwierdza:

– Ojciec zawsze miał stuprocentową rację, że jesteś niczym więcej jak słabym ogniwem naszej rodziny, którym trzeba tylko poniewierać – słyszę jego ociekający obrzydzeniem ton, ale nie drga mi nawet powieka.

Nie drga mi ona nawet wtedy, gdy sens jego słów dociera wprost do mojego serca i wprawia je w niemilosierne drżenie. Nie rodzi się we mnie jednak nic. Ani kropla hysterii. Ani gram przejęcia czy popłochu.

Już nie.

W dużej mierze spodziewałam się, że usłyszę coś takiego. Ojciec miał wpływ na wielu ludzi. Gavin wcale nie był wyjątkiem. Jeśli podchwycił, że Jonathan mną gardził, i on zaczął to robić. Robi to cały czas.

Ponownie przenoszę wzrok za szybę.

– Aż dziwne, że Aaron zechciał cię znowu, wiedząc, na co się pisze – dorzuca zaciekawiony Gavin, poprawiając się na siedzeniu. – Ale to w zasadzie nieistotne, z czego wynika jego decyzja. Liczy się to, że jest ona dla nas opłacalna. Opchniemy cię mu i wyjdzie nam to jak najbardziej na dobre.

Opchniemy cię mu, słyszę w głowie echo jego słów.

– A teraz idziemy – zarządza nagle chłopak, otwierając drzwi auta.

Zwlekam zaledwie parę sekund, zanim podążam jego śladem i wysiadam z mercedesa. Marszczę brwi, kiedy promienie słońca otulają mnie swoim ciepłem. Nie jestem przyzwyczajona do takiej wiosny, jaka trwa w Nevadzie, więc z początku jest mi nieco duszno.

– Nie martw się sąsiadami, bo nie dość, że reszta domów jest w dalekiej odległości od tego, to jeszcze są zupełnie niezamieszkałe – mówi Gavin. – Nie nastawiaj się też na to, że trafi się okazja, byś mogła stąd zwać, pojechałaś? – pyta na końcu.

– Jak strasznie cię nie trawię – wypuszczam z ust szept.

Wtem Gavin zatrzymuje się w pół kroku i zaciska pięść w moich włosach. Wyrzucam z siebie niekontrolowane sapnięcie, gdy z jej pomocą bez trudu i gwałtownie przyciąga moją twarz do swojej. Moja klatka piersiowa podskakuje raz po raz, kiedy brat trzyma mnie przy sobie i wypala jadowitym tonem:

– Nie w tym chciałem się, kurwa, upewnić.

Nagle zderzam się raptownie z zaniedbanym trawnikiem. Mam zwieszoną głowę w dół, znajduję się na kłęczkach i błędzę rozbieganym wzrokiem po suchych źdźbłach, a włosy rozsypują mi się po całej, na pewno bladej od szoku, twarzy.

Gavin powalił mnie bez choćby minimalnego wysiłku.

– W tym Aspen chyba za bardzo cię rozpuścili – cedzi przez zęby, ale zanim zdąży dodać coś jeszcze, po ogrodzie roznosi się kolejny głos, od którego włosy na karku stają mi na baczność. Sztywnieję, kiedy on się odzywa:

– Nadal jest okropnie niezdarna?

Bardzo powoli odwracam głowę w stronę, z której dobiegł dźwięk. Na widok idącego w naszą stronę aż przesadnie leniwym krokiem Aarona mój żołądek maleje do naprawdę niewielkich rozmiarów.

Mężczyzna prezentuje się bardzo dostojnie. Prezentuje się zupełnie tak, jak prezentował się w przeszłości. Jak ktoś, kto się liczy.

Gavin prychnął i wyrzucił:

– Dlatego chujowa z niej tancerka.

Aaron wzdycha z dezaprobatą. Wbijam w niego wzrok. Mój koszmar poprawia okulary przeciwsłoneczne tkwiące na nosie i staje tuż obok swojego przyjaciela.

– Złotko, rusz się z tego pieprzonego trawnika – rozkazuje mi i nie spuszcza ze mnie wzroku, zaciekle nad czymś rozmyślając. Zdradza to sposób, w jaki marszczy czoło, a pomiędzy jego brwiami klaruje się pojedyncza bruzda.

Powoli podnoszę się do pionu na wciąż wiotkich nogach. To poniżające, że jeszcze przed sekundą klęczałam przed nimi na brudnej ziemi. Mimo tego uporczywego uczucia upokorzenia krążącego w moich żyłach zadzieram brodę.

Aaron zerka wtedy sugestywnie na Gavina.

– Możesz się zmywać – mówi krótko.

Mój brat odpowiada mu tylko skinieniem. Potem, nie patrząc nawet w moim kierunku, rusza w stronę podjazdu, na którym zaparkował swojego mercedesa.

A ja zostaję sama. Sama z *nim*.

Aaron ściąga powoli okulary z nosa, a jego wolna dłoń nagle dotyka mojego boku. Próbuję się odsunąć, kiedy prześlizguje się ona w górę i w dół, ale brunet wzmacnia chwyt i zaczyna kierować się ze mną przy sobie w głąb ogrodu.

– Nasze poranne spotkanie nie było takie, jakie chciałyby, by było jako pierwsze po latach – zaczyna po krótkiej chwili. – Ty ryczałaś, ja powinienem był wykazać się trochę większym zrozumieniem. W końcu zmiany w twoim życiu zaszły szybko. Ale tak trzeba było, wiesz?

Nie mogę pojąć, jakim cudem Aaron wyrzucił z siebie kolejne zdania z niezachwianym spokojem i wręcz perfidną manierą. Robi to tak, jakby miał się za kogoś nieskazitelnego, kogoś, kto nie posunął się wcale do czegoś okropnego. Nie odpowiadam mu na to absolutnie niczym. Trzymam całą gorycz w sobie.

W przypadkowym momencie mężczyzna zatrzymuje się i chowa gwałtownie w swoich dłoniach moje policzki tak mocno, że aż podskakuję na jego nagły ruch. Jego dotyk jest okropnie zdecydowany i bezkompromisowy. Jest wstrętny.

W pierwszej chwili próbuję się jakkolwiek od niego odpędzić. Potem, gdy moje próby nie przynoszą rezultatu, spoglądam z obawą prosto w szare oczy Aarona. Wyłapuję w nich wyłącznie ulgę w najczystszej postaci. Nie mam zielonego pojęcia, z czego może ona wynikać, ale strasznie się jej boję.

Aaron skupia się wyłącznie na mnie.

– Tak trzeba było, bo chciałem cię na już. – Mężczyzna wyraźnie akcentuje ostatnie słowo, a tym samym tylko potęguje strach, który się we mnie cały czas kotłuje. – Potrzebowałem cię na już.

Gorąco wzbiera mi pod powiekami. Jeszcze mocniej uderza we mnie ta paskudna świadomość, że zostałam zapędzona gdzieś, skąd jeszcze parę lat temu uciekałam, ile tylko miałam sił w nogach. A ona boli. Okropnie boli.

Policzki mrowią mnie od siły nacisku smukłych męskich palców.

– Zbyt długo nie miałaś pożytki z doprowadzania kogoś do ruiny, co? – wyduszam z siebie łamliwym głosem. – Zbyt długo jej nie miałaś... – powtarzam znowu.

Siła uścisku Aarona wzrasta, a ja wypuszczam z siebie zdławiony jęk.

– Złotko... – wydycha brunet wprost w moje rozchylone wargi.

Uciekam spojrzeniem od jego oczu. Patrzę tam, dokądkolwiek jest w stanie dosięgnąć mój wzrok. Na zaniedbany ogród, bezchmurne niebo, a nawet oślepiające słońce, którego widok wzmaga we mnie chęć, by się rozkleić. Gdy Aaron tak mnie przy sobie trzyma, jeszcze bardziej zakotwicza we mnie przekonanie o tym, że nie zdołam się mu wyrwać.

Nie zdołam tego zrobić.

– Nie chciałem mieć jej z kogoś – przyznaje spokojnie chłopak, obejmując całymi dłońmi moją twarz. Jego kciuki docierają tuż pod kąćki moich oczu i teraz muszę już skoncentrować uwagę jedynie na nim, bo tylko to mi zostało.

Załamana kręcę błyskawicznie głową.

– Nie kończ... – proszę szeptem.

Mam wrażenie, jakby w tej jednej chwili niewinny powiew lekkiego wiosennego wiatru miał bez trudu mnie zdmuchnąć. Kulę się w sobie, ostatkiem sił trzymając na nogach, i wciąż z dołu wpatrując się w Aarona.

Kiedy on ciągnie:

– Tylko widok twojego cierpienia daje mi wytchnienie, kochanie. – Jego miarowy oddech rozbija się na mojej skórze przez następne sekundy, a moje serce powoli przestaje znosić to zgoła bezboleśnie.

Kładę rozdygotane dłonie na torsie Aarona. Odpycham go i z żałościem cichym jękiem staram się wycofać. Jest pokręcony. Jest wariatem. Natychmiast owija palcami przegub mojej ręki i wyrasta ponownie tuż przede mną.

– Pamiętasz, jak ty też mnie chciałaś? – mówi mi to wprost do ucha, a później trąca swoim nosem przestrzeń za nim. – Było tak, Love.

Ponownie kręcę histerycznie głową, próbując się od niego odpędzić.

– To nie jest już aktualne. – Mój głos znów się łamie.

– Potem mnie potrzebowałaś.

– To też nie jest już aktualne – powtarzam jękliwie.

Zacięty, przesuwający się po mojej twarzy wzrok mężczyzny zaognia we mnie obawę. Włosy zachodzą mi na twarz, kiedy patrzymy na siebie bez słów. Aż w końcu Aaron unosi wolną rękę i zbierając mi sprzed nosa zabójczo powolnym ruchem ciemne pasma, rzuca w moim kierunku krótkie żądanie:

– Wysil się, by było.

Wzbiera we mnie lichego protestu.

– Jak, skoro doskonale wiem, że chcesz się nade mną pastwić, byle sobie ulżyć? – pytam słabym szeptem, czując na spierzchniętej wardze mokry ślad.

Przez głowę przebiega mi myśl, że nawet nie zarejestrowałam, kiedy zdążyłam rozkleić się na dobre. Czuję, jakby moja krtań była owinięta niewidzialną pętlą, gdy mimo szczypiących oczu nieprzerwanie patrzę na Aarona.

– Jak, skoro kocham kogoś, kogo nie przypominasz chociaż w maleńkim calu? – W pierwszej chwili nie wiem, czy wypowiedziałam te słowa w duchu, czy po cichu w tę niedużą przestrzeń pomiędzy nami.

W drugiej zaś Aaron zaciska szczękę, a we mnie uderza pewność, że zdołałam wykrztusić z siebie tanto retoryczne pytanie. Mężczyzna szarpie gwałtownie moją ręką, zanim pozwala jej opaść bezwiednie w dół.

Cofam się o krok i chwieję na miękkich nogach, gdy brunet wydaje z siebie wściekły ryk. Serce znowu dudni mi jak dzwon. Strach rodzi się w niemalże każdym skrawku odrętwiałego ciała. Aaron zbliża się i patrzy na mnie gniewnie z góry.

– On też nie jest czysty jak łąza! – wrzeszczy mi w twarz, owładnięty prawdziwą, nieokrzesaną furią. – Callahan nie jest czysty jak pieprzona łąza!

Przemykam powieki. Stojąc jak słup soli przed rozjuszonym mężczyzną, trawię pomału w duchu sens jego słów. Callahan. Aaron wypowiedział nazwisko mojego Rydera. Zrobił to. Uchylam powieki, a chłopak wtem styka nasze czoła.

Cała aż przesiąkam niepokojącym napięciem.

– Jasne, że śledziłem twoją sielankę w Aspen – cedzi przez zaciśnięte zęby, a słowa opuszczające jego usta sprawiają, że mam ochotę rozpaczliwie zawyć. Aaron napiera na mnie mocno, a ja doskonale to czuję.

Doskonale czuję bijącą od niego gorycz.

– Wiem dużo – dodaje w pośpiechu, tak samo wściekle, a jego oczy przenikliwie śledzą moje. – Niech tylko ten pajac się tu pofatyguje, a go zrujnuję. Romans z pacjentką brzmi nagannie, nie uważasz?

Rozchyłam oszołomiona usta. Mam wrażenie, że dławi mnie szloch.

– Nie... – wyszeptuję z oporem jakby sama do siebie.

On wie. On o wszystkim wie.

– Nie zadrzy mi powieka, gdy postaram się, by to wypłynęło – wypluwa złowieszczo Aaron, a jego wargi uderzają prowokująco o moje. – Przysięgam, że, kurwa, nie zadrzy mi powieka.

Biorę pierwszy wdych. Za nim zaczynam brać naprędce kolejne. Aaron trzyma mnie i Rydera

w garści. Mógłby pozwolić naszej tajemnicy wydostać się na światło dzienne. A wtedy reputacja Rydera...
Boże, nie.

Staram się nie zapłakać. Ale to jest silniejsze ode mnie.

– Proszę – łkam głośno, chwytając trzęsącymi się dłońmi kołnierz jego koszuli.

Mnę go pomiędzy palcami, z czołem przytkniętym do czoła Aarona. Panikuję. Panikuję tak jak nigdy, bo wizja tego, jak moja osoba rzuca cień na dobre imię Rydera miażdży mnie w każdym znaczeniu tego słowa.

Wiatr wzbiera na sile. Słyszę jego szum obok swojego płaczliwego pociągania nosem. Aaron unosi dłoń i przesuwając kciukami po mojej szyi. Chwytam go mocniej za kołnierz, dając mu niewerbalny znak, by skończył to robić.

A on wzdycha mi w usta i rzeczywiście wycofuje rękę.

– Złotko, kiedy ty powinnaś tego chcieć za wszelką cenę. – W jego głosie tkwi zrezygnowanie i... współczucie? Zbita z tropu błędę spojrzeniem po jego twarzy. *Skąd u niego przekłete współczucie?* – On cię paskudnie wykorzystywał. Byłaś dla niego cudną zabaweczką.

Krzywię się na jego słowa.

– Nie robił tego – zaprzeczam żałośnie.

Mój Ryder był moim wybawieniem. Właśnie tym.

– Jego urok cię omamił – ciągnie Aaron, a ja nie domyślam się, do czego mógłby dążyć. Bo ewidentnie czegoś próbuje dopiąć, kiedy wciąż uparcie trzyma mnie przy sobie. Kompletnie rozstrojona wypuszczam niemrawy szept:

– To ty jesteś moim koszmarem.

– On również. – Mężczyzna nie ma zamiaru zakończyć tematu Rydera, zwłaszcza kiedy dorzuca: – Na końcu postąpiłby z tobą zupełnie tak jak z tamtą.

Spoglądam na niego z niezrozumieniem.

– Tamtą? – wydycham ledwie słyszalnie.

Aaron ściąga brwi. Początkowo lustruje mnie w absolutnym milczeniu, z nieodgadnioną miną. Później odsuwa się na pewną odległość, rozdzielając nasze czoła. Zaalarmowana opuszczam natychmiast obie ręce wzdłuż tułowia, nie przestając gonić za spojrzeniem mężczyzny.

– Złotko? – dobiega mnie jego ostrożny ton. – Czy ty naprawdę nie masz pojęcia o Peyton Howard?

Lód pod moimi stopami chyba właśnie pęka, gdy Aaron szuka w moich oczach niemej odpowiedzi. Wydaje mi się, że tkwię w jakimś dziwnym amoku, gdy mężczyzna po dłuższej chwili ciszy docieka z niedyskretnym politowaniem:

– Sądziłaś, że byłaś pierwszą pacjentką, którą wypatrzył sobie Ryder Callahan?

ROZDZIAŁ DRUGI



RYDER

Przecieram palcami przekrwione oczy, dociskając gaz.

Niewiele dzieli mnie już od Denver. Ledwie parę mil. Mam jeszcze jakieś kilkanaście minut, by odnaleźć w pamięci adres starej kamienicy, gdzie powinienem zastać tę jedną osobę, w której sprycie i przebiegłości pokładam naprawdę ogromne nadzieje.

Opieram tył głowy o zagłówek fotela, wpatrując się bez emocji w rozpościerającą się przed maską range rovera pustą, okalaną przez rzędy drzew drogę. Noc jest dzisiaj straszliwie mglista. Całą przestrzeń spowijają szare kłęby, nawet gdy wjeżdżam już do stolicy i docieram pod, wydaje mi się, właściwy adres.

Wysiadam z auta, nie tracąc czasu na dopinanie guzików płaszcza. Z wyraźnymi sińcami odznaczającymi się pod oczami, potarganymi włosami i miną, która niewiele wyraża, ruszam chodnikiem w kierunku wejścia do kamienicy. Tam wita mnie odgłos skapujących na podłogę kropel wody i szmer nieznanego pochodzenia.

Przemykam pośpiesznie po betonowych stopniach schodów na drugie piętro. Unoszący się w powietrzu chłód oblepia moją skórę, kiedy maszeruję korytarzem. W dalszej kolejności zatrzymuję się przed odpowiednimi drzwiami i stukam parokrotnie w ich twardą powierzchnię.

– Ryder? – dziwi się Andrew, który nagle wyrasta tuż przede mną. – Nie dam rady się wyrwać do żadnego baru, siostra zostawiła mi pod opieką swojego smarkacza. Pisz, gdy masz zamiar wpaść w końcu do starego kumpla po paru dobrych miesiącach zasztywania się w Aspen.

Jego śmiech wcale mnie nie zaraża. Wciąż wpatruję się w niego z niezachwianą i niezmienną powagą, czując dziwne odrętwienie w każdym skrawku ciała.

– Szukam Carli – mówię cicho, nie owijając w bawełnę.

Andrew natychmiast ściąga brwi.

– Carli? Po co ci, u licha, Carla?

– Mogłaby udzielić mi rady.

– A co to, jakieś medium? – kpi kumpel.

Przeczesałem włosy dłonią, targając je jeszcze bardziej. Nie mogę zdradzić mu swoich zamiarów. Ani tego, co podejrzewam, że stało się z Love, ani tego, że zamierzam poprosić jego żonę o pomoc w wyrwaniu jej z łapsk Aarona Chatfielda. To źle wygląda. Nawet jeśli dla Carli wynajdywanie brudów na ludzi i przechytrzenie ich jest rutyną.

Wtem za plecami Andrew dostrzegam samą zainteresowaną.

– Podśluchałam, że to ktoś do mnie – zaczyna dziewczyna.

– Co to za spisek? – zastanawia się jej partner.

Opieram się niby nonszalancko ramieniem o framugę drzwi. Czuję, że ta konfrontacja nie pójdzie jak z płatka, nawet jeśli Andrew wcale nie jest aż taki domyślny. Ale muszę pogadać z Carłą w cztery oczy. Po prostu, cholera, muszę. Zwłaszcza że nie odpisała na moje wiadomości.

– Nie dopowiadaj sobie za dużo – wzdycham w końcu, wsuwając z udawaną swobodą dłoń do kieszeni płaszcza. – Byłem u Chloe i pomyślałem, że skoro już jestem w Denver, pofatyguję się tutaj na krótką rozmowę z Carłą. Wiem, że jesteście nocnymi markami.

Przyjacieli przyzna mi się do tego, że od dawna tak sobie rzucają radami jak prawdziwi przyjaciele – insynuuje, a ja od razu zerkam sugestywnie na Carłę, licząc, że jakkolwiek go w tej kwestii utwierdzi.

– Jeszcze zaraz przyznajcie mi się do tego, że od dawna tak sobie rzucają radami jak prawdziwi przyjaciele – insynuuje, a ja od razu zerkam sugestywnie na Carłę, licząc, że jakkolwiek go w tej kwestii utwierdzi.

Kobieta na szczęście rozumie aluzję.

– Właściwie to ja czasami napiszę do psychologa ze swoim problemem, a Ryder czasem zapyta, jak ja widzę coś kobiecym okiem. Od ślubu Ryana raz na jakiś czas wymieniamy się wiadomością lub dwiema – przejmuję pałeczkę, a ja czuję, jak wraz z jej słowami kielkuje we mnie pewien rodzaj potrzebnej mi w tym momencie ulgi.

Andrew przechyla nieznacznie głowę. Wydaje mi się, że powoli kupuje naszą wersję, bo przestaje gapić się na mnie z przesadnym zwątpieniem. Zresztą po chwili jego kąciki ust dźwigają się w lekkim uśmiechu.

– A co? Szykujesz dla swojej uroczej dziewczyny coś, o czym nie może wiedzieć twoja siostra, bo nie patrzyłaby już na ciebie tak samo? – rzuca wyraźnie odprężony. – Dlatego chcesz zapytać Carli?

Przytakuję, kłamiąc mu w żywe oczy.

– Mhm, potrzebuję kobiecego spojrzenia na pewną sprawę – powtarzam to, co zostało już powiedziane przez dziewczynę, i krzyżuję z nią spojrzenie. A wtedy wymieniamy się niewerbalnym: *lyknął to*. Andrew mówi jeszcze krótkie „pewnie”, zanim otwiera szerzej drzwi.

Chcę zrobić długi krok w przód, ale nagle Carla porywa z wieszaka kurtkę i po tym, jak ostatni raz omiata wzrokiem wnętrze własnego mieszkania, na powrót zagląda w oczy swojemu partnerowi oraz stwierdza zrelaksowanym tonem:

– Pogadamy o tym przy sprawdzaniu, co jest nie tak z moim samochodem, skoro ty nie znalazłeś chwili, by na niego zerknąć... – Po tych słowach dziewczyna czmycha swojemu facetowi sprzed nosa, a ja rozkładając ręce, żegnając się z przyjacielem i ruszam za nią.

Kiedy stoimy już na chodniku, prędko uderza we mnie zimne powietrze. Od razu stwierdzam w duchu, że powinienem zabrać Carlę gdzieś, gdzie nie zmarznie. Sęk w tym, że dopiero za parę godzin nastanie ranek i mam niewiele opcji do wyboru. Rozglądam się wokoło. Widok znajomej ulicy przywodzi mi na myśl miejsce, do którego klucz otrzymałem wieki temu.

Pracownia Jane.

– Mamy w mieszkaniu cienkie ściany, dlatego tak wystrzełam z tym autem – wyjaśnia nagle dziewczyna, zerkając na mnie kątem oka. – Bo wydało mi się, że z jakiegoś powodu nie chcesz mieszać Andrew w to, z czym do mnie przyszedłeś.

Kiwam głową w geście zgody.

– Masz rację – potwierdzam jeszcze na głos, po czym dorzucam: – Za rogiem jest pracownia mojej mamy. O tej porze na pewno jej tam nie ma, więc chodźmy.

Carla nie protestuje. Podąża tuż obok mnie.

– Nadal to robisz? – zagajam w przypadkowym momencie, obserwując częściowo zasłonięte przez mgłę wieżowce wznoszące się ponad budynkami przed nami. – Jesteś detektywem? Znajdujesz brudy na ludzi?

Dziewczyna przez pierwsze sekundy ryczy mnie ciszą, a ja mimowolnie napinam mięśnie, kiedy ta wciąż jedynie trwa i trwa. W końcu jeśli za moment okaże się, że Carla już się od tej roboty zupełnie odcięła, zostaną na lodzie. Będę musiał wykombinować coś innego, co pomoże mi odzyskać moją Love. Sama myśl o tym sprawia, że czuję się gorzej.

– Siedzę w tym jeszcze bardziej – słyszę nareszcie odpowiedź kobiety.

Na ułamek sekundy przysmykam powieki, ale prędko je uchylam.

– Taka praca to ciągły spacer po linii – ciągnę.

– Ludzie często mi to mówią – stwierdza z westchnieniem Carla, a później od razu dodaje do tego pewne pytanie: – Czy ty bijesz się z myślami, czy mnie o coś poprosić, Ryder?

Akurat docieramy pod dobry adres. Wchodzimy do innej kamienicy, po czym pokonujemy korytarz. Później wyciągam z kieszeni klucze, z których jeden trafia do zamka drzwi. Od razu przepuszczam w nich swoją towarzyszkę i zastanawiam się nad czymś na głos.

– Wyczułaś moje podchody? – pytam, podczas gdy dziewczyna zapala światło.

Po chwili pracownia Jane skąpiana jest już w świetle dawanym przez kinkiety przytwierdzone do jasnych ścian. Trzask drzwi wypełnia przestrzeń, gdy tylko je zamykam i zaczynam marsz w głąb korytarza razem z idącą przy moim boku Carlą.

– Bez trudu – potwierdza. – Twoja mama sporo maluje.

– Tak, zdecydowanie tak – zgadzam się, bo gdzie nie spojrzeć, tam można dostrzec namalowane przez Jane obrazy. W czasie gdy idziemy przed siebie, nie skupiam się jednak na nich, a na wrażeniu, że Carla pasuje mi do bycia niezłą panią detektyw. Wiele razy w przeszłości udowodniła mi bowiem, że jest przebiegła i umie wykazać się chłodną kalkulacją.

Mogłaby mi się naprawdę bardzo przydać, uznaję w duchu i po tym, jak oboje zasiadamy na krzesłach przy długim stole w centralnej części pracowni, zaczynam mówić:

– Wracając... Myślę, że jesteś w stanie mi pomóc.

Dziewczyna przytakuje, a jej mina zdradza, że jest zaintrygowana.

– Okej, więc o co chodzi? – docieka.

Wypuszczam powoli powietrze, czując, że z każdą upływającą godziną zmęczenie doskwiera mi coraz bardziej. Jest bardzo późno, ale nie żałuję, że nie odłożyłem tej rozmowy w czasie. Opieram rękę na powierzchni stołu i chwytam się za skroń.

– Love, dziewczyna, z którą byłem w Chicago na ślubie Ryana i Amber, kojarzysz ją? – pytam, a kiedy otrzymuję w odpowiedzi krótkie skinienie od Carli, kontynuuję: – Zapadła się pod ziemię wczoraj wieczorem. Myślę, że mógł maczać w tym palce jej były i wywieźć ją do jej rodzinnego miasta, tam, gdzie sam mieszka.

Carla nie ucieka spojrzeniem od mojej twarzy.

– Czyli dokąd?

– Do Carson City – wyjaśniam.

– No cóż, musiałyby mieć naprawdę dobry powód, by ją porywać i zabierać aż tak daleko, to jednak ogromna fatyga. – Brunetka mruży w zastanowieniu oczy. – A ten jej były...

– Love niedawno powiedziała mi, że chciał, by do siebie wrócili. Zresztą sam słyszałem, jak ostatnio szukał z nią kontaktu. Ponadto ma fortunę na koncie, a także parobków, którzy skaczą wokół niego – wtrącam, na zmianę zaciskając i poluzniając palce dłoni. – A żeby było gorzej, tymi parobkami są jej ojciec i jej brat. To pochrzanione. Mocno pochrzanione.

Carla rozsiada się na krześle i podpira brodę na rękę. Ciemne włosy sterczą jej na wszystkie strony, a oczy przez następne sekundy poszukują czegoś w obrazie nieopodal.

– W takim razie jej ojciec i brat tak by to zostawili i nie kiwnęli palcem? Okej, mogą być pod wpływem jej byłego, ale chyba ważniejsza jest dla nich Love? – Dziewczyna podrywa odrobinę głowę i odrywa wzrok od obrazu, by utkwic go we mnie.

Masuję palcami pulsującą skroń.

– Sęk w tym, że nie – odpowiadam cicho.

Nie mogę zdradzać Carli szczegółów. Tego, jak okropnie Love była traktowana przez własną rodzinę. Tego, że dla ojca była i nadal jest nieudanym dzieckiem bez najmniejszych perspektyw. To w końcu były jej tajemnice.

Przecieram wolną dłonią usta i znowu kładę rękę na stole.

– Jestem pewny, że nie – powtarzam, zwieszając głowę.

Ponownie rodzi się we mnie obawa. Nie chcę, tak bardzo nie chcę, by Love znowu tego doświadczyła. By znęcano się nad nią tak, jak robiono to kiedyś. Ta farsa musi skończyć się jak najprędzej. Ja muszę skończyć ją jak najprędzej.

– Masz sporo racji – przyznaje po chwili Carla. – To pochrzanione.

– Dlatego nie może trwać długo – bąkam powoli, bo język zaczyna mi się już plątać. Im mocniej staram się odpędzić zmęczenie, tym bardziej zaczyna mi ono dokuczać.

Zniknięcie Love doszczętnie mnie pochłonęło. Przestałem zwracać uwagę na potrzeby swojego organizmu. Na cokolwiek, co nie mogło przybliżyć mnie do tego, by znów mieć ją przy sobie. Brakuje mi mojej Love. *Tak straszliwie mi jej brakuje*.

– Zaczniemy działać natychmiast – zapowiada Carla.

Opuszczając jej usta „natychmiast” przywraca mnie do rzeczywistości. Biorę szybki wdech nosem i zacięcie wpatruję się w siedzącą naprzeciwko dziewczynę, podczas gdy ona zastanawia się przez chwilę nad czymś w zupełnym milczeniu.

– Najpierw sprawdzimy twoje założenie, że Love jest w rodzinnym mieście, bo widzę, że to je bierzesz najbardziej pod uwagę – zaczyna brunetka. – Musisz jednak wiedzieć, że na odległość nie uda nam

się niczego ustalić – dodaje, a ja zgadzam się z nią kiwnięciem głowy.

– Więc... będziemy działać nad tym razem – bardziej stwierdzam niż pytam, chcąc domknąć wszelkie niedopowiedzenia.

Carla unosi kącik ust.

– Jak partnerzy.

Słońce dopiero wschodzi, kiedy budzę się, siedząc na fotelu kierowcy w swoim range roverze. Szybko uświadamiam sobie, że zasnąłem na niecałe dwie godziny. Po odprowadzeniu Carli do kamienicy po prostu odpłynąłem, gdzieś pomiędzy przesuwaniem spotkań z pacjentami w swoim kalendarzu a skrupulatnym planowaniem trasy z Denver do oddalonego od niego o naprawdę wiele mil Carson City.

Wspólnie z dziewczyną stwierdziliśmy, że kiedy pojutrze ruszymy w trasę, lepiej będzie poruszać się samochodem, nawet jeśli droga do celu zajmie nam kilkanaście godzin. Potem, gdy już trafimy na miejsce, Carla powie mi, jak widzi naszą strategię, by dowiedzieć się, czy Love przebywa u Aarona. Nie mam pojęcia, co wykombinuje.

Liczę tylko, że okaże się to skuteczne.

Mrużę oczy, kiedy promienie słońca przebijają się przez wysokie wieżowce i lądują na szybie samochodu. Oślepiony odwracam głowę i sięgam po telefon leżący na fotelu pasażera. Później wybieram numer do Kaydena i upewniam się, że radzi sobie z Klakierem i Gargamelem. Kiedy po paru minutach wiem, że wszystko gra, odpalam silnik i decyduję się wpaść jeszcze do rodzinnego domu, skoro już znalazłem się w Denver.

Wjeżdżając na podjazd po tym, jak ochrona wpuszcza mnie na teren posesji, staram się przyodziać na twarz maskę, która nie pokaże nikomu, jak cholernie źle jest mi bez Love. Staram się, bo nie wiem, czy cokolwiek mi w tym pomoże, kiedy przez zmęczenie i nieodchodzący niepokój wyglądam, jakbym postarzał się przynajmniej o ładnych dziesięć lat.

Kurwa, naprawdę trudno jest mi funkcjonować normalnie, odkąd Love rozplynęła się w powietrzu. Rozplynęła się w nim, a wraz z nią rozplynął się cały mój spokój. Chyba nigdy nie byłem tak przygaszony, tak słaby, tak zmarniały, jak w tym momencie, kiedy siedzę jeszcze przez chwilę w samochodzie i próbuję zebrać się w sobie.

– Wujek!

Słyszając dziecięce nawoływanie, wysiadam z ociąganiem z auta. Siostrzeniec biegnie w moim kierunku, a ja kucam i porywam go w ramiona, po raz pierwszy czując jedynie otępienie. Coś zaczyna gryźć mnie w sercu. Trzymam malca przy sobie, ale zupełnie pusto wpatruję się w kostkę brukową, którą wyłożony jest podjazd.

Nic nie jest na swoim miejscu.

– Co takiego się stało, że nie zaszyłeś się dzisiaj w gabinecie, tylko odwiedziłeś Denver? – Pytanie zadane przez Chloe, która – nie wiedząc kiedy – znalazła się tuż przy nas, wytrąca mnie prędko z chwilowego letargu.

Biorę małego na ręce i, wstając, spoglądam na siostrę. Przecieram jeszcze dłonią twarz. Ponownie odpędzam zmęczenie. Cucę się. I wtedy uzmysławiam sobie, że Chloe cierpliwie czeka na moją odpowiedź, a ja nie umiem, po prostu nie umiem wyznać jej prawdy. Miałbym wydusić z siebie, że odebrali mi moją Love?

Miałbym to zrobić, chociaż nawet myśl o tym łamie mnie na części?

– Mój jedyny pacjent na dzisiaj przeniósł spotkanie na inny termin. – Wzruszam krótko ramionami. – A ja miałem ochotę wpaść na stare śmieci. No i upewnić się, że pewien maluch nie daje znowu popalić swojej pięknej mamie. To jak jest? – Zerkam z fałszywym rozbawieniem na trzymanego przez siebie pięcioletka, który zapewnia mnie, że się poprawił.

Chloe zbliża się do mnie i opiera dłoń na moim barku.

– Piękna mama to potwierdza – wtrąca dziewczyna. – I chciałaby, by niezapowiedziany gość przyznał, co go tak okropnie męczy. Ryder, wyglądasz paskudnie. Przyznaj, że Love w końcu nie wytrzymała twojego pracoholizmu, pokłóciliście się i wyrzuciła cię z domu.

Jej radosny błysk w oku wywołuje nieszczerzy uśmiech na mojej twarzy. Odkładam siostrzeńca na

ziemię, a potem wsuwam dłonie głęboko do kieszeni spodni, uprzednio zakasując rękawy okropnie pomiętej już białej koszuli.

– Jak długo będzie się dąsać? – pytam, potwierdzając tym samym domniemaną wersję siostry. Prawda o nas, rozdzielonych przez kogoś, nie przejdzie mi przez gardło.

Siostra ściąga dłoń z mojego ramienia i sprzedaje mi lekkiego kuksańca w bok.

– Oby jak najkrócej, bo kłótnie z dziewczyną naprawdę mają na ciebie okropny wpływ. Przecież to błahostka, Ryder, nie dołuj się – przekonuje mnie. – Ale poważnie, znajdź czas dla niej, a nie tylko ciągle przesiaduj z pacjentami w czterech ścianach.

Ruszamy w stronę posiadłości, a mnie przechodzi przez myśl, że Love nigdy nie miała do mnie pretensji, jeśli chodziło o czas, który poświęcam pacjentom. Dlatego wciskanie Chloe kitu pozostawia mi na języku pieprzoną gorycz. Kłamię podwójnie. Jest mi z tym źle.

Bez Love jest mi tak potwornie źle.

– W porządku. – Kiwam głową w geście zgody. – A ty przyznaj się, od kogo to masz.

Po tych słowach zerkam sugestywnie na złoty łańcuszek z księżycem tkwiący na szyi siostry. Chloe rozchyła nieznacznie usta, zwieszając głowę i spoglądając na biżuterię.

– Od dobrego znajomego – słyszę w odpowiedzi.

Przechodząc przez próg drzwi, unoszę brew.

– Chlo... – zaczynam, ale nie dostaję szansy, by powiedzieć coś więcej.

– Umawiam się z kimś – wypala nagle dziewczyna, a ja odruchowo zatrzymuję się w pół kroku, bo porządnie zaskakują mnie słowa siostry. – Ze względu na to, co stało się kiedyś, mówię ci o tym szybko, Ryder – dorzuca jeszcze i powtarza: – Naprawdę szybko.

Przymykam powieki i prędko je uchylam. Pewne wspomnienie rości sobie prawa do tego, by zgnieść mi serce, ale wyrzucam je z głowy i koncentruję całą uwagę na stojącej przede mną Chloe. Wydaje się taka zrelaksowana. Jakby bardzo chciała, bym uwierzył, że tym razem nic jej nie grozi.

– Kto to jest? – wyduszam z siebie wciąż odrobinę oniemiały.

– Kayden Graves.

Przesuwam szorstkimi dłońmi po całej twarzy. Znowu. Ilość rewelacji, jaka ostatnio na mnie spada, jest kurewsko przytłaczająca. Na chwilę odlatuję myślami gdzieś zupełnie daleko. Ignoruję nawet pytanie małego siostrzeńca, czy wszystko ze mną okej.

Cholera jasna, Chloe randkuje.

Randkuje z Kaydenem Gravesem.

Chociaż ta sytuacja różni się od tej, która miała miejsce kiedyś, to i tak czuję lekki niepokój. Chyba nawet świadomość, że Kayden jest opiekuńczy, podobnie jak względem Love, nie wypleni ze mnie żadnej jednej obawy. To po prostu zakorzeniło się we mnie zbyt rozległe.

– Nic nie napomknął – mamroczę.

A miał ku temu wiele okazji, uświadamiam sobie.

– Bo to ja chciałam się tym z tobą podzielić. Mając na względzie nie tylko *tamte* wydarzenia, ale i fakt, że to jednak przyjaciel Love i... ktoś z twojego otoczenia – wzdycha Chlo, przechodząc do salonu. Idę za nią i zerkam na malca, który kradnie telefon mamy i czmycha w stronę sąsiedniego pokoju.

Siadam na fotelu, czując, że utrzymanie się w pionie jeszcze przez choćby chwilę przyjdzie mi z trudem. Opieram przedramiona na podłokietnikach mebla, a tył głowy na jego zagłówku i wypuszczam całe powietrze, jakie zalega mi w płucach.

– Spuściłam bombę nie w porę? – zastanawia się moja rozmówczyni, a kącik jej ust dźwiga się w niezręcznym uśmiechu. – Ryder, znasz go już trochę. Wiesz, jaki był troskliwy przez lata wobec Love. Tak samo troskliwy jest wobec mnie.

Kręcę głową na jej słowa.

– Chlo, nie musisz mi nic wyjaśniać ani próbować mnie przekonać do faktu, że randkujecie, bo jest mi z tym okej – odpieram po niedługiej chwili. – Zwłaszcza że faktycznie wiem, jak traktował i traktuje Love, więc zakoduj sobie, że, powtarzam: jest mi z tym okej.

Siostra obserwuje mnie w milczeniu.

– Rzecz jasna zaproszę go na pogawędkę, z tego na pewno nie zrezygnuję – zapowiadam jeszcze, ale nie zmazuję tym z jej twarzy lekkiego uśmiechu. Stoi za tym jednak coś innego. Chloe wydaje się nagle

odrobinę przygaszona, jakby wtem coś jej dokuczyło.

– Nadal jest mi głupio za tamto – szepcze cicho.

A ja już wiem, co jej dokuczyło.

– Nie powinno – odpowiadam. – Minęły wieki.

Nie mam pojęcia, czy pewnego dnia pomyślę o Kaydenie jak o kimś w zupełności właściwym dla Chloe. To, co się stało, naznaczyło mnie uprzedzeniem, jakiego nadal nie mogę z siebie wypędzić. Ale będę się starał z nim uporać.

– Mogłam posłuchać swojego brata, który miał otwarte oczy troszeczkę szerzej. – Zanim zdążę zarejestrować moment, w którym te słowa opuszczają usta Chlo, dziewczyna pojawia się na moich kolanach i mocno do mnie przytula. Przez chwilę trwamy w uścisku bez słów.

Aż w końcu Chloe wzdycha głośno, zwracając na siebie moją uwagę.

– Będę musiała chyba odwiedzić Aspen, bo Kay ostatnio też się przepracowuje. Wydzwaniam do niego od wczoraj i za każdym razem odpowiada mi ta beznadziejna poczta – mówi dziewczyna, a ja mimowolnie się spinam, bo domyślam się, dlaczego Kayden nie odbiera telefonów od Chloe. Najpewniej wciąż próbuje zebrać się do kupy, ale z marnym skutkiem.

Od razu zapamiętuję, że muszę przekazać mu jak najprędzej, by trzymał język za zębami w sprawie Love. Zrobię to od razu, jak znowu wsiądę do samochodu, by ruszyć w drogę powrotną do Aspen. Chloe nie może się dowiedzieć.

– Dobrze, że nie możesz wyrzucić go z domu. – Uśmiecham się cierpko, nawiązując do „sytuacji mojej i Love”. Nawet jeśli nadal czuję się żałośnie, wprowadzając siostrę w błąd, to domyślam się, że lepiej będzie po prostu nie wplątywać jej w tę gównianą farsę.

– Znajdę sposób, by pracoholizm odbił mu się czkawką – zapowiada roześmiana.

Dziewczyna puszcza do mnie oczko, a ja mocno ją do siebie przyciągam. Zależy mi na mojej Chloe. Tak straszliwie mi na niej zależy. Teraz, gdy doskwiera mi brak Love, myśl, że i jej mogłoby się coś stać, przeraża mnie jeszcze bardziej.

– Może dokopały mu studia? – sugeruję wciąż neutralnym tonem.

Nie chcę, by przyjeżdżała do Aspen. Nie teraz.

– Tak uważasz? – Chlo mruży oczy, rozmyślając nad moimi słowami. Dopiero po parunastu sekundach odpowiada mi skinieniem oraz krótkim: – Ach, zbliżają się egzaminy, więc pewnie jest tak, jak podejrzewasz. Okej, jednak się stąd nie ruszam.

Wtem salon wypełnia ciche tupanie. Do pomieszczenia wbiega rozradowany malec, trzymając kurczowo w dłoni komórkę mamy i uciekając przed swoją babcią. Zaaferowana Jane, gdy tylko dostrzeża mnie na fotelu, od razu wymierza we mnie podejrzliwie swój palec.

– Ryder? Co ty tu robisz i to o tak wczesnej porze? Czy ty jechałeś tutaj w nocy? – docieka szybko, podczas gdy Chlo wstaje ze mnie i rusza w stronę uciekającego pięciolatka.

Zgrywam zrelaksowanego. Tak naprawdę liczę tylko na jedno.

Na to, że nikt nie domyśli się dzisiaj, jak mocno cierpię.

ROZDZIAŁ TRZECI



LOVE

Najchętniej posądziłabym o problemy ze zmruczeniem oczu duchotę, jaka panuje tego wieczora w salonie, gdy leżąc na kanapie staram się zasnąć. Sęk w tym, że doskonale wiem, co zamiast niej mi dokucza. A dokucza mi świadomość, że Aaron czyha na mnie gdzieś w głębi długiego korytarza, dokąd udał się kilka chwil temu, by odebrać dzwoniący telefon.

Opatulałam ramiona dłońmi i zaglądam w ciemności, które mi towarzyszą. Jednocześnie wciąż odpieram od siebie wersję wydarzeń przywołaną parę godzin temu przez Aarona, która dotyczyła Rydera i jego rzekomego uwodzenia pacjentek. To w końcu nie mogłoby mieć miejsca.

Nie mogłoby.

Wtem Aaron pokonuje ponownie próg salonu i staje nade mną z rękami schowanymi w kieszeniach spodni. Jego wzrok zdaje się wywiercać mi dziurę w twarzy, gdy przez kilkanaście sekund mężczyzna wodzi nim po niej w absolutnym skupieniu.

– Tak mi cię szkoda, złotko – zaczyna, a jego współczujący ton jest zapewne doskonałą zasłoną dla niecnego zadowolenia. – Domyślałem się, że tak się stanie. Że gdy tylko dowiesz się, co wyprawiał i nadal wyprawia ten skurwiel, poczujesz się pokonana.

Aaron mówi to, a potem przysiadła na skraju kanapy. Wyciąga rękę z kieszeni, by położyć ją wyprostowaną na obiciu mebla i oprzeć na niej ciężar ciała. A ja wciąż zamykam się na jego wierutne bzdury. Nie mam już siedemnastu lat ani nie jestem pod jego wpływem, by wierzyć temu, czym mnie karmi.

To, co mnie pokonuje, to jego zamiary. Te, które udało mu się już urzeczywistnić oraz te, które wciąż ma na myśli. A pośród tych drugich ślub, o którym myśl przyprawia mnie o zimne dreszcze. Jeśli on dojdzie do skutku, rozbije mnie na pół.

Mężczyzna wzdycha i ciągnie dalej:

– Każda z was, każda z tych kobiet, które uwiódł, zapewne na końcu doświadczyła tego samego rozczarowania, ale skoro Peyton Howard się po nim pozbierała, ty również się z tym uporasz.

Pociągam bezgłośnie nosem i przekręcam się pomału na bok. Wbijam spojrzenie w oparcie kanapy, licząc naiwnie na to, że Aaron zrozumie aluzję i po prostu odstąpi mnie na krok, czego nie zwykł robić, odkąd się zjawił.

– Będę przy tobie i również się z tym uporasz, Love – słyszę jeszcze jego deklarację i czuję, jak żołądek ściska mi się ze wstrętu, który odczuwam wobec osoby, która mi ją oferuje. Bo nie potrzebuję jej. Nie potrzebuję się z niczym uporać, bo Ryder zwyczajnie nie wyrządziłby mi takiej krzywdy.

Wciąż gapię się w obicie sofy.

– Kiedy nie czuję się wcale rozczarowana – wyduszam jakimś szeptem w mrok.

Aaron poprawia się na siedzeniu. Niemalże czuję na własnej skórze tę dezaprobatę, która od niego bije. Bardzo zależy mu na tym, bym zraziła się do Rydera, dlatego teraz – gdy wciąż nie osiąga efektu, który poprzysiągł sobie osiągnąć – to wyprowadza go z równowagi.

– Jest ci świetnie, wiedząc, że ilekroć w progu gabinetu pojawiają się zagubione dziewczyny, on już zastanawia się nad taktyką, jak się im przypodobać? – pyta ociężale. – Jest ci z tym świetnie? Kiedy myślisz o tym, jak on czarując te dziewczyny swoją pomocą, tak naprawdę knuje, jak zwabić je do siebie?

Aaron na mnie naciska. Strasznie naciska. Czuję ciężar jego uporczywego spojrzenia na części swojej twarzy przez dłuższą chwilę, zanim powtarza znowu:

– Jest ci z tym świetnie, złotko?

Przymykam powieki, a potem na powrót je uchylam.

– Oczerniasz go, bo chcesz coś osiągnąć – wysnuwam trafny wniosek, jestem przekonana o tym w głębi duszy. Później opuszczam bezwiednie ręce z ramion i wsłuchuję się w krótkie, jakby prześmiewcze parsknięcie Aarona.

– Nie wymyślaj.

– Potrzebujesz moc znowu kierować mną jak wtedy, gdy byliśmy młodszy – mówię bez pośpiechu. – Ale jak mógłbyś osiągnąć taki rezultat, skoro twoje zdanie mnie nie rusza? Skoro biorę pod uwagę zdanie kogoś innego? Dlatego jesteś uparty i zrażasz mnie do Rydera. On krzyżuje ci plany.

Przez moment nic się nie dzieje. Oboje nie odzywamy się do siebie. Ani jedno słowo nie zawisa pomiędzy nami, przebywającymi w niedużym, zaciemnionym salonie. Aż w końcu zauważam, jak ręka Aarona szybuje w moim kierunku. Zanim zdążę spróbować chociażby opędzić się od jego dotyku, on zaczepia dłoń na moim biodrze i bez wysiłku obraca mnie przodem do siebie oraz całego pokoju.

Mogąc na niego spojrzeć, dostrzegam jego oczy. Pobłyskuje w nich złowroga iskra, której widok wprawia mnie w niepokój. Aaron zabiera swoją rękę z mojego ciała i zaciska ją gdzieś obok mnie na powierzchni mebla.

– Ocknij się w końcu – przekonuje mnie. – Callahan miał cię podaną jak na tacy. Dam sobie rękę uciąć, że podczas którejś z waszych rozmów ty zdradziłaś mu coś o mnie, a on zarzekł się, że nie ma ze mną absolutnie nic wspólnego. Miał idealne pole do manewru, żeby złapać cię w swoją pieprzoną sieć, bo byłaś spłoszoną i zranioną dziewczynką.

Czuję ucisk gdzieś w mostku, gdy on jedynie bardziej się nakręca. Sprawia wrażenie, jakby zawładnęła nim potrzeba, by doprowadzić do tego, że skreślę całkowicie swojego Rydera. Aaron przeciera usta i potem znowu się odzywa:

– A on za takimi przepada, bo nie natrudzi się zbytnio przy owijaniu ich sobie wokół palca. Wystarczy mu jedynie zabawa w rycerza w srebrnej zbroi. Kiedy będzie się za niego podawał, żadnej nie przejdzie wtedy przez myśl, że to w gruncie rzeczy wyrachowany oszust.

Głowa zaczyna powoli pękać mi od kolejnych zdań, które wypluwa z siebie non stop Aaron. Ile ma ich jeszcze w zanadrzu? Dokąd będzie taki zawzięty w *uzmysławianiu mi*, jak niewłaściwie postępuję twierdząc, że Ryder nie ma wcale nic podobnego na sumieniu?

– Wiesz, jak wyglądałaby ta wasza sielanka za jakiś czas? – pyta.

Wpatruję się w niego i czuję, jak jego manipulacyjne gierki zupełnie wysysają ze mnie ostatnie pokłady energii. On nie ustąpi. Będzie tak pastwił się nade mną i stawiał Rydera w najgorszym świetle ciągle i ciągle.

Tak bardzo chciałabym, by Ryder mnie do siebie przytulił.

Wtem Aaron zbliża się do mnie nieznacznie. Przy tym choćby na sekundę nie ucieka spojrzeniem od mojej twarzy, jakby mimo ciemności zalewającej salon do cna poszukiwał na niej oznaki, że ugięłam się pod wpływem jego natarcia. Że mu zaufałam.

Że uznałam Rydera za tego złego.

– Mógłby olać cię, tak jak olał Peyton. A gdyby jednak tego nie zrobił... może i bylibyście razem, ale wtedy ty czekałabyś na jego powrót z poradni, wiedząc, że kiedy w niej przebywał, na pewno rwał się do tego, by uwodzić którąś pacjentkę. To cię w żaden sposób nie podłamuje, Love? – dziwi się Aaron.

Obserwuję, jak jego brew szybuje pytająco ku górze i zapieram się rękami i nogami przed tym, by udzieliło mi się jego zastanowienie. Nie chcę gdybać. Chcę wythnać, wythnać od Aarona. Unoszę dłoń i przecieram nią oczy. Konfrontacja z tym mężczyzną obdziera mnie ze wszystkich sił.

Zdaje mi się, jakby był przygotowany na to, by ślęczeć tu nade mną do rana, aby jedynie osiągnąć rezultat i zasiać we mnie niechęć do Rydera. Wtedy zostanie mu już tylko tresowanie mnie na kogoś, kim byłam parę lat temu. Tą naiwną, uznającą go za swoją deskę ratunku przed byciem samą Love.

Tak strasznie tego nie chcę.

– Przestań wmawiać mi podobne głupstwa – mówię szeptem, a mina Aarona staje się tęższa, gdy tylko dociera do niego sens moich słów. Mężczyzna nabiera powietrza nosem, a towarzyszy temu charakterystyczny świst.

– Głupstwa... – powtarza za mną, aż w końcu zaciska usta i zaglądając mi w oczy, syczy: – To ty nie bądź głupia jak but i skończ go, cholera jasna, wybielać. Ten facet to zero i wciąż bez przerwy węszy za okazjami.

Aaron prędko orientuje się, że się nieco zapomniał. Jego źrenice zmniejszają się, a bruzda klarująca się pomiędzy brwiami staje się mniej widoczna, gdy mężczyzna przestaje je marszczyć. Potem znowu wyciąga rękę i niespiesznie zrzuca moje nogi z kanapy, by móc usiąść bliżej i oprzeć się plecami o oparcie mebla.

Zaalarmowana podrywam się ostrożnie do siadu, a w dalszej kolejności do klęczek, patrząc z daleka na mężczyznę, który wzdycha.

– Pojmiesz to. Jestem pewny, że tak się stanie. Uporamy się z tym... – Aaron wciąż mówi i mówi, a ja czuję, jak odzywa się we mnie wycieńczenie. Nie potrafię nadal koncentrować uwagi na jego słowach, gdy w przypadkowym momencie przekrzywiam głowę. Robię to, a moje oczy samoistnie się zamykają. Brunet jednak wciąż mieli i mieli.

Mieli i mieli ten sam temat. Zbliża się jeszcze bardziej. Nadal wymaga.

Wymaga, bym się opamiętała i robi to zapewne nieprzerwanie, dokąd nie odzyskuję świadomości wczesnym porankiem. Zdaje mi się, że gdy nabieram wtedy wdech, w salonie oblepionym promieniami wiosennego słońca jest jeszcze bardziej parno. Pomału omiatam wzrokiem pomieszczenie i sztywnieję, słysząc po chwili Aarona:

– Nie ruszaj się stąd. Muszę czegoś poszukać.

Przechylam głowę i spoglądam na niego. Ma roztrzepane włosy, mimo wszystko tak samo trzeźwe spojrzenie oraz nieczytelną minę, gdy podnosi się do pionu. Przy tym utrzymuje ze mną kontakt wzrokowy.

– Czego? – Sama nie wiem, dlaczego dociekam.

Aaron nie raczy mnie ani jednym wyjaśnieniem. Po prostu odwraca wzrok i maszeruje spokojnym krokiem w tylko sobie znanym kierunku. W tym czasie naciągam na dłonie rękawy swojego swetra i siadam na sofie już w normalnej pozycji, licząc jednak, że nacieszę się jego nieobecnością nieco dłużej.

On jednak po parunastu sekundach przechodzi przez próg salonu.

– Zwlec z kanapy, złotko. Mamy coś ważnego do odbębnienia.

Gdy dokańcza i przystaje przede mną, natychmiast żółć podchodzi mi do gardła. Instynktownie mocniej ściskam w dłoniach rąbek swetra. Wycofuję plecy w oparcie mebla i wbijam wręcz boleśnie pięty w drewniane panele, którymi wyłożona jest podłoga.

Aaron przekłada za to z ręki do ręki miarę krawiecką.

– Domyślasz się, co mam na myśli? – Unosi brew, a kiedy przez dłuższy moment nie uzyskuje komentarza do swoich słów, dorzuca: – Musimy skombinować ci suknię na naszą uroczystość. A nie możemy tego zrobić, jeśli nie wiemy niczego o twoich wymiarach. Więc powtarzam: zwlec z tej kanapy.

Przez może niecałą minutę po prostu trwam w bezruchu, a obawa w mojej głowie jedynie narasta. Bo od paru miesięcy podążałam za wskazówkami Rydera i nie kontrolowałam, jak się ma moja sylwetka, a teraz mam się o tym przekonać? Wtem odzyskuję rezon, bo Aaron jakimś cudem stoi tuż obok mnie i przebiega ostrożnie swoimi palcami po mojej skroni.

– Do dzieła – dorzuca jeszcze. – Wstawaj.

Wpędzona w potrzask podnoszę się na nogi i znoszę jego miarowy oddech rozbijający się gdzieś w moich włosach. Mam wrażenie, że mój grzęźnie mi w płucach, gdy mężczyzna podciąga do góry mój sweter i przystępuje do pracy. Jest skrupulatny. Dopiero po dłuższej chwili mogę znowu zająć miejsce na sofie.

– Cóż – zagają Aaron. – Uporamy się nie tylko z twoim byciem wpatrzoną w Rydera Callahana, ale też ze zbiciem twojej wagi do uroczystości. Stałaś się nieco zbyt... odpychająco okrągła – uznaje bez choćby głupiego zająknięcia, a ja czuję, jakby potraktował mnie paralizatorem. Jakby wymierzył mi właśnie silne uderzenie w twarz.

Stałaś się nieco zbyt odpychająco okrągła, słyszę go wciąż.

Słyszę go wciąż i wciąż, a w mojej głowie kłębi się coraz więcej niechcianych myśli. Zaczynam zawzięcie analizować. Zaczynam rozkładać jego słowa na czynniki pierwsze i przesiąkać strachem o to, że rzeczywiście mogę taka być. Mogę odpychać. Mogę być okrągła. Mogę budzić w ludziach wstręt tym, jak wyglądam. A tak bardzo tego nie chcę. Nie chcę.

Dlaczego on to znowu we mnie budzi?

Wtem po salonie roznosi się odgłos przychodzącego połączenia. Młody mężczyzna odrzuca na stół miarkę, bierze w dłoń tkwiącą na nim komórkę i rusza do korytarza, a ja skupiam się na widocznym za szybą

ogrodzie i próbuję tak usilnie odpędzić się od strachu, który zakotwiczył we mnie Aaron.

Boję się, że mógłby się nie mylić w kwestii tego, że jestem odpychająca, nawet jeśli wiem, że on przepada za pastwieniem się nade mną dokładnie w ten sposób.

Oczami wyobraźni widzę, jak Aaron wznosi zirytowane spojrzenie ku sufitowi, kiedy dyskutuje jeszcze przez jakiś czas ze swoim rozmówcą. Gdy wraca do pomieszczenia, w milczeniu podchodzi do okna i uchyla je. Później odwraca się przodem do mnie. Nie wiem kiedy, siada obok na sofie. Chcę zapytać, czy przesiedzi tu ze mną jeszcze cały dzień, ale odpowiedź nasuwa mi się na myśl sama, kiedy tylko mężczyzna się odzywa:

– Coś cię trapi, Love? Może zaczęłaś trawić pewne rewelacje o Ryderze Callahanie? – Po tych słowach Aaron mruży oczy, a do mnie dociera, że tak. Przesiedzi tu ze mną nawet i kolejną noc, a potem kolejny dzień.

Będzie wciąż mącił mi w głowie. A wiedza o tym smakuje naprawdę bardzo gorzko. Przyciągam kolana do piersi i zwieszam brodę, by zetknąć się z nimi czołem. To mordęga. Słuchanie tego wszystkiego to mordęga.

– Może zaczęłaś podejrzewać, że jednak mógłby mieć wiele za uszami? – ciągnie mężczyzna, a ja zaczynam obawiać się, czy w pewnym momencie po prostu nie zwariuję, skoro słyszę jedno i to samo non stop. Wplatam dłonie we włosy. Przęłykam.

Jest mi naprawdę źle.

Bardzo źle.

Aaron dopiero parę godzin później dźwiga się na nogi i wychodzi. A ja dopiero po paru minutach, odkąd słyszę trzask drzwi frontowych, zdobywam się na to, by omieść spojrzeniem salon. Akurat wchodzi do niego spokojny Gavin, który na mój widok wyraźnie się krzywi.

– Pięknie, trafiłem do jakiegoś jebanego przytułku dla łajz – wypluwa nieprzyjemnie, a potem rozsiada się wygodnie na krześle przy niedużym stole i ucieka spojrzeniem do dokumentów, które trzyma w rękach.

Jest niewzruszony.

A ja mimo wszystko czuję, jakby nagle od nogi odpięto mi wielotonową kulę. Bo przynajmniej nie dobiegają mnie następne paskudne oszczerstwa pod adresem Rydera. Nie słyszę nic o tym, że mój ukochany uwodzi swoje pacjentki, ani o tym, że na pewno nastalby taki dzień, kiedy powiedziałyby mi w twarz, że byłam tylko jego rozrywką.

Poluźniam uścisk skostniałych dłoni i wypuszczam spomiędzy nich rozciągnięty materiał rękawów swetra, czując, że mogę pozwolić sobie na to, by chociaż przez krótki moment zwyczajnie odetchnąć. Nagle jednak Gavin unosi złowroźnie swój kącik ust. W dalszej kolejności podrywa pomału głowę, by móc zajrzeć mi prosto w oczy.

– Pewnie nie dorównujesz nawet w niedużym stopniu tej, którą Callahan weźmie po tobie w obroty – mówi zajadle, a mi z pewnością odpływają wszelkie kolory z twarzy, kiedy uderza we mnie sens jego wypowiedzi.

Więc on to robi.

Idzie tropem Aarona.

Z marszu zaczyna mnie mdlić na myśl o tym, że to będzie wciąż trwało. Zaplatam nerwowo kostki w powietrzu, aż czuję przy tym znaczny dyskomfort. Przez pewien czas gapię się z obawą na swojego brata, który również nie odwraca spojrzenia od mojej z pewnością zmizerniałej twarzy, i nawet nie drga mu powieka, gdy dopowiada:

– Więc nasz pomysł wyszedł mu na dobre.

Kręcę głową. Kręcę głową w pośpiechu i z niemym buntem.

– On nie czuje się z tym wszystkim dobrze – protestuję przez ściśnięte gardło.

– Gdyby nie czuł się z tym dobrze, pofatygowałby się tutaj. Ale jak widzisz, nie zrobił tego i wcale, a wcale nie ma zamiaru tego robić. Nie ma zamiaru za tobą gonić, tancereczko.

Serce pędzi mi w galopie, kiedy nie analizuję już niczego i desperacko zrywam się z kanapy, by przemknąć dokądkolwiek, zatrzaskać się gdziekolwiek, odciąć od tematu mojego Rydera poruszanego ciągle

i ciągle. Nie dam rady znieść kolejnych godzin spędzanych na tym samym. Odpieranie bzdur zupełnie mnie wycieńcza.

Oczy pieką mnie niemiłosiernie, a ja mknę do korytarza na wiotkich nogach. Z ust wypada mi jednak żalosne stęknienie tak prędko, jak Gavin oplata dłonią moje przedramię i po chwili ponownie usadza na sofie. A kiedy na niej siedzę, nie umiem tego w sobie zdusić. Nie umiem utrzymać na uwieży bólu związanego z wiedzą, że reszta dnia do złudzenia będzie przypominać ten ostatni wieczór i poranek.

Będą mnie miażdżyć.

Miażdżyć, aż dopną swego.

Zginam się natychmiast wpół, a z gardła wydostaje mi się przeciągły, bezgłośny jęk, bo głos Gavina ponownie wypełnia salon. Słyszę, jak mój brat mówi, że Ryderowi nawet nie przeszło przez myśl, by za mną gonić. A jego słowa zaszczipiają we mnie rodzaj bólu, który jestem pewna, że prędzej czy później rozsypie mnie do końca w najprawdziwszy mak.

Zamykam szczypiące oczy. Nie chcę tak dłużej.

Tak bardzo nie chcę.

ROZDZIAŁ CZWARTY



RYDER

Zerkam kątem oka na zegar elektroniczny znajdujący się na desce rozdzielczej i dociera do mnie, że wraz z Carlą mamy już za sobą dziesiątą godzinę jazdy. Dziesiątą godzinę jazdy spędzoną w towarzystwie tylko szumu jezdni wpadającego do range rovera przez uchyloną do połowy szybę.

Skupiam się znowu na drodze, rezygnując z podpatrzenia, czym zajmuje się obecnie siedząca obok kobieta. Dałbym sobie bowiem rękę uciąć, że jest zupełnie zaabsorbowana ekranem swojej komórki. Wpatrywała się w niego, w zasadzie odkąd tylko wyruszyliśmy o ekstremalnie wczesnej porze z naszego rodzinnego Denver. Z Aspen musiałem wyjechać w środku nocy i pozostawić tam bliźniaka pod opieką Kaydena Gravesa.

Wtem z krótkiego letargu wytrąca mnie przeciągłe ziewnięcie mojej towarzyszki. Carla wierci się przez krótką chwilę na fotelu pasażera, a później najpewniej odwraca w moim kierunku, kiedy zarzeka się z lekka zakłopotana:

– Chyba niewiele za tym przemawia, ale daleko mi do nudziary.

Ściągam nieznacznie brwi, nieprzerwanie przeczesując wzrokiem drogę.

– Nie biorę cię za nudziarę – odpowiadam ze spokojem i opieram swobodnie rękę na drzwiach samochodu. Carla w tym czasie ponownie poprawia się na siedzeniu, szukając pewnie wygodnej pozycji na następne kilka godzin, w trakcie których będziemy w trasie.

– Więc... nad czym tak zaciekle główkujesz? – zastanawia się zaintrygowana.

Wzruszam krótko ramionami.

– Rozstrzygam, jakie są szanse, że po powrocie do Aspen, nie zastanę swojej chaty przerobionej na rudere przez kolegę Love, który tam teraz urzęduje – rzucam z westchnieniem i spoglądam przelotnie na Carlę, by skontrolować jej pytanie: – A ty? Czego próbujesz dokopać się w komórce od bitych dziesięciu godzin, co?

Kobieta blokuje ekran swojego telefonu i odkłada go do schowka w drzwiach auta. Ja w tym czasie ponownie wbijam wzrok przed siebie, wyczekując odpowiedzi. Nie mija parę sekund, a Carla bierze głęboki wdech do płuc i zaczyna mówić:

– Raczej do czego zdołałam się już dokopać. – Poprawiając mnie, brzmi na doprawdy zadowoloną. – Chciałam zorientować się trochę, jeśli idzie o rodzinę Chatfieldów, no i jakimś cudem natrafiłam na coś, co brzmi jak idealne okoliczności, by wgryźć się w te ich wysokie sfery. – Oczami wyobraźni widzę, jak Carla robi z palców cudzysłów w powietrzu.

Zdejmuję nieco nogę z gazu, dostrzegając nieopodal stację benzynową.

– Co to takiego? – dociekam jeszcze.

Dziewczyna przez chwilę zbiera myśli do kupy.

– Miles Chatfield, ojciec Aarona, wyprawia uroczystość, bo oddaje na barki swojego jedyne go syna własny biznes – tłumaczy, a ja czuję, jak w przeciągu sekundy krew odpływa mi z twarzy, gdy tylko uzmysławiam sobie pewną rzecz.

Cholera jasna.

– Powtórz – wydecham krótko w pośpiechu. – Powtórz, dlaczego to się odbędzie. – W moim głosie króluje pewien rodzaj desperacji. Muszę, muszę, muszę zyskać pewność, że Carla się w żaden beznadziejny sposób nie przejęzyczyła i miała zamiar powiedzieć właśnie to.

Jej zaciekle uważny wzrok zdaje się w tej chwili wypalać moją twarz.

– Aaron zostaje panem dyrektorem. Ryder? – pyta z lekka zmartwiona Carla.

Spinam się jak struna i zrzucam rękę z drzwi auta.

– To jego sprawka – tłumaczę początkowo lakonicznie. – On sprawił, że Love przepadła jak kamień w wodę, teraz nie mam wątpliwości, choćby głupiej jednej – ciągnę, a knykcie bieleją mi od siły, z jaką owijam palcami kierownicę. Carla w tym czasie odpina pas bezpieczeństwa, dostrzegając, że zjeżdżam na stację benzynową.

Wciąż mnie obserwuje.

– Dlaczego jesteś o tym tak święcie przekonany? – Jest podejrzliwa.

Odrywam jedną rękę od kierownicy i w błyskawicznie szybkim tempie poluzniam materiał swojej bluzy tuż przy szyi, który nagle zdaje się uciskać mi ją aż przesadnie. Gdy kończę, zatrzymuję samochód i spoglądam na siedzącą obok dziewczynę.

– Ponieważ Love dobrze wiedziała, dlaczego Aaron na nią czyha – mówię i nie owijam w bawełnę: – A czyhał na nią, bo ojciec wymagał od niego, by się ustatkował. Wtedy dostałby w swoje łapy jego biznes. Tu nie ma innego scenariusza jak ten, że on ma ją teraz przy sobie, skoro sadza tyłek na fotelu dyrektora, Carla – przekonuję ją.

Jednocześnie nie spuszczam wzroku z jej oblanej promieniami zachodzącego słońca twarzy. Carla marszczy w zastanowieniu czoło, a ja odpinam pasy i wyciągam kluczyki ze stacyjki, przekładając je nerwowo z ręki do ręki w oczekiwaniu na to, co powie dziewczyna.

Love musi tam być. Musi być w Carson City.

– Za tą opcją przemawia coraz więcej takich szczegółów – przyznaje moja rozmówczyni. – Ale gwarancję co do tego, że Love jest z Aaronem, zyskamy, kiedy dotrzemy do celu, a ja coś wywęszę podczas tej całej uroczystości – dokańcza jak gdyby nigdy nic.

Słyszając to, natychmiast wybałuszam oczy.

– Nieźle. – Wypuszczam ze świstem powietrze.

– Co „nieźle”? – Carla nie kryje zdziwienia.

– Nieźle zwalasz z nóg tymi swoimi komicznymi pomysłami.

Z lekka skonsternowana dziewczyna masuje palcami kark.

– Tyle że on w zamyśle nie miał okazać się komiczny – odzywa się, nieprzerwanie utrzymując ze mną kontakt wzrokowy. Jestem pewien, że gdy to robi, jest w stanie dostrzec w moim spojrzeniu przekłętą dezaprobatę w naprawdę cholernie klarownej postaci.

Odrzucam kluczyki na deskę rozdzielczą i wypluwam:

– Czy tobie nie świtało, że to totalne wariactwo? – dopytuję.

Carla opuszcza rękę i zakłada je pod biustem.

– Chciałaś tak zwyczajnie tam sobie pójść? – Obracam się do niej przodem, a ona nabiera powietrza nosem i przymyka na krótką chwilę powieki. Nie trwa to jednak długo, bo po kilku sekundach ciszy, spędzonych w samochodzie pośród tego napięcia, które kumuluje się w jego niedużej przestrzeni, Carla otwiera oczy i rozkłada ręce.

– Planowałam to – wyznaje. – No i wciąż planuję.

Przeczესuję dłonią włosy i ciągnę nieco za ich końce.

– Przecież nie ma cienia szans, że skojarzą mnie z tobą albo z Love – kontynuuje dziewczyna. – Nawet jeśli Aaron podglądał waszą codzienność w Aspen, to ja w niej nie uczestniczyłam choćby przez minutę. Będę dla niego i dla jego ojca obca – wyrzuca z siebie Carla i, a niech mnie, brzmi na wyluzowaną. Straszliwie zawziętą.

Boże jedyny.

– Zapędzasz się, bo jak już, to najpewniej pocałujesz klamkę – staram się zgasić jej zapał.

Carla natomiast przekrzywia głowę i eksponuje nieco białe zęby, gdy się uśmiecha.

– Raczej rzucę swój urok na Milesa Chatfielda i nie dość, że dojdę do tego, czy jego synalek rzeczywiście ma coś na sumieniu, to jeszcze wynajdę coś na nich obu. Może na nich obu, a może nawet na ten ich biznes? – pyta jakby samą siebie, ale prędko się reflektuje i na powrót skupia na mnie. – Pobędziemy trochę w tym Carson City, a teraz tankuj.

Pochłaniam każde jedno wypowiedziane przez nią słowo i nie potrafię dopuścić do siebie myśli, że ona wcale nie rzuca dowcipem, by rozładować atmosferę, tylko przedstawia mi swoją strategię na to, jak przechytryć Chatfieldów. W gruncie rzeczy chce to zrobić w *pojedynkę*.

A ta kwestia mnie od tej strategii odrzuca.

– Tankujesz? – pyta nagle Carla.

Jeszcze bardziej połuźniam bluzę przy szyi. Nie dość, że wiosna w tym stanie jest cholernie ciepła, to jeszcze pomysły tej kobiety rozpalają mnie do czerwoności. Moja towarzyszka widząc, że nie rwę się do tego, by wysiąść z samochodu, zaczyna mówić:

– Dobra, rozumiem, najpierw chcesz się dogadać – zauważa słusznie. – Co cię zniechęca do tego, co wykombinowałam? – pyta, a później od razu dodaje: – Musisz wiedzieć, że bite dziesięć godzin układałam sobie w głowie tę taktykę i nie jest ona wcale wymyślona na szybko.

Faktycznie nie jest, ale szlag by to.

Odwracam wzrok od patrzącej na mnie uparcie Carli i wbijam go w drogę, po której wciąż porusza się dość znikoma liczba aut. Potem siadam normalnie na fotelu oraz zaciągam się powietrzem, zastanawiając się przez moment, co z siebie wydusić.

– Wolalibyśmy nadać za tym twoim wdzięczaniem się do ojca Aarona – odpowiadam i przysięgam, że kiedy wypowiadam koniec zdania, coś skręca mnie w żołądku. – Móc w razie czego cię wesprzeć, Carla. Jesteś niezła w takich akcjach, ale ja jestem przezorny i ani mi się śni zostawiać cię gdziekolwiek na pieprzoną pastwę losu. – Kręcę głową z nieukrywanym protestem.

Nie neguję jej metod, bo jestem czepialskim bucem albo mam ją za zupełnie niezaradną. W końcu gdybym dokładnie tak o niej myślał, pierwszego wieczoru po zniknięciu Love nie byłaby tą osobą, do której od razu zwróciłbym się z prośbą o pomoc, ani nie wciągałbym jej w tak długą podróż. Po prostu chcę być w pogotowiu.

Chrząknięcie Carli sprawia, że szybko odzyskuję fason. Od razu odwracam głowę i zawieszam spojrzenie na jej twarzy, na której jestem w stanie wyłapać zrozumienie w czystej postaci. Dziewczyna pomału przytakuje, a potem zwięźle mi odpowiada:

– Pewnie.

Ściągam brwi.

– Pewnie, jakoś ugryziemy ten temat tak, żebyśmy oboje brali udział w tej szopce – stwierdza bez choćby dozy urazy. – Działamy we dwoje, kompletnie nie przywiązałam do tego wagi. Możesz iść nareszcie zatankować, a ja się zastanowię, jak to dobrze rozegrać.

Zadowolony z obrotu sprawy odpowiadam jej krótkim skinieniem. Już chwytam za klamkę drzwi samochodu, gdy nagle obracam głowę i spoglądam ponownie na Carlę. Brunetka ma już w rękach telefon, ale odrywa od niego wzrok, czując na sobie mój.

– Ale tym razem będziesz kombinować krócej niż bite dziesięć godzin? – pytam z uniesionym kącikiem ust, na co moja pasażerka parska pod nosem i zerka sugestynnie za siebie, by mnie ponaglić, bo ktoś właśnie ustawił się za nami.

Wychodzę więc z range rovera i robię to, z czym tak długo zwlekałem. Później płacę przy kasie, przy okazji wędrując myślami gdzieś daleko. Zastanawiam się nad zamiarami Carli. Ona naprawdę chce wyłowić jakieś haki na Chatfieldów. A gdyby udało jej się je zgarnąć... rany. Później mielibyśmy czym wykurzyć ich na dobre z życia Love.

Zasiadam na fotelu kierowcy i od razu odpalam na nowo silnik, nie zwlekając choćby minuty. Później, włączając się do ruchu oraz zgarniając ze schowka okulary przeciwsłoneczne, które zakładam na nos, wsłuchuję się w następną propozycję Carli.

– Więc chcesz, żebym po prostu był na słuchawce? – kwituję i przesuвам spojrzeniem po otaczającej nas pustej i niezmierzonej przestrzeni. Później, nie uzyskując potwierdzenia od dziewczyny, wędruję na dosłownie ułamek sekundy wzrokiem do jej osoby.

– Mam kombinować dalej – bardziej stwierdza niż pyta.

Koncentrując się na jezdni, szybko protestuję:

– Myślę, że to nie jest konieczne.

Reszta trasy przebiega nam już bez wypracowywania żadnych kompromisów. Po upływie niemalże czterech godzin docieramy do zaplanowanego celu. Sparks mieści się bardzo blisko Carson City. To tutaj postanowiliśmy z Carlą zaszyć się w pewnym obskurnym motelu.

– Jak bardzo muszę zagęszczać ruchy? – pyta mnie w przypadkowym momencie dziewczyna, a ja siedząc na jednym z dwóch niechlujnie zaścienionych łóżek i wpatrując się w ubytek w jednej ze ścian, przenoszę wzrok wprost na nią, szykującą się do wyjścia.

– Trochę – uznaję. – Jeśli chcemy wyjść o czasie, masz cztery minuty.

Carla przytakuje i przeczesuje włosy palcami.

– Niech będzie. Podziwiasz nasze luksusowe wnętrza?

Prycham pod nosem, spuszczać wzrok na brudną podłogę.

– Ta, nie miałem do czynienia z podobną ruderą – przyznaję po chwili namysłu. – Ale przynajmniej szanse, że wyhaczy mnie tu ktokolwiek od cholernego Chatfielda, są raczej nikłe – dopowiadam z przekąsem i pochylając się odrobinę do przodu, opieram przedramiona na kolanach. Muszę dmuchać na zimne. Nie paradować po stolicy i narażać się na to, że zostanę dostrzeżony przez kogoś od Aarona.

Wtem Carla opuszcza ręce wzdłuż tułowia i krzyżuje ze mną spojrzenie, w którym odnajduję nieme: *możemy ruszać*. Wzdycham więc, a potem dźwigam się powoli do góry i wkładam ręce do kieszeni skórzanej kurtki, którą odnalazłem wcześniej w bagażniku auta.

– No to do dzieła – rzucam jeszcze cicho.

Carla mruga do mnie porozumiewawczo.

– Jeszcze to my utrzymamy im nosa – zapewnia mnie.

Dziewczyna wychodzi pierwsza z pokoju. Kiedy i ja przechodzę przez jego próg oraz wkraczam na korytarz, zamykam jeszcze drzwi znalezionym w spodniach kluczem. W dalszej kolejności oboje kierujemy się na pobliski parking, gdzie po paru minutach marszu odnajdujemy samochód.

Zajmujemy swoje miejsca. Szybko robi mi się odrobinę cieplej, gdy nawiedza mnie przeczucie, że jestem już naprawdę blisko swojej Love. Na nic nie czekam bardziej niż na to, aż będę mógł w drodze powrotnej do Aspen splatać co pewien czas jej dłoń ze swoją.

Upewniać się, że znowu ją mam.

Wracam do rzeczywistości, kiedy dobiega mnie pełne determinacji westchnienie Carli. Odpalam silnik i w międzyczasie zerkam na nią, wpatrzoną w okropnie prezentujący się budynek motelu. Sprawia wrażenie dobrze nastawionej na dzisiejszy wieczór, gdy stwierdza:

– Wydaje mi się, że wracając tu, będziemy cieszyć się z obrotu sprawy.

– Oby tak było – dorzucam pod nosem.

Wyjeżdżam na główną drogę, która prowadzi w stronę pobliskiej stolicy stanu. Nie muszę pytać, czy Carla będzie mnie nawigować. Sama bowiem zabiera się za wskazywanie mi trasy. Po dłuższym czasie zatrzymuję się w sporej odległości od posesji Chatfieldów i nabieram kilka głębokich wdechów. Chociaż staram się wyrzucić z głowy pewną myśl, przypominam sobie opowieść Love o tym, jak właśnie tutaj przeżyła swoje męczarnie.

Tutaj traciła swoje dziecko, wijąc się w bólu na podłodze.

Przechodzi mnie pierdolony dreszcz. Carla – po tym, jak mówi do mnie kilka słów otuchy – opuszcza samochód i rusza w odpowiednią stronę. Po parunastu sekundach odbieram od niej połączenie. Z komórką przytkniętą do ucha z początku skupiam się na szmerze.

Chcąc nie chcąc, moje myśli zjeżdżają na inny tor, gdy wbijam wzrok w losowy punkt zlokalizowany gdzieś na masce samochodu i zastanawiam się, co po tym wszystkim mógłbym powiedzieć mojej Love. W końcu niedawno byłem jeszcze zdania, że nie znajdzie się ponownie blisko Aarona Chatfielda i swojej rodziny. Tymczasem kilka dni temu zawałem na całej linii i nie zapobiegłem temu, czemu przecież powinienem był zapobiec. Więc co teraz miałbym jej powiedzieć?

Zwykle „schraniłem” i „następnym razem będę bardziej czujny”?

To brzmi tak paskudnie żałośnie, że czuję ścisk gdzieś w gardle. Pocieram palcami skroń, odczuwając znów gniew wobec własnej czujności, która mnie zawiodła. Sądziłem, że mając oko na Love i będąc praktycznie ciągle przy niej, zdołam mieć wszystko pod kontrolą. A później zmierzyłem się z rozczarowaniem, które do tej pory daje mi w kość.

Zakończę w końcu tę farsę, powtarzam sobie uparcie w duchu.

– Gołym okiem widać, że wierzy pan w to, że syn podtrzyma renomę firmy, bez przerwy mówi pan o nim w superlatywach – dobiega mnie nagle głos Carli, na co napinam mięśnie, bo uświadamiam sobie, że namierzyła Milesa Chatfielda, a teraz się wokół niego kręci.

– Jestem przekonany, że Aaron w rzeczy samej ją podtrzyma.

Facet nie brzmi, jakby z wywieszonym jęzorem błagał wręcz o to, by Carla obdarzyła go choćby dozą swojej uwagi. Przynajmniej do pewnego czasu, bo po paru minutach, w trakcie których dyskutują we dwoje, Miles Chatfield pyta swoją rozmówczynię, skąd jest. Carla nieźle mu ściemnia, a on nie jest w stanie jej na tym w żadnym wypadku przyłapać.

W branży deweloperskiej współpracował z ogromem ludzi. Rozpoznawalność jednak w dużej mierze przyniosło mu związanie się z burmistrzem stolicy. Obecnie on i matka Aarona uznawani są za doprawdy słynne, uporządkowane małżeństwo.

Z niesmakiem wsłuchuję się w dalszą wymianę zdań Carli i Chatfielda. Jeszcze większy niesmak ogarnia mnie już chyba tylko wtedy, gdy w pewnym momencie dziewczynie łamie się obcas buta i opada ona niby przypadkiem na ojca Aarona.

Wtedy, poważnie, mam serce w gardle.

Na szczęście Carla wie, kiedy nadchodzi pora, by skończyć tę szopkę. Zanim wychodzi, umawia się z gospodarzem na pojutrze. A ja mam wrażenie, że nerwowy węzeł w moim żołądku poluźnia się, kiedy moja towarzyszka ponownie wsiada do auta z uniesionym kącikiem ust.

– Myślisz, że to był niezły start? – pyta mnie, gdy odpalam silnik.

Nie zastanawiam się długo nad tym, co jej odpowiedzieć:

– Skoro udało ci się z nim umówić, pewnie, że tak. – Wzdycham.

Carla uśmiecha się jeszcze szerzej. Widzę to, zanim pamiętając drogę powrotną, wjeżdżam na ulicę i kieruję się w stronę pobliskiego Sparks. To, czego za to nie wyłapuję, to chwili, w której przez twarz mojej pasażerki przemyka powaga.

– Wychodząc, natknęłam się na Aarona – obwieszcza kobieta.

Spinam się jakby automatycznie. Sens słów Carli wytrąca mnie porządnie z równowagi. Gdy przeczuwam, że mogę sobie na to pozwolić, zerkam na nią sugestywnie przez dosłownie sekundę, dając jej niewerbalny znak, by rozwinęła zaczęty przez siebie wątek.

– Minęłam go akurat, gdy jakiś jego kumpel zapytał go, kiedy zgarnie ze sobą tę dziewczynę, z którą zszedł się po paru latach przerwy – dopowiada Carla. – Tę całą Love.

Uchylam nieco okno i wpuszczam do środka auta podmuchy wiatru. Więc mój trop był właściwy. Aaron maczał palce w tym, że Love rozplynęła się w powietrzu. Zaciskam usta, bo znowu kiełkuje we mnie gniew. Doigra się. Chatfield jeszcze się doigra.

Zatrzymując się na czerwonym, odzyskuję fason.

– Carla? – zagajam nagle, przenosząc wzrok na swoją pasażerkę, która odwzajemnia moje spojrzenie dopiero po tym, jak nasuwa na siebie swoją odnalezioną na tylnych siedzeniach auta szarą bluzę. Wtedy również pomiędzy jej brwiami wykwita pojedyncza zmarszczka.

– Hm? – docieka zaintrygowana.

Na moje *dzięki* dziewczyna unosi nieznacznie kącik ust, a w dalszej kolejności przeciera zmęczoną twarz dłońmi. Ja wtedy skupiam się za to na rozpościerającej się przed maską samochodu drodze i myślę, że naprawdę potrzebuję uporać już się z tym wielgachnym bałaganem.

Potrzebuję wrócić do normalności razem ze swoją Love.

ROZDZIAŁ PIĄTY



RYDER

Znowu przyłapuję się na chęci, by po prostu wparować do budynku, gdzie mieści się siedziba firmy Chatfieldów, odnaleźć tam nowego pana dyrektora i wydobyć z niego adres, pod którym znajdę swoją Love. Zabijam w sobie jednak ten zamiar tak prędko, jak skupiona Carla zajmuje miejsce obok mnie na ławce w jednym z zaciemnionych parków w nudnym, niezaludnionym zbytnio Sparks.

Akurat jej widok przypomina mi o tym, że jesteśmy na dobrej drodze ku temu, by odbić Love w nieco mniej... wariackim stylu. Carla w ostatnim czasie sporo gruchała sobie ze starym Chatfieldem. Aż w końcu nastął wieczór, kiedy mają spotkać się w jednym z jego domów na raczej odludnych obrzeżach stolicy.

– Wiesz, że jeśli jednak się mylisz i nie domkniemy tego dzisiaj, to tak na dobrą sprawę zostaje nam kimanie w samochodzie? – pytam, a potem odwracam się leniwie w stronę siedzącej obok dziewczyny.

Szybko wyłapuję w mroku jej spojrzenie. Jednocześnie wciąż trzymam swobodnie rękę na oparciu parkowej ławki.

– Nie myślę – zarzeka się uparcie Carla. – Wymeldowaliśmy się z tej rudery w porę. Nocleg w Carson City już się nam nie przyda, skoro nareszcie we trójkę obierzemy za moment kierunek „nasze stare Kolorado”.

Przez chwilę trawię w duchu sens słów dziewczyny i naprawdę liczę na to, że przebieg tego wieczora okaże się dla nas pomyślny. A okaże się on dla nas pomyślny, jeśli Carli uda się uśpić starego Chatfielda prozkami na sen. Potem przetrząsnąć jego komórkę i odnaleźć tam wskazówkę, gdzie pomieszkuje Aaron. Gdy już dobrniemy do tego momentu, zostanie nam tylko go wykiwać.

Wciąż wpatruję się w Carlę, ale dopiero kiedy odzyskuję rezon, zauważam na jej twarzy delikatny niesmak. Unoszę brew i natychmiast dociekam, co za nim stoi:

– No dobra, ale czemu się tak krzywisz? Nevada cię jednak kupiła i już za nią tęsknisz?

Dziewczyna zakłada ręce pod biustem i opiera plecy o oparcie ławki.

– W życiu – parska cicho Carla. – Po prostu wizja ślęczenia w tym twoim gracie przez kolejne czternaście godzin jazdy daje mi w kość już teraz. Może jednak skuszę się na jakiś przelot... – zastanawia się na głos, ale gdy tylko z jej kieszeni wybrzmiewa dźwięk telefonu, dziewczyna skupia się wyłącznie na nim. – Andrew – mówi po chwili.

Wzruszam niedbale ramionami.

– Odbierz, póki jeszcze nie jesteśmy zajęci – stwierdzam. – Ja pójdę już do auta.

Po tych słowach wstaję z ławki i ostatni raz spoglądam na Carlę. Dziewczyna kiwa głową w geście zgody i odbiera połączenie od męża, któremu swoją nieobecność od początku tłumaczyła wyjazdem ze znajomymi pod namioty. W dalszej kolejności spełniam swój zamiar. Ruszam do samochodu powolnym krokiem, wtykając dłonie do kieszeni spodni i czując, jak gdzieś we mnie rodzi się obawa.

Obawiam się tego, w jakiej formie będzie Love, kiedy się zobaczymy. Nawet jeśli minęło tylko kilkanaście dni, odkąd ten koszmar się zaczął, on mógł ją już tak bardzo wykończyć. Wsiadam do range rovera i zgarbiony przez chwilę wpatruję się beznamiętnie w swoje buty.

Dam z siebie wszystko, byle tylko wstała na nogi.

Po paru minutach Carla zasiada na miejscu pasażera obok mnie. Mówi coś żywo, co pewnie dotyczy Andrew, ale nie koncentruję na tym specjalnie uwagi. Zamiast tego odlatuję myślami gdzie indziej i wyjeżdżam na ulice miasta.

Kiedy tylko wybija dziewiąta wieczorem, docieramy do celu. W okolicę, w której znajduje się jeden

z kilku domów Chatfielda. Wyciągam kluczyki ze stacyjki i najpierw przeczesuję wzrokiem najbliższe otoczenie. Pograżone jest ono w ciemnościach. Tylko parę osób przechadza się ulicą również ze względu na to, że pogoda w ciągu ostatnich godzin wyraźnie się popszała. Na zewnątrz pada mżawka.

Odwracam głowę w stronę Carli, której twarz oblewa niewyraźne światło latarni, pod którą stoi zaparkowany samochód. Dziewczyna sprawia wrażenie odprężonej, jakby następne spotkanie z Chatfieldem było dla niej tylko punktem do odhaczenia.

Zresztą słowa, które wypowiada, jedynie to potwierdzają:

– Myślę, że to nie będzie nic trudnego – stwierdza. – Mam to, co trzeba. Pamiętam kod do jego komórki. W razie jeśli nie znajdę w wiadomościach z Aaronem śladu, gdzie mógłby teraz zabawiać, puszcze do niego jakąś zupełnie nową, która zabrzmi w miarę naturalnie – kończąc mówić, dziewczyna przeczesuje palcami u nasady swoje gęste włosy.

Przytakuję, od razu się z nią zgadzając.

– Gdyby coś, będę trzymał rękę na pulsie – zapewniam ją jeszcze.

– Pewnie – rzuca krótko Carla, a po chwili udaje jej się wygramolić z pasów bezpieczeństwa oraz zwlec z fotela pasażera i wyruszyć do celu. A ja wtedy przez długą chwilę wpatruję się w puste miejsce, na które pada poświata ulicznej lampy. Naprawdę liczę, że jeszcze dzisiaj zasiądzie na nim moja Love.

Moja Love, bez której po prostu sobie nie radzę.

Przygaszony odbieram połączenie od Carli, która zdążyła już znaleźć się na położonej całkiem niezły kawał od ulicy posesji. W dalszej kolejności przytykam komórkę do ucha i po tym, jak jeszcze zakładam z ociągnięciem kaptur czarnej bluzy na głowę, skupiam się na stłumionym odrobinę hałasie.

Chatfield, jak zwykł już to robić, i tym razem chwali atuty Carli. A gdy po dłuższym czasie trwania gadki na temat okolicy wyciąga skądś alkohol, ja uświadamiam sobie, że to idealna okazja ku temu, by moja dobra znajoma mogła postarać się o to, aby pana byłego dyrektora ścięły prochy na sen. Carla wcale się nie myliła. Ta akcja to pestka. Przebiega tak, jak to sobie obmyśleliśmy.

Szlag, jak dobrze.

– Cóż, ktoś tu jest już raczej w innym wymiarze – słysząc nagle słowa rozbawionej Carli rozbrzmiewające przy uchu, czuję, jakby ktoś na powrót pozwolił odetchnąć mi pełną piersią. Skupiony na kroplach deszczu rozbryzgujących się na przedniej szybie auta upewniam się przezornie:

– To naprawdę przeszło? Nic go nie ruszy?

Dziewczyna odpowiada mi wręcz w błyskawicznym tempie.

– Otóż, mój drogi, nie – stwierdza z przekonaniem, zanim zasiada zapewne na jakimś fotelu. – To chyba dobra pora, by trochę powęszyć. Odezwę się od razu, jak przetrząsnę wszystko, co zamierzam, okej? – pyta mnie jeszcze.

– Dobra – wzdycham pod nosem, a potem po cichu i naprawdę strasznie mocno zaczynam liczyć na to, że Carla bez trudu wynajdzie tę jedną przekłętą informację.

Dzisiejszy wieczór musi okazać się tym przełomowym. Musimy nareszcie wyrwać Love z łapsk Aarona Chatfielda. Sama myśl o tym sprawia, że zaczynam wiercić się na swoim miejscu. Tak bardzo potrzebuję, by to się już wydarzyło.

Potrzebuję mieć ją przy sobie.

Odchylam głowę i wlepiam wzrok w sufit samochodu. Oby Carla natknęła się na coś jeszcze. Coś, co pozwoli nam wykreślić tego skurwiela z życia Love na dobre. A chętnie posłużyłbym się do tego jakimś perfidnym szantażem.

Z chwilą, kiedy jednak ponownie prostuję się na fotelu i omiatam wzrokiem najbliższą przestrzeń, wychytuję spojrzeniem pewien szczegół. Auto zatrzymujące się nieopodal. W błyskawicznym tempie zalewa mnie dziwne zamroczenie, kiedy odnajduję w pamięci wspomnienie mordy młodego Chatfielda, o którym znalazłem kilka artykułów, będąc jeszcze w Aspen.

Kurwa mać. Przecież to on przypałał się w tę okolicę.

Przecieram w pośpiechu usta wierzchnią częścią dłoni. Nie umiem utrzymać w ryzach gniewu, który jedynie we mnie narasta i narasta. Nie umiem utrzymać w ryzach chęci, by wypaść z samochodu, wytargać go z jego własnego, a potem zaryć jego łbem o chodnik. Wtem jednak coś do mnie dociera. Moje i Carli zamiary. One mogą spełznąć za krótką chwilę na okrągłym niczym.

Mogą spełznąć na niczym, jeśli Aaron wparuje do domu.

Wciągam potężną dawkę powietrza do płuc. Studzę całą swoją złość z wielgachnym trudem. Muszę myśleć zdroworozsądkowo. Nawet jeśli najbardziej na świecie chciałbym zgnieść tego skurwiela na jebaną miazgę, muszę chłodno kalkulować. Odrywam telefon od ucha. Śledzę wzrokiem jego podświetlony ekran. Wiedząc, że Carla mnie teraz nie usłyszy, w pośpiechu rozłączam połączenie i wykonuję kolejne.

– Aaron – mówię naprędce, gdy odbiera. – Przypałał się tutaj.

Dziewczyna natychmiast podrywa się ze swojego miejsca. Słyszę to bardzo dobrze, tak samo, jak dobrze słyszę pobrzmiwający w jej głosie szok, gdy wykrztusza z siebie w równie szybkim tempie kilka słów.

– Słucham? – dziwi się. – Nie może się tu w żaden sposób wślizgnąć, Ryder.

Zaciskam usta w bardzo wąską kreskę. Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć w to, że jestem w stanie nie trawić tego gnoja jeszcze bardziej. A jednak jestem, bo teraz, gdy ten znowu krzyżuje nam plany, moja samokontrola nagle ze mnie ulatuje.

Obserwuję go z daleka, jak zagląda w ekran swojego telefonu.

– Nie znalazłaś jeszcze adresu? – pytam nerwowo Carlę.

– Znalazłam – zaprzecza od razu dziewczyna. – Ale on i tak nie może mi się teraz wpakować w paradę. Poważnie, przetrzymaj go tam jakkolwiek – nalega, na co kręcę głową, bo nie mogę odnaleźć w głowie sensownego wyjścia z tej farsy.

Mój mózg naprawdę pracuje na porządnym obrotach.

– Jeśli to zrobię, będzie wiedział, z kim ma do czynienia – rzucam słusznie. – A jak ogarnie, że krzątam się po stolicy, z marszu zadzwoni do Portera, żeby przeniósł się z Love gdzie indziej. Wtedy nie przyda nam się już adres, który masz. Wszystko pójdzie w łeb, Carla – kontruje, nieprzerwanie pilnując spojrzeniem Chatfielda, który stoi już na chodniku obok swojego auta.

Słyszę, jak dziewczyna krąży nerwowo po pomieszczeniu.

– Niech trybiki w tej twojej psychologicznej główce popracują – upiera się.

Przymykam powieki i od razu je uchylam, czując jeszcze większy niepokój.

– Pracują, kurwa, jak szalone – zapewniam ją, a potem dobywam między palce wolnej ręki klamkę od drzwi samochodu i pytam natychmiast: – Mam go dorwać po drodze? No i co będzie później, jak już go będę przetrzymywał? Skoro nie będę mógł spuścić go z oka, by przypadkiem nikomu nie dał cynku, że coś jest nie tak, kto wsiądzie w auto i ruszy po Love? – wydecham prędko.

Oczami wyobraźni widzę, jak Carla marszczy w zastanowieniu czoło.

– To moja działka – stwierdza zdecydowanie. – Podrzucić mi tylko kluczyki pod tylne drzwi, to nimi będę wychodzić – objaśnia, a ja już o nic więcej nie dopytuję.

Nawet jeśli Carla miałyby rzeczywiście jechać za jakiś czas po Love w pojedynkę, to myślę, że się ze wszystkim upora, choćby miała natknąć się na kogoś pokroju Gavina Portera towarzyszącego swojej siostrze.

Spoglądam znowu na Aarona. Ten maszeruje chodnikiem.

Sam wyłaniam się z auta i po dopytaniu jeszcze Carli o kilka szczegółów ruszam za Chatfieldem. Wciskam komórkę do kieszeni. Parę kropel deszczu spada mi na twarz, a ja idę pomału do przodu, w stronę wielgachnej posesji, w której dole mieści się średniej wielkości dom. Aaron otwiera furtkę i zmierza bez pośpiechu w kierunku budynku.

Pędzę za jego cieniem, bo zewsząd otacza mnie już tylko gęsta ciemność. Ręce świerzbią mnie niemiłosiernie. Świerzbią mnie jeszcze bardziej, kiedy gdzieś we mnie odzywa się wiedza o tym, jak ten skurwieli kiedyś traktował Love.

On naprawdę się doigra.

Najpierw namierzam wzrokiem tylne wejście do domu. Zostawiam pod drzwiami kluczyki do range rovera wedle umowy z Carlą. Potem okrążam budynek i obserwuję, jak Aaron ściąga w niezrozumieniu brwi. W końcu od dłuższej chwili nikt nie otwiera mu drzwi, a w środku ewidentnie ktoś przebywa. Jest porządnie zbity z tropu.

A ja jestem porządnie nakręcony. Gniew, który się we mnie kumuluje, jest silny oraz nieustępliwy. Sprawia, że naprawdę mam ochotę pobrudzić sobie ręce.

Nie myśląc już dłużej, zbliżam się bezszelestnie do Chatfielda. Zamykam w mocnym chwycie ręki jego kark i bez choćby minimalnego wysiłku rzucam nim o ścianę domu. Aaron przywiera plecami do powierzchni. Błyskawicznie wyłapuje w ciemnościach moje spojrzenie.

Zaraz potem kręci leniwie głową i wypluwa drwiąco:

– A niech mnie, kto to taki mi się tu napatoczył? – mówi to kąśliwie, jakby był co najmniej pewien, że za krótki moment z opresji wydobędzie go tatulek.

Taksuję go baczным wzrokiem z miną bez wyrazu przez dobre kilkanaście następnych sekund. W dalszej kolejności zbliżam się do chłopaka w dwóch aż przesadnie leniwych krokach. Przystaję w miejscu dopiero, gdy czubki naszych butów się ze sobą stykają, i zwiężam złowróźnie oczy, kontrując wolno oraz cicho:

– Polecałbym ci się jednak nie zgrywać, Panie Ironisto.

Chatfield pozostaje z pozoru kompletnie zrelaksowany. Zupełnie jakby nie tkwił w naprawdę patowej sytuacji, kiedy stoję nad nim i mam w głowie wiele powalonych sposobów, na jakie mógłbym odwdziaczyć mu się za tę całą szopkę, którą zorganizował. Wtem chwytam w całą swoją dłoń jego mordę. Jestem zimny i nieprzejęty, kiedy patrzę na niego z góry.

– A zacząć współpracować i wyrecytować mi bardzo wyraźnie z pamięci adres, gdzie się na *nią* natknę – dorzucam, kładąc nacisk na każde wypowiedziane przez siebie słowo.

Aaron wypuszcza oddech z płuc, a później zadziera brodę.

– Poważnie pofatygowałeś się po nią aż tutaj? Po ten cień człowieka? – pyta niezmiennie odprężony, a jego ton głosu podszyty jest nieskrywanym i czystym zadowoleniem. Ja za to zamieram. Zamieram, lecz nie pozwalam, by choćby najmniejsza emocja wykwitła mi na twarzy. Pozostaję nieczytelny. Pozostaję zawzięty. Ale również pełen obaw.

– Jaki cień człowieka? – pytam ciszej, jakby samego siebie, na moment nieruchomiejąc i czując się tak, jakby ktoś wyżłobił dziurę w moim sercu. – Co ty bredzisz?

Moja Love. Czy on wykończył moją Love?

– Przecież ma zostać żoną dyrektora, musiałem ją sobie znowu wytresować, by była potulna – prycha Aaron, jak gdyby nigdy nic. – W zasadzie... wróciliśmy po prostu do punktu wyjścia. Do tego, co łączyło nas, zanim związała do innego stanu – mówiąc to, Chatfield przekrzywia głowę, a kąciki jego ust wyginają się w złowieszczym uśmiechu.

Zsuwam pomalą rękę na kołnierz jego koszuli. Niepokój dokucza mi coraz bardziej. Bo wiem, że ten sukinsyn po raz kolejny wyrządził krzywdę Love. Po raz kolejny wyrządził jej tak ogromną krzywdę, gnębiąc ją i niby pilnując, by działała już tylko pod jego dyktando.

Błądząc rozgorączkowanym spojrzeniem po jego twarzy.

– Bo pewnie wiesz, co łączyło nas, zanim związała do innego stanu? – ciągnie wciąż wyluzowany chłopak, a mnie jedynie mocniej mierzi ten jego spokój. – Wiesz, że przepadałem za sterowaniem nią. Za widokiem jak ryczy. Tak, właśnie za tym przepadałem.

Nie trzymam w ryzach pewnego zamiaru, który rodzi się we mnie zupełnie nagle. Chowam w dłoń jego twarz i uderzam jego łbem o elewację domu z całą parą w rękach. Z jego ust ucieka zdławiony świst. A potem jeszcze jeden, bo powtarzam ruch. Gdy opuszczam ręce wzdłuż tułowia i wycofuję się nieznacznie, dyszę, jakbym miał za sobą maraton.

– Jesteś jebanym zerem... – wypluwam z odrazą, a gniew rozlewa się we mnie niczym ogromna fala. – Musiałeś wysłać swojego parobka do Aspen, żeby ci ją tutaj przywiózł, bo sama znowu już by się za tobą nie obejrzała – cedzę zajadle.

Aaron jeszcze przez chwilę walczy z otepieniem po spotkaniu z elewacją. Wciąż jednak wydaje się w równym stopniu zadowolony jak wcześniej, kiedy opiera się plecami o ścianę. A taki stan rzeczy mnie rozjusza. Coraz bardziej rozjusza i rozjusza.

– Na razie to ty jesteś w martwym punkcie, bo nie masz pojęcia, dokąd ruszyć. – Chatfield parska szyderczym śmiechem, który działa na mnie jak czerwona płachta na cholernego byka, bo już dłużej nie mogę utrzymać na uwięzi ochoty, by dzielić go po mordzie.

Aaron nie ma pola manewru. A ja uderzam go pięścią raz za razem, nawet jeśli dobiega mnie już swąd krwi i jego zdławione próby wyartykułowania czegokolwiek. Walę, ile wlezie, pamiętając o wszystkim tym, co miał i ma za uszami ten śmieć. Aż w pewnym momencie zastygam w bezruchu z podskakującą rytmicznie pierśią oraz zwiężonymi zaciekłe oczami.

– Przekonasz się, że jednak je mam, kiedy ogarniesz, że to ja dla odmiany ci ją zwinąłem – odpowiadam mu zawzięcie, dbając, by moje słowa rozbrzmiały przy jego uchu. – Ale zanim to zrobię,

musisz wiedzieć, że ci nie popuszczę, Aaron.

Robię pół kroku w tył. Gapię się na niego skrupulatnie, z miną, która niewiele wyraża. Nawet jeśli Chatfield prezentuje się już mizernie z obitą twarzą, rwę się do tego, by zaoferować mu od razu raptowne kopnięcie. Stęk Aarona wypełnia przestrzeń. On sam już nie jest w żadnym wypadku rozluźniony. Znosi jeszcze przez moment następne kopnięcia, aż łąduje na podeście przed drzwiami, zupełnie zmaltretowany. Słyszę, jak niewyraźnie charczy.

Od razu zniżam się do jego poziomu i wyławiam z jego kieszeni komórkę. Dobywając przedmiot w dłoń, uzmysławiam sobie, że moje dłonie są oblepione lepka posoką. Spluwam na trawnik i wracam spojrzeniem do Aarona, chłonąc łapczywe wdechy.

– Spróbuj powtórzyć akcję sprzed kilkunastu dni, a znowu cię dorwę – rzucam zażarcie, pomału podnosząc się do pionu i dorzucając przy tym: – Masz uznać, że Porter jest ci kompletnie obca tak, jakbyście kiedyś wcale nie mieli ze sobą styczności, rozumiesz mnie?

Zaciągam się rześkim powietrzem. W dalszej kolejności nie obdarzając go już choćby przelotnym łypnięciem, obracam się na pięcie i wyciągam z kieszeni swój telefon. Natychmiast dzwonię do Carli, wiedząc, że Aaronowi nie uda się zwlec z podestu.

– Ryder? – słyszę przy uchu głos dziewczyny. – Dopiero biegnę do auta.

Momentalnie zrywam się do truchtu, przytykając mocniej telefon do policzka.

– W takim razie nie odjeżdżaj – wydycham. – Spotkamy się tam za parę minut.

Oczami wyobraźni widzę, jak Carla marszczy brwi.

– A co z Aaronem? – pyta zdezorientowana.

– Nikomu nie powtórz, że kręcę się po stolicy – zapewniam ją, a później szarpnię furtką i przemykam przez wydeptaną ścieżkę aż do ulicy, nie koncentrując dłużej uwagi wokół słów dziewczyny, która, jak się okazuje, stoi już przy zaparkowanym na chodniku aucie.

Kiedy Carla mnie zauważa, rozchyła delikatnie usta. No tak. Pobrudziłem się.

– Zgarnęłaś kluczyki? – pytam i dobywam je w dłoń od razu, kiedy brunetka wystawia je w moją stronę. Oboje wsiadamy do samochodu, zajmując swoje miejsca. – Wstukasz adres w nawigację? – dodaję jeszcze, przelotnie zerkając na Carłę, która już to robi.

Po parunastu sekundach odpalam silnik i włączam się do ruchu. Myślę o tym, że skoro Aaron nie przebywa teraz z Love, najpewniej jest z nią jej brat. Ścieram przegubem ręki pot ze skroni i nabieram wdech. Osiedle, do którego docieramy z Carłą, wydaje się zaciszne.

Zatrzymuję się na kawałku chodnika. Następnie wysiadam z auta, a po mnie dziewczyna. Szum deszczu towarzyszy nam, kiedy idziemy w stronę, gdzie powinien znajdować się odpowiedni dom. Przechodzi mnie prąd, gdy tylko namierzam go spojrzeniem.

– Zamierzamy tam wparować? – pytam Carli, która automatycznie kręci głową.

– W domu rzucił mi się w oczy jeden chłopak, więc zadzwonię dzwonkiem i zapytam, czy nie pomógłby mi z namolnym gnojem, który się mnie uczeplił – mówi bez zająknięcia dziewczyna. – Ty spróbuj dostać się do środka i przetrząsnąć chatę.

Przytakuję. Gdy mam pewność, że Carla już działa, wślizguję się na pograżoną w ciemnościach posesję. Strugi potu spływają mi po plecach, kiedy okrążam budynek, a potem wspinam się po stopniach schodów na taras. Popycham do przodu otwarte okno. Odgarniam zasłony i wkraczam do salonu, gdzie pali się tylko jedna stojąca w rogu pokoju lampa.

A później natrafiam spojrzeniem na zgarbioną, siedzącą na kanapie Love. Pełen czystej ulgi, nie zwlekam choćby sekundy. Wkradam się w pośpiechu do pomieszczenia, potrzebując zamknąć ją w ramionach. Złożyć czułe muśnięcie gdzieś w jej włosach. Zakołysać nią delikatnie i wyszeptać jej kilka słów otuchy.

Ale wtedy dziewczyna podrywa pomału głowę. To boli. Widok smutku, który czai się w jej brązowych oczach tak bardzo mnie boli, że moje od razu zaczynają niemilośnie piec. Love podnosi się mozolnie do pionu. A ja zbliżam się do niej prędko i zamykam w szczelnym uścisku dłoni jej policzki i rozsypane po nich czarne pasma.

– Boże jedyny, Love – wydycham z udręką, kręcąc głową.

Proszę, nie patrz na mnie bez żadnych słów. Nie patrz.

Love rozchyła nieznacznie usta. Po chwili je jednak zamyka, a przygnębienie, które od niej bije, teraz

wydaje się już po prostu namacalne. Odgarniam kciukami kosmyki z jej twarzy. Robię to ostrożnie, jakby miała za moment rozlecieć się w najdrobniejszy mak.

– Oni tak strasznie cię oczerniali – mówi łamliwym głosem, a później ciągnie z trudem: – Twierdzili, że nawet nie chce ci się za mną gonić i na pewno zostawisz mnie tutaj samą sobie.

Obserwuję ją z góry z niemym protestem. Z tak silnym niemym protestem.

– Nie mógłbym – zaprzeczam pewny swoich słów. – Nie, naprawdę nie.

Wykrzywiam usta, gdy Love nie hamuje własnych łez. Czuję ich ślad pod palcami, zanim dziewczyna zsuwa moje ręce ze swojej twarzy i odwraca na chwilę głowę przez ramię. Później na powrót odwzajemnia moje spojrzenie, oplatając dłońmi rozdygotane ramiona.

– Wiedziałam, że to wszystko było jedną wielką bzdurą – wydycha szeptem.

Obejmuję dłonią tył jej głowy i przyciągam jej twarz do swojej piersi. Słyszę, jak Love nabiera cichutki wdech. Zaraz potem kompletnie się rozkleja, a jej szloch tłumi moja skórzana kurtka, do której dziewczyna przywiera całą sobą. Przełykam powoli. To mnie rujnuje. Stan, w którym w tej sekundzie tkwi Love, kompletnie mnie rujnuje.

– Skarbie, na nas już pora – zagajam nagle cicho.

Wtem moja ukochana wycofuje się na niewielką odległość. Zaczyna śledzić zbolalym spojrzeniem moją twarz, a z jej ust wypada zdławiony, pełen dziwnego rozdarcia jęk. Zaalarmowany odruchowo się prostuję i przebiegam knykciami po jej boku.

– Kiedy nie mogę ci tego zrobić, Ryder – mówi załamana. – Nie mogę.

Niepokój chyba rozsadza mnie od środka, kiedy dobiega mnie sens słów mojej Love. Jest zupełnie rozstrojona. Znowu przebiegam uspokajająco opuszkami palców po jej talii. Ale to nie daje ani grama rezultatu, bo ona przeżywa coś tak samo mocno.

– Gdy się stąd wyrwę, Aaron zrobi ci świństwo – wyrzuca z siebie rozbita. – On wie, że byłam twoją pacjentką, zna naszą sytuację. Gdyby ją rozpowiedział, strasznie by ci zaszkodził, a ja nie chcę, żebyś przeze mnie tracił dobre imię, rozumiesz? – Kiedy to mówi, Love jeszcze bardziej się ode mnie odsuwa, robiąc parę kroków w tył.

Wciąż cicho płacze. Patrzy na mnie i nie ucieka spojrzeniem od mojej twarzy, jakby spodziewała się, że akurat w tej sekundzie zobaczy na niej zniechęcenie. Zobaczy na niej dezaprobatę. Zobaczy na niej oznakę, że nadszedł moment, kiedy mówię pas i odpuszczam.

Ale zamiast tego ponownie się do niej zbliżam i wmuszam w jej usta pocałunek. Krótki oraz zdecydowany. Love wypuszcza nieznacznym, zrezygnowanym jękem i zagląda mi w oczy. Przez chwilę patrzy w nie, podczas gdy ja ciężko oddycham.

– Widziałaś, żeby za jego wersją stały jakieś dowody? – pytam, a kiedy moja ukochana milczy, dodaję: – On nie jest wcale taki przebiegły. Po prostu ich nie ma. Skoro tak jest, moje dobre imię będzie miało się świetnie – zapewniam ją, ale ona wciąż jest załamana.

– Ryder... – zaczyna niewyraźnie, patrząc na mnie szklistymi oczami.

Wyteżam słuch. Upewniam się, że wciąż jesteśmy sami.

– Nie zdręczaj się tym – proszę miękko tonem. – W porządku?

Love opuszcza ręce w dół, wciąż tocząc batalię z samą sobą. Jest wycieńczona. Kompletnie wycieńczona. Widzę to w jej spojrzeniu, które pozostaje skoncentrowane wyłącznie na mnie. We łzach, które kreślą długie ślady na jej policzkach.

– Nie chcę, żeby coś związanego ze mną rzuciło cień na twoją pracę – mówi szeptem, a jej upór jest dla mnie naprawdę trudny do odparcia. Kładę dłonie na jej ramionach i utrzymuję z nią ciągły kontakt wzrokowy. Staram się, by było ode mnie opanowanie. Wyłącznie ono.

– Nie rzuci – przekonuję ją łagodnie. – Jestem pewny, że tak się nie stanie.

Niemalże czuję na własnej skórze jej niezdecydowanie, które jednak mam wrażenie, że z każdą chwilą nieco słabnie. Love śledzi spojrzeniem mimikę mojej twarzy. Uparcie poszukuje na niej śladu zawahania czy zwątpienia, którego nie trzymam w sobie choćby doży.

– Pójdiesz ze mną, Love? – pytam po krótkiej chwili.

Czekam naprawdę długo na niepewne skinienie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY



LOVE

Pierwszym, co rejestruję po przebudzeniu, jest szum niewiadomego pochodzenia. Uchylam dotychczas przymknięte powieki i orientuję się, że dochodzi on ze znajdującej się nieopodal ulicy, a do range rovera wpada przez szybę uchyloną od strony kierowcy. Z cichym westchnieniem prostuję się na fotelu pasażera i rozglądam wokoło. Gdzieś we mnie kiełkuje spokój, gdy tylko dostrzegam opartego o tylne drzwi auta Rydera.

Niewiele myśląc, otwieram swoje i wychodzę na zewnątrz. Podeszwy moich tramppek grzęzną w błocie, kiedy ruszam w stronę mężczyzny, oplatając dłońmi ramiona i nieprzerwanie omiatając wzrokiem najbliższą okolicę. Szybko dociera do mnie, że zjechaliśmy na jakąś ścieżkę znajdującą się niedaleko głównej drogi, otoczoną gęsto rosnącym lasem. Jest tu straszliwie mgliście i upiornie. Aż czuję, jak przez tę mroczną aurę ogarnia mnie gęsia skórka.

– Gdzie Carla? – pytam cicho, zwracając na siebie uwagę Rydera, który dopiero teraz zauważa, że znalazłam się obok niego.

Zanim zdąży mi odpowiedzieć, zbliżam się jeszcze bardziej i również opieram o karoserię samochodu tak, że stykamy się ramionami.

– Gdy spałaś, odwoziłem ją na lotnisko w Provo – tłumaczy mężczyzna i po tym, jak upija łyk, założy się, że już zimnej kawy, odkłada ją na dach auta, by móc objąć mnie szczelnie ramieniem i przyciągnąć mocno do swojego boku.

Unoszę nieśmiało kącik ust, wtulając się w jego tors. Nie mogę powstrzymać cichego pomruku, gdy bliskość Rydera i ciepło, jakie od niego bije, stają się aż zbyt przytłaczające. Tego potrzebowałam po tych kilkunastu koszmarnych dniach. Dokładnie tego.

– Jesteśmy więc w Provo? – dopytuję.

– Niedaleko. Za mniej więcej sześć godzin dotrzemy do Aspen, jeśli ruszymy stąd zaraz.

Podrywam zatroskana głowę.

– Nie wyglądasz, jakbyś był w formie. Możemy się tu na trochę zatrzymać? Kilka godzin snu postawiłoby cię na nogi, wiesz? – mówiąc to, wyciągam powoli dłoń i przesuwam nią po pokrytym nieco dłuższym niż zazwyczaj zarostem policzku mężczyzny.

Wygląda marnie z sińcami odznaczającymi się pod oczami i przygasłym spojrzeniem. Ryder wypuszcza powietrze pomiędzy nieznacznie rozchylnych ust, a powolne tempo, w jakim to robi, podpowiada mi jedynie, że jest skrajnie wycieńczony.

Ten widok naprawdę mnie smuci. Bardzo smuci.

– Wolałbym raczej ruszyć w dalszą trasę – odpowiada mi szczerze Ryder, badając skrupulatnym spojrzeniem całą moją twarz. W czasie gdy to robi, ja głaszczę wciąż dłonią jego policzek i myślę, że muszę go jakoś odwieść od zamiaru, by wyjechać stąd od razu.

– Gdybyśmy tu na chwilę zostali, mógłbyś nareszcie odpocząć – przekonuję go szeptem. – A ja mogłabym wrócić do czegoś, czego tak strasznie brakowało mi przez tych kilkanaście okropnych dni – kończę i opuszczam rękę, wciąż utrzymując kontakt wzrokowy z Ryderem.

Wtem mężczyzna odbija się mozolnie od karoserii samochodu i w leniwym tempie obejmuje swoją dużą dłonią tył mojej głowy. Jednocześnie góruje nade mną potężną posturą i rozchyła nieco usta, gdy pyta zwięźle oraz naprawdę dociekliwie:

– Do czego chciałabyś wrócić, Love?

Mrugam powoli, zaglądając mu głębiej w oczy.

– Do wsłuchiwania się w szeptane przez ciebie, zanim zasnę „jestem przy tobie” – odpowiadam od razu, a w chwili, kiedy się na to zdobywam, Ryder wdziera się ostrożnie skostniałymi palcami dłoni w pasma moich ciemnych włosów. Głaska nimi czule tył mojej głowy i ani na sekundę nie przestaje oferować mi całej swojej uwagi.

Przez chwilę zwyczajnie milczymy. Choćby jedno słowo nie zawisa w tej niedużej przestrzeni pomiędzy naszymi twarzami, zwróconymi ku sobie. Aż w końcu mężczyzna nachyla się nad moimi ustami. Przenosi spojrzenie to na nie, to na moje oczy.

– Nic nie uległo zmianie – mówi z pewnego rodzaju pogodzeniem.

Ściągam delikatnie brwi, odrobinę zdezorientowana.

– To znaczy?

– To znaczy, że nadal bez większego trudu potrafisz mnie podejść, skarbie – przyznaje Ryder, ale kiedy to robi, nie brzmi wcale, jakby taki stan rzeczy strasznie mu nie pasował. Nie brzmi tak nawet kiedy dorzuca jeszcze dla jasności: – Zostaniemy tu na trochę.

Uśmieślona kiwam pomału głową. Wtedy też słyszę w uszach kolejny powiew wzbierającego nieustannie wiatru. Odczuwając panujący na zewnątrz o tej porze chłód, instynktownie przywieram całą sobą do Rydera. Policzek kładę na jego twardej piersi skrytej pod materiałem czarnej skórzanej kurtki, a rękami obejmuję go szczelnie w pasie.

– A potem, już w Aspen? – ciągnę spokojnie. – Co będziemy robić?

Mężczyzna przez dłuższy moment rozmyśla nad moim pytaniem.

– W pierwszej kolejności wrócimy do naszej normalności – zaczyna, a w jego głosie pobrzmiewa ledwie wyczuwalne rozbawienie, kiedy kontynuuje: – Będziemy wydzierać się na siebie przez ten zdecydowanie zbyt niski płót i doprowadzać do szału.

Śmieję się cicho i przytulam do niego jeszcze mocniej.

– Jeszcze pożałujesz, że wystrześliłeś z podobną propozycją – stwierdzam wesoło.

– A co? – docieka kpiąco Ryder. – Będziesz niby jeszcze gorsza, niż byłaś zwykle?

Odsuwam się nieznacznie tylko po to, by móc znowu skrzyżować z nim spojrzenie. Mężczyzna wpatruje się we mnie z zarówno uniesioną brwią, jak i uniesionym kącikiem ust. Jednocześnie przenosi swoje silne ręce na moje boki. Podczas gdy to robi, udaję, że zaciekle nad czymś myślę. Po krótkiej chwili wypalam pełnym zastanowienia tonem:

– Może strzelę ci czymś. Z procy. W okno.

Ryder słysząc to, natychmiast poważnieje.

– Porter, nie przesadzaj – rzuca karcąco.

Zaciskam usta, byle tylko nie parsknąć śmiechem.

– Mówiąc o *czymś* miałam na myśli jedynie jakiś liścik miłosny, mój ty bohaterze – dodaję z wręcz przesadną wdzięcznością i kładę ręce na jego szerokiej piersi. – Już tak na mnie nie patrz, okej? Przecież chciałam ci tylko ładnie podziękować za uratowanie mnie z opresji.

Brunet wznosi spojrzenie ku szarawemu niebu. Chyba nie do końca wierzy, że jego okno nie podzieli losu biednej opony. Nagle zerka sugestywnie na zaparkowanego range rovera.

– Po prostu wsiadaj już do samochodu – poleca mi, po czym wzdycha.

– Nie lubisz takich podchodów? – ciągnę, a kiedy nie otrzymuję odpowiedzi, wzruszam ramionami i dorzucam radośnie: – W takim razie mogę upiec ci ciasto w akcie wdzięczności.

Powagę na twarzy Rydera dość szybko zastępuje kpina.

– Nie rób tego. Chcę mieć swoją połowę dachu nad głową. Pożar poważnie nie byłby mi na rękę – docina mi, zanim zabiera dłonie z mojej talii i chowa je w kieszeniach skórzanej kurtki. Ja również opuszczam ręce wzdłuż tułowia, prychnąwszy wymownie.

– Ach tak? A mnie akurat byłby on na rękę. Strażacy są z reguły strasznie, strasznie przystojni. No i wydaje mi się, że na pewno są nieco bardziej wdzięczni niż na przykład, załóżmy, nie wiem, jacyś piekielnie gburowaci, nadęci panowie psychologowie.

Mężczyzna mruży oczy, zanim upomina mnie markotnie:

– Nie zapędzaj się i wsiadaj już.

Szach i mat, zazdrośniku.

Patrząc, jak posępny Ryder chwyta za klamkę tylnych drzwi, by je przede mną otworzyć. Niewiele

myśląc, podchodzę do niego, chwytam jego policzek w dłoń, a w drugi całuję go naprawdę mocno, po czym szeptam mu do ucha, że „strażacy jednak nie są wcale przystojni”.

Dopiero potem okrążam auto i wsiadam do niego, tyle że od drugiej strony. Brunet idzie w moje ślady i również zajmuje swój fotel. Po niecałych kilkunastu sekundach leżę już skulona z policzkiem opartym o jego kolana i ze wzrokiem wbitym przed siebie. Myślę wtedy, że już od dłuższego czasu nikt nie obchodził się ze mną tak czule i troskliwie, jak mój Ryder.

Jak on, kiedy zaczyna bawić się pasmami moich włosów oraz pyta szeptem:

– Jest ci bardzo niewygodnie?

– Jest znośnie – stwierdzam od razu, czując ciężar uważnego spojrzenia mężczyzny przesuwający się po części mojej twarzy, którą ma na widoku. Po tym, jak podkładałem rękę pod policzek, słyszę jeszcze, jak krople deszczu rozbryzgują się na szybach samochodu.

– Ale nie marzniesz? – dopytuje Ryder.

– Naprawdę nie – protestuję.

Palec wskazujący mężczyzny przebiega po mojej skroni. Jednocześnie odgarnia mi z niej kosmyk włosów w naprawdę ostrożny sposób. Przymykam powieki i po upływie paru sekund na powrót je uchylam, gdy wtem coś sobie przypominam. Coś, co dokuczało mi przez naprawdę długi czas i co stale wpędzało mnie w ten sam okropny smutek.

– A jednak trochę mi tu drżysz – zauważa Ryder, lecz kiedy to mówi, nie brzmi wcale natarczywie. Nie brzmi tak, jakby srogo wymagał, bym wyśpiewała mu, dlaczego przed momentem się wzdrygnęłam. Mimo to i tak zamierzam mu o tym powiedzieć.

Wypuszczam tchnienie, wpatrując się w ciemności spowijające samochód.

– Tylko przypomniałam sobie, jak bardzo jeszcze niedawno przerażała mnie pewna myśl – zaczynam i mimowolnie wykrzywiam nieznacznie usta. Ryder wciąż przebiega czule opuszkami palców po mojej skroni, mknąc nimi w dół, do policzka.

– Jaka? – pyta cicho, skoncentrowany tylko na mnie.

Biorę krótki wdech nosem, zbierając się do kupy. Zajmuje mi to pewnie niecałą minutę, w trakcie której siedzimy w bezruchu w sporych rozmiarów samochodzie, gdzieś niedaleko głównej drogi, z której dochodzący, stłumiony nieco hałas wdziera się do środka.

– Że jeśli już zjawisz się w tamtym domu, zaraz i tak stamtąd znikniesz, bo uznasz, że nie możesz – wyznaję, a mój głos nieznacznie się łamie. Mimo to kontynuuję: – Nie możesz pozwolić sobie na to, by Aaron sprawił, że nasza tajemnica wyjdzie na jaw. Mimo że sama chciałam, byś na to nie pozwolił i mnie tam porzucił, przerażała mnie po prostu myśl, że usłyszę znowu twoje: *Żegnaj, Love*. Tym razem inne. Takie, które... przekreśla *nas* na dobre.

Coś ściska mnie w mostku, nawet jeśli teraz już wiem, że to wszystko się nie wydarzy. Przymykam ciężące mi powieki, kiedy tylko dobiega mnie łagodny ton głosu mojego Rydera:

– Wiesz, co usłyszałaś ode mnie prędzej, skarbie?

Czuję, że mężczyzna nachyla się tuż nad moim uchem. Przychodzi mu to z pewnością niełatwo, bo wysoka postura robi swoje, ale kiedy już mu się to udaje i składa delikatny pocałunek na jego płatku, stado motyli budzi się gdzieś w moim podbrzuszu.

– *Zostań, moja Love* – dokańcza szeptem tak cichym, że ledwie słyszalnym. – Tylko to. Jedynie to. Wyłącznie to – akcentuje wyraźnie i po raz kolejny składa czule muśnięcie, tyle że na moim policzku, a ja jestem pewna, że prędzej czy później popłyną po nim łzy.

Wzruszona otwieram oczy.

– Aaron nie myśli zapobiegawczo – dodaje nieco mniej przyjemnie Ryder, prostując się na fotelu. – To wciąż gówniarz, którego nietrudno przejrzeć. Jestem pewny, że nie ma żadnych dowodów co do tego, że przez tych kilkanaście dni byłaś moją pacjentką. Sam od razu je wymazałem, skądkolwiek tylko mogłem. Nie zamartwiaj się tym, dobrze?

Zamiast potwierdzić, że go posłucham, odpieram prawie bezgłośnie:

– To jego krew.

Ryder od razu zauważa, że na linii mojego wzroku znajduje się jego druga, prawa dłoń, swobodnie oparta o moje biodro. Zdaje się z lekka zakłopotany, kiedy chowa ją gdzieś za mną. Mam wrażenie, że gdy to robi, jednocześnie sznurkuje usta w cienką linię.

– Nie dałem rady sobie tego odmówić – przyznaje się mrukliwie.

Przekręcam się pomału i teraz na kolanach mężczyzny opieram tył głowy. W tym samym czasie odnajduję wzrokiem kawałek szyby, za którą wciąż widnieje tylko gęsta, szarawa mgła. Wpatruję się w nią i zaczynam cieszyć, że kiedy ona trwa, Ryder nie prowadzi samochodu.

Po krótkim namyśle zerkam w jego stronę ze słabym uśmiechem, za którym kryje się pamięć o pewnej rozmowie, którą jeszcze niedawno przeprowadziliśmy w mojej części domu. W zaciemnionej kuchni, gdy byłam podobnie niepewna, jak on przyjmie moją tajemnicę.

– Przecież nie spojrzę na ciebie inaczej – zaczynam nostalgicznie. – A wiesz dlaczego?

Ryder odwzajemnia moje spojrzenie, kiedy pyta szeptem:

– Dlaczego?

Niewiele myśląc, wyciągam rękę w kierunku jego twarzy. Nie dosięgam jej, ale mężczyzna zna moje zamiary. Schyla się nieznacznie, bym mogła objąć drżącymi palcami jego policzek i ostrożnie go po nim pogłaskać. Robię to aż zbyt powoli i subtelnie.

– Bo gdy kogoś tak cholernie mocno kochasz, zawsze patrzysz na niego w ten sam sposób – kończę cicho.

Szare oczy Rydera nadal skupiają się wyłącznie na mnie. Wyłapuję w nich ledwie zauważalny błysk radości. Nawet jeśli jest on niewyraźny i szybko nie ma po nim śladu, moje serce i tak przyśpiesza swój rytm.

– A poza tym porwał się na coś, na co porwałoby się niewielu w takiej sytuacji – kontynuuję z wyrozumiałością, którą Ryder z pewnością jest w stanie wychwycić bez trudu w moim tonie. – Ponieważ tylko troszkę drasnąłeś mu twarz, tak?

Mężczyzna przytakuje niepewnie, a ja posyłam mu jeszcze jeden skromny uśmiech, zanim kiwam głową i znowu przywieram policzkiem do jego kolan. Pomiędzy nami zapada cisza, więc domyślam się, że nastał moment, kiedy każde z nas powinno pogrążyć się we własnych myślach i spróbować zmrużyć oko. Ryder wraca do głaskania moich włosów. Nie przestaje jednak robić tego przez naprawdę długi czas, co utwierdza mnie w tym, że nie śpi.

– Trudno jest ci zasnąć? – pytam nagle.

Ryder spina się, jakbym wyrwała go z długiego letargu. Zdziwiona jego reakcją, znowu się odwracam i śledzę spojrzeniem jego twarz, przez którą przemyka cień grymasu. Nie umyka mi on. Tak samo jak Ryderowi nie umyka, że obserwuję go bez choćby krótkiej przerwy.

– O co pytałaś? – zastanawia się schrypniętym od milczenia głosem.

– Coś cię trapi – wysnuwam wnioski.

Mężczyzna odwraca na moment wzrok do szyby, omiatając nim w zamyśleniu pobliski las. Prędko budzi się we mnie dziwne napięcie, bo wyczuwam, że coś nie gra. Brunet po dłuższej chwili potwierdza moje założenie, kiedy przyznaje niemrawo:

– Jest mi tylko odrobinę źle, Love.

– Źle? – szepczę za nim zatroskana.

W dalszej kolejności podrywam się odrobinę do dziwnego siadu, kładąc ręce na jego kolanach. Ryder wciąż mknie spojrzeniem gdzieś w dal, ale za moment skupia je ponownie na mnie. Błyskawicznie zauważa, że jest mi trudno utrzymać się w pozycji, w jakiej siedzę, dlatego wciąga mnie bez żadnego wysiłku na swoje nogi. Uderzam przy tym plecami w drzwi auta, ale nie przywiązuję do tego wagi. Siedząc bokiem na jego kolanach, pozwalam jedynie, by mężczyzna objął mnie i przytulił.

– To przejdzie. Spróbuj zasnąć, Love – prosi nieswój.

– Będzie mi ciężko.

Ryder odnajduje w moim ostrzeżeniu pewną aluzję. Przez chwilę patrzy mi prosto w oczy, jednak nie trwa to długo. Wtem zbliża bowiem usta do mojego ramienia i wzdycha mi w nie z wręcz namacalną udręką. Jest kompletnie przybity. A już zwłaszcza, gdy zaczyna mówić:

– Jestem pewien, że to pamiętasz. Wieczór, kiedy stwierdziłem, że do niego nie wrócisz. – napomina.

– Jest mi źle, bo ja też go pamiętam. Jest mi źle, bo jednak nie udało mi się temu zapobiec, po tym, jak usłyszałaś ode mnie, że mi się to uda.

Zasnucony Ryder przebiega brodą wzdłuż mojego barku, aż nareszcie wtyka nos w zagłębienie mojej szyi. Z marszu zaczynają piec mnie oczy, gdy mam go przy sobie, takiego załamane go

i przygaszonego. Kładę dłoń na jego karku. Przywieram do niego mocniej.

Przecież nie mam mu niczego za złe. Niczego.

– Wiem, że i tak dopięliby swego – odpowiadam łagodnie. – Nieistotne, czy starałbyś się ukrócić ich zamiary, ty czy ktoś inny. Udałoby im się je spełnić. Nie dałeś ciała, dobrze? – pytam go jeszcze. – Nie dałeś, pod żadnym pozorem nie dałeś.

Ryder przez pewien czas trwa w bezruchu i trawi sens moich słów. Aż w końcu nieco się ode mnie odsuwa. Zanim jednak robi to do końca, składa przeciągłe muśnięcie ust w miejscu na mojej szyi, gdzie jeszcze przed momentem miał ułożoną swoją brodę. Dopiero wtedy mężczyzna odnajduje znowu moje spojrzenie i upewnia się smętnie:

– Tak sądzisz?

Przytakuję, trącąc czule swoim nosem jego.

– Tak sądzę – potwierdzam naprawdę pewnie na głos, a kiedy po dłuższej chwili przecucie podpowiada mi, że mężczyzna choć odrobinę zaufał mojej wersji, postanawiam zmienić temat rozmowy: – Wziąłeś urlop na czas, który spędziłeś z Carłą w Carson City?

Ryder kiwa głową.

– Wziąłem go już wtedy, gdy zapadłaś się pod ziemię. Wrócę do pracy, jak tylko będę pewny, że wracam tam z chłodną głową – stwierdza, a ja w myślach od razu uznaję to za właściwe posunięcie. Kiedy jednak wkraczamy na temat jego pracy, coś się we mnie odzywa.

Przez głowę przemyka mi wspomnienie tego, jak Aaron przyznał, że nie byłam pierwszą pacjentką, na którą Ryder zwrócił swoją uwagę. Pozbywam się jej prędko. To w końcu bzdura, taka sama jak ta, że nie przejął się moim zniknięciem. Aaron wraz z Gavinem chcieli jedynie, bym uznała go za zamknięty rozdział. Nie uzyskali zamierzonego efektu.

– Chcesz wiedzieć coś jeszcze? – pyta nieco swobodniej Ryder, a ja szybko odzyskuję fason i orientuję się, że mój ukochany patrzy na mnie z prawdziwym uwielbieniem, na którego widok czuję nawarstwiające się gdzieś w klatce piersiowej ciepło.

Marszczę brwi fałszywie podejrzliwie i dociekam:

– Czy mam uznać Carłę za konkurencję?

Mężczyzna śmieje się cicho na moje słowa.

– Nie – zaprzecza. – Szlag, naprawdę nie.

– Niech będzie – odpieram z nieukrywaniem zadowoleniem, wygodniej usadawiając się na jego kolanach. – A teraz... może włączę radio? Coś spokojnego, wtedy łatwiej ci będzie odpłynąć – proponuję i kiedy Ryder odpowiada mi krótkim skinieniem, muszę się sporo nagimnastykować, by najpierw zwlec się z mężczyzny na siedzenie obok, a później dosięgnąć palcami wspomnianego radia.

Po chwili samochód wypełnia melodia *Look After You*. Słyszając ją, mój uśmiech od razu staje się szerszy, zwłaszcza że gdy znowu siadam na nogach Rydera, on chowa mnie w ramionach jeszcze ciaśniej niż przedtem. W którymś momencie po prostu zasypiamy tak przy sobie, pośród gęstej mgły, stłumionego zgiełku dochodzącego z jezdni i spokojnej piosenki.

W Aspen nie jest chociaż w połowie tak gorąco, jak gorąco było w Carson City. Raczej wita nas tutaj umiarkowana temperatura, a taki stan rzeczy zdecydowanie mi odpowiada. Z utęsknieniem czekam bowiem na powrót tych mroźniejszych dni.

– Gdzie Klakier i Gargamel? – pytam, zamykając z trzaskiem drzwi dużego samochodu i rozglądając się po znajomym podwórku. Jego widok budzi we mnie radość, mimo że, rety, to wyłącznie podjazd, dom w stylu bliźniaka i roztaczający się za nim wielgachny las.

– Kayden zabrał jednak zwierzaki do siebie – wyjaśnia pokrótce Ryder, a w jego głosie pobrzmiwa dziwne rozbawienie. – Powinien przywieźć je tu do godziny. Oby tylko chociaż zadzwonił dzwonkiem, gdy zostawi je na wycieracze przed drzwiami.

Zdezorientowana marszczę czoło i dorównuję mężczyźnie kroku, gdy ten rusza w stronę domu. W pewnym momencie zostaję objęta przez niego ręką w tali. Ryder z jej pomocą przyciąga mnie do siebie bez żadnego trudu.

– Zaraz, dlaczego niby miałby nie wejść? Przecież nie jesteśmy tacy przerażający. Czy nie?

Jesteśmy? – dopytuję i spoglądam w dół, na swoje pogniecione po podróży ubrania.

Jezu, chyba nie wyglądam aż tak okropnie?, zastanawiam się w duchu.

Uśmiezek błąka się po twarzy mojego mężczyzny.

– Nie jesteśmy – mówi. – To Kayden ostatnio jest płochliwy.

Potem Ryder otwiera przede mną drzwi wejściowe. Tak szybko, jak przechodzę przez ten nieszczęsny, wysoki próg domu, o który muszę się rzecz jasna potknąć jak za każdym razem, odwracam się w stronę zrelaksowanego bruneta i wystrzelam oskarżycielsko palcem wskazującym w jego kierunku, mrużąc podejrzliwie oczy.

– Przyznaj się – rzucam rozkazującym tonem.

Mężczyzna unosi pytająco brew.

– Do czego?

Po tych słowach Ryder przechodzi do kuchni. Sam zapach, który się w niej unosi, przyprawia mnie o przyjemne dreszcze. Tłumię w sobie jednak wszelkie sentymenty i również do niej wchodząc, mknę żywo za gospodarzem.

– Pokazałeś mu to – ciągnę poważnie.

– Co?

– Swoją cholerną kolekcję siekier.

Opuszczam ręce i uparcie patrzę, jak Ryder z ociąganiem pozbywa się swojej znoszonej i pomiętej na milion sposobów bluzy przez głowę. Zdecydowanie zaskakuje mnie fakt, że nic pod nią nie ma. Nagle ulatuje ze mnie cały upór, a jego miejsce zastępuje lekkie zawstydzenie, które chociaż staram się w sobie zdusić, zapewne prędko maluje się na mojej twarzy.

Jezu, to nadal gorący widok.

– Nie – zaprzecza mężczyzna, wzruszając przy tym tymi swoimi strasznie szerokimi ramionami. Sposób, w jaki unosi złowieszczo kącik ust, daje mi jednak do myślenia. Niemożliwe, by nie miał nic za uszami. Po prostu nie.

– Więc co mu zrobiłeś? – nie odpuszczam.

– Dałem mu do zrozumienia, że skoro randkuje z moją siostrą, to w niedalekiej przyszłości utniemy sobie pogawędkę o jego zamiarach – odpowiada Ryder, a ja chyba doznaję nagle pieprzonej zapaści bo, rany boskie. Czy on już wie o Chlo i Kaydenie?

Stojąc jak kołek, wybałuszam oczy. Dobra, już wszystko rozumiem. Rozumiem, dlaczego Kay miałyby zostawiać zwierzaki przed drzwiami i nie fatygować się, by odwiedzać nas w domu. Sama na jego miejscu chyba obrałabym podobną taktykę. W zasadzie na pewno obrałabym taką samą taktykę i nie wchodziłabym w drogę Ryderowi.

Odchrząkuję, po czym kiwam głową i stwierdzam:

– W takim razie rzeczywiście Kayden ma powód, by obawiać się spotkania z tobą.

Już zamierzam ruszyć w stronę salonu oraz tym samym znaleźć się daleko od czujnego spojrzenia Rydera, gdy wtem sam zainteresowany przekłada rękę przez mój brzuch i z łatwością odwraca mnie w swoją stronę tak, że wpadam z impetem twarzą w rozbudowany tors.

Rozdziawiam usta i podrywam głowę, krzyżując z nim spojrzenie.

– Wiedziałaś, że coś się między nimi święci, ale nie pisnęłaś ani słowa, paskudo – prycha mężczyzna, a ja rozstrzygam w ułamku sekundy dylemat, czy powiedzieć mu, jak było, czy też zacząć palić głupa. Wybieram opcję drugą i kładąc obie dłonie na brzuchu Rydera, na którym nie ma on niepotrzebnego sześciopaku, rzucam zaskoczona:

– Nie miałam pojęcia. Bo jak to, chemia? Między nimi?

Mężczyzna chwyta w dłonie moją talię i przyciąga mnie do siebie.

– No wyobraź sobie, że tak – rzuca jeszcze ironicznie.

– Jakoś nie tak łatwo mi to sobie wyobrazić... – kontynuuję, lecz kiedy Ryder unosi brew i tym samym daje mi znać, że on wie swoje, postanawiam się dłużej nie kompromitować. Z westchnieniem spuszczam niby zainteresowany wzrok na odkryty tors mężczyzny.

Kreśląc na nim ślady paznokciem, zastanawiam się na głos:

– Ale nie dotrze do mnie niedługo wieść, że dałeś mu popalić, będąc wrednym i okropnym? – Zagryzam wnętrze policzka. – Bo to mój kumpel. Świetny kumpel. No i wziął pod swój dach Klakiera

i Gargamela. Trochę ci ostatnio pomógł, co nie?

Unoszę na moment wzrok. Ryder nadal mi się przygląda.

– Nie będę dawał mu popalić, Love – zapowiada szczerze. – Przynajmniej, dopóki będzie dla Chloe tak dobry, jak dobry był podobno od zawsze dla ciebie.

Kayden był dokładnie taki. Był jedną z dwóch osób, którym zawsze zależało na moim szczęściu. W przeciwieństwie do... Przymykam nagle powieki, kiedy mimowolnie wracam myślami do ostatnich wydarzeń. Do Aarona i Gavina, którzy dawali mi popalić.

– Love? – zagaja Ryder zmartwionym tonem. – Posmutniałaś.

Uchylam powoli powieki. Potem odsuwam się od niego delikatnie i na pewno wyraźnie przygaszona ruszam powolnym krokiem do salonu. Tam zajmuję miejsce na kanapie oraz wbijam smętne spojrzenie w swoje poplamione błotem skarpetki. Po chwili zjawia się przy mnie mężczyzna. Ryder kuca, zniżając się do mojego poziomu. Kiedy zdobywam się na to, by zwrócić mu w oczy, dostrzegam w nich tylko czułe zatroskanie.

– Posmutniałam, ponieważ się boję – przyznaję cicho, przenosząc wzrok gdzieś na dywan. – Tak bardzo boję się, że Aaron znowu spróbuje tego samego, a ja przecież nie chcę powtórki. Nie chcę brać udziału w jego gierkach, nie chcę... znowu być bez ciebie, Ryder.

Ostatnie słowa ledwo opuszczają moje gardło. Zasłuchany w nie mężczyzna wypuszcza bezgłośnie powietrze i dobywa moje dłonie w swoje. Zaczyna głaśkać kciukami ich wierzch, zapowiadając z przekonaniem:

– Skończymy ten cyrk, Love.

– Niby jak? – wyduszam z wysiłkiem.

Ryder nadal znajduje się tuż przy mnie.

– Carla zdobyła parę haków na Aarona, a właściwie na jego ojca, wiesz? Jeśli Aaron nie będzie chciał, by wydało się, że jego ojciec zalicza skoki w bok i że robił niezłe przekręty w firmie, to odpuści sobie kręcenie się wokół ciebie – wyjaśnia mężczyzna, a ja od razu wracam spojrzeniem do jego twarzy, analizując w myślach to, co mi powiedział.

Zdziwiona muszę upewnić się, że dobrze go zrozumiałam.

– Zamierzasz go szantażować? – pytam.

Brunet od razu przytakuje, rozwiewając moje wątpliwości.

– Zrobię to, jeśli tylko czegoś znowu spróbuje. Myślę, że wtedy Aaron nie pozwoli, by ktoś rzucił jego ojcu aż tak wielkie kłody pod nogi. – W głosie Rydera pobrzmiwa prawdziwe zawzięcie, a do mnie dociera, że jego plan ma szansę się udać.

Święci Chatfieldowie będą chcieli zaniechać sensacji. Miałam z nimi styczność przez długi czas. Wiem, ile są w stanie zrobić, byle tylko opinia o nich pozostała nieskazitelna. W zasadzie przekonałam się o tym na własnej skórze, gdy pewnego dnia w luksusowej posiadłości Aaron wyrządził mi olbrzymią krzywdę, żeby podobno „nikt nie wytykał nas palcami”.

Wyrzucam z głowy złe wspomnienie. Zwłaszcza, że mój ukochany wtem podnosi się do pionu i wyciąga ostrożnie rękę w moją stronę. Przez chwilę wpatruję się z dołu w jego spokojną twarz, kompletnie zbita z tropu. Aż nareszcie przyjmuję jego dłoń i wstaję pomału na równe nogi. Zaraz potem zostaję bardzo, bardzo ciasno otoczona szerokimi ramionami.

Ryder trzyma mnie przy sobie przeraźliwie mocno, kiedy szepcze szczerze:

– Było mi ciężko. Nie domyślasz się, jak bardzo ciężko było mi bez ciebie, Love.

ROZDZIAŁ SIÓDMY



LOVE

Bardzo powoli odwracam głowę w bok i zerkam kątem oka na sąsiedni taras. Widzę, że Ryder również siedzi przy swoim stoliku na krześle w swobodnej pozycji, trzymając kostkę jednej nogi na kolanie drugiej. Jest zupełnie zaabsorbowany czytaniem jakiejś książki. Ani na głupią sekundę nie ucieka spojrzeniem od jej treści, co chwilę poprawiając tkwiące na nosie okulary.

Wypuszczam westchnienie, a potem obracam się na krześle tak, że teraz siedzę do niego przodem. Założę się, że on puszcza mimo uszu każdy odgłos, jaki dobiega go z mojej części posesji. Jego mina pozostaje nieczytelna, a ja w końcu nie wytrzymuję tej ciszy i wypalam:

– Jesteś psychologiem.

Ryder prychnął pogardliwie pod nosem.

– Co za bystra uwaga – ironizuje cicho.

Niezniechęcona jego gburowatym docinkiem wstaję na równe nogi, a potem podchodzę do płotu, który nas dzieli, i po tym, jak wspinam się na najniższy szczebel, opieram przedramiona na tym najwyższym. Patrząc wprost na mężczyznę, układam dolną wargę w podkówkę.

– Może podpowiesz mi w takim razie, jak radzić sobie ze związkim na odległość? – pytam całkowicie poważnie, opierając brodę na rękach. – Ciężko to znoszę.

Ryder podrywa głowę i po tym, jak odnajduje moje spojrzenie, marszczy brwi.

– Porter, nie błaznuj mi tu, bo za żadne skarby nie wpuszczę cię do swojej części domu – mówi ze spokojem i zdecydowaniem, jakie bardzo mi się z nim kojarzy. – Zresztą zaraz wychodzę do poradni, więc tym bardziej nic nie ugrasz.

Potem na powrót skupia się na lekturze, ucinając temat, a ja szybko orientuję się, że w zasadzie to jego wersja wydaje się całkiem wiarygodna. Ryder ubrany jest bowiem w czarną marynarkę, której rękawy podwinął na wysokość łokci, i eleganckie spodnie. To przemawia za tym, że dzisiaj po dłuższej przerwie wybiera się nareszcie do pracy.

– Kiedy ja miałam dobre intencje – rzucam mrukliwie.

Mężczyzna kręci głową z wyraźną dezaprobatą, ściągając okulary i kładąc je na stole.

– Mamy przed bliźniakiem wielkie bagno, w którym można się utopić, bo przez parę godzin nie wyłączyłaś węża ogrodowego, kiedy czyściłaś rano brudne auto – przypomina mi. – Spróbuj przez nie przejść do samochodu i nie ugrząść w nim po kostki, to może będę miłszy.

Cholera by to. Nie da się w nim nie utknąć, ale to wina telefonu od Kaydena.

– Zajmowałam się *twoim* brudnym autem – zauważam, licząc, że brunet to doceni, ale on po tym, jak odkłada na bok też książkę, nie wydaje się nawet w małym stopniu udobruchany.

– Jak mam się teraz do niego dostać? – prychnął wymownie. – Helikopterem?

Podrywam brodę dotychczas ułożoną na rękach, a potem wymierzam palec w Rydera.

– Jesteś coś dzisiaj zbyt ironiczny... no i czepliwy – stwierdzam, taksując go wciąż tym samym baczny spojrzeniem. – Albo czekaj. Czepliwy to akurat jesteś bez przerwy, buraku.

Ryder mruży oczy na moje słowa. Wtedy też dźwiga się z krzesła i zaczyna powolny marsz w moją stronę, a ja nadal zostaję uwieszona na dzielącym nas ogrodzeniu. Aż w końcu mężczyzna przystaje przede mną. Jest tak wysoki, że jego twarz znajduje się na linii mojego spojrzenia.

– Radziłbym ci się przymknąć, Porter – mówi spokojnie.

– Bo co? Odgradzisz się ode mnie wyższym płotem? – parskam śmiechem.

– Bo zaraz będziesz się taplać w tym cholernym błocie.

Mina na pewno mi trochę rzędzie, kiedy w oczach Rydera odnajduję niezachwianą powagę. Domyślam się, że mógłby w tej sekundzie przemaszerować w dół swojej działki, przejść furtką na moją posesję, zgarnąć mnie na szerokie ramię i nareszcie wrzucić do bagna.

No nie. Mam za godzinę trening baletu, taka możliwość nie wchodzi w grę.

– Stań bliżej – mówię o wiele przyjemniejszym tonem i nadal stabilnie utrzymując się stopami na najniższym panelu ogrodzenia, wyciągam ręce w stronę mężczyzny.

Ryder przygląda mi się bardzo, bardzo sceptycznie.

– No chodź – nalegam rozbawiona jego nieufnością.

– Co ty kombinujesz? – pyta przezornie, ale w końcu podąża za moją wskazówką i staje tuż przede mną. Wtedy, nie zastanawiając się choćby przez marną sekundę, kładę dłonie na jego pokrytych zarostem policzkach i kradnę mu przelotnego buziaka.

Później szczerząc się głupio, pytam wesoło:

– Zażegnaliśmy kryzys związkowy?

Mężczyzna prycha mi kpiąco w usta. Jednocześnie wyciąga rękę i obejmuje nią tył mojej głowy, by mnie przy sobie zatrzymać. Zanim zdążę coś jeszcze z siebie wykrztusić w tę maleńką przestrzeń między naszymi twarzami, tym razem to Ryder przyciska wargi do moich. Robi to mocno i stanowczo, czym mnie zaskakuje. Moje stopy niemalże zjeżdżają z ogrodzenia.

Mam wrażenie, że napięcie przeszywa mnie na wskroś, gdy mężczyzna przyciąga mnie ku sobie jeszcze bardziej, by móc spełnić każdy swój zamiar. Jego usta miażdżą zawzięcie moje, kompletnie poddające się pod jego dyktando. Wyduszam westchnienie dopiero, kiedy Ryder wycofuje się nieznacznie, zaalarmowany odgłosem, jaki wydaje z siebie jego telefon.

Zdyszany mężczyzna marszczy czoło i przeszukując dłońmi kieszenie, pyta:

– Szlag, która jest godzina?

– Najwyraźniej późna, skoro zaganiają cię do poradni. – Uśmiecham się, dostrzegając na ekranie komórki mężczyzny znajome imię recepcjonistki. Ryder nie odbiera. Zamiast tego chowa urządzenie do spodni i po raz ostatni chwytą w dużą dłoń całą moją brodę.

– Przyjadę po ciebie o drugiej, będzie okej? – pyta, skupiony na moich oczach.

Od razu przypominam sobie, że jeszcze przed podwórkowym incydentem dogadaliśmy się w pewnej kwestii. Ryder miał przyjechać po mnie po skończonych zajęciach z Ivory. Kiwam więc głową w geście zgody, ale i tak dorzucam jeszcze na głos krótkie: „będzie okej”.

Mężczyzna głaszcze kciukiem mój policzek, kiedy upewnia się:

– Pod szkołę baletową?

– Dokładnie – potwierdzam. – A teraz leć już, musisz pokonać tor przeszkód.

W moim głosie pobrzmiwa rozbawienie, na które brunet reaguje prychnięciem. Zaraz potem, wciąż trzymając moją brodę, daje mi przelotnego buziaka. Jeszcze przez parę krótkich sekund Ryder wpatruje się we mnie tymi swoimi szarymi, chmurnymi oczami, aż w końcu opuszcza ręce, wsuwa je do kieszeni spodni oraz robi kilka kroków w tył.

– Kayden za moment wpadnie, tak? – pyta jeszcze.

– Mhm. Już w zasadzie powinien tu być.

Mężczyzna odpowiada mi szybkim skinieniem, a potem znika w głębi swojej części domu. Ja natomiast zeskakuję na deski tarasu i ruszam do siebie. Przemykam prędko do kuchni, gdzie odnajduję telefon. Od razu dzwonię do Kaydena. Kiedy jednak nie odbiera, wzruszam ramionami i decyduję się przyrządzić nam obojemu mrożoną herbatę. Pewnie niedługo się zjawi.

W ciągu ostatnich dni, które spędziłam już w Aspen, nie mieliśmy okazji ku temu, by poplotkować, dlatego Kayden zaferował, że potowarzyszy mi w drodze do szkoły baletowej. Wiedziałam jednak, że za jego propozycją stało coś jeszcze. Zwykła troska. Zarówno on, jak i Ryder woleli dmuchać na zimne i przebywać w moim pobliżu po ostatnich wydarzeniach.

Wyciągam dwa kolorowe kubki z szafki i w myślach porządkuję sobie przebieg dnia. Będzie on na pewno intensywny. Najpierw muszę odhaczyć zajęcia z Ivory. Potem wybrać się na uczelnię i popytać profesorów, co mogę zrobić, by odrobić nieobecności. Wzdycham na myśl o stosunkach międzynarodowych. Na końcu przydałoby się jeszcze sprawdzić, czy nie wylali mnie z pracy.

Cóż, to będzie trudna przeprawa.

Parę minut później słyszę dźwięk dzwonka rozbrzmiewający po domu. Przechodzę więc do przedpokoju i zanim otwieram drzwi, sprawdzam przez wizjer, kto za nimi stoi. A jest to rzecz jasna Kayden. Tylko dlaczego ma taką... średnio zadowoloną minę?

Otwieram drzwi przed przyjacielem i na samym wstępie pytam:

– Kogoś ścięli? Coś mnie ominęło?

Kayden wchodzi mozolnym krokiem do przedpokoju i wypuszcza ciche westchnienie. W dalszej kolejności schyla się, by przebiec dłonią po grzbiecie uczepiającego się jego nóg Gargamela, który nie wie, kiedy znalazł się razem z nami w pomieszczeniu.

– W zasadzie prawie ścięli – zaczyna burkliwie Kay. – Minąłem twojego faceta.

Przytakuję, nie widząc w jego opowieści w gruncie rzeczy nic nadzwyczajnego.

– Spieszył się, dlatego pewnie nie poświęcił ci za dużo czasu – wysnuwam wniosek.

Kayden ostatni raz klepie psiaka po boku, a potem nareszcie podnosi się do pionu. Opierając się ramieniem o ścianę, namierza spojrzeniem moją twarz. Przez chwilę patrzy na mnie z dziwnym zamyśleniem. Wtem jednak rozchyła nieco usta i ciągnie dalej:

– Tak, za długo to my raczej nie dyskutowaliśmy na temat Chloe.

Prostuję się jak struna, kiedy tylko uderza we mnie sens słów przyjaciela. Och, cholera. Sądziłam, że Ryder zostawi akurat tę rozmowę z Kaydenem na później. Że nie odbęda jej, mijając się przypadkiem na podwórku bliźniaka. A jednak przeczucie mnie zawiodło.

Krzyżuję ręce pod biustem.

– Ta krótka dyskusja... przebiegła w miarę kulturalnie? – pytam, nawet jeśli wciąż mam w pamięci niedawne zapewnienie Rydera, że nie zachowa się wobec Kaydena jak jaskiniowiec.

Kay przeczesuje dłonią czuprynę.

– To zależy – odpowiada lakonicznie.

– Słucham? – Marszczę brwi.

– Czy uznamy, że zaprowadzenie mnie w pewnym momencie do garażu i pokazanie mi wielkiej kolekcji równie wielkich siekier było kulturalne – wzdycha chłopak, na co, o mój Boże, krztuszę się powietrzem. – W każdym razie było bardzo wymowne. Poważnie... bardzo.

Rozkładam ręce i przykładam jedną dłoń do czoła.

– Rany boskie – wydycham, nie wiedząc, czy powinnam w zasadzie się roześmiać, czy zapłakać. – Wiesz, co? Ja... wezmę torbę i streścisz mi resztę w drodze do szkoły baletowej.

Kayden nie protestuje. Zamiast tego, kiedy już wracam po krótkiej chwili z salonu ze wspomnianą wcześniej torbą, zabiera ją ode mnie i zawiesza sobie na ramieniu. Potem oboje wychodzimy z mojej części bliźniaka, uprzednio żegnając się z Gargamelem.

– Nie masz nic przeciwko? – pyta mnie nagle zupełnie poważny Kayden, gdy zamykam dom jednym z kluczy. – Twój facet ukrywa pod twoim nosem przynajmniej sześć kochanek.

Obracam się zwinnie na pięcie i kręcę głową roześmiana. Co za dureń.

– Powiedz mi lepiej, jakie postawił ci warunki – ciągnę go za język.

– Postawił mi jeden: *bierz ją na poważnie* – odpowiada Kay. – Cóż, jakoś specjalnie to mnie nie poturbował tą naszą „konfrontacją”. Ale myślę, że nawet jeśli nie, to i tak nie widzi we mnie dobrej partii dla Chlo – kończąc, chłopak wbija spojrzenie w trawnik, który musimy pokonać, by dotrzeć do ulicy. Oczywiście nadal przypomina on jedno ogromne bajoro.

Kiedy już wychodzimy na ulicę, trącam pocieszająco dłoń Kaydena swoją.

– Dał ci to odczuć? – dociekam. – Palnął coś głupiego?

– Nie, taka myśl zwyczajnie przeszła mi przez głowę – wzdycha cicho szatyn, poprawiając sobie na ramieniu pasek mojej torby. Jednocześnie Kayden odrywa wzrok od mojej twarzy i przenosi go gdzieś przed siebie. Przez chwilę przechadzamy się ulicą w ciszy.

Aż w pewnym momencie znowu się odzywam, chcąc dodać przyjacielowi otuchy:

– Kay, obleciał cię cykor i zacząłeś za dużo myśleć – przekonuję go. – Zresztą sądzę, że nawet jeśli Ryder nie zapałałby do ciebie sympatią, to nie próbowałby wybić cię Chloe z głowy. On nie ma zamiaru cię sterować. Chyba że byłbyś ostatnim gnojem. To inna sprawa.

Chłopak słysząc to, obejmuje mnie swoim ramieniem.

– Może jeszcze się dotrzemy – gdyba na głos.

– Na pewno. Z tego, co wiem, kiedy ja... – Robię krótką pauzę, ale prędko się reflektuję: – Kiedy nie było mnie tutaj, w Aspen, dobrze się dogadywaliście. To o czymś świadczy, nie uważasz? – Podrywam głowę i odnajduję na twarzy przyjaciela zastanowienie.

Nagle Kayden zerka na mnie z góry z pewnego rodzaju troską. Początkowo nie mówi absolutnie niczego, tylko patrzy i rozmyśla nad czymś w pojedynkę. Nie trwa to jednak długo.

– Cieszę się, że już z nami, ze mną, znowu jesteś – wyznaje zupełnie szczerze, a ja z marszu zbliżam się do niego jeszcze bardziej i myślę, że to nie Gavin jest moim bratem. Jest nim Kayden. Ten, który odkąd tylko przybyłam kilka lat temu do mroźnego Aspen, był dla mnie podporą. Ten, na którym mogłam polegać i ten, który mógł polegać na mnie.

Wzruszona splatam jego dłoń ze swoją.

– Przyznaj, że zmiany w kinie beze mnie były dla ciebie mordęgą – rzucam weselej.

Później uśmiecham się do Kaydena, który wypuszcza powietrze z płuc.

– One i każdy jeden wykład bez ciebie był dla mnie mordęgą – poprawia mnie. – Swoją drogą za niedługo zaczynają się egzaminy. Chyba tym razem nie tylko ja będę powtarzał materiał na ostatnią chwilę? – Kay zerka na mnie, a w jego oczach czai się szczypta prowokacji.

– A myślałam, że nigdy do tego nie dojdzie – wzdycham nieco mniej radośnie.

Przez resztę drogi Kayden opowiada mi o swojej relacji z Chloe. Podobno są jak papużki nierozłączki. Kay kiedy może, jeździ do Denver, a panna Callahan kiedy znajdzie czas, przyjeżdża tutaj, do Aspen. Tak zresztą podobno ma być też dzisiaj. Wspólnie z przyjacielem dochodzimy więc do wniosku, że świetnie byłoby spotkać się wieczorem we czwórkę.

– No to dotarliśmy – mówi chłopak, kiedy stoimy już przed szkołą baletową.

Omiotam budynek podekscytowanym spojrzeniem. Na sam jego widok czuję, jak serce w mojej piersi nagle się odzywa i zaczyna bić odrobinę szybciej. Brakowało mi tańca. W ciągu dni, które spędziłam w Carson City, a nawet tych kilku ostatnich, w ciągu których byłam już w Aspen.

– Widzimy się wieczorem? – pytam Kaydena.

– Wieczorem. – Kiwa głową, rozkładając ręce.

Natychmiast się do niego przytulam. Dopiero po kilkunastu sekundach odwracam się ponownie w stronę znajomo wyglądającego budynku i zaczynam zmierzać szybkim krokiem do jego wejścia. Wtem jednak ktoś przede mną wyrasta. Od razu zatrzymuję się w pół kroku na widok mojej przemiłej trenerki. Ivory posyła mi uśmiech i niemalże od razu docieka:

– Och, nareszcie jesteś Love. Uporałaś się już ze szkołą?

W pierwszej chwili, gdy słyszę jej pytanie, jestem porządnie zbita z pantafyku. W końcu, z jaką szkołą miałabym się niby uporać, skoro nie byłam na uczelni od... rety, kilkunastu dni. W drugiej zaś przypominam sobie przedwczorajszą rozmowę telefoniczną odbytą z Ivory. Trenerka zapytała wtedy, czy coś poważnego stoi za moimi nieobecnościami na zajęciach.

A ja palnęłam to, co mi ślina na język przyniosła.

– Tak, tak – odpowiadam pospiesznie, a potem dorzucam jeszcze równie prędko: – To znaczy, zostało mi jeszcze zdać egzaminy, ale zaraz będę miała je za sobą. No i już w pełni skoncentruję się na tańcu – zapewniam ją tonem pełnym przekonania.

Ivory wydaje się bardzo zadowolona z mojej odpowiedzi.

– To ekstra – rzuca z nieskrywaną aprobatą.

Przeglądam jej się odrobinę uważniej. Mam wrażenie, że jest podejrzenie aż zbyt ucieszona. A przecież jedynie wspomniałam jej o tym, że przez następne miesiące będę wpadać tutaj naprawdę często i na naprawdę długo. Unoszę rozbawiona brew i dopytuję:

– Cieszysz się, bo będziesz mogła znowu dawać mi w kość?

Kobieta przez chwilę obserwuje mnie bez słów, jakby zaciekłe nad czymś rozmyślała. Po chwili jednak odzyskuje fason i wskazuje gestem ręki na wejście do znajdującego się tuż obok nas budynku. Spoglądam to na szkołę, to na twarz Ivory.

– Cieszę się, że wróciłaś w tym właściwym momencie, Love – mówi trenerka, a w jej głosie wyłapuję niezmienny entuzjazm. Zaraz potem kobieta rusza do celu mojego długiego spaceru, uśmiechnięta nadal od ucha do ucha. A ja myślę. Długo myślę.

I nie mam zielonego pojęcia, o co mogło jej chodzić.

– Nie idzie nam wcale tak okropnie.

Patrzę z wyraźnym niesmakiem na Kaydena, który właśnie siada naprzeciwko mnie na kanapie obitej skórą i sięga po swoją szklankę ze sprite'em. Jednocześnie zachowuje się tak, jakbyśmy wcale nie przegrywali z kretesem z rodzeństwem Callahan w przekłete kręgle. Szlag, oni dosłownie nas w to rozgramiają. W dodatku zbytnio się przy tym nie wysilają.

Zakładam ręce pod biustem i poprawiam przyjaciela markotnym głosem:

– Błagam cię, rzucamy tym ciężkim głównem wręcz pokraccznie.

Kay wzrusza z nieprzejęciem ramionami.

– Bo rzucamy nim dopiero drugi raz. Dałbym sobie rękę uciąć, że twój książkę na rumaku bawił się w to już wtedy, gdy tobie dopiero wyrastały mleczaki – rzuca wyluzowany, a ja kiwam pomału głową, nie musząc nawet rozstrzygać, czy tak mogło być. Bo rzecz jasna mogło.

Przeczuję spojrzeniem wnętrze kręgielni. Już kiedyś tu byliśmy i to w takim samym składzie. Wtedy jednak ani ja nie byłam dziewczyną Rydera, ani Kayden nie był chłopakiem Chloe. Przez chwilę wpatruję się w ciemne ściany, aż nagle przyjaciel sprzedaje mi lekkiego kopniaka pod stołem. Od razu wracam spojrzeniem do jego twarzy.

– Jeszcze się wdrożymy – stwierdza, chcąc wyciągnąć mnie z dołka.

Jego starania spełniają jednak na niczym, bo wtem zjawiają się przy nas Callahanowie. Zadowolona Chloe zajmuje miejsce obok swojego faceta. Nadal tryska aż przesadną energią, nawet jeśli siedzimy tu już kolejną godzinę z rzędu. Brunetka od razu docina Kaydenowi:

– Chyba tego wieczoru już tylko: *pogrążycie*. Dajecie ciała, kochani.

Zagryzam policzek, w duchu uznając jej słowa za trafne.

– A już szczególnie Porter... – słyszę nagle znajomy głos rozbrzmiewający gdzieś za moimi plecami. Nie muszę się nawet odwracać, by skontrolować, kto śmiał sprzedać mi taki przytyk. Wielgachne, męskie dłonie lądują na moich ramionach, a ja mrużę złowieszczco oczy.

– Szczególny to będzie zaraz dla ciebie ten dzień – pomrukuje pod nosem.

Ryder prycha kpiąco na moje słowa.

– Jak zobaczę cię nareszcie w jakiejś dobrej akcji? – pyta nonszalancko.

– Jak za kilka godzin, chcąc wpaść do mnie z wizytą, pocałujesz klamkę, cwaniaku.

Zerkam kątem oka na siedzącą naprzeciwko Chloe i dostrzegam błakający się po jej twarzy delikatny uśmiezek. Chyba jest ciekawa, jak rozwinie się sytuacja, bo prędko odkłada telefon, po który przed momentem sięgnęła, na znajdujący się pomiędzy nami stół.

Czuję, że niezniechęcony Ryder nagle się za mną prostuje.

– Ktoś kiepsko znosi porażki – rzuca z drwiną.

– Ktoś kiepsko... – zaczynam jadowitym tonem, lecz w ułamku sekundy ogromna dłoń ląduje na moich ustach i nie pozwala mi powiedzieć już niczego więcej. Próbuję ją ściągnąć, lecz nadaremnie. Ryder jeszcze przez kilkanaście sekund ucisza mnie w ten sposób i założę się, że kiedy to robi, perfidnie uśmiecha się do towarzystwa, które przyszło tu razem z nami.

Bałwan. Cholerny bałwan.

– Masz nierówno pod sufitem – rzucam posępnie, kiedy mężczyzna w końcu mi odpuszcza i obchodzi kanapę, by po chwili zasiąść na miejscu obok. Wtedy odwracam głowę w jego kierunku i krzyżuję z nim spojrzenie. Jego jest spokojne. Moje na pewno nieprzyjemne.

– Co jeszcze ciekawego mi powiesz? – pyta prowokująco, zapewne myśląc, że zamknę dziób na resztę wieczoru. Ja natomiast, wygładzając materiał swoich spodni, bąkam poważnie:

– Podtruwam cię od paru dni, bo chcę mieć bliźniaka dla siebie.

Ryder przebiega z niemocą palcami wzdłuż grzbietu nosa.

– Chryste Panie – wzdycha męczeńsko, jakby sam już nie mógł rozgryźć, czy jedynie się zgrywam, czy też rzeczywiście dorzucam mu coś ekstra do kolacji, kiedy nie patrzy. Chloe patrzy na to z pobłażaniem, aż w końcu postanawia chyba przejąć pałeczkę.

– To... kiedy wpadacie do Denver? – zmienia temat.

Ryder i Kayden błyskawicznie włączają się w dyskusję. Ja w tym czasie odpływam na chwilę

myślami gdzieś daleko. Podczas gdy cieszę się, że cała trójka rozmówców dogaduje się ze sobą aż tak dobrze, czyjaś ręka nagle łąduje na moim udzie i przebiega pomału po całej jego długości. Jeszcze raz odnajduję wzrokiem twarz swojego ukochanego.

Jednak on jest skoncentrowany na rozmowie. Sama więc również podążam jego śladem i po tym, jak opieram skroń na szerokim, męskim ramieniu, uśmiecham się. Ten wieczór mija nam bardzo przyjemnie. A ja naprawdę tęskniłam za podobnymi wyściami. Do takiego wniosku dochodzę, kiedy znajdujemy się już z Ryderem w samochodzie zaparkowanym na parkingu.

Wtedy dopinając pasy bezpieczeństwa, ziewam przeciągle i stwierdzam w duchu, że ten dzień wyssał ze mnie całą energię. Najpierw zajęcia z Ivory. Potem wizyta na uczelni. Aż w końcu porażka na całej linii podczas starcia w kręgle z Callahanami.

Jestem wykończona.

– Obudzisz mnie, jak już dojedziemy? – pytam, szukając wygodnej pozycji na fotelu.

Ryder odpala silnik i sprawnie manewrując kierownicą, wyjeżdża na zaciemnione oraz stosunkowo puste późnym wieczorem ulice Aspen. Gdy to robi, ja przymykam powieki oraz wciąż wyczekuję jego odpowiedzi, która nadchodzi parę sekund później.

– Przecież mogę cię zgarnąć z auta i zabrać do łóżka – mówi.

Odczuwam delikatny dyskomfort, gdy wyobrażam sobie, że mógłby naprawdę to zrobić. Zdziwiona tym, co się we mnie narodziło, otwieram oczy. Prędko na myśl przychodzi mi pewne wspomnienie. Wspomnienie, jak Aaron jeszcze niedawno wyznał mi prosto w twarz, że stałam się odpychająco okrągła. Chodziło mu o to, że stałam się... stałam się cięższa.

Przetykam pomału ślinę i orientuję się, że Ryder czeka, aż coś powiem.

– Tak – mówię niewyraźnym szeptem jakby sama do siebie. – Możesz.

Przez resztę trasy za wszelką cenę próbuję nie zmrużyć oka.

ROZDZIAŁ ÓSMY



RYDER

Odkąd wyjechaliśmy spod kręgielni, Love nieco posmutniała. Podczas jazdy podchwyciłem ten temat raz i usłyszałem wtedy, że dokucza jej stres związany z nadchodzącymi egzaminami. Nie przekonała mnie tą wymówką, ale i tak skinąłem na nią głową. Później stwierdziłem w duchu, że skoro nie chce gadać, to przynajmniej spróbuję jakkolwiek poprawić jej humor.

A teraz mkniemy nadal słabo oświetlonymi ulicami Aspen. Już nieduży dystans dzieli nas od domu, gdy wtem odbijam w jedną alejkę. Na jej końcu znajdę bowiem miejsce, z którego chcę zgarnąć coś dla Love. Ta, gdy tylko orientuje się, że nieco zbczyliśmy ze standardowej trasy, pyta:

– Dlaczego wybrałeś okreśną drogę?

Wzruszam ramionami, jak gdyby nigdy nic.

– Być może chciałem pobyc z tobą jeszcze parę minut, zanim zaszyjesz mi się za ścianą. To chyba nic złego, prawda?

Love poprawia się na siedzeniu i czuję, że odwraca w moją stronę. Cieszy mnie to, że nie patrzy dłużej tępo w szybę ani nie zastanawia się nad czymś tak zaciekle, jak robiła to praktycznie przez cały czas, odkąd wyruszyliśmy w drogę powrotną do bliźniaka. Teraz docieka pełnym zastanowienia tonem:

– Chciałeś pobyc z mną w tej grobowej atmosferze dłużej? Serio?

– Chciałem pobyc po prostu z panią, panno Porter... I wie pani co?

Zaciekawiona dziewczyna zbliża się do mnie.

– Słucham uważnie.

Mając pewność, że mogę sobie na to pozwolić, odwracam głowę na ledwie sekundę w kierunku Love i zaglądam w te jej wielkie, brązowe oczy. W te wielkie, brązowe, moje ulubione i tak strasznie w tym momencie zaciekawione oczy.

– Tak bardzo spodobało mi się to towarzystwo, że zamierzam dopilnować, by nie zaszyła się pani na resztę nocy za głupią ścianą, a głęboko w mojej pościeli – dorzucam nonszalancko.

Moja pasażerka parska cichym śmiechem.

– Więc mogę nareszcie postawić stopę w twojej części domu?

– Możesz – potwierdzam. – Możesz nawet powiedzieć, że chcesz poleżeć sobie ze mną w sypialni, przy jakimś... – nie wierzę, że naprawdę to proponuję – ...występie baletowym odpalonym na telewizorze, a ja odpowiem, że w sumie bardzo chętnie to z tobą zrobię.

Zatrzymuję samochód na kawałku chodnika nieopodal miejsca, do którego chciałem dotrzeć. Później wbijam wzrok w oświetloną witrynę i upewniam się, że zastanę tam kogoś mimo późnej pory. Po tym, gdy widzę, że tak, znowu spoglądam na swoją nieco mniej przybitą Porter. Dziewczyna obserwuje mnie bacznie, uśmiechając się, może i jedynie ledwie zauważalnie, ale uśmiechając się.

– Jesteś poważny? – pyta, lecz prędko kręci głową i dodaje swobodniej: – To znaczy, jesteś poważny i sztywny zawsze i wszędzie, ale tym razem też?

Na jej słowa ściągam złowrogo brwi.

– Porter – rzucam karcąco.

To wcale nie zniechęca Love, która szczyrzy się jeszcze bardziej.

– Naprawdę chciałbyś leżeć obok mnie na swoim łóżku i oglądać balet?

Oczywiście, że nie, ale byłbym w stanie stanąć na głowie, żebyś się tylko rozchmurzyła.

Słyszę swoje myśli i, Boże jedyny, naprawdę zaczynam się zastanawiać, czy w ogóle mógłbym pokochać ją mocniej, skoro nie jestem już nawet w gotowości na jej głupie skinienie palcem. Jestem już

w niej jedynie na jej spojrzenie. Bo kiedy spojrzała na mnie parę minut temu tym przygnębnym wzrokiem, naprawdę to zrobiłem. Tak po prostu postanowiłem, że postaram się umilić Love tę noc, jak tylko będę w stanie, bo zwyczajnie... była przybita.

– Naprawdę chcę – odpowiadam pewnie. – A teraz zaczekaj tu na mnie. Muszę zahaczyć o jedno miejsce, nie zajmie mi to dużo czasu.

Po tych słowach odpinam pasy bezpieczeństwa pod czujnym nadzorem Porter, która słysząc mnie, przewraca oczami z nieskrywanym rozbawieniem.

– No przecież nie odjadę sama do domu.

Sięgam po kluczyki, by wyciągnąć je ze stacyjki auta.

– Będę przezorny – rzucam jeszcze, puszczając do niej oczko.

Love parska śmiechem, a potem też odpina pasy i w mgnieniu oka podrywa się z fotela, by móc położyć dłoń na mojej nodze oraz oprzeć na wyprostowanej ręce cały ciężar ciała. Zaskoczony rozchylam nieznacznie usta, by zapytać, co kombinuje, lecz wtem jej wargi odnajdują moje. Porter zabiera sobie niewinnego buziaka, a ja, gdy to robi, myślę tylko o jednym.

Że jest tak strasznie kusząco urocza.

– Będę przezorna – powtarza moje słowa, wciąż się uśmiechając.

– Tak? – pytam zaczepnie i obserwuję z bliska jej twarz oblaną poświęcą ulicznej latarni, która znajduje się tuż przed zaparkowanym samochodem.

– Mógłbyś w końcu mieć wątpliwości, czy mnie tu nie porzucić.

Chwytam gwałtownie w dużą dłoń cały jej policzek i przyciągam jej wargi blisko swoich, koncentrując wzrok najpierw na nich, a potem na oczach ich właścicielki. Pośród ciszy i panującego w aucie półmroku, przez dłuższą chwilę patrzę jak urzeczony wprost w brązowe tęczy. Aż nareszcie udaje mi się ocknąć z transu.

– Kurwa, Love – wypuszczam niski szept, głaszcząc kciukiem jej uniesiony kącik ust. – Powiedz mi, jak to jest. Jak to jest, że nie musisz wkładać żadnego wysiłku w to, bym chciał ci jeść z pieprzonej ręki, co?

W spojrzeniu dziewczyny migocze psotna iskra. Czuję, jak Porter wspiera się bardziej na dłoni położonej na mojej nodze, a potem znowu subtelnie dosięga swoimi ustami moich. Nie umiem nasycić się czymś takim. Wzmacniam więc chwyt na jej policzku i wciągam potężną dawkę powietrza nosem, zanim nakrywam jej wargi stanowczo i zdecydowanie, miażdżąc je raz za razem swoimi.

Cholera jasna.

Przechodzi mnie pierdolony prąd, gdy swoim zuchwałym natarciem zabieram sobie z piersi Love nieśmiało westchnienie. Ono znika gdzieś w moim gardle, tak samo jak następne. Niewiele myśląc, kładę drugą dłoń na drugim policzku dziewczyny i całuję ją z jeszcze mniejszą samokontrolą. Nic nie nakręca mnie bardziej, niż jej potulne poddawanie się temu, co mam ochotę z nią zrobić. A teraz mam ochotę kąsać zapalczywie jej usta, dokąd nie opuchną.

Love nie musi wiedzieć, jak mnie wabić.

Ona po prostu to robi.

Pozwalam jej odetchnąć dopiero po kilkunastu sekundach. Wtedy zadowolony zsuwam dłonie z jej twarzy i przy okazji zerkam przelotnie w stronę witryny miejsca, do którego zmierzam. Wciąż się świeci.

Na szczęście.

– Muszę się pośpieszyć – zapowiadam od razu.

Zanim wysiadam z samochodu, pstrykam rozweseloną Porter palcem w nos, otrzymując w zamian kolejny piękny uśmiech. Mam go przed oczami, nawet gdy idę niemalże pustym chodnikiem w stronę kwaciarni, w której już kiedyś byłem.

Wychodzę z niej standardowo ze sporych rozmiarów bukietem białych tulipanów, który wręczam Love po tym, jak ponownie zajmuję miejsce kierowcy. Dziewczyna rozczuła się nad nimi przez dobrych kilka minut, w trakcie których odpalam silnik i ruszam w stronę domu, nie planując po drodze robić ani jednego przystanku więcej. Dotrzemy więc do celu dosłownie za moment.

– Właściwie... dlaczego dałeś mi te śliczne kwiaty? – pyta nagle moja pasażerka, a mnie odpowiedź nasuwa się na myśl w mgnieniu oka.

Żeby poprawić ci humor. Żeby poprawić ci humor, nawet jeśli nie chciałaś przyznać, co tak naprawdę cię zasmuciło, Love.

– Pomyślałem, że podaruję ci coś na otarcie łez – wzdycham z lekka wymijająco i nie odrywając wzroku od jezdni, dorzucam jeszcze kąśliwie: – Jakby nie patrzeć, przegraliście z nami w te kręgle z kretešem.

Porter prycha na głos, ale nie odpowiada mi ani słowem. Zamiast tego wtyka głęboko nos w okazały bukiet i trzyma go w nim, dopóki nie wracamy na skąpany w ciemnościach i ciszy podjazd naszego bliźniaka.

Dawno nie czułem się taki spokojny, nawet jeśli już od paru dni wszystko na pozór przypominało naszą codzienność sprzed wydarzeń z Nevady. Chyba po prostu potrzebowałem czasu, by móc odetchnąć pełną piersią. A mogę odetchnąć nią właśnie teraz, przyglądając się Love, której głowa jest swobodnie ułożona na moich kolanach, a twarz zwrócona do telewizora, gdzie nadal włączony jest jej ukochany balet.

Zresztą już któryś z kolei.

Wymęczona zasnęła gdzieś w połowie pierwszego występu. Ja niedługo po niej i obudziłem się dopiero przed paroma minutami w pokoju, do którego dostały się już promienie słońca. Teraz orientuję się, że do sypialni wtarabania się Klakier. Kot wskakuje bez trudu na duże łóżko oraz miauczy przeciągle, a ja z marszu próbuję go stąd lekko wykopać bosą stopą.

– Gorzej ci? – pytam szeptem i zerkam przelotnie na Love, by upewnić się, że nadal pochrapuje. *Przecież gdyby ogarnęła, że prowadzi monologi z kotem, byłbym skończony.* – Zmiataj stąd raz-dwa, nie ma tu dla ciebie miejsca.

Sierściuch nie odpuszcza i nadal łązi po materacu.

– Już wiem, co próbujesz robić – wypalam wrogo pod nosem. – Próbuje dalej kraść jej uwagę, a słowo daję, oddam cię, kurwa, na pasztet.

Wykopuję go znowu. Tym razem z rezultatem, bo kot zlatuje z łóżka i z następnym miauknięciem, które brzmi bardzo pretensjonalnie, przemyka znowu do korytarza. Uśmiecham się z zadowoleniem, a potem sztywnieję, bo, ja pierdole, Love powoli przewraca się na bok, by utkwic spojrzenie w mojej twarzy.

– Ktoś z pracy zawraca ci głowę... tak z rana? – dziwi się wciąż odrobinę nieobecna, lecz również lekko uśmiechnięta.

Rozdziawiam nieznacznie usta i sięgam pomału po telefon leżący na szafce nocnej. No przecież, że przed sekundą rozmawiałem z „kimś z poradni”. Z kimś dokładnie stamtąd. Mija kilka sekund, zanim odchrząkuję znacząco i starając się brzmieć naturalnie, potwierdzam:

– Tak, to był ktoś z pracy. Za półtorej godziny mam pierwszego pacjenta.

Love podrywa się do siadu. Włosy sterczą jej na wszystkie strony, a mój szary podkoszulek, który zabrała sobie do spania, jest porządnie pognieciony. Po chwili wracam jednak spojrzeniem do jej twarzy, przywołany jej głosem.

– To jaki właściwie mamy czas? – pyta zaciekawiona.

– Dochodzi dziewiąta.

Sam też ruszam się z miejsca i próbuję wstać z łóżka. Zanim jednak zdążę to zrobić, zostaję delikatnie szarpnięty do tyłu. Zaskoczony zderzam się plecami z materacem i wpatruję w Love, której nagle udaje się wgramolić na mnie całym ciałem. To zabawne, bo wydaje się wtedy naprawdę z siebie zadowolona, jakby osiągnęła ogromny sukces. Na końcu uszczęśliwiona opiera dłonie na mojej piersi i podkłada je pod brodę.

– Nie ruszaj się – mówi cicho, mrugając bardzo powoli.

Natychmiast unoszę pytająco brew.

– Porter?

– Zamierzałeś zwlec się stąd lewą nogą, więc cię przed tym powstrzymałam. – Doskonale zgrywa niewiniątko, a ja prychem z jawną kpina.

– No dobra, jesteś aż tak przesadna?

Love odpowiada mi krótkim skinieniem.

– Jestem. A ty jesteś chyba bardzo niedomyślny.

Nie mija choćby sekunda, a usta dziewczyny zderzają się z moimi. Od razu pogłębiam pieszczotę i układam dłonie na talii Love, by móc ją unieruchomić. Nie ma. Nie ma jebanej opcji, że pozwolę jej teraz

wyślizgnąć się z rąk. Nie, gdy tym psotnym uśmiechem pobudziła mnie w każdym tego słowa znaczeniu.

Zaciskając palce na jej bokach, przetaczam się po łóżku i rozdzielam nasze usta, by zastygnać z nimi tuż nad jej twarzą, nadal odrobinę senną, lecz pięknie rozpromienioną. Później przesuвам lewą dłonią w górę i układam ją pod linią kobiecej żuchwy, gładząc bez pośpiechu kciukiem dolną wargę Love.

Przyglądam się jej. A ona przygląda się mnie.

Przetykam i spoglądam jej w oczy, gdy wsuwa dłonie pod gumkę moich dresów. Tyle mi wystarczy, bym zyskał pewność, że chce, abym zagarnął ją dla siebie właśnie teraz, w tej chwili. Niewiele myśląc, schylam się i całuję ją, przeciągle, wygłodniałe, aż odgłos ocierających się o siebie ust rozbrzmiewa tuż przy nas. Słyszając go, zaczynam stawać się powoli okropnie twardy. Po chwili znowu łapiemy niespokojne wdechy.

– Nie jestem niedomyślny – protestuję nareszcie, zaglądając jej prosto w oczy i głaszcząc palcami jej skroń. – Raczej trochę niewyspany.

Love opiera dłonie na moim odkrytym brzuchu i pyta wesoło:

– Tak spodobał ci się balet, że się wkręciłeś?

Przybliżam usta tym razem do jej ucha. Później przebiegam nosem po niedużej przestrzeni tuż za nim i wdycham zapach dziewczyny, czując od razu, jak ogromny wpływ wywiera na mnie taki zwykły niuans. Przez moje mięśnie szybko przetacza się napięcie. Uwielbiam obchodzić się z tą kobietą w łóżku. Nieistotne jak, to wciąż pobudza mnie tak samo.

Zsuwam dłoń na jej biodro. Drugą opieram przy boku jej głowy.

– Miałem pod nosem ładniejsze widoki – wyznaję. – Wciąż mam.

– Fakt, kupiłam ci ładną pościel w choinki. Też lubię na niej zawiesić oko.

Kręcę głową i unoszę kącik ust. Love natomiast uśmiecha się perliście, wędrując palcami w górę mojego brzucha, aż w końcu podjeżdża nimi na moje ramiona. Zaczepia na nich całe ręce i tym razem to ona sprawia, że nasze wargi stykają się w powolnym pocałunku, od którego zaczyna mrowić mnie kark.

Odsuwam się tylko po to, by móc mieć przed oczami jej spojrzenie, gdy wtykam dłoń pomiędzy jej uda i mknę opuszkami palców po ich wewnętrznej partii, w kierunku pulsującej kobiecości. Love wypuszcza drżące westchnienie i wzmacnia uścisk na moich barkach, gdy dobieram się do jej koronkowego dołu.

– Jesteś całkiem słodka – stwierdzam ochryple, obniżając znowu głowę oraz znacząc ścieżką czułych muśnięć jej szyję. Słyszę cichy jęk przy uchu, gdy napieram szorstkimi palcami na rozpalone w potrzebie centrum dziewczyny.

Love śmieje się swobodnie, gdy pyta zaczepnie:

– Jestem słodka, bo daję ci ładną pościel w choinki?

– Bo leżysz w tej okropnej pościeli w choinki i szczerzysz się tak szeroko, że aż dziwię się, że nie bołą cię policzki – odpowiadam rozbawionym tonem, a potem od razu wracam do składania krótkich, pieszczotliwych muśnięć na jej miękkiej skórze.

Jednocześnie ocieram się o nią nacierającym na spodnie wzwodem, wrywając z jej stale podskakującej piersi krótkie stęknięcie. Love ma spąsowiałe policzki oraz przymknięte powieki, gdy wpatruję się w nią po paru sekundach z góry. Prędko jednak je uchyla i wyłapuje moje spojrzenie w pokoju oblepionym śladem słońca, które zawisło nad Aspen, mówiąc:

– Jeśli coś mnie boli, to tylko to, że wciąż jesteś trochę za daleko.

Zsuwam ponownie rękę na jej biodro i zamykam je w pewnym uścisku dłoni. Nieprzerwanie wodzę spojrzeniem po jej twarzy i przypominam sobie. Przypominam sobie czas, kiedy dzielił nas ogromny, niechciany dystans.

Wtem wmuszam w usta Love jeszcze jeden pocałunek. A potem kolejny, dokąd nie udaje mi się uporać z obawą, że moja ukochana zaraz rozmyje się w powietrzu, jak gdybym wcale nie miał jej znowu. Połykam tchnienie i stykam nasze czoła, napierając na nią, drobną i poddaną, ciężarem swojej sylwetki.

– Już nie będę daleko. – Myślę, że oboje wyczuwamy w tym stwierdzeniu drugie dno.

Dziewczyna obejmuje palcami moje barki i szyję.

– Na pewno? – pyta słabym szeptem.

– Na pewno. – Trzymam ją wciąż strasznie blisko przy sobie. Aż w końcu rozdzielam nasze czoła i po tym, jak łapiemy kontakt wzrokowy, dorzucam cicho: – Bo nie dam rady być daleko od ciebie. A wiesz dlaczego?

Love koncentruje uwagę na moich ustach, skąd wybrzmiewają kolejne słowa. Prędko jednak jej tęczyówki ponownie odnajdują moje, kiedy docieka:

– Dlaczego?

– Ponieważ masz mnie w garści, Love.

Dziewczyna tkwi pode mną tak, jakby zastygła w zupełnym bezruchu. A ja przebiegam pięściami po jej nagim udzie, wypuszczając strudzone westchnienie.

– Ponieważ masz mnie w garści, jak nikt dotąd nie miał – poprawiam się jeszcze i nie dodaję już nic więcej. Zamiast tego ostatni raz odnajduję drogę do warg Love, zanim zsuwam z niej powolnym ruchem ręki koronkowe majtki.

Błądzą dłonią w górę, zahaczając palcami o skrawek podkoszulka, który ma na sobie. Wtem ona... nieco się spina. Albo tylko mi się zdaje? Zdezorientowany odnajduję na jej twarzy uśmiech, a potem czuję, jak Love zsuwa ze mnie dresy. Chyba coś sobie ubzdurałem. Nie rozstrzygając w głowie niczego, sięgam do szafki nocnej. Dobywam z niej prezerwatywy, z których jedno opakowanie rozrywam zębami.

Paręnaście sekund później zatapiam się w Love jednym powolnym pchnięciem, wypuszczając ciężki oddech w jej szyję. W zamian otrzymuję ciche jęknięcie, które tylko potęguje dreszcz podniecenia przesywający mnie na wskroś. Czuję, jak dziewczyna rozciąga się pod moim naporem, gdy wycofuję biodra i wypełniam ją po raz kolejny, tym razem zdecydowanie głębiej i dosadniej.

Chryste, mógłbym kosztować jej tak bez przerwy.

Przebiegam ustami po jej szyi, nadal trzymając ją mocno i leniwymi ruchami wbijając się w nią całym rozmiarem. Love dygocze w moich ramionach, uwalniając następne westchnienia. Czuję, jak strugi potu zaczynają kreślić mi długą drogę po plecach, gdy kołyszę śmiało jej ciałem i oddycham nierówno.

Znaczą śladem swojego dotyku całą długość jej uda. Śledzę je dłonią i odczuwam już tylko coraz to większą, wypalającą ochotę na więcej. Przytykam usta do kobiecej skroni skrytej pod warstwą ciemnych pasm. Zdmuchuję kosmyki i znowu przywieram do niej wargami. Love wzdycha w pośpiechu, przymykając powieki. Jest rozpalona jak diabli, a ja wsuwam się w nią znowu aż po samą nasadę, z wyraźnym zniecierpliwieniem i potrzebą, by bardziej ją sobie przywłaszczyć.

Składam kilka żarliwych muśnięć na jej dekolcie, a następnie podrywam głowę z ciężkim oddechem. Zaczynam dyktować szybsze tempo, przeczuwając, że Love za moment osiągnie szczyt. Kiedy tylko go osiąga, uścisk jej dłoni na moich barkach wydaje się lżejszy, a drżący jęk uderza prosto w moją pierś.

Na dobrą sprawę dopiero po czterech kwadransach udaje mi się od niej odkleić, kiedy wiem, że będę musiał sporo się natrudzić, by nie spóźnić się na sesję z pierwszą osobą, którą przyjmę dzisiaj w swoim gabinecie.

Ostatni pacjent, który mnie dzisiaj odwiedził, wyszedł już stąd dawno temu, ale ja wciąż siedzę w swoim azylu i uzupełniam dokumenty. Nie śpieszę się, bo w gruncie rzeczy przez ostatnie kilkanaście dni brakowało mi tego ślęczenia nad papierami do późna, nawet jeśli nie brzmi to do końca ani zdrowo, ani normalnie.

W pewnym momencie z amoku wytrąca mnie odgłos, jaki wydaje z siebie laptop. Odkładam na bok kolejną kartkę i w międzyczasie zerkam mimochodem na ekran komputera. W oczy rzuca mi się mail od Carli. Ściągam brwi.

Bo po co, u licha, pisze do mnie Carla?

Szybko dociera do mnie, że akurat ten mail, a właściwie to załączniki, które są do niego dołączone, są naprawdę ważne. Dostałem w swoje ręce brudy na Milesa Chatfielda, które podczas pobytu w Nevadzie zgarnęła na niego Carla. Odkładam długopis na powierzchnię biurka, a potem wzdycham i opieram plecy o oparcie fotela.

Myślę, że Aaron tak łatwo nie odpuszczy.

Ale nawet jeśli tego nie zrobi, mam coś, co sprawi, że jego zapał, by odzyskać Love, chociaż odrobinę osłabnie. W końcu kiedy na szali znajdzie się dobre imię jego rodziny, na pewno przemyśli tysiąc razy, czy chce je tak łatwo splamić.

Zadowolony z obrotu sprawy odpisuję Carli, a potem zakasuję rękawy koszuli z zamiarem powrotu do pracy. Wtem jednak słyszę, jak ktoś wchodzi do mojego gabinetu bez pukania. Podrywam głowę,

spodziewając się ujrzeć w jego progu Elise. Jednak zamiast niej w pewnej odległości naprzeciwko mnie wyrasta Chloe. Dziewczyna uśmiecha się od ucha do ucha, a mnie nagle nawiedza pewne paskudne wspomnienie.

– W takim razie do zobaczenia w przyszłym tygodniu, Willard – mówię na odchodne, kiedy młody mężczyzna zwleka się z ociąganiem z kanapy i od razu chowa dłonie do kieszeni spodni.

Brunet już chce mi odpowiedzieć, gdy nagle ktoś wparowuje do gabinetu. Marszczę brwi, przenosząc pełen dezaprobaty wzrok ze swojego pacjenta na osobę, która nie dość, że pozwoliła sobie wejść tutaj bez zapowiedzi, to jeszcze zrobiła to w trakcie mojej sesji z pacjentem.

Irytacja ulatuje ze mnie jednak tak prędko, jak dostrzegam Chloe. Moją małą, zapłakaną i rozczochraną Chloe, która ledwo się trzyma na nogach i trzęsie. Tak strasznie się trzęsie i oplata dygoczącymi dłońmi smukłe ramiona. Wygląda, jakby coś ją sponiewierało. Jakby coś ją poszarpało i poturbowało. Przełykam resztki śliny w ustach, obserwując ją jednocześnie z szokiem i strachem, który nawarstwia się we mnie ciągle i ciągle. Co takiego?

Co takiego przytrafiło się, do cholery, mojej Chloe?

Natychmiast wracam do teraźniejszości. Wciąż jednak czuję, jak klatkę piersiową rozsadza mi znajomy ból, zupełnie taki sam, jaki czułem wtedy. A wszystko przez to, że wtedy Chloe również wparowała do mojego gabinetu z takim ogromnym impetem. Również zrobiła to bez żadnego ostrzeżenia.

A potem powiedziała mi coś, co złamało mnie na części.

Pocieram powoli dłonią skroń. Cucę się jeszcze bardziej, słysząc propozycję wypowiedzianą przez Chloe, żebyśmy wrócili do mnie do domu i obejrzeni jakiś film. Podobno jeszcze dzisiaj wraca do Denver i to ostatnia okazja ku temu, żebyśmy spędzili wspólnie czas. Kiedy o tym wspomina, zgadzam się oraz pozwalam odciągnąć od pracy.

Wciąż jednak czuję niepokój.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY



LOVE

Najwyraźniej późny wieczór w środku tygodnia dla większości mieszkańców Aspen to raczej nieodpowiednia pora, by odwiedzać lokalne kino. Coraz mniej klientów przetacza się bowiem przez bar, gdzie wraz z Kaydenem odbywamy dzisiaj zmianę. Jeszcze raz przeczesuję wzrokiem całą przestrzeń i upewniam się, że teraz, kiedy nadeszła moja kolej na obsłużenie klienta, żaden nie napatoczy mi się znieścacka, gdy zaraz wrócę do lektury podręcznika.

Gdy zyskuję co do tego pewność, ponownie wściubiam w niego nos. Po chwili jednak od powtarzania materiału na zbliżające się egzaminy odciąga mnie zmarkotniały ton Kaydena:

– Ta relacja nie ma sensu, Love.

Pochylona nad blatem, odwracam głowę, by spojrzeć na chłopaka wielkimi oczami.

– Słucham? – pytam od razu, nie kryjąc zaskoczenia. – Przecież wczoraj wieczorem na kręgielni ty i Chloe dogadywaliście się o wiele lepiej niż dobrze. Co ty mi tu bredzisz?

Szatyn przewraca oczami, kładąc ofensywnie dłonie na biodrach.

– Miałem na myśli ciebie i mnie, cholerna ignorantko. Odkąd pojawił się ten drugi – Kay zerka wymownie na mój podręcznik, a potem od razu wraca spojrzeniem do mojej twarzy – poszedłem w odstawkę, więc nie widzę sensu, żeby to ciągnąć. Rozchodzimy się, a ja zwracam się do kierownika z pytaniem, czy mógłby wcisnąć mnie na poranne zmiany z tamtą dziwną blondyną.

Mrugam powoli, nie spuszczać wzroku z przyjaciela choćby na głupią sekundę. Aż w końcu parskam śmiechem na ten jego teatrzyk i po tym, jak opieram przedramiona na blacie, na powrót koncentruję swoją uwagę wokół lektury, którą męczę od samego rana, stwierdzając:

– Ty za to jesteś cholernym kretynem.

Kayden wypuszcza westchnienie i bardziej się do mnie zbliża.

– Poważnie przydałaby ci się przerwa od tego powtarzania. Odłóż to.

– To ty się na coś przydad i odpisz Ryderowi, zamiast mi przeszkadzać – mówię spokojnie i wciąż śledząc uważnym spojrzeniem treść podręcznika, przesuwam swój leżący na stole telefon, którego ekran w międzyczasie się podświetlił, do Kaydena.

Wyczuwam, że stojący obok mnie chłopak wzdryga się wtedy nieznacznie.

– Nie, ohyda. Pewnie znajdę tam coś sprośnego.

Roześmiana kręcę głową na jego zdecydowanie przesadną reakcję.

– Czy jego dylemat, jaką karmę kupić Gargamelowi, brzmi dla ciebie sprośnie? – zastanawiam się z uniesionym wysoko kącikiem ust, a niepewny Kayden po chwili jednak kapituluje. Rozkłada ręce, bierze w jedną dłoń moją komórkę i zaczyna odczytywać powiadomienia.

– Szlag, ten dylemat nie – odpowiada mi prędko z wyraźną udręką. – Ale wiadomość niżej, że przecnicę od zoologicznego jest sklep z ładną damską bielizną, to wiedza, której, rany boskie, ani trochę nie potrzebowałem osiąść.

Rozchyłam zupełnie mimowolnie usta i prostuję się prędko jak struna.

– Konfiskuję – rzucam, przechwytyjąc od chłopaka swoją komórkę.

Kayden wzrusza ramionami, a potem zgarnia z blatu mój podręcznik.

– To ja też coś konfiskuję.

Patrę na niego z nieskrywanym pobbłazaniem.

– Kayden, ja to zrobiłam dla twojego dobra.

– Ja również zrobiłem to dla twojego. – Mój niezniechęcony rozmówca odbija piłeczkę. –

Przemęczasz się, a przecież zapewne już dawno, odkąd zaczęliśmy zmianę wiele ładnych godzin temu, utrzymałaś sobie wszystko w tej ślicznej główce. Teraz zaprzętaj ją sobie czymś innym.

Unoszę pytająco brew.

– Niby czym?

Chłopak kiwa sugestywnie głową w stronę lady.

– Może najpierw zamówieniem klientów? – mówiąc to, posyła mi uśmiech, a ja podążam wzrokiem w kierunku, który wskazał.

Widząc dwie nastolatki zmierzające do kinowego baru, podchodzę do nich ze standardowym zapytaniem, czego sobie życzą. Później sięgam po dwa papierowe kubki, do których w ciszy nalewam gazowane napoje.

Przy okazji zerkam na ekran położonej na blacie komórki, który ponownie się podświetlił. Czytam kolejną wiadomość od Rydera, z której wynika, że za niedługo, jak już z Kaydenem skończymy zmianę, wpadną do nas z Chloe, bo aktualnie śleczą we dwoje na kanapie u nas w bliźniaku, oglądając jakiś denny film. Skoro jest taki denny, niedziwne, że atakuje mnie wiadomościami.

Oddaję napoje w ręce dziewczyn i przyjmuję od nich banknot, bo – jak się okazuje – przekąski wręczył im w międzyczasie znudzony beczynnością Kayden. Gdy w zasięgu wzroku znowu nie ma już żadnego klienta, wracam do chłopaka i, zatrzymując się tuż obok niego, opieram łędwie o krawędź blatu.

– Chlo wraca jeszcze dzisiaj do Denver? – zagajam oraz zerkam na przyjaciela.

Ten unosi brew i odwzajemnia moje spojrzenie.

– Skąd wiesz? Pisałaś z nią?

– Nie musiałam. Z reguły ona i Ryder łąpią się na ostatnią chwilę, tuż przed tym, jak ona musi wracać do domu. Spędzają ze sobą godzinę, może kilka.

– Tak, wraca jeszcze dzisiaj – potwierdza trochę smętnie Kay. – Ale dla odmiany to ja niedługo wybieram się do Denver. Myślę, że w przyszłym tygodniu, jak będziemy już po egzaminach. Wtedy zresztą zapraszali mnie na kolację Jane i Richard, więc dobrze się składa.

Kayden wspomina o rodzicach Rydera, z którymi swoją drogą ma naprawdę dobre relacje, a moje kącki ust podjeżdżają ku górze, kiedy przypominam sobie, jakim ciepłem mnie również otoczyli na samym początku, gdy tylko się z nimi zetknęłam. Aż nabieram ochoty, by również odpowiedzieć na któreś z zaproszeń Jane i wpaść choćby na dniach do Denver.

Trącam przyjaciela łokciem w bok.

– Trochę odpoczniesz.

– No co ty, czeka mnie sporo pracy – odpowiada mi, a potem przeciera dłonią zmęczoną twarz. – Będę pomagał Chlo w przeprowadzce do nowego mieszkania.

– Chlo wyprowadza się od rodziców? Z małym?

Chłopak kiwa głową, potwierdzając tym samym moje przypuszczenie. Później oboje milkniemy na dłuższą chwilę. Każde z nas pograża się w swoich myślach, aż w końcu Kayden ściąga delikatnie brwi i wbija wzrok przed siebie, jakby coś wyraźnie go gryzło.

– Swoją drogą powiedziała mi wczoraj coś, co dalej mnie cholernie zastanawia – zaczyna nieobecny, lecz wtem przy ladzie pojawia się jakaś rodzina. Kayden zerka na mnie znacząco, niewerbalnie zapewniając, że za moment rozwinię zaczęty przez siebie temat.

Mija kilka minut, zanim do mnie wraca i zaczyna porządkować bałagan, który oboje narobiliśmy. Sama również się za to zabieram, słysząc, jak Kay ciągnie niedokończony wątek:

– Kiedy wracaliśmy z kręgielni do mnie, powiedziałem Chloe, że gołym okiem widać, jak bardzo ona i Ryder są zgrani. Założę się, że tego wieczoru tobie też przeszło to przez myśl... A ona słysząc to, uśmiechnęła się naprawdę smutno i stwierdziła, że w zasadzie nie zawsze tak było – streszcza chłopak. – Wydaje mi się, że kiedyś coś musiało ich bardzo poróżnić.

Ich? Coś miałoby poróżnić Chloe i Rydera?

Przecież oni dogadują się naprawdę świetnie. Od razu próbuję sobie przypomnieć, czy Ryder opowiadał mi kiedyś o zgrzytach pomiędzy nim a młodszą siostrą. Szybko jednak dochodzę do wniosku, że tego nie robił. Na pewno nie. Ściągam więc brwi i wciąż zdziwiona stwierdzam:

– Trudno mi to sobie wyobrazić.

– Prawda? – dorzuca chłopak.

W momencie, kiedy to mówi, odzywa się jego komórka. Przyjaciół sprawdza, kto dzwoni, a potem zerka na mnie przepaszająco i wychodzi na chwilę na zaplecze, by odebrać połączenie. Ja w tym czasie doprowadzam nasze stanowisko do porządku i ciągle myślę o tym, co Chloe powiedziała wczoraj wieczorem Kaydenowi.

Przypadkowy zaułek blisko kina skąpany jest w mroku, ale niewyraźne światło ulicznej latarni opada na kawałek jednej ze ścian tworzącego go budynku i pozwala dostrzec na niej sporych rozmiarów plakat. Zachowany w jaskrawych kolorach parę minut temu przyciągnął mnie do siebie od razu, kiedy maszerowaliśmy z Ryderem chodnikiem.

Teraz stoję przed banerem i staram się skupić na tym, o czym on informuje, lecz trudno jest mi to zrobić, gdy słyszę bez przerwy mrukliwy ton swojego mężczyzny:

– Love, sterczymy tu już wieczność. Chodźmy w końcu dalej.

Kręcę głową, nie zaszczycając go nawet przelotnym spojrzeniem.

– Jeśli coś ci nie pasuje to droga wolna, Panie Niecierpliwym – rzucam święcie przekonana, że odpuści i po prostu pozwoli mi w spokoju przeczytać szczegóły dotyczące pokazu sztucznych ogni, który zostanie zaprezentowany jeszcze dzisiaj, już całkiem niedługo.

Spotykam się jednak z nieco inną reakcją Rydera niż ta, której oczekiwałam.

– W sumie nic mnie tu nie trzyma – wzdycha mężczyzna, a potem jego ręka nagle nie przesuwają się w górę i w dół mojego boku. W zasadzie już nawet mnie nie dotyka, bo jej właściciel przestaje mnie obejmować oraz zaczyna wycofywać się w stronę ulicy.

Zaskoczona od razu ciągnę go ku sobie za przedramię i fukam:

– No chyba nie myślisz, że mówiłam serio. Ten zaułek jest ciemny, długi i...

Ryder prychnął cwanie pod nosem, obserwując mnie z góry tymi swoimi szarymi oczami.

– Panikara – dogryza mi, a potem już bez zbędnych uszczypliwości, dodaje spokojnie: – Po prostu poważnie, chodźmy dalej. Przeczytałem to, co jest na plakacie od deski do deski.

Słyszając, co mówi, unoszę brew.

– No i co sądzisz?

Mężczyzna splata nasze dłonie i kiwa głową w stronę chodnika, dając mi znać, żebyśmy ruszyli w jego stronę. Zmierzam więc do niego, cały czas wpatrując się w twarz Rydera, której jestem w stanie przyjrzeć się lepiej dopiero, kiedy stoimy już na poboczu drogi, pod jedną z ulicznych latarni. Wtedy brunet przystaje na chwilę i zagląda mi w oczy z niemym zapytaniem.

– Raczej co ty sądzisz. Skąd chcesz oglądać pokaz?

– Nie mam pomysłu – odpowiadam szczerze. – Skądś, skąd będzie go dobrze widać.

Ryder przez dobrych kilkanaście sekund najpewniej szuka w głowie sensownej opcji. Gdy to robi, nieprzerwanie skupia swój wzrok na mnie. Co jakiś czas przechodnie mijają nas bez zbędnego zainteresowania. Nie ma ich wcale wielu o tej godzinie i o tej porze roku.

Wtem mężczyzna kołysze w powietrzu moją dłoń, nadal splecioną ze swoją.

– Chyba mam w głowie miejsce, z którego widok na fajerwerki od razu cię kupi – zaczyna tajemniczo, a jego kącik ust podjeżdża ledwie zauważalnie do góry. – Ale najpierw ty musiałabyś przekupić czymś mnie.

Kręcę powoli głową i mrużę podejrzliwie oczy.

Co on kombinuje?

– Skąd mam wiedzieć, czy ta... – Zastanawiam się, jak ubrać w słowa to, co od niego usłyszałam, a kiedy już na coś wpadam, ciągnę dalej: – Wymiana będzie mi się opłacać?

Ryder uśmiecha się leniwie, odwraca wzrok gdzieś w prawo i przejeżdża szybko językiem po wardze. Po chwili znowu zagląda mi głęboko w oczy. Intensywność jego spojrzenia przyprawia mnie o ciarki na plecach. Patrzę, jak mężczyzna bez pośpiechu nachyla się nad moją twarzą i zbliża usta do mojego ucha, by wyszeptać do niego zaledwie jedno zdanie:

– Przypomnij sobie, w jakie miejsca lubię zabierać dziewczynę, której chcę zaimponować. Wtedy może prościej będzie ci podjąć decyzję, czy chcesz zgadzać się na moje warunki.

Potem prostuje się i znowu góruje nade mną swoim ogromnym wzrostem. Ja za to od razu wracam

pamięcią do rozmowy, którą odbyliśmy już dawno temu. Ryder lubi zabierać dziewczyny w piękne miejsca. A ja nie mam wątpliwości, że to, które przyszło mu na myśl, również takie będzie.

Każde, do którego mnie zabierał, było właśnie takie.

Dlatego bez większego namysłu wspieram się na palcach stóp, zaczepiam dłonie na jego szerokich ramionach skrytych pod czarnym podkoszulkiem i odnajduję drogę do jego ust. Ryder z marszu opuszcza ręce i zamyka w nich moją talię, przyciągając mnie bliżej siebie oraz pogłębiając pieśczoć. Jego niski pomruk uderza w moje wargi, gdy z uśmiechem się od niego odsuwam.

– Myślisz, że to cię przekupiło? – pytam słodko, przechylając odrobinę głowę.

Zadowolony mężczyzna trąca zaczepnie swoim nosem mój.

– Prawie. Chodź tutaj, Porter.

Tym razem to on zupełnie nagle, gdy się tego nie spodziewam, inicjuje pocałunek. Jest on krótki – w końcu nadal stoimy na chodniku, może i niemalże pustym, lecz jednak na nim – ale jest też w stanie bez trudu sprawić, że moje nogi stają się wiotkie. Bo jest stanowczy i zdecydowany. Bo Ryder zanim się wycofuje, znaczy moją dolną wargę śladem swoich zębów.

Rany, on doskonale wie, czego chce, i po prostu to sobie zabiera.

– A teraz do przodu, bo zaraz zaczniesz się pokazywać – rzuca rozkazem.

Uszczęśliwiona chwytam go pod rękę, gdy tylko mi to oferuje. Serce nadal bije mi w piersi szalenie szybko, przez całą niedługą drogę, którą przemierzamy, by dotrzeć tam, skąd podobno widok na fajerwerki będzie bardzo piękny.

Do... och, na Boga.

Diabelskiego młyna, który znajduje się w pewnej odległości od centrum Aspen. Stojąc tuż pod wielgachną atrakcją, błyskawicznie opuszczam ręce wzdłuż tułowia i odwracam się przodem do towarzyszącego mi mężczyzny.

– Nie, Ryder – zaczynam twardo, biorąc głęboki wdech do płuc. – Nie myśl nawet, że dam się tam zatrzasnąć po tym, co stało się z wyciągiem, kiedy poszliśmy na niego po moim występie – wspominam tę sytuację z niesmakiem. – No dalej, w tył zwrot.

Mężczyzna trzyma mnie przy sobie, pilnując, bym nie odeszła od niego chociażby na jeden krok. Jego szare oczy leniwie przesuwają się po mojej twarzy, a ja zauważam błakające się w nich zawzięcie. No ładnie. Nie wyslizgnę mu się z rąk ani tak łatwo nie przekonam go, żebyśmy czym prędzej wrócili do domu. Poważnie wolałabym już nawet oglądać fajerwerki ze swojego tarasu.

Ryder przebiega uspokajająco opuszkami palców po mojej talii.

– To cholernie piękne miejsce – mówi z przekonaniem. – Zresztą mieliśmy wymianę. Po mojej stronie leży teraz zabranie cię tam, żebyśmy byli kwita.

– Będziemy, ale mieć ciche dni, gdy mnie tam usadzisz.

Mężczyzna powstrzymuje cichy, chrapliwy śmiech.

– Mogę cię nawet usadzić na sobie i objąć tak mocno, jak jestem w stanie, jeśli to popchnie cię do tego, żeby jednak tam pójść – stwierdza zdeterminowany, ale ja nadal patrzę na niego z rezerwą i założę się, że wyraźnym grymasem wymalowanym na twarzy.

– Mam ochotę popchnąć ciebie – bąkam. – Z samej góry prosto na dół.

– Porter, nie możemy wiecznie oglądać sztucznych ogni z łóżka – protestuje, lecz kiedy tylko coś sobie przypomina, nachyla się nad moim uchem, do którego wyszeptuje niskim tonem kilka niepozornych słów: – Nawet jeśli bardzo, bardzo lubię oglądać je z tobą właśnie stamtąd.

Chicago, uświadamiam sobie prędko. *Nasze Chicago*. Doskonale pamiętam, co wydarzyło się tam, gdy wybuchły sztuczne ognie, i czuję, jak robi mi się odrobinę cieplej. Nieco zawstydzona odwracam wzrok do wielkiego pasma gór, lecz prędko wracam nim do twarzy Rydera.

– Ja też to lubię – wyznaję nieśmiało. – Więc przegłosowane: wracamy oglądać fajerwerki do bliźniaka.

Ryder kręci zdecydowanie głową.

– Tym razem obejrzymy je z wysokości – mówi i zaraz po wypowiedzeniu tych słów rusza ze mną przy boku po bilety wstępu do chłopaka, który stoi nieopodal nas i obsługuje teraz jakąś inną parę. Prędko i nam wręcza wejściówki w zamian za odpowiedni banknot, który podaje mu mój facet.

– Nie odpuścisz? – pytam go jeszcze, wykrzywiając usta.

Mężczyzna całuje mnie czule we włosy i szepcze w nie:

– Będę trzymał cię przy sobie, dobrze?

Od razu zaprzeczam, pociągając teatralnie nosem.

– Nic nie jest dobrze.

Ryder odsuwa się i kręci głową z lekkim rozbawieniem.

– Najwyżej spadniesz na cztery łapy, kotku – mruczy ledwie słyszalnie, jakby sam do siebie, a ja zaciskam usta w wąską kreskę i biję go dłonią w pierś.

– Ryder! – grmię cała w nerwach, bo mężczyzna nagle wciąga mnie do niedużej kabiny i po tym, jak zajmuje miejsce na siedzeniu, sadza obok siebie. Omiotam rozgorączkowanym spojrzeniem niedużą przestrzeń i czuję, jak gardło schnie mi na wiór. Wciąż pamiętam zdradę przekłętą wyciągu narciarskiego.

– Tylko nie płacz, bo nie wziąłem chusteczek – rzuca uszczypliwie mój towarzysz.

Spoglądam na niego, nie kryjąc urazy.

– Wziąłeś ze sobą tylko plan, jak się mnie pozbyć.

– No i parę dolców na wiązanke, kiedy już będzie po wszystkim.

Zanim zdążę wydusić z siebie jakiś niekoniecznie miły komentarz do jego słów, cała machina rusza. Odruchowo zaplatam kostki w powietrzu i ściskam mocniej silne przedramię Rydera, za które nie mam bladego pojęcia, kiedy zdążyłam go chwycić. Po kilkunastu sekundach jednak nieco się uspokajam. Nic nie wskazuje na to, żeby akcja sprzed paru miesięcy miała się powtórzyć.

– Jest prawie tak jak na wyciągu – zagaduję, lecz prędko sztywnieję, słysząc podejrzany odgłos, gdy Ryder poprawia się na siedzeniu. – Czekaj, coś zatrzęszczało czy to tylko twoje stare kości?

Mężczyzna spogląda na mnie spod przymrużonych powiek.

– Love – karci mnie burkliwie.

Wzruszam ramionami.

– Spróbuj się rozluźnić – wzdycha, a ja posłusznie podejmuję taką próbę i opieram skroń o jego ramię, gdy mówi: – Widoki z wyciągu były niezwykłe, ale te są lepsze, nawet jeśli nie ma jeszcze fajerwerków na niebie.

Wyglądam za szyby i koncentruję uwagę na otoczonym okazałymi górami Aspen. Miasto prezentuje się naprawdę ładnie, gdy ogląda się je właśnie stąd. Aż chciałabym zobaczyć je z tego miejsca, gdy nie dość, że jest obsypane śniegiem, to w dodatku pozostaje skąpane w świątecznych lampkach i świecących ozdobach.

Od razu jeszcze bardziej nie mogę się doczekać zimy.

– Faktycznie – zgadzam się z nim szeptem. – To piękne miejsce.

Później na chwilę milknę. Przymykam powieki oraz coś sobie wyobrażam. Coś, co sprawia, że w mojej piersi rozlewa się ciepło, a w podbrzuszu budzą się motyle. Nagle nie noszę już w sobie obawy, którą nosiłam w sobie jeszcze parę chwil temu. A już zwłaszcza nie noszę jej w sobie, kiedy Ryder obejmuje mnie szczelniej ramieniem i po paru minutach zadaje mi cicho pytanie:

– O czym myślisz?

Otwieram oczy i uśmiecham się delikatnie.

– Chyba mam nowe naiwne marzenie.

– Jakie? – docieka zaintrygowany mężczyzna.

Wtulam się w niego mocniej i zaciągam jego zapachem. Atrakcja porusza się w powolnym tempie, a ja w takim samym zaczynam mówić Ryderowi o swoim życzeniu:

– Mógłbyś mi tutaj pewnego dnia coś poczytać – zaczynam cicho, a uśmiech nie spełza z moich warg choćby na sekundę. – Choćby przez tych parę krótkich minut. Najlepiej kiedy byłoby bardzo ciemno, a śnieg spadałby z nieba ciągle i ciągle... – Robię krótką przerwę i ciągnę dalej z niezmiennym rozmarzeniem: – Mógłbyś trzymać moją dłoń i co jakiś czas zerkać w moim kierunku czujnym wzrokiem, by upewnić się, że twój usypiający głos znowu przypadkiem nie sprawił, że kompletnie odleciałam. Mógłbyś zrobić to wszystko, a ja mogłabym powiedzieć ci potem coś, co tylko zechciałbyś ode mnie usłyszeć.

Podrywam głowę. Ryder obserwuje mnie bardzo, bardzo uważnie.

– To brzmi cudownie, Love – stwierdza szeptem.

Tak. To brzmi dokładnie tak.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY



LOVE

Denver wydaje mi się tak samo przeludnione praktycznie za każdym razem, gdy tu jestem. A już zwłaszcza wydaje mi się takie dzisiaj – w jeden z cieplejszych, późnowiosennych dni, w który wraz z Ryderem zdecydowaliśmy się odwiedzić stolicę stanu. Ukrywając się przed słońcem pod zadaszoną częścią przypadkowej knajpy, omiadam spojrzeniem tłumy ludzi przechadzające się szerokimi chodnikami. Próbuję dostrzec pośród nich mojego mężczyznę. Ten zwał mi bowiem sprzed nosa tuż przed momentem.

Czuję nieprzyjemny ucisk w piersi, kiedy tylko nareszcie go namierzam. Ryder stoi przy budce z lodami i poprawia okulary przeciwsłoneczne, które tkwią na jego nosie. Kupuje słodkości, chcąc zapewne sprawić mi niespodziankę.

A ja szybko smutnieję.

Tak szybko i tak bardzo smutnieję, bo jak niby miałabym mu to powiedzieć? Jak niby miałabym powiedzieć mu, że jego gest zamiast mnie uszczęśliwić, sprawił, że już w przeciągu ułamka sekundy zaczęłam zastanawiać się nad tym, w którym miejscu na ciele odłożą mi się te przekłete lody?

Takie myśli, odkąd wyrwałam się z Carson City, nawiedzały mnie z początku rzadko, lecz z upływającym czasem stawały się coraz bardziej uciążliwe. Odwracam się plecami do budki i nadal stojącego przy niej Rydera, nie umiając odnaleźć w sobie odwagi, by na niego patrzeć. Przesuwam powoli dłońią po twarzy. Opuszczam ją bezradnie z udręczonym oddechem oraz zaciskam mocno powieki. Jestem taka beznadziejna.

On tak długo walczył, by nakierować cię na dobry tor. Najpierw jako psycholog, potem jako twój partner, wkładał tak wiele wysiłku w to, żebyś postrzegala jedzenie jak ktoś zdrowy. A czym ty mu się za to odwdzięczasz? Byciem zbyt słabą, by odeprzeć od siebie to, co zostawiły w tobie jakieś głupie, niedawne słowa Aarona, że stałaś się odpychająca i okrągła?

Może... może gdyby Ryder się o tym dowiedział, nie chciałby dłużej użerać się z kimś tak popapranym jak ja? Przeraza mnie to. Tak bardzo mnie to przeraża, że wciąż wszystko w sobie duszę, chociaż mogłam już przynajmniej dwa razy przyznać mu się do tego, że coś nie gra. Gdy wracaliśmy z kręgli oraz gdy kochaliśmy się, a on chciał podwinąć moją koszulkę. Ale nawet on... Nawet mój ukochany Ryder nie może być przecież święcie cierpliwy.

– Tylko mi nie mów, że to ciągle siedzi ci w głowie – słysząc nagle właśnie jego głos, zamieram i bardzo powoli odwracam się, by na niego spojrzeć.

Czy on... czy on się domyśla?

– Co masz na myśli? – pytam szeptem.

Ryder marszczy brwi i z uśmiechem podaje mi lody.

– No mam nadzieję, że nie boisz się kolejnej konfrontacji z Jane.

Wydaje mi się, że pewien ciężar właśnie został mi zdjęty z barków. Unoszę wciąż z lekka niepewny wzrok z dwóch gałek lodów na spokojną twarz swojego ukochanego.

– Ach, spotkania z twoją mamą... nie, coś ty, już dawno się tego nie boję – odpowiadam i dla niepoznaki próbuję przysmaku. Po chwili uśmiecham się fałszywie wesoło i stwierdzam bez zająknięcia: – Są przepyszne, dziękuję.

Ryder bierze mnie pod rękę i sam próbuje swoich lodów. Wpatrując się w niego przez jakiś czas, myślę, że gdybym go nie znała, naprawdę zawiesiłabym na nim wzrok, kiedy przechodziłabym tak po prostu ulicą. Wygląda wściekle atrakcyjnie z roztrzepanymi włosami i ciemnymi okularami na nosie, mając na sobie eleganckie spodnie oraz czarną polówkę.

Czy ty naprawdę uważasz, że ktoś taki jest ci pisany?, słyszę swoje myśli.

Natychmiast uciekam spojrzeniem od mężczyzny i wbijam je w wysokie wieżowce otaczające główną ulicę, którą przemierzamy. Udaję, że naprawdę robią na mnie wrażenie i próbuję, naprawdę próbuję, ile tylko mam sił, odciąć się od swoich beznadziejnych obaw.

Wtedy odzywa się Ryder:

– To dobrze, że nie boisz się już Jane, chociaż w sumie nie będziemy w jej pracowni jakoś bardzo długo. Oprowadzę cię po niej, a potem pojedziemy po farby dla Chloe.

– Chyba po farby dla ciebie – poprawiam go. – Zaoferowałeś, że to ty pomalujesz ściany w jej nowym mieszkaniu, skoro Kayden wziął na siebie skręcanie mebli.

Czuję, że ciężar spojrzenia mężczyzny łąduje na mojej twarzy, więc skupiona już bardziej na naszej rozmowie niż na bałaganie w swojej głowie, również na niego spoglądam. Ryder ściąga wtedy okulary przeciwsłoneczne i upycha je do kieszeni.

– Zaoferowałem to, pod warunkiem, że nie będziesz mi w tym pomagać – przypomina, a potem bez ceregieli nachyla się, by móc skosztować także moich lodów.

Prycham, nieprzerwanie krocząc powolnym krokiem u jego boku.

– Gdybyś był romantykiem, postawiłbyś warunek, że mam ci pomagać.

– Więc nim nie jestem – stwierdza nieprzejęty Ryder, a po ledwie sekundzie dorzuca: – Za to jestem pewien, że gdybyś mi pomagała, narobiłabyś więcej szkody niż pożytku.

Znowu przeczesuję wzrokiem okolicę, kręcąc głową z nieznacznym uśmiechem. A kiedy odnajduję spojrzeniem pewne miejsce, budzi się we mnie całkiem miła wizja. Myśląc o niej, mam wrażenie, że na dobre udaje mi się odpędzić od wcześniejszych zmartwień.

Chociaż na parę chwil.

– Nic straconego – odpowiadam mężczyźnie i ponownie skupiam się już tylko na nim. – Możesz jeszcze udowodnić mi, że potrafiśz być romantyczny.

Ryder unosi z zaciekawieniem brew.

– Niby w jaki sposób?

– Zabierz mnie tam nocą. – Wskazuję sugestywnym kiwnięciem na przeciwległą część miasta, gdzie w gąszczu wysokich drapaczy chmur przepływa szeroka rzeka otoczona piętrzącymi się wokół niej niewysokimi, trawiastymi wzniesieniami. Ludzie siedzą tam teraz tłumnie na kocach, zwabieni promieniami popołudniowego słońca.

Mój towarzysz początkowo milczy ze spojrzeniem wbitym w dal.

– Na karaoke? – Wyteża wzrok. – O nie, skończyłbym głuchy.

Marszczę pretensjonalnie nos i bąkam obruszona:

– Już jesteś tak paskudnie stary, że aż półgłuchy.

– Czy mam ci umazać twarz tym lodem? – pyta z powagą Ryder.

– Czy mam ci kupić już laskę, czy dasz jeszcze radę chodzić prosto?

Uśmiecham się zwycięsko. Mężczyzna za to odsuwa się delikatnie i teraz nie spacerujemy już co prawda przy sobie, ale bardzo blisko siebie tak, że prawie stykamy się ramionami. Przez moment mkniemy przez miasto w milczeniu, aż w końcu Ryder odzywa się z wyrzutem:

– Wiesz co?

Zaglądam mu w oczy.

– Co?

– Nigdzie cię nie zabiorę – zapowiada dobitnie.

Śmieję się cicho pod nosem na to jego zarzekanie.

– Za kwadrans dopytasz, dokąd miałeś mnie zabrać.

– Nie zrobię tego za żadne skarby.

Rozbawiona kręcę głową, wiedząc, że i tak uda mi się go przekabacić. Nawet jeśli mam tę świadomość, decyduję się go jednak podejść. Po tym, jak wruszam ramionami, wypuszczam przeciągły oddech z płuc i zaczynam mówić:

– Niech będzie, pójdę sama... – Wzdycham z fałszywym smutkiem. – Tuż przed północą. Kiedy po ulicach będą się już kręcić dziwne typy. Wiedziałaś, że Denver nie ma wcale tak niskiego wskaźnika przestępczości? Podobno średnio raz na... – przerywam, gdy Ryder sięga po moją dłoń, w której trzymam

lody, i wciska mi je tak po prostu w twarz, bym się przymknęła. Od razu odsuwam je od niej, obruszając się:

– Przez ciebie wyglądam teraz jak klaun!

Tym razem to mężczyzna prycha z kpina.

– Żeby tylko teraz. Ucisz się, zabiorę cię tam.

Ścieram z policzka ślad po katastrofie.

– Nie wiesz nawet dokąd.

– Więc dokąd?

– Nad rzekę. Poleżymy na trawie i popatrzymy na miasto nocą... – wyjaśniam w końcu i unoszę kąciki ust, dobywając wiszącą w powietrzu dużą dłoń Rydera, by złączyć ją ze swoją – ...może nawet posłuchamy muzyki, ale z jednej pary słuchawek, żeby oszczędzać twój słuch.

Mężczyzna łypie na mnie spod byka, jednak nie odsuwa się po raz kolejny. Zamiast tego ściska ostrzegawczo moją rękę i grozi mi markotnym tonem:

– Jak nie przestaniesz, zetnę ci te długie kudły, paskudo.

– Przecież je lubisz – zauważam radośnie. – Mnie też lubisz.

Wtem Ryder ciągnie mnie delikatnie w stronę wejścia do jednej z kamienic. Jest całkiem spora i przeczuwam, że skoro kierujemy się do niej, właśnie tam znajduje się pracownia malarska jego mamy, do której zmierzaliśmy.

– Lubię cię, gdy nie jesteś wredna – słyszę jego odpowiedź.

– A gdy jestem? – dociekam i po upływie zaledwie sekundy czuję, jak mężczyzna zbliża usta do mojego ucha, by wyszeptać w nie kilka słów, po których usłyszeniu robi mi się z automatu odrobinę cieplej.

– Mam ochotę utemperować cię w niekoniecznie przyzwoity sposób.

Przechodzę przez próg kamienicy, a mężczyzna szczypie mnie wtedy w pośladek. Kiedy to robi, aż nieznacznie podskakuję. Stojąc już w zaciemnionym korytarzu, odwracam głowę, by spojrzeć na niego i parsknąć śmiechem.

– Serio? Tak przy ludziach?

Ryder unosi kącik ust.

– Nikt nie widział.

– Twojej ręki na tyłku Love? – Wtem dobiega mnie znajomy głos, więc wyglądam za szerokie ramię mężczyzny i otwieram szerzej oczy na widok wchodzącej za nami do kamienicy Jane. – Ryder, czy ja naprawdę wychowałam cię na takiego prymitywa?

Sam zainteresowany ściąga brwi i pomału się odwraca.

– Mamo? Podobno jesteś od samego rana w pracowni.

Kobieta unosi papierowy kubek, który trzyma w dłoni.

– Byłam po kawę w kawiarni obok – tłumaczy, a potem wyciąga z kieszeni klucze i rzuca je Ryderowi. – Masz, zajmij czymś te rączki i otwórz drzwi.

Przytykam dłoń do ust, by pohamować śmiech, gdy Ryder rzuca pod nosem coś niezrozumiałego, a potem wciska jeden ze złapanych w locie kluczy do zamka drzwi. Mężczyzna majstrując przy nim, zwraca się do mnie z pytaniem:

– Możesz się nie podśmiechiwać pod nosem?

– To zabawne – bronię się. – Co mam niby robić?

– Na początek pozwól mi się oprowadzić – mówiąc to, wyraźnie pogodna dzisiaj Jane obejmuje mnie ramieniem i wchodzi dumnie w głąb swojej pracowni, do której Ryder otwiera przed nami drzwi. Na widok wielkiej przestrzeni wypełnionej przeróżnymi obrazami i sztalugami, nabieram powietrza.

Wow, ile tego jest.

– Ja miałem to zrobić – wzdycha syn pani gospodarz.

Jane macha lekceważąco wolną ręką w powietrzu.

– Ty możesz wlec się za nami – stwierdza.

– Wykluczasz mnie?

– Na szczęście jest bystry. – Kobieta mówi mi to do ucha, a mi ze śmiechu omal nie wypadają z dłoni na wpół roztopione już lody. – Jak wam leci w tym Aspen? – dopytuje jeszcze ciekawsko, poprawiając materiał swojej długiej, zwiewnej sukienki do kostek w odcieniu beżu.

Przez chwilę rozmyślałam nad jej pytaniem, podziwiając ściany ozdobione obrazami.

– Spokojnie – odpowiadam, niemalże czując na własnej skórze sympatię bijącą od Jane. – Ryder nadal pomaga pacjentom, a ja nadal dzielę czas między zmianami w kinie i zajęciami baletu. Na szczęście po zdanych egzaminach na razie nie muszę zaprzętać sobie głowy uczelnią.

Pani Callahan kiwa głową ze zrozumieniem i łapie mnie za słówko:

– Ach, balet. Może niedługo znowu załapiemy się z Richardem na twój występ?

– Nie wiem, czy mamy jakiś w planach. No i czy dostałabym w nim rolę...

– Ostatnio chodzisz tam za często – wtrąca Ryder, a ja odwracam się i dostrzegam, że jest wpatrzony w ekran swojego telefonu, który trzyma w dłoni. – Nie widzę więc opcji, żebyś jej nie dostała, skoro tak poświęcasz się treningom.

Jane, która wciąż mnie obejmuje, potrząsa nieco moim ramieniem.

– Komuś chyba przeszkadza, że nie jest w centrum czyjegoś zainteresowania.

– To wcale mi nie przeszkadza. – Mężczyzna od razu zaprzecza, nadal snując się za nami mozolnym krokiem. – Zauważyłem tylko, że Love ostatnio częściej tańczy. O wiele częściej.

Ponownie przeczesuję wzrokiem jasne ściany pracowni.

– Ivory mówi, że to dobry moment, żebym postarała się trochę bardziej. Nie wiem, o co jej do końca chodzi, ale i tak nie mam za bardzo innych zajęć w przerwie od uczelni. A ty? – zwracam się do Jane, która zsuwa nagle dłoń z mojego ramienia. – Masz w planach jakąś wystawę? Chyba byłoby ją z czego zrobić, bo widzę tutaj tonę obrazów.

Kobieta przytakuje, rozglądając się wokoło.

– Tak, jest ich całkiem sporo... Odkąd Chloe wyprowadziła się z Raine'em, przychodzi tu częściej, a przecież minęło dopiero kilka dni... Kto wie, może niedługo rzeczywiście coś zorganizuję?

Potem Jane stwierdza, że przesłucha Rydera. Odłączam się więc od nich na parę minut, tłumacząc się zachcianką, by przetrząsnąć samotnie każdy zakamarek wielgachnej pracowni. Bardzo długo biję się z myślami, zanim po tym, jak odnajduję kosz na śmieci i upewniam się, że nikt nie patrzy, wyrzucam do niego swoje ledwo zaczęte lody. Mam wrażenie, że gdy to robię, słyszę w głowie bardzo głośny, szyderczy śmiech Aarona.

Odchodząc od kosza, ścieram w pośpiechu pierwszą oraz jedyną łzę, która wypływa mi niekontrolowanie spod powieki i kreśli długi ślad po moim policzku, a potem brodzie. Zasmucona zamykam oczy, wypuszczając bezgłośnie, żalosne westchnienie.

– Wyjdź z mojej głowy. Tak bardzo cię proszę, w końcu z niej wyjdź...

Późnym wieczorem jesteśmy już w nowym mieszkaniu siostry Rydera. Co prawda bez niej samej, ale to zapewne wcale nie potrwa długo, bo Chloe wraz z synkiem i Kaydenem pojechali tylko po kilka ostatnich rzeczy do posiadłości jej rodziców, która nie jest specjalnie oddalona od nowego lokum dziewczyny. Zakładam, że wrócą do nas w okamgnieniu.

Po kilkunastu minutach spędzonych na układaniu naczyń w kuchennych szafkach, stwierdzam, że skontroluję, jak radzi sobie Ryder, który, tak jak zapowiedział wcześniej, wziął się za malowanie ścian. Teraz chyba próbuje uporać się z tymi w salonie.

Wchodzę do pomieszczenia pewnym krokiem, a przywołany szmerem mężczyzna natychmiast odwraca się w moją stronę. Odciąga nieco dłonią materiał czarnego podkoszulka od spoconego od wysiłku ciała, a jego oczy zwięzają się, jakby w ostrzeżeniu, gdy patrząc na mnie, od razu zaczyna mówić:

– Uważaj na...

Akurat wpadam z impetem na kubek z czymś lepkiem.

– ...farby – dokańcza z politowaniem Ryder. – Rany boskie, Porter.

Z niesmakiem ściągam brudną skarpetkę i podchodzę do mężczyzny. Stojąc już tuż przed nim, zadzieram brodę, by skrzyżować z nim spojrzenie oraz ładnie się uśmiechnąć.

– Przyszłam cię trochę wesprzeć. Nawet jeśli ustaliliśmy, że ci nie pomagam, to pomyśl tylko, co by było, gdybym jednak złapała za pędzel. Wspólnie pomalowalibyśmy te ściany o wiele szybciej.

Nieprzekonany Ryder kręci głową i wraca do malowania ściany wałkiem.

– Znajdź sobie inne zajęcie. Albo wspieraj mnie, siedząc w ciszy na tyłku.

– Może jeszcze każ mi iść to robić do kąta – prychem pod nosem.

– Idź to robić do kąta.

Mrużę złowrogo oczy, ale mężczyzna nic sobie z tego nie robi. Ba, nawet tego nie widzi, bo jest zaabsorbowany ścianą. A ja aż nabieram ochoty na to, by się z nim trochę podroczyć.

– Okej, poszukam sobie innego zajęcia. Może poznam bliżej nowych sąsiadów Chloe? Chociaż nie wiem, czy to dobry pomysł... – Siadam na podłodze i wzdycham z udawanym zastanowieniem. – Chyba mam ogromną słabość do przystojnych facetów zza ściany, a częste odwiedzanie Chloe, żeby się z nimi mijać na schodach, z upływem czasu zaczęłoby mi dawać nieźle w kość.

Ryder odwraca głowę w moim kierunku i pyta groźnie:

– Czy ty musisz to robić, Porter?

Ciężkie i nieprzyjemne spojrzenie, które przed momentem we mnie utkwił, powoduje, że włosy na karku stają mi dęba. O cholera. Ten facet w wersji nie-pogrywaj-sobie-tak-ze-mną prezentuje się aż zbyt gorąco.

A już zwłaszcza jako Pan Fachowiec, przechodzi mi przez myśl, bo wtem Ryder odrzuca wałek na podłogę i rusza w moją stronę ociężałym krokiem. Ciarki przechodzą mi po kręgosłupie, gdy obserwuję go z niewinnym uśmiechem.

– Ale o co ci tak właściwie chodzi? – pytam, paląc głupa.

Przy okazji opieram wyprostowane ręce za plecami.

– Niech ci będzie, zatrzymam cię przy sobie – zapowiada z powagą i, szlag, popycha mnie lekko do tyłu, a następnie, kiedy już leżę na podłodze na wznak, nareszcie siada na mnie okrakiem, przytwierdzając moje ciało do zimnych paneli.

Śmieję się, a on nachyla się tuż nad moją twarzą. Jednocześnie zatapia palce w kosmykach moich ciemnych włosów i obserwuje mnie z góry przez kilka sekund, zachowując przy tym ten swój wieczny, niezachwiany oraz stoicki spokój.

– Chyba mam przez ciebie farbę we włosach – zauważam wesoło.

– Masz na ogonie faceta, który nie wypuści cię na spacer ani po tym, ani żadnym innym apartamentowcu w jakimkolwiek mieście – zaznacza dobitnie Ryder, zanim prawie przytyka usta do moich. Jednocześnie patrzy mi w oczy z bardzo bliskiej odległości.

– Może wypuści mnie chociaż na balkon? – pytam nadal uśmiechnięta.

Mężczyzna twardo stoi przy swoim.

– Donikąd.

– Och – wyduszam. – Więc jestem na ciebie skazana?

– Tak. Możesz skakać pod sufit.

Zerkam odruchowo w stronę wspomnianego przez niego sufitu. Zaraz potem znowu skupiam się już tylko na wciąż usadowionym na mnie wygodnie Ryderze i z wysoko uniesioną brwią zadaję mu pytanie:

– Ten krzywo pomalowany?

Brunet marszczy czoło na moje słowa i chwytą w dłoń moją brodę.

– Jest pomalowany zajebiście dobrze – zaznacza wyraźnie.

– A twoje ego wcale nie jest bardzo, bardzo kruche.

– Kruche stają się moje nerwy, gdy codziennie mam z tobą styczność.

Mój uśmiech jeszcze bardziej się poszerza. A już zwłaszcza wtedy, kiedy Ryder wciąż trzymając w dłoni moją brodę, schyla się maksymalnie nisko i owiewa ciepłym oddechem moje usta. To takie intymne. Takie niespieszne i wyjątkowe. Otacza nas tylko cisza i widoczna za niezastłoniętymi oknami panorama oświetlonego milionami świateł nocnego Denver.

A ja naprawdę zakochuję się w tej nocy, nawet jeśli to dopiero jej początek.

– Będiesz miał ze mną styczność jeszcze całkiem długo – odpowiadam.

Ryder przełyka pomału, nie spuszczając ze mnie uważnego spojrzenia.

– Jak długo? – docieka cicho.

– Ciągle.

Mężczyzna głaska kciukiem moją brodę, którą wciąż trzyma.

– Będiesz obok mnie ciągle? – wypowiada kolejne pytanie.

Spoglądam mu w oczy. W te spokojne, szare i cudowne oczy.

– Nie wyobrażam sobie nie być obok ciebie ciągle.

Przez chwilę trwamy przy sobie bez słów. Po prostu obserwujemy swoje twarze, na których tkwią dyskretne, szczere uśmiechy. Przez głowę przemyka mi myśl, że potrzebowałam takiej chwili. Potrzebowałam dokładnie takiej chwili z nim, która wesprze mnie na duchu po kolejnych zmaganiach z coraz to większymi zmartwieniami i paskudnymi myślami.

Po paru minutach przypominam sobie jednak, że zaraz powinni wpaść do mieszkania Chloe, Kayden i mały Raine. Z tą wiedzą przytulam do siebie Rydera ostatni raz. Bardzo mocno. Przyciągam go do swojego ciała, najmocniej jak potrafię, zanim mówię mu do ucha:

– A teraz złaż ze mnie i maluj tę ścianę. Chcę zobaczyć Denver nocą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY



LOVE

– No oddaj mi chociaż jedną, ty cholerny mięśniaku.

Po tych słowach od razu wyciągam rękę w stronę leżącego obok Rydera. Mężczyzna uśmiecha się leniwie i widząc, że marszczę gniewnie nos... przekłada do drugiej dłoni moje słuchawki, które ukradł mi dobrych kilka minut temu, kiedy tylko ułożyliśmy się wygodnie na gęsto rosnącej trawie przy rzece w ścisłym centrum pogrążonego w nocnej aurze Denver.

– Zapomnij. Dla odmiany to ja teraz będę chętnie doprowadzał cię do szafu.

Mierzę go naprawdę nieprzyjemnym spojrzeniem.

– Chcę moje słuchawki z powrotem.

– Tak? I co jeszcze? – Zrelaksowany Ryder unosi prowokująco brew.

– Strzelić cię w tę piękną twarz.

Brunet, wciąż mając uniesiony kącik ust, kręci delikatnie głową i wpatruje się we mnie przez ledwie moment, zanim podnosi się powoli do siadu. Następnie bierze gwałtowny zamach ręką, w której trzyma moją własność, oraz stwierdza:

– Jesteś niemiła, więc wyłowisz je z wody.

Wybałuszam nagle oczy.

– Nie! – protestuję głośno.

Niewiele myśląc, przygniatam całą sobą Rydera, by jakkolwiek go powstrzymać. On jedynie uśmiecha się szerzej, w zniewalająco seksowny sposób, oraz otacza mnie silnymi rękami tak mocno, że czuję się zupełnie osaczona.

– Cóż, wychodzi na to, że raczej to ja coś złośliwym. To chyba gryzie.

Prycham mu w twarz, a on odgarnia mi wolną dłonią kosmyk włosów z twarzy zabójczo powolnym i ostrożnym ruchem ręki.

– Chcesz się przekonać?

Ryder mruży w zastanowieniu oczy.

– Chcesz zatopić we mnie zęby?

– Ty zatapiasz je średnio raz na dzień w moim tyłku – przypominam mu kąśliwie, nie przerywając naszego intensywnego kontaktu wzrokowego.

Mężczyzna słysząc to, wędruje ciepłą dłonią w dół moich pleców. Gdy trzyma ją już tam, gdzie uznał, że chce ją położyć, przyciąga mnie do siebie nieprzyzwoicie mocno jednym wartkim szarpnięciem tak, że aż wypuszczam nagły oddech w jego tors.

– A wołałbym we wszystkim, czego mogę teraz dosięgnąć – mruczy nisko w maleńką przestrzeń, jaka dzieli nasze zwrócone ku sobie twarze.

Powstrzymuję lekki uśmiech. W końcu ten cwaniak chciał przed chwilą zaserwować moim słuchawkom lekcję nurkowania. Nie powinnam pokazywać mu, że to, co mówi, robi na mnie wrażenie. Nawet jeśli to, co mówi, naprawdę robi na mnie wrażenie i sprawia, że jest mi nieco cieplej.

– Masz dziwne upodobania – komentuję bepcłiwym tonem.

Ryder za to przebiega bez pośpiechu szorstkimi palcami drugiej ręki od mojej skroni, aż do kącika ust i dolnej wargi, którą niespodziewanie ciągnie w dół tak, że układa się ona w podkówkę. Tym razem nie udaje mi się powstrzymać uśmiechu. To, co robi, jest głupie. Tak strasznie głupie, że aż zabawne.

Sam również się uśmiecha. Jednocześnie przesuwam spojrzeniem po mojej twarzy w zamyśleniu, a ja nie mam bladego pojęcia, nad czym tak intensywnie mógłby teraz główkować, kiedy po prostu leżymy

w gęstych źdźbłach trawy, a lekki powiew wiatru otula nasze ciała stopione w jedno.

Aż w końcu Ryder kręci głową, protestując:

– Nie jesteś moim dziwnym upodobaniem.

Przyglądam mu się bacznie.

– Więc niby czym dla ciebie jestem? – dociekam wesoło.

– Przypominasz mój sen, Love – zaczyna cicho oraz w pewien sposób dyskretnie, a jego wzrok świdruje mnie wtedy na wskroś. – Piękny i taki, który potrzebuję odtwarzać w głowie ciągle i ciągle.

Gdzieś w mojej piersi eksploduje gorąco. Podejrzewam, że to moje serce rozsadza pałacę wzruszenie idące za tą jedną sekundą, w trakcie której sens słów Rydera uderza we mnie niczym huragan. Bezwłocznie wtulam policzek w jego twardą pierś i wdycham męski zapach, który na myśl przywołuje mi jedynie znajome bezpieczeństwo, stanowczość oraz... radość.

Przy Ryderze na nowo zaczynam potrafić się cieszyć.

Przymykam powieki i śmieję się szczerze w jego tors.

– Masz gadane.

Ryder składa krótkie muśnięcie ust gdzieś w moich włosach.

– Mam nadal twoje słuchawki – rzuca kpiąco, a ja z marszu otwieram oczy, podrywam głowę i znowu z prędkością światła krzyżuję z nim spojrzenie. Jego jest kompletnie spokojne, moje zaś z pewnością już zniecierpliwione, bo naprawdę długo próbuję cokolwiek ugrać.

– Możesz mi je nareszcie zwrócić? Chcę posłuchać muzyki i popatrzeć na ładne widoki.

– Muszę się namyśleć... – zaczyna wyluzowany Ryder, lecz wtem jego mina staje się tęższa, gdy wyginam szyję do przodu i gryzę go prędko z chytrym uśmiechem w nos, otrzymując w zamian wymowne warknięcie: – Kurwa, Porter.

Wycofuję się i jeszcze bardziej szczerzę.

– To zwrócisz mi je? – pytam słodko.

– Użarłaś mnie w nos.

– Nie jestem cierpliwa.

– Czuć – odpowiada Ryder, a potem w końcu oddaje mi słuchawki, by móc dłonią, w której je trzymał, rozmasować miejsce, gdzie zatopiłam zęby. Zadowolona przechwytyję przedmiot i wtykam słuchawki w uszy, od razu włączając na leżącym obok telefonie muzykę.

Mój wybór pada na ulubione *Look After You*.

Przez moment leżę nieruchomo i z na powrót przytkniętym policzkiem do klatki piersiowej Rydera, wpatruję się uszczęśliwiona w otaczające nas nieziemskie widoki. Bo Denver nocą właśnie takie jest. Nieziemskie, gdy wokół rozpościera się gęstwina wielgachnych drapaczy chmur i apartamentowców, w których mimo późnej pory wciąż gdzieś palą się światła. Gdy turyści nadal okupują szerokie chodniki, wędrując spojrzeniami ku górze, do niemalże czarnego nieba pokrytego deszczowymi chmurami. Gdy poświata ulicznych latarni ląduje na betonie jezdni, gdzie wcale nie porusza się zbyt wiele aut.

Zaciągam się nocnym powietrzem, a wiatr znowu smaga moją twarz. W pewnym momencie zerkam kątem oka na Rydera, który – jak się okazuje – nie spuszcza ze mnie wzroku. Unoszę kącik ust i niewiele myśląc, ściągam jedną słuchawkę, by włożyć ją do jego ucha.

Dopiero kiedy to robię, na nowo koncentruję uwagę już wyłącznie na piosence, którą wciąż dobrze słyszę, oraz nocnym krajobrazie miasta. Nie mam pojęcia, jak długo tak milczymy. Może parę minut, a może kilkanaście. Odzywam się dopiero gdy czuję, że coś zaczyna mnie nurtować:

– A ty?

Ryder wydaje się zbity z tropu.

– Ja? – docieka zdeorientowany.

– Jesteś cierpliwy? – pytam, zaglądam mu w oczy.

Mężczyzna parska śmiechem, nadal trzymając mnie kurczowo przy sobie.

– Wiesz, myślę, że jestem cholernie cierpliwy, skoro jeszcze leżysz na mnie w jednym kawałku. –

Mój rozmówca kładzie wyraźny nacisk na kilka ostatnich słów, a ja wtem... uświadamiam sobie, co ja właściwie najlepszego wyprawiam.

Leżę na Ryderze, a przecież on na pewno czuje mój ciężar.

On na pewno zaciska dzielnie zęby, byle tylko wytrzymać i cię z siebie nie zrzucić, słyszę swoje myśli

i staram się powstrzymać drżenie dolnej wargi jak najmocniej potrafię. *On tylko udaje, że to, jakim jesteś spasionym słoniem, nie robi na nim żadnego wrażenia. Tak naprawdę czeka tylko, aż się z niego zwleczesz.*

Mam ochotę pozwolić, by z ust wyrwał mi się bezradny, cichy jęk. Trzymam go jednak na uwięzi i przyozdabiam twarz następnym uśmiechem, nawet jeśli teraz siedzi we mnie wyłącznie smutek i potrzeba, żeby wydostać się z jego objęć. *Żeby tym samym przynieść mu w końcu tak ogromną ulgę.*

– Koniec czułości, schodzę na ziemię – zapowiadam, starając się brzmieć wciąż tak samo pogodnie, jak brzmiałam jeszcze przed paroma minutami.

Ryder jednak od razu kręci głową, protestując.

– Nie widzę takiej możliwości – stwierdza.

Proszę, nie zatrzymuj mnie.

– Ponieważ?

– Ponieważ jak tak o tym myślę, to dociera do mnie, że wcale nie przepadam za leżeniem nocą na trawie w centrum Denver bez pięknej dziewczyny na sobie – kończąc mówić, mężczyzna jedynie otacza mnie rękami maksymalnie szczelnie, tak że nie mam pola manewru. Nie mam żadnego pola manewru.

Zdenerwowanie przepływa przez moje żyły. Muszę. Muszę zejść.

Pozwól mi zejść. Nie dźwigaj mnie. Nie musisz. Naprawdę nie.

– Ryder – upominam go, zwężając wrogo oczy.

– No co?

Zerkam mimochodem na stojących nieopodal ludzi, a następnie znowu skupiam się już tylko na swoim ukochanym. Czy gdyby dowiedział się, że *to* do mnie wróciło, poczułby się zawiedziony? Czy poczułby, że jego starania spełzły na niczym, bo jestem żalosna oraz tak strasznie słaba?

Ryder jest dobry i cierpliwy, ale przecież nie może być taki ciągle.

– Ktoś chyba szeptu między sobą na nasz temat – rzucam do niego konspiracyjnie.

Brunet na pewno wzruszyłby w tej chwili ignorancko ramionami, gdyby mógł.

– My też możemy szeptać między sobą na ich temat.

– Ale oni wyglądają mi na handlarzy organami.

Mężczyzna uśmiecha się z pobłażaniem, zsuwając jedną dłoń na mój tyłek.

– Przekazali ci wzrokiem, że zamierzają ci coś wyciąć? – pyta rozbawiony.

– Chyba.

– Porter, nie błaznuj, tylko leż.

Ryder chce ukrócić moje zamiary, a ja nie wiem, co mogę jeszcze palnąć, byle tylko postawić na swoim. Nagle wiatr bardziej wzbiera na sile. Postanawiam to wykorzystać i nadal skrycie zestresowana dopowiadam neutralnym tonem:

– Dobrze, Panie Stanowczy, ale zaraz i tak pewnie zwieje nas stąd wichura.

Ryder śledzi skrupulatnym spojrzeniem moją twarz.

– To podejrzane – mówi.

– Co?

– Że tak bardzo chciałaś tu przyjść, a teraz szukasz wymówek, żeby się stąd zmyć. Denver nocą nie spełniło twoich oczekiwań? – zastanawia się, a moje dłonie zaczynają się pocić.

Po prostu nie chcę, żebyś mnie dźwigał ani sekundę dłużej.

– Nie szukam wymówek – zaprzeczam, marszcząc brwi. – Po prostu nie musimy leżeć tu przez całutką noc. Możemy na przykład... iść gdzieś dalej.

– Gdzie?

Ryder puszcza mnie, a ja opadam na trawę. Wydaje mi się, że gdy tylko się z nią stykam, staję się odrobinę spokojniejsza. Może nie do końca spokojna, ale jest mi nieco lepiej z myślą, że *on* nie musi się już męczyć z mojego powodu.

Dla niepoznaki od razu wychodzę do niego z propozycją:

– Na początek pod jakiś dach? Pada deszcz – zauważam słusznie, czując, jak pierwsze krople rozbryzgują się na mojej twarzy, którą mam zwróconą w stronę mężczyzny.

Ten jedynie odpowiada mi skinieniem oraz powoli podnosi się na nogi.

– Wiem, dokąd pójdziemy – rzuca przy okazji, stojąc już na nogach.

Sama również dźwigam się do góry, otrzepując materiał swojej sztruksowej spódniczki. Wtedy

jeszcze raz rozglądałam się wokoło i mimo że widok nocnego Denver pozostaje niezmiennie piękny, zamiast się nim zachwycić, rozstrzygam w głowie jeden ogromny dylemat. Mam przyznać mu się do tego, że coś nie gra?

A co, jeśli powie mi na to, że ma dość?

Ma dość tego, że jestem nie do naprawienia.

Wciągam wdech i bez słowa ruszam z Ryderem w stronę znajdującego się u szczytu niewysokiego wzniesienia małego murku. Oboje przechodzimy przez niego i stojąc już na chodniku, po raz ostatni odwracamy się w stronę krajobrazu miasta. Wiatr rozwiewa moje włosy. Wpatruję się ze smutkiem zakotwiczonym gdzieś głęboko w sercu w wielgachne wieżowce i górujące nad nimi ciemne niebo. Pojedyncze krople rześkiego deszczu wciąż skapują mi na twarz.

Chciałabym kiedyś wrócić tutaj i nasycić się tym widokiem w pełni.

– Dlaczego idziemy w kierunku metra? – pytam, bo po paru minutach marszu Ryder prowadzi nas w stronę pobliskiego przejścia na stację. Widać, że mieszkał tu przez większość życia. Zna Denver jak własną kieszeń i porusza się po tym mieście tak, jak porusza się już po Aspen.

– Bo tak dotrzemy najprędzej – słyszę jego odpowiedź.

– Dokąd?

– Do posiadłości rodziców.

Spoglądam na niego z niezrozumieniem.

– Żartujesz? – pytam. – Oni na pewno śpią.

Jest w końcu jakaś druga w nocy, przypominam sobie.

– Ale ja wcale nie zamierzam im w tym przeszkadzać – odpowiada mężczyzna, w czasie kiedy schodzimy w dół, prosto na jeden z peronów. Kiedy już na nim stoimy, czuję, jak chłód oblepia moją skórę w przeciągu ledwie paru sekund.

Zakładam więc ręce na piersiach i dopytuję Rydera:

– Więc co zamierzasz? Poczuć się jak w horrorze i położyć po ciemnym domu?

– Horror to ja mam codziennie z tobą – prychna żartobliwie i obejmuje mnie swoim szerokim ramieniem, widząc, że trochę mi zimno. – Coś ci pokażę. No i może zagramy w bilard?

– Lekcja trzecia? – Unoszę niemrawo kącik ust.

– Lekcja trzecia – potwierdza Ryder.

Ochrona wpuszcza nas na sporych rozmiarów posesję państwa Callahan dopiero po upewnieniu się, że naprawdę ma do czynienia z Ryderem. Wtedy pewien barczysty mężczyzna, którego chyba już wcześniej widziałam, otwiera nam bramę wjazdową, a my możemy ruszyć powolnym krokiem przed siebie, w stronę zarysu posiadłości, gdzie nie pali się choćby jedno światło.

Nagle zerkam na idącego tuż obok Rydera i zagajam:

– Zawsze mieliście ochronę?

On również ucieka spojrzeniem do mnie.

– Dlaczego pytasz? – Ściąga podejrzliwie brwi.

– Bo jeśli tak, to chyba niełatwo było tobie albo Chlo wymykać się nocami z domu, co? – ciągnę z lekkim uśmiechem i odwracam wzrok do drzwi, przed którymi po chwili stajemy.

Ryder otwiera je dla mnie, jak to zresztą ma w zwyczaju.

– Nie mieliśmy z tym problemu. Właściwie ochrona jest tu dopiero od... pięciu lat – ostatnie słowa wypowiada nieco ciszej, ale ja nie przywiązuję do tego wagi. W końcu wkraczamy do domu, w którym panują ciemności i w którym nie odzywa się żadna żywa dusza.

Jasne, że nie powinniśmy hałasować, bo to oznacza jedno.

– Jane i Richard już śpią – wysnuwam wniosek, wchodząc do środka.

Czuję za sobą obecność Rydera. Mężczyzna zamyka drzwi, a następnie zbliża się do mnie i chwytając w swoją dłoń moją, by poprowadzić mnie długim korytarzem do schodów. Jednocześnie w przypadkowym momencie schyla głowę oraz mówi mi do ucha:

– Więc będziesz musiała powstrzymać swoje głośne pretensje, jak przegrasz.

Rozglądam się po zaciemnionej przestrzeni i prychnam.

– Też coś. To ja wygram z tobą. A jeśli to zrobię, po powrocie do Aspen idziemy do najbliższej wypożyczalni filmów, zgarniamy stamtąd *Grincha* i oglądamy go u mnie – zapowiadam, wkraczając na schody.

– Że co?

– No takiego zielonego...

– Wiem, co to *Grinch* – przerywa mi Ryder i łażę się, że kiedy to robi, przewraca z pobłażaniem oczami. – Ale chcesz oglądać go teraz? Mamy już prawie cholerne lato, Porter.

– Nawet jeśli, to co? Ja cię ogrywam, ty idziesz w to bez dyskusji.

Mężczyzna ciągnie mnie gdzieś za rękę, a ja ufam mu na tyle, że po prostu daję mu się prowadzić, nawet jeśli nie widzę absolutnie niczego w pochłoniętej mrokiem posiadłości.

– Nie licz nawet, że tak będzie – rzuca kpiąco. – A teraz wchodź.

Po tych słowach Ryder popycha mnie lekko najpewniej do swojego starego pokoju. Następnie wpada na mnie, zanim jeszcze zdąży rozbrzmieć cichy trzask drzwi, obejmuje dużymi dłońmi moje policzki i wmusza mi w usta zdecydowany pocałunek, porządnie mnie tym faktem zaskakując.

Kiedy się ode mnie odrywa, nabiera wdech nosem i uśmiecha się leniwie, co widzę, gdy przystaje w snopie światła księżyca wpuszczonego do pokoju przez niezastłonięte okno. Oniemiała mrugam powoli, wpatrując się w jego twarz z mocno bijącym sercem. Jest taki spokojny. Taki perfekcyjny. Taki... mój, że aż nie umiem się powstrzymać i wyciągam ostrożnie palec ku jego dolnej wardze, by przebiec po niej powoli opuszkiem.

– Co ty wyprawiasz? – pytam szeptem, sama również się uśmiechając.

W ciemnościach jego szare oczy wyglądają pięknie.

Rety, wyglądają przepięknie.

– Nad tymi drzwiami jeszcze niedawno była jemiola. – Ryder nawiązuje do dnia jego urodzin i mocniej zaciska palce na moich policzkach, które mrowią mnie od ciepła jego skóry. – Już ją zdjęli?

Kręcę głową, parszkając szczerym śmiechem, a on znowu mnie całuje.

– Zgrywasz kretyna – wyduszam między całusami, które składa mi na wargach. Są krótkie, ale smakują najlepiej na świecie, każdy z nich.

Nagle zdyszany Ryder wycofuje się na nieznaczną odległość.

– Nawet jeśli, dostałem, co chciałem, bo dorwałem się do tych ust – mówi, obserwując mnie z góry z czułością, z uwielbieniem, z wszystkim tym, z czym nikt nigdy na mnie nie patrzył. Ale czy to się kiedyś nie skończy?

Czy to nie skończy się, gdy dowie się, jak bardzo jestem słaba?

– Czasami zastanawiam się, co przeskrobałeś lub co dopiero przeskrobiesz – wydecham w mrok ledwie słyszalny szept, a Ryder głaska kciukami moje policzki, nie spuszczać ze mnie wzroku choćby na krótki moment. – Nie możesz być przecież ciągle takim ideałem.

Mężczyzna opiera przedramiona na moich barkach i styka nasze czoła.

– Podejrzewasz mnie o coś? – Jego głos jest naprawdę cichy.

– Może?

– Bo ja ciebie chyba tylko o to, że pewnego dnia będziesz matką moich dzieci – mówiąc to, Ryder zsuwa dłonie z moich policzków i podsadza mnie tak, że łąduję tyłkiem na komodzie. Wydaję przy tym z siebie pisk, ale brunet prędko i na ledwie moment nakrywa moje usta swoimi, by go stłumić. W tym czasie rozdziela rękami moje kolana i staje pomiędzy nimi.

Wiercę się na meblu, po czym stwierdzam roześmiana:

– Mieliśmy być cicho, a zaraz spadnę i narobię hałasu.

– Więc chyba muszę znaleźć ci bardzo... ostrożne zajęcie.

– Niby jakie?

Mężczyzna schyla się z trudem i wyciąga coś z najniższej szuflady komody. Przez to, że ponownie wtopiliśmy się w czerń, nie widzę, co takiego dobył w swoje ręce. Szybko jednak podnosi się do pionu i znowu górując nade mną postawną sylwetką, rzuca z zadowoleniem:

– Musisz mi zapozować.

Szybko orientuję się, że Ryder trzyma w dłoni aparat.

– Nie wierzę – wypalam radośnie. – Pan Callahan fotografem?

– Mówiłem, że coś ci pokażę. To mój stary sprzęt.

Przyjmuję od niego przedmiot i wytyżam wzrok, by obejrzyć go z każdej strony. Jest całkiem sporych rozmiarów oraz nie należy do lekkich. To chyba profesjonalna zabawka. Ale skoro Ryder mieszkał w takim pałacu, pewnie dostawał też sprzęt z wyższej półki.

– Nim robiłeś zdjęcia... – mówię pod nosem, skupiona na aparacie.

Nawet jeśli tego nie widzę, czuję, że mężczyzna kiwa głową.

– W ogólniaku sprawiało mi to sporą frajdę. Potem, już na studiach, jakoś brakowało mi na to czasu, aż w końcu stwierdziłem, że pora sobie odpuścić – tłumaczy, a ja w duchu stwierdzam, że fotografia całkiem mi do niego pasuje.

Nie wiem dlaczego, ale pasuje.

– Musisz go zabrać do Aspen – stwierdzam z przekonaniem.

– Obawiam się, że wciąż brakowałoby mi na niego czasu.

– Zapracowany Pan Psycholog – pryham.

Wtem Ryder kładzie dwa palce pod moją brodą i zmusza mnie tym samym, żebym to na nim skoncentrowała całą swoją uwagę. Mężczyzna osiąga zamierzony cel, a ja unoszę pytająco brew, poszukując na jego przystojnej twarzy czegoś, co podpowiedziałoby mi, o czym teraz myśli.

– Ale może znalazłbym czasami dla niego chwilkę? – zastanawia się.

Kiwam od razu głową, zgadzając się z nim.

– Koniecznie.

– Znalazłbym ją, gdybyś przed obiektywem znalazła się ty.

Połykam tchnienie i bez przerwy wpatruję się w Rydera, na którego twarzy wciąż maluje się spokój. Jednocześnie mam wrażenie, że przez każdy skrawek mojego ciała w ciągu jednej sekundy przedziera się gorąco, intensywne i gwałtowne, w czasie gdy ciężar jego przenikliwego spojrzenia ląduje najpierw na moich rozchylonych ustach, a potem na oczach.

– Znając mnie, kichnęłabym w najlepszym momencie i ci go zasmarkala – żartuję, kiedy tylko udaje mi się ocknąć z tego dziwnego, niedługiego transu.

Mężczyzna przebiega wtedy językiem po wardze.

– Pewnie tak.

– Miałaś zaprzeczyć.

– Co?

– Nic. Pamiętaj, że masz zabrać aparat.

Przewracam z rozbawieniem oczami i najpierw odkładam na bok rzecz, a później zeskakuję z komody, wprost na Rydera, który pilnuje, bym utrzymała pion, lądując nogami na ciemnych panelach, które zlewają się z wszechobecnym mrokiem.

– A teraz gramy – obwieszczam wesoło, mknąc do kolejnej części pokoju, gdzie znajduje się stół bilardowy, z którego już kiedyś zdarzyło nam się skorzystać.

Ryder z drapieżnym uśmiechem rusza po dwa kije leżące na biurku. Ja w tym czasie czując, że coś wibruje mi w kieszeni spodniczki, wyciągam z niej komórkę. Od razu i w pośpiechu odczytuję wiadomość, którą otrzymałam tuż przed momentem od niezapisanego w moich kontaktach numeru:

Wziąłem jakieś gówno. Ale nawet po nim nie czuję się tak zajebiście jak wtedy, gdy widzę, że cierpisz.

ROZDZIAŁ DWUNASTY



RYDER

Podchodzę niespiesznym krokiem do solidnego biurka, na którym leżą dwa kije bilardowe. Już chcę po nie sięgnąć, lecz słysząc nagle za plecami krótkie westchnienie, odwracam głowę przez ramię i wytyżam wzrok, by odnaleźć stojącą pośród wszechobecnych ciemności Love. Od razu zwracam uwagę na to, że dziewczyna trzyma w dłoni telefon, którego wcześniej w niej nie miała.

– Coś się stało? – pytam. – Ktoś zawraca ci głowę w środku nocy?

Porter patrzy na mnie w milczeniu przez kilka kolejnych sekund. Chyba się nad czymś zastanawia, a wtedy na jej twarzy nie maluje się choćby jedna emocja. Wymieniamy się spojrzeniami, dopóki z jej ust nie wyrwa się krótka odpowiedź:

– To Aaron. Wysłał mi wiadomość.

– Aaron – powtarzam za nią cicho.

Love potwierdza skinieniem głowy.

– On i jego głupia zaczepka, nic więcej.

Moja mina na pewno staje się tęższa, gdy tylko uświadamiam sobie, że ten skurwiel szuka z nią kontaktu. Sądziłem, że wbilem mu dobitnie do głowy, że jeśli spróbuje tego znowu, potraktuję go gorzej, niż potraktowałem go tych kilka dobrych tygodni temu w Carson City.

Najwyraźniej sam prosi się o powtórkę.

Obserwuję, jak Love podchodzi do łóżka, a później siada na nim i odkłada gdzieś na bok niechlujnie swój telefon. To, co mnie dziwi, to jej reakcja. A właściwie praktycznie jej brak. Czy ona dusi w sobie emocje?

Ale dlaczego miałyby kryć się z nimi przede mną?

Sam również zajmuję miejsce na materacu oraz sięgam po telefon Love. Kiedy upewniam się, że nie ma nic przeciwko, żebym zerknął na jego ekran, odczytuję poprzedniego SMS-a, ale również tego, który właśnie nadszedł:

Gdy uciekłaś, przyszła Twoja suknia. Trzymaj dietę, którą ustaliliśmy, bo przysięgam, że jeszcze trafisz w moje ręce, a wtedy będziesz musiała się w nią wcisnąć.

Czytam uważnie i czuję, jak natychmiast zalewa mnie jebana krew. Prędko się jednak reflektuję i nabieram głęboki oraz uspokajający wdech.

– Nie zamartwiaj się tym, dobrze? To tylko jego kolejne gierki.

Z początku nie uzyskuję odpowiedzi. Love wciąż wpatruje się w martwy punkt zlokalizowany gdzieś w ciemnych panelach, zachowując stoicki spokój. Ale mam wrażenie, że zachowuje go tylko na pozór, zwłaszcza kiedy mówi:

– Nie zamartwiam się. Jest w porządku.

– Chodź tutaj, Love – zachęcam ją miękkiem tonem.

Ona jednak, skupiając wzrok na mnie, kręci głową.

– Nie, nie musisz tego robić – zarzeka się, a następnie wstaje na nogi. – Nie musisz mnie pocieszać. Wiem, że to tylko zaczepki, więc nie robią na mnie wrażenia. Jest dobrze. Nie staraj się mnie podnosić na duchu ani nic z tych rzeczy.

Również dźwigam się do pionu i po chwili góruję już nad dziewczyną. Spodziewałem się raczej tego, że będzie smutna i pełna obaw, jak ktoś, kto przecież został zraniony przez tego samego człowieka, który teraz ma zamiar znowu ją dorwać. Ale kiedy obserwuję ją przez moment, po takiej jej wersji, smutnej oraz pełnej uzasadnionych obaw, nie ma choćby głupiego śladu.

Wyciągam dłoń w stronę jej twarzy i zaczynam cicho:

– Love?

Zanim zdążę objąć jej policzek, ona robi krok w tył.

– Nie musisz mnie pocieszać, Ryder – powtarza, a następnie schyla się po swój telefon i chwyta go w dłoń. – Innym razem zagramy w bilard, okej? To był męczący dzień i jednak padam z nóg.

– Jasne – odpowiadam.

W zamian otrzymuję niemrawy uśmiech. Love zaczyna marsz w stronę drzwi, a ja przez pierwsze sekundy wodzę za nią spojrzeniem. Po ich upływie sam ruszam się z miejsca, wciąż mając w głowie wiadomości od Chatfielda. To, na co zwracam uwagę, to treść tej drugiej. Tej, którą do tej pory odczytałem tylko ja. *Trzymaj dietę, którą ustaliliśmy*, słyszę echo swoich myśli i nagle coś do mnie dociera. Czy ten sukinsyn mówił jej coś o tym, jak wygląda, gdy u niego była?

Cholera, kurwa, jasna.

Przyspieszam kroku. Zmuszam się do truchtu i wybiegam na korytarz, gdzie odnajduję mknącą przed siebie w kierunku schodów Love. Mimo panujących ciemności udaje mi się chwycić w powietrzu dłoń dziewczyny i na chwilę ją przy sobie zatrzymać.

– Padasz z nóg? – łapię ją za wcześniej wypowiedziane słowa.

Porter spogląda na mnie i odpowiada mi skinieniem.

– Tak. Jest już naprawdę późno.

Puszczam jej dłoń i oferuję:

– Więc wskakuj.

– Co?

– Padasz z nóg, więc wskakuj mi na plecy, bo czuję, że nie doczłapiesz się do stacji metra... – wyjaśniam z wymuszonym rozbawieniem, czując potrzebę, by po prostu się o czymś przekonać.

Love natomiast słysząc moją propozycję, przenosi spojrzenie gdzieś w bok, jakby nie chciała patrzeć mi prosto w oczy, kiedy z lekkim uśmiechem odpiera:

– Dziękuję, ale zabilibyśmy się na tych niekończących się schodach.

Prycham kpiąco.

– Prędeż sama z nich fikniesz, skoro ledwo kontaktujesz.

– Mam zaprezentować ci tu i teraz piruet na potwierdzenie, że nie jest ze mną tak źle? – pyta dziarsko Love, twardo trzymając się swojej decyzji.

Gdy nic nie mówię, ona rzeczywiście wykonuje piruet, chcąc przekonać mnie, że wcale nie potrzebuje mojej pomocy. A ja patrzę na to i czuję, jak ucisk w mojej piersi dokucza mi już tylko bardziej i bardziej. W końcu, nie widząc innej opcji, postanawiam skapitulować.

– Niech ci będzie.

– Nie pochwalisz go?

Spoglądam na nią z uznaniem.

– Był zniewalający – przyznaję.

Porter odpowiada mi dyskretnym uśmiechem i rusza po schodach w dół. A do mnie wtedy coś dociera. Jakiś czas temu w takiej sytuacji, a nawet w jeszcze bardziej błahej, moja Love bez mrugnienia okiem wskoczyłaby mi na plecy i kazała zabrać się w ten sposób, dokądkolwiek by tylko zechciała. Ale tak było niedawno.

Tak było, zanim zabrałem ją z Carson City.

Budzę się bardzo wcześnie. Jeszcze przed szóstą rano wkraczam do kuchni, gdzie przygotowuję sobie czarną kawę, a potem, już z gorącym kubkiem w dłoni, siadam na jednym z krzeseł przy niedużym stole, cały czas mając w głowie tę jedną, złożoną w spójną całość układankę.

Wracając w nocy metrem do mieszkania Chloe, zarówno ja, jak i Love milczeliśmy. W tym czasie uświadamiałem sobie, ile sytuacji, które wydarzyły się w ciągu ostatnich kilkunastu dni, przemawiało za tym, że znowu przestała podobać się samej sobie albo że zaczęła postrzegać samą siebie jako kogoś, kto waży zdecydowanie za dużo.

Zaczynając od wieczoru, kiedy wracaliśmy z kręgli. Teraz to widzę. Widzę, że jej smutek wynikł

z mojej propozycji, że zaniósę ją do łóżka, jeśli zaśnie. Później, gdy kolejnego dnia się kochaliśmy, spróbowałem podwinąć jej koszulkę. Ona spięła się, jakby nie chciała, bym widział ją bez niczego. Nawet wczoraj, gdy szliśmy przez miasto i jedliśmy lody, a ona chyba tylko ich spróbowała. Już w pracowni Jane nie widziałem, by w ogóle je miała.

Pewnie wylądowały w koszu.

Aż w końcu dzisiaj w nocy Love nie chciała, bym niósł ją na plecach, chociaż jeszcze zanim trafiła do Carson City, sama wiele razy brała mnie na ładne oczy, żebym tylko pozwolił jej na siebie wskoczyć, nawet bez beznadziejnego powodu.

Upijam łyk kawy i przecieram dłonią zmęczoną twarz.

Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego mi o tym wszystkim nie powiedziała. Bała się? Ale czego? Przecież za nic w świecie bym jej nie odtrącił. Znaczy dla mnie zbyt wiele, bym prawdopodobnie w ogóle umiał ją od siebie odtrącić. Zresztą doskonale wiem, że takich problemów, z jakimi zмага się ona, nie można pozbyć się w parę tygodni. Po prostu nie można się ich pozbyć. Nie w tak krótkim czasie.

– A ty już na nogach?

Słyszając znajomy głos, przechyliam głowę i spoglądam na Chlo, wchodzącą właśnie leniwym krokiem do kuchni. Ma na sobie czarne dresy i tego samego koloru bluzę, której kaptur zsuwa niezgrabnie z głowy, po czym otwiera lodówkę i przegląda całą jej zawartość.

Odkładając kubek na stół, mówię:

– W końcu za jakąś godzinę musimy wracać do Aspen.

Siostra kiwa pomału głową, podczas gdy wyciąga kilka rzeczy na blat.

– No tak, Klakier i Gargamel sami się nie nakarmią – zauważa słusznie, zamykając biodrem lodówkę.
– Szkoda, że musicie tak szybko się ulotnić.

– Przecież Kayden z tobą zostanie.

Po tych słowach wstaję i postanawiam pomóc jej w przyrządzaniu śniadania. Podchodząc do blatu, omiatam jeszcze raz spojrzeniem niedużą, wąską kuchnię. Jest całkiem przytulna z tymi jasnymi ścianami i meblami wykonanymi z ciemnego drewna. No i gdy wschodzi słońce, jego promienie oblewają ją całą.

Prędko znowu skupiam się na Chloe, słysząc, jak wzdycha.

– Nie chodzi o to, że poczuję się osamotniona, Ryder. Po prostu nie zdążyłam ani poplotkować z Love, ani podpuścić cię, żebyś kupił sobie karnet na siłownię.

Marszczę czoło, wyłapując pewien szczegół.

– Na co niby?

– Podasz mi jajka? – zagaduje, ignorując moje zdziwienie.

Posłusznie podaję jej wspomniane jajka.

– Wpadniemy tu znowu... niedługo, jak tylko nadarzą nam się jakieś dwa dni wolnego – stwierdzam niekonkretnie i drapię się dłonią z tyłu głowy, bo przychodzi mi na myśl pewien temat, który chciałem z nią poruszyć. Postanawiam nie zwlekać i od razu zagajam: – Chlo?

Siostra zerka na mnie pytająco.

– Tak?

– W nocy byliśmy z Love u rodziców.

Chloe parska śmiechem, przewracając oczami.

– Ty to masz wycucie czasu, kiedy wpadać w odwiedziny.

– Nie wpadliśmy w odwiedziny – protestuję i po tym, jak zakładam ręce na klatce piersiowej, opieram dolną część pleców o krawędź kuchennego blatu. Moja rozmówczyni w tym czasie ściąga nieznacznie brwi, lekko zbity z pantafyku.

– Więc po co? – docieka, na moment zastygając w bezruchu.

– Nieważne. Po prostu gdy szliśmy do domu, coś sobie uświadomiłem.

– No dobra, co takiego?

– Wszyscy nadal śpią? – upewniam się przezornie.

Chloe powoli przytakuje.

– Tak. To znaczy, tak myślę.

Postanawiam niczego nie owijać w bawełnę. Opuszczam ręce i odbijam się od blatu, by móc zbliżyć się jeszcze bardziej do siostry i tym samym nabrać pewności, że nikt nas nie dosłyszysz, stojąc nawet

w korytarzu, a następnie wypuszczam zalegające w płucach powietrze.

– Tam miałaś dobrą ochronę, Chlo – tłumaczę cicho. – Tutaj nie masz żadnej.

Zaledwie parę słów, które wypowiadam, sprawia, że niezrozumienie znika z twarzy dziewczyny. Ona już wie. Już wie, do czego próbuję dobrnąć. Przez chwilę przygląda mi się z dołu, zanim kładzie dłoń na moim ramieniu i przebiega po nim uspokajająco palcami.

– Ryder, ochrona na nic mi się teraz nie przyda. Zresztą w tym apartamentowcu jest portiernia i monitoring. To całkiem bezpieczne miejsce, wiesz? – przekonuje mnie spokojnym tonem, a ja mam lekkie opory przed tym, by uwierzyć na słowo, że nic jej nie grozi.

Kiedys też nic miało ci nie grozić.

– Ale dom rodzinny był bezpieczniejszy – stwierdzam pod nosem.

Dziewczyna zsuwa dłoń z mojego ramienia i przekrzywia głowę.

– Tylko nie mów, że byłbyś za tym, żebyśmy wrócili do rodziców.

– Nie byłbym. Ale w razie czego nie otwieraj drzwi nikomu obcemu.

Chloe posyła mi jeszcze jeden uśmiech.

– Będę mieć tę cenną radę na uwadze – zapowiada i wraca do przyrządzania śniadania dla całej naszej piątki. Ja również zabieram się do pracy, dając się jej zagadać na jakieś bardziej przyjemne tematy na najbliższe kilkanaście minut, spędzonych wspólnie w kuchni, którą wypełnia coraz więcej zapachów.

W pewnym momencie zjawia się w niej również Raine.

– Oho, przyszedł śpioch – rzuca na wstępie Chloe, wskazując na niego drewnianą łyżką. Malec jedynie przeczesuje dłonią czuprynę i siada na niskim krześle przy stole tak, że nogi zwisają mu w powietrzu.

Usadawiając się na nim wygodnie, mówi:

– Ale ja wcale nie spałem. Love zresztą też nie.

– Nie? – pytam zaintrygowany. – To co robiliście?

– Umawialiśmy się na randkę, wujku.

Zerkam na Chloe, która w tym samym momencie zerka na mnie. Na jej twarzy błąka się uśmiech, a ja odkładam na blat znalezione w szafce kubki i podchodzę do siostrzeńca, by kucnąć tuż przed nim. Raine wydaje się naprawdę zadowolony z faktu, że podobno umówił się z Porter. No i ani trochę mnie to nie dziwi. Dziwi mnie tylko to, że umówili się na tę ich randkę teraz, kiedy zaraz musimy wyjeżdżać z Denver, by dotrzeć do Aspen przed południem.

– Na randkę – powtarzam za nim. – A gdzie?

– Do cukierni, tej obok.

Wszystko jasne. Zdążyć.

– Ale zaraz będzie śniadanie – obwieszcza stojąca nad nami Chloe.

Raine rozkłada zabawnie ręce, jakby kompletnie miał to gdzieś.

– My zjemy swoje, mamo.

– O nie, mój drogi – protestuje od razu moja siostra, brzmiąc przy tym bardzo poważnie. – Okej, pójdziesz z Love, ale później, jak wstanie Kayden, wsuniesz śniadanie z nim, dobra?

Pięciolatek przez krótką chwilę zastanawia się nad warunkiem, który został mu przedstawiony. Zaraz potem zeskakuje z krzesła i decyduje w końcu:

– Dobra. To my idziemy.

Już chce przemknąć ekstremalnie szybko z kuchni do korytarza, lecz wtem chwytam go delikatnie za rękę i znowu sadzam tam, gdzie siedział jeszcze przed momentem. Raine patrzy na mnie ze zdziwieniem, w czasie gdy ja na niego z nieznacznie zmarszczonymi brwiami.

– Hola, hola. A tobie kto dał prawo zapraszać moją kobietę na randki, co?

Mały uśmiecha się i wzrusza niewinnie ramionami.

– Masz. – Wyciągam z kieszeni spodni znaleziony w nich, pomięty dziesięciodolarowy banknot. – Kup sobie i Love to, na co tylko będziecie mieć ochotę. I żeby nie było: potraktuj tę randkę tylko jako ćwiczenia na niedaleką przyszłość, bo Porter jest już zajęta, rozumiemy się?

Raine bierze ode mnie banknot i czmycha mi sprzed nosa, wcześniej mówiąc zgodne „tak”. Sam wtedy wstaję oraz podchodzę swobodnym krokiem do mieszającej coś na patelni i podśmiechującej ze mnie pod nosem Chloe.

– Ryder, on ma pięć lat – mówi siostra, zerkając na mnie mimochodem.

– A ja zaraz trzydzieści pięć i ochotę na to, by nawet on wiedział, że startowanie do mojej Porter powinien sobie podarować. – Unoszę zawadiacko kącik ust i puszczam do niej oczko.

Chlo prycha oraz przekłada zawartość patelni na razie tylko na dwa talerze.

– Zjemy na balkonie – zarządza, kiedy już kończy. – Weźmiesz herbatę?

Bez słowa biorę dwa ogromne kubki w ręce i ruszam z nimi w stronę salonu, a stamtąd na balkon, gdzie znajduje się nieduży, ogrodowy stolik. Mrużę oczy na oślepiające słońce oraz przebiegam spojrzeniem po panoramie Denver prezentującej się całkiem ładnie o poranku z takiej wysokości.

– Tu jest pięknie, co? – pyta Chlo, która zjawia się obok.

Z początku jej nie odpowiadam. Zamiast tego skupiam się na ulicy, na którą właśnie wkraczają przebrana i rozbudzona już Love oraz wesoło podskakujący przy niej Raine. *To jest dopiero ładny widok*, przechodzi mi przez myśl, gdy widzę, że trzymają się za ręce i śmieją wniebogłose. Opieram przedramiona na balustradzie, nie spuszczaając z nich wzroku choćby na moment.

Są tacy... beztroscy.

– Tak – odpowiadam nareszcie. – Jest pięknie.

– O, idą nasi poranni randkowicze. – Chloe również opiera się o barierkę i przeczesuje wzrokiem ulicę tuż pod nami. – Raine zdecydowanie przepada za twoją Love. Zresztą... sam widzisz. Jest wpatrzony w nią jak w obrazek.

Uśmiecham się i nadal obserwując ich z góry, przyznaję jej rację:

– Porter wie, jak zjednać sobie takich małych gnojzków.

Chlo sprzedaje mi kuksańca w bok.

– Dużych też – mówi wesoło, na co przewracam kpiąco oczami.

Później dziewczyna rusza do stołu. Ja natomiast jeszcze przez parę minut wpatruję się w Love i Raine'a mknących ulicą Denver i myślę... Myślę, że gdybyśmy mieli kiedyś dzieci, je również by sobą bez trudu oczarowała.

A mnie wcale by to nie przeszkadzało.

– Kayden naprawdę wciąż śpi? – zmieniam temat, siadając na krześle naprzeciwko pałaszującej już swoją porcję śniadania siostry.

– Tak, do późna skręcał meble, więc mogę mu to wybaczyć.

Przytakuję i sam sięgam po widelec, pograżając się w rozmowie z Chloe. Nawet jeśli przez kolejny kwadrans żywo dyskutuję z nią na przeróżne tematy, wciąż w głębi duszy zastanawiam się nad pewną kwestią. Kwestią, którą mogę poruszyć z siostrzeńcem dopiero, gdy on i Love wracają po dłuższym czasie do mieszkania, zadowoleni z odbytego spaceru.

Wtedy korzystam z okazji, że Porter poszła się spakować, a Chloe zanieść brudne talerze do kuchni i sadzam siostrzeńca na krześle naprzeciwko siebie. Mały wgryza się akurat w ogromną muffinkę, ignorując fakt, że cała jego buzia jest umazana kremem.

– No i jak tam wasza randka? – pytam zaciekawiony.

Pięciolatek szczerzy się do mnie naprawdę szeroko.

– Było ekstra. Kupiłem sobie pyszną babeczkę z czekoladą.

Przyglądam mu się z delikatnie uniesioną brwią.

– A Love? – pytam. – Co kupiłeś cioci Love?

– Nic. Nie była głodna, wujku.

Słyszając to, kiwam głową i uśmiecham się smutno.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY



RYDER

Dopijam w spokoju drugą już dzisiaj czarną kawę kupioną w pobliskiej kawiarni i wkraczam powolnym krokiem do parku, gdzie przed paroma sekundami wbiegł Gargamel. Za psem rzecz jasna pognąła jego właścicielka – to w końcu Love pozwoliła wytargać sobie z ręki szarą smycz, w czasie gdy z rozmarzeniem wpatrywała się w zabarwione na fiolet i pomarańcz niebo. Sam również unoszę na nie wzrok i myślę... no właśnie. Zamiast myśleć o ładnym krajobrazie, myślę tylko o swojej zagwozdce. Bo nie mam pojęcia, jak poruszyć z Love *ten* temat.

Nie mam pojęcia, jak poruszyć go i jej nie spłoszyć.

Przecież mogłaby przejść jej przez głowę myśl, że będę teraz ciągle stał jej nad uchem i głądził swoją psychologiczną gadkę. Tyle że wcale nie zamierzam, wcale nie chcę, wcale nie powinienem nawet tego robić. Oddzielam grubą kreską sposób, w jaki przez chwilę wspierałem ją kiedyś, od sposobu, w jaki chciałbym wspierać ją teraz. Teraz, będąc jej partnerem.

Będąc nim, chcę po prostu móc czasami być dla niej podporą.

Spaceruję po chodniku i zbliżam się do dziewczyny, która właśnie przysiada na jednej z wielu pustych ławek, uśmiechając się straszliwie szeroko oraz promiennie. Gargamel merda wesoło ogonem, gdy jego pani trzyma w dłoniach jego pysk i robi do niego głupie miny. A ja... cóż. Również lekko się uśmiecham, nawet jeśli coś wciąż ciąży mi na sercu.

Zajmując miejsce obok Love, opieram wolną rękę na oparciu ławki.

– Masz teraz nauczkę, żeby trzymać go mocniej – mówię kpiąco.

Niezmiennie wesoła Porter kładzie dłoń na moim udzie.

– A ty masz teraz okazję, żeby się popisać.

Unoszę brew na jej tajemniczy ton.

– Okazję, żeby w czym się niby popisać?

– Daj mi chwilkę – mówiąc to, dziewczyna rozsiada się wygodniej na ławce, krzyżując na niej nogi, i zaczyna szperać w swojej wielgachnej torebce, w której jestem pewien, że gdyby chciała, mogłaby upchać też wielkiego i opasłego Klakiera.

Nie żebym zamierzał się o tym przekonać.

W czasie gdy Love zawzięcie czegoś szuka, ja znowu kosztuję kawy oraz przeczesuję wzrokiem okolicę. Natrafiam nim na Gargamela, który zdążył klapnąć pod jednym z wielu drzew i teraz chyba pochrapuje. Natrafiam nim również na niewielki staw, a podrywając nieznacznie głowę, na piętrzące się w oddali szczyty gór, u których stóp mieści się Aspen.

Wtem przywołuje mnie zipinięcie Love. Od razu uciekam do niej spojrzeniem i aż ściągam okulary przeciwsłoneczne, które mam na nosie, gdy dostrzegam, co trzyma w dłoni.

– Naprawdę targałaś to ciężkie ustrojstwo w torebce? – pytam zdziwiony, odkładając na bok niemalże dopitą w całości kawę oraz przyjmując od swojej towarzyszki aparat. Ten sam, który jeszcze wczoraj w nocy zgarnęliśmy z posiadłości moich rodziców.

– Chciałam przekonać się, czy naprawdę umiesz się z nim obchodzić.

Włączam sprzęt i w mgnieniu oka przypominam sobie, jak go używać.

– Mam udowodnić ci, że umiem? Czy to wyzwanie?

– Może. Myślisz, że mu podołasz?

Spoglądam znowu na Love i posyłam jej arogancki uśmiech.

– Nawet się przy tym specjalnie nie wysiłę.

– Tak, te góry wyglądają niesamowicie... będzie ci łatwo je ładnie uwiecznić.

Love przypatruje się im, mając wciąż wysoko uniesione kąciki ust. Przez pewien czas podziwia je bez słów, podczas gdy ja, również bez nich, podziwiam ją. Podziwiam jej twarz, po której rozsypują się ciemne pasma. Jej intensywnie brązowe i iskrzące oczy. Jej zarumienione wciąż od szaleńczego biegu policzki. Podziwiam wszystko to, co składa się na obraz dziewczyny, która, szlag, urzekła mnie tak, jak dotąd żadna inna kobieta tego nie zrobiła.

Wciąż koncentrując się na niej, wyciągam dłoń opartej na oparciu ławki ręki w jej stronę. Następnie ostrożnym ruchem okręcam sobie wokół palca wskazującego długi, czarny kosmyk jej włosów, nieświadomie zatrzymując w tym czasie oddech gdzieś w płucach.

– Ciebie – mówię szeptem, mając w głowie jej wcześniejsze słowa.

Love krzyżuje ze mną spojrzenie i uśmiecha się z niezrozumieniem.

– Słucham?

– Ciebie łatwo będzie mi ładnie uwiecznić.

– Nie czaruj mnie tak – rzuca z rozbawieniem, prostując się delikatnie na ławce. – Czułe słówka nie sprawiają, że uznam od razu, że jesteś dobry w te klocki.

– Nie próbowałem cię wcale czarować. A teraz zrób coś tylko dla mnie.

– Co takiego?

Obracam ją do siebie powoli plecami. Love posłusznie poddaje się moim zamiarom, kiedy lekkim szarpnięciem sprawiam, że leży już na ławce na wznak, z głową wygodnie ułożoną na moich nogach i rozweseloną twarzą zwróconą ku mnie. Na szczęście cień drzewa rosnącego za nami nie dosięga jej choćby w małym stopniu, gdy zawieszam sobie pasek od aparatu na szyi, a następnie z uniesionym kącikiem ust odpowiadam nareszcie Love:

– Uśmiechnij się do mnie tak, jakbym był wszystkim, na czym możesz skupić uwagę, jasne?

Dziewczyna poprawia głowę na moich kolanach i śmieje się cicho.

– Niech ci będzie.

Słyszając to, zaczynam bawić się aparatem. W przeciągu pierwszych sekund, które spędzam na przymierzaniu się do wykonania zdjęcia, nawiedza mnie myśl, że nawet jeśli minęło ładnych kilkanaście lat, odkąd trzymałem to ustrojstwo w rękach, to nadal miło jest mi się z nim obchodzić. A już zwłaszcza, gdy obchodzę się z nim, trzymając przy sobie swoją cholernie wyszczerzoną i jak zwykle niewinnie piękną Porter.

Tak, wtedy naprawdę miło jest go używać.

– Love? – zagajam po paru minutach.

Brunetka mruga powoli.

– Tak? – dopytuje pogodnie.

– Jesteś w tym całkiem dobra.

– Muszę być w tym dobra.

Marszczę czoło.

– Niby dlaczego *musisz*?

– Bo tak się składa, że teraz jesteś wszystkim, na czym potrzebuję skupić uwagę.

Czuję, jak grdyka podskakuje mi pod skórą, gdy przełykam ślinę. Nie mam pojęcia, czego poszukuję w jej oczach, kiedy zaglądam w nie z zaciekawieniem. Po prostu zaglądam w nie i patrzę, a Love patrzy na mnie. Aż w pewnym momencie znowu oboje się uśmiechamy. Robię wtedy kilka świetnych ujęć.

Nie sądziłem, że mógłbym poczuć się tak spokojnie i dobrze, ślęcząc wczesnym wieczorem na przypadkowej ławce w pobliskim parku, z Love na kolanach, aparatem w dłoni i czując, jak Gargamel – który zdążył już do nas doskoczyć – trąca mnie merdającym ogonem w nogi. A jednak normalność z nimi przypomina coś, co chcę, by wciąż trwało i trwało.

Co potrzebuję, by trwało jak najdłużej może.

– Nie wierzę, że to jeszcze działa – rzucam, wskazując na sprzęt.

Love nawet jeśli widzi, że skończyłem, nie rusza się chociażby o cal.

– Coś z nim nie tak?

– Ledwo zipie. Ma już w końcu trochę lat.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Gdy nadejdą święta i twoje urodziny, kupię ci nowy.

Spoglądam na nią spod byka.

– Chyba żartujesz.

– Wcale nie.

– Koniec tego głupiego tematu – obwieszczam, nie widząc opcji, by Porter kupowała mi podobny prezent. Zanim zdąży coś dodać, przekazuję jej ten rupieć i zwracam się do niej z pytaniem: – Chcesz już rozstrzygnąć, czy fotografia mi wychodzi?

W odpowiedzi Love przytakuje.

– Chętnie.

Następnie zabiera ode mnie sprzęt i koncentruje się wyłącznie na nim. Podczas gdy to robi, ja sięgam po papierowy kubek z resztką kawy i wyrzucam go do kosza znajdującego się tuż obok. Minuty mijają, jedna za drugą, ale werdykt dziewczyny nie nadchodzi, dlatego postanawiam się subtelnie o niego upomnieć:

– Długo majstrujesz przy tym aparacie.

Moja ukochana zerka na mnie kątem oka.

– Chyba nie sądziłeś, że zatrzymam się tylko na tych czterech zdjęciach, które mi zrobiłeś? Jest tu mnóstwo innych fotografii, nawet z czasów twoich studiów. Sam nie chciałbyś ich niby obejrzeć? Trochę powspominać?

Schylam się z niemałym trudem, nie przerywając naszego kontaktu wzrokowego. A kiedy moje usta są już na tyle blisko ust Love, że aż czuję na wargach jej ciepły oddech, pozwalam sobie wyszeptać pomiędzy nas kilka słów:

– Sam wolałbym zawiesić oko właśnie na tych czterech.

Love parska śmiechem i już próbuje mnie pocałować, gdy wtem rozbrzmiewa przy nas całkiem głośny szmer. Zaalarmowany podrywam głowę. Dostrzegam Gargamela, który oparł masywne łapy na ławce i wystawił ten swój długi jęzor. Wygląda, jakby oczekiwał, aż ruszymy w dalszą trasę. A właściwie w drogę powrotną do domu, który nie jest wcale daleko stąd.

Przyjmuję aparat od dziewczyny, kiedy tylko zauważam, że chce ze mnie wstać. Rozweselona Love rzeczywiście podnosi się do siadu, by móc czule podrapać swojego pupila za uchem i zwrócić się do niego z delikatnym protestem.

– Nie możesz się do nas przyłączyć, głuptasie...

Kręcę głową z rozbawieniem.

– Chyba trochę mu się nudzi.

– Więc czas wracać do domu. – Brunetka podnosi się na nogi i podaje mi szarą smycz. – Zresztą potrzebuję snu po zajęciach z Ivory. Były wykańczające.

Również wstaję, lecz od razu schylam się, żeby zapiąć Gargamela. Później całą trójką ruszamy w kierunku wyjścia z parku, po którym wciąż nie przechadza się zbyt wielu mieszkańców Aspen. W międzyczasie zastanawiam się nad tym, co powiedziała Love.

– A jak było na treningu? – pytam zaintrygowany.

Moja towarzyszka zaczyna się porządnie rozgadywać. Mówi coś o nowej dziewczynie, która pomaga tej jej trenerce, Ivory. Podobno od dzisiaj stała się jej prawą ręką. Ja natomiast po chwili słucham tych opowieści już tylko jednym uchem, bo przypominam sobie, co zaraz nas czeka.

Kolacja.

Przez następne minuty, w ciągu których pokonujemy ten nieduży dystans dzielący nas od bliźniaka, rodzi się we mnie lekki niepokój. Nie daję jednak po sobie niczego poznać, tak samo jak Love nie daje poznać niczego po sobie, gdy stoimy już na znajomym podjeździe, a ja wychodzę do niej z propozycją:

– Co jemy na kolację? Może tę zapiekankę, którą tak lubisz?

Porter przytakuje z opóźnionym refleksem.

– Jasne... – odpowiada, siląc się na entuzjazm.

Po tym, jak otwieram drzwi, przepuszczam ją, by weszła do mojej części domu pierwsza. Love od razu odpina Gargamelowi smycz i przemyka z nim oraz z Klakierem, który zdążył się do niej zniecka przypałętać, do salonu. Ja za to przechodzę do kuchni. Zaabsorbowany przygotowaniem łatwej oraz szybkiej kolacji, tylko co jakiś czas zerkam na całą trójkę, lecz gdy to robię, wszyscy zdają się tak samo zajęci sobą, jak wcześniej.

Wstawiam danie do piekarnika i sam również wkraczam do salonu, gdzie opadam z łoskotem na pustą kanapę. Love zwleka się wtedy niezgrabnie z dywanu. Zastania zasłony, by po chwili zapalić również stojącą w rogu pokoju lampę. Gdy kończy, w pomieszczeniu panuje półmrok, a ona sama zbliża się do mnie bezgłośnym krokiem i siada... no właśnie.

Wcale nie na mnie.

Obok mnie.

A ja jeszcze bardziej chciałbym ją teraz ułożyć sobie wygodnie na kolanach, otoczyć całym sobą, szczerze i mocno. Zapewnić, że wspólnie uporamy się z tym, co ją męczy. Sęć w tym, że nie mogę tego zrobić. Love pewnie nie ma pojęcia, że domyślałam się, co jej dokucza. Wpatrzony w ścianę naprzeciwko, oblaną wątlm światłem lampy, tkwię w letargu. Prędko wytrąca mnie z niego pełen zastanowienia głos dziewczyny.

– Ryder?

Odwracam się do niej.

– Tak?

– Gdzie tak daleko odleciałeś? Dzwoni twój telefon – informuje mnie, a ja natychmiast wyjężam słuch i rzeczywiście słyszę, jak przez ciszę panującą w całym domu przedziera się odgłos nadchodzącego połączenia.

– Faktycznie – wzdycham.

Wstaję, by przejść do gabinetu. Tam chwytam z biurka komórkę i od razu odbieram telefon. Po dosłownie kilkunastu sekundach rozmowy oraz zapewniania Elise, recepcjonistki z poradni, że niczego nie spartaczyła, wracam do Love, której spojrzenie od razu wynajduję w półmroku.

– Kto to był? – pyta zaciekawiona.

Odkładam telefon na komodę.

– Elise. Zapomniała mi przekazać, że pacjent, którego miałem przyjąć o ósmej, parę dni temu prosił o to, żeby zostać przyjętym godzinę wcześniej.

Love marszczy lekko brwi.

– Zaraz będzie siódma.

– No właśnie. Muszę jechać.

Dziewczyna uśmiecha się pocieszająco.

– Przynajmniej nie masz daleko do poradni.

Odpowiadam jej skinieniem.

– Wyjmiesz kolację, gdy będzie gotowa? – pytam jeszcze i w pośpiechu dorzucam: – Możesz zjeść ją sama. Ja zjem, kiedy wrócę.

– Wyjmę, a ty idź się przebieraj.

Przeciągam bluzę przez głowę przemierzając korytarz. Docierając już do sypialni, zakładam coś bardziej odpowiedniego – eleganckie spodnie, białą koszulę i ciemną marynarkę, licząc przy tym w głowie, o której najwcześniej uda mi się dotrzeć na miejsce. Wiele wskazuje na to, że gdy dojadę do celu, zostanie mi jeszcze kilka minut, żeby przygotować się do spotkania z pacjentem.

Poprawiam rękawy marynarki i unoszę wzrok, słysząc niemalże bezgłośne kroki. To Love zjawia się w progu pomieszczenia oraz opiera ramieniem o framugę drzwi, przyglądając mi się z błakającym po twarzy uśmiechem.

– Ale nie zostaniesz tam po godzinach, jak to czasami robisz? – upewnia się.

Opuszczam ręce i podchodzę do niej z leniwie uniesionym kącikiem ust. Po chwili stoję już tuż przed Love oraz spoglądam na nią z góry. Obejmuję dłońmi jej talię. Przyciągam ją do swojego ciała oraz szeptam jej w usta krótkie:

– Szybko do ciebie wrócę.

– Jeszcze raz przepraszam. Nie mam pojęcia, jakim cudem umknęła mi tamta zmiana.

Słyszając, jak Elise znowu zaczyna się produkować i ciągnąć temat swojej małej gafy, wypuszczam ciche westchnienie. Dopiero jednak gdy kończę czytać trzymany w dłoni dokument, unoszę wzrok, by spojrzeć na nią niezmiennie spokojnie oraz bez pretensji.

– Przecież nic się nie dzieje. Mieszkam blisko, Elise.

Kobieta i tak posyła mi jeszcze jeden przeproszający uśmiech. Potem życzy mi miłego wieczoru, a ja jej miłej reszty pracy, zanim wychodzę z poradni i maszeruję w stronę zaparkowanego nieopodal range rovera. Wsiadając do niego, zwracam uwagę na to, że powoli się już zmierzcha. Następnie ruszam znajomą trasą do bliźniaka, gdzie przez resztę wieczoru i nocy mam zamiar już tylko odpoczywać, mając przy sobie Porter.

Po kilkunastu minutach przechodzę przez próg swojej części domu. Jest w niej cicho i ciemno. Wita mnie tam tylko Klakier, który, kiedy wkraczam do przedpokoju, ociera się o moje nogi. Odrzucam marynarkę na komodę i schylam się, by móc przebiec dłonią po grzbiecie kota.

– Gdzie podziiali się Love i Gargamel? – pytam, nawet jeśli wiem, że nie uzyskam odpowiedzi, bo zwracam się do cholernego sierściucha.

Klepię go jeszcze po boku i prostuję się.

– No tak. Muszą być u siebie.

Postanawiam się nie przebierać. Love ma sporo moich ciuchów, więc wybiorę sobie coś z jej szafy. Przed pójściem do niej uznaję jednak, że muszę coś sprawdzić. Idę do kuchni. Tam otwieram piekarnik i zaglądam do jego wnętrza. Kamień spada mi z serca, gdy widzę, że Love podzióbała trochę w zapiekance. Zamykam urządzenie i oddycham z ulgą.

Drzwi do części dziewczyny otwieram kluczem, który od niej dostałem. W całym domu od wejścia palą się światła, a ja wchodzę w jego głąb i zaczynam poszukiwania swojej zguby. Dopiero gdy docieram do sypialni Love, dostrzegam ją, zakopaną po sam czubek nosa w pościeli.

– Śpisz? – pytam na wstępie.

Rozczochrana Porter ziewa przeciągle.

– Prawie. Zdążyłeś na spotkanie?

Zakładam ręce na klatce piersiowej.

– Dotarłem na nie nawet z kilkuminutowym zapasem.

– To dobrze. – Otrzymuję od niej uśmiech. – Położysz się ze mną?

– Pogaszę światła i jestem z powrotem – zapowiadam z uniesionym ku górze kącikiem ust oraz obracam się na pięcie, by jak najszybciej uporać się z zadaniem, a potem się przy niej położyć. Biorę jeszcze w dłoń leżący na komodzie kubek z herbatą, a właściwie już tylko z jej torebką.

Robię obchód po całym mieszkaniu. Gaszę wszystkie światła, w międzyczasie rozpinając jedną ręką, w której nie trzymam kubka, dwa najwyższe guziki koszuli. Ostatnim punktem mojej małej wycieczki jest kuchnia. Tam chcę włożyć do zlewu nieszczęsne znalezisko, lecz zanim to zrobię, muszę wyrzucić do kosza torebkę herbaty. Wysuwam głęboką szufladę. Odnajduję kosz. Przechylam kubek i jego zawartość ląduje w odpadach. Ale zauważam w nich coś jeszcze. Coś, czego widok doszczętnie łamie mi jebane serce.

Kolacja, którą myślałem, że Love udało się przełknąć.

Jest na samym dnie.

Ona tam jest.

Odrzucam kubek na blat. Przedmiot przesuwają się po jego powierzchni, a szmer, który się przy tym rozlega, akompaniuje odgłosowi zamykanej w pośpiechu szuflady. Wykrzywiam usta i przecieram je dłonią, podchodząc do krzesła przy niedużym stole w kuchni. Bezradność zaczyna mi doskwierać bardziej i bardziej. Nabieram powietrza nosem. Patrzę w mrok. Nie odpędzam się od wrażenia, jakby ktoś zmiażdżył mi wnętrzności.

Dlaczego, Love?

Dlaczego udajesz, że wszystko gra?

Odchylam się na krzesło. Pozwalam, by grymas znowu przemknął przez moją twarz. Tępo gapię się w zaciemnioną przestrzeń i mierzę z bólem, który zdaje się bez trudu rozsadać mnie od środka. To naprawdę boli. Myśl o tym, jak paskudne myśli rozrastają się ciągle w głowie Love, przypiera mnie do ściany i nadal tylko okrutnie rani.

Nagle słyszę za sobą cichy, niemalże bezgłośny szelest.

Love zatrzymuje się za mną. Milczy. Dopiero po parunastu sekundach podchodzi ostrożnie bliżej. Jej cień prawie rozmywa się we wszechobecnym mroku, w którym pogrążona jest kuchnia, a ja rozchyłam usta, lecz prędko je zamykam. Nie mogę. Nie potrafię zagaić do niej żartem lub czymś innym.

Wtem jej dłoń łąduje na moim ramieniu i przebiega czule po jego długości.

– Ryder? Minęło już sporo czasu, odkąd poszedłeś gasić światła.

Zwieszam żałośnie głowę. Wzrok wlepiam w czerń. Przelykam.

– Wyrzuciłem torebkę po herbacie, Love.

Trwamy bez słów w pustej, cichej i przesiąkniętej sekretami kuchni. Palce mojej ukochanej wędrujące po moim ramieniu uczeplają się go mocniej, a jej oddech, wcześniej spokojny, teraz staje się płytki. Boję się poderwać głowę, ale i tak to robię. Jakimś trafem wychwytyję w ciemnościach spojrzenie brązowych oczu swojej Love.

A one... one są smutne. Są przestraszone, są tak straszliwie zaszklone, gdy ich wyraźnie roztrzęsiona właścicielka wypuszcza spomiędzy niemiłosiernie drżących warg krótkie, zadane przeraźliwie słabym szeptem pytanie:

– Wyrzuciłeś ją?

Patrzę na nią, a coś zdaje się wyrastać mi w gardle, gdy mam ją przed sobą właśnie taką. Pełną obaw, pełną wstydu, ledwo utrzymującą się w pionie i ledwo widzącą mnie na oczy przez nagromadzone w nich łzy. Jest ich tak dużo. Jest ich coraz więcej. Love płacze. Moja Love płacze. Moja Love uświadamia sobie, że domyśliłem się już absolutnie wszystkiego. A ja czuję się rozszarpany na liche strzępy, gdy ona wypuszcza płaczliwie powietrze.

Zgarbiony uciekam spojrzeniem do swoich dłoni.

– Wiesz, co zobaczyłem na dnie kosza, prawda?

Z chwilą, gdy to mówię, Love... Love pęka.

Słyszę, jak jej kolana spotykają się nagle z podłogą, jak prześlizgują się po niej w moim kierunku. Słyszę płaczliwe szlochanie, gdy moja zagubiona Love klęczy przede mną całkowicie rozbita. Gdy roni rwące łzy na materiał moich spodni, przytulając policzek do moich ud, jakby naprawdę potrzebowała się ich uczeplić i już przenigdy mnie nie puścić.

Oniemiały kręcę głową, nie mogąc znieść... Nie mogąc znieść tego widoku.

Nie rób mi tego. Błagam, nie rób mi tego, skarbie.

Ponownie wykrzywiam usta. Z wysiłkiem wyciągam dłoń i wdzieram się nią w jej splątane włosy, a echo jej szlochanych jęków godzi mnie wszędzie. Patrzę z góry na bezbronną Love i nie umiem się odezwać. Rozżalenie rozszarpuje mi krtań.

A ona chlipie łzawo, coraz mniej się kontrolując.

– Nie, posłuchaj mnie, proszę cię. Ja... tak bardzo cię proszę, posłuchaj...

Znowu kręcę głową. Próbuję ją powstrzymać. Jakkolwiek.

– Love. – Mój szept jest żałośnie niewyraźny.

Love... nic sobie z niego nie robi. Jest w amoku. Dusi ją gorzki, nieprzerwany szloch. Przemawia przez nią coraz większa desperacja, którą mogę dostrzec we wszystkim. W spojrzeniu jej zaczerwienionych oczu. W drzeniu jej lekko rozchylnych ust. W uścisku jej dłoni mnących moją koszulę na brzuchu. W jej po raz kolejny tak strasznie łamiącym się głosie:

– Twoje starania dużo mi dały... Radzę sobie, naprawdę sobie radzę – zapewnia mnie z całych sił, a ja powoli zaczynam rozumieć, dlaczego nie chciała dzielić się ze mną prawdą.

Wciąż głaszczę palcami pasma jej włosów, sam nie potrafiąc zdusić w sobie pełnego udręki jęku, w czasie gdy raz za razem powtarzam zmarnowanym szeptem jej imię.

Lecz ona nie przywiązuje wagi do moich słów. Wierci się na klęczkach oparta łokciami o moje nogi w spazmach głośnego płaczu, a z jej podskakującej piersi wydostaje się kolejny szloch. Oczy zaczynają mnie niemiłosiernie szczytać, ponieważ wciąż uważnie na nią patrzę. Wciąż uważnie patrzę na swoją Love, która boi się, że ją sobie odpuszczę, bo jej problemy wróciły. Która boi się, że ją sobie odpuszczę, bo wciąż sobie z nimi nie radzi.

– Nie myśl, że to, co dla mnie robiłeś, nie przyniosło żadnego skutku – ciągnie dalej i patrzy mi głęboko w oczy, a łzy ściekają wtedy ciurkiem z jej brody. – Bo przyniosło. Nadal przynosi... – wydycha szybko, bez namysłu, z potrzebą, by przekonać mnie, że *wszystko jest dobrze*. – Nie zmarnowałam choćby jednej chwili, którą poświęciłeś na to, by wyciągnąć mnie z tego bagna. Staram się. Tak bardzo się staram. Nie czuj się rozczarowany, proszę cię.

Czy ty naprawdę boisz się, że mnie rozczarowałaś?

Boisz się, że powiem ci, że nie chcę się już z tobą męczyć?

– Nie wróciliśmy do punktu wyjścia – wykrztusza przez ściśnięte gardło, nabierając łapczywy wdech.
– Nie zrobiłabym ci tego. Nie zaprzepaściłabym twojego wysiłku, bo jestem słaba i beznadziejna, wiesz? Powiedz, że mi wierzysz. Wierzysz mi?

Rozdziawiam usta i zmizerniałe nie uciekam spojrzeniem od jej twarzy. Zjeżdżam nim na wilgotne wargi, a potem mknę nim do oczu, które wpatrują się we mnie błagalnie. Głaskam palcami jej kark i ledwo powstrzymuję kolejny pełen niemocy i zranienia jęk.

Love krztusi się, próbując zlepować kilka słów w ponaglące mnie pytanie.

– Błagam cię, Ryder, czy mógłbyś... powiedzieć, że mi wierzysz?

Nie trzymam na uwięzi swojego żalu i bólu. Chwytam gwałtownie w obie ręce policzki Love i trzymam je tak mocno, że to na pewno sprawia jej dyskomfort. Ściskam je między palcami, aż mrowią mnie opuszki, aż z jej ust nie wypada ciche stęknienie. Otacza nas niezachwiana ciemność i cisza, a ja trzymam twarz Love i... cudem wyduszam łamliwy szept:

– Boże jedyny, skarbie.

Moja ukochana gryzie wargę.

– Nie odtrącaj mnie – odpowiada, kiedy ją już wypuszcza. Jednocześnie wspiera się bardziej na klęczkach, jakby chciała, bym ujrzał w niej czystą determinację i zawzięcie. – Umiem się z tym uporać i w końcu zrobię to do końca. Za moment. Czy mógłbyś dać mi jeszcze chwilę, zanim powiesz, że masz dość tego, jak długo mi to zajmuje?

Wzmacniam jeszcze bardziej chwyt na jej policzkach.

Przestań. Przestań bać się, że cię odtrącę. To mnie rani jak ciebie.

– Wiem, że to cię już męczy. Pocieszanie mnie po wybrykach Aarona. Klepanie po plecach, gdy on znowu mnie zaczepia. Pilnowanie, czy coś danego dnia w ogóle przełknęłam. Ale to koniec, wiesz? – Uśmiecha się słabo, wciąż płacząc, a ja nie mogę pozbyć się wrażenia, jakby tym uśmiechem rozbiła mnie na maleńkie części.

Oczy coraz bardziej zaczynają mnie piec. Uzmysławiam sobie, dlaczego Love wczoraj w nocy, gdy napisał do niej Aaron, nie pokazywała emocji. Uzmysławiam sobie, dlaczego nie chciała mojego pocieszenia. Bo sądziła, że uznam ją za swoją ciężką kulę u nogi. Za kogoś, kto jest nie do naprawienia.

Jest tak zagubiona.

Tak strasznie zagubiona.

– Nie będę się tak bardzo przejmować – zarzeka się, a łzy nie przestają kreślić śladów po jej twarzy i zatrzymywać się na moich dłoniach ściskających jej policzki. – Nie będę nic sobie wymyślać. Będę naprawiona. Naprawdę taka, daję ci słowo.

Zasmucony unoszę kącik ust i utrzymuję z nią kontakt wzrokowy.

– Nie chcę go, kochanie – zdobywam się na cichą odpowiedź.

– Nie?

Love dygocze przy mnie jeszcze mocniej.

– Chcę, żebyś dała mi dojść do głosu, dobrze? – pytam miękko, dokładając wszelkich starań, by bił ode mnie spokój, którego Love nie nosi w sobie teraz choćby głupiej dozy. Teraz, gdy wciąż klęczy przede mną i płacze, kompletnie rozsypana w najdrobniejszy mak.

– Ryder...

– Żebyś pozwoliła mi wytrzeć te łzy – kontynuuję do przesady łagodnym tonem głosu, zsuwając ostrożnie dłonie z jej napuchniętej twarzy. – Żebyś nie przestraszyła się, jeśli za moment spróbuję cię podnieść z klęczek, w porządku?

Przez dłuższy czas nie uzyskuję odpowiedzi. Aż w końcu Love przytakuje niepewnie i zaciska chyba wręcz boleśnie powieki, kiedy pomału wciągam ją na swoje kolana. Przytulam ją do siebie i chowam brodę w zagłębieniu jej szyi, wsłuchując się w jej nieco cichszy szloch. Przytulam ją do siebie w jej kuchni, gdzie właśnie wychodzi na jaw jej kolejny sekret.

Szyję dziewczyny pokrywa gęsia skórka, kiedy składam na niej czułe muśnięcie ust.

– Cichutko... mam cię, Love – przekonuję ją delikatnie.

Układam ją na sobie tak, że jej nogi zwisają w powietrzu po moich bokach. Później umieszczam dłonie pod jej zgrabnymi udami. Dopiero wtedy podnoszę się bez pośpiechu z krzesła i z ledwo bijącym

jeszcze w piersi sercem ruszam zaciemnioną kuchnię z Love przy swoim ciele w stronę sypialni, mówiąc jej cicho do ucha coś więcej:

– Mam cię i zamiast cię odtrącić, przysięgam, że tej nocy schowam cię w ramionach szczelniej, niż zrobiłem to kiedykolwiek wcześniej.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY



RYDER

Sypialnia jest zalana czernią, a ja wkraczam do niej niespiesznym krokiem. Trzymam wtedy w pewnym uścisku drobne, rozdygotane ciało Love, której ciche i nerwowe pociągnięcia nosem wypełniają cały pokój oraz wprowadzają smutną, przygnębiającą atmosferę. Panuje w nim również chłód. Przez nieszczelne okna dociera tutaj świst wiejącego na zewnątrz wiatru.

Kłucie w mojej piersi dokucza mi coraz bardziej i wcale nie mija. Zmarnowany idę przed siebie, aż w pewnym momencie zastygam w zupełnym bezruchu na samym środku pustego pomieszczenia, wiedziony nagłą potrzebą, by teraz, w tej jednej chwili po prostu objąć Love mocniej i wcisnąć swobodnie nos w niedużą przestrzeń pomiędzy jej szyją a barkiem.

Wtulam się w nią. Zastanawiam, czy mogłaby w ogóle znaczyć dla mnie więcej, niż znaczy już teraz, a wiatr wzbiera na sile i porusza przyczepionym do krawędzi dachu bliźniaka lampionem. Jego mętne światło oblewa ciemne panele, w czasie gdy czerpię z bliskości Love ulgę, licząc skrycie na to, że ona również ją odczuwa, będąc uwięziona w moich ramionach.

Ale ona zwraca uwagę na coś zupełnie innego. Odchyła powoli głowę do tyłu, by móc spojrzeć na mnie przygasłymi oczami. Ja też na nią spoglądam. Odrywam jedną rękę od jej talii. Zmiotam z jej ust kilka posklejanych od śliny pasm, trzymając ją bez wysiłku.

– Przystanąłeś – wyszeptuje nieswojo, ledwo się na to zdobywając. – Czy ty...

Zbliżam swoją twarz do jej. Stykamy się nosami, a nasze oddechy się mieszają.

– Pytasz, czy może się rozmyśliłem i zaraz jednak wyjdę stąd, trzaskając drzwiami? – dokańczam za nią, a Love kiwa niepewnie głową, patrząc na mnie z niemą obawą.

– Właśnie o to – potwierdza słabo.

Nadal odnajduję w mroku jej smętne spojrzenie.

– Nie zamierzam iść do siebie – zaprzeczam dyskretnie, znowu przenosząc dłoń na jej bok. – Kładąc cię na łóżku, musiałbym na moment pozwolić ci wyslizgnąć mi się z rąk, a bardzo tego nie chcę. Choćby na ten moment nie chcę pozwolić ci wyslizgnąć mi się z rąk, wiesz?

Próbuję unieść kącik ust i zaoferować zasmuconej Love chociaż krzywy uśmiech, ale wcale mi to nie wychodzi. Wciąż mam bowiem w głowie wspomnienie jej, klęczącej przede mną na kuchennej podłodze, a ono zdaje się z łatwością wyrywać mi serce z pierdolonej piersi.

Teraz nie puszczam jej, kiedy ściera wierzchem dłoni ostatnie łzy z brody.

– Nie chciałam pęknąć – wykrztusza, opuszczając z niemocą ręce. – Ani żebyś widział, jak pękam. Ale przekonywanie cię, że wszystko jest w porządku, było coraz trudniejsze.

Kręcę głową z ostrożnym protestem, zjeżdżając wzrokiem na jej usta.

– Nie musiałaś ani nie musisz zgrywać twardej i idealnej Love, żebym cię od siebie nie odsuwał. Bo nie odsunę cię od siebie niezależnie od tego, jaka będziesz – kończąc, na powrót zaglądam jej w oczy, a potem wypuszczam westchnienie i zbliżam się do dużego łóżka.

Stojąc przed nim, zrzucając powoli dziewczynę na jasną pościel. Gdy już w niej leży, nieruchomieję tuż nad nią z przedramionami opartymi po bokach jej głowy, ustami niemalże muskającymi jej czoło oraz spokojnym oddechem rozbijającym się na jej smutnej twarzy.

– Przepraszam – szepcze.

Zamykam w dłoniach wciąż nieco wilgotne policzki Love.

– Tak strasznie cię przepraszam, że uparcie próbowałam mydlić ci oczy.

Przebiegam kciukami po kobiecych skroniach i odgarniam z nich splecione kosmyki włosów. Love za

to mruga powoli, ociężale, po prostu leżąc pode mną oraz sprawiając wrażenie wykończonej w każdym znaczeniu tego słowa. Przez krótką chwilę oboje wsłuchujemy się w świst powietrza wdzierający się do sypialni, wyłapując swoje spojrzenia pośród ciemności.

Aż w końcu schylam się ku niej bardziej. Przymykam powieki i połykam tchnienie.

– Po prostu nie rób już tego więcej, w porządku, Love?

Otwieram oczy. Ona odwraca akurat mozolnie głowę w bok oraz zagląda w dal.

– Ja... powiem ci to, co powinnam powiedzieć ci już dawno – zapowiada.

– Pod warunkiem, że czujesz się gotowa.

– Tak mi się wydaje.

Po jej słowach opadam bokiem na materac. Z twarzą zwróconą ku twarzy Love, czekam cierpliwie, aż zacznie mówić. Aby dodać jej otuchy, nakrywam jeszcze jej drżącą dłoń swoją. Chowam ją w zdecydowanym uścisku i nie pozwalam mu zelżeć pod żadnym pozorem.

Moja ukochana zbliża się do mnie. Podpiera policzek wolną ręką i styka swój czubek głowy z moją brodą. Niewiele myśląc, składam na nim czułe i długie muśnięcie ust. Spomiędzy jej wydostaje się akurat kilka wypowiedzianych niespokojnym tonem słów:

– Zima dobiegała końca.

Nie odrywam warg od jej skóry.

– Właśnie wtedy było naprawdę dobrze – kontynuuje, wracając gdzieś wspomnieniami. – Czułam się swobodnie i spokojnie. Nie miałam potrzeby kontrolować ile ważę, analizować, czy nie zjadłam przypadkiem za dużo na głupią kolację. To było wspaniałe. Móc przekonać się, jak wygląda normalność. Normalne funkcjonowanie z jedzeniem. Normalne chodzenie z drugą połową na randki, smakowanie normalnego, beztroskiego życia na odludziu, które uwielbiam.

Wydaje mi się, że tym razem to Love zamknęła oczy. Ja za to odnajduję w czerni martwy punkt i koncentruję się tylko na nim, niezmiennie wsłuchując się w głos dziewczyny.

– Tak dobrze było... Dopóki nie trafiłam do Aarona.

Instynktownie mocniej ściskam jej zaciśniętą w ciasną pięść dłoń.

– Będąc tam, usłyszałam wiele przykrych rzeczy, ale ta jedna spośród nich uderzyła mnie naprawdę mocno – ciągnie dalej, a przemawia przez nią pewien rodzaj przykrew nostalgii. – Aaron któregoś dnia powiedział mi, że przez tych kilka lat, w ciągu których mnie nie widział z bliska, stałam się odpychająco okrągła i muszę koniecznie schudnąć do czasu ślubu.

Natychmiast kielkuje we mnie gniew. Zaczynam cholernie żałować, że gdy dorwałem w swoje ręce Chatfielda, po prostu go nie zatłukłem. Bo on to zrobił. Znowu doprowadził do tego, że Love... zaczęła postrzegać siebie jak kogoś, kto wygląda wstrętnie. Znowu wyrządził jej okropną krzywdę, a ja myśląc o tym, mam wrażenie, że węzeł zawiązuje mi się w gardle.

Moja Love na to nie zasłużyła. Ani wcześniej, ani teraz ona na to nie zasłużyła.

Wracam do rzeczywistości, dopiero słysząc, jak znowu się do mnie zwraca:

– Na początku próbowałam odpierać od siebie jego opinię, bo wiedziałam, że on uwielbia się tak nade mną pastwić. Wytykając mi, jaka jestem gruba. Ale z upływem dni, nawet gdy już mnie od niego zabrałeś, jego słowa zakorzeniały się we mnie tylko coraz głębiej.

Wtulam policzek w jej włosy.

– Zaczynałam rozstrzygać w głowie, czy może mógłby mieć chociaż trochę racji. Czy może gdzieś rzeczywiście coś mi się odłożyło. To stawało się uciążliwe, bo trudno mi było choćby zaakceptować myśl, że mógłbyś mnie podnieść... Mógłbyś podnieść mnie, kiedy ważę tak bardzo dużo. Od razu miałam przed oczami wizję, że cię przeciągam – opowiada łamliwym głosem, a ja przysięgam, znowu czuję, jak ucisk bólu rozsada mi klatkę piersiową.

Jak wiele musiałaś jeszcze przetrwać zupełnie sama, Love?

Jak wiele?

– Wyobrażałam sobie, że udajesz, że widok mojego odstającego brzucha cię nie rusza, a potem, gdy jesteś już sam, myślisz o tym, jak delikatnie zaproponować mi, żebym się za siebie wzięła – dopowiada po chwili namysłu, zaczerpując łapczywie krótki oddech. – Nie powinnam sobie tego wyobrażać. Ale i tak to robiłam, bo nie umiałam nad tym zapanować.

Nawet jeśli moja mina jest pozbawiona wyrazu, wyznania Love zdają się poniewierać mną, jak chcą.

Zdają się gniewać mnie na pieprzoną miazgę. Ponieważ ona cierpiała. W pewnym momencie po prostu okropnie cierpiała, pilnując się na każdym kroku i myśląc o sobie źle, unikała okazji, bym mógł ją ponieść lub zobaczyć bez niczego. A ta świadomość boli.

Boże, ona tak strasznie boli.

– Jadłam mniej. – Love przetyka powoli ślinę i od razu dorzuca coś jeszcze: – Zaczynałam rozumieć, że moje problemy wróciły. Gdy byłam już tego pewna wahałam się, czy się tym z tobą dzielić. Ubzdurałam sobie, że mnie zwyczajnie odrzucisz, jak tylko zrozumiesz, ile twoich wcześniejszych starań, bym wyzdrowiała, poszło na marne.

Krzywię się i sam już nie wiem, gdzie leży granica mojej wytrzymałości, kiedy w grę wchodzi opowieść Love o tym, jak czuła się przez ostatnie tygodnie. Jest mi ciężko to przyswajać, cały strach, który w sobie dusiła, całe rozdarcie, całą obawę, cały głęboki smutek.

Nie mam pojęcia. Nie mam pojęcia, jakim cudem ona jeszcze się nie rozleciała.

Jest najsilniejsza. Może mówić, że nie, ale ja wiem, że jest właśnie taka.

– Ubzdurałam sobie, że nie będziesz chciał użerać się już ze mną i moją popapraną głową – szepcze. – Że poczujesz się zły, sfrustrowany, rozczarowany tym, że nie potrafię po prostu zdusić w sobie myśli, które przecież wiem, że są okropne i mnie niszczą. W końcu ja naprawdę o tym wszystkim wiem, więc dlaczego miałabym nie umieć ich zignorować?

Przybity rozdzielam nasze dłonie, a ona unosi na mnie zaszklony wzrok.

– Ja... – Love przez parę sekund wpatruje się we mnie z delikatnie rozchylonymi ustami. – Nie potrafiłam tego zrobić. One umiały mnie podejść i sprawić, bym skupiła się tylko na nich.

To nie twoja wina. Nie twoja, a wszystkich tych, którzy tak okropnie cię traktowali.

Jedna łąza skapuje na jej dolną wargę i kreśli po niej ślad, by finalnie rozbryzgać mi się na palcach, które przed momentem ułożyłem pod jej drżącym podbródkiem. Pierś Love porusza się coraz bardziej niespokojnie, a ja patrzę w brązowe, pełne bólu oczy, czując się rozszarpany.

Aż w końcu chwytam w całą dłoń jej brodę i głaszczę bladą skórę kciukiem.

– Skoro w tej kwestii okazałam się słaba, nie chciałam okazać się taka w kolejnych, choćby gdy w Denver napisał do mnie Aaron – wspomina, a ja od razu mam przed oczami jej obojętną tamtych razem twarz. – Poczułam wtedy, że to też cię męczy. Fakt, że ciągle musisz mnie tylko pocieszać i podnosić na duchu, pomagać mi się uspokoić i klepać po plecach.

Dlatego udawałaś, że to cię nie rusza.

– Z tego powodu tak uparcie powtarzałam ci dzisiaj w kuchni, że *wszystko jest dobrze* – wyjaśnia cicho, przecierając niedbałym ruchem palców zaczerwienione oczy. – Ponieważ... Ponieważ nie chciałam, żebyś czuł się tak, jakbyś ciągle i ciągle trzymał w ręku swój stary, popsuty aparat, który zaczyna cię już denerwować.

Wycieńczony opuszczam rękę. Love zwiesza żałośnie głowę i wbija zmartwiony wzrok w biel mojej koszuli, nie dodając już nic więcej. Biję od niej zawstydzenie. Przygnębienie. Biję od niej wszystko to, co chciałbym jak najprędzej zabrać.

– Nie poczułem się tak chociażby przez beznadziejną sekundę – odpowiadam szeptem, mimo że moje gardło od dłuższego milczenia do złudzenia przypomina pustynię.

Później ostrożnie przenoszę dłoń na kolano Love. Ona unosi niepewnie swój wzrok na mnie i zadaje nim nieme pytanie. Początkowo nie wypowiadam choćby słowa. Nadal leżę nieruchomo. Wyłapuję jej spojrzenie w ciemnościach. Aż w końcu dłonią, którą trzymam na jej kolanie, przyciągam ją do siebie bardziej, przekładając zgrabną nogę przez swój brzuch.

Love musi teraz ułożyć policzek na mojej piersi. Robi to i zaczyna bawić się palcami guzikiem mojej koszuli. Nabieram powoli powietrza. Następnie przebiegam uspokajająco dłonią po całej długości jej uda, dając jej czas, by mogła odsapnąć.

Dopiero po jego upływie ponownie całuję dziewczynę w czoło i zaczynam mówić:

– Przecież jesteś moją Love. Moją tylko odrobinę pogubioną Love, której nie dość, że nie zamierzam za żadne skarby od siebie odsunąć, to jeszcze wiem, że tą, której nawet nie potrafiłbym od siebie odsunąć.

Dziewczyna znowu zaciska drobną pięść i mocniej się we mnie wtula. Zdaje mi się, że oczy, które otwiera, patrzą na mnie wdzięcznie. Ale nie mam pojęcia, dlaczego patrzą na mnie dokładnie w ten sposób. Przecież Love jest dla mnie najważniejsza. Tu naprawdę nie ma mowy, bym chciał, czy też w ogóle czuł się

na siłach, by z niej zrezygnować. Po prostu jej nie ma.

Kiedyś lubiłem ją w każdym wydaniu.

W tej chwili w każdym ją kocham.

– To może nawiedzać cię wciąż, każdy twój jeden problem, ale powrót żadnego z nich nie sprawi, że zacznę cię unikać lub tobą gardzić – dodaję łagodnie, palcami drugiej ręki wdzierając się w ciemne pasma włosów z tyłu jej głowy. – Przenigdy nie zacznę cię unikać ani tobą gardzić, bo cholera, Love. Kocham cię mocniej, niż możesz założyć, że to robię, wiesz?

Kręcę głową, podczas gdy wpatrujemy się w siebie bez choćby krótkiej przerwy. Oboje leżąc na łóżku w zaciemnionej sypialni, otoczeni szumem niemijającego, nocnego wiatru.

– Zresztą uporasz się z każdym problemem. – Unoszę smutno kącik ust, trzymając dłoń w jej włosach. – Jesteś tak zawzięta i silna, że w ogólnym rozrachunku z pewnością to zrobisz. A ja będę cię bez przerwy w tym dopingował, bo tego właśnie chcę, będąc twoim mężczyzną.

Love mruga parokrotnie, a jej brązowe oczy powoli stają się ufne wobec tego, co mówię.

– Nie musisz kryć się z tym, że martwią cię zaczepki Aarona – dodaję spokojnie. – On ranił cię tak wiele razy i tak długo, że możesz bać się zwykłej myśli, że mógłby cię ponownie dorwać. To naturalne, a ja choćby nie wiem co, nie wezmę cię za histeryczkę, rozumiesz?

Otrzymuję w zamian nieśmiałe skinienie. A wtedy... wtedy to ja pękam.

– Boże, Love. – Wypuszczam ciężki oddech i pełen udręki jęk. – On wyrządził ci tyle złego, że... że sam już nie wiem, jak mogę jeszcze w ogóle trzymać cię w jednym kawałku.

Love przykładą wierzch dłoni do mojego policzka.

– Możesz i trzymasz.

Przytakuję, przyciągając ją delikatnie za kark ku sobie.

– Zamierzam wciąż trzymać. Zamierzam robić to wciąż, kochanie.

Całuję ją znowu najpierw w brew, potem w czoło, później w czubek głowy, a ona uśmiecha się niezauważalnie i ponownie zsuwa rękę na moją klatkę piersiową. Jednocześnie wtyka nos w moją szyję. Zaciąga się moim zapachem, nadal jednak delikatnie drżąc.

– Twoja relacja z jedzeniem też wróci na właściwe tory – zapewniam ją.

Wierzę w ciebie. Wierzę i daję słowo, będę robił to nadal, Love.

– Chcę, by wróciła, przysięgam, że bardzo tego chcę. Dlatego zrobię coś, do czego zbierałam się od paru dni, i poszukam pomocy innego psychologa – decyduje, a ciepło rozlewa się po moim ciele, bo wyłapuję w jej słowach determinację. – Wiem, że ty nie możesz...

Kręcę głową, protestując.

– Nie mogę – wtrącam. – Ale wesprę cię jako twoja druga połowa.

Love przytakuje i nieśmiało trąca mnie nosem w brodę.

– Uporam się z tym – szepcze. – Wiem, że z czasem się uporam.

– To jest moja zawzięta Porter – rzucam dumnie.

A ona przywiera do mnie tak, że już bardziej by chyba nie mogła.

– Nie mam pojęcia, jak mogłam ubzdurać sobie, że zareagujesz na to wszystko inaczej – stwierdza po tym, jak pomiędzy nami zapada dłuższa cisza. Od razu wyznaczam kolejną trasę muśnięć na jej twarzy, wprawiając jej kąciki ust w ledwie zauważalne drgnięcie.

– Nie rozmyślaj o tym. Zwłaszcza gdy jesteś wykończona – proszę niewyraźnie z wargami przytkniętymi czule do jej skroni.

Love podrywa lekko głowę i odnajduje moje spojrzenie.

– To sugestia, że mam zasnąć? – pyta niezmiennie cicho.

– Nie – zaprzeczam. – Chcę sobie z tobą jeszcze poszeptać.

Dziewczyna wzdycha smętnie, gdy coś sobie przypomina.

– Skoro wczoraj w Denver nie dałam nam szansy sobie poszeptać.

– Wrócimy tam – zapowiadam natychmiast, przesuwałac palcami po zewnętrznej partii jej nagiego uda. – Niedługo. Na trawę przy rzece w samym centrum ogromnego miasta. W nocy, kiedy będzie zbierało się na deszcz.

– Tak? – Oczy Love jaśnieją.

Uśmiecham się nieznacznie na taki stan rzeczy.

– Wezmę słuchawki i dam ci je, gdy już się na mnie wygodnie ułożysz – odtwarzam w głowie przebieg naszej wczorajszej randki, skrycie uznając, że do czasu była naprawdę miła. – A potem będziemy leżeć w tej trawie przez resztę nocy, choćby miało rozpadać się na dobre.

Love wystrzela z krótkim pytaniem:

– A weźmiemy ze sobą Raine’a?

Marszczę obruszony brwi.

– Oczywiście, że nie.

– Nie? Jemu też spodobałoby się Denver nocą.

Od razu poprawiam ją zuchwałym prychnięciem.

– Jemu bardziej spodobałabyś się ty. A ja miałbym coś przeciwko temu.

Dziewczyna uśmiecha się odrobinę szerzej.

– Byłbyś zazdrosny o swojego siostrzeńca?

– Już jestem – odpowiadam z udawaną powagą, a później przypominam sobie to, co wczoraj usłyszałem w trakcie śniadania od Chlo, i dzielę się tym z już odrobinę mniej przygnębioną Love: – Uwierzysz, że wymyślił imiona dla waszych dzieci?

Moja ukochana podrywa głowę i opiera podbródek na mojej piersi.

– To dobrze o nim świadczy. Myśli na zaś, to dobra cecha.

Czy ona się ze mną droczy? Ściągam brwi.

– Córkę nazwiemy Dream¹ – zapowiadam, wymyślając swoje propozycje na poczekaniu. – Chłopców Rhys i Kieran. Też mam coś w rękawie. To chyba dobrze o mnie świadczy, że myślę na zaś? – Unoszę pytająco brew, a rozbawiona Love przytyka dłoń do ust.

Wtem jednak oboje podrywamy się do siadu, słysząc głośnie miauknięcia.

– To Klakier? – pyta dziewczyna. – Coś mu się dzieje?

Wyteżam słuch. Odgłosy dochodzą z zewnątrz. Myślę, że Klakier nie miauczałby z byle powodu, nie tak głośno. Postanawiam na wszelki wypadek sprawdzić, czy wszystko z nim w porządku i zwlekam się z materaca. Stojąc już na nogach, spoglądam na klęczącą na nim Love.

– Idziesz sprawdzić, czy wszystko z nim okej? – pyta zatroskana.

Od razu przytakuję.

– Pójdę zgarnąć go z ogrodu. Zaraz wrócę.

Ruszam ciężkim krokiem w stronę wyjścia z sypialni. Przechodzę przez zaciemniony korytarz do drzwi frontowych. Wychodząc na zewnątrz, przeczesuję palcami roztrzepane włosy i omiatam czujnym wzrokiem najbliższe otoczenie. Kiedy zauważam odjeżdżające z chodnika naprzeciwko bliźniaka auto, zimny i gwałtowny dreszcz przebiega mi wzdłuż kręgosłupa.

Wydaje mi się, że akurat je widziałem już wcześniej.

Wydaje mi się, że może należeć do Gavina Portera.

Przez dłuższą chwilę patrzę rozdrażniony w dal, pozwalając, by chłód oblepił moją skórę. Tym razem zamierzam być bardziej uważny. Nawet jeśli to nie brat Love przemknął przez ulicę, na której mieści się bliźniak, i tak stanę na głowie, by przekonać się, czy przypadkiem nie zjawił się on w Aspen. A jeśli się zjawił i chodzi teraz za swoją siostrą krok w krok... cóż.

Skończy gorzej, niż skończył Aaron Chatfield, kiedy spotkaliśmy się w cztery oczy.

Z letargu wytrąca mnie coś, co ociera się o moje nogi. To Klakier, już zdecydowanie bardziej spokojny, prosi się o moją uwagę. Schylam się po niego i biorę go w rękę, by potem podnieść się i móc uwiesić sobie zwierzaka na ramieniu.

– Dobry sierściuch – chwałę go oraz klepię po grzbiecie.

Następnie wracam do środka i po tym, jak zamykam drzwi frontowe na klucz, maszeruję do sypialni, gdzie Love wciąż siedzi na klęczkach i przeczesuje wzrokiem zaciemniony pokój. Gdy pośród mroku dostrzega mnie, prostuje się delikatnie oraz zadaje krótkie pytanie:

– I jak?

Kiwam głową.

– Mam go.

Podchodzę do łóżka i zrzucam na nie kota. Później zatrzymuję się tuż przed Love i górując nad nią wysoką posturą, wyciągam powoli dłoń, by móc przebiec swobodnie i czule knykciami po jej policzku.

Uśmiecham się ledwie zauważalnie. A ona uśmiecha się w ten sam sposób, patrząc na mnie z dołu z uwielbieniem, które tak strasznie mi się podoba.

Ty cała mi się podobasz, Love.

Przyglądam się jej baczniej i unoszę brew.

– Szukasz dalej pretekstu, żeby mnie stąd wykurzyć, czy mogę się położyć?

– Chodź do mnie – słyszę jej prośbę. – Po prostu... chodź już do mnie i zostań.

Robię to bez mrugnienia okiem. Najpierw popycham ją delikatnie do tyłu, by opadła plecami na jasną pościel, a później nakrywam ją ciężarem ciała i pozwalam, by oplotła mnie rękami w pasie. Kładę policzek na jej dekolcie. Love opiera brodę w moich włosach. Leżymy tak, nic nie mówiąc, a ja co jakiś czas składam kilka krótkich muśnięć na jej nosie i ustach.

Nagle jednak Love postanawia się odezwać:

– Ktoś po tobie chodzi – zauważa rozbawiona.

Kompletnie nie dbam o to, że Klakier się po mnie wspina.

– Niech chodzi. Za to po głowie od dawna chodzi mi ktoś inny.

Moja ukochana przebiega palcami po moich lędźwiach.

– Kto taki? – docieka głupkowskim tonem.

Przymykam powieki. Jest mi tak cholernie dobrze.

– Wyłącznie ty.

Wyłącznie ty, Love.

– Więc przyjedziesz po mnie za półtorej godziny? Pod szkołę baletową?

Słyszając pytanie zadane w pośpiechu przez Love, odrywam wzrok od ekranu laptopa i ściągam okulary z nosa. Od razu spoglądam na dziewczynę, która właśnie w ekstremalnie szybkim tempie na stojąco próbuje zawiązać sznurowadła tramppek, przy okazji omal się przy tym nie zabijając. Kręcę głową z politowaniem i sięgam po kubek, z którego upijam łyk kawy.

– Tak. Potem wybierzemy się na zakupy i ugotujemy coś dobrego, co myślisz?

Love uśmiecha się do mnie niepewnie.

– Chętnie na to pójdę. A teraz muszę lecieć, Kayden czeka.

Po tych słowach brunetka podchodzi do mnie, siedzącego przy biurku w gabinecie, i kradnie mi krótkiego buziaka, zanim wybiega z pomieszczenia, pędząc do drzwi frontowych jak cholerna torpeda. Uśmiecham się na ten widok, lecz gest prędko znika z mojej twarzy.

Zamykam laptopa. Tego poranka zamierzam się o czymś przekonać.

Wstaję i przechodzę do kuchni. Tam widzę jeszcze przez okno, jak Kayden, który przyjechał właśnie z Denver, zgarnia spod bliźniaka Love, aby zawieźć ją do szkoły baletowej na kolejne zajęcia. Wzdycham wtedy i spoglądam na zegarek oplatający nadgarstek. Jeśli Gavin Porter jest w Aspen, pewnie będzie kręcił się przy swojej siostrze przez cały czas.

Ruszam tym razem do korytarza. Zanim jednak robię drugi krok, mój wzrok pada na kuchenny blat. Robi mi się nieco lepiej na widok talerza z kanapkami, bo przypominam sobie, że Love skubnęła dzisiaj trochę śniadania. Wyjdzie z tego bagna.

Jestem pewny, że jej się to uda.

Będąc już w samochodzie, wyjeżdżam z podjazdu i obieram znajomy kierunek. Przez całą drogę, jaką odbywam, stukam nerwowo palcami lewej ręki o drzwi samochodu. Jeśli Porter rzeczywiście się gdzieś tutaj kręci, oznacza to, że Aaron nie zamierza odpuścić sobie Love.

A ona nie jest teraz w formie.

Konfrontacja z jednym albo z drugim mogłaby jej zaszkodzić. Dlatego nie zamierzam dopuścić, by do niej w ogóle doszło. Jeśli mam podejrzenia co do tego, że Chatfield i jego przyjaciel zamierzają się na nas odegrać, po prostu w pierwszej kolejności je sprawdzę.

Docierając do celu, zatrzymuję samochód blisko szkoły baletowej, ale nie na parkingu pod nią. Wyciągam kluczyki ze stacyjki, omiatając uważnym spojrzeniem najbliższe otoczenie. Długo nie natrafiam nim na znajomo wyglądającego mercedesa.

Dopóki nie zauważam go nieco dalej, przy jednej z kamienic.

Poprawiam się na siedzeniu, czując rosnącą we mnie złość. Widzę go. Gavina Portera. Mimo chęci, by natychmiast zerwać się z miejsca, wytargać go z samochodu i wymusić na nim w niekoniecznie przyjemny sposób powrót do jebanego Carson City, duszę w sobie te zamiary. Zamiast tego z zaciśniętą szczęką sięgam po swój telefon. Ściskam go mocno w dłoni, odnajdując w notatkach numer, który spisałem z komórki Love, gdy byliśmy w Denver. Nie zwlekając, wybieram go i niezłe wytrącony z równowagi przytykam urządzenie do ucha.

Aaron odbiera połączenie, a ja wtedy zwracam się do niego oschłym tonem:

– Jeśli nie chcesz, żeby po Nevadzie rozniosła się wieść, że twój ojciec zalicza skoki w bok, albo że kiedy jeszcze grzał fotel pana dyrektora, bawił się w robienie niezłych przekrętów w firmie, każesz Gavinowi Porterowi w tej chwili odjechać spod szkoły baletowej w Aspen.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY



RYDER

Przechodząc następnego dnia przez próg poradni, poprawiam wolną ręką swój krawat oraz przeczesuję wzrokiem niemalże pustą recepcję. Dostrzegam w niej tylko siedzącą za kontuarem Elise. Kobieta słysząc szmer, podrywa głowę znad stosu papierów i od razu przywołuje mnie do siebie delikatnym, serdecznym uśmiechem. Podchodzę więc do niej, zanim ruszam w stronę windy nieopodal.

– To dla twojego pierwszego pacjenta na dzisiaj, standardowe zgody i regulaminy – oznajmia, podając mi znajomo wyglądające papiery, które od razu przejmuję. – Ma zjawić się u nas pierwszy raz, ale szczerze wątpię, że to zrobi.

Ściągam brwi, odrobinę zbity z tropu.

– Dlaczego?

Kobieta wzrusza ramionami.

– Numer, z którego wczoraj dzwonił, żeby zapisać się na sesję z tobą, zdradził, że facet kontaktował się z Nevady. To jednak trochę daleko, nie sądzisz?

– Z Nevady? – upewniam się, że dobrze ją usłyszałem.

Wtem gdzieś za moimi plecami rozbrzmiewa pewien głos.

– Precyzyjniej rzecz biorąc, zapisałem się na wizytę z Carson City.

Moja twarz pozostaje nieprzenikniona choćby jedną emocją, mimo że świadomość tego, kto za mną stoi, potężnie mnie rozdrażnia. Ze wzrokiem wbitym w jasną ścianę przed sobą, zaciskam mocniej palce na uchwycie swojej aktówki.

A więc przyjechał.

Aaron Chatfield przyjechał do Aspen.

Przekrzywiam nieznacznie głowę. W gruncie rzeczy spodziewałem się, że prędzej czy później zjawi się tutaj z wizytą. Po tym, jak wczoraj wykonałem do niego telefon, miałem przeczucie, że będzie chciał przedyskutować temat swojego ojca i przekonać się, czy naprawdę mógłbym mu jakkolwiek zagrozić.

Trzymając nerwy na wodzy, odpowiadam formalnie:

– Gabinet numer osiem, szóste piętro.

Po wypowiedzeniu tych słów rozpoczynam marsz w kierunku pobliskiej windy, przeczuwając, że gębę Chatfielda – na którą jeszcze nie miałem okazji spojrzeć – zdobi teraz kojarzący mi się z nim arogancki uśmiech. Ten sukinsyn dobrze wie, że zdekoncentrował mnie swoim przyjazdem. Wie to doskonale.

Wsiadając do windy, sięgam w pośpiechu po telefon i wysyłam krótką wiadomość do Love z pytaniem, czy Kayden już po nią przyjechał, żeby razem pojechali do pracy. Ulga przetacza się przez każdy skrawek mojego ciała, gdy odpowiedź otrzymuję natychmiast, w dodatku taką, która potwierdza moje przypuszczenie.

Więc nie jest sama. Świetnie.

Prędko wystukuję również szybkiego SMS-a z prośbą do Kaydena, by miał ją na oku przez następne godziny. W końcu Gavin też gdzieś się tutaj nadal kręci. Potem chowam komórkę do kieszeni garniturowych spodni i przecieram dłonią usta. Coś mi mówi, że konfrontacja z Chatfieldem trochę potrwa, a także że wcale nie będzie ona przyjemna.

Wysiadam z windy. Ruszam do gabinetu, w którym panuje półmrok przez to, że niebo jest dzisiaj zachmurzone. Nie zamykam za sobą drzwi. Zamiast tego od razu podchodzę do swojego stanowiska pracy i odkładam na jego blat aktówkę. Zsuwam z ramion marynarkę. Zaczepiam ją na oparciu krzesła. W międzyczasie słyszę kliknięcie klamki podpowiadające, że Aaron również wszedł do gabinetu.

Przez chwilę ignoruję jego obecność. Aż w końcu podwijam rękawy koszuli oraz opieram ręce na krawędziach solidnego biurka, wbijając obojętne spojrzenie w Chatfielda i zwracając się do niego beznamiętnym tonem:

– Po cholere się tu przywlokłeś?

Chłopak rozsiada się wygodnie na kanapie naprzeciwko.

– Twoja wczorajsza groźba trochę mnie zmartwiła – mówi bez ogródek.

– Kiedy ona nie miała cię wcale zmartwić, Aaron – odpowiadam od razu z niezmiennie niewzruszonym wyrazem twarzy. – Ona miała ci uświadomić, że nie powinieneś stawać mi więcej na drodze, bo jeśli się na to zdecydujesz, zniszczę zarówno ciebie, jak i twojego ojca.

Chatfield unosi beczelnie kącik ust.

– Wtedy ja postąpię tak samo z twoją reputacją – kontruje wybitnie z siebie zadowolony. – Zniszczę ją bez żadnego trudu. W końcu romans z pacjentką rzuci spory cień na twoją świetną, nieposzlakowaną opinię, czyż nie?

Wzdycham znudzony.

– Rzucić to ja mogę tobą o tę ścianę, głupi pajacu.

Aaron prycha pod nosem.

– Nie zależy ci, by zachować dobre imię?

– Pokaż mi coś, co potwierdzi twoją wersję.

Pozostaję spokojny. Prostuję się, okrążam biurko i przysiadam z przodu na jego krawędzi. Potem zakładam ręce na klatce piersiowej, a Chatfield przez cały czas sprawia wrażenie lekko zaskoczonego, gdy trawi to, co powiedziałem.

– Coś, przez co ktokolwiek miałby uwierzyć, że nie ściemniasz – ciągnę swobodnie, a kiedy przez dłuższy moment nie uzyskuję od niego odpowiedzi, kontynuuję perfidnie: – No co? Nie masz w zanadrzu nic takiego?

Aaron zwięża oczy, nie spuszczać ze mnie wzroku.

Oczywiście, że nie masz w zanadrzu nic takiego.

– Rozumiesz już, że tak naprawdę nie masz jak ani czym mi zaszkodzić? – dociekam.

Na zewnątrz z każdą chwilą zmierzcha się tylko bardziej, przez co gabinet pogrąża się w jeszcze większych ciemnościach. Pośród nich bez problemu nadal odnajduję jednak poczerwieniałą z irytacji twarz swojego *dzisiejszego pacjenta*.

Chłopak cedzi w końcu przez zaciśnięte zęby pytanie:

– A ty niby masz coś podobnego na nas?

Uśmiecham się, kręcąc głową z pobłażaniem.

– Naprawdę pytasz, Aaron?

– Więc mi to pokaż.

– Nie musisz błagać dwa razy.

Wyławiam z kieszeni spodni komórkę i wysyłam Chatfieldowi jedno z kompromitujących jego ojca zdjęć, które przysłała mi jakiś czas temu niezawodna Carla. Później unoszę wzrok na swojego rozmówcę, który po tym, jak odczytuje wiadomość, odrzuca telefon na kanapę i klnie pod nosem, odwracając wzrok do panoramy okazałych gór widocznej za ogromnymi oknami gabinetu.

Do Aarona dociera właśnie, że jest w pieprzonej kropce.

A ta wiedza smakuje naprawdę dobrze.

– Wiesz, że to, co mam na twojego ojca, wywoła niezłą sensację – zaczynam mówić, będąc przy tym całkowicie opanowanym. – A ty... możesz jej zaniechać.

Chłopak znowu spogląda na mnie z wyraźną odrazą.

– Wiem jedynie, co takiego próbujesz osiągnąć.

Z ust wyrывa mi się pogardliwe prychnięcie.

– Mam ci zaklaskać, bystrzaku?

Chatfield zaciska usta w kreskę, a ja wciąż wpatruję się w niego bez wyrazu i siedzę wygodnie na krawędzi biurka, uderzając w wyczekiwaniu podeszwą buta o podłogę. Sekundy mijają. On nie odzywa się choćby słowem.

Dlatego nareszcie ja postanawiam to zrobić i rzucam jasne żądanie:

– Skończ kręcić się przy Love. Ty i Gavin Porter. Obaj.

Mina Aarona staje się tęższa. Ewidentnie nie chce na to przystać.

– Swoją drogą myślałem, że ten przekaz był jasny już wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy – dorzucam, unosząc przy tym leniwie brew.

– Wtedy mnie skatowałeś.

Zupełnie nieprzejęty poprawiam mankiety koszuli.

– Bądź wdzięczny, że w tej chwili jestem bliski jedynie wywleczenia cię z tego gabinetu – mówię jak gdyby nic, opuszczając ręce i wsuwając dłonie do kieszeni eleganckich spodni. – Skończmy tę farsę, Aaron. Ty zapobiegasz aferze i odpuszczasz sobie Love. Ja zatrzymuję swoje dowody wyłącznie dla siebie. Nie wyjdę z inną propozycją. To jedyna, którą możesz przyjąć albo odrzucić.

W oczach Chatfielda wyłapuję złość w naprawdę klarownej postaci. Przez dłuższą chwilę mierzymy się spojrzeniami. *Jest wściekły*, orientuję się. Ale w żaden sposób mnie to nie rusza. Obojętny na jego reakcję zerkam na zegarek tarczowy oplatający nadgarstek, a potem ponownie unoszę wzrok na chłopaka.

– Masz jeszcze do namysłu... załóżmy, co najwyżej, dwadzieścia minut. Po tym czasie przyjmuję następnego pacjenta, którego mam umówionego na wizytę – zaznaczam dobitnie, a moje ponaglenie tylko wzmacnia irytację Aarona.

Doprowadzam go do szалу i jest mi z tym świetnie.

– Dobrze wiesz – mówi sfrustrowany. – Dobrze wiesz, że chcę jej.

Wstaję z biurka i powolnym krokiem ruszam do siedzącego na kanapie Chatfielda. Kiedy stoję już tuż przed nim i patrzę na niego z góry, rozkładam ręce.

– Ale chcesz jej tak bardzo, że aż rzucisz kłody pod nogi własnemu ojcu?

Chłopak zaciska szczękę.

– Przeszkadzasz. Tak bardzo mi, kurwa, przeszkadzasz.

Opieram ofensywnie dłonie na biodrach.

– Więc mamy o sobie identyczne zdanie, Aaron.

Na przestrzeni następnych minut rozegra się tak naprawdę wszystko. Albo pozbędę się Aarona Chatfielda z życia Love na dobre, albo tego nie dokonam. Po tylu miesiącach użerania się z nim cholernie chcę, by usunął się w cień. By wrócił do swojego Carson City i uznał, że moja kobieta jest dla niego kimś obcym.

Wtem chłopak podnosi się do pionu, ale i tak góruję nad nim posturą.

– Kasa. – Dyszy ciężko w jakimś dziwnym amoku. – Jak dużo?

Uśmiecham się z pobłażaniem. Żenująca jest ta jego desperacja.

– Mam ci dać jej tyle, żebyś się nią udławił? Wtedy wyjdzie na moje? Nic nie piśniesz i zacnie ci zwisać, co się z *nią* stanie? Podaj, ile chcesz. Kilkaset tysięcy? Jebanych kilkaset tysięcy dolarów? – ciągnie nieokrzesanie.

Obserwuję go bez emocji przez dłuższy moment.

– Kiedy nigdy nie wyjdzie na twoje.

Aaron zdaje się u szczytu swojej złości.

– Pojmij to nareszcie, co? – pytam spokojnie.

Rozeźlony chłopak odwraca wzrok do okna. Najpewniej próbuje znaleźć w głowie jakieś inne wyjście, bo gapi się w krajobraz przez następne minuty. Tyle że nie ma takiego rozwiązania, które pomogłoby mu chwycić dwie sroki za ogon. Nie ma go. Aaron jednocześnie nie obroni honoru ojca i nie zagarnie dla siebie Love.

Od Chatfielda ani na sekundę nie przestaje bić gniew. Niemalże czuję, jak unosi się on po gabinecie, lecz wciąż zupełnie mnie nie rusza. Czekam na jego decyzję. Czekam na nią, nie dając po sobie poznać, że powoli tracę cierpliwość.

No dalej. Zrezygnuj z niej. Zrób to, do cholery.

Aaron znowu sznuruje wargi i wbija we mnie czysto nienawistny wzrok. Mija jeszcze kilkanaście sekund, zanim zbliża się tak, że stykamy się czubkami butów.

– Wynoszę się stąd na dobre. Gavin Porter razem ze mną. To, co dorwałeś w swoje ręce, ma nie wyjść na światło dzienne – cedzi mi to prosto w twarz, a ja patrzę na niego z wysokości oraz czuję, jak moje mięśnie przeszywa pewien kojący rodzaj ulgi.

Aaron odpuszcza. Nareszcie, ja pierdolę, odpuszcza. Love nie będzie musiała się martwić ani nim, ani swoim bratem. Mimo idącego wraz z tą wiedzą zadowolenia pozostają skupiony, ponieważ Chatfield dokańcza złowróbnym tonem:

– Bo jeśli jakimś trafem wyjdzie, to *ona* za to zapłaci.

Natychmiast chwytam go mocno za fraki. Robię to automatycznie.

– Wyjdiesz z tego gabinetu teraz albo doprawdy wywolekę cię z jebanego budynku – wypluвам szorstko i nieprzyjemnie, nie potrafiąc w tej sekundzie utrzymać w ryzach furii, jaka nagle się we mnie obudziła.

Patrzemy na siebie z Chatfieldem i obaj oddychamy ciężko.

Aż w końcu uzmysławiam sobie, że szkoda szargać sobie na niego nerwy, kiedy już jest po wszystkim. Ustaliliśmy, co mieliśmy ustalić. Z tą myślą zostawiam go i odwracam się, by podejść do swojego biurka. Tam rzucam telefon na jego powierzchnię i odpalam laptopa. Po chwili unoszę wzrok ponad ekran i obdarzam Aarona znudzonym łypnięciem.

– Sesja z twoim nieocenionym terapeutą minęła, a teraz wypad.

Chatfield trzaska drzwiami tak mocno, że hałas jeszcze przez jakiś czas odbija się w mojej głowie niczym pierdolone echo. Wypuszczam ze świstem powietrze zalegające w płucach i niewiele myśląc, sięgam po leżące na biurku dokumenty, które przekazała mi wcześniej w recepcji Elise.

Drę niechlujnie kartki i mozolnym krokiem podchodzę do znajdującego się nieopodal kosza. Wyrzucam je, a potem odwracam się przodem do górskich szczytów spowitych mgłą. Patrzę w nie przez moment, wciąż odczuwając ulgę. Nareszcie po tylu miesiącach dobrnęliśmy z Love do rozwiązania wszystkich naszych problemów.

Nie wiedziałem, że te dopiero miały zacząć się piętrzyć.

Późnym wieczorem, po skończonej pracy, zgarniam Love z kina i wspólnie wracamy do bliźniaka. Przez całą drogę do domu słucham, jak dziewczyna streszcza mi żywo przebieg swojego dnia, zaś ja wtedy zastanawiam się... jak streścić jej przebieg mojego, by nie zabrzmiało to po prostu abstrakcyjnie. W końcu gdybym wypalił: „Aaron zapisał się do mnie na wizytę”, chyba by mnie wyśmiała. Sam też bym to pewnie zrobił, gdybym nie przeżył tego dzisiaj na własnej skórze.

Po tym, jak docieramy nareszcie do znajomej okolicy, a ja zatrzymuję samochód na pustym podjeździe, Love zbacza odrobinę z tematu i stwierdza z lekkim smutkiem:

– Kayden chyba czuje się samotny. Nie dziwię się, związek na odległość to nieciekawym temat... – W czasie gdy to mówi, ja odwracam wzrok w jej stronę i zaglądam jej w oczy.

– Dlaczego tak uważasz?

Dziewczyna odpina powoli pasy i wzdycha.

– Nie odklejał się ode mnie przez całą zmianę – wyjaśnia zamyślona. – Podziwiam jego i Chlo. Ja bym najpewniej zastanowiła się dwa razy, czy chcę wchodzić w taką relację.

Przenoszę spojrzenie na stacyjkę i wyciągam z niej kluczyki. Love w tym czasie udaje się wygramolić z fotela pasażera oraz wysiąść z auta. Daje mi tym samym krótką chwilę, aby zebrać myśli. Korzystam z tego faktu i kolejne kilkanaście sekund spędzam w range roverze. Dopiero po ich upływie również wysiadam i zatapiam podeszwy butów w trawniku.

Odnajduję wzrokiem Love pośród mgły. Stoi przy oknie w mojej kuchni i stuka paznokciem w szybę, do Klakiera siedzącego na parapecie. Na ten widok kręcę delikatnie głową i podchodzę do drzwi, by utworzyć je znalezionym w aktówce właściwym kluczem.

Przepuszczam Love, by weszła do domu pierwsza. W zamian otrzymuję od niej naprawdę ładny uśmiech. Oboje odkładamy swoje rzeczy na komodę i ruszamy do salonu. Tam przystaję w jego centralnej części oraz odwracam się przodem do idącej dotychczas za mną wesołej Porter, która właśnie spina długie i ciemne włosy w niechlujny koński ogon.

– Love? – zagajam nagle, a ona, niezmiennie radosna, zbliża się do mnie.

– Tak?

Wypuszczam oddech zalegający w płucach.

– Kayden się od ciebie nie odklejał, bo dzisiaj zwróciłem się do niego z prośbą, by tego nie robił –

tłumaczę, utrzymując z nią kontakt wzrokowy. – Twój brat i Aaron byli w Aspen. Przynajmniej po południu, bo teraz są już w drodze powrotnej do Carson City.

Czekałem, aż Love wyjdzie z pracy, kiedy dla pewności zażądałem od Chatfielda oraz Portera ich lokalizacji. A ona mówiła za tym, że wracali do Nevady. Przyglądam się swojej ukochanej, która rozchyła nieznacznie usta, ale nic nie mówi. Kładę więc dłonie na jej smukłych ramionach i gładzę je palcami, chcąc dodać jej tym troskliwym gestem otuchy.

Dopiero po dłuższym czasie Love wykrztusza z siebie pytanie:

– Byli tutaj? Znowu coś kombinują... – reflektuje się – ...kombinowali?

Kiwam głową, potwierdzając jej podejrzenia.

– Wczoraj odbierałem cię ze szkoły baletowej. – Tym stwierdzeniem nieco minąłem się z prawdą, ale nie chciałem dokładać Love zmartwień. – Zobaczyłem wtedy samochód Gavina, więc zadzwoniłem do Chatfielda i dałem mu do zrozumienia, że powinien zrezygnować ze swoich zamiarów, które w jakimś stopniu, nawet najmniejszym, dotyczą ciebie – kontynuuję.

Love uważnie przysłuchuje się temu, co mówię, i nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Dzisiaj przyleciał do Kolorado. Zjawił się w moim gabinecie.

– W twoim gabinecie – powtarza za mną szeptem. – W poradni.

Przesuwam jedną rękę wyżej, na jej szyję oraz część policzka.

– Podał się za pacjenta. Chciał przekonać się, czy naprawdę mogę mu zaszkodzić, a właściwie jego ojcu. Gdy dotarło do niego, że mogę, próbował nieudolnie odbijać piłeczkę i mówić, jak to nie zrujnuje mojej reputacji tym, co o mnie wie – ciągnę, na co Love wyraźnie sztywnieje.

Wiem, że akurat ten temat, rozpoczęty przeze mnie nagle, ją po prostu, po ludzku zaniepokoił. Cieszę się jednak, że Love tego przede mną nie ukrywa. Nie zgrywa obojętnej, ale też nie panikuje. Jest naturalna, jest prawdziwa, jest taka, jaką chciałbym ją widzieć.

Gładzę opuszką kciuka kącik jej ust.

– Ale w końcu pojął, że nie rozegrał tego dobrze – dopowiadam po krótkiej chwili. – Tak naprawdę nie miał na mnie nic. A ja miałem na jego rodzinę całkiem sporo brudów.

Love zbliża się do mnie i opiera niepewnie dłonie na moim brzuchu.

– Poddał się? – pyta nieśmiało.

– Nie tak łatwo.

Dziewczyna odwraca odrobinę przygnębiony wzrok do tarasowego okna.

– No jasne, że akurat on nie zrobiłby tego tak łatwo – dodaje pod nosem, a przekonanie, które pobrzmiwa w jej niewyraźnym głosie, podpowiada mi, że Love wie, o czym mówi. Jej palce uczeplają się koszuli na moim brzuchu, gdy brunetka milknie i wygląda za szyby.

Obserwuję ją taką, zamyśloną i niespokojną przez następne sekundy.

– Był cholernie zdesperowany, kiedy zaczął oferować mi spore sumy za niekrzyżowanie mu planów – odzywam się nareszcie, przypominając sobie, jak uparcie chciał mnie przekonać, żebym dał sobie spokój z moją Porter. – Strasznie mu zależało. To świr jakich mało.

Dziewczyna odpowiada na to krótkim skinieniem.

– Prawda – mówi ledwie słyszalnie.

– Myślę, że on ma na twoim punkcie jakiegoś fioła, Love.

Moja ukochana znowu spogląda wprost na mnie i zadziera przy tym brodę.

– Nie jest przyzwyczajony do tego, że nie dostaje, czego zapragnie. To go pewnie tylko napędzało, by znowu mnie dorwać – wysnuwa swój wniosek, a grymas wstępuje wtedy na jej przykrytą częściowo rozsypanymi pasmami włosów twarz. Love nie zdążyła ich spiąć, zanim zacząłem opowiadać jej o tym, co wydarzyło się dzisiejszego popołudnia.

Odgarniam długie kosmyki za jej ucho i zapowiadam spokojnie:

– Nie uda mu się to. Nawet nie będzie tego próbował. Odpuścił.

Brunetka otwiera szerzej oczy, jakby z niedowierzaniem.

– Odpuścił?

– Powiedział, że się wynosi. Na dobre. No i to zrobił.

Love odsuwa się ode mnie na pewną odległość. Zsuwa przy tym ręce z mojego brzucha i zakłada je pod biustem, przesuwając rozgorączkowanym spojrzeniem po podłodze, jakby próbowała wciąż przetrwać

to, że Aaron Chatfield... naprawdę przestał obierać ją sobie za cel.

– Ja... rany – wydycha, robiąc kilka niezgrabnych kroków w tył.

– Love, drzysz – zauważam spokojnie. – Coś nie tak?

Ona błyskawicznie spogląda mi w oczy i kręci głową.

– Ciężko mi dojść do siebie. – Love każde słowo wypowiada niemalże bezgłośnie. – Powiedziałeś mi coś, czego zakładałam, że przenigdy nie usłyszę. Że mój koszmar mnie już nie nawiedzi. Dlatego... dlatego tak mi ciężko zebrać się teraz w sobie i zaoferować ci chociaż głupie *dziękuję, że zrobiłeś dla mnie tak wiele* – kończy, a głos łamie jej się wtedy nieznacznie.

Rozkładałam ręce, jakby odruchowo, i zwracam się do niej miękkiem tonem:

– Po prostu chodź tu do mnie, Love.

Nie muszę długo czekać na reakcję. Moja Love natychmiast chowa się w moich ramionach, a ja tulę ją do siebie bardzo mocno, w czasie gdy obejmuje mnie rękami w pasie i owiewa swoim drżącym oddechem moją pierś skrytą pod marynarką oraz białą koszulą.

– Dziękuję – szepcze cholernie wdzięcznie. – Tak strasznie ci za to dziękuję.

Oczami wyobraźni widzę, jak zaciska teraz powieki, by powstrzymać łzy. Obejmuję więc dłonią niemalże cały tył jej głowy. Całuję jej czubek i oferuję jej całego siebie. Na tę jedną chwilę i na każdą następną, w trakcie której będzie mnie potrzebowała bądź zwyczajnie chciała.

– Ten koszmar cię nie nawiedzi – przekonuję ją łagodnie. – Nie robi tego.

Ponownie przytykam usta do nasady jej włosów i składam na niej muśnięcie.

– Przysięgam, że nikt więcej cię nie zrujnuje.

Dlaczego ci to przysięgam? Przecież w ogólnym rozrachunku rozpadłaś się do samego końca wyłącznie przede mną. Wbijam wzrok w widoczny za oknem, rozpościerający się u dołu działki las i zaciągam się powietrzem. Pozwalam Love oswoić się z wiedzą, że teraz wszystko będzie wyglądało inaczej. Pozwalam jej to robić jeszcze przez parę minut, aż mówię jej coś do ucha:

– Obejmij mnie mocniej.

Love nawet jeśli nie ma pojęcia, co planuję, spełnia moje oczekiwania. Wtedy bez żadnego wysiłku podnoszę ją tak mocno, że aż podskakuje mi w powietrzu, oraz owijam zgrabnymi nogami swój pas. Z ust dziewczyny wyrывa się krótkie sapnięcie, gdy wzmacniam chwyt pod jej udami i ruszam do sypialni.

Tam zrzucam ją z siebie ostrożnie na pościel i kładę się przy niej na boku. Na widok jej uniesionego kącika ust, sam uśmiecham się słabo, przebiegając troskliwie knykciami po skroni Love. Przez moment obserwuję ją z na pewno bez trudu widocznym dla niej niemym uwielbieniem, milcząc.

Aż nareszcie przełykam i wyduszam z siebie szept:

– Tak bardzo tego nie chciałem. Wiesz, że nie?

Dziewczyna kręci wesoło głową, nic nie rozumiejąc.

– Czego nie chciałeś?

Wypuszczam zrezygnowane westchnienie.

– Przepaść dla tych wielkich oczu. – Mój głos jest cichy i zachrypnięty, gdy zwracam się do niej i mknę baczny spojrzeniem po jej uroczej, rozpromienionej znowu twarzy. – Pokochać wszystkim, czym tylko mógłbym, tego oraz tego... – Przytykam usta do jej brody, a potem czubka nosa oraz nareszcie pełnych warg, pomiędzy które dokańczam: – A nawet tego.

Love śmieje się szczerze oraz naprawdę pięknie.

– Więc dlaczego zrobiłeś to wszystko?

– Ponieważ nie mogłem otrzymać bardziej jasnego sygnału, że jesteś *tą miłością*, która miała stanąć na mojej drodze, Love – wyjaśniam, jak gdyby nigdy nic, a potem powtarzam z leniwym uśmiechem: – Love. Zobaczyłem to imię zimowego poranka na twojej skrzynce na listy i parsknąłem pod nosem, wiesz?

Moja ukochana marszczy brwi z fałszywym wyrzutem.

– Wyśmiałeś mnie?

Od razu kiwam głową.

– Zrobiłem to.

– Ach, powinnam się teraz obrazić.

Zbliżam znowu usta do jej, wygiętych w niegasnącym uśmiechu.

– Więc obraź się, bym mógł cię pięknie przeprosić – rzucam zaczepnie, zanim po raz kolejny

odnajduję drogę do swoich ulubionych, smakujących cholernie słodko warg. Love kładzie dłoń na moim boku i przyciąga mnie bliżej.

Bez większego namysłu zawisam nad nią oraz pogłębiam pieszczotę. Przynajmniej dopóki dziewczyna nagle się nie wycofuje. Wtedy i tak próbuję znowu nakryć jej usta swoimi, trącąc prowokująco swoim nosem jej.

– Też na samym początku odczytałam twoje imię z twojej skrzynki na listy, wiesz? – Love wydusza to z siebie z niemałym trudem, gdzieś pomiędzy moimi krótkimi cmoknięciami jej warg. – A potem poszukałam cię na Instagramie.

Zastygam nad jej twarzą, oddychając ciężko, i unoszę brew.

– Co było dalej?

Love opiera policzek na poduszce, unikając mojego spojrzenia oraz próbując pohamować śmiech.

– Znalazłam twojego maila i numer telefonu oraz zamówiłam ci kilkadziesiąt kilogramów karmy dla kotów – wyznaje w końcu, a ja przymykam powieki, nie mogąc uwierzyć, że ta wredota posunęła się do czegoś takiego.

– Ja pierdolę.

Porter dusi w sobie parsknięcie.

– Nie podejrzewałeś, że to ja?

– Myślałem, że byłem przemęczony i coś źle kliknąłem.

Patrzę, jak brunetka nerwowo wypełnia policzki powietrzem.

– Och, w takim razie mogłam się nie przyznawać... – wzdycha niewinnie.

– Mogłaś – potwierdzam surowym tonem, a potem... jednym sprawnym ruchem ręki obracam ją na brzuch, podwijam jej spódnicę i wymierzam lekkie uderzenie dłonią w odkryty pośladek dziewczyny. Love aż podskakuje w pościeli, a z jej ust wyrывa się pisk.

– Leż i się nie ruszaj – pomrukuję, bo mój łup zaczyna się wiercić.

Dziewczyna spogląda na mnie z odległości, a jej policzki są zaróżowione.

– Żebyś mógł dalej to robić? – prycha wymownie.

– Żebyś... – zaczynam, lecz prędko milknę, bo Love próbując przetoczyć się po materacu na samą krawędź łóżka, nagle gwałtownie się z niej ześlizguje wprost na twarde, podłogowe panele w mojej sypialni.

Krzywię się na huk.

– ...rany boskie, nie zaliczyła gleby – dokańczam, a następnie przysuwam się do skraju łóżka i patrząc na leżącą nieruchomo na ziemi Love, pytam cicho: – Trzymasz się?

Dziewczyna wyciąga do mnie rękę.

– Wciągnij mnie – mówi, lecz szybko poprawia się, delikatnie zmieszana: – To znaczy... wciągnij mnie, o ile masz wystarczająco dużo siły, by to zrobić.

Prycham natychmiast na jej słowa.

– Siłę mam, ale nie wiem, czy chęci również.

– Ty draniu – grzmi Porter, lecz wtem z jej piersi wydostaje się sapnięcie, kiedy bez wysiłku rzeczywiście wciągam ją z powrotem na materac, a właściwie na samego siebie. Dziewczyna usadawia się na mnie i zagryza wargę.

– Silny draniu – poprawia się i uśmiecha bardzo szeroko.

– Masz coś jeszcze do dodania? – Unoszę pytająco brew.

Love opiera brodę na mojej piersi i zagląda mi w oczy.

– Jeszcze jedno *dziękuję*.

ROZDZIAŁ SZESNASTY



LOVE

– Wino znajdziesz w piwnicy. Dobrze sobie.

Mój cichy pomruk wypełnia przestrzeń, gdy uparcie poszukuję podobno znajdującej się pośród ciemności półki z winami. Zapytany, czy mamy w bliźniaku chociażby jedną butelkę, Ryder stwierdził, że znaję ją właśnie tutaj. W wielgachnej i upiornej piwnicy, gdzie przenigdy bym się nie zaszyla, gdyby nie nagła ochota, by zrobić ulubiony grzaniec.

Robiłam go zdecydowanie częściej, odkąd w Aspen nastąpiła późna jesień, a nocne, porywiste wichury zaczęły przechodzić przez miasto niemalże codziennie. Ryder również znalazł sobie na ten czas zajęcie i zdecydowanie częściej rąbał drewno oraz rozpalał nim w kominku. Później zazwyczaj siedzieliśmy przy nim albo zajmując się obowiązkami – każde swoimi – albo leżąc beczynnym na kanapie.

Dni upływały nam więc spokojnie. Aaron, jak zapowiedział, usunął się z mojego życia. Parę miesięcy temu po raz ostatni przejrzałam lokalne artykuły na jego temat, które mówiły o tym, że związał się z jakąś celebrytką. Z Gavinem i rodzicami nie miałam kontaktu. Żyliśmy tak, jakbyśmy tak naprawdę nigdy nie mieli ze sobą żadnej styczności. Cieszyłam się tym.

Cieszyłam się swoją nową spokojną codziennością.

Zdmuchuję przed nosa kosmyk włosów, który w międzyczasie opadł mi na twarz, i dalej przetrząsam zakamarki piwnicy w poszukiwaniu wina. Pogrążona w transie, kompletnie nie spodziewam się usłyszeć męskiego głosu, który wtęmi odzywa się za moimi plecami.

– Porter? – przywołuje mnie Ryder. – Gdzie ty mi znowu przepadłaś?

Słyszę jego kroki. Po chwili mężczyzna przystaje obok mnie, a ja wtedy spoglądam na niego i rozkładam ręce.

– Raczej gdzie przepadła twoja dobra pamięć... – odpowiadam z westchnieniem. – Nie ma tu żadnej półki z winami, więc chyba będę musiała pofatygować się do sklepu.

Mój ukochany unosi brew, jakby chciał się upewnić, że jestem poważna.

– Do sklepu w taką wichurę? Nigdzie cię nie wypuszczę, nie ma takiej opcji.

Ryder dołącza do poszukiwań butelki. Uśmiecham się pod nosem i sama wracam do przeczesywania sporej piwnicy baczny spojrzeniem. Przy okazji coś sobie uświadamiam.

– Robi się coraz zimniej. Pewnie niedługo spadnie pierwszy śnieg.

– Już nie mogę doczekać się odśnieżania podjazdu – prycha z ironią brunet.

– A ja negocjacji, ile choinek postawimy w domu na święta...

Mężczyzna spogląda na mnie z dziwną miną.

– Ze jakich negocjacji?

– Masz to wino? – zmieniam od razu temat.

Po chwili pan gospodarz ściąga je bez trudu z jakiejś cholernie wysokiej półki, nie kłopotząc się przy tym w żaden sposób. Ugh, ja musiałabym się za to mocno nagimnastykować, by je stamtąd zgarnąć. No i najpierw musiałabym je w ogóle tam namierzyć wzrokiem – a to dość trudne zadanie, jeśli nie ma się niewiele mniej niż dwa metry wzrostu, jak Ryder.

Brunet podaje mi butelkę do ręki.

– Trzymaj.

– Dziękuję. – Znowu się uśmiecham.

– A gdzie ładne dziękuję?

Wspieram się na palcach stóp, by skrać mu przelotnego buziaka.

– Takie cię zadowoli? – pytam wesoło, przytulając swój łup do piersi.

– To chyba było pozwolenie, żeby zanieść cię na górę, więc owszem.

Ryder zabiera mi nagle butelkę. Kręcę głową z rozbawieniem, gdy następnie tak po prostu, bez ceregieli, z łatwością mnie podnosi i przerzuca przez swoje cholernie szerokie ramię. Zaskoczony sapnięcie wyrywa się z mojej piersi, w czasie kiedy pan domu zaczyna powolny marsz w stronę wyjścia z piwnicy, w drugiej ręce trzymając moje wino.

Z każdym krokiem, który stawia, gibam się na nim raz po raz.

– Mogłabym dowlec się na górę sama... – mówię roześmiana.

– A ja podejrzewam, że mógłbym mieć w piwnicy szczury.

Szczury? Fuj.

Mężczyzna przebiega wielką dłonią po moich udach i nie przestaje nieść mnie na górę. Zdaje się przy tym wręcz znudzony, jakby uczeplił sobie na ramieniu co najwyżej swojego kota.

– W takim razie jednak nieś mnie dalej – mówię radośnie. – Kocham cię.

Ryder prycha na moje słowa i po chwili wkracza do korytarza.

– Nie odpowiesz mi? – pytam z teatralnym przejęciem.

– Włączasz muzykę na cały dom, więc trochę powątpiewam, czy ja ciebie teraz też.

Obruszam się, słysząc jego komentarz.

– No wiesz co?

– Co?

Ryder odkłada gdzieś po drodze wino, a potem zrzuca mnie niestarannie na kanapę w salonie pogrążonym w ciemnościach i natychmiast zawisa tuż nade mną. Ciężar jego wielkiej postury przypiera mnie bez wysiłku do obicia mebla, a jego ciepły oddech rozbija się na moich delikatnie rozchylnych wargach.

Wyginam je w kolejnym szerokim uśmiechu i obserwując zaciekle Rydera, wyciągam powoli dłonie w kierunku jego przystojnej twarzy, by móc zamknąć w uścisku jego pokryte parodniowym zarostem policzki. Jest idealny.

Rany, jest dokładnie taki.

– Domagam się *ładnego* przepraszam – mówię dyskretnym szeptem.

Mężczyzna całuje krótko moje usta, miażdżąc je w swoim natarciu.

– Takie cię zadowoli? – pyta z pomrukiem, jak w piwnicy ja jego.

Szczerzę się jeszcze bardziej, gdy nagle słyszę, że piosenka dobiegająca z mojego telefonu, zmienia się. Właściwie włączyłam ją, bo nie lubię, gdy podczas przyrządzania czegoś w kuchni jest grobowa cisza. Ale teraz... teraz może mi ona posłużyć do czegoś innego.

Zsuwam dłonie z policzków mężczyzny i opieram je na jego silnych barkach.

– Jeśli dodatkowo zatańczysz ze mną do tej piosenki, to raczej tak.

Ryder wznosi oczy ku sufitowi, kręcąc głową z rozbawieniem.

– Porter, nie wymyślaj, tylko leć do tej kuchni.

– Najpierw zatańczymy.

Mija dłuższa chwila, zanim brunet wypuszcza powietrze i kapituluje.

– Jeden numer i ja idę pracować, a ty coś tam przyrządzać, tak?

Od razu przytakuję.

– Niech ci będzie.

Zrucam z siebie Rydera i podekscytowana przemykam na kawałek pustej przestrzeni przy tarasowym oknie, za którym wciąż widać, jak wichura targa gałęziami drzew oraz spadającymi z nich liśćmi. Mój partner podchodzi za to do mnie z nieco większą rezerwą, zachowuje powagę, ale jego szare oczy spoglądają w moją stronę z czułością i troską.

Z czułością i troską, od której robi mi się tylko cieplej.

Przechodzą mnie ciarki, gdy mężczyzna obejmuje mnie, układa dłoń w okolicach dolnej partii moich pleców, a potem przyciąga do siebie zaborczo i zdecydowanie jednym, zniecierpliwionym szarpnięciem. Wpadam na niego z impetem, a moje kąciki ust uniesione są ku górze tak, że już wyżej chyba nie mogłyby się znaleźć. Ryder tuli mnie do siebie, a drugą dłoń splata z moją w powietrzu, wprawiając moje ciało w spokojne kołysanie.

– Gdy byłaś w piwnicy, dzwoniła do mnie Jane – rzuca nagle.

Chowam część twarzy w jego szerokim ramieniu i wdycham jego zapach.

– Co mówiła? – dopytuję, podczas gdy mężczyzna przytyka usta do mojej skroni.

– Potwierdziła, że przyjadą całą ekipą na twój kolejny występ – wyszeptuje mi w nią.

Jednocześnie nie przestaje prowadzić mnie w intymnym tańcu, a ja, zaglądając w pogrążoną w mroku dal, koncentruję uwagę na tym, co dzieje się w ogródku. Wiatr jest tak silny, że zdaje się poniewierać absolutnie wszystkim. Prędko jednak skupiam się znowu na słowach Rydera. Ach, występ. Występ, który organizuje szkoła baletowa. Powoli się zbliża.

– To miłe – odpowiadam, lecz gdy tylko odchylam odrobinę twarz, by móc zajrzeć w chmurne oczy Rydera, dorzucam coś jeszcze: – A co z tobą? Dasz radę urwać się za kilka dni z pracy na godzinę?

Mężczyzna uśmiecha się i kręci głową.

– Masz mnie za aż tak zapracowanego?

Podrywam brodę, uderzając go nosem w żuchwę.

– Jeszcze pytasz? Ostatnio znowu ciągle przesiadujesz w poradni.

Ryder schyla się nieznacznie, utrzymując ze mną kontakt wzrokowy. Z upływem kolejnych sekund nasz taniec staje się coraz bardziej leniwy, niezgrabny i może nawet nieco pokraczny, lecz nie dbam o to. Po prostu mierzę się z rozczuleniem rozlewającym się gdzieś w piersi, w czasie gdy mój ukochany zjeżdża spojrzeniem na moje usta i szepcze cicho:

– To zacznij mieć mnie za faceta, który nie odpuści okazji, by poczuć, jak wprawiasz go w osłupienie tym, co robisz na scenie.

Szczęśliwa opieram znowu część twarzy o jego ramię.

– Gdy na niej jestem wprawiam cię w osłupienie?

– Bez przerwy.

Pociągam nosem, poddając się jego kontroli. Ryder przyciąga mnie do siebie jeszcze szczerzej i milknie na dłuższą chwilę tak samo, jak milknę również ja. Kołyszymy się przy sobie, na zimnych panelach, w zaciemnionym salonie, a Gargamel krąży zaciekawiony wokół nas, jakby zastanawiał się, co my tak właściwie wyprawiamy. *Urocze.*

Wtem mężczyzna trąca zaczepnie ustami płatek mojego ucha.

– *And I'll look after you²* – słyszę, jak wyśpiewuje pod nosem ten jeden wers i uśmiecham się maksymalnie szeroko, mocniej wtykając twarz niżej, w jego twardą pierś.

Odrywamy się od siebie dopiero, gdy w bliźniaku nastaje chwilowa cisza. Wtedy Ryder unosi w powietrzu moją dłoń i zaglądając mi z góry prosto w oczy, składa długie i szarmanckie muśnięcie ust na jej wierzchniej części. Od razu czuję skurcz w dole brzucha. Mój jedyny.

Mój jedyny, wymarzony mężczyzna.

– Gdzie położyłeś to wino? – pytam wesoło.

Ryder wskazuje sugestywnym kiwnięciem gdzieś na bok, chyba na komodę.

– Nie będę długo siedział przy papierach – zapewnia mnie jeszcze i nawet jeśli pozwala opaść moją rękę w dół, przez moment nadal trzyma ją splecioną ze swoją.

A ja uśmiecham się wtedy znowu i znowu.

– No mam nadzieję. Najwyżej, gdy uznam, że to robisz, przyjdę do gabinetu i zacznę ci się po nim krzątać, dopóki nie stwierdzisz, że nie możesz pracować w takich warunkach – stwierdzam, na co mężczyzna przewraca z rozbawieniem oczami.

– Cała Porter.

Po tych słowach rozdziela nasze dłonie i zanim odchodzi tam, dokąd planował się udać, pstryka mnie delikatnie palcami w nos. Odprowadzam go wzrokiem, póki nie znika w ciemnościach korytarza, a Gargamel nie podbiega do mnie ze swoją kolorową piłką.

– No dawaj to.

Śmieję się cicho, zabierając psiakowi zabawkę i rzucam nią jak najdalej. Dopiero potem idę do kuchni, po drodze do niej zgarniając z komody wino. Przez kolejne trzy kwadransy zajmuję się swoim grzańcem, licząc, że okaże się, jak zwykle, całkiem dobry.

Próbując go później, dochodzę do wniosku, że jest właśnie taki. Wtedy też przelewam trochę do kubka i decyduję się zanieść go Ryderowi, który powinien niedługo skończyć pracę, skoro zapowiedział wcześniej, że nie będzie ślęczał nad papierami przez długi czas.

Drzwi do jego gabinetu są uchylone. Wchodzę więc do środka, najciszej jak potrafię, i nie zwracam na siebie jego uwagi. A przynajmniej tak sędzę, dopóki nie słyszę męskiego głosu wypełniającego przestrzeń skapaną w niewyraźnym świetle stojącej na biurku lampy:

– Nie rzucasz słów na wiatr. Rzeczywiście przyszedłś mi pospieszyć.

Czując się zdemaskowana, zbliżam się nieco pewniej do solidnego biurka.

– Nie rzucisz, to ty mnie przenigdy, gdy znowu spróbujesz mojego grzańca.

Ryder patrzy na mnie spod okularów i ściąga przy tym nieznacznie brwi.

– Bo upijesz mnie nim i podsuniesz mi pod nos jakieś małżeńskie papiery?

– Bo jest taki dobry. Ale twój pomysł też brzmi w sumie kusząco.

Mężczyzna unosi kącik ust i przebiega dłonią po moim biodrze.

– Daj mi jeszcze parę minut – mówi.

A ja się na to zgadzam i myślę, czym zająć się przez ten krótki moment.

Podchodzę do regału, na którym znajduje się spora ilość jeszcze nieuporządkowanych notesów. Ryder kilka dni temu przyniósł je tutaj z poradni. Nie znalazł jeszcze chwili, by się nimi zająć, więc leżą w jednej wielkiej stercie. Odwracam się i spoglądam na mężczyznę. Znowu jest zajęty swoimi notatkami. Skupia się tylko na nich, zapominając o całym świecie.

Delikatny uśmiech wpełza mi na twarz.

Może kiedyś przejdzie mu ten pracoholizm.

Patrzę, jak poprawia okulary tkwiące na nosie i dopisuje coś na kartce. Później wracam spojrzeniem do notesów i wyciągam dłoń w ich stronę, by sensownie je ułożyć. Gdy walają się po całym regale, nie pasują do obrazu perfekcyjnie posprzątanego gabinetu pana Callahana.

Nie zaglądam do żadnego z nich. Nie powinnam i nawet nie chcę. Po prostu układam je i pograżam się we własnych myślach, aż w pewnym momencie, po dłuższej chwili, coś sobie przypominam. Coś tak bzdurnego, że mój uśmiech mimowolnie staje się jeszcze szerszy.

– Coś się stało?

Przechylam lekko głowę i natrafiam spojrzeniem na Rydera, który znikąd zjawił się obok. Ściągnął okulary, co podpowiada mi, że skończył już pracę. Teraz opiera się ramieniem o ścianę i spokojnie bawi moimi włosami, w które, nie wiedzieć kiedy, wplótł palce.

– Nie. Spojrzałam tylko na notesy twoich pacjentów i coś mi się z nimi skojarzyło.

Ryder unosi pytająco brew, a spojrzeniem zjeżdża na moje wargi.

– Co takiego?

Przez moment zastanawiam się, jak ubrać to, co mam na myśli, w słowa.

– Gdy byłam jeszcze w Carson City, Aaron starał się z całych sił mnie do ciebie zrazić – zaczynam, wciąż uśmiechając się nieznacznie na absurd tego, o czym mówię. – Wmawiał mi, że cię nie obchodzi. Że mnie nie szukasz. Że układasz sobie życie od nowa.

Wspominam o tym wszystkim i patrzę na notesy. Przebiegam po grzbiecie jednego z nich opuszkami, cały czas czując na ustach ciężar uważnego spojrzenia mojego Rydera.

– A nawet wymyślił głupią historyjkę związaną z jakąś... czekaj, jak ona się nazywała? – Spuszczam wzrok na podłogę, marszcząc nieco czoło. – Ach, Peyton.

Znowu podrywam głowę i powtarzam już pewniej:

– Peyton Howard. Ale rzecz jasna mu w nią nie uwierzyłam. Przecież to zwykły kłamca, a ty nie mógłbyś mieć na sumieniu *czegoś takiego*... Pod żadnym pozorem nie mógłbyś.

Spoglądam radosnym spojrzeniem na twarz Rydera. Dopiero teraz orientuję się, że jego palce, dotychczas głaskające moje włosy, zastygły w bezruchu. Dopiero teraz orientuję się, że jego oddech znacznie spowolnił, a oczy skupiły się na losowym punkcie gdzieś za mną.

Przebiegam ostrożnie palcami po linii jego szczęki.

– Ryder? – dociekam rozweselona. – Gdzie ty odleciałeś?

Nie otrzymuję nic w zamian. Żadnej reakcji czy odpowiedzi.

– Co się z tobą dzieje?

Opuszczam rękę wzdłuż tułowia. Obracam się przodem do mężczyzny i przyglądam mu się baczniej. Ryder za to odwraca głowę w innym kierunku i wykrzywia z bólem usta, jakby nie chciał na mnie patrzeć. Mój uśmiech stopniowo zanika. Po ledwie kilku sekundach nie ma już po nim całkowicie śladu, a ja

przełykam nerwowo resztki śliny w ustach i pytam szeptem:

– Dlaczego nie potwierdzasz, że nie mógłbyś mieć czegoś takiego na sumieniu i że wcale nie miałeś pacjentki, która nazywała się właśnie tak?

Ryder przeciera palcami zmęczone oczy, a potem zwiesza bezradnie ramiona i ręce oraz wydycha z trudem całe nagromadzone w płucach powietrze.

– Love, my... my powinniśmy porozmawiać.

Coś ściska mnie w mostku, gdy słyszę jego żalony ton.

– Nie musimy tego roztrząsać – zaprzeczam od razu, sięgając po jego dużą, szorstką dłoń i unosząc ją, by móc wtulić w nią policzek. Kiedy to robię, ciągnę dalej ledwie słyszalnym tonem: – Po prostu potwierdź, że to, co mi powiedział, było jedynie jego następną bajeczką. Przecież Aaron ciągle kłamał. W każdej kwestii. A już na pewno w tej.

Byłam w końcu pierwsza. Byłam w końcu jedyna i ostatnia.

Byłam w końcu twoją wyjątkową Love.

Mam wrażenie, że serce pomału podchodzi mi do gardła, gdy grymas ponownie wstępuje na twarz Rydera. Mężczyzna wpatruje się we mnie i znowu wykrzywia usta, jakby wkładał wiele trudu w to, by nie uciec kolejny raz spojrzeniem gdzie indziej. *Dlaczego nie chcesz na mnie patrzeć? Zrobiłam coś nie tak? Dlaczego nie chcesz na mnie patrzeć, Ryder?*

Trwamy bez słów. Stoimy nieruchomo w jego gabinecie, pośród półmroku i niekończącej się ciszy. Wciąż wtulam policzek w jego dłoń, ale on nawet go nią nie obejmuje. Jest odrętwiały. Jest... jest cieniem mojego Rydera, gdy dostrzegam, że jego oczy zdążyły się zaszklić. Patrzą na mnie tak smutno, jak smutno nie patrzyły na mnie jeszcze nigdy.

A to wszystko podpowiada mi, że on jednak... Boże, nie.

Nie, nie, nie. Błagam cię, Ryder... błagam cię, nie.

– Ty ją miałeś – wyduszam przez ściśnięte gardło.

Oniemiała zsuwam pomału jego dłoń ze swojego policzka.

– Ty miałeś pacjentkę, która nazywała się właśnie tak.

Mój cichy głos nieznacznie się łamie. Zaczynam chwiać się delikatnie na nogach, kiedy wycofuję się o pół kroku, kompletnie zmiądzona myślą, że to, o czym mówił Aaron, mogłoby naprawdę kiedyś się wydarzyć. Ryder mógłby postąpić z jakąś inną dziewczyną tak, jak ze mną.

Jak miałabym uporać się z wiedzą, że tak było?

Jak... jak miałabym to zrobić?

Ciepło gromadzi się pod moimi powiekami, a dech grzęźnie w bardzo powoli unoszącej się piersi. Wciąż jednak dzielnie trzymam się w pionie, patrząc z ledwo bijącym sercem na stojącego przede mną Rydera, który zdaje się zmarnowany. Zdaje się wyczerpany i smutny.

– To nie jest takie proste – szepcze tak strasznie słabo oraz niewyraźnie.

Coś we mnie pęka. Pęka w drobny mak, kiedy ciągnę niepewnie:

– Zrobiłeś to, o czym mówił Aaron.

Ryder zbliża się tak, że stykamy się palcami stóp.

– Skarbie...

Wypuszczam drżący oddech pomiędzy nas. Przypominam sobie to wszystko, co powiedział mi Aaron, i w przeciągu paru sekund robi mi się okropnie źle. Mój ukochany obserwuje mnie z góry z niezmienną skruchą, a ja na jej widok mam ochotę gorzko zapłakać.

Nie zrobiłbyś mi tego. Nie ty, nie coś, co zraniłoby mnie aż tak.

– Potwierdź, że Peyton była twoją pacjentką – wyduszam z trudem, mrugając parę razy i mając wrażenie, że żołądek ściska mi się z nerwów tak mocno, że zaraz zwymiotuję.

Robi mi się zimno, jakbym przynajmniej stała na zewnątrz, na tej okropnej wichurze, której sflumiony szum dociera do gabinetu. Załamana i kompletnie rozbita czekam na odpowiedź. A kiedy ona nie nadchodzi, rozchyłam usta i wypuszczam pełen prośby jęk.

– Potwierdź, jeśli tak było, Ryder.

Ryder nie spuszcza ze mnie zasmuconego wzroku.

– Potwierdź... – powtarzam słabo, a on kręci głową.

Robi to z niepokojeniem, a potem przyznaje prawie bezgłośnie:

– Tak.

Pierwsza łąza kreśli drogę po moim policzku, a potem ścieka po brodzie. Za nią kolejna, która toruje drogę jeszcze jednej. Nie zanoszę się jednak płaczem. Po prostu stoję i trwam w swojej najgorszej torturze, choć przynigdy nie podejrzewałam, że będzie ona wyglądać właśnie tak.

Tak, Love. Tak, przed tobą była ta druga. Potraktowałem ją jak ciebie. Tak, przed tobą była ta druga. Była dla mnie w równym stopniu ważna, co ty. Tak, jesteś wyłącznie złym schematem, którego nie powinienem, ale i tak powielam. Tak... dokładnie tak, moja Love.

Dostałaś swoje potwierdzenie.

– Była nią, a ja mam na koncie błędy, do których ci się nie przyznałem. – Ryder wypowiada te słowa tonem, przez który przebija się cierpienie we wręcz namacalnej postaci.

Wypuszczam płaczliwe sapnięcie, nie mogąc w to wszystko uwierzyć. Dlaczego mi to zrobił? Dlaczego związał się ze mną, wiedząc, że gdy dowiem się pewnego dnia o nim i o Peyton, nic nie będzie takie samo, jak było? Bo zacznę się bać. Zacznę się bać, że kiedyś... kiedyś do jego gabinetu wejdzie inna. Inna, która będzie trzecia.

Druga. Byłaś druga. Nie jedyna. Nawet nie pierwsza.

Przytykam dłoń do ust, by powstrzymać jakkolwiek płacz. Widzę, że Ryder czuje się winny. Widzę, że czuje się okropnie winny. To też mnie boli. Boli aż tak, że nawet jeśli nakryłam wargi ręką, jakimś cudem uwalniam spomiędzy nich szloch.

– Dlaczego tego nie zrobiłeś? – pytam, głośno chlipiąc.

Ryder patrzy na mnie niezmiennie zaszklonymi oczami.

On również płacze.

On... on naprawdę to robi.

– Bo po czasie zacząłem przeczuwać, że jeśli czegoś nie przetrwamy, to tylko ich, Love – słyszę jego odpowiedź i krztuszę się własną śliną, własnym żalem, który zalewa mi przełyk.

Zaciskam mocno powieki i kucam, kucam tuż przy zimnych panelach, czując się zupełnie pokonana. Oplatam szczelnie kolana drżącymi rękami. Zwieszam żałośnie głowę i z bezradnym jękiem skrywam twarz pod warstwą ciemnych włosów. Płaczę. Płaczę, wypluwając kolejne sapnięcia, a moja klatka piersiowa podskakuje gwałtownie raz za razem.

Co teraz? Co teraz się z nami stanie?

Słyszę, jak Ryder kuca obok. Jak z trudem nabiera wdech, a potem milknie na dłuższą chwilę, jakby zbierał się w sobie, by coś z siebie wydusić.

– Niedawno powiedziałem ci, że nie mam pojęcia, jakim cudem mogę trzymać cię wciąż w jednym kawałku – zaczyna w końcu zmarniałym głosem, a ja czuję, że jego na pewno jeszcze bardziej smutny wzrok skupia się wtedy na mnie. – Dlaczego patrząc na ciebie w tej chwili, mam cholernie silne wrażenie, że to ja pokruszyłem cię na najdrobniejsze części?

Skulona nie panuję nad szlochem, który uwalniam, zanim podrywam głowę i zaglądam w szare, zaczerwienione oczy swojego ukochanego. Są przeraźliwie przygnębione.

– Boże, Ryder... – łkam, nie mogąc złapać tchu.

Jego jabłko Adama porusza się pod skórą.

– Wisimy na włosku, prawda?

Proszę, nie. Nie dodawaj już nic więcej.

– Na tym ostatnim, najcieńszym włosku.

Domyślasz się, co mi robisz?

– Wisimy właśnie na nim, prawda, Love?

Chowam twarz w dłoniach, kręcąc głową, by nic nie dodawał. Ilekroć to robi, rozdziera mnie na marne strzępy. Zsuwam powoli palce w dół, krztusząc się przełykanymi w pośpiechu łzami. Aż w końcu ponownie natrafiam spojrzeniem na jego przerażająco zmarnowaną twarz.

Robię to akurat, gdy odzywa się znowu, pełen skruchy i świadomy swojej winy.

– Jeśli tak jest, to musisz wiedzieć, że... przykro mi. Tak bardzo mi przykro i tak strasznie, z całego serca cię przepraszam.

Zaciskam trzęsące się dłonie na kolanach. Od Rydera bije żal.

Bije od niego szczerzy, niewymuszony, rozrywający mnie żal.

– Za to, że zatrzymałem cię wtedy w swoim gabinecie – mówi słabym szeptem, zwieszając przy tym nieznacznie głowę oraz mimo wszystko unosząc żałośnie kącik ust, jakby wspomnienie tego dnia obudziło w nim pewną nostalgię. – Powinienem kazać ci wyjść. Trzasnąć moimi drzwiami. Wybrać inną drogę... A tak to posądziłaś mnie o bycie twoim ratunkiem i zobacz, co zrobił ci twój ratunek. Przez niego w tym momencie płaczesz.

Ryder wyciąga rękę w moim kierunku, ale nagle... nagle ją wycofuje.

– Płaczesz, kochanie – powtarza cicho i z wysiłkiem.

– Ryder...

– Niczego bardziej nie chciałbym w tej chwili, niż spotkać cię po raz kolejny, wiesz? – pyta ledwie słyszalnie i smutnie jeszcze bardziej, o ile to w ogóle możliwe. – Spotkać cię po raz kolejny, a wtedy odkrywać swoje sekrety w czasie, gdy ty odkrywałaś mi swoje.

Lekki grymas ponownie przemyka przez jego twarz.

– Niczego bardziej bym nie chciał niż właśnie tego.

Ryder wkłada wiele trudu w to, by podnieść się na równe nogi. Przez chwilę patrzymy na siebie bez żadnych słów. On na mnie, zaszklonymi oczami z góry. Ja na niego, przełykając własne łzy, z dołu, zadzierając przy tym brodę. Mam wrażenie, że wtedy czas zwalnia.

Aż w końcu mężczyzna ostatni raz kręci głową. Zakłada kaptur. Wychodzi z gabinetu, a później z domu, na straszliwą wichurę, jaka przechodzi dzisiaj nad miastem. Ale zanim zostawia mnie zupełnie samą, jego usta układają się w coś... w coś, co mogę rozszyfrować.

W bezgłośnie tak strasznie cię przepraszam.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY



LOVE

Nie mam pojęcia, dokąd mógł pójść Ryder. Dokąd mógł pójść teraz, gdy nad Aspen przechodzi paskudna wichura, przez którą nawet uliczne latarnie zaczynają szwankować. Wyglądam smutno za okno, patrząc, jak ich światło miga raz po raz, zalewając zaciemnione, puste chodniki. Nie chciałam, by wychodził. Chciałam, by przedstawił mi swój punkt widzenia.

Minęło kilkanaście minut, a ja nadal mam przecucie, że akurat on nie pasuje mi do tej okropnej układanki. Faktycznie, potwierdził, że Peyton Howard była jego pacjentką. Ale nie uwierzę, że postąpił z nią lub kimkolwiek innym jak ze mną. To musi być po prostu pomyłka.

Ryder może mieć coś za uszami, ale na pewno nie coś takiego.

Z tą myślą odbijam się w końcu od krawędzi kuchennego blatu i ruszam do przedpokoju. Tam przecieram palcami oczy. Ściągam z wieszaka płaszcz i od razu go zakładam. Sprawdzam, czy w jego kieszeniach są klucze. Czując pod palcami chłód metalu, ostatni raz zaglądam w oświetlony korytarz i myślę, że potrzebuję dogonić Rydera. Potrzebuję jego wyjaśnień.

Wychodzę na zewnątrz. Wiatr rozwiewa moje włosy tak mocno, że z trudem natrafiam drżącymi palcami kluczem w zamek drzwi, by po chwili go stamtąd niecierpliwie wyszarpać. Z kołatającym w piersi sercem okrywam się szczelniej płaszczem i ruszam w pośpiechu w stronę ulicy. Nabieram mroźnego powietrza do płuc. Listopad nigdy nie był tak zimny i smutny.

Gdzie cię odnajdę? Nie skreślam cię.

Naprawdę tego nie robię.

Podmuchy wiatru uderzają we mnie bez przerwy, gdy uparcie przemierzam pusty chodnik, szczękając zębami z zimna. Chłodne powietrze przesywa wszystkie moje mięśnie na wskroś, a ja zaciekle zastanawiam się, dokąd mógł pójść Ryder. Jedyne miejsce, które wydaje mi się najbardziej sensowne, to znajdująca się parę minut drogi od bliźniaka poradnia.

Poradnia, a w niej... jego surowy, minimalistyczny gabinet.

Jeszcze ciaśniej opatulam się płaszczem, wyciszając głos rozsądku, który powtarza mi, że powinnam zawrócić i gdzieś się schronić. Słyszę, jak świst powietrza dzwoni w moich uszach, a nawet, jak w oddali roznosi się jakiś alarm samochodowy. Porywy wiatru targają różnymi przedmiotami i drzewami. Brnę jednak zawzięcie do przodu, już niemalże łkając z zimna.

Nie odpuszczę. Wiem, że mi tego nie zrobicieś.

W poradni otoczonej mrokiem nie pali się choćby jedno światło. Parking obok niej jest opustoszały, więc w środku nie powinno być nikogo. Mimo to na wiotkich nogach zbliżam się do drzwi i naciskam klamkę. Serce dudni mi w piersi, ponieważ ta natychmiast ustępuje.

Jesteś tutaj. Tylko gdzie?

Wchodzę do recepcji i od razu zamykam za sobą drzwi. Następnie przystaję w miejscu. Przyzwyczajam się do lekkiego chłodu, który zastąpił mróz, i próbuję przypomnieć sobie, na którym piętrze mieści się gabinet Rydera. Ostatni raz byłam tu prawie rok temu. Ubiegłej zimy.

Mimo to trafiam na szóste piętro po paru niemiłosiernie dłużeńych się minutach. Tam znajduje się mój cel. Gabinet, do którego nieśmiało wchodzę i w którym najpierw zwracam uwagę na panujące ciemności. Za przeszkloną ścianą rozpościera się odrobinę upiorna sceneria. Wichura szaleje, a pasmo górskich szczytów wygląda z tej perspektywy mrocznie.

Coś ściska mnie w klatce piersiowej, gdy tylko wchodzę w głąb pomieszczenia i dostrzegam postać siedzącą na fotelu przy biurku. Zgarbioną i kompletnie zmarniałą. Z trudem rozpoznaję w niej swojego

Rydera. Z tak ogromnym trudem rozpoznaję w niej swojego Rydera, który ma zwieszoną głowę oraz patrzy na swoje dłonie, nie mrugając ani przez chwilę.

Zbieram się w sobie, zanim robię kilka mozolnych kroków w jego stronę. Aż w końcu zatrzymuję się tuż przy nim i ostrożnie przebiegam opuszkami zmarzniętych palców po szerokim ramieniu Rydera skrytym pod materiałem czarnej, przesiąkniętej zimnem bluzy.

– Nie pasujesz mi do tej układanki – zaczynam ledwie słyszalnym szeptem.

Opieram delikatnie dłoń na jego barku i kręcę głową.

– Tak bardzo mi do niej nie pasujesz, wiesz?

Mężczyzna wciąż na mnie nie patrzy. Po prostu tkwi w bezruchu i wbija mętne spojrzenie w swoje ręce, zaciekłe o czymś myśląc. Udziela mi się jego smutek. Udziela mi się jego smutek, poczucie winy, jego przygnębienie i rozbitcie, gdy załamana nad nim stoję.

Po chwili Ryder odpowiada mi ścisłym tonem:

– Kiedy ja naprawdę cię okłamałem, Love.

Moje usta mimowolnie wyginają się w grymasie.

– W twoich oczach powinienem być oszustem. A nawet kimś... kto ściąga na ludzi to, co najgorsze – dodaje, a później wstaje jakimś cudem na nogi i górując nade mną wzrostem, nareszcie spogląda na mnie z miną, która bez trudu godzi mnie w samo serce.

Ponieważ to go boli. Widzę, że to tak bardzo go boli.

– Wtedy, w posiadłości rodziców podczas bankietu, ja... – Rozchyła usta i przez chwilę nie dodaje nic więcej. – Nie mam błędnego pojęcia, dlaczego cię okłamałem. Nawet jeśli znaleźmy się może dwa tygodnie, kłamstwo i tak było złym wyjściem. Mogłem przemilczeć temat. Zmienić go na inny. Dlaczego cię okłamałem, Love?

Głos Rydera na końcu się załamuje, a ja, przysięgam, nie umiem się po tym pozbierać. Zadzieram brodę i patrzę na niego, wtapiającego się we wszechobecną czerni. Drżący oddech wydostaje się spomiędzy moich spierzchniętych warg, gdy coś do mnie dociera.

– Ryder? – wykrztuszam, zbliżając się do niego bardziej.

Mężczyzna próbuje się wycofać, lecz zanim pełen poczucia winy zdąży zrobić długi krok w tył, oplatom palcami jego przedramię i ciągnę go wręcz desperacko ku sobie, nie panując nad wciąż tylko szybciej podskakującą piersią oraz dudniącym w niej sercem.

Nie uciekaj ode mnie. Nie nienawidzę cię. Przyrzekam, że nie.

Ściskam jego przedramię, a on patrzy na mój chwyt. Aż w końcu przenosi powoli spojrzenie na moją twarz i zagląda mi w oczy. Przełykam wtedy gulę w gardle, a potem otwieram usta i pozwalam, by uleciało z nich coś na kształt nijakiego szeptu:

– My chyba nie mamy na myśli tego samego.

Ryder nie spuszcza ze mnie zbolącego spojrzenia.

– Nie mamy? – pyta prawie ze bezgłośnie.

Kręcę głową, kręcę nią ciągle, będąc na granicy płaczu.

– Aaron, kiedy byłem w Carson City, powiedział mi, że Peyton była twoją pacjentką, na którą zwróciłeś uwagę, gdy tylko weszła kiedyś do twojego gabinetu, tak samo jak zwróciłeś ją na mnie. Powiedział mi, że ją sobie upatrzyłeś, że łączyło was coś więcej, że ja podzielię jej los i...

Nie dokańczam. Przerzywa mi Ryder i jego łamliwy, bezradny wydech:

– Boże, Love.

Mężczyzna nie wyrywa przedramienia z mojego uścisku. Po prostu sama go puszczam, nie chcąc, by pociągnął mnie w dół, gdy nagle pada przede mną na kolana, cicho przy tym sapiąc. Pękam. Pękam wtedy na kawałki, obserwując go z wysokości ze ściśniętym gardłem i łzami spływającymi po twarzy. Moje dłonie drżą, gdy Ryder chwytając je w powietrzu i układa sobie na policzkach, głaszcząc kciukami ich wierzch i obserwując mnie w uległy sposób z dołu.

Nie mógłby bardziej utwierdzić mnie w tym, że jest mi oddany. *Nie mógłby bardziej utwierdzić mnie w tym, że żałuje.* Nie, gdy tkwi na zimnej podłodze w zaciemnionym gabinecie i wciąż trzymając moje trzęsące się dłonie na swojej twarzy, całuje raz jedną, raz drugą.

Patrzy. Patrzy na mnie swoimi szklistymi, szarymi oczami.

W tym momencie też kręci głową oraz powtarza z przejęciem:

– To bzdury. Przysięgam, że to bzdury, Love.

Zaczynam dygotać bardziej, gdy mocniej ściska moje ręce.

– Przysięgam, że nie było żadnej innej wcześniej ani że nie byłoby żadnej innej później – przekonuje mnie w pośpiechu, a jego głos staje się żywszy, bardziej zaciekły i uparty. – Że żadnej nie potraktowałem ani nie potraktowałbym jak ciebie... nie postąpiłbym tak.

Obejmuję dłonią jego policzki. Troskliwie i delikatnie. Jednocześnie uśmiecham się nieznacznie mimo słonych łez, które spływają mi ciurkiem po brodzie.

– Czułam, że nie – szepczę słabo, ściskając mocno powieki.

A gdy po krótkiej chwili je uchylam, Ryder wciąż się we mnie wpatruje.

– Więc jestem tutaj, ale wciąż... wciąż mam w głowie tak ogromny mętlik.

Mężczyzna przełyka i odpowiada mi od razu pewnym skinieniem.

– Opowiem ci wszystko. Opowiem ci absolutnie wszystko.

Jego skóra jest szorstka, gdy Ryder wtula swoją twarz w moją dłoń. A ja mu na to pozwalam, nawet jeśli ledwo trzymam się w pionie przez to wszystko, co nadal się we mnie kotłuje. Jestem rozstrojona. Zupełnie jak on. Oboje jesteśmy całkowicie wycieńczeni, ale to... to dopiero początek.

Przez chwilę skubię zębami wargę, aż w końcu zwracam się do niego z cichym i niewyraźnym pytaniem, które – mam wrażenie – przepala moje wyschnięte gardło:

– Okłamałaś mnie? Przed chwilą przyznałaś, że to zrobiłaś.

Ryder nie próbuje mnie zwodzić. Niepewnie przytakuje.

Jednocześnie wciąż głaska kciukami moje dłonie, które trzyma.

– Gdy zaczęłaś temat Peyton, pomyślałem, że się o tym dowiedziałas – zaczyna, odwracając na chwilę wzrok do mrocznie prezentujących się górskich szczytów widocznych za ogromnymi oknami. – O tym, że cię okłamałem... O tym, co zapoczątkowała w moim życiu ta dziewczyna. Pomyślałem, że reagujesz w ten sposób, bo Aaron powiedział ci to wszystko i zaczęłaś postrzegać mnie jak oszusta i kogoś, *kto powinien czemuś zapobiec, ale nie zapobiegł.*

Mężczyzna nabiera powietrza do płuc. Na powrót zagłąda mi w oczy.

– Ale nie.

Ryder zbiera przez kilka sekund myśli.

– Zareagowałaś tak, bo Aaron najpierw dowiedział się skądś o Howard – wzdycha. – Potem wymyślił swoją bajeczkę, którą ci opowiedział. Ale ona nie ma nic wspólnego z tym, co naprawdę się kiedyś wydarzyło. Może oprócz tego, że wszystko... zaczęło się od Peyton.

– Wszystko zaczęło się od niej? – powtarzam za nim.

Mój ukochany przytakuje powoli, a ja dociekam:

– Kim ona w ogóle jest?

Mężczyzna pomału podnosi się z zimnej podłogi. A kiedy stoi już przede mną – przez co znowu muszę unieść brodę, by skrzyżować z nim spojrzenie – skupiony na mojej twarzy, zwraca się do mnie z poleceniem wypowiedzianym delikatnie drżącym i cichym głosem:

– Usiądź.

Mija parę sekund, zanim robię kilka kroków w stronę kanapy.

– Nie tam, skarbie – słyszę jego protest i znowu na niego spoglądam.

Ryder nabiera wtedy udręczony wdech. Jest mu... jest mu ciężko.

– Usiądź za moim biurkiem, Love.

Z chwilą, gdy się poprawia, zamieram na moment. Wciąż jednak wyłapuję w ciemnościach spojrzenie jego chmurnych oczu, a ono utwierdza mnie tylko w tym, że Ryder chce, bym zajęła jego miejsce. Mimo że się boi, on naprawdę tego chce.

Zastygam w bezruchu i wyduszam niepewne pytanie:

– Ja... dlaczego miałabym?

– Bo to ty będziesz dzisiaj słuchała mnie.

Przekrzywiam głowę i spoglądam ukradkiem na znajdujące się w głębszej, jeszcze bardziej zaciemnionej części gabinetu jego solidne biurko oraz fotel. Za nimi jest już tylko ogromny regał. Szybko znowu skupiam się na twarzy Rydera, który z kolei skupia się na mnie.

– Chcesz zamienić się ze mną rolami? – dociekam delikatnie zaskoczona.

– Chcę opowiedzieć ci swoje sekrety.

Ryder zamyka oczy i od razu powoli uchyla powieki.

– Jeśli chcę je komuś zdradzić, to właśnie tobie, Love.

Stoję w miejscu, nie umiając zmusić kończyn do ruchu. Wciąż porozumiewamy się z Ryderem niemym szyfrem, patrząc na siebie bez słów. Przynajmniej dopóki mężczyzna nie wypuszcza powietrza i nie rusza w stronę kanapy, na której zasiada z cichym łoskotem.

Wygląda, jakby czuł się obco pośród swojej własnej, mrocznej przestrzeni.

Wygląda jak zagubiona wersja siebie, której nigdy nie widziałam.

– Nie siedziałeś tam wcześniej, prawda? – szepczę z bólem serca.

Wycofuję się do biurka, lecz wciąż wpatruję się w niego.

– Nie czujesz się tam komfortowo...

Ryder patrzy na mnie i poprawia się nerwowo na siedzeniu.

– To nic – zapewnia. – Chcę, żebyś dowiedziała się o wszystkim.

Siadam na fotelu i opieram drżące ręce na jego podłokietnikach.

– Nie musisz... – zaczynam, lecz mężczyzna nie pozwala mi dokończyć.

– Love, poradzę sobie.

Obserwuję go, czując klucie w piersi.

– Jesteś gotowy? – upewniam się.

Ryder przytakuje.

– A ty?

Ponawiam jego wcześniejszy ruch.

– Zanim zacznę, chcę cię jeszcze raz przeprosić – mówi smutno, a jego spojrzenie wyraża wyłącznie szczerą skruchę, gdy mężczyzna patrzy nim na mnie z pewnej odległości. – Popełniłem błąd, okłamując cię. Więc przepraszam. Przepraszam cię z całego serca, Love.

Przypominam sobie, co powiedział mi na samym początku, gdy tu przyszłam.

– Zrobiłeś to na bankiecie rodziców, ale wciąż nie wiem w jakiej kwestii – zauważam, czując się dziwnie nieswojo, kiedy patrzę na niego z zupełnie innej, obcej dla mnie perspektywy.

Brunet przez chwilę zastanawia się nad moimi słowami i ponownie odwraca wzrok do panoramy widocznej za oknami. Przez głowę od razu przemyka mi myśl, że ja również lubiłam, a nawet potrzebowałam to robić. Spojrzeć w tamtą stronę oraz... namyśleć się. Po prostu.

Wtem Ryder znowu mi się przygląda. Robi to dziwnie nieobecny wzrokiem.

– Zaraz się dowiesz – zapowiada, przecierając niespokojnie dłonią usta.

Potem opuszcza ją na podłokietnik kanapy.

– Ale zanim wrócimy do bankietu, pozwól, że wrócę do początku. Do czasów, kiedy mieszkałem w Denver. Wtedy... pracowałem w swoim zawodzie już kilka dobrych lat.

Pograżam się w dziwnym letargu. Po prostu koncentruję całą uwagę na Ryderze, który przejeżdża językiem po wnętrzu policzka i przenosi spojrzenie gdzieś na podłogę.

– Wtedy też któregoś dnia odezwał się do mnie superwizor³ z czasów studiów – kontynuuje, sprawiając wrażenie kompletnie pogrążonego we własnych wspomnieniach. – Odezwał się do mnie z propozycją, która brzmiała w gruncie rzeczy jak prośba.

Uświadamiam sobie, jak trudno jest mi siedzieć na tym fotelu i dusić w sobie potrzebę, by nie zerwać się z miejsca. By nie usiąść na jego kolanach i nie przytulić go najmocniej, jak tylko jestem w stanie. Tak bardzo bym tego chciała. Dodać mu otuchy, gdy jest mu tak ciężko.

Jest taki zagubiony. Taki... odkryty i niepewny.

Z trudem siedzę nieruchomo, gdy Ryder ciągnie swoją opowieść:

– W ośrodku dla trudnej młodzieży, w którym sam pracował już całkiem długo i który był dla niego bardzo ważny, zaczynało brakować terapeutów. Zapytał więc, czy nie zechciałbym ich trochę wesprzeć, choćby na początku tylko przez rok.

Układałam sobie to wszystko w głowie.

– Stwierdziłem, że mógłbym im pomóc, dlatego po pewnym czasie zjawiłem się w tym ośrodku. Rzecz jasna najpierw się z nim zapoznałem. Z tym, jak funkcjonuje, z opiekunami i resztą terapeutów, którzy rozmawiali z młodzieżą. Przyłożyłem się do tego, by poznać to wszystko jak najlepiej, dlatego dosyć długo

się wdrażałem – dodaje, wciąż patrząc w ziemię.

Pomimo że jestem wycieńczona, wyteżam usilnie wszystkie zmysły. Chcę zrozumieć absolutnie wszystko. Chcę też, by Ryder czuł, że go słucham. Bo naprawdę to robię, gdy siedzę naprzeciwko niego na fotelu, z wrażeniem, jakby coś niepokojącego krążyło po gabinecie.

Mężczyzna zaciska pięść na podłokietniku kanapy, gdy mówi:

– Aż nadeszło pewne popołudnie.

Dreszcz przebiega po moich plecach.

– Wtedy dostałem informację, że moją pierwszą podopieczną została Peyton Howard. Siedemnastolatka, podobno okropnie wyszczekana i przekonana, że nie potrzebuje gadać z kolejnym ważniakiem. Jej opiekun uprzedził mnie, że będzie ciężko mi się z nią dogadać, ale mnie to nie zraziło – wspomina Ryder i wydaje się przy tym naprawdę zamyślony.

Peyton. Jak okropną historię zaczęła siedemnastoletnia Peyton?

– W końcu wiedziałem, gdzie trafiłem.

Mój ukochany wypuszcza zrezygnowane westchnienie.

– Tego popołudnia ja i Peyton mieliśmy odbyć naszą pierwszą rozmowę – opowiada. – Zwykłą... zapoznawczą. Nic wielkiego. Wiedziała, że miała przyjść o umówionej godzinie do jednej z sal w ośrodku. Czekałem tam na nią. – Ryder robi niedługą pauzę, a następnie dopowiada pod nosem coś jeszcze: – Dosyć długo.

Przez moment oboje milczymy, siedząc pośród ciszy i mroku.

– Była do ciebie uprzedzona... to dlatego nie chciała przyjść?

Po moim pytaniu mężczyzna nareszcie unosi na mnie spojrzenie.

– Być może była do mnie uprzedzona – mówi spokojnie.

Jednocześnie patrzy mi prosto w oczy, nie mrugając.

– Ale w dużej mierze nie przysłała na rozmowę dlatego, że odebrała sobie życie.

Rozdziewiam automatycznie usta, kompletnie zszokowana. Podejrzewałam, że Peyton napsuła Ryderowi krwi tym, jaka była podobno kłopotliwa, a nie, że nie zdążyli nawet ze sobą porozmawiać, bo ona... bo ona przed tą rozmową wyrządziła sobie tak ogromną krzywdę.

Ta historia... Ta historia jest bardziej zagmatwana, niż mogło mi się wydawać.

– A kiedy to zrobiła, stała się dla mnie kulą u nogi, która już potem jedynie okropnie mi doskwierała – dokańcza Ryder, a jego mina, w czasie gdy to robi, jest naprawdę mało czytelna.

Dla mnie to *wszystko* wciąż jest mało czytelne.

– Cóż, Love – wydycha po krótkiej chwili mężczyzna. – Byłem przekonany, że twoja reakcja w domu wynikała z faktu, że wiesz od Aarona o tym, co stało się później. Jednak nie wiesz tego. Ani w jakiej kwestii minąłem się wobec ciebie z prawdą.

Mimo że zmęczenie dokucza mi coraz bardziej, dopytuję:

– To, co zaraz usłyszę, bardzo mnie zaboli?

Ryder pozostaje skupiony na moich oczach.

– Myślę, że raczej skłoni do przemyśleń.

Odpowiadam mu krótkim skinieniem.

A on wie, że może kontynuować.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY



KIEDYŚ

Nie zjawiała się we właściwej sali.

Korytarz wydaje się węższy, gdy pokonując wskazaną przez mojego niegdyś superwizora trasę, mijam dziesiątki ludzi. Z telefonem przytkniętym do ucha i miną, która nie wyraża absolutnie niczego, idę przed siebie, zamierzając wywiązać się z ostatniego zadania na dzisiaj – przetarcia szlaku, jeśli mowa o sesjach z uznawaną za kłopotliwą Peyton Howard.

Ta dziewczyna miała być dla mnie wyzwaniem, jak stwierdził dyrektor ośrodka. Sam ją znał. Internat w tym miejscu nie był w końcu ogromnym gmachem, a raczej średniej wielkości budynkiem. Tutaj bez trudu każdy kojarzył problematycznych podopiecznych. Peyton stanowiła właśnie taki przypadek. Poprzedni terapeuta nie zdołał dowiedzieć się, z czego to wynikało. Być może dlatego, że sama zainteresowana nie stawiała się na spotkaniach?

Z westchnieniem odsuwam telefon od ucha i chowam go do kieszeni spodni. Najwyraźniej opiekun Peyton postanawia mnie olewać tak samo jak ona. Jednak nie przestaję liczyć na to, że zastanę ją w pokoju, gdy po parunastu sekundach stoję przed jej drzwiami oraz w nie stukam.

Niedługo potem ponawiam ruch. Aż w końcu, kiedy zerkam na zegar wiszący na jednej ze ścian i uświadamiam sobie, że jest już naprawdę późno, naciskam na klamkę. Pcham drzwi, a widok, który się za nimi rozpościera, mrozi mi krew w żyłach.

Peyton Howard w rzeczy samej nie stawiała się na rozmowie z nowym terapeutą.

Tylko dlatego, że odebrała sobie życie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY



RYDER

Nie odrywam wzroku od widoku za przeszkloną ścianą. Już sporo czasu upłynęło nam z Love na rozmowie w zalanym czernią, surowo urządzonym gabinecie. Upłynęło go tak dużo, że po wichurze przechodzącej nad miastem nie ma już żadnego śladu. Teraz za to na zewnątrz panuje spokój. Niebo poszarzało. W powietrzu lawirują tylko pierwsze płatki tegorocznego śniegu.

Patrzę, jak osadzają się one na wielkich oknach i czuję, że Love patrzy wtedy na mnie. Cały czas jest tak skupiona, że nie zwraca uwagi na nic innego, nawet na fakt, że jej ukochana pora roku odwiedza nareszcie Aspen. Zbieram się więc w sobie, porządkuję myśli i kontynuuję swoją opowieść:

– Wieść o tym, co stało się z Peyton, szybko obiegła cały ośrodek. Pracownicy i młodzież byli zszokowani. Nikt nie podejrzewał, że akurat ona wyrządzi sobie krzywdę. Nawet jej poprzedni terapeuta zrobił wielkie oczy, gdy tylko również do niego dotarła ta informacja.

Uwalniam westchnienie. Wciąż czuję się dziwnie i nieswojo, chociaż siedzę przecież na własnej kanapie we własnym gabinecie. Jestem pewny, że nawet po dłuższym czasie nie przywykłbym do takiej zamiany ról – gdy to Love zajmuje miejsce przy moim biurku, a ja odkrywam się przed nią, znajdując się naprzeciwko i mając wrażenie, że czas tej nocy zwyczajnie zwolnił.

Wiem jednak, że chcę, by to się działo. Chcę, by teraz ona sprawowała kontrolę, nawet jeśli jeszcze niedawno żadnej kobiecie bym jej nie oddał i żadnej nie pozwoliłbym usiąść na swoim fotelu. To zbyt osobiste. A jednak w tej chwili zwieszam pokornie głowę przed Love.

Mówiłem ci to już przedtem. Masz mnie w garści.

Masz mnie w niej, jak nikt dotąd nie miał.

– Ja za to nie czułem się w żaden sposób winny ani nic sobie nie wyrzucałem. Ponieważ Peyton na długo przed rozmową, którą mieliśmy odbyć, ona już... – robię przerwę, nadal niepewnie czując się z tym, co się stało – ...nie żyła. Było mi jej szkoda, ale miałem świadomość, że nawet gdybym zapukał do jej drzwi wcześniej, nie zdołałbym już zmienić biegu wydarzeń.

Stukam pomału palcami w podłokietnik sofy i patrzę na niego w niedługim milczeniu. Wyczuwam, że Love obserwuje mnie wtedy nienatarczywie oraz czeka cierpliwie, aż znowu się odezwę.

– Wszyscy zbierali się po tym wydarzeniu do kupy przez kolejne dni, a mi przydzielono później innego pacjenta. W ogólnym rozrachunku nie przepracowałem jednak w ośrodku roku, na który byłem z początku umówiony z jego dyrektorem. Po kilku miesiącach pracy odszedłem i otworzyłem własny gabinet w ścisłym centrum Denver. Dążyłem do tego przez kilka lat, więc nawet się nie wahałem, skoro miałem szansę się bardziej rozwijać i dalej zbierać doświadczenie.

Nawet stąd wyczuwam niepokój, który bije od Love. Nie mam pojęcia, z jaką jej reakcją spotkam się, gdy dobrnę do końca historii. Liczę jednak, że jakoś uda jej się to przetrwać.

Nabieram krótki wdech.

– Przez jakiś czas budowałem renomę swojego nazwiska – ciągnę. – Tygodnie upływały mi głównie na spotkaniach z pacjentami, ale też na okazjonalnych odwiedzinach rodziców i Chloe albo wypadach do knajp ze znajomymi. Miałem w życiu naprawdę dużo spokoju.

Unoszę słabo kącik ust. Ten czas był naprawdę w porządku. Może nie czułem pełni szczęścia – w końcu po wyczerpującym dniu przeważnie zaszywałem się w swoim pustym mieszkaniu w kamienicy, gdzie nie czekał na mnie nikt prócz rudego Klakiera – ale było po prostu w porządku.

Przekrzywiam głowę, przenosząc zamyślony wzrok na podłogę. Przez to, że do gabinetu powoli wdziera się szarówka panująca na zewnątrz, z każdą chwilą jest w nim trochę jaśniej.

– Aż pewnego razu pod drzwiami mojego mieszkania zjawił się jakiś chłopak.

Nawet jeśli tego nie widzę, czuję, że zdezorientowana Love ściga teraz brwi.

– Chłopak, który był do mnie zdecydowanie wrogo nastawiony, a wszystko dlatego, że wciąż żył stratą swojej dziewczyny i nie mógł do końca przetrwać tego, co się wydarzyło – mówiąc to, unoszę powoli trzymaną na podłokietniku dłoń i masuję palcami skroń.

Gabinet wypełnia cisza, aż w końcu przerywam ją wyjaśnieniem:

– Jego dziewczyną była właśnie Peyton.

Podrywam głowę i spoglądam na Love.

– Raymond twierdził, że to przeze mnie jej już nie było – streszczam, patrząc swojej ukochanej prosto w te duże, ale również cholernie zmęczone oczy. – Był zdania, że gdybym pofatygował się do niej od razu, ona nic by sobie nie zrobiła. Staralem się mu wyjaśnić, że Howard nie żyła długo przed naszą planowaną rozmową, ale on tego do siebie nie dopuszczał.

Love zwiesza delikatnie ramiona i opiera ręce na powierzchni mojego biurka. Widzę gołym okiem, że dokuczają jej coraz większe zmęczenie, lecz nadal dzielnie się trzyma oraz chłonie każde wypowiedziane przeze mnie słowo. Splątane włosy opadają jej na bladą twarz, gdy koncentruje uwagę wyłącznie na mojej, na pewno w równym stopniu wymęczonej.

Ta noc wydusiła z nas wszystko, co mogła, przechodzi mi przez myśl.

– Zafiksował się, że wina leży po mojej stronie – zaczynam znowu.

Ponownie spoglądam na szczyty gór i proszący z szarawego nieba jasny puch.

– Nie przejąłem się tym jednak. Po tym, jak wyszedł z kamienicy, w której mieszkałem, uznałem, że po czasie się z tym upora, i wróciłem do obowiązków. Przez następne tygodnie po prostu nadal się im oddawałem, ciężko pracując i ciesząc się swoim spokojem.

Znowu kładę rękę na podłokietniku kanapy. Mam wrażenie, że coś na kształt supła powoli zawiązuje się w moim gardle, gdy wciąż i wciąż zbliżam się już tylko do sedna historii.

– Nieczęsto udawało mi się znaleźć wolną chwilę, ale kiedy w końcu się nadarzała, odwiedzałem zawsze pracownię mamy. Mieściła się parę przecznic od mojego gabinetu, więc wpadałem do niej co jakiś czas – opowiadam tonem, w którym nie pobrzmiwa żadna emocja.

Mrugam powoli i ociężale, nadal zwrócony twarzą do szyby.

– Tamtego dnia też do niej przyszedłem.

Słyszę, jak Love poprawia się na moim fotelu.

– Rozmawialiśmy o głupotach, aż w końcu Jane wspomniała mi o tym, że Chloe zaczęła z kimś randkować. Nie zaskoczyło mnie to. – Wzruszam nieznacznie ramionami. – W końcu miała te siedemnaście lat. Każdy w tym wieku przeżywał swoje pierwsze zauroczenia, prawda?

Wypuszczam z cichym świstem powietrze zalegające w płucach.

– Jakimś trafem Chloe akurat tego popołudnia również przyszała do pracowni mamy. Przyszała tam ze swoim nowym chłopakiem, którym okazał się... były Peyton. Ten, który wcześniej złożył mi wizytę i oskarżył mnie o to, że z mojej winy stracił Howard – napominam i po raz kolejny przenoszę spojrzenie na swoją ukochaną.

Love nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Od razu, gdy tylko na niego popatrzyłem, zrozumiałem, że zakręcił się wokół Chloe po to, by dać mi w kość. Stał wtedy w progu pracowni. Szcherzył się do mnie tak perfidnie, że nie powstrzymałem się i przyparłem go do ściany jak jakiś wariat. Ale w głębi duszy czułem, że ten sukinsyn naprawdę chce się na mnie odegrać poprzez zranienie Chloe.

Cholera jasna, naprawdę to czułem.

– Dlatego powiedziałem ci, że wszystko zaczęło się od Peyton – wyjaśniam, rozkładając ręce i nadal utrzymując kontakt wzrokowy z oniemiałą Love. – Bo jej decyzja zmieniła wiele. Zapoczątkowała wiele. Zapoczątkowała gniew jej byłego faceta wobec mnie.

Zapoczątkowała ten jebany koszmar, dopowiadałam w myślach.

Brunetka wciąż wydaje się tak samo zdziwiona. Nie wiem, chyba nie podejrzewała, że to wszystko przybrało taki obrót. Ja wtedy też nie podejrzewałem, że to wszystko przybierze taki obrót. Nie podejrzewałem, że po tym, co zrobiła sobie Peyton, moja młodsza siostra zostanie wciągnięta w tak głębokie i okropne bagno.

Wyginam mimowolnie usta w grymasie. W pośpiechu przecieram je wierzchem dłoni. Potem ponownie wbijam wzrok gdzie indziej, w jedną ze ścian gabinetu, i kontynuuję:

– Chloe natychmiast się na mnie wydarła, bo w jej mniemaniu rzuciłem się na niewinnego chłopaka. A potem rozzłoszczona wyszła razem z tym skurwielem z pracowni zdezorientowanej mamy, mając gdzieś, że szedłem za nimi przez kilkanaście minut, chcąc, by mnie po prostu wysłuchała. Bo czułem, że on to ukartował. Czułem, że prędzej czy później coś jej zrobi, żebym tylko się doigrał – na końcu mój głos staje się ostrzejszy.

Szybko się jednak reflektuję i zaczynam nad nim panować.

– Parę dni później Chloe zgodziła się przyjść do mojego gabinetu – dodaję. – Zrobiło mi się trochę lżej, bo myślałem, że po tym, jak objaśnię jej całą sytuację z mojej perspektywy, ona kopnie tego frajera w dupę. Ale ona... Chloe wcale nie zamierzała tego zrobić. Była zdania, że jej chłopak nic już do mnie nie ma i powinienem wyciągnąć do niego rękę na zgodę.

Kręcę pomału głową, mając ten obraz w głowie.

– Rzecz jasna wyśmiałem jej propozycję. Znowu próbowałem ją przekonać, by wystrzegą się go jak ognia, ale rozgniewałem ją tym tylko bardziej. – Zaciskam usta w kreskę, przypominając sobie zawzięcie, które wtedy od niej biło. *To pieprzone zawzięcie.*

Love wciąż nie odzywa się chociażby jednym słowem.

Tylko patrzy. Patrzy na mnie oraz słucha uważnie.

– Chloe była na mnie wściekła – rzucam zgodnie z prawdą. – Była pod jego całkowitym wpływem. Kazała mi się nie wtrącać. Znaleźć z nim wspólny język lub się do niej nie odzywać. Postawiła mi pieprzone ultimatum, a ja nie mogłem uwierzyć, że tak ją sobie podporządkował.

Nie mogłem w to uwierzyć. Nie mogłem ich od siebie odsunąć.

A tak strasznie tego chciałem.

Tak paskudnie mocno tego chciałem.

– Powiedziałem jej, żeby się nawet nie łudziła, że się z nim dogadam. Później po raz kolejny i kolejny starałem się ją do niego zniechęcić racjonalnymi argumentami. Ale ona nie słuchała. Po pewnym czasie trzasnęła drzwiami, rozzłoszczona jak nigdy wcześniej.

Love bierze głębszy wdech. Od razu odnajduję jej spojrzenie. W pomieszczeniu jest już całkowicie jasno, więc robię to bez najmniejszego trudu. Nie wiem, ile mamy jeszcze czasu, zanim pierwsza osoba zjawi się w budynku. Wiem natomiast, że moja Porter jest zbyt wyczerpana, bym zdecydował się opowiedzieć jej to, co najgorsze, jeszcze w tym gabinecie.

Ona naprawdę potrzebuje zebrać się do kupy. Ja zresztą też. Po tym, co wydarzyło się najpierw w domu oraz po nocy spędzonej praktycznie w całości w poradni.

Po krótkiej chwili przemyśleń mówię dalej:

– W ciągu kolejnych tygodni chyba z tysiąc razy próbowałem się z nią kontaktować. Próbowałem łapać ją w domu rodzinnym, ale ona zwiewała stamtąd, gdy tylko Jane albo Richard omyłkowo sprzedawali jej wieść, że zamierzam wpaść.

Zwężam w zastanowieniu oczy, gapiąc się w blat biurka.

– Chloe naprawdę ode mnie uciekała. Odrzucała moje połączenia, nie odpisywała na wiadomości – wyliczam, a później dopowiadam coś jeszcze cicho pod nosem: – Robiła to, podczas gdy ja chciałem tylko, by później nie pożałowała. Nie pożałowała, że jednak... brnęła w to i brnęła.

Pochylam się do przodu i zgarbiony splatam palce. Wbijam w nie mętny wzrok. Mierzę się z okropnym bólem, który ponownie się we mnie odzywa, i mam wrażenie, że miażdży mnie na każdy możliwy sposób. A to przecież nie jest nawet koniec historii. Przeraza mnie, co robi ze mną jej ostatni etap, gdy wrócę do niego pamięcią. Naprawdę mnie to, kurwa, przeraża.

Przykro mi. Przykro mi, że nie starałem się jeszcze mocniej.

Zamykam oczy i przez moment siedzę tak zmarnowany.

– Rodzice też nie mogli do niej dotrzeć – zaczynam nareszcie i uchylam powieki. – Byli bezradni, tak samo jak ja, bo Chloe i jej upartość dawały nam popalić. Ona nadal się z nim umawiała. Nadal była w siódmym niebie, kiedy gdzieś ją zabierał. Była przekonana, że naprawdę dużo dla niego znaczy. – Podrywam głowę i spoglądam ponownie na Love.

Robię to na pewno z wypisanym na twarzy zranieniem.

– A mi było z tym ciężko. Jeszcze nigdy nie byłem tak z nią skłócony. Chloe zaczęła mną po prostu gardzić, święcie przekonana, że chcę dla niej jak najgorzej. Gdy po pięciu tygodniach udało mi się nareszcie dorwać ją pod szkołą, ona... – Kręcę mozolnie głową, z wysiłkiem wypuszczając spomiędzy warg kilka kolejnych słów: – Ona wybuchła, słysząc, jak znowu próbuję przemówić jej do rozumu. Kazała mi nie nazywać się więcej jej bratem.

Mija kilka sekund, zanim dokańczam ledwie słyszalnie:

– I zerwała ze mną całkowicie kontakt.

Wraz z Love przez dłuższy czas siedzimy nieruchomo, bez słów w oblanym promieniami wschodzącego słońca gabinecie. Ona zapewne myśli o tym, co ode mnie usłyszała w ciągu całej nocy, którą tu spędziliśmy. A ja zastanawiam się, czy w ogóle dam radę opowiedzieć jej ze szczegółami to, co wydarzyło się później. To nadal tak kurewsko boli.

Przecieram dłońmi wycięconą twarz. Opuszczam bezwiednie ręce i znowu uciekam spojrzeniem do Love, która wygląda, jakby miała mi tu zaraz zemdleć ze zmęczenia.

– Love? – pytam troskliwie, a ona unosi słabo kącik ust, gdy słyszy mój ton.

– Trzymam się – zapewnia. – Jestem tylko troszeczkę wykończona.

Nie waham się nad propozycją, którą od razu wypowiadam.

– Przerwijmy.

Dziewczyna wypuszcza niemalże bezgłośny oddech.

– Dużo zostało ci jeszcze do... – myśli, jak dobrać słowa – ...opowiedzenia?

Kręcę głową w geście niemego protestu i powoli się podnoszę. Czuję stopień zdrętwienia wszystkich mięśni, w czasie gdy stoję w miejscu oraz nadal wpatruję się w Love.

– Nie – odpowiadam z lekkim grymasem. – Naprawdę niedużo.

– W takim razie wrócimy do tego za kilka godzin?

– Gdy będziesz bardziej kontaktować? – Unoszę brew.

W zamian otrzymuję od Love krótkie skinienie.

– Gdy będę bardziej kontaktować.

– W porządku – rzucam, a po niedługiej chwili dodaję: – Wichura minęła.

Love zerka na zegar elektroniczny znajdujący się w rogu biurka.

– Tak, jest już rano. Po szóstej.

Patrzę na nią z zaciekawieniem.

– Wyjrzyj za okno.

Moja ukochana uśmiecha się ledwie zauważalnie.

– Wierzę ci na słowo, że już tak mocno nie wieje.

– Wstań, skarbie. – Nawet jeśli nie czuję się na siłach, by chociaż unieść zachęcająco kącik ust, liczę, że mój łagodny ton głosu przekona ją, by podążyć za moją wskazówką. Love przez kilkanaście sekund patrzy na mnie z dołu, nie ruszając się nawet o głupi cal.

– Ryder, ja ledwo siedzę – mówi w końcu z nieskrywanym politowaniem.

Zbliżam się do niej powolnym krokiem i wyciągam w jej stronę dłoń.

– Więc najpierw coś zobaczysz, a potem zaniosę cię do domu.

Zbita z tropu Love ściąga nieznacznie brwi oraz przenosi spojrzenie z mojej ręki na moją twarz. Z bliska widzę, że wciąż jest skrycie przybita, ale stara się tego po sobie nie okazywać, tak samo, jak staram się tego nie okazywać po sobie ja.

Oboje chcemy dodać sobie tym samym otuchy. Prawda jest jednak taka, że nie odpędzimy się od tego smutku i przygnębienia, dopóki nie domkniemy pewnego rozdziału. Dopóki nie domkniemy historii, którą mam zamiar domknąć jeszcze tego dnia.

Love ulega w końcu i chwytą mnie za rękę.

– No dobrze.

Od razu prowadzę ją ku wielkim oknom gabinetu. Jednocześnie nie spuszczam wzroku z jej twarzy, kiedy dziewczyna nareszcie skupia uwagę na tym, co rozpościera się za szybą. A za nią wciąż rozpościera się widok na szare niebo, strzeliste góry i padający, rzadki na razie biały puch. Love rozdziawia delikatnie usta i ściska mocniej moją dłoń, gdy tylko to dostrzega.

– Pada... śnieg? – pyta szeptem.

Głaskam kciukiem wierzch jej dłoni.

– Pierwszy w tym roku – potwierdzam.

Cień uszczęśliwienia przemyka przez jej bladą twarz, po której błąka się wiele ciemnych pasm splątanych włosów. Love patrzy z uwielbieniem na panoramę Aspen, a ja patrzę z takim samym uwielbieniem na nią, gdy zmiotam ostrożnym ruchem wolnej dłoni kosmyki sprzed nadal zaczerwienionego od płaczu nosa. Ogarnia mnie jeszcze większy smutek, kiedy obserwuję ją uważnym i przygnębionym spojrzeniem. Gdybym nie skłamał, nie doszłoby do tego nieporozumienia. A ona wcale by tyle nie płakała. Schrzaniłem. Tak bardzo schrzaniłem.

Nieważne, jak bardzo bolały mnie wspomnienia. Kłamstwo było złym wyjściem.

Z krótkiego letargu wytrąca mnie rozmarzone westchnienie Love.

– Wygląda bajecznie... Niedługo na pewno zasypie całe miasto.

Opuszczam jedną rękę, zaś drugą wciąż trzymam jej dłoń.

– Tak – przyznaję jej cicho rację. – Pewnie tak.

Dziewczyna przekrzywia głowę i spogląda wprost na mnie.

– A tu niedługo ktoś przyjdzie – zauważa słusznie.

– Więc musimy już iść. – Przytakuję, wiedząc doskonale, że w przeciągu najbliższych kilkunastu minut na pewno któryś z terapeutów lub Elise zjawi się w budynku. W czasie gdy o tym myślę, Love ostatni raz omiata spojrzeniem ukochany krajobraz, a potem rusza powolnym krokiem w kierunku drzwi. Przy okazji siłą rzeczy rozdziela nasze splecione dłonie.

Prędko jednak ponownie chwytam ją za rękę i nieumyślnie przyciągam do siebie tak mocno, że dziewczyna wpada z impetem na moją klatkę piersiową. Moja grdyka porusza się pod skórą, gdy patrzę z góry na zaskoczoną brunetkę, trzymając ją kurczowo tuż przy sobie.

Nabieram wdech i od razu zagajam dyskretnie:

– Love?

Duże, brązowe oczy skupiają się tylko na mnie.

– Tak?

– Jeszcze raz cię przepraszam.

Moja ukochana uśmiecha się smutno, a potem przenosi spojrzenie na czerń mojej bluzy. Przez kilka sekund patrzy w nią, aż w końcu wtula policzek w moją pierś i obejmuje mnie w pasie. Kompletnie się tego nie spodziewam. Zdziwiony chowam ostrożnie w ramionach jej drobne ciało i wbijam wzrok w dal, w notesy, leżące na ogromnym regale. *Dlaczego to robisz?*

Dlaczego to robisz, Love, skoro powinnaś chcieć trzymać się ode mnie z daleka?

– Ja też kiedyś nie byłam z tobą szczerą, gdy kłamałam, że jest u mnie dobrze – mówi przygnębionym szeptem, a ja od razu przypominam sobie wczesne lato i jej problemy z jedzeniem. – Wystarczy mi, że poprawisz się tak, jak wciąż poprawiam się ja. Że teraz... że teraz będziemy ze sobą już tylko szczerzy – dokańcza, wydychając mi to w pierś.

Obejmuję ją jeszcze ciaśniej i przytykam usta do jej czoła.

– Będziemy – zgadzam się z nią cicho. – Oboje będziemy.

– Nie damy ciała.

– Na pewno nie, Love.

Po raz kolejny całuję ją w czubek głowy, zanim odsuwa się i posyła mi następny słaby uśmiech. Później mówi jeszcze, że musimy się pospieszyć, by nikt nas tu nie nakrył, a ja nie protestuję, gdy Love ciągnie mnie za rękę w stronę drzwi. Zamykam je znalezionym w kieszeni spodni kluczem, a potem oboje ruszamy do recepcji i wyjścia.

Na zewnątrz jest zimno, ale na szczęście nie mamy daleko do domu. Od razu schylam się, by Love mogła wskoczyć mi na plecy, a ona korzysta z mojej propozycji, nawet jeśli z początku delikatnie się waha. Mimo upływu miesięcy nie jest jej łatwo do końca uporać się ze swoim problemem, ale znajduje się na dobrej drodze, by tego dokonać. Naprawdę w nią wierzę.

Po kilku minutach marszu Love obejmuje rękami moją szyję i pyta nieśmiało:

– Mogę się do ciebie przytulić?

Uśmiecham się krzywo.

– Potrzebuję tego, wiesz?

Przekrzywiam z trudem głowę, by móc spojrzeć jej w oczy.

– Naprawdę strasznie tego potrzebuję, Love – powtarzam i zjeżdżam spojrzeniem na jej usta, a po krótkiej chwili wracam nim do drogi, która została nam do pokonania. Love, tak jak zapowiedziała, przytula się do mnie wtedy naprawdę mocno. Ja za to wzmacniam chwyt rąk, które trzymam pod jej udami, i myślę, że naprawdę mógłbym i chciałbym ją tak nosić ciągle.

Gdy słońce dopiero wschodzi i zalewa promieniami budzące się do życia Aspen. Gdy pierwszy śnieg lawiruje w powietrzu, osiadając na naszych zlepionych ze sobą ciałach. Gdy mróz nie przestaje nam dokuczać, a nieduże zasy puchu chrupią pod podeszwami moich butów.

Gdy Love rozgląda się wokół z uśmiechem. Może i smutnym, ale uśmiechem.

– Zaspiałasz? – pytam nagle, czując, że dziewczyna wetknęła nos w moją szyję.

– Nie.

Nadal niosę ją bez najmniejszego trudu.

– Na pewno? – dociekam miękko.

– Nie.

Kręcę głowę i znowu unoszę nieznacznie kącik ust.

– Możesz zasnąć. Nie będzie mi to przeszkadzało.

– Ale mi będzie – szepcze Love, wciąż ciasno obejmując mnie rękami i mamrocząc mi coś jeszcze w szyję: – Chcę do ciebie mówić, żebyś ty przypadkiem nie zasnął.

Wydecham obłok ciepłego powietrza z płuc, kiedy protestuję:

– O nie, nie mógłbym.

– Bo jesteś twardzielem?

– Bo gdy jesteś ze mną, nie schodzę z warty i ciągle cię pilnuję – odpowiadam bez żadnego namysłu, na co Love składa krótkiego buziaka na moim karku. Ciepło rozlewa się po mojej klatce piersiowej na tę czułą drobnostkę niemalże od razu. A ona robi to znowu, zanim kolejny raz podrywa głowę i rozgląda się wokół, jestem pewny, że z niemalym rozmarzeniem.

Chciałbym, by zapomniała na chwilę o tym, co niedługo nas czeka.

– Gdy wstaniemy z łóżka, pewnie nareszcie będzie już całkiem biało – mówi, a ja ponownie przechylam głowę, by na nią spojrzeć.

Love wystawia właśnie beztrzesko twarz ku prószącemu śniegowi i uśmiecha się ledwie dostrzegalnie. Ma przymknięte powieki, zaróżowione od zimna policzki i wilgotne rzęsy przez pojedyncze płatki, które zdążyły się na nich osadzić. Patrząc na nią i przełykam resztki śliny.

Jeszcze wczoraj myślałem, że to widok jej na scenie wprawia mnie w osłupienie.

Ale teraz już wiem, że to po prostu widok jej tak na mnie działa.

– Pewnie będzie już biało i znowu bardzo ciemno – odpowiadam.

Love wraca do rzeczywistości oraz zbliża usta do mojego ucha.

– Zamierzasz spać tak długo? Do samego wieczora? – Jej głos jest delikatnie rozbawiony, nawet jeśli ona sama z lekka się trzęsie z wszechobecnego, porannego zimna.

Mrużę oczy na promienie słońca, które oślepiają mnie na moment.

– Zamierzam leżeć z tobą przy sobie w łóżku do samego wieczora.

Love znowu mnie całuje, tym razem przelotnie w skroń, a później, gdy jesteśmy już tuż przed podjazdem, daje mi niemy sygnał, bym pozwolił jej stanąć na nogach na chodniku. Posłusznie to robię i rozglądam się po okolicy. Ulice są puste, już lekko zaśnieżone, a śnieg, który pada z nieba, wygląda magicznie w powoli wznoszącym się ponad góry słońcu.

– Otworzę drzwi – mówi Love, łapiąc mnie za rękę.

Uśmiecham się niewyraźnie i ciągnę ją za nią tak, że wykonuje niezgrabny obrót. Dziewczyna parska cichym śmiechem, a ja mam wtedy wrażenie, że po raz kolejny robi mi się nieco cieplej, chociaż na zewnątrz z pewnością jest ujemna temperatura.

Love zbliża się i zadziera brodę, by na mnie spojrzeć.

– Co ty wyprawiasz? – pyta lekko rozbawiona, kładąc dłonie na moich policzkach.

Ja za to kładę swoje na jej talii i przyciągam ją bliżej siebie tak, że na mnie wpada.

– Nic takiego.

Moja ukochana poważnieje, a potem wzdycha i zagląda mi w oczy.

– Uporamy się ze wszystkim – mówi szeptem. – Wiem, że tak będzie.

Milczę. Po prostu obserwuję ją przez chwilę bardzo uważnie, gdy stoimy na pustym chodniku i otacza nas tylko prószący śnieg oraz nieprzemijająca cisza. Kłęb ciepłego powietrza wydostaje się z moich ust, w czasie kiedy rozchylam je i kiwam powoli głową.

– Ja również to wiem – zapewniam ją.

Jej oczy wydają się piękne i spokojne.

– Ja również to wiem, Love.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY



KIEDYŚ

Wchodząc do kuchni, orientuję się, że styczeń wciąż raczy mieszkańców Denver gównianą pogodą. Deszcz miesza się ze śniegiem i gasi we mnie chęć, by jeszcze dzisiaj wyjechać na zablocone drogi i dotrzeć do własnego gabinetu zlokalizowanego na drugim końcu miasta.

Robię kawę, a potem z kubkiem w dłoni przechodzę do sypialni. Tam od razu opadam na materac łóżka i przechwytyuję leżący na nim telefon. Najpierw upewniam się, że mam zaplanowane wyłącznie dwa spotkania z pacjentami późnym wieczorem. Następnie odbieram wiadomość od Chloe. Na widok zdjęcia przysłanego godzinę temu przez siostrę unoszę mimowolnie kącik ust. Jest na nim właśnie ona, rozwalona na moim starym stole bilardowym z butelką wina. Przez moment zastanawiam się, czy mama wie o tym, co wyprawia jej nastoletnia córka, kiedy sprowadza do domu koleżanki.

Szybko jednak odpędzam tę myśl, bo z krótkiego letargu wytrąca mnie pukanie do drzwi. Od razu podnoszę się, poprawiając zaczepione na biodrach dresy. Wciągam jeszcze na siebie pierwszy lepszy podkoszulek, a później boso przechodzę do korytarza. Otwieram drzwi chłopakowi, którego nie kojarzę.

Ale on prędko wyjaśnia mi wiele rzeczy.

Robi to, gdy osądza mnie, że jego dziewczyny już nie ma. Gdy twierdzi, że mogłem pojawić się w jej pokoju wcześniej i tym samym nie pozwolić, by spełniła swój zamiar. W jego oczach tańczy czysty gniew. Chłopak wyrzuca z siebie więcej wyrzutów. Jest ich ogrom. Jest ich tak dużo, że w pewnej chwili tracę rachubę, ile tak właściwie zdążyło ich paść.

Jeśli jego wizyta miała mnie wtedy przed czymś ostrzec, nie zwróciłem na to uwagi.

A powinienem był.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY



KIEDYŚ

Nieczęsto udaje mi się znaleźć wolną godzinę, odkąd pracuję w zawodzie. Ale niezmiennie za to spędzam takową w pracowni Jane Callahan, która znajduje się nieopodal mojego gabinetu, gdzie przyjmuję swoich pacjentów.

Wsuwam dłonie do kieszeni garniturowych spodni, idąc przed siebie leniwym tempem. Szybko dostrzegam stojącą w jednym z pomieszczeń mamę. Unoszę kącik ust i przyglądam się jej. Wydaje się nie mieć cierpliwości do porządkowania szpargałów.

Zwraca na mnie uwagę, gdy w kilku krokach zjawiam się tuż obok niej. Rzecz jasna wpierw zgarniam burę za zaszywanie się w swoich czterech ścianach razem z kotem i ogromnym stosem pracy. Dopiero później Jane porządnie się rozgaduje, a kiedy zaczyna temat nastoletniej Chloe, moja siostra zupełnie przypadkowo nagle zjawia się w pracowni.

Tyle że nie sama. Jest ze swoim nowym chłopakiem, którego już niegdyś spotkałem. Złowroga iskra w jego oku oraz perfidny uśmiech podpowiadają mi, z kim mam do czynienia. To były facet Peyton Howard. Ten sam, który parę miesięcy temu oskarżał mnie o to, co stało się z jego dziewczyną.

Oniemiały tkwią chwilę w bezruchu. Dociera do mnie, co się święci. Ten pokręcony świr szuka sposobu, by mi dopiec. Dlatego łązi za moją młodszą siostrą. Owładnięty gniewem w paru krokach zbliżam się do niego i chwytam go za fraki. Kieruję do niego naprawdę dużo gróźb, które zdają się kompletnie po nim sływać. Zwłaszcza kiedy Chloe staje w jego obronie i żąda, bym nigdy więcej nie wtrącał się w ich związek.

Kłóć się z nią, dopóki nie wychodzą z pracowni. Wtedy i tak zrywam się z miejsca oraz ruszam za nimi, lecz Chloe przez cały czas kompletnie mnie ignoruje.

Cholera, kurwa, jasna.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI



KIEDYŚ

Nie gościłem w swoim gabinecie jeszcze siostry. Aż do dzisiaj.

Zerkam znieczcierpliwiony na zegarek na swoim nadgarstku. Chloe powinna zjawić się tutaj za dosłownie moment. Liczę, że jednak nie zmieniła zdania, zwłaszcza że sporo czasu zajęło mi przekonanie jej, by chociaż pogadała ze mną po tym, na co porwałem się zaledwie parę dni temu w pracowni mamy. Czulem wtedy i zresztą wciąż czuję, że ten gnój zakręcił się przy niej, by odplacić mi się za coś, na co przecież nie miałem tak naprawdę żadnego pieprzonego wpływu. Nie mogłem zapobiec temu, że Peyton odebrała sobie życie.

Po prostu nie mogłem i się za to nie obwinałem.

Pukanie rozlega się w gabinecie, a ja odchrząkuję i rzucam krótkie zaproszenie. Po chwili naprzeciwko mnie siada wyraźnie bojowo nastawiona Chloe. Ma hardo zadarty podbródek i straszliwie zawzięty wyraz twarzy, kiedy już na wstępie stwierdza, że jestem jaskiniowcem bez oglądy. Puszczam te słowa mimo uszu, po cichu spodziewając się, że gdy opowiem jej o Peyton Howard i o tym, o co oskarżał mnie ten jej fagas, ona zasadzi mu cholernego kopniaka w dupę.

Ale spotykam się z zawodem. Ponieważ Chloe nawet mimo tej wiedzy broni go jak lwica, twierdząc, że on nie żywi już do mnie żadnej urazy. Mało tego, jest zdania, że powinienem wyciągnąć do niego rękę na zgodę. Na jej słowa reaguję pogardliwym prychnięciem. To przecież jakiś nonsens. Moja siostra została porządnie omamiona. A teraz stawia mi ultimatum.

Mogę albo znaleźć z nim wspólny język.

Albo nie odzywać się do niej więcej słowem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI



KIEDYŚ

Właśnie zaczyna się piąty tydzień, odkąd nie rozmawiam z własną siostrą. Chloe nie dość, że nie odpisuje na moje wiadomości, to znika z domu rodzinnego, kiedy tylko Jane lub Richard sprzedają jej omyłkowo wieść, że zamierzam do nich wpaść. Zupełnie tak, jakbym był trędowaty lub miał wobec niej okropne zamiary. A przecież ma je wyłącznie ten żaloszny sukinsyn.

Nasza rodzina nie jest już ani trochę żyta. Nie spędzamy wspólnie ani jednej minuty. Każdy zajmuje się jedynie sobą. Rodzice nad tym ubolewają, ale co, do diabła, mogą zrobić, kiedy pomiędzy mną a Chloe cały czas jest napięcie?

Żadne z nas nie chce odpuścić.

Mimo to czekam na nią przed szkołą, mając nadzieję, że po pięciu tygodniach jej gniew wobec mnie chociaż trochę stracił na sile. Przecież wiem, że tak naprawdę doskwiera jej to, co się z nami stało, tak samo jak mnie. W końcu jestem jej starszym bratem, a ona moją młodszą siostrą. Nam obojgu dokucza ten paskudny stan rzeczy. Może chociaż ze względu na to Chloe przemyśli, czy nadal chce stawiać na pierwszym miejscu relację z tym fagasem?

Łapię ją na parkingu. Ona każe mi odejść, twierdząc, że nie chce po raz kolejny słuchać steku bzdur. A ja znowu próbuję przemówić jej do rozsądku, co nie kończy się dobrze. Chloe wybucha. Twardo żąda, bym zrezygnował z dalszych prób wbicia jej czegoś do głowy, bo one i tak spełzną na niczym. Żąda, bym nigdy więcej nie nazywał się jej bratem, bo tego popołudnia uznała, że nie zasługuję, by nim dłużej być. A następnie znika mi z pola widzenia.

Moja młodszą siostrą zrywa ze mną kontakt.

Tak po prostu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY



LOVE

Ryder przez całe popołudnie krążył po domu podenerwowany. Mimo że starał się nie pokazywać po sobie, że coś go gryzie, czułam, że ma w sobie pewien opór przed tym, by dopowiedzieć historię, którą opowiadał mi przez noc. Nie upominałam się jednak o to, by mi ją dokańczył. Nie chciałam wywierać na nim presji, on też nigdy nie robił tego mnie.

Teraz, gdy nastał już wieczór, a ciemności z zewnątrz wypełniły salon, żadne z nas nie zwleka się z kanapy, by włączyć światło. Po prostu leżymy przy sobie w pokoju, w którym roznosi się jedynie odgłos strzykającego w kominku, palącego się drewna. Słyszę go w uszach razem z miarowym oddechem Rydera, który trzyma dużą dłoń pod moim swetrem i obejmuje nią mój brzuch, przyciągając mnie z jej pomocą do swojego nagiego torsu.

Leżąc na boku, pozostając zwrócona ciałem ku ciepłu bijącemu od ognia. Ryder leży tuż za mną i wydaje mi się, że skupia uwagę na widoku rozpościerającym się za szybą tarasowego okna. Śnieg nie jest już rzadki. Teraz pada z czarnego nieba niemalże lawinowo i przykrywa sobą wszystko, jak zdążył przykryć już cały nasz ogródek i rosnących na nim kilka choinek.

To naprawdę kwestia czasu, aż całe Aspen zostanie zasypane, myślę.

– Love?

Słysząc nagle zachrypnięty od dłuższego milczenia głos Rydera, mrugam parokrotnie i odwracam nieznacznie głowę ku twarzy mężczyzny, który patrząc wprost na mnie, wciąż przesuwa powoli palcami po moim brzuchu.

– Możemy wrócić do tej... historii, którą miałem dokończyć – tłumaczy i przełyka z wysiłkiem ślinę.
– Dobrze pamiętam, gdzie ją urwałem.

Jak na zawołanie, gdy tylko o tym wspomina, przesywa mnie dreszcz. Nie wiem, czego mogę się spodziewać. Tak naprawdę odkąd Ryder zaczął zdradzać mi swój sekret, ciągle nie wiem, czego mogę się spodziewać. To pogmatwane, poplątane i nadal zaskakujące.

Leniwie odwracam się znowu w stronę kominka i zadaję wtedy szeptane pytanie:

– Jesteś pewny, że chciałbyś do niej teraz wrócić?

– Tak. Nie zostało mi dużo do opowiedzenia.

Biorę bezgłośny wdech i zamiast odpowiedzieć coś Ryderowi, po prostu nakrywam jego dłoń ułożoną swobodnie na moim brzuchu swoją. Mężczyzna rozumie aluzję, bo po krótkiej chwili przytyka czule usta do mojego ramienia, jakby w geście wdzięcznego podziękowania.

Jest niepewny. Wciąż tak bardzo niepewny i tak bardzo... zraniony.

Co cię zraniło? Co tak okropnie mocno cię zraniło, Ryder?

– Minęły trzy, może cztery dni od mojej kłótni z Chloe na parkingu pod jej szkołą. Od chwili, kiedy zerwała ze mną całkowicie kontakt – zaczyna ocieężale, a jego głos jest odrobinę niewyraźny przez fakt, że usta Rydera wciąż przywierają delikatnie do mojej skóry.

Patrzę bez emocji w dal, koncentrując się tylko na tym, co do mnie mówi.

– Nie zamierzałem jednak nawet po tym odpuścić jej i temu pajacowi. Wciąż szukałem zawzięcie sposobu, żeby przemówić jej do rozsądku. Nie odpuszczałem. W końcu Chloe miała siedemnaście lat... – westchnienie, które wyrywa się z jego ust, jest pełne zrezygnowania i udreki. – Była nastolatką, a one zazwyczaj uważają się za dorosłe i wszystkowiedzące.

Przebiegam opuszkami palców po wierzchu jego szorstkiej dłoni. Mam niedorzeczne wrażenie, że z każdą upływającą sekundą ciepło w salonie zostaje zastąpione przez uporczywe zimno. Robi się w nim

chłodno, smutno i przygnębiająco. Zwłaszcza gdy Ryder przytula policzek do mojego ramienia, jakby w potrzebie, by upewnić się, że nigdzie się nie ruszam.

Robi to, a ja zaczynam się powoli rozlatywać razem z nim.

Nie chcę, by cierpiał.

– Tamten wieczór był dla mnie cholernie pracowity – kontynuuje. – Miałem kilku pacjentów. Podczas spotkania z jednym z nich, gdy już kończyliśmy, wydarzyło się jednak coś, czego kompletnie się nie spodziewałem.

Żołądek zaciska mi się z nerwów w węzeł, gdy mężczyzna wyducha z siebie zbolały, ledwie słyszalny szept:

– Coś, co przysięgam, złamało mi do końca pieprzone serce.

Nic nie mówię. Mimo że właśnie teraz po raz pierwszy tego wieczora mam ochotę wyrzucić z siebie cichą prośbę, by zamilkł i zostawił mnie bez wyjaśnień, ale przynajmniej nie odczuwał ogromnego bólu. Patrzę szklistymi oczami na kominek i oddycham niespokojnie.

Ryder dopiero po kilkunastu sekundach zaczyna mówić dalej:

– Chloe wparowała do gabinetu bez pukania – wspomina z ogromnym trudem. – Bez żadnego ostrzeżenia. Po prostu z impetem otworzyła drzwi i stanęła w progu. Zanim spojrzałem w tamtą stronę, byłem gotów potraktować kogokolwiek, kto ośmielił się wtargnąć do niego w czasie sesji z pacjentem, naprawdę nieprzyjemnie. Ale później... później spojrzałem na nią i zamarłem.

Dlaczego to zrobiłeś?

Jestem pewna, że twarz Rydera teraz wykrzywia grymas.

– Była roztrzęsiona – przypomina sobie, wypowiadając kolejne słowa w pośpiechu i nieskładnie. – Rozzochrana i nieobecna. Ledwo kontaktowała i ledwo była w stanie utrzymać się w pionie. Twarz miała bladą, przykrytą skołtunionymi włosami. Coś we mnie pękło, gdy przyjrzałem się jej uważniej i zrozumiałem, że jest pobita. Gdy zrozumiałem... że z jej nosa i kącika ust wypływają resztki krwi, a jej oczy są śmiertelnie przerażone i zapłakane – na końcu jego głos łałamuje się żałością, a ja nie umiem zdusić już w sobie nerwowego sapnięcia.

Łzy wypływają spod moich powiek, a oczy swędzą mnie i pieką, kiedy sens słów Rydera uderza we mnie przeraźliwie mocno. Zaczynam powoli domyślać się, dlaczego nie mógł zebrać się w sobie, by opowiedzieć mi o tym wszystkim, co ogromnie na niego wpłynęło.

Tak bardzo mi przykro.

Tak bardzo szkoda mi was obojga.

– Miałem wrażenie, że czas stanął w miejscu, gdy patrzyłem na nią i sam zaczynałem niespokojnie drzeć – dopowiada nieco niezrozumiale. – Nawet jeśli Chloe miała na sobie któryś z ukradzionych mi kiedyś podkoszulków, i tak widziałem, że ubrania, które znajdowały się pod nim, były postrzępione. Ona... ona wyglądała, jakby ktoś ją sponiewierał, Love.

Następne załamanie jego zwykle spokojnego głosu doprowadza do tego, że muszę przytknąć wolną dłoń do ust, byle tylko nie wyrwał mi się spomiędzy nich płaczliwy jęk.

Ryder zwiesza głowę i opiera czoło o moje ramię, zanim wydycha zraniony:

– Ona wyglądała właśnie tak...

Jest zupełnie rozbity, załamany i pokruszony na części. A ja łkam bezgłośnie we własną dłoń, zaglądając zażawionymi oczami w półmrok, czując, że ten jeden wieczór spędzony przez nich w gabinecie musiał zrujnować ich w każdym znaczeniu tego słowa.

Mężczyzna nabiera głęboki wdech nosem i pęka. Wydycha go natychmiast wprost w moje plecy, skryte pod cienkim materiałem swetra.

– Nawet jej ręce były poharatane. Wszędzie była poharatana, zadrapana i posiniaczona, a ja obserwowałem ją taką, nie mogąc się poruszyć. Pacjent wyszedł w którymś momencie z gabinetu, a Chloe zerwała się wtedy z miejsca i wybuchła tak okropnie głośnym i pełnym cierpienia szlochem, że sam znalazłem się na granicy jebanego płaczu.

Zsuwam powoli dłoń z ust i zaczynam wiercić się na kanapie. Czy to właśnie tak się czuł, gdy ja zdradzałam mu swój najgorszy sekret? Czy czuł się tak, jakby przez całe jego ciało przetaczał się ból, który tak trudno wytrzymać? Chlipię cicho w jego objęciach.

A on wspomina niezmiennie łamliwym szeptem:

– Tuliłem ją do siebie.

Mężczyzna mocniej obejmuje dłonią mój brzuch, uczepia się mnie wręcz desperacko, a ja znowu mam ochotę wydusić z siebie prośbę, by przerwał, by nie dodawał już nic więcej. Patrzę zaszklonymi oczami w dogasający ogień kominka, nie mówiąc jednak niczego.

– Tuliłem ją do siebie i słuchałem, jak zanosi się łzami, dławiąc się nimi i mocząc mi koszulę. Po prostu stałem na środku gabinetu i ryczałem razem z nią, bo ona... – Robi krótką pauzę. – Ona ledwo się trzymała i powtarzała, jak bardzo mnie przeprasza, że nie brała pod uwagę moich ostrzeżeń.

Ryder chowa nos w zagłębieniu mojej szyi. Jego oddech jest powolny i drżący, a dłonią tylko bliżej przyciąga mnie do swojej nagiej klatki piersiowej. Zaciskam usilnie powieki, nie mogąc wytrzymać świadomości, jak bardzo go to wszystko rani.

Mężczyzna wtyka mocniej twarz w moją szyję.

– Nie chciałem, by to robiła. Nie wtedy. Ale później jeszcze bardziej nie chciałem już tylko, by płakała głośniej i powtarzała przez ściśnięte gardło, jak bardzo bolało ją, gdy gwałcił ją kilka razy w starym kamperze na jakimś starym polu biwakowym.

Ściskam usilnie powieki, kręcąc głową wręcz desperacko.

– Gdy lał ją jak psa, pastwił się nad nią i mówił, jak kurewsko mnie nie trawi – ciągnie, a coś mokrego rozbryzguje się na mojej szyi i cieknie mi po niej w dół.

Zaciskam pięść na jego dłoni, nie mogąc znieść tego, co mówi.

– Gdy brał ją, jak chciał, i mówił, że to przeze mnie stracił Howard.

Otwieram zaszklone oczy. Przekręcam się niezgrabnie na drugi bok. Niemalże zlatuję wtedy z kanapy na podłogę, lecz Ryder prędko zaciska silną dłoń na mojej talii i wartkim szarpnięciem sprowadza mnie do siebie tak, że leżymy tuż przy sobie. Stykamy się ciałami, a ja nie mam odwagi poderwać głowy i zajrzeć w moje ukochane szare oczy.

Mężczyzna wypuszcza krótki oddech. Obejmuje ciaśniej mój bok i śledzi spojrzeniem moją twarz. Czuję, jak jego ciężar przebiega po niej całej, na pewno napuchniętej od płaczu.

Aż w końcu Ryder dodaje:

– Chciałem wyjść z gabinetu. Dorwać go. Skatować, a nawet zabić. Ale Chloe... Nie mogłem jej tam przecież pozostawić samej sobie. Nie mogłem jej od siebie odsunąć chociażby na najmniejszą odległość, gdy czuła się zagrożona, gdy wciąż ledwo się trzymała.

Zdobywam się nareszcie na to, by unieść wzrok na Rydera. Robię to mozolnie i z obawą w sercu. Od razu dociera do mnie, że mężczyzna wciąż obserwuje mnie uważnie, wyglądając wtedy, jak cień samego siebie. Światło przygasającego ognia oblewa jego zmarnowaną twarz, gdy wyciągam ku niej skostniałą dłoń i obejmuję ją jego pokryty zarostem policzek.

Jego wilgotny policzek.

Ryder mruga powoli, zanim odzywa się zbolalym tonem:

– Płakała. Wciąż i wciąż. Nie umiała nad tym panować, w pewnym momencie rzucała się w moich objęciach, wydzierając się, że jest głupia i brudna, i tak już zdartym gardłem. A ja też wtedy płakałem, bo ona miała tylko siedemnaście lat, Love.

Ostatnie słowa mężczyzna wypowiada ledwie słyszalnie. Ale nawet jeśli z trudem jestem w stanie je zarejestrować, one i tak ogromnie boją. Przebiegam palcami po policzku Rydera, a on nie spuszcza ze mnie wzroku. Zamiast tego styka nasze czoła, a zmęczenie, które wtedy od niego bije, czuję wręcz na własnej skórze.

Wykończony. Jest wykończony.

Przesuwam czule nosem po jego drugim policzku, chcąc, by poczuł, że jestem obok. Brunet w odpowiedzi wzmacnia chwyt dłoni na mojej talii i mówi cicho:

– Chciałem jej pomóc. Przez następne kilkanaście minut trzymałem ją przy sobie, siedząc na fotelu i nadal do siebie przytulając. A ona wtedy wściekała się na swoją głupotę. Załamywała, bo wciąż go czuła. Płakała, bo nadal... – Ryder przymyka powieki i uchyla je dopiero po paru sekundach, dodając z wysiłkiem: – ...nadal wszystko okropnie ją bolało.

Kolejna łza kreśli ślad po mojej twarzy i ścieka po brodzie.

– Zabrałem ją do prywatnego lekarza. Zapewniałem, że ciągle będę obok niej. Zgrywałem twardego i opanowanego, tak naprawdę będąc na swojej granicy. Bo nie miałem pojęcia, jak mam się teraz nią zająć,

jak powiedzieć o wszystkim rodzicom.

Głos Rydera jest coraz bardziej niewyraźny.

– Załamali się. Oboje przepłakali kilka dni, a ja razem z nimi, gdy patrzyliśmy, jak Chloe nie je, nie śpi, gaśnie w oczach. Była pod opieką terapeuty. Była otoczona troską naszej trójki. Ale dopiero po kilku tygodniach zaczęła chociaż do kogokolwiek się odzywać.

Czuję ukłucie w okolicach mostka, kiedy mężczyzna wzdycha żałośnie.

– Po kolejnych kilku wyjawiała mi, że on zrobił jej dziecko.

Zimny dreszcz przebiega wzdłuż mojego kręgosłupa.

– Zamarłem – przyznaje Ryder. – Chloe miała nosić pod sercem jego syna lub córkę? Miała dzień w dzień zerkać na niego lub na nią i pamiętać o tym, co wyrządził jej ten skurwiel? Raymond zniknął z Denver. Ojciec wysłał za nim nawet kilku prywatnych detektywów, ale go nie znaleźli. Byli zdania, że wyjechał do Europy. Pamiętasz, gdy parę miesięcy temu byliśmy w posiadłości rodziców, a ty zapytałaś, od kiedy mamy w niej ochronę?

Przytakuję niemrawo, patrząc mu nadal prosto w oczy.

– Mam ją od czasu, kiedy ten sukinsyn przepadł – wyjaśnia ochryple, a przez jego twarz przemyka od razu zauważalne zmartwienie. – Bałem się, że on wróci. Rodzice też. Od prawie sześciu lat nie dał jednak znaku życia. Żadnego, choćby jednego.

Ryder głaska delikatnie kciukiem mój bok.

– Chloe nie chciała usuwać dziecka – dodaje. – Obawiała się tylko, czy ja w ogóle będę chciał kiedykolwiek uznać je za swojego siostrzeńca przez to, ile krwi napsuł mi jego ojciec. Rzecz jasna nie odtrąciłem go. Mało tego, zapewniłem Chlo, że przez pierwsze lata jej z nim pomogę, a także że będę dla niego najlepszym wujkiem na świecie.

Jego kącik ust unosi się smutno i ledwie zauważalnie ku górze.

– Staralem się. Nadal to robię. Nawet teraz, kiedy od tych wydarzeń minęło już prawie sześć lat – mówi, a ja mając w głowie to, jak Ryder zachowywał się za każdym razem wobec swojego siostrzeńca, myślę, że wychodzi mu to doskonale.

Mężczyzna wtula się w moją dłoń i nie spuszcza przy tym ze mnie wzroku. Mimo że dobrnął do końca swojej paskudnej opowieści, wciąż jest niespokojny i wyraźnie zasmucony. A ja patrzę na to z kielkującym w piersi przygnębieniem i zaschniętymi łzami na policzkach.

Ryder zwleka kilka sekund, zanim odzywa się znowu:

– Teraz Chloe wydaje się szczęśliwa i spokojna. Ja też sobie z tym radzę, dopóki nie wracam pamięcią do tamtego czasu, a robię to... Nie robię tego. Nie robię tego, bo wtedy zaczynam mieć cholerne wątpliwości. Może mogłem starać się bardziej rozdzielić Chlo i tego skurwiela? Może wtedy zapobiegłbym temu koszmarowi? – gdyba, a ja od razu kręcę głową.

Przecież stawaleś na głowie, by ich rozdzielić.

Mężczyzna zsuwa moją dłoń z policzka. Jednocześnie nadal utrzymuje ze mną kontakt wzrokowy, mimo że ledwo jesteśmy w stanie wyłapać swoje spojrzenia w salonie, który jest już pogrążony w mroku niemalże do cna przez to, że ogień ledwie tli się w kominku.

Szare oczy Rydera patrzą na mnie jeszcze bardziej smutno.

– Wtedy na bankiecie rodziców powiedziałem ci, że ojciec małego zmarł na misji – zaczyna, kiwając głową w geście zamyślenia i odwracając wzrok gdzieś w bok. – Już wiesz, że wcale nie był żołnierzem ani nie zmarł na misji. Wiesz, kiedy cię okłamałem.

Przesuwam palce na jego twardą pierś i chowam głowę pod jego brodą. A on wtedy przyciąga moje ciało ku sobie i obejmuje mnie jeszcze ciaśniej silnymi rękami.

– Nadal jest mi z tego powodu przykro i znowu cię przepraszam.

Wciskam paznokcie w jego odkryty tors, czując doskonale jego żal.

– Love, ja naprawdę cię przepraszam i przyrzekam, że więcej nie będę musiał tego robić.

Składam krótki, ledwie wyczuwalny pocałunek na jego ciepłej piersi. Ryder wyznacza wtedy trasę powolnych muśnięć gdzieś w moich włosach, a ja przywieram do niego najmocniej, jak mogę. Nie umiałabym tak. Nie umiałabym trzymać się od niego z daleka.

Przymykam na chwilę ciężące mi powieki i zaciągam się jego zapachem.

– Staraleś się – wypowiadam te słowa pewnym tonem. – Naprawdę mocno, by ich od siebie odsunąć.

Nawet na moment nie zamierzałeś przestać tego robić. Co mogłeś zrobić więcej? Zamknąć Chloe w swoim mieszkaniu, żeby w ten sposób ich od siebie izolować?

Otwieram oczy i naznaczam śladem paznokci jego twardego biceps.

– Ryder, nie mogłeś starać się bardziej – wzdycham na koniec.

Mężczyzna trzyma mnie przy sobie przez chwilę bez słów.

– Bałem się, że po tym, co usłyszysz, powiesz, że mogłem.

Odsuwam głowę, by móc po raz kolejny na niego spojrzeć. Na jego strudzoną twarz. Przygasłe oczy. Nieznacznie rozchylone usta. Na wszystko to, co podpowiada mi, że czuje się kompletnie wycieńczony. Chciałabym dodać mu sił, nawet jeśli sama nie mam ich za dużo.

Zarzucam dłoń na jego szerokie ramię, szepcząc jakby do siebie:

– Boże, tak strasznie ci z tym ciężko.

Ryder kładzie się na plecach.

– Chodź do mnie – wzdycha.

Kiedy się nie ruszam, powtarza błagalnie:

– Proszę, chodź do mnie, Love.

Zrywam się natychmiast z miejsca i wślizguję na jego ciężkie ciało. Mężczyzna wtedy znowu przytula mnie do siebie ciasno, a ja kładę policzek na jego spokojnie poruszającej się teraz odkrytej piersi. W salonie zdążył już zapanować mrok, więc skupiam się na czerni.

– Ryder... – zaczynam, lecz mężczyzna prędko mi przerywa.

– Przejdzie mi.

Jego zapewnienie wprawia moje serce w delikatne drżenie.

– Chciałabym, żeby przeszło. Żebyś nie czuł się potwornie źle.

– Nie będę. Tylko nie odchodź ode mnie przez chwilę, dobrze?

Nie odpowiadam. Ale on wie, że nie mam takiego zamiaru.

Tylko dlaczego w ogólnym rozrachunku i tak miałam go zostawić?

Miałam zostawić go na dłużej.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY



RYDER

Sala jest przyciemniona, a ja opieram swobodnie rękę na podłokietniku fotela i wygodniej się w nim rozsiadam. Jednocześnie zerkam kątem oka na zegarek oplatający nadgarstek. Wybiła szósta wieczorem. Za dosłownie moment powinien więc rozpocząć się występ organizowany przez szkołę baletową w zasypanym od przedwczoraj śniegiem Aspen.

Przeczesauję wzrokiem całą skąpaną w ciemnościach przestrzeń. Przed sobą mam całkiem sporych rozmiarów scenę, zaś za sobą kilkanaście rzędów miejsc, na których zasiada reszta publiczności. Gdzieś w tłumie znajdują się również Jane i Richard, którzy – jak twierdzili jeszcze parę godzin temu, gdy rozmawialiśmy u nas w bliźniaku – nie mogli odmówić sobie okazji, by znowu zobaczyć Love w akcji, dlatego pofatygowali się tutaj aż z Denver.

Poprawiam wolną ręką zawiązany na szyi krawat i wzdycham w oczekiwaniu. Wtem dobiega mnie znajomy głos rozbrzmiewający tuż za moimi plecami:

– Nie przebieraj nogami.

To Chloe znowu upomina okropnie wiercącego się na fotelu Raine'a.

– Ale wujek Ryder wszystko mi zasłania – burzy się mały.

Unoszę kącik ust i wciąż wpatruję się w scenę.

– Urośnij, to nie będzie ci zasłaniał – rzucam.

Oczami wyobraźni widzę, jak Chloe marszczy brwi.

– Ryder, czy ty musisz być taki wredny?

Ściągam kostkę z kolana, a potem odwracam się do siostry, siedzącego na jej kolanach siostrzeńca i trzymającego się blisko nich Kaydena. Widząc, że mały patrzy wprost na mnie z wesołym uśmiechem, nie zastanawiam się długo i wyciągam ku niemu ręce, mówiąc:

– No dobra, chodź tutaj. Najwyżej cię zrzucę.

Przechwytnę dzieciaka i sadzam go sobie na kolanie. Od razu przechylam jeszcze głowę, żeby spojrzeć ostrzegawczo na Chloe i jej chłopaka.

– A wy nie migdalić mi się tam.

Kayden unosi z rozbawieniem brew.

– Jeszcze jakieś życzenia? – pyta ironicznie.

Kiwam sugestywnie głową na mój stary aparat, który trzyma w dłoni.

– Nagrywaj w miarę prosto.

Po tych słowach znowu odwracam się przodem do sceny, gdzie akurat zaczyna się występ. Aż poprawiam się po raz kolejny na siedzeniu, kiedy tylko zauważam, jak światła reflektorów opadają na drewniane deski podestu. Zaraz zatańczy na nich Love. No i jeszcze kilkoro innych uczniów szkoły baletowej, ale mniejsza z nimi – przyszedłem tu tylko dla Porter.

Siedzący na moim kolanie Raine jest wyraźnie podekscytowany. Uśmiecham się, zmiatając mu z czoła niesforną czuprynę, w momencie gdy wypowiada pod nosem ciche pytanie:

– Wow, to Love?

Mały nie ucieka spojrzeniem od sceny, a ja znowu skupiam na niej całą uwagę. Przeczesauję wzrokiem grupę tańczących uczniów i od razu rozpoznaję w jednej z lawirujących akurat w powietrzu baletnic swoją Love. Mimowolnie rozdziawiam usta, bo... cholera jasna.

Ona prezentuje się najpiękniej.

Jest przebrana w sukienkę z białego tiulu, skoncentrowana tylko na sobie i swoim tańcu, który –

a niech mnie – przyciąga moje spojrzenie niczym pieprzony magnes. Obserwuję ją jak urzeczony. Jak pogrążony w dziwnej hipnozie, gdy Love wykonuje kolejne figury, poruszając się subtelnie i niezwykle zgrabnie. Jest czarująca w każdym znaczeniu tego słowa.

A jej ciało... Chryste. Aż wzbiera we mnie potrzeba, by prześledzić je dłońmi. Wracam do rzeczywistości tak prędko, jak Raine zaczyna machać w powietrzu nogami i przypadkowo uderza mnie jedną w łydkę. Poluźniam nieszczęsny krawat i odchrząkuję znacząco.

– Nieziemska, nie? – zwracam się do niego zachrypniętym głosem.

Mały kiwa powoli głową, nie spuszczać z niej wzroku.

– No. Jestem farciarzem.

Marszczę brwi.

– Że kim?

Mój zainteresowany wyłącznie Porter siostrzeniec milczy, więc ja też milczę i po raz kolejny mknę spojrzeniem do sceny, mając nadzieję, że nawet jeśli to zrobię, usiedzę na swoim miejscu. Ilekroć patrzę bowiem na Love, robi mi się nieprzyzwoicie ciepło. Chyba jestem dupkiem, bo gdy wygląda tak kusząco niewinnie, zaczynam mieć na nią cholerną ochotę.

Stukam palcami o podłokietnik fotela, przetykając powoli ślinę nagromadzoną w ustach.

Zachwycająca. Szlag by to, jest dokładnie taka.

– Podejźmy potem pod scenę – zapowiadam.

Raine i ja wciąż obserwujemy tańczącą Love.

– Po buziaka?

Mrużę oczy.

– Ja podejść po buziaka, ty dasz jej ładnego badyła.

– A możemy na odwrót?

Spoglądam spod byka na młodego.

– Nie.

Siostrzeniec przytakuje posłusznie, a ja czuję, jak ktoś uderza butem w moje siedzenie. Zwęzam złowrogo oczy i odwracam się do Chloe, która każe mi uśmiechnąć się do aparatu trzymanego nadal przez Kaydena. Przewracam oczami i wypalam:

– Chloe, jak ci zaraz zasadzę kopniaka w dupę, to...

Czuję, że ktoś odwraca się nagle w moją stronę. To staruszka siedząca obok. Natychmiast robi mi się trochę głupio, bo jednak trwa pieprzony występ.

– Przepraszam – pomrukuje do niej, a potem milknę i ponownie spoglądam na scenę.

A konkretniej na Love, która urzeka wszystkich swoim zniewalającym tańcem. Myślę, że mógłbym podziwiać ją tak przez wieczność i nadal czułbym się tak samo oczarowany. Kiedy występ dobiega końca, publiczność powoli zaczyna się przeredzać, ja zaś sięgam wtedy po bukiet białych tulipanów leżący na miejscu obok. Wręczam go od razu młodemu.

– Udźwigniesz? – pytam z politowaniem.

Nie widzę nawet jego twarzy. Zastłaniają ją kwiatki.

– Tak – potwierdza mimo wszystko Raine.

– W takim razie idziemy.

Wstaję na nogi, a światła akurat zaczynają wypełniać całą salę. Z dzieciakiem na rękach zmierzam w stronę sceny, na której jeszcze stoją uczniowie szkoły baletowej i wydają się porządnie wymęczeni zaprezentowanym występem – wszyscy, bez wyjątku.

Namierzam Love i zatrzymuję się tuż przed nią. Drżąca z emocji dziewczyna na nasz widok śmieje się na głos oraz przytyka dłoń do ust, by po ledwie sekundzie zsunąć ją z nich i przyjąć od Raine'a kupione przeze mnie wcześniej w kwaciarni tulipany.

– Dobry wieczór? – zaczyna wesoło Porter, trzymając już bukiet.

Mój kącik ust unosi się leniwie ku górze.

– Wpadłaś w oko dwóm dżentelmenom.

Love kuca przy nas i daje najpierw buziaka w policzek małemu, a potem mnie.

– Jesteście przeuroczy – mówi rozczulona, zwracając się tym razem do pięciolatka. – Więc... podobało wam się?

Raine strasznie się rozgaduje. Wraz z Love wpatrujemy się w niego z zainteresowaniem, gdy mówi i mówi. Trzymam go przy sobie, w pewnym momencie odlatując myślami gdzieś daleko. Przez głowę przebiega mi ta jedna, która ostatnimi czasy nawiedzała mnie zdecydowanie częściej. Ponieważ chciałbym móc kiedyś przyjść na taki występ Love znowu.

Tyle że z naszymi pociechami.

Nie powiedziałaś mi, czy podobał ci się mój występ.

Czytam zdanie wypisane palcem na szybie własnego samochodu przez Love i uśmiecham się kpiąco. Jednocześnie zerkam od razu w stronę jej części bliźniaka. Nie palą się w nim światła. W środku jest ciemno, ale na pewno nie cicho. Słyszałem przebijającą się przez ścianę muzykę, gdy jeszcze przed kilkunastoma minutami leżałem u siebie w sypialni z ostatnimi papierami do wypełnienia na dzisiaj, a potem stwierdziłem, że odśnieżę podjazd.

Ostatni raz omiatam go spojrzeniem, choć niewiele widzę, bo śnieg pada z ciemnego nieba w ogromnych ilościach, aż w końcu ruszam do drzwi Porter i opieram o ścianę obok nich łopatę. Wchodzę do mieszkania. Od razu słyszę spokojną muzykę wybrzmiewającą z tych wielkich głośników w jej sypialni. Zrzucam z siebie kurtkę oraz kaptur bluzy, zmierzając właśnie tam.

Przystaję w progu pokoju, a Love natychmiast unosi spojrzenie znad podręcznika, który czyta. Na mój widok jej twarz rozświetla delikatny uśmiech.

– Przyszedeś.

Kiwając głową, zbliżam się w kilku krokach do jej łóżka, a potem opadam na nie w poprzek całym ciałem. Love zagryza wargę, gdy opieram policzek na jej skrytym pod materiałem podkoszulka brzuchu i skupiam całą uwagę na jej spokojnych oczach.

– Bo upomniałaś się o moją opinię na temat swojego występu – odpowiadam.

– Mogłaś równie dobrze nabazgrać na szybie samochodu zwykle „był ładny”, zamiast przychodzić tutaj. – Jej cichy śmiech wypełnia pokój razem z melodią piosenki.

– Mogę równie dobrze nabazgrać coś w tym stylu na tobie.

Po tych słowach zabieram z jej dłoni długopis i odchylam delikatnie rąbek jej bluzki, by odsłonić kawałek dekoltu. Love znowu parska wesołym śmiechem, gdy przyciskam do niego lekko końcówkę długopisu, zaczynając coś swobodnie pisać.

– To łaskocze – mówi rozbawiona.

– Tak? – udaję głupiego i wspieram się odrobinę, by ustami musnąć miejsce, które nazaczyłem pewnymi słowami. Dziewczyna wplata dłoń w moje nieco wilgotne od śniegu włosy, wcześniej odrzucając gdzieś na bok trzymany w niej poprzednio podręcznik.

A ja wciąż przywieram wargami do jej skóry, składając na niej kilkanaście buziaków i myśląc, że mógłbym obchodzić się z nią tak bez przerwy. Gdy tkwi pode mną roześmiana, posyłając mi co chwilę spojrzenie tymi swoimi iskrzącymi czystym rozbawieniem oczami.

Cholera. Chyba naprawdę ją sobie wyśniłem.

– Ryder... – Moje imię w jej ustach brzmi niezmiennie dobrze.

Nie podrywam głowy. Jeszcze nie. Wciąż skupiam się na jej dekolcie.

– Kiedy występowałaś, dotarło do mnie, że nikt przenigdy nie wywarł na mnie takiego wrażenia, jak ty – wyduszam w jej skórę, przebiegając po niej subtelnie wargami. W czasie gdy to robię, jestem pewien, że uśmiech nie znika z jej twarzy choćby na sekundę.

– Może dobrze, że tu przyszedłeś – odpowiada uszczęśliwiona.

Oddalam usta od jej dekoltu i z ciężkim oddechem zaglądam jej w oczy.

– To wyznanie chyba nie zmieściłoby się na szybie samochodu... – dodaje.

Kręcę powoli głową i zawisam nad nią bez żadnego trudu, opierając ciężar ciała na przedramieniu ułożonym obok dziewczyny. Przez dłuższy moment obserwuję ją z góry i koncentruję się na brązowym odcieniu jej tęczówek. Pochłaniam ten widok, widok jej uwięzionej pode mną, widok jej proszącej niemo o to, bym ją pocałował.

Zniecierpliwiona trąca zaczepnie kilka razy mój nos swoim, a ja uśmiecham się delikatnie. Jest w niej teraz tyle szczerzej radości, że od razu nawiedza mnie myśl, że opłacało się walczyć. Opłacało walczyć się tak

długo o spokój, który nareszcie dostaliśmy w swoje ręce.

Zadowolony zbliżam usta do jej i potwierdzam:

– Nie. Raczej nie zmieściłoby się na niej.

A potem całuję ją zawzięcie. Love kładzie wtedy ręce na mojej piersi, odwzajemniając pieszczotę i poddając się pod moje dyktando, bez żadnego, choćby najmniejszego sprzeciwu. Napieram na nią mocno, przytłaczam ją sobą, chcąc mieć pewność, że mi się nie wyślizgnie.

Love w odpowiedzi jedynie przyciska biust do mojego ciała.

Zaczepiam dłoń na jej biodrze, sunąc nią w górę i w dół. Jednocześnie wciąż nakrywam jej pełne usta swoimi, przebiegając świadomie językiem po dolnej wardze dziewczyny. Słyszę, jak brunetka nabiera krótki wdech nosem, zanim mknę dłonią jeszcze wyżej, przez jej talię, by na końcu ułożyć ją pod jej głową i zaborczo przyciągnąć jej wargi bliżej siebie.

Szlag by to, wciąż mi mało.

Napędzony silną potrzebą siadam na niej okrakiem i obejmuję dłońmi jej policzki, by wmusić w jej usta jeszcze bardziej stanowczy pocałunek. Love drży pode mną, kiedy to robię, i zjeżdża palcami na mój brzuch. Błądzi po nim paznokciami, a ja przesuwam wargi na jej szyję.

Słyszę jej ciche westchnienie. Nakręcony przejeżdżam przeciągle językiem po miękkiej skórze. Dziewczyna zarzuca jedną dłoń na mój kark, obejmuje go i tym razem uwalnia jęk.

Wtem po pokoju rozbrzmiewa odgłos przychodzącej wiadomości. Ignoruję go, wciąż obsypując jej szyję muśnięciami i nie robiąc sobie nic z tego, że Love karci mnie, gdy próbuje sięgnąć po swój telefon, a ja nie ułatwiam jej sprawy. Po chwili chwytą go w dłoń i odczytuje wiadomość, przebiegając czule drżącymi palcami po moim karku.

– To Ivory – mówi, a ja tym razem opadam na materac obok niej, wypuszczając ciężki oddech z płuc.

– Poprosiła, żebym przyjechała do szkoły baletowej na dłuższą chwilę.

Ściągam brwi. Przecież występ już dawno się skończył.

– Po co? – pytam zaskoczony.

– Nie mam pojęcia.

Love z ociąganiem podnosi się na nogi i rozgląda po pokoju, zapewne w poszukiwaniu rzeczy, które mogą się jej przydać. Najpierw zgarnia z komody niedużą torebkę, do której od razu wrzuca telefon. Potem sięga po leżącą na podłodze ciemną bluzę i wzdycha, widząc, że za oknem nie można dostrzec nic, prócz padającego nadal i nadal śniegu.

Podpierając się na przedramionach, pytam:

– Podwieźć cię?

Dziewczyna kręci głową jakby automatycznie.

– Nie będziesz sterczał tam tak długo. Przejdę się, a gdy wrócę, możemy iść do lasu po choinkę, żeby później ją udekorować – proponuje, na co marszczę czoło, bo przecież pogoda dzisiejszego wieczora zdecydowanie nie sprzyja podobnym wycieczkom.

– Zajmiemy się tym jutro – odpieram.

Love jednak wciąż patrzy na mnie z zacięciem.

– Zajmiemy się tym dzisiaj.

– Nie przekonasz mnie – zapowiadam.

– Przedyskutujemy temat, jak wrócę – mówiąc to, dziewczyna wsuwa ręce w rękawy bluzy, lecz zanim przeciąga ją przez głowę, podchodzi do dużego lustra stojącego w rogu pokoju i odsuwa materiał bluzki, by skontrolować, co nabazgrałem jej długopisem na dekolcie.

Love uśmiecha się naprawdę szeroko, gdy widzi pewne zdanie.

Przyrzekam, że wypadłaś najpiękniej.

Zrzucam jeszcze jedno pudło na podłogę w salonie, oświetlonym poświatą ognia z kominka, po czym prostuję się i rozglądam wokoło, kręcąc głową. Nie wierzę, że naprawdę postawiłem sobie za cel zrobienie Love niespodzianki i najpierw przytaszczyłem z lasu pod działką drzewo, a potem przetrząsałem piwnicę w poszukiwaniu trylionów kartonów z ozdobami świątecznymi. Ale niech będzie – tak jak chciała, udekorujemy wszystko dzisiaj.

Nawet jeśli jest już prawie noc.

Wtem po domu rozlega się miauknięcie. Przeczesuję dłonią rozczochrane włosy i patrzę na siedzącego na kuchennym parapecie Klakiera. *Zapewne Love już wraca*, przechodzi mi przez myśl. Odruchowo spoglądam jeszcze raz na wielgachną, sięgającą sufitu choinkę. Mam nadzieję, że się jej spodoba. Chociaż to ja z naszej dwójki jestem tym wybrednym w tej kwestii.

Słyszę trzask drzwi, ale nic poza tym. Love najpewniej przez pierwsze sekundy po prostu stoi w miejscu, zastanawiając się, o co chodzi. Już od progu wita ją bowiem sterta kartonów z dekoracjami. Właściwie jest nimi zavalony cały dom – ozdoby tylko czekają, aż je wyciągniemy i przywiesimy w przeróżnych miejscach lub zawiesimy na choince.

Przypominam sobie, jak robiliśmy to ubiegłego roku, i unoszę kącik ust.

Bo widzę, jak robimy to wspólnie każdego kolejnego.

Po dłuższej chwili moją część bliźniaka wypełnia odgłos stawianych bez pośpiechu kroków. Love wchodzi w głąb domu i przystaje znowu w korytarzu, przeczesując spojrzeniem zavaloną rzeczami podłogę. Przez moment milczy, a ja patrzę na nią z odległości i myślę, że wydaje się nieco przygaszona. Ma zwieszane nieznacznie ramiona i głowę. Smutny wyraz twarzy. Trudno mi stwierdzić, czy jej policzki są czerwone z zimna, czy może od... płaczu?

Ściągam delikatnie brwi, gdy zrzuca z siebie płaszcz i odkłada go na komodę. *Co się stało? Czy ta jej trenerka wytknęła jej jakieś błędy? Nawet jeśli w czymś się pomyliła, występ wyszedł przecież doskonale. Z tego, co zauważyłem, wszyscy byli pod wrażeniem.*

Co się dzieje, Love?

Dziewczyna podchodzi do mnie powoli. Oplata ramiona dłońmi i wzdycha niby wesoło.

– Czy ty skombinowałeś już choinkę? Wszystkie ozdoby? – pyta, a kiedy zatrzymuje się przede mną, od razu zamykam jej szczupłą talię w uścisku dłoni, uśmiechając się głupio.

– Tak jakby.

Love sili się na to, by odwzajemnić mój gest.

– Mówiłeś przecież, że zajmiemy się tym jutro.

Wzruszam z nieprzejęciem ramionami.

– Stwierdziłem, że możemy jednak zająć się tym dzisiaj. Możemy udekorować drzewo, cały dom... cokolwiek tylko sobie wymarzysz, Love – odpowiadam zrelaksowany, przesuwając z niezmiennie leniwym uśmiechem palcami po jej bokach. Jej ubrania i skóra są zimne. Musiała mocno zmarznąć podczas spaceru ze szkoły baletowej do domu.

Unoszę jedną dłoń w kierunku twarzy Love i zaczesuję jej za ucho kosmyk wilgotnych od śniegu włosów. Zaglądam jednocześnie w brązowe oczy dziewczyny. Widzę, że wciąż pozostają przygnębione, gdy uciekają ode mnie i skupiają się na jednym z wypchanych kartonów.

– Od kiedy jesteś taki chętny, by to robić? – pyta przyciszonym głosem Love.

Wzmacniam uścisk dłoni na jej talii i odpieram szarmancko:

– Od kiedy mogę to robić z tobą.

Moja ukochana przymyka powieki, jakbym zadał jej tymi słowami cios.

– Hej, coś się stało? – pytam w końcu, zaalarmowany jej dziwnym zachowaniem. Love po krótkiej chwili otwiera oczy, a z jej twarzy znika wtedy niemrawy ślad po słabym uśmiechu.

– My... musimy porozmawiać, Ryder – zapowiada pełnym cierpienia szeptem.

Potem wyplątuje się z mojego uścisku, odsuwa i zmierza mozolnym krokiem do kanapy. Śledzę ją wtedy uważnym spojrzeniem i myślę, że jej słowa wprowadziły do salonu smutną atmosferę. Mam wrażenie, jakby smutek po prostu zaczął nagle krążyć w ciepłym powietrzu.

Love zajmuje miejsce na sofie i wygina nerwowo palce.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Przetykam ostrożnie ślinę i zbliżam się do dziewczyny, by móc przed nią kucnąć oraz ująć w swoje dłonie jej, zmarznięte oraz nadal drżące od zimna. Zaczynam odczuwać coraz większą obawę, kiedy spomiędzy jej warg wyrzywa się krótkie, bezradne tchnienie.

Od razu przyciskam usta do jej skostniałych palców i całuję jeden po drugim. W czasie gdy to robię, podrywam znowu głowę i spoglądam na swoją Porter cholernie wyrozumiale.

– Śmiało, przecież... przecież możesz powiedzieć mi wszystko – mówię, jakby to było oczywiste,

a Love wykrzywia w tej samej chwili usta w delikatnym grymasie.

– Nawet coś, co mogłoby *zmienić wszystko*?

Mrugam powoli, przez chwilę patrząc na nią w milczeniu.

– Co masz na myśli? – dociekam. – Love, ty płaczesz?

Jej oczy są zaszkłone, a ja czuję, jak coś ściska mnie w piersi.

– Dlaczego płaczesz?

– Bo nie chcę dokonywać tego wyboru.

Obserwuję ją z niezrozumieniem. Zanoszącą się płaczem i kręcącą zaciekle głową. Nie mam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Jakiego wyboru nie chce dokonywać Love? Co oni powiedzieli jej w tej pieprzonej szkole baletowej, że teraz tak to przeżywa?

Trzymam jej dłonie i przyglądam się jej jeszcze uważniej z bliska. A kiedy coś do mnie dociera, rozchyłam nieznacznie usta i pozwalam, by uciekło mi pomiędzy nich kilka słów:

– Love, ty płakałaś też wcześniej...

– Przez całą drogę do domu.

To potwierdzenie godzi mnie w samo serce.

– Skarbie, o co chodzi? – pytam ledwie słyszalnie, wciąż kucając tuż przed nią i wciąż czując się tak samo niespokojny, gdy jej oczy, sam nie wiem jakim cudem, smutnieją jeszcze bardziej. Love pęka, teraz już niemalże dławi się własnym oddechem, nie umiejąc złapać tchu.

Czuję się bezradny, beużyteczny, czuję się wystawiony na prawdziwe męczarnie. Bo nie wiem, co mogę zrobić, by pomóc wytrzymać jej ten cholerny ból. *Gdybym tylko wiedział, że prawdziwe męczarnie osiągną mnie już za krótki moment, kiedy tylko usłyszę prawdę.*

Nie chciałem tracić swojej Love.

Nie chciałem tracić swojej miłości.

Moja ukochana opiera z niemocą czoło o moje ramię i zaczyna w nie płakać. Zaczyna płakać w nie tak głośno i tak mocno, że muszę zacisnąć usta, byle tylko nie wydusić z siebie jęku pełnego udręki. To rozbija mnie na części. Jej pełen prawdziwego zranienia szloch.

Załamany obejmuję dłonią tył jej głowy i trzymam ją przy sobie, gdy tak mocno cierpi. Gdy dusi się w spazmach, cały czas oparta czołem o moje ramię, nie mogąc nabrać powietrza. Głaszczę cierpliwie jej wilgotne włosy, wbijając zmarnowane spojrzenie w oparcie kanapy.

Nie chciałem pozwalać jej tego zrobić.

Tak strasznie tego nie chciałem.

– J-już wiem, dlaczego Ivory prowadziła tyle treningów od dłuższego czasu... – słyszę jej niewyraźne skomlenie blisko ucha. – Dlaczego chciała, bym starała się bardziej. Wiem też, dlaczego parę miesięcy temu w szkole baletowej pojawiła się jakaś jej prawa ręka...

Potrzebowałem jej przy sobie.

Potrzebowałem jej przy sobie już ciągle.

Love zaciska pięść na mojej bluzie i ciągnie mocno za materiał. Nie radzi sobie. Boże, tak strasznie sobie z tym wszystkim nie radzi, gdy znowu wybucha, a ja tym razem nie umiem zdusić w sobie smętnego tchnienia. Zwieszam żałośnie głowę, słysząc jej kolejne słowa:

– Ta dziewczyna była tak naprawdę przedstawicielką słynnej, okrzykniętej fenomenem grupy baletowej, która jeździ i występuje po całych Stanach. Od kilku miesięcy szukała w Kolorado kilku nowych talentów... – Jej głos łamie się, a ja zaczynam coś podejrzewać.

Nie mogłem odbierać jej naiwnych marzeń.

Nie mogłem tego robić, skoro sam kazałem jej w nie wierzyć.

Moja ukochana odsuwa głowę od mojego ramienia, by móc na mnie spojrzeć pełnymi bólu, zapłakanymi oczami. A kiedy to robi, tym razem to ja kręcę z niemocą głową i chowam w uścisku jej policzki, błagając w myślach, by nie dodała już nic więcej. By nie złamała mnie tym, czym – mam wrażenie – za moment zrobi to bez żadnego trudu.

Roztrzęsiona Love wtula się w moją dłoń.

– Po dzisiejszym występie zaproponowała mi i jednej z dziewczyn miejsce w grupie na próbę – wyznaje zupełnie zraniona. – Dostałam dwa dni na zastanowienie się.

Nie umiem się odezwać. Nie, gdy rozżalenie zalewa mi gardło.

– Mogę albo zostać tutaj, w odludnym Aspen – wydusza rozdarta.

Patrzy w moje oczy, a ja patrzę w jej, gdy dokańcza prawie bezgłośnie:

– Albo wyjechać stąd na szesnaście miesięcy i podbijać świat.

Właśnie te słowa wypowiedziane przez nią zbolalym szeptem. Właśnie one miały dopiero rozpocząć moje najgorsze męczarnie. Właśnie one miały zwiastować *Żegnaj, Love*, które tym razem... które tym jednym razem miało nam to zrobić.

Miało przekreślić nas na dobre.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY



LOVE

Każda jedna sekunda, w trakcie której Ryder obserwuje mnie z dołu, przypomina najprawdziwszą torturę. Przypomina ją, bo mój ukochany wciąż poszukuje na mojej twarzy uparcie i wręcz desperacko jakiegokolwiek oznaki, że przed paroma minutami sobie z niego zażartowałam, a ja nie mogę mu się do tego przyznać, bo... wcale tego nie zrobiłam. Bo prawie godzinę temu przedstawiono mi propozycję, która może usłać moje życie różami.

Naprawdę mam możliwość podbić świat.

Mam możliwość zostać *kimś*, pokazać samej sobie, pokazać ojcu – który na pewno dowiedziałby się o moim sukcesie, choć nie mamy ze sobą kontaktu – że jestem coś warta. Mam możliwość spełnić kolejne naiwne marzenie, mam możliwość piąć się wyżej, błyszczeć, robić karierę.

Mam możliwość zrobić to wszystko... w zamian za rozłąkę z mężczyzną, który kuca teraz przede mną, kompletnie załamany. Ryder nie potrafi poradzić sobie z tym, co mu przekazałam, kiedy zsuwa dłonie z moich policzków, a potem opada kolanami na twardą podłogę i zwiesza bezradnie głowę, chowając twarz, żebym nie dojrzała na niej bólu.

Tak ogromnego bólu, który ja też doskonale czuję.

Bo nie chcę dokonywać tego wyboru.

Bo nie chcę zostawiać go na tyle miesięcy.

Bo nie chcę przekreślać swoim wyjazdem nas.

Łzy wciąż wytyczają drogę po moich policzkach. Nie mogłabym ich powstrzymać, gdy widzę Rydera w tak opłakanym stanie. Mężczyzna klęczy przede mną z żałością spuszczoną głową i wiedzą, że... że niewiele dzieli nas od tego, by się rozpaść. Jest sparaliżowany.

Jest śmiertelnie przerażony i tak okropnie pogubiony.

Od razu zsuwam się niezgrabnie z kanapy, żeby znaleźć się tuż obok niego. Żeby chwycić w drżącą dłoń jego i przycisnąć ją ciasno do swojego ledwo bijącego w piersi serca. Robię to i przeżykam własne łzy, które jeszcze nigdy nie miały tak gorzkiego posmaku.

– Nie zostawiaj mnie teraz bez żadnego słowa – wychlipuję beznadziejnie.

Ściskam powieki i na powrót je uchylam, kręcąc głową.

– Tak bardzo cię proszę, nie zostawiaj mnie bez ani jednego słowa... – powtarzam głosem niewiele głośniejszym od szeptu, a Ryder nie unosi na mnie wzroku nawet na sekundę.

Po prostu patrzy w panele, sprawiając wrażenie pokonanego tym, co usłyszał.

– Nie mam pojęcia, co miałbym ci powiedzieć – odpowiada równie cicho.

Jeszcze mocniej przyciskam jego dłoń do piersi i wyduszam błagalnie:

– Po prostu mnie przy sobie zatrzymaj.

– Nie mogę cię zatrzymać.

Mężczyzna podnosi się powoli z podłogi i wyswobadza dłoń z mojego uścisku, nawet jeśli do samego końca próbuję zatrzymać ją przy swoim sercu. Niewiele widzę przez napływające wciąż i wciąż do oczu łzy, ale za to dobrze słyszę, że rozbity Ryder zaczyna krążyć niespokojnie po oświetlonym salonie. Krąży po nim i jestem pewna, że nie wie, co mógłby ze sobą teraz zrobić.

Bo ja też nie wiem, co mogłabym zrobić teraz ze sobą.

Pociągam płaczliwie nosem, ledwo łapiąc oddech.

– Więc chcesz mnie wypuścić wolno?

Mężczyzna nie udziela mi odpowiedzi.

Również wstając oraz na chwiejnych nogach zbliżam się do niego, krążącego powoli oraz bez celu tam i z powrotem. Wtem Ryder wplata palce we włosy. Ciągnie za nie naprawdę mocno, aż w końcu opuszcza gwałtownie ręce. W czasie gdy to robi, spomiędzy jego ust wyrywa się udręczony wydech. *Dlaczego mnie nie zatrzymujesz? Dlaczego chcesz mnie wypuścić wolno? Dlaczego tego chcesz, skoro twierdziłeś, że kochasz mnie najmocniej?*

Zadzieram brodę i obserwuję go napuchniętymi od płaczu oczami.

– Więc chcesz, żebym wyślizgnęła ci się z rąk? – ciągnę rozbita.

Ryder przechyla głowę, by spojrzeć wprost na mnie, lecz nie mówi niczego.

– Więc chcesz ze mnie zrezygnować? – wyduszam kolejne pytanie.

Mężczyzna zaciska usta, z trudem powstrzymując grymas bólu.

– Przestań – wydycha zmarnowanym szeptem. – Boże, Love, przestań.

Do oczu napływa mi więcej łez. Popadam w jakiś dziwny amok, z którego w tej chwili jestem pewna, że nie jest w stanie wytrącić mnie absolutnie nic. *Dlaczego on mnie, do diabła, nie zatrzymuje? Dlaczego tego nie robi, skoro podobno paskudnie mocno mu na mnie zależy?*

– Nie chcesz mnie tutaj? – dociekam uparcie, a przemawia przeze mnie coraz większa niepewność. – Nie potrzebujesz mnie tutaj?

Widzę, że Ryder znajduje się już prawie na swojej granicy.

– Błagam cię, skończ. – Jego pomruk jest zboląły.

Przełykam i kontynuuję przez ściśnięte gardło:

– Dlaczego mnie stąd wypychasz?

Mężczyzna powoli traci nad sobą panowanie.

– Love, do cholery, mówię coś do ciebie – cedzi mniej przyjemnie.

Wytrącony z równowagi mierzy mnie spojrzeniem, które jest wyraźnie ostrzegawcze. Ale nie przywiązuję do niego wagi. Chcę odpowiedzi. Chcę odpowiedzi, dlaczego on nie podejmuje ani jednej próby, żeby przekonać mnie, bym została z nim w Aspen.

– Dlaczego to robisz?! – również wzmacniam ton, aż w końcu wybucham.

Po tym, jak zła kładę dłonie na jego piersi, popycham go z całą siłą do tyłu.

– Dlaczego zamiast okropnie nie chcieć, żebym zaraz stąd wyjechała i przekreśliła tym wyjazdem nas, ty stoisz beczynnie w tym pieprzonym salonie i tylko na mnie patrzysz?!

Mężczyzna natychmiast oplata palcami moje nadgarstki, przyciąga mnie do siebie silnym szarpnięciem oraz patrząc mi z czystą furią prosto w oczy, wydziera mi się w twarz:

– Bo nie jestem jak twój ojciec, by ciągnąć cię na pierdolone dno!

Dopiero teraz... Dopiero w tym momencie, kiedy obserwujemy się z tak maleńkiej odległości, zauważam, że Ryder ma cholernie zaszklone oczy. Zauważam, że jest na granicy wytrzymałości, w czasie gdy połuźnia uścisk palców wokół moich nadgarstków i dyszy ciężko oraz z wyraźnym cierpieniem w przestrzeń pomiędzy naszymi twarzami.

Przełykam. Łza kreśli ślad po jego mizernie wyglądającej twarzy.

– Nie jestem nim, Love... – powtarza żalonym szeptem, kręcąc głową.

A potem puszcza moje ręce, pozwalając opaść im w dół oraz przenosi zboląły wzrok gdzieś na ziemię, wkładając wiele wysiłku w to, żeby unormować przyspieszony oddech.

– Nie chcę spychać cię w dół. – Zaciska mocno powieki i ociężale je uchyla. – Nie chcę spychać cię w dół, odbierając ci tę szansę, tak jak on spychał cię w dół, mówiąc ci, że przenigdy jej nie otrzymasz. Jak miałbym ci to zrobić? – głos łamie mu się nieznacznie.

Bolesne klucie narasta w mojej piersi, gdy słyszę, co do mnie mówi.

– Jak miałbym cię zatrzymać, kiedy na szali jest twoje marzenie? To jedno spośród naiwnych, które zresztą powtarzałem ci raz za razem, że się spełniają, Love.

Robię krok w stronę tarasowego okna i opieram z niemocą czoło o zimną szybę, zamykając oczy. Zaczynam chlipać po cichu, dusząc się słonymi łzami. Zaczynam wyrzucać z siebie całe cierpienie, które i tak nie odstępuje mnie na krok. Nie chcę tkwić w tym koszmarze.

Nie chcę nawet wyobrazić sobie, że zostawiam to odludzie.

Że zostawiam w nim *jego*.

Ryder w tym czasie przystaje tuż za mną. Kładzie silne ręce na moich ramionach i głaska je

kciukami, chowając twarz w zagłębieniu mojej szyi. Czuję jego łyzy na skórze. Czuję, jak one niemalże ją wypalają. Z ust wyrывa mi się żalodne stęknienie, kiedy tylko wciąż mając przymknięte powieki i wciąż opierając czoło o szybę, wyciągam rękę do tyłu, by móc położyć dłoń na jego karku. Zaciskam na nim palce, płacząc coraz głośniejsze i głośniejsze.

Jest tak blisko. Nie zniosłabym przecież tego, gdyby znalazł się dalej.

Ale prawda jest taka, że później i tak musiałam spróbować to znieść.

Ryder nabiera smutno powietrza nosem, wtykając go mocniej w moją szyję, a ja bardziej przyciągam go ku sobie za kark, nie dbając o to, że może mu to sprawiać dyskomfort. On też nie zwraca na to uwagi, gdy zaciska duże dłonie na moich ramionach i napiera na mnie ciężkim ciałem tak mocno, że wpadam całą sobą na zimną, twardą szybę, przytłoczona jego posturą.

Nie chcę nam tego robić.

Naprawdę tego nie chcę.

Tkwimy przy sobie, oboje płacząc i cierpiąc w ciszy. Trwa to dłuższą chwilę, aż w końcu mężczyzna zbiera się w sobie i wydycha mi w szyję z wyraźnym oporem:

– Jak miałbym cię zatrzymać, kiedy wiem, że mogłabyś potem pożałować tego, że cię przy sobie uziemiłem? Jesteś taka młoda, skarbie... – Ryder zsuwa pomału dłonie na moją talię i owiewa niespokojnym oddechem moją skórę. – Jesteś młoda, gotowa, by piąć się wyżej. Nie chcę ci w tym przeszkadzać ani tym bardziej wywierać na ciebie wpływu, byś została.

Otwieram zapłakane oczy.

Czy jego głos był kiedykolwiek bardziej smutny?

– Chcę dla ciebie jak najlepiej. Chociażby miało to oznaczać, że wieczór w wieczór będę tęsknić za tobą tak mocno, że nie będę mógł podnieść się na nogi, gnijąc na tej podłodze – mówi załamany, a ja mam wrażenie, że gdyby nie jego dotyk, po prostu bym się rozleciała.

Patrzę w dal, na padający z nieba śnieg, a kolejna łyza Rydera spływa po mojej szyi. Z piersi jak na zawołanie wyrывa mi się zdławiony jęk.

– Chociażbym miał ciągle czuć się w tym domu obco, chociażbym miał ciągle włóczyć się po okolicy, nie mogąc w nim usiedzieć. Chociażbym miał ledwo wytrzymywać te szesnaście miesięcy, chcę, żebyś była najszczęśliwsza na świecie – dopowiada ledwie słyszalnie.

Z chwilą, kiedy przytyka czule usta do mojego barku, znowu dusi mnie szloch. Opuszczam bezwiednie rękę i kładę ją na szybie, zaciskając pięść. *Chcę odmówić. Chcę odmówić, nie przekonuj mnie, że istnieje inna furtka, że możemy to jakoś przeczekać.*

Nie chcę tego przeczekać.

Chcę być z tobą.

Z moim tobą.

Ryder przyciąga mnie do siebie najmocniej, jak jest w stanie. Nakrywa sobą moje drżące ciało, trzymając je przy twardej piersi. Jego chwyt wyraża zaborczość i potrzebę. Tak wielką, szczerą potrzebę, że nie umiem po raz kolejny nie zapłakać na głos w powierzchnię szyby.

Poluźniam pięść, którą na niej trzymam, nie mogąc zaczerpnąć tchu.

– Chcę dać ci możliwość podjęcia najbardziej trafnego wyboru – szepcze mężczyzna, przebiegając delikatnie brodą po długości mojego ramienia. – Jestem szczerzy. Jeśli wyjedziesz, będzie ze mną źle, ale nie załamie się. Będę dla ciebie silny, oboje będziemy tacy dla siebie.

Czuję, jak zbiera się do tego, żeby wydusić coś jeszcze.

– Jeśli tak postąpisz, będziemy... kochać się z daleka.

Mam wrażenie, że w chwili, w której to powiedział, pękło mi serce. Nie chcę sobie tego wyobrażać. Nie chcę wyobrażać sobie, że znajduję się na drugim końcu kraju i jedynym sposobem, w jaki mogę pokonać ból związany z brakiem Rydera, jest głupie połączenie przez telefon. Nie chcę wyobrażać sobie, że ilekroć potrzebuję skryć się w jego ramionach, muszę zastąpić sobie je hotelową pościelą. Nie chcę wyobrażać sobie, że nie spędzamy następnej zimy wspólnie. Że nie ubieramy razem choinki, że nie tańczymy pokracznie na tarasie w głupim śniegu.

Nie chcę sobie tego wyobrażać, a co dopiero trwać w takiej rzeczywistości.

Ona wykończy mnie i jego.

Ona nas przytłoczy.

Nie damy rady.

Odsuwam czoło od szyby. Chyba cudem odwracam się mozolnie do Rydera i patrzę na niego oczami pełnymi łez, które szczypią mnie coraz bardziej. Coś okropnego ściska mnie w mostku, gdy zaglądam w jego w równym stopniu smutne i przepełnione bólem tęczówki.

Nie przekonuj mnie, że mogę wyjechać, bo jakoś zaciśniemy zęby.

Nie chcę modlić się o to, by czas płynął szybciej.

Nie chcę załamywać się, bo jesteś tak daleko.

Ryder splata palce za moimi łęczkami, a ja zadzieram brodę.

– Związek na odległość nie może być łatwy – szepczę przez ściśnięte gardło.

Mężczyzna kiwa smętnie głową, przesuwając spojrzeniem po mojej twarzy. Sięga nim najpierw do moich ust, po których wciąż spływają łzy, a potem do oczu, które na pewno są paskudnie zaczerwienione i napuchnięte od nieprzemijającego płaczu.

– Wiem – potwierdza cicho. – Ale jeśli będzie trzeba, wejdę w to dla ciebie, bo nie zamierzam cię sobie odpuszczać, rozumiesz? To szesnaście miesięcy. One miną.

Mój ukochany uśmiecha się krzywo, jakby się do tego zmuszał.

– Miną, Love – powtarza prawie bezgłośnie.

A potem ściera przegubem ręki własne łzy i zaczerpuje wdech.

– To tylko szesnaście miesięcy. One miną, a ty znowu tu przyjedziesz. – Ponownie sili się na słaby uśmiech, który mi posyła, gdy patrzy na mnie spojrzeniem pełnym bólu. – Może zrobisz mi taki numer, jaki ja zrobiłem tobie, i wtargniesz do mojego domu? A może wejdiesz do niego tak, jakby nic się nie wydarzyło, a ty byłabyś jedynie na długim treningu?

Ryder przełyka, przebiega dłońmi po moich bokach, a potem zbliża się tak bardzo, że wpadam plecami na szybę za sobą. Oboje ciężko oddychamy, kiedy styka nasze czoła. Zaciska powieki i uchyla je, zaglądając mi z bliskiej odległości w oczy oraz kręcąc głową.

– To bez znaczenia...

Kładę dłonie na jego brzuchu skrytym pod czarną bluzą.

– Przyjmę cię z tak samo szerokimi ramionami – mówi szeptem, trzymając mnie ciasno. – Będę tu ciągle, będę tu wyczekiwał, aż końcem następnej zimy staniesz w progu domu, w którym wszystko się zaczęło. W którym... zaczęliśmy się *my* – dokańcza jakby pod nosem.

Mnę w palcach jego bluzę, próbując dosięgnąć ustami do jego rozchylonych warg.

– Nie mów tak – proszę podłamana. – Nie mów mi czegoś takiego.

– Chcę, żebyś wzięła pod uwagę obie opcje. Nawet jeśli wyjedziesz, spróbujemy to przetrwać. To nas nie przekreśli – zapewnia mnie, a następnie rozdziela nasze czoła i składa długi pocałunek na moim. – Przrzekam, że to nas za żadne skarby nie przekreśli.

Czuję chłód bijący od szyby, kiedy Ryder na mnie napiera.

– Ale wyrządzi nam za dużą krzywdę.

Mężczyzna ujmuje w swoją dłoń moją brodę i odsuwa się nieznacznie, by móc ponownie skrzyżować ze mną spojrzenie. Przez chwilę głaska kciukiem moją skórę, po prostu obserwując mnie z góry ze zmarnowanym wyrazem przystojnej twarzy.

– Będziemy silni. Będziemy dokładnie tacy, Love.

Chce mi się wyć, gdy Ryder potem zaczyna wyliczać:

– Kiedy tylko będę mógł, będę za tobą gonił po całych cholernych Stanach. Kiedy tylko będziesz zmęczona po treningach, będę pod telefonem. Kiedy tylko będziesz występowała, będę cię podziwiał, każdy jeden taniec, który zaprezentujesz – zapowiada, a ja wiem, że nie rzuca słów na wiatr. Wiem, że akurat on byłby w stanie zrobić to wszystko dla mnie.

Mój ukochany trzyma moją brodę i nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Szesnaście miesięcy nas nie rozbije. Wiem o tym.

– Więc gdybym wybrała grupę baletową...

– Nie miałbym ci tego za złe – stwierdza pewnie, omiatając spojrzeniem moją twarz. – Bo wiedziałbym, że nic się nie zmieni. Że za szesnaście miesięcy będziemy już tylko razem.

Nie mam bladego pojęcia. Nie mam pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Wcześniej sądziłam, że za dwa dni odmówię Ivory i Shannon, kobiecie, która wyhaczyła mnie spośród innych baletnic. Sądziłam, że nic

nie ruszy mnie z Aspen, nie ruszy mnie od Rydera.

A teraz... teraz, gdy on mówi mi, że powinnam wziąć pod uwagę obie możliwości, bo wie, że ze wszystkim się uporamy, nie wiem, jak mam rozstrzygnąć ten okropny dylemat.

Po krótkiej chwili ciszy, która zapada pomiędzy nami, przyznaję smutno:

– Mam tak duży bałagan w głowie, Ryder. On jest ogromny.

Mężczyzna przytakuje wyrozumiale, skupiony tylko na mnie.

– Masz dwa dni, by go uporządkować, skarbie.

Jego grdyka porusza się pod skórą, kiedy bije się z myślami, czy dodać coś jeszcze.

– Ale proszę cię, pozwól mi – dorzucą nareszcie, zbliżając intymnie usta do moich. – Pozwól, że w ciągu nich na wszelki wypadek będę czerpał z twojej obecności, ile mogę. Pozwól, że nie odsunę się od ciebie nawet na chwilę... – mówi przygnębiony.

A potem uderza ledwie wyczuwalnie wargami o moje.

Zaglądam mu niepewnie w oczy.

– Nie musisz o to prosić...

Wspieram się z trudem na palcach, by scałować z jego ust zrezygnowane westchnienie. Ryder opuszcza rękę, w której trzymał moją brodę i na powrót układa ją na mojej talii, pilnując, bym chociaż teraz, w tej chwili, mu nie uciekła. Teraz, gdy to on zabiera mi parę czułych, powolnych cmoknięć z warg. Po niedługim czasie zastygamy w bezruchu.

Stoimy wtuleni w siebie, nie mówiąc już niczego więcej.

Wtem jednak zjawia się przy nas Gargamel. Zaczynam czuć się jeszcze gorzej, gdy nawiedza mnie myśl, że za dwa dni miałabym zostawić nie tylko Rydera, ale też zwierzaki, a także ten niczym niewyróżniający się bliźniak w mroźnym, otoczonym górami Aspen.

Ryder odsuwa się nieznacznie ode mnie i patrzy na psiaka.

– Chce wyjść.

Również na niego spoglądam i kiwam głową.

– Pójdę z nim. Muszę... muszę się przewietrzyć.

Robię tak, jak zapowiadam. Niepewnym krokiem przechodzę do przedpokoju i zgarniam stamtąd kurtkę, czapkę i buty. Później wracam do salonu, ubieram się oraz wychodzę na taras w towarzystwie merdającego wesoło ogonem Gargamela.

Drzę na uderzenie pierwszego podmuchu wiatru. Mimo to nie wycofuję się, a schodzę powoli po kilku drewnianych stopniach na ogród zasypyany w całości białym puchem. Z bólem serca rozglądam się wokoło. Patrzą na widoki, które tak uwielbiam. Na las rozpościerający się pod działką oraz szczyty gór, które roztaczają się za nim. Smutnieję jeszcze bardziej.

Aspen. Moje śnieżne, zimne Aspen.

Zaciągam się mroźnym powietrzem i nie myśląc nad tym za długo, przechodzę na sam środek ogrodu. Tam opadam na ogromną zaspę śniegu i wbijam wzrok w czarne niebo oraz proszące z niego miliony maleńkich płatków. Wystawiam na nie twarz i pociągam nosem.

Jak mam postąpić?

Jak mam postąpić pojutrze?

Nie zwracam uwagi na to, że nawet w kurtce jest mi strasznie zimno. Leżę w bezruchu na ogromnej działce i gapię się w niebo, dopóki nie czuję, że ktoś kładzie się obok. Wtedy przekręcam głowę i skupiam całą uwagę na twarzy ciepło ubranego, wciąż smutnego Rydera.

Mężczyzna spogląda na mnie z czymś na kształt pogodzenia. Jego chmurne oczy śledzą uważnie moje, kiedy trwamy zatopieni w mokrym śniegu przez kilka minut bez żadnych słów. Oboje wystawieni na nieprzemijający mróz panującej nocy. Oboje w równym stopniu przygnębieni tym, co już się stało, i tym, co dopiero może się stać za naprawdę niedługo.

W pewnym momencie przybliżyłam się do Rydera i kładę skroń na jego piersi, rękę zaś przekładam przez jego brzuch. Mój ukochany nakrywa ją swoją, lecz robi to na ledwie moment. Potem sięga nią, nie wiem gdzie, wydaje mi się, że do jednej z kieszeni kurtki.

– Love? – zaczyna nagle zachrypniętym głosem.

Mam wrażenie, że otacza nas już tylko przygnębienie.

– Tak?

Ryder wypuszcza ledwie słyszalne, bezradne westchnienie.

– Chcę, żebyś upchała go na dno walizki i miała ze sobą w każdym stanie, który odwiedzisz w przeciągu tych szesnastu miesięcy – mówiąc to, podaje mi coś, czego nie jestem w stanie rozpoznać, ponieważ śnieg nieprzerwanie pada i pada, ograniczając mi pole widzenia.

Dopiero gdy przecieram dłonią oczy, orientuję się, że mam przed nimi... mam przed nimi śliczny srebrny pierścionek. Ryder wystawia go w moją stronę, a obłok ciepłego powietrza wydostaje się spomiędzy jego nieznacznie rozchylonych ust, kiedy ciągnie dalej:

– A gdy one będą upływać... jestem pewny, że uda mi się to zrobić.

Patrzę na srebrne świecidełko, a później zaglądam w szare oczy.

– Uda mi się jakoś wymarzyć sobie swoje wymarzone „tak”.

Ryder mówi to wszystko cichym głosem, a do mnie coś dociera.

On tej zimy... on tej zimy zamierzał mi się oświadczyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY



LOVE

Zaczepiam kolejną bombkę na gałęzi ogromnej choinki i robię pół kroku w tył, by z odległości ocenić efekty swojej pracy. Drzewo, mimo że nie jest jeszcze udekorowane w całości, prezentuje się naprawdę ślicznie, przystrojone białymi ozdobami i srebrnymi łańcuchami. Nie umiem jednak cieszyć się z jego widoku, mając świadomość, co być może nastąpi za dwa dni.

Nie sięgam po następną bańkę. Zamiast tego robię dwa niespieszne kroki do dużego okna tarasowego i wyglądam za szybę, żeby dostrzec w oddali rąbiącego drewno do kominka Rydera. Uśmiecham się słabo, obserwując, jak z rozmachem rozbija duże kawałki.

Sama już nie mam pojęcia, co odpowiedzieć Ivory i Shannon za kilkadziesiąt godzin. Wychodząc ze szkoły baletowej na mróz panujący w Aspen, sądziłam, że pojutrze zjawię się tam ponownie i zwrócę się do nich ze zwykłą odmową. Przecież nie wyobrażałam sobie końca związku z Ryderem. Tyle że teraz okazuje się, że nawet gdybym opuściła Aspen, on wciąż by trwał – jednak na ciągle zmienną odległość, a ja nie jestem pewna, czy dam radę to znieść.

Ryder chce w to wejść. Jest gotowy wejść w to dla mnie i przez szesnaście miesięcy... trwać ze mną w długiej, beznadziejnej rozłące. Mało tego, niczego mi nie odradza. Do niczego nie przymusza, nawet w najmniejszym stopniu do niczego nie nakłania. Po prostu zapewnia, że będziemy razem, bez względu na to, co się wydarzy. Nie wiem, co robić.

Chciałabym coś osiągnąć. Ale nie wystawiając nas na taką próbę.

Na tak okropne męczarnie.

Patrząc na Rydera i widząc gołym okiem, jak strasznie jest mu źle, nawet jeśli usilnie stara się ukryć przygnębienie pod warstwą spokoju. Aż mam wrażenie, że moje serce zastyga, ilekroć spoglądam w jego stronę i zauważam, jak co jakiś czas przeciera szklące się oczy.

Ścieram łzę, która – nie wiedzieć kiedy – mnie samej wypłynęła spod powieki i wracam do dekorowania drzewa. Nawet nie chcę myśleć, że być może dekoruję je tylko dla niego. Nawet nie chcę myśleć, że być może te oraz następne święta spędzimy daleko od siebie – ja, nie wiem nawet gdzie, a on w naszym bliźniaku, ze zwierzakami, pośród ciszy i ciepła kominka.

Co ja mam im pojutrze, do cholery, odpowiedzieć?

– Wygląda pięknie.

Słyszając jakiś czas później wypowiedziany cichym głosem komentarz Rydera, odwracam głowę i krzyżuję z nim spojrzenie akurat, gdy odciąga nieco materiał bluzy od zapewne spoconej klatki piersiowej. Jego oddech jest nienaturalnie ciężki i szybki, gdy mężczyzna zbliża się do mnie.

Uśmiecham się słabo, zerkając na choinkę. Tak, wygląda pięknie.

– Nie mogę tylko znaleźć pasujących światełek... – wzdycham, przetrząsając kolejne pudło, w którym najwyraźniej również na próżno szukać jasnych łańcuchów świetlnych.

– W tylu kartonach nie ma żadnych, które by ci pasowały?

– Nie bardzo.

Mężczyzna przez chwilę nie odpowiada mi na to nic.

– W takim razie ubieraj się. Może ten sklep, do którego zabrałaś mnie kiedyś, będzie jeszcze otwarty – mówi w końcu, a ja natychmiast prostuję się i marszczę przy tym brwi.

– Chcesz tam ze mną iść?

Ryder wzrusza krótko ramionami.

– No... tak. Co cię tak dziwi?

Unoszę ledwie zauważalnie kącik ust.

– Że się na to piszesz. Przecież zbankrutujesz.

Mężczyzna przewraca oczami z lekkim rozbawieniem, a potem robi kilka kroków w moją stronę. Dopiero kiedy zatrzymuje się tuż przede mną, mogę uważniej przyjrzeć się jego twarzy, na którą pada światło dogasającego w kominku znajdującego się obok nas ognia.

Brunet schyla głowę, by móc znaleźć się jeszcze bliżej mnie, i opiera dłonie na moich biodrach, zaczynając wędrować po nich subtelnie palcami.

– Nie możesz oskubać mnie co do grosza – stwierdza.

Moja brew szybuje wyzywająco ku górze.

– Niby dlaczego?

Ryder przygląda mi się bacznie, a jego oddech owiewa moje usta.

– Na każdy twój występ kupowałem ci kwiaty – zaczyna dyskretnie cicho, po czym ciągnie mnie bardziej ku sobie tak, że mój biust styka się z jego twardym torsem, a on może wyszeptać mi resztę zdania wprost do ucha: – Na każdy następny też będę je kupował, a jeśli... jeśli za jakiś czas może być ich naprawdę dużo, muszę trochę przyoszczędzić.

Przez ułamek sekundy mam wrażenie, że słyszę w jego na pozór rozbawionym głosie lekkie drżenie. Myślę wtedy, że to nieuniknione. Możemy niby trzymać się dzielnie i próbować rozmawiać na ten temat jak na każdy inny, ale w środku i tak oboje strasznie się boimy.

Rozmawiaj z nim o tym. On nie tchórzy, więc ty też tego nie rób.

Odchylam głowę, by zajrzeć mu prosto w szare, chmurne oczy.

– Brzmisz, jak mój przyszły wielbiciel – odpowiadam zaczepnie.

Cień smutnego uśmiechu przemyka przez jego twarz.

– Uwierzysz, że jestem nim od dawna?

Opieram przedramiona na jego szerokich barkach i splatam palce za jego karkiem. Półmrok panujący w salonie otacza nas z każdej strony, kiedy patrzymy na siebie przez kilka sekund, aż w końcu spuszczam wzrok oraz od razu go unoszę, kręcąc głową.

– Nie ma rzeczy, w którą bym ci nie uwierzyła.

Mężczyzna przytakuje powoli, a następnie stwierdza:

– Nie pozbędę się choinki, którą ubrałaś, przez najbliższych szesnaście miesięcy.

Nawet jeśli czuję ból na myśl o tym, że Ryder rzeczywiście tego nie robi, nie zwieszam głowy ani nie uciekam spojrzeniem od jego oczu. Zamiast tego patrzę na niego swoimi, trochę wilgotnymi, i staram się, by delikatny uśmiech nie spełził mi z warg.

– Dobrze... wierzę w to.

Mężczyzna przebiega palcami po moich bokach.

– Będę za każdym jednym razem opowiadał ci, co najbardziej podobało mi się w tym, co wyprawiałaś na scenie... – ciągnie z lekkim oporem, a ja szczerzę się przez łzy, bo tak dobrze wiem, że nie mogłabym wymarzyć sobie lepszego mężczyzny niż mój ukochany Ryder.

– W to również wierzę, Panie Specjalisto.

– Będę codziennie pisał na szybie swojego samochodu, że cię kocham, nawet jeśli nie będziesz mogła tego zobaczyć na własne oczy – kontynuuje, przez co moje serce niemalże dusi się żalem.

Łzy mimowolnie wytyczają swoje trasy po mojej twarzy, gdy mówi mi to wszystko.

Bo jestem przekonana, że jeśli wyjadę, on będzie wcielał to w życie. Nie pozbędzie się mojej choinki przez całych szesnaście miesięcy. Będzie mówił mi, co najbardziej urzekło go w moim występie, i będzie... codziennie pisał na szybie swojego auta, jak bardzo mnie kocha. Wierzę mu. Wierzę mu w każdą z tych rzeczy, które brzmią tak okrutnie czule.

Zsuwam drżące dłonie na jego ramiona i kiwam głową. Kiwam głową, patrząc na niego coraz bardziej szklącymi się oczami oraz z przyklejonym do twarzy wdzięcznym, słabym uśmiechem.

– A ja będę na nie odpowiadać, wysyłając ci swoje głupie miny na służbowego maila – wydecham to z trudem, szczerząc się i niemalże dławiąc przełykanymi łzami.

Kocham cię. Tak strasznie cię kocham.

– W porządku – słyszę jego odpowiedź.

Przekrzywiam pytająco głowę.

– Zazwyczaj mówiłeś, że mam nie gnębić cię w ten sposób...

– Cofam to, co mówiłem, bo masz odzywać się, jakkolwiek ci się podoba – mówiąc to, Ryder wzmacnia chwyt na mojej talii i niemalże boleśnie zderza nasze ciała. Zadzieram brodę i obserwuję go z dołu, gdy opiera policzek o moje czoło i przytula mnie strasznie mocno.

Jestem porządnie rąbnięta, skoro płacę mu w tors, śmiejąc się jak głupia.

– Nawet nagrywając ci się na pocztę śpiewajacooo? – wypalam, przeciągając specjalnie ostatnie słowo, na co jestem pewna, że Ryder ściąga w tym momencie te swoje idealne brwi.

– Okej, są jednak jakieś granice.

Uderzam go lekko pięścią w pierś.

– Drań – parskam przez łyzy. – A teraz idziemy.

Po tych słowach odsuwam się od mężczyzny i ruszam do pobliskiego przedpokoju. Tam narzucam na siebie jedną z męskich kurtek, która wydaje mi się teraz, gdy na zewnątrz jest ekstremalnie zimno, lepszym wyborem niż mój własny płaszcz. Zakładam jeszcze buty, a czapkę z wielkim pomponem, cóż. Zakłada mi już gotowy do wyjścia Ryder.

Mężczyzna omiata spojrzeniem mój strój, aż dociera nim do butów.

– Chcesz się zabić? – pyta z nieskrywanym pobłażaniem.

Spuszczam wzrok na swoje niezawiązane sznurowadła. Prędko jednak wracam nim do twarzy Rydera, który patrzy na mnie bez przerwy tak samo spokojnie, i odpieram głupio:

– Po tylu próbach i występie chyba nie mam siły nawet tego poprawiać...

– Po tylu miesiącach dziwię się, że ja mam nadal siłę do ciebie.

Mężczyzna nie zastanawia się zbyt długo, zanim wypuszcza ze świstem powietrze, a później klęka przede mną, by uporać się z moim małym problemem. Uśmiecham się szeroko i wplatam dłoń w jego włosy.

– Aha? Masz coś jeszcze do dodania? – rzucam wyzywająco.

Ryder kończy wiązać moje buty i podrywa głowę, krzyżując ze mną spojrzenie.

– Mam ochotę patrzeć na ciebie z tej perspektywy częściej – mówi niskim głosem, po czym znowu zaczepta dłoń na moich biodrach, skrytymi pod warstwami niezapiętej kurtki, i zbliża nos do mojego brzucha, by najpierw podsunąć nim do góry materiał bluzy, a później przytknąć usta do nagiej skóry. Z piersi mimowolnie wrywa mi się cichy śmiech, gdy czuję, jak składa na nim kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt pełnych czułości muśnięć.

– Zaraz dotrzesz do swoich bazgrołów – żartuję roześmiana, chociaż oboje wiemy, że nie mógłby osiągnąć buziakami aż do mojego dekoltu, na którym wcześniej napisał mi, że wyglądałam najpiękniej podczas występu, który odbył się kilka godzin temu.

Ryder wzmacnia uścisk dłoni na moim ciele.

– Podobają ci się? – pyta z iskrą w oku.

Odpowiadam mu skinieniem.

– Bardzo.

– Szkoda, że lada moment je zmyję – zapowiada z perfidnym uśmiechem i znowu mknie całusami po moim brzuchu, na co pozwalam mu bez mrugnienia okiem, nadal zatapiając palce w jego ciemnej, rozwianej wieczornym wiatrem czuprynie.

Zdezorientowana przyglądam mu się z góry.

– Słucham?

Przesiąkam napięciem, kiedy mężczyzna zsuwa dłoń na mój tyłek, by przebiec nimi zaborczo po tylnej części moich ud. Jego chwyt jest stanowczy oraz zdecydowany, a spojrzenie, które posyła mi z dołu, gdy to robi, cholernie magnetyczne.

– Potrzebuję tej nocy sięgać ustami tam, gdzie ci je zostawiłem, praktycznie ciągle. Obawiam się, że zwykle ślady po długopisie mogą tego nie przetrwać... – wyjaśnia bardzo prosto, a mi zaczyna brakować śliny w ustach, gdy uświadamiam sobie, jak bardzo ja też tego potrzebuję.

Potrzebuję, by przywłaszczył mnie sobie, zanim podejmę jakąkolwiek decyzję, zanim pójdę z nią do szkoły baletowej. Z krótkiego amoku wrywa mnie nagle prąd, który przebiega wzdłuż mojego kręgosłupa, kiedy Ryder ponownie całuje mój brzuch.

– Cholera, Love. – Wypuszcza ciężki oddech, odnajdując w półmroku spojrzenie moich oczu. – Masz ciało, na którego punkcie nie da się nie dostać fioła.

Jak na zawołanie odczuwam skurcz w podbrzuszu.

– Na punkcie całej ciebie nie da się go nie dostać.

Odwracam głowę i przez chwilę w zamyśleniu patrzę na ścianę.

– Więc myślisz, że jak wejść do sklepu z ozdobami tuż przed zamknięciem, to pan, który go prowadzi, zostanie dłużej ze względu na mój urok? – rzucam nareszcie, na co Ryder mruży oczy z jawnym niezadowolaniem i bezzwłocznie podnosi się do góry, mówiąc:

– Nie, ponieważ dotrzemy na czas.

Brunet w pośpiechu zapina kurtkę, którą mam na sobie, oraz ciągnie mnie do wyjścia z domu. Nie mogę wtedy powstrzymać uśmiechu, a już zwłaszcza kiedy wychodzimy na zewnątrz. Zimowa aura jest wręcz doskonale wyczuwalna przez zalewający całe miasto od paru dni śnieg.

Czekam, aż Ryder zamknie drzwi, lecz zanim zdąży je zatrzasnąć, oboje dostrzegamy smutno patrzącego na nas w ciemnościach przedpokoju Gargamela. Od razu wracam do domu, zabieram jego smycz i podpinam do niej obrozę psiaka. Jemu też przyda się krótki spacer.

Po chwili we trójkę ruszamy w stronę pustego o tej godzinie chodnika. Jest porządnie zaśnieżony i obłany niewyraźnym światłem ulicznych latarni, w którym wyróżniają się niewielkie płatki puchu. Jest ich jednak tak dużo, że ledwo widzę cokolwiek na oczy.

Ryder sięga po moją dłoń, którą bez wahania splatam z jego, gdy wciąż omiatam wzrokiem najbliższą okolicę. Po chwili zbliżam się bardziej do mężczyzny, czując dające się we znaki nocne, zimowe powietrze, i zjeżdżam spojrzeniem na dreptającego przed nami po zaspach Gargamela. Najpewniej Ryder, jak dotrzemy do celu, zostanie z nim przed sklepem.

Od razu spoglądam na skupionego na ekranie swojego telefonu mężczyznę.

– Długo sprawdzasz trasę. Niepotrzebnie, bo pamiętam ją doskonale.

Po moich słowach następuje chwilowa cisza.

– Nie sprawdzam trasy.

– Więc co takiego oglądasz na tym telefonie? – dociekam, obserwując Rydera zmrużonymi oczami. Jest już późno, idziemy zaśnieżonym chodnikiem z zadowolonym Gargamelem, nie uwierzę, że akurat teraz ten facet załatwia coś związanego z pracą.

Na szczęście mężczyzna nie próbuje się nią wymigać, kiedy rzuca:

– Nie bądź taka ciekawska.

– Coś knujesz.

Ryder nasuwa mi bardziej czapkę na czoło.

– Może coś knuję – mówi i chowa telefon do kieszeni.

Wydymam z niezadowolaniem wargę i skupiam wzrok na drodze.

– Ugh, mógłbyś chociaż dać mi małą wskazówkę...

Brunet ściska moją dłoń, idąc powolnym krokiem przed siebie.

– Chcesz wskazówkę – zaczyna z westchnieniem, po czym milknie na moment, zapewne zastanawiając się wtedy, ile informacji chce mi zdradzić. – Spodobało mi się, jak przystroiłaś choinkę, więc... chyba chciałbym zabrać cię za to w kolejne piękne miejsce.

Robi mi się nieco cieplej, gdy z jego ust wypadają ostatnie dwa słowa.

– Ale jeszcze nie skończyłam jej przystrajać – zauważam słusznie.

– Więc poczekam, aż skończysz. Jestem całkiem cierpliwy, Love.

Myślę, że oboje wyczuwamy w tych słowach drugie dno, jednak żadne z nas nie pokazuje tego po sobie, gdy kroczymy przed siebie, z każdą minutą zbliżając się do celu naszej krótkiej podróży. Mam nadzieję, że zdążymy odwiedzić sklep i kupić coś rzutem na taśmę.

Spoglądam na obwąchującego chodnik Gargamela i zastanawiam się na głos:

– Jak skończę, będzie już noc. Gdzie niby mógłbyś zaprowadzić mnie nocą?

Mimo że tego nie widzę, czuję, że leniwy uśmiech wykwita na twarzy Rydera.

– Lepiej trzymaj mocno smycz, zamiast wysilać szare komórki – poleca mi.

– Bo i tak nie zgadnę, gdzie zamierzasz ze mną pójść?

Zerkam na mężczyznę z uniesioną brwią, a on kiwa głową.

– Bo i tak nie zgadniesz, gdzie zamierzam z tobą pójść.

– Świetnie... Na otarcie łez przynajmniej się obkupię – mówiąc to, przystaję przed sklepem

z ozdobami, do którego zmierzaliśmy. Jest otwarty, ale jeszcze tylko przez jakieś kilka minut. Czym prędzej przekazuję więc szarą smycz Ryderowi, przyjmując od niego portfel.

– Nie każ nam sterczeć tu długo – rzuca, drapiąc psiaka za uchem.

– Postaram się.

Posyłam mężczyźnie uśmiech, a potem kucam przy Gargamelu i całuję go w nos.

– Nie zmarznij za bardzo – zwracam się do niego troskliwym tonem, a potem wstaję pospiesznie i ruszam w kierunku wejścia do sklepu.

Wtem jednak przywołuje mnie męskie chrząknięcie.

– Porter.

Ryder wypowiada moje nazwisko w bardzo wymowny sposób, a ja przewracam wesoło oczami, odwracam się na pięcie, w dwóch krokach zbliżam się do mężczyzny i całuję go prosto w usta, by na końcu ować je ciepłym oddechem oraz wyszeptać w nie ciche oraz czułe:

– Nie zmarznij za bardzo, mężczyzno mojego życia.

Po powrocie do bliźniaka ustalamy z Ryderem jasny podział obowiązków – ja zajmuję się ozdobieniem całego bliźniaka, a on przyrządzeniem kolacji, po której będziemy mogli nareszcie udać się tam, gdzie – według jego planu – spędzimy dzisiejszą noc. Akurat kończę przywieszać lampki na krawędzi dachu domu, szcękając przy tym zębami, gdy słyszę nawoływanie Rydera:

– Porter!

Zeskakuję z krzesła i opatulam ramiona zmarzniętymi dłońmi, ostatni raz patrząc na jasny łańcuch. Świeci tak, jak powinien, dlatego błyskawicznie przemykam do domu, uśmiechając się od razu, gdy tylko otula mnie ciepło rozchodzące się po pokoju za sprawą ognia w kominku. Zamykam drzwi na taras i głaszczę Klakiera, który znalazł się pod moimi nogami.

Po chwili przemykam do kuchni, skąd zgarniam swój talerz z kolacją.

– Jemy i jedziemy – zapowiadam, opierając się o krawędź kuchennego blatu oraz nawijając na widelec makaron. Może i jak zwykle nie zjem całej porcji, ale jej większa część stanowi dla mnie spory sukces. Dla mojej nowej pani psycholog zresztą również. Ostatnio stwierdziła, że moja chęć, by uporać się z problemem, jest naprawdę godna podziwu.

Poczułam się z jej komentarzem naprawdę dobrze.

Ryder posyła mi delikatny uśmiech.

– Aż tak nie możesz się doczekać? – pyta, sięgając po swój talerz.

– Jeszcze pytasz... Nawet jeśli dosłownie padam na twarz.

Z chwilą, kiedy to mówię, spomiędzy ust wyrывa mi się ziewnięcie. Mężczyzna kręci na ten widok głową z rozbawieniem, a potem każde z nas skupia się na kolacji. Mimo że na pozór wszystko wydaje się takie jak zawsze, myślę, że oboje w głębi duszy wciąż czujemy się odrobinę smutni przez uciekające nam nadal i nadal godziny.

Wzdycham, przeżuwając kolejny kęs dania.

Wciąż mam w głowie tak ogromny bałagan.

Po kolacji wracam do zaciemnionego salonu oraz wielgachnej, sięgającej sufitu choinki, by ozdobić ją kupionymi przed niemalże godziną światełkami. Zawieszam na gałęziach cztery łańcuchy świetlne i wszystko wydaje mi się idealnie ze sobą zgrywać, gdy patrzę na drzewo z pewnej odległości. Nagle czuję, jak Ryder przystaje tuż za mną oraz przytula mnie od tyłu.

Uwięziona pomiędzy jego szerokimi ramionami, wypuszczam cichy pomruk.

– Skończyłam – stwierdzam i podrywam głowę, by móc spojrzeć na mężczyznę, który jest wpatrzony w moje dzieło. – Co teraz?

Ryder ucieka spojrzeniem do moich oczu.

– Teraz spakuj kilka najpotrzebniejszych rzeczy i wróć tu jak najszybciej.

Ściągam nieznacznie brwi, słysząc, że mam coś ze sobą zabrać.

– No dobrze. Chociaż boję się, co za miejsce wpadło ci do głowy.

Po tych słowach niechętnie wyswobadzam się z objęć swojego ukochanego. Całuję go po raz ostatni w kącik ust, zanim przemykam przez korytarz, a potem podwórko do siebie, żeby posłusznie spakować do

niedużej torby kilka najpotrzebniejszych rzeczy. W zasadzie nie wiem, co miałyby okazać się według Rydera potrzebne, ale biorę też trochę ciuchów.

Nie mam pojęcia, ile przesiaduję w swojej części bliźniaka. Chyba długo. Wychodząc z niej, zamykam drzwi kluczem i chowam go do kieszeni bluzy. Później wystawiam na krótki moment twarz na padający nieprzerwanie z nieba śnieg oraz zaciągam się zimnym powietrzem.

W przedpokoju Rydera, do którego wkraczam po kilkunastu sekundach, jest cicho oraz ciemno, co podpowiada mi, że i on zaczął się już pakować. Wchodzę w głąb mieszkania, lecz wtem przystaję w miejscu, słysząc, jak coś z hukiem upada na podłogę.

Zaalarmowana wychylam głowę zza drzwi przedpokoju i oddycham z ulgą, kiedy dociera do mnie, że to tylko Klakier wspinał się po choince i coś z niej spadło. Już chcę zrobić krok w stronę korytarza, a potem salonu, gdy nagle słyszę cichy oraz smutny głos Rydera:

– Co, sierściuchu, zrzuciłeś ją dla mnie?

Serce w mojej piersi zdaje się bić odrobinę wolniej. Wciąż patrzę z ukrycia na to, co dzieje się w pomieszczeniu, i mam silne wrażenie, że grunt osuwa mi się spod stóp, bo Ryder... bo Ryder podnosi z podłogi gwiazdę. Dużą, srebrną gwiazdę, która wisiała na czubku drzewa.

Przekłada ją z ręki do ręki, jakby coś sobie przypominał.

A ja jestem pewna, że przypominam sobie to samo.

– No jasne, że tak – wzdycha szeptem mężczyzna.

Potem przenosi wzrok na rudego Klakiera.

– W takim razie... niech będzie szczęśliwa.

Ściskam powieki, odczuwając ból, gdy dokańcza:

– Nawet jeśli ma taka być z daleka ode mnie.

Naiwne marzenie. To było jego naiwne marzenie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY



LOVE

Znajdujemy się gdzieś w górach, w luksusowym hotelu, a za jego ogromnymi przeszklonymi ścianami jest bardzo ciemno oraz śnieżnie. Ubrany w czarny sweter Ryder chyba nadal opiera się przedramieniem o kontuar recepcji i czeka, aż otrzyma kartę do zarezerwowanego pokoju. Mam wrażenie, że nie ucieka spojrzeniem ode mnie, kiedy stoję przy oknie i patrzę na leżące u naszych stóp Aspen. Gdzieś tam jest nasz bliźniak, a w nim Kayden opiekujący się zwierzakami.

Woleliśmy nie zostawiać ich samych, dlatego zapytałam, czy Kay nie mógłby wpaść do nas na noc. Nie miał z tym problemu. Zwłaszcza że... pokrótce powiedziałam mu, z jakiego powodu chciałabym spędzić z Ryderem kilka godzin na mieście. W końcu jest już pierwsza w nocy.

Jutro muszę pójść do szkoły baletowej z podjętą decyzją.

Przechodzą mnie ciarki, gdy tylko przed oczami staje mi widok najśłynniejszych scen w każdym stanie oraz mnie na nich, wśród ludzi, których nazwiska są świetnie rozpoznawalne. Przechodzą mnie one, gdy tylko myślę o tym, jak ląduję na językach dziennikarzy oraz jak publiczność chwali mój taniec, będąc pod wrażeniem mojego przygotowania do występu.

Tak strasznie chciałabym spełnić się jako baletnica.

Może... może znieśliemy jakoś te szesnaście miesięcy?

Wypuszczam zmęczone westchnienie oraz odwracam głowę. Ryder akurat zmierza w moim kierunku, poprawiając torby na swoich ramionach. Kiedy tylko zatrzymuje się przede mną, posyła mi delikatny uśmiech i układa spórą dłoń w okolicach mojego krzyża.

– Chodźmy – mówi, po czym zaczyna prowadzić mnie do windy.

Rozglądam się po bogato urządzonej lobby. Ściany w nim są jasne, ale przytulne, bo zdobią je również drewniane fragmenty, które dodają przestrzeni ciepła. Zresztą dzieje się tak również za sprawą świątecznych ozdób – z początkiem grudnia na próżno szukać w Aspen miejsca bez nich.

Obserwuję kilka wysokich, przyozdobionych choinek z zapartym tchem, dopóki nie wkraczamy powolnym krokiem do jednej z wind. Ryder wciska któryś z przycisków na panelu i opiera się plecami o ścianę małego pomieszczenia, a ja opieram się o tę naprzeciwko niego.

Mężczyzna obserwuje mnie w skupieniu, a następnie stwierdza:

– Jesteśmy już coraz bliżej celu.

Unoszę brew. Wciąż w sumie nie wiem, co stanowi ten cel.

– Apartamentu z obłądnym widokiem na Aspen? – dopytuję.

– Nie do końca, ale jesteś blisko.

Co ty wykombinowałaś?

Ruszamy nagle do góry. Nie spuszcza wzroku z twarzy Rydera, tak samo jak on nie spuszcza swojego ze mnie. Stoimy po przeciwległych stronach, oboje milcząc, i – wydaje mi się – doskonale czując, jak nawet tutaj, w niedużej windzie, dosięga nas przeraźliwy smutek.

– Musisz mnie nakierować – odpowiadam mu cicho. – Chcę być jeszcze bliżej.

Chyba on też wyczuwa w moich słowach coś więcej.

– Podejdz do mnie, Love.

Ułamek sekundy. Tyle zajmuje mi przetrwanie jego polecenia, a potem zrobienie długiego kroku do przodu i schowanie się w jego objęciach. Robi mi się odrobinę lepiej, kiedy panujący w windzie chłód zostaje nagle zastąpiony przez bijące od Rydera ciepło. Uwalniam tchnienie, w czasie gdy mężczyzna układa dłoń z tyłu mojej głowy i głaska ją palcami.

Moja klatka piersiowa przesiąka uporczywym żalem.

Miałabym jeździć po tak wielu stanach bez niego?

Miałabym później w przerwie między występami samotnie przychodzić do właśnie takich hoteli i czuć się w nich okropnie źle? Miałabym nie mieć możliwości, którą mam teraz, i nawet w podróży głupią windą do swojego pokoju nie móc się w niego wtulić?

Wciąż tkwię w bezruchu, nawet gdy coś sobie uświadamiam.

– Ta winda zaraz stanie w miejscu – zauważam szeptem.

Ryder trzyma mnie ciasno przy swoim ciele.

– Pewnie tak.

– A potem ktoś nas w niej zobaczy i pomyśli, że wracamy z pogrzebu – żartuję smutno.

Podnoszę głowę. Mężczyzna przesuwa dłoń do góry, by przebiec knykciami po mojej skroni i odgarnąć z niej kilka sklejonych śniegiem kosmyków.

– Chciałbym, żeby zamiast niej w miejscu stanął czas, wiesz? – pyta pełnym utrapienia tonem i nadal patrzy na mnie przygnębionym spojrzeniem, które sprawia, że znowu zaczynam z trudem widzieć na oczy. – Chociaż... gdy myślę o czekającym nas dniu, chyba nie mogę się go doczekać.

– Dlaczego?

Ryder uśmiecha się słabo.

– Ponieważ mam dla nas plany.

Odczuwam ogromny opór przed zapytaniem, co zakładają wspomniane przez niego plany. Przeraża mnie to, że po raz kolejny wymyśli coś, co sprawi, że jakaś część mnie skruszeje. Zerkam na panel windy. Za krótki moment dotrzemy na najwyższe piętro hotelu.

Ponownie krzyżuję spojrzenie z Ryderem, a on kontynuuje pod nosem:

– Zamierzam zabrać cię gdzieś i poprosić, żebyś wystąpiła tylko przede mną, skoro każdym twoim następnym występem będę musiał dzielić się z setkami tysięcy osób.

– Gdzie? – dociekam przyciszonym tonem.

– Do tej samej sali, na której występowałaś parę godzin temu.

Zbita z tropu nadal zaglądam w te jego cudownie szare oczy.

– Wynająłem ją – wyjaśnia Ryder, jak gdyby nigdy nic.

W pierwszej chwili nie potrafię mu odpowiedzieć. Jedyne stoję jak kolek i patrzę... patrzę na niego z kielkującym w każdym skrawku ciała wzruszeniem. Musi istnieć jakaś granica. Musi istnieć coś, czego nie mógłby zrobić, żeby poprawić mój paskudny nastrój.

Kręcę powoli głową, dając mu niemy sygnał, że zdecydowanie przesadził.

– Dlaczego tracisz pieniądze na to, na salę, na...

Mężczyzna nie pozwala mi dokończyć.

– Bo na ciebie byłbym gotów wydać pieprzoną fortunę, Love – odpowiada spokojnie, ucinając temat, a po chwili, gdy winda się zatrzymuje, zadaje mi krótkie pytanie: – Idziemy?

Odsuwam się od niego mozolnie, a następnie przecieram palcami oczy i uśmiecham się. Ryder odwzajemnia niemrawo gest. Oboje wychodzimy z windy prosto w długi, pusty oraz również przystrojony ozdobami świątecznymi korytarz.

– Których drzwi mam szukać? – pytam.

– Pięćset osiemdziesiąt sześć.

Po kilkunastu sekundach odnajdujemy cel, do którego zmierzaliśmy. Ryder otwiera drzwi, ale wpuszcza mnie do apartamentu pierwszą. Wkraczam we wszechobecny mrok, nie mogąc dojrzeć w nim prawie niczego. Mimo to mknę przed siebie do wielkich zasłon, skrywających za sobą zapewne prześliczny krajobraz zaśnieżonych o tej porze roku gór.

– Nie rozumiem... – zaczynam zdezorientowana i odwracam się do Rydera.

Dostrzegam jego cień, lecz gdy powoli przyzwyczajam się do ciemności, wynajduję również spojrzenie chmurnych oczu, które bacznie mnie obserwują.

– Co więcej niż obłądny widok na Aspen miałoby tutaj na nas czekać?

Mężczyzna zaczyna marsz w moim kierunku. Dopiero kiedy przystaje tuż przede mną, wskazuje sugestywnym kiwnięciem głowy na coś za moimi plecami.

– Odsuń zasłony, Love.

Z wahaniem odwracam się oraz podążam za jego wskazówką. Odslaniam ciężki materiał. Wpuszczam tym samym do hotelowego apartamentu poświatę nocnego nieba. A potem wyglądam za szybę i wydaje mi się, że to, co widzę za nią, wmurowuje mi stopy w podłogę.

– Przecież... to wygląda bajecznie – wypowiadam te słowa z zachwytem.

Ryder przyciska tors do moich pleców.

– Tak – przyznaje mi rację. – Wygląda bajecznie.

Mimo doskwierającego zmęczenia otwieram oczy najszerzej, jak mogę, i chłonę widok, który mam przed sobą. Widok znajdującego się w pewnej odległości od nas jacuzzi otoczonego wyłącznie górskimi szczytami oraz padającym z nieba puchem. Jest puste. Chyba tylko nasze.

Ogarnia mnie czyste podekscytowanie. To miejsce naprawdę mi się podoba. Przechyliłam głowę i rozczulona spoglądam na Rydera, który w tej samej chwili spogląda na mnie. Chyba wychwytuje w moim uśmiechu coś niezręcznego, bo ściąga nieznacznie brwi.

– Coś się stało?

– Nie wzięłam stroju.

– Podkradłem ci przypadkowy z szafy, mam go w torbie – rzuca Ryder i przetrząsa kieszenie spodni, jakby czegoś w nich uparcie szukał. – Przebierz się, ja pójdę po telefon. Został w aucie, a lepiej żebym miał go przy sobie, gdyby coś działo się u Kaydena.

Od razu kiwam głową.

– Jasne, leć.

Po moich słowach Ryder wycofuje się i wskazuje gestem ręki na bagaż, który położył na dużym łóżku zaścielonym szarą pościelą. Dopiero teraz, gdy odsłoniłam zasłony, mogę omieść spojrzeniem pokój. Jest całkiem duży. Ma ciemne ściany, a na również ciemnych, drewnianych panelach leżą bezładnie puchate dywany. Zanurzam w nich stopy po tym, jak ściągam buty oraz skarpetki, a Ryder wychodzi z apartamentu na poszukiwania telefonu.

Podchodzę powoli do łóżka. Zamiast po swoją sięgam po torbę Rydera i w przeciągu paru sekund odnajduję w niej skromny, dwuczęściowy strój kąpielowy. Jest biały oraz wiązany na sznurkach, więc założenie go zajmuje mi kilka minut. Na początku nie czuję się w nim pewnie, lecz jakoś chowam głęboko w sobie każdą obawę i ponownie zbliżam się do okna.

Wyglądam za nie z niezmiennym zachwytem.

Woda w jacuzzi paruje. Śnieg zdaje się zacieklej prószyć z nieba. Patrząc, jak przykrywa wszystko, czego dosięga, i popadam w letarg. Wtedy zbaczam myślami na inny tor i dociera do mnie, że jest coś, czego potrzebuję bardziej niż zrelaksowania się w tak pięknym miejscu. Potrzebuję, by Ryder zjawił się tutaj znowu. Zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

A potem już tylko obcałował każdy cal mojego półnagiego ciała.

Kochał się ze mną, gdy wszędzie jest białe i zimno.

Po czasie z transu wrywa mnie odgłos prawie bezszelestnie stawianych kroków. Oprócz tego, że są ciche, są również powolne i leniwe. Podobnie zresztą jak oddech, który rozbija się zaraz na moim barku, gdy Ryder zwiesza głowę, by móc musnąć go wargami.

Uśmiecham się smutno, wciąż mając w głowie dylemat.

Ten okropny dylemat.

Brunet zaczepia dłonie na mojej talii i podsuwa wysoko palce, jakby chciał objąć mnie nimi całą, rozebraną niemalże do samego końca. Twarda sprzączka jego pasa wrzyna mi się uporczywie w dół pleców, ale zupełnie nie przywiązuję do tego wagi, kiedy jego pieszczotliwe muśnięcia lądują raz po raz na całej długości mojego barku, aż docierają do ramienia.

Tam Ryder zatrzymuje się na moment.

– Gdy zobaczyłem cię dokładnie taką w ostatni dzień ubiegłego roku, powiedziałem ci, że znajdziemy jakieś wyjście z pułapki, w której się wtedy znaleźliśmy – wspomina, a przez jego cichy głos przedziera się pewien rodzaj przygnębienia podszytego nostalgią.

Wiem, o czym mówi.

Od razu przypominam sobie Chicago. Przypominam sobie sylwestra, którego tam spędziliśmy. Przypominam sobie, jak wtedy uparcie szukaliśmy innej furtki, żeby móc się do siebie zbliżyć. A teraz... teraz szukamy innej furtki, by się od siebie nie oddalić.

A to tak bardzo nas rani.

Ryder znowu składa przeciągłe muśnięcie na moim ramieniu. Jednocześnie zsuwa pomału dłoń odrobinę niżej, na moje biodra, pieszcząc je ciepłem swoich szorstkich palców.

– Nie wyobrażasz sobie, jak strasznie wykańcza mnie to, że nie mogę powtórzyć tego w tej chwili...
– szepcze zrezygnowany i wycofuje się, by stanąć przede mną i przysłonić mi widok na panoramę. Zadzieram brodę, by móc pośród ciemności odnaleźć spojrzenie jego oczu.

Ryder mierzy mnie nim spokojnie, ubraną tylko w strój kąpielowy.

– Gdy również stoisz przede mną w bieli – kontynuuje zmarnowany, przełykając z wysiłkiem ślinę oraz skupiając się już tylko na mojej twarzy. – Gdy też tkwimy w pułapce, bo albo się rozdzielimy, albo zaprzepaścisz tę pewnie jedyną życiową szansę, by stać się kimś.

Mój ukochany mówi to wszystko, a ja domyślam się, że jeszcze moment i nie ustoję o własnych siłach na zimnych panelach hotelowego apartamentu. Robię kilka niezgrabnych kroków w tył, patrząc na niego zaszklonymi oczami, a potem... potem opadam na łóżko.

Opadam na nie plecami, wbijając zboląły wzrok w sufit, i leżę tak przez chwilę.

– Ryder? – wyduszam w końcu niewyraźny szept.

Czuję, że mężczyzna słucha mnie uważnie.

– Tak, Love?

– Zmyj mi ten napis – proszę przez ściśnięte gardło, przebiegając opuszkami palców po *przrzekam, że wypadłaś najpiękniej*, które nadal tkwi nakreślone na moim dekolcie. Po chwili wspieram się na przedramionach oraz patrzę na Rydera z daleka, leżąc w szarej pościeli.

Nie rusza się. Stoi nieruchomo pod oknem i wlepia we mnie spojrzenie. Pokój przesiąka wtedy dziwną melancholią, wypełnia się naszymi niespokojnymi oddechami. Obserwujemy się z daleka bez słów, dopóki nie zaciskam palców na kołdrze i nie dopowiadam ledwie słyszalnie:

– A potem napisz go znowu i powtarzaj to ciągle.

Ryder zaciąga się powietrzem i wydycha je.

– Cholera jasna, skarbie.

Napięcie zakotwicza się gdzieś w dole mojego brzucha, kiedy mężczyzna rusza w moją stronę i ściąga przez głowę ciemny sweter. Odrzuca go na dywan. Wdrapuje się na łóżko, by zaraz znieruchomieć całym ciężkim ciałem tuż nade mną, półnagą i wpatrującą się w niego z wyczekiwaniem. Ryder od razu wyłapuje zniecierpliwienie w moim spojrzeniu.

Obejmuje dłonią tył mojej głowy. Przyciąga moje usta do swoich.

Przełykam krótkie westchnienie. Brunet nie odpuszcza sobie moich warg. Zostawia na dolnej ślad swojego języka, czym pobudza mnie w każdym znaczeniu tego słowa. Zamykam w dłoni jego pokryty zarostem policzek i nabieram łapczywie wddech nosem, bo Ryder opada swobodnie biodrami na moje tak, że czuję na sobie jego twardniejący wzwód.

Przesiąkam potrzebą. Przesiąkam potrzebą, by nie dał mi od siebie wytchnąć choćby na ułamek sekundy. Ryder wykonuje nieprzyzwoicie śmiały ruch biodrami, ociera się o mnie i przyjmuje w zamian mój urywany jęk. Rozdziela na moment nasze usta i obserwuje mnie z góry, wyrzucając z siebie ciężkie oddechy wprost w moje rozchylone w oczekiwaniu wargi.

Wtem przesuwam nos na mój dekolt. Całuje swoje bazgroły, a odgłos mokrych muśnięć przygotowuje mnie o dreszcze. Opieram dłoń na jego twardym brzuchu, podczas gdy on nadal traktuje pieszczotliwie mój odkryty dekolt, mruczając coś pod nosem jakby do siebie.

Zimno przeszywa mnie na wskroś, kiedy udaje mi się rozszyfrować jego słowa:

– Jesteś tą miłością... moją Love.

Zaciskam z bólem powieki. Ryder znowu przenosi pocałunki wyżej, wytycza je po mojej szyi, linii szczęki, aż dociera do ust, które nakrywa swoimi. Jednocześnie rozsuwa moje nogi zwinnym ruchem, świadomy, jak oddziałuje na mnie jego stanowczość i zdecydowanie.

Rany. Mogłabym ciągle poddawać się pod jego dyktando.

Umieszczam dłoń na jego twardym, napiętym bicepsie. Mężczyzna na ślepo rozplątuje węzły obu części mojego stroju kąpielowego, całuje mnie tak chciwie, że serce chyba miażdży mi żebra w szybkiej gonitwie. Nie mogę złapać tchu, gdy gryzie śmiało moją wargę i schodzi niżej, by zamknąć w rozpalonych ustach mój sutek, a w porywczym uścisku dłoni moje biodro.

Ryder wzmacnia na nim chwyt i mocniej przyszpila mnie do łóżka.

Z mojej piersi wydostaje się niekontrolowany jęk, kiedy czuję nacisk jego języka wokół brodawki. Brunet skupia się na moim biuście, a ja nie łudzę się, że tej nocy dam radę zachować zdrowy rozsądek. Rozchylam usta, a on nagle ponownie naciera na nie swoimi i wspiera się delikatnie, żeby po raz kolejny otrzeć się o mnie pokaznym wzwodem.

Chryste.

Zawzięty uścisk dłoni mężczyzny na moim biodrze staje się lżejszy. Po chwili nie ma już po nim śladu, ponieważ Ryder wycofuje się... i – nie wiedzieć kiedy – znaczy muśnięciami wewnętrzne partie moich ud. Mam ochotę zaskomlić na pociągłe liźnięcie języka, które czuję na skórze, tak blisko kobiecości. Na drżący oddech mężczyzny tak blisko rozpalonego centrum.

Spojrzenie, które posyła mi z dołu, pozostaje poważne i nieczytelne.

Nie umiem zaczerpnąć wdechu, jestem zupełnie odurzona, gdy na niego patrzę. Ryder wysuwa pas ze szlufek spodni, skupiony tylko na moich oczach. Po chwili rozpina rozporek, zsuwa je i zostawia gdzieś w tyle. Znowu zrywa się z miejsca, by dosięgnąć ustami... cholera.

Chyba nie obchodzi go, czego nimi dosięgnie.

Obsypuje moje ciało każdym rodzajem pocałunków. Obchodzi się z nim cholernie starannie, w pewnym momencie opada na mnie tak nisko, że moje piersi stapiają się z jego spoconą, rozbudowaną klatką piersiową. Tkwię pod nim i nawet nie próbuję się opamiętać, gdy zaczepiam dłonie na jego plecach, badając każdą krzywiznę mięśni.

Czuję go znowu tuż przy sobie i wyduszam następne westchnienie. Strugi potu spływają mi po dygoczącym ciele, a włosy zachodzą na twarz. Ryder przebiega subtelnie wargami od mojej szyi, przez lewą pierś i brzuch, aż odsuwa się i siada na mnie swobodnie.

Ma roztrzepane włosy i posyła mi spojrzenie, od którego moje nogi wiotczeją.

Patrzemy na siebie, a on sięga po spodnie i wyciąga z kieszeni prezerwatywę. Sprawnie ją nasuwa i zaraz potem znajduje się nade mną. Przebiegam delikatnie palcami po linii jego żuchwy. Spomiędzy ust wrywa mi się sapnięcie, gdy Ryder, obserwując mnie poważnie z góry, zaczyna zatapiać się we mnie powoli całym swoim rozmiarem.

Mój oddech staje się coraz płytszy.

Kładę dłonie na męskich ramionach i tracę kompletnie głowę, kiedy Ryder wsuwa się we mnie do końca. Zaczynam rozciągać się pod jego naporem, czuć się przez niego jeszcze bardziej zdominowana. Zdmuchuję kosmyk włosów z twarzy i wypuszczam niepewny jęk.

Mężczyzna wycofuje biodra. Napiera na mnie jeszcze jednym leniwym ruchem, a gdy to robi, czuję uderzenie jego oddechu lądujące na moim dekolcie. Obezwładniona idącą za jego powolnymi pchnięciami rozkoszą, kładę dłoń na jego karku i przebiegam po nim paznokciami.

Słyszę jego cichy wyraz zadowolenia. Ryder pomrukuje coś w mój obojczyk i kołysze niespiesznie biodrami, wprawiając moje ciało w ruch. Przyparta mocno do szarej pościeli nie powstrzymuję następnych sapnięć, które wrywają mi się spomiędzy ust.

Dłonie mężczyzny przeslizgują się po mojej talii, jestem pewna, że znaczą ją śladem palców, których silny nacisk czuję na spoconej skórze wręcz doskonale. Ryder wciąż wypełnia mnie leniwymi ruchami i w pewnym momencie odnajduje drogę do moich warg.

Scałowuje z nich kolejne niekontrolowane westchnienie.

Pośród mroku słyszalny jest tylko odgłos pocałunków i stykających się ze sobą ciał. Badam dłonią kark mężczyzny, zsuwam ją na jego ramię i po raz kolejny na napięty biceps. Aż po paru minutach osiągam szczyt, kompletnie wycieńczona, lecz również lekko uśmiechnięta. Ryder, który niedługo po mnie również kończy, spełniony i wymęczony opada obok mnie.

Mija dłuższa chwila, zanim przekłada rękę przez mój brzuch. Przyciąga mnie do siebie bez trudu i przytyka usta do mojej skroni. Przez chwilę nic nie mówi, aż w końcu jego spojrzenie pada na nieco zamazany już napis na moim dekolcie.

– „Przyrzekam, że wypadłaś najpiękniej” – czyta zachrypniętym głosem oraz uśmiecha się przy tym tak słabo, że muszę... muszę zamknąć oczy, bo ten widok mnie pokonuje. – I jestem przekonany, że będziesz tak wypadać na każdej scenie.

– Ryder... – zaczynam cicho.

Ale on mi przerywa.

– Nie ruszaj się.

Patrzę na niego z niezrozumieniem. Nie mam pomysłu, z czego mogłaby wynikać jego prośba. Próbuję odnaleźć w ciemnościach jego spojrzenie, ale on nie skupia go na mnie. Skupia go na sznurkach mojego stroju kąpielowego, który rozwiązał przed kilkunastoma minutami.

Moje kąciki ust unoszą ku górze, kiedy z wprawą zaczyna je wiązać.

– Wiążesz na mnie strój kąpielowy? – pytam ledwie słyszalnie.

– Musisz podpowiadać mi, czy nie wiążę go za mocno.

Drżę na każde zetknięcie się jego palców z moją skórą.

– Jest w porządku – odpowiadam pod nosem.

Ryder chyba unosi brew, kiedy upewnia się:

– Na pewno?

– Na pewno – przytakuję.

Słyszę, jak mężczyzna schodzi z łóżka. Zapewne sam się teraz ogarnia oraz ubiera. Skupiam uwagę na widoku za szybą, niemalże czując na ciele podmuchy wiatru oraz płatki śniegu. Odruchowo opatulam ramiona dłońmi. Wtem Ryder ponownie wchodzi na łóżko.

Chwyta mnie od razu w ręce i ściąga z materaca bez żadnego problemu.

– Zaniesiesz mnie do wody? – pytam delikatnie rozbawiona, bo ubrany już w spodenki mężczyzna kieruje się w stronę wyjścia na zewnątrz ze mną przytuloną do nagiego torsu.

Ryder początkowo milczy.

– Na chwilę – odpowiada nareszcie i wychodzi na mróz przez drzwi w pokoju. – Ledwo patrzysz na oczy, a wieczorem musisz mieć przecież siłę na to, by znowu zatańczyć.

Uśmiecham się niemrawo.

– Pod twoim okiem.

Mężczyzna kiwa głową.

– Wyłącznie moim – potwierdza.

Na zewnątrz jest ekstremalnie mroźnie, lecz Ryder nie zwleka choćby chwili i od razu wchodzi do pobliskiego jacuzzi. Siada w nim, a ja nie schodzę z jego kolan. Jedyne bardziej wtulam się w jego ciepłą pierś i składam na niej krótkie, ledwie wyczuwalne muśnięcie ust.

Potem skupiam się na otaczającym nas krajobrazie. Na pasmach gór, które rozpościerają się wokoło. Na zaciemnionym niebie, z którego śnieg sypie bez choćby krótkiej przerwy. Czuję, jak puch oblepia moją skórę razem z chłodem nocy. Zziębnięta przywieram do Rydera całą sobą, a on obejmuje mnie ciasno, przy czym opiera brodę na mojej skroni.

Czuję, jak moje włosy skleją się od wszechobecnej pary.

– Śpij, skarbie – szepcze mężczyzna.

Przymykam powieki, kiwając głową.

– *Zegnaj, Love* – dodaje jeszcze.

Natychmiast otwieram oczy i odsuwam się, by spojrzeć na jego spokojną twarz. Gorąca woda obmywa moje zmęczone, zziębnięte ciało, gdy spomiędzy ust wyrywa mi się szept:

– Co powiedziałeś?

Ryder ściąga nieznacznie brwi.

– Dobranoc, Love. Coś się stało?

Przesłyszalaś się, słyszysz swoje myśli. Tak okropnie się przesłyszalaś. Kręcę głową, dając sygnał mężczyźnie, że wszystko gra, a następnie znowu przywieram policzkiem do jego twardej piersi, czując zakotwiczone się w sercu okrutne przygnębienie.

– Nie, ja... Dobranoc, Ryder.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY



LOVE

Kayden, podczas trwania naszej zmiany w kinie, również nie wcielił się w rolę mojego doradcy. Mimo smutku, który odczuwał na myśl, że mogłabym opuścić Aspen na szesnaście długich miesięcy, żeby robić karierę, nie próbował rozstrzygać ze mną mojego dylematu. Po prostu tak jak Ryder stwierdził, że nie ma prawa mącić mi w głowie ani popychać mnie w którąś ze stron.

To był mój wybór. Mój wybór, który od wczoraj doskwierał mi coraz bardziej.

Zerkam w stronę podświetlonego ekranu telefonu. Dostrzegając na nim godzinę siódmą wieczorem, wypuszczam krótki, pełen ulgi oddech z płuc i ściągam z siebie ciemny fartuch, czemu przygląda się uważnie stojący obok z założonymi na piersi rękami Kayden.

– Wystroiłaś się, więc zgaduję, że zaraz wtargnie tu pan Callahan – mówi, a potem wygląda w stronę zaplecza, zapewne, by sprawdzić, czy przyszli już nasi zmiennicy, którym szczerze współczuję ślęczenia w kinie do późna przez odbywający się tej nocy świąteczny maraton.

Wyglądam dłonią materiał białej sukienki i kiwam smętnie spuszczoną głową.

– Tak... powinien zaraz tutaj przyjść.

Czuję, że Kayden znowu wbija we mnie wzrok.

– Zgaduję też, że będzie tak samo przybity jak ty.

– Nie chcę, żeby taki był.

Po tych słowach unoszę smutne spojrzenie na przyjaciela.

– Ani teraz, ani od jutra, jeśli...

– Jeśli wylecisz, by szlifować swój talent – dokańcza za mnie Kayden, a ja wciąż nie mogę zrozumieć, jak znaczenie tych słów może mnie jednocześnie uskrzydlać i bardzo ranić.

– Jeśli wylecę, by szlifować swój talent – potwierdzam cicho.

Przeczuję zboliałym spojrzeniem przestrzeń ozdobioną świątecznymi dekoracjami. Gdziekolwiek nie spojrzeć, kino jest przystrojone kolorowymi bombkami i łańcuchami świetlnymi. To nie zmienia się od kilku lat, które przebywam już w ukochanym Aspen.

Musiałabym zwolnić się z pracy. Przerwać studia. Rzucić wszystko.

Kolejne myśli kłębią się w mojej głowie, która mam wrażenie, że zaraz eksploduje. Wtem Kayden opiera dłoń na moim ramieniu i potrząsa nim lekko, posyłając mi słaby uśmiech.

– Chodźmy do szatni. Zmieniają nas.

Dopiero teraz zauważam wychodzących z zaplecza znajomych z pracy. Z Kaydenem ruszamy więc tam, skąd się wyłonili, czyli do niewielkiego pomieszczenia, które służy pracownikom kina za szatnię. Znajdując się już w nim, przystajemy w mroku przy rządzie szafek i opieramy się o nie ramionami.

Mija kilkanaście sekund, zanim zaczynam rozpoczęty przez nas temat:

– Ryder powiedział, że nawet gdy zdecyduję się krążyć po Stanach z grupą, nauczymy się trwać w związku na odległość. Powiedział, że nawet gdy będę żyła na walizkach przez kolejnych szesnaście miesięcy, uporamy się z każdym jednym, chociażby miał się nam niemiłosiernie dłużyć. Ale nie mam pojęcia, Kayden. Nie mam bladego pojęcia, czy to nas... nie przytłoczy.

Opieram skroń o metalową szafkę i jakimś cudem wynajduję w ciemnościach spojrzenie Kaydena. A wyraża ono tylko współczucie. Szczere i w żadnym wypadku niewymuszone.

– Nie chcę, żebyśmy się tak okrutnie męczyli, skoro już teraz się męczymy – ciągnę z, wydaje mi się, już ledwo bijącym sercem. – Nie chcę wplątywać nas w taką pułapkę.

Ostatnie słowa nieumyślnie wypowiadam łamiącym się szeptem.

Mój rozmówca sięga po moją dłoń i ściska ją mocno.

– Ale potrzebujesz piąć się wyżej.

Przytakuję niemrawo.

– Potrzebuję piąć się wyżej. Chociaż spróbować piąć się wyżej. Myślę, że wylewałabym siódme poty, byle tylko udowodnić, że zasłużyłam na tę propozycję, gdybym wyleciała do Phoenix.

– Pierwszy przestanek to Phoenix? – dopytuje Kayden.

– Przez pierwsze tygodnie intensywnie pracowalibyśmy tam nad organizacją występu – tłumaczę, przypominając sobie to, jak Ivory oraz Shannon wyjaśniały mi, jak działa ta cała machina, jak wyglądałaby nasza współpraca i moja obecność w słynnej grupie baletowej.

Kayden milczy przez chwilę. Gołym okiem widzę, że jemu też to dokucza, ta wiedza, że za moment moglibyśmy nie spotykać się ani na uczelni, ani na zmianach w kinie. Ta wiedza, że moglibyśmy polegać na sobie tylko na odległość. A to przecież nic, do czego bylibyśmy przyzwyczajeni po kilku latach zachowywania się wobec siebie jak cholerne rodzeństwo.

Chłopak kołysze delikatnie moją dłońią w powietrzu i smuci się bardziej.

– Dopiero później odwiedzalibyście resztę stanów – wysnuwa wniosek.

Automatycznie kiwam głową, udzielając mu odpowiedzi.

– Tak. Przynajmniej kilkanaście w ciągu najbliższego roku.

Przecież chciałaś zostać zauważona i coś osiągnąć, słyszę swoje myśli i nie umiem... nie umiem zignorować wrażenia, jakby coś nagle chwyciło mnie za gardło. Nie mogę tego przełknąć, czuję, jak po raz kolejny zbiera mi się na intensywny, gorzki, pełen rozdarcia płacz.

Tym razem to ja ściskam wciąż splecioną z moją dłoń przygnębionego przyjaciela.

– Chryste, Kayden. Jak mam zdecydować? – wyduszam niemrawy szept.

– Masz jego wsparcie. Choćbyś znalazła się najdalej stąd, masz je.

Chłopak nie spuszcza ze mnie pełnego troski i wyrozumiałości spojrzenia.

– Moje zresztą również, moja cholernie zdolna siostra – mówiąc to, Kay rozdziela nasze złączone dłonie, a później, nie bacząc na nic, przyciąga mnie do uścisku. Słyszę w głowie echo jego słów i czuję, jak smutek draży mi jeszcze większą dziurę w klatce piersiowej.

– Jeśli za kilkanaście godzin rzeczywiście wylecę... – zaczynam, lecz nie muszę nawet kończyć, bo przyjaciel zdaje się wiedzieć, co takiego mam na myśli.

– Nie dam mu się załamać przez żaden jeden spośród szesnastu miesięcy.

Ściskam powieki na jego odpowiedź. Już rozchyłam usta, by wykrztusić z siebie coś na kształt na pewno żałośnie brzmiącego podziękowania, gdy wtem gdzieś za moimi plecami rozbrzmiewa spokojny głos chłopaka, który przed paroma minutami zastąpił nas za ladą:

– Love, ktoś cię szuka.

Dobrze wiem, kto to taki.

Odsuwam się delikatnie od Kaydena i nabieram drżący wdech ustami. Potem spuszczam wzrok na swój strój, by ocenić, czy podczas zmiany nie pogniótł się za bardzo, aż w końcu ponownie krzyżuję spojrzenie z osobą, która od lat nie przestała być dla mnie oparciem.

Dłonie zaczynają mi się nieznacznie pocić.

– Idę – obwieszczam. – Wyglądam znośnie?

Kayden opiera dłonie na biodrach i przytakuje.

– W tej kiece raczej obłędnie. Gdzie idziecie?

– Ryder wynajął salę, w której wczoraj odbył się występ – wyszeptuję ledwie słyszalnie i kręcę głową, bo to, że zdobył się na coś takiego, nadal jest dla mnie niepojęte. *Wciąż mnie zaskakiwał. Wciąż utwierdzał mnie w przekonaniu, że był moim doskonałym mężczyzną.*

Stojący przede mną szatyn patrzy na mnie z uznaniem.

– Popisał się.

Unoszę słabo kącik ust.

– A kiedy nie? – pytam jakby samą siebie.

– Gdy wmówił młodemu, że lubię układać klocki lego.

Uśmiecham się jeszcze szerzej mimo nieodchodzącego smutku.

– Przecież nie masz cierpliwości do takich rzeczy – zauważam.

Kayden drapie się z tyłu głowy i również uśmiecha.

– Ale dla niego trochę jej znajduję.

– To urocze – komentuję rozczulona, sięgając po swój płaszcz.

A potem ostatni raz przytulam Kaydena, szepcząc mu do ucha, że jest moim ukochanym bratem. Chłopak odpowiada mi czymś niezrozumiałym i po chwili każe już czmychnąć sprzed jego nosa oraz odnaleźć Rydera. Mierząc się z ogromnym wzruszeniem, wychodzę z szatni i ruszam na poszukiwania swojego faceta. Zauważam go przy wejściu do przystrojonego kina.

Natychmiast wspinam się na palce, by skraść Ryderowi przelotnego buziaka.

– Jak było w pracy? – słyszę jego pytanie i przechodzę przez drzwi na wszechobecne zimno.

W międzyczasie zakładam płaszcz oraz zaciągam się rześkim, wieczornym powietrzem.

– Męcząco – stwierdzam od razu. – Zorganizowali nam tutaj prawdziwe obłężenie.

Ryder obejmuje mnie w pasie i prowadzi do sporych rozmiarów range rovera.

– Więc nadeszła pora na odpoczynek.

Spoglądam na niego spod rzęs, na których czuję, że osiadły już płatki śniegu.

– Czy ja wiem, czy odpoczynek? Mam zaraz wystąpić przed wyjątkową publicznością... – zauważam smutno uśmiechnięta, spoglądając na atrakcyjną, lecz zmęczoną twarz mężczyzny.

Mój wyraźnie przygaszony ukochany otwiera mi drzwi samochodu. Wsiadam do środka bez zawahania, a on po chwili zajmuje fotel kierowcy i zwraca się do mnie neutralnym tonem:

– Denerwujesz się?

Zapinam pasy.

– Odrobinę.

– Jestem pewny, że cię nie wygwizdzą – mówiąc to, Ryder unosi słabo kącik ust, odpala silnik i wyjeżdża na zaśnieżone ulice miasta. W czasie jazdy przez głowę przebiega mi myśl, że w ciągu ostatnich tygodni wiele razy miałam go przed oczami kompletnie zmarnowanego.

Ale to w tej chwili przypomina cię człowieka, jakby... całkowicie opadł z sił. Gryzące rozżalenie eksploduje w mojej klatce piersiowej i promieniuje na całe ciało. Od razu odwracam głowę do szyby od strony pasażera i wykrzywiam usta w grymasie ogromnego bólu.

Nie chcę. Nie chcę rozstrzygać żadnego dylematu.

Nie chcę odsuwać na dalszy plan możliwej kariery.

Nie chcę odsuwać na dalszy plan mojego Rydera.

Opieram rękę na drzwiach powoli poruszającego się ulicami Aspen samochodu i przez chwilę milczę, tak samo, jak milczy mężczyzna. Aż w końcu przechylam głowę oraz uciekam spojrzeniem do części jego twarzy, którą mam na widoku, gdy w skupieniu prowadzi auto.

– Ryder? – zagajam szeptem.

Brunet przełyka ślinę.

– Tak?

– Dlaczego wybrałeś akurat tę salę? – dociekam, choć przeczuwam, że to, co otrzymam w zamian na to pytanie, sprawi, że się posypię. – Dlaczego poprosiłeś, żebym ubrała się ładnie?

Mężczyzna nie odwraca wzroku od jezdni, zaciekle nad czymś rozmyślając. Nie trwa to długo, ale wystarczająco, żebym zaczęła nerwowo zaciskać palce na tiulu swojej sukienki, choć tak naprawdę włożyłam ją na prośbę Rydera, z którą zwrócił się do mnie, zanim wyszłam do kina.

Brunet przeciera palcami wolnej ręki usta, a potem opuszcza ją bezwiednie.

– Chyba chciałem poczuć się jak wczorajszego wieczora – zaczyna z czymś na kształt pogodzenia, które boli. – Jakby nasza normalność wcale nie wywróciła się do góry nogami.

Szkoda, że nasza normalność rzeczywiście wywróciła się do góry nogami.

A później miała przypominać już tylko cholerne piekło.

– Love? – Ryder zwraca się do mnie łagodnym tonem.

Skupiam na nim uwagę, nawet jeśli na mnie nie patrzy.

– Tak?

– Dokądkolwiek wylecisz, będzie mi zależeć tak samo mocno.

Nie umiem dłużej utrzymać tego, co się we mnie kotłuje, w ryzach. Mokry ślad wytycza drogę po mojej twarzy, a Ryder zatrzymuje samochód pod salą znajdującą się w naprawę niedużej odległości od kina,

z którego mnie zgarnął. Odpinam pas i uśmiecham się przez łyzy.

Zanim zdążę ugryźć się w język, wypalam coś beznadziejnie głupiego:

– Choćbym wylądowała na Hawajach?

Mężczyzna również wyswobadza się z pasów. Wyciąga rękę w stronę mojej twarzy i odwzajemnia mój uśmiech bez choćby grama entuzjazmu. Jednocześnie nawija sobie na palec kosmyk moich włosów, robiąc to z czułością, która rozbraja mnie, odkąd pamiętam.

– Wtedy masz tylko nie wysyłać mi zdjęć z plażowych konkursów na najlepszego surfera z dopiskiem, że jest na czym zawiesić oko, bo w takim wypadku chyba byłbym zdolny tam przylecieć, a potem wskoczyć na deskę – odpowiada, a ja nie wytrzymuję.

Wybucham głośnym śmiechem, mażąc się jak ostatnia beksa.

– Przestań – wydycham w pośpiechu.

Ryder ciągnie mnie za pasmo.

– Co? – pali głupa.

– Nie chcę znowu śmiać się przez łyzy. Czuję się wtedy, jakbym była szurnięta.

Mężczyzna przewraca oczami, wciąż słabo się uśmiechając.

– W zasadzie to przecież je...

– Ryder – karcę go rozbawiona i odsuwam się, by wysiąść.

Na miękkich nogach udaje mi się wygramolić z fotela. Potem trzaskam drzwiami range rovera, opieram się o nie plecami i przymykam powieki, spod których wypływają kolejne łyzy. Mimo to znowu się uśmiecham, wystawiając twarz na padający śnieg.

Rety, naprawdę jestem. Jestem porządnie rąbnięta.

Odbijam się od karoserii auta i ruszam do Rydera, a on wyciąga rękę w moją stronę. Chwytam ją bez wahania, a potem idziemy do tylnego wejścia, którym jeszcze wczoraj wchodziłam do tego samego budynku. Zimno dosięga mnie zewsząd, tak samo jak proszący śnieg, ale brunet nie daje mi odczuć panującej na zewnątrz temperatury, bo trzyma moje ciało przy swoim boku.

Po kilkunastu sekundach marszu docieramy do celu. Wtedy Ryder puszcza moją dłoń tylko po to, by otworzyć przede mną duże drzwi oraz zwrócić się do mnie teatralnym tonem:

– Panno Porter, zapraszamy do przejścia za kulisy.

Kręcę głową, szczerząc się jeszcze bardziej.

– Odbiło ci?

Mężczyzna zachowuje powagę.

– Tędy wchodzi gwiazdy – mówi spokojnie.

Zadzieram brodę i patrzę na niego z uwielbieniem.

– Oraz ich przystojni towarzysze – obwieszczam, oplatając palcami jego przedramię, a potem wkraczam do ciemnego korytarza z Ryderem przy sobie. Mężczyzna wyswobadza rękę z mojego lekkiego uścisku niemalże natychmiast i obejmuje mnie nią ciasno w pasie.

– Towarzysze? – powtarza za mną przy okazji.

Próbując dostrzec coś w mroku, poprawiam się:

– Narzeczeni.

Z chwilą, kiedy to mówię, ogarnia mnie przecucie, że oboje delikatnie się uśmiechamy. Jednocześnie mkniemy przed siebie ostrożnym, powolnym krokiem, bo wszędzie jest ciemno, a najwyraźniej ani ja, ani Ryder nie mamy pojęcia, gdzie znajduje się jakiś włącznik światła.

– Nic nie widzę – wzdygam pod nosem, zagryzając wewnątrz policzka.

– Nie przestrasz się.

Ściągam brwi na słowa mężczyzny.

– Myślisz, że coś zaraz na mnie wyskoczy?

Brunet przebiega palcami po moim boku.

– Może?

Nagle przez każdy skrawek mojego ciała przedziera się śmiertelne prerażenie, bo coś rzeczywiście przede mną wyskakuje. A jest to rośła, męska sylwetka Rydera, który w przeciągu ułamka sekundy chwyta w dłoń moją brodę i wmusza mi w usta śmiały pocałunek.

Moja zaciśnięta pięść od razu wychodzi na spotkanie z jego piersią.

– Ryder! – piszczę głośno, zanim znowu zdąży nakryć moje usta swoimi.

Gdybym mogła dostrzec w zaciemnionym korytarzu cokolwiek, pewnie natrafiłabym spojrzeniem na jego arogancki uśmiezek. Mężczyzna na powrót kładzie dłoń na moim biodrze, a następnie zaczyna prowadzić mnie do przodu, mówiąc przy tym swobodnie:

– A teraz idziemy dalej.

Sala, do której wchodzimy, jest delikatnie oświetlona i zupełnie pusta. Przez dłuższy moment stoję na znajdującej się w niej scenie w absolutnym bezruchu, nawet nie rejestrując momentu, w którym Ryder zabiera swoją dłoń z mojej talii i gdzieś się przemieszcza.

Dziwnie jest stać tutaj samemu, przyznaję w duchu i zrzucam z ramion płaszcz.

Odkładam go niedbale na bok. Myślę, że wszystko rzeczywiście wydaje się takie, jak wczoraj. Tyle że tak naprawdę wcale takie nie jest, bo teraz... teraz wiem, że mogę stawać na podobnych scenach, a nawet sto razy bardziej prestiżowych, przez najbliższe kilkanaście miesięcy. Mogę stawać na nich i osiągać sukcesy, które wydawały się dla mnie nieosiągalne.

Mój wzrok pada nagle na Rydera, a serce... ono od razu podchodzi mi do gardła.

– Śmiało, Love – dodaje mi otuchy, przysiadając swobodnie na podłokietniku jednego z foteli. Zraniona pułapką, w której zostałam zatrzaśnięta, patrzę na niego piekącymi oczami.

Tak strasznie chciałabym skorzystać z tej szansy i nie oddalać się od ciebie.

Tak strasznie chciałabym to jakoś pogodzić.

Mobilizuję się przez kilkanaście sekund. Przypominam sobie wykonany wczoraj układ. Zaczynam go odtwarzać i nie mogę opędzić się od wrażenia, że w czasie gdy to robię, to okrutne rozdarcie tylko się we mnie nawarstwia. Czuję się już tylko gorzej, nie wiedząc, jak mam postąpić, ale wciąż tańcząc i skupiając na sobie całą uwagę mojego smutnego Rydera.

Po paru minutach schodzę do elegancko ubranego bruneta i przysiadam bokiem na jego kolanie. Na początku nie odzywam się ani słowem, po prostu przyciskam policzek do męskiej piersi skrytej pod materiałem czarnej marynarki oraz białej koszuli.

Aż w końcu wyszeptuję zboliałym szeptem pytanie:

– Czy to działa?

Ryder obejmuje mnie ciasno rękami.

– Słucham? – docieka przyciszonym tonem, niewiele rozumiejąc.

– Czy będąc tutaj, czujesz się tak, jakby nasza normalność wcale nie wywróciła się do góry nogami?

– wypowiadam te słowa bardzo powoli, z niemałym wysiłkiem, i naprawdę dziwię się, że nie ugrzęzły mi one gdzieś w niemilosiernie wyschniętym gardle.

Mój ukochany przez chwilę trawi w duchu sens zadanego mu pytania.

– Nie – przyznaje nareszcie i zaczyna delikatnie mną kołysać.

Jego dłoń obejmuje tył mojej głowy, a usta odnajdują skroń.

– Ale to nic, Love... To nic.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY



RYDER

Wieczór kolejnego dnia jest cholernie wietrzny i niezmiennie śnieżny. Love aż wtyka czerwony nos w swój wielgachny szalik oraz zerka z zawahaniem w dół, prosto na zaśnieżony grunt, od którego oddalamy się z każdą upływającą sekundą. Chyba nadal nie do końca ufa wyciągom w Aspen, dlatego opieram rękę na oparciu siedzenia w niedużej kabinie i otaczam ją ramieniem.

Przy okazji przenoszę zamyślane spojrzenie w dal i nabieram pełen pogodzenia wdech. Pewnie gdybym podjął ku temu próbę, udałoby mi się odwieść ją od gnania za karierą tancerki. Pewnie gdybym chociaż skinął palcem, udałoby mi się sprawić, że nie ruszyłaby się z moich cholernych objęć. Pewnie gdybym wydusił nawet najcichszy protest, ona... byłaby tu ciągle.

Moja Love byłaby tu ciągle.

Pewnie tak by było, ale ani przedtem nie miałem, ani nadal nie mam zamiaru sprawdzać, czy te podejrzenia są słuszne. Ponieważ jestem pogodzony. Jestem zraniony konsekwencjami jej wyboru, ale również pogodzony z nimi w każdym znaczeniu tego słowa. Wiem, na co się piszemy. Wiem, że może nam się nie poszczęścić. Wiem, że dołożę starań, żeby tak nie było.

Wiem, że ona również będzie się o to starać, jak mocno będzie w stanie.

Nie spuszczam wzroku z otaczającego nas bezkresu, kiedy jedziemy wyciągiem jeszcze wyżej. Śnieg i ziąb krążą wokół wagonika, w którym siedzimy w milczeniu. Każde pogrążone we własnych myślach, każde rozbite świadomością, że czeka nas szesnastomiesięczna rozłąka.

Nagle cichy, niewyraźny szept Love rozbrzmiewa blisko mojego ucha:

– Mogę to jeszcze odkręcić.

Nie umiem nie poczuć się zupełnie sponiewierany na zapewne nieplanowane załamane jej głosu. Mimo że słysząc go, zaczynam odczuwać okrutny ból, przechyliłam pomału głowę i spoglądam spokojnie na tak strasznie zasmuconą Love, obserwującą mnie bez tchu.

– Ryder, ja... mogę to zrobić, wiesz? – ciągnie wyczerpana.

A potem chwyta mnie za rękę i kładzie ją na swoim zmarzniętym policzku. Od razu posyłam jej słaby uśmiech, który sporo mnie kosztuje, i obejmuję palcami jej twarz.

– Nie, skarbie.

Nie rezygnuj z marzeń.

Tak bardzo cię proszę, nie rezygnuj z nich dla mnie.

– Ale zadałam ci tym cios... – Love pociera skostniałym kciukiem wierzch mojej dłoni, a jej oczy zaczynają się szklić, kiedy patrzy na mnie z dołu, nie zwracając uwagi nawet na panoramę, którą niegdyś mogłaby oglądać godzinami bez żadnej przerwy.

Od razu zapewniam ją o czymś miękkim tonem:

– Pozbieram się, a ty wrócisz za szesnaście miesięcy i gdy otworzysz mocno drzwi, zapewne zadasz mi nimi prawdziwy cios, znając twoją cholerną naturę skończonej sieroty.

Love nie hamuje cichego, płacznego śmiechu i kopie mnie lekko w łydkę.

– Przestań tak mówić.

Czuję na skórze jej łyzy, ale sam też delikatnie się uśmiecham, bo rzeczywiście na pewno będzie brakowało mi nawet jej ciągłego potyknięcia się o głupie progi, a potem łapania jej w powietrze, byle tylko nie nabawiła się ogromnego guza.

Chryste, ile ty dla mnie znaczysz, lamago.

– Bo znowu becysz – bąkam kpiąco.

Love ponownie uderza mnie w łydkę, pochlipując.

– Beksa – wyśmiewam ją nadal.

– Ryder, do cholery jasnej.

Dziewczyna zrywa się z miejsca i nie zważa już na to, że jesteśmy na wyciągu, wysoko nad ziemią. Siada na mnie okrakiem, a ja opieram dłonie na jej biodrach skrytych pod warstwami ciężkiego, zimowego płaszcza i patrzę na nią z dołu, podczas gdy ona uśmiecha się i łka po cichu.

Patrzę na nią, właśnie taką, i nie mam bladego pojęcia, jak mam stracić ją na szesnaście miesięcy i pozostać przy zdrowych zmysłach. Natychmiast przyciągam ją do swojego ciała. Love aż podskakuje w powietrzu, a jej ręce jakby instynktownie lądują na moich ramionach.

Musi nachylić się odrobinę, a ja zadrzeć brodę, żebyśmy mogli skrzyżować spojrzenia.

– Gdybyś nie bała się tego, jak wysoko jesteśmy, pewnie w tym momencie odsunęłabyś się jak najdalej ode mnie – dorzucam z lekka cwanię, mimo że jest mi bardzo źle.

Moja uśmiechnięta Porter kiwa głową, wciąż roniąc łzy.

– Masz rację, odsunęłabym się.

– Dlatego dobrze, że obleciał cię cykor.

Dziewczyna swobodnie się na mnie poprawia.

– Za moment coś ci zrobię – zapowiada, starając się brzmieć groźnie.

Unoszę ledwie zauważalnie kącik ust. Nie jest to wesoły gest. Myślę, że Love widzi w nim przygnębienie, które dokucza mi naprawdę mocno, kiedy tylko wracam myślami do słów wypowiedzianych przez nią na samym początku. Odruchowo zamykam w mocniejszym chwycie dłoni jej biodra. Następnie zaglądam w wielgachne, zapłakane oczy z bardzo bliskiej odległości.

– Nie musisz nic odkręcać, Love – szepczę łagodnie. – Naprawdę nie musisz.

Zbliżam usta do jej i wydycham w nie kilka słów więcej:

– Rozumiem twój wybór.

Rozumiem, że chcesz stać się kimś.

Love kręci bezradnie głową i styka nasze czoła. Przez pewien czas milczy, a dobiega nas wtedy tylko ledwie słyszalny odgłos pracującego wyciągu. Domyślam się, że jesteśmy tak wysoko nad ziemią, że gdybym teraz odwrócił wzrok od Love, ujrzałbym otaczającą nas biel.

Ale nie robię tego choćby na ułamek sekundy, zwłaszcza kiedy wzdycha z udręką.

– Ciągłe jesteś wobec mnie wyrozumiała...

– Ciągłe taki będę – zapewniam ją z przekonaniem.

Kolejne łzy wytyczają trasę po jej wilgotnych policzkach.

– Chciałbym tylko, żebyś w razie czego, o czymś wiedziała. – Słowa z trudem opuszczają moje usta, bo kolejne, które chcę wypowiedzieć, już teraz zdają się przepalać mi gardło.

Love obejmuje skostniałymi dłońmi moją szyję i kawałek linii szczęki. Obserwuje mnie z góry, ledwo zipiąc, zziębnięta i skupiona wyłącznie na moich oczach. Jest w niej tyle szczerzej rozpacz, że nie mogę opędzić się od myśli, że ta mogłaby ją zaraz doszczętnie skruszyć.

– O czym? – docieka zbolałym szeptem.

– O tym, że nie będę mieć ci za złe, jeśli coś pójdzie nie po naszej myśli.

Dolna warga dziewczyny zaczyna niemiłosiernie drżeć.

– Nie po naszej myśli? – wydusza prawie że bezgłośnie.

A potem zapłakana rozdziela nasze czoła i nabiera drżący wdech.

– Gdybyś nie czuła się na siłach, by to ciągnąć... – kontynuuję zmarnowanym tonem, powoli nie mogąc znieść narastającego w piersi uczucia beznadziei. – Gdyby to cię pokonało, w każdym znaczeniu tego jednego słowa... nie odtrącaj troski, którą ktoś inny mógłby ci dać.

Coraz więcej łez błyszczy w moich ukochanych oczach. Love tak strasznie dławi się własnym płaczem, kiedy dociera do niej sens tego, co powiedziałem. Chyba też mógłbym się tym zadławić. Mógłbym zadławić się żalem, który rozlewa się po mojej krtani, gdy mam ten obraz przed oczami.

Niezwłocznie przesuwam dłonie z jej bioder na dolną część pleców i przytulam do siebie ciało Love. Słyszę, jak zanosi się coraz to głośniejszym płaczem, a ja opieram z niemocą brodę na jej smukłym ramieniu, gdy trzęsie się w spazmach szloch.

Przełykam z wysiłkiem, wtykając nos w materiał jej płaszcza.

A potem ciągnę niezmiennie żałośnie brzmiącym tonem:

– Może w ciągu tych szesnastu miesięcy przyłapiesz się na myśleniu, że obok ciebie znalazł się inny mężczyzna gotowy spełnić każde twoje naiwne marzenie? – zastanawiam się na głos, patrząc ze ściśniętym z bólu sercem w nocne niebo i padający z niego śnieg.

Wykrzywiam bezsilnie usta, trzymając ją ciasno w objęciach.

– Love, daj mu się wtedy wykazać.

Czas, który spędzamy w niedużym wagoniku, przesiąka udręką. Żałosny ja ledwo jestem w stanie wykrztuszać z siebie zdławione zdania. Love dusi się za to własnymi łzami, przełykając je jedna po drugiej i płacząc, jakbym wystawiał ją na tortury, których nie może przeboleć.

Przymykam powieki, a potem otwieram je i niewiele widzę.

Wciskam wręcz desperacko brodę w jej ramię, marniejac jak nigdy.

– Daj mu zatroszczyć się o ciebie cholernie bardzo – wypuszczam pełen cierpienia szept. – Zrzucić dla ciebie dzień w dzień gwiazdy, skądkolwiek by mógł. Tańczyć z tobą w śniegu, czując zapach lasu i zimno na dworze... – Uśmiecham się słabo i nostalgicznie. – Dotykać cię czulej, niż mógłby kiedykolwiek wcześniej założyć, że dotknie jakkolwiek kobietę.

Love. Moja Love nie może nabrać choćby maleńkiej dawki powietrza. Słyszę, jak zanosząc się bardziej płaczem, również szepcze coś niezrozumiałego. To brzmi jak prośba, bym nie dodawał nic więcej. Zaczyna wiercić się w moim uścisku i skomleć. Zaczyna wyć.

Zaczyna bić mnie drobnymi pięściami po ramionach.

Zaciskam wargi w wąską linię, zbierając się w sobie.

– Daj mu obchodzić się z tobą jak z czymś najcenniejszym – ciągnę. – Łamać dla ciebie swoje zasady. Dopingować cię w walce z każdym problemem... Oglądać twoje występy z zapartym tchem, a potem wręczać ci tak wiele białych tulipanów, że nie będziesz mogła ich udźwignąć. – Znowu uśmiecham się krzywo, przypominając sobie, jak robiłem to wszystko.

Tak bardzo chciałbym robić to wciąż.

– Daj mu myśleć, że jesteś właśnie *tą miłością*.

Pociągam wdech nosem i całuję ją czule w bark.

– Jego *Love*.

Odsuwam twarz od jej ramienia i spoglądam w napuchnięte oczy. Dosłownie na moment zjeżdżam wzrokiem na jej rozchylone usta, z których wyrывa się kolejny pełen niemocy oraz rozdarcia jęk, a potem znowu krzyżuję z nią spojrzenie i odczuwam najgorszy rodzaj zranienia.

Wyciągam dłoń i przebiegam knykциями po jej brodzie i ściekających po niej łzach, aż do szyi i zakrytego dekoltu. Jednocześnie wciąż skupiam uwagę wyłącznie na jej twarzy.

– Bo ja nie przestanę myśleć tak o tobie, dokąd będę żyć, i w żadnym wypadku nie wypuszczę cię wolno jedynie, żeby zagarnął cię dla siebie ktoś, kto nie uzna, że jesteś *tą jedyną*. – Czuję, jak mięsień mojej szczęki drga nieznacznie, gdy Love odwraca ode mnie wzrok.

Odwraca ode mnie swój rozpaczliwy, zapłakany wzrok.

Sam tego nie robię, przyglądając się jej bez przerwy.

– Może nam się nie poszczęścić, *Love*...

Chwytam w dłoń brodę dziewczyny, chcąc, by zajrzała mi w oczy.

– Może nam się nie poszczęścić i możemy za szesnaście miesięcy nie skończyć tutaj ze sobą, ale tobie musi się poszczęścić i musisz być najszczęśliwsza – dokańczam wymęczony, nie odpuszczając sobie widoku brązowych tęczęwek chociażby na najkrótszy moment.

Love bezzwłocznie kręci głową z wręcz namacalnym protestem.

– Będę taka nawet przez każdy jeden miesiąc, kiedy będziemy kochać się z daleka – wychlipuje z ogromnym wysiłkiem, ale też pewnością, sięgając po moją dłoń i składając kilka muśnięć na każdym z jej palców. – Ryder... jakkolwiek mężczyzna znajdzie się obok mnie...

Moja Porter przełyka kolejne łzy, patrząc na mnie zaciekle.

– Nawet gotowy spełniać moje naiwne marzenia, nie pozwolę mu ani na to, ani na nic innego – zapowiada rozbita. – Nie, skoro mam w pamięci tak wiele wspomnień, które po powrocie do Aspen chcę ożywić z tobą każdej kolejnej zimy... chcę ożywić każde wyłącznie z tobą...

Silę się na uśmiech, lecz na twarz zamiast niego wpełza mi okropny grymas.

– Które? – wyszeptuję.

Love zaczerpuje nareszcie powietrza i wstaje ze mnie niezgrabnie, gdy wyciąg się zatrzymuje. Tym razem nie dlatego, że się zepsuł. Właśnie dotarliśmy do celu naszej wieczornej wycieczki. Również wstaje z siedzenia z niemalym ociąganiem, a moja ukochana łączy nasze dłonie i wychodzimy na panujący na zewnątrz mróz oraz proszący w wielkich ilościach śnieg.

Dziewczyna wyprzedza mnie i odwraca się w moją stronę, pociągając nosem.

– Lepienie bałwana – odpowiada mi nareszcie, a kolejna łąza spływa jej po ustach wygiętych mimo wszystko w słabym uśmiechu. – Musisz mi go tylko najpierw znowu zepsuć.

Na wspomnienie jej konkursowego bałwana sam uśmiecham się krzywo.

Wtedy nic nie wydawało się tak cholernie skomplikowane.

Nic a nic nie wydawało się tak cholernie skomplikowane.

Pozwalam Love poprowadzić się znajomą dla nas ścieżką do miejsca, gdzie zabrała mnie po bankiecie w Denver ubiegłego roku. Tam, gdzie wzięliśmy też Gargamela oraz rozpaliliśmy ognisko. Patrząc, jak dziewczyna ściera z zapłakanej twarzy uporczywy śnieg i łzy.

Jak wciąż uśmiecha się, przyciągając mnie ku sobie.

– Zjazdy na sankach... chciałabym cię ponownie bardzo poturbować – wylicza dalej to, co chciałaby ze mną powtórzyć za szesnaście miesięcy. – Ubieranie choinki. Chciałabym, żebyś znowu poszedł ze mną w przeraźliwym zimnie po głupie ozdoby, których mi zabrakło...

Ściskam mocniej jej dłoń, podążając za nią bez mrugnienia okiem.

Love prostuje wolną rękę i wskazuje nią na machinę za nami.

– Nawet jazda tym wyciągiem – kontynuuje jakimś cudem radośnie smutnym tonem. – Chciałabym jechać nim z tobą po raz kolejny i umierać ze strachu, że znowu stanie w miejscu.

Aż w końcu docieramy do celu, a ona wpada na mnie z impetem i opiera dłonie na mojej piersi, patrząc na mnie z prawdziwym uwielbieniem oraz czystym uczuciem. Kładę wtedy ręce na jej talii, przy czym zaciągam się mroźnym powietrzem, ignorując topniejący na skórze śnieg.

– Rety, Ryder... – wydycha Love, a spod jej powiek wypływają wciąż mokre ślady.

Nie pozwalam, by uścisk moich dłoni na biodrach dziewczyny zelżał.

– Za szesnaście miesięcy przywieje mnie tu znowu, a ty będziesz chciał mnie stąd jeszcze wykopać...

– Dziewczyna kręci głową, mając niezmiennie uniesione ku górze kąciki ust. – Nawet na Hawaje do surferów, żeby tylko się ode mnie opędzić.

Po tych słowach śmieje się przez łzy, a ja marszczę brwi.

– Bez przesady. Nie do surferów.

Instynktownie przyciągam ją do siebie mocniej i poprawiam jej czapkę.

– Nawet w tym momencie uparcie pilnujesz, żebym nie zmarzła – stwierdza cholernie rozczulona, po czym milknie na krótką chwilę, by dopowiedzieć coś cicho pod nosem: – Przypominasz moje schronienie, którym nikt przenigdy się nie stanie.

Love zbliża się wtedy maksymalnie, a następnie wtula policzek w moją pierś, przytulając się kurczowo do mojego ciała. Od razu odwzajemniam uścisk, potrzebując tak strasznie powiedzieć jej coś jeszcze. Coś, co gnieździ się we mnie naprawdę głęboko.

– Love? – zaczynam nagle.

Dziewczyna podrywa głowę.

– Nie dziel się swoją sceną – dorzucam dyskretnie, kiedy zyskuję pewność, że patrzymy wprost na siebie. – Nie dziel się sceną, którą wywalczyłaś tym, jak bardzo się starałaś.

W brązowych oczach maluje się ledwie zauważalny błysk, gdy dokańczam:

– Podbij ten świat, skarbie. Naprawdę to zrób.

Nie mam pojęcia, ile trwamy w uścisku, otuleni śniegiem i gęstwiną krzaków. Pośród nich dostrzegam niewielki, otoczony kamieniami stos wypalonych kawałków drewna, który ubiegłej zimy okazał się dla nas użyteczny. Po czasie podchodzimy do niego, zapadając się podeszwami butów w wielkich zaspach puchu, a Love od razu zwraca się do mnie z propozycją:

– Zrobimy ognisko?

Mierzę ją uważnym spojrzeniem od stóp do głów.

– Masz jasny płaszcz. Mógłby się pobrudzić.

Dziewczyna gryzie wargę.

– Trudno.

Kiwam głową, przyznając jej rację.

– Tak, przyślę ci podobny, gdy przez miesiąc nie będziesz ruszać się z tego całego Phoenix – obwieszczam, a Love mruży oczy, wyrażając tym samym swoje niezadowolenie.

Mina jednak prędko jej łagodnieje, gdy tylko podchodzi do jednej z zasp śniegu, a potem... potem bez ceregieli kładzie się w niej, wypuszczając zmęczone tchnienie spomiędzy warg. Love przymyka ociężałe powieki, jakby na moment chciała po prostu odsapnąć.

Podchodzę do niej powolnym krokiem, a następnie również w mozolnym tempie kładę się tuż obok, nie przywiązując uwagi do tego, że mam na sobie elegancki płaszcz.

– Mieliśmy robić ognisko – zauważam z lekkim, pobłażliwym uśmiechem.

Love nie otwiera oczu. Obłok ciepłego powietrza opuszcza jej usta, gdy mówi:

– Możemy chwilę z nim poczekać.

Kiwam głową, nawet jeśli tego nie zobaczy.

– Możemy – potwierdzam. – Możemy chwilę z nim poczekać.

– Za kilkanaście dni są twoje i Richarda urodziny. Widziałam zaproszenie od Jane na coroczny bankiet w Denver – wzdycha Love, a ja od razu przypominam sobie kopertę, którą dostarczył mi niedawno Kayden, kiedy wracał ze stolicy od Chloe.

Zostawiłem ją na widoku w kuchni. Jasne, że Love ją zauważyła. Teraz uchyla powieki i po tym, jak przekrzywia głowę, spogląda na mnie spod przyprószonych śniegiem rzęs.

Przebiegam językiem po wnętrzu policzka i stwierdzam:

– Nie musisz na nie odpowiadać. Ja to... odkręcę.

– Po prostu wiedz, że w piwnicy obok wina jest twój prezent.

Marszczę brwi. *Prezent? Jaki, u licha, prezent?*

– Kolejny świąteczny sweter? – pytam kpiąco.

Love unosi zaczepnie brew.

– Może?

– Obciachowy?

– Nawet jeśli, to co?

Wzruszam ramionami i wyciągam dłoń, by odgarnąć jej z ust pasmo włosów.

– Nic – odpowiadam spokojnie. – Powiem, że był strzałem w dziesiątkę.

Moja ukochana szczyrzy się do mnie.

– Jak cała ja – rzuca dumnie.

– Jak cała ty... Chociaż nie.

Zdezorientowanie wykwita na twarzy Love.

– Ty ciągle jesteś moim strzałem w dziesiątkę, Love – reflektuję się, na co dziewczyna parska cichym śmiechem i zrywa się delikatnie z dużej zasy, by móc się na mnie wgramolić. Nie protestuję w żaden sposób, w czasie gdy szuka komfortowej pozycji na moim ciele.

Po chwili usadawia się już wygodnie i opiera swobodnie brodę na mojej piersi.

– Masz śnieg na twarzy – zauważa, a jej kącik ust podjeżdża do góry.

– Zetrzyj go.

Love posłusznie wystawia dłoń w stronę mojego policzka, lecz zanim zdąży go nią w jakikolwiek sposób dosięgnąć, przechwytyję ją w locie, a potem składam kilka muśnięć na jej wierzchu. Dziewczyna uśmiecha się jeszcze szerzej, wierząc się na mnie.

– Poprosiłeś o to specjalnie – wysnuwa trafny wniosek.

Przytykam jeszcze raz wargi do jej chłodnej skóry.

– Nawet podrzuciłem ci kiedyś tę mysz specjalnie.

W brązowych oczach wykwita iskra.

– Wiedziałaś – prychna Love.

A potem zabiera dłoń i z uśmiechem przyciska policzek do mojego torsu, szepcząc:

– Nie miałam za to pojęcia, jak strasznie zawróci mi pan w głowie, panie Callahan.

Tego zimowego wieczora odwożę Love do lokalnej szkoły baletowej, a na jej mokrych od łez ustach

błąka się odpowiedź będąca destrukcyjnym dla nas: *zgadzam się*.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY



RYDER

Odchylam się na fotelu i wyglądam za przeszkloną ścianę w swoim pogrążonym w półmroku gabinecie. Patrząc bez emocji w dal, zaczynam mieć powoli dość widoku trwającej w najlepsze zimy. W końcu dopiero z końcem tej następnej odzyskam swoją Love. Swoją Love, która odkąd parę dni temu wyleciała do Arizony, żeby pognać za karierą, odzywała się coraz rzadziej.

To jednak nic, czego bym się nie spodziewał.

Ani nic, co miałbym jej za złe.

Myślę, że nadal wdraża się w kompletnie nowy dla niej świat. Próbuje z całych sił się z nim oswoić. Stara się pokazać grupie z jak najlepszej strony i wkłada całe serce w to, żeby udowodnić każdej jednej osobie, że nie znalazła się tam przypadkiem.

Przeczuwałem, że tak będzie.

Nie domyślałem się jednak, jak mocno będę musiał zacisnąć zęby, byle tylko znieść jakkolwiek jej nieobecność. Od pięciu dni wkraczając mroźnymi wieczorami do cichego, zaciemnionego bliźniaka, czułem się pokonany wiedzą, że wchodząc w głąb domu, nie natrafię spojrzeniem na siedzącą przy ozdobionej choince ze zwierzakami, uśmiechniętą Love.

Od pięciu dni bez przerwy odczuwałem jej brak.

Było wiele chwil, w trakcie których doskwierał mi on jeszcze bardziej. Chociażby gdy zwlekałem się o ekstremalnie wczesnej godzinie z łóżka, by wyprowadzić Gargamela – wtedy przyłapywałem się na szukaniu w pościeli po omacku dłoni śpiącej Love, by przyciągnąć ją do ust. Za żadnym razem nie poczułem na wargach ciepła skóry mojej ukochanej Porter.

A naprawdę potrzebowałem czegoś tak... niewinnego.

Po prostu niewinnego powrotu do czasu, kiedy wszystko było na swoim miejscu.

Przecieram palcami zmęczone oczy i znowu kładę rękę na podłokietniku fotela. Akurat słyszę jakieś poruszenie rozbrzmiewające za drzwiami, więc odwracam powoli głowę w ich kierunku. Ktoś zaczyna pukać w drewno, a ja nie mam pojęcia, kto to mógłby być. W końcu minęły dobre trzy godziny, odkąd skończyłem spotkania z pacjentami na dzisiaj.

Odchrząkuję znacząco, a potem rzucam donośnie:

– Proszę.

Z westchnieniem podwijam rękawy białej koszuli i podjeżdżam na fotelu do biurka. Dopiero wtedy ponownie wlepiam wzrok w drzwi, zza których wychylają się dwie osoby.

– Można? – Uśmiechnięta Chloe unosi pytająco brew, trzymając przy sobie małego Raine'a, który rozgląda się z zaciekawieniem po gabinecie.

Patrzę na siostrę spod przymrużonych powiek i podnoszę się do pionu.

– Chloe? – nie ukrywam zaskoczenia. – Co wy znowu robicie w Aspen?

Mały wystrzela w moją stronę, gdy tylko Chlo puszcza jego ramię.

– Robimy niespodziankę, wujku – opowiada wesoło, zanim dobiega do mnie, a ja kucam i biorę go na rękę. W międzyczasie słyszę kliknięcie klamki. Moja siostra również wchodzi w głąb gabinetu, tyle że od razu siada na kanapie przeznaczonej dla moich pacjentów.

– Robicie niespodziankę – powtarzam za pięciolatkiem i poprawiam go sobie w rękach, skupiając się już tylko na jego rozweselonej twarzy. – Komu ją robicie, co?

– Kaydenowi.

Unoszę słabo kącik ust na ekscytację w głosie chłopca.

– Przez telefon zdawał się mieć okropny humor, dlatego wpadliśmy – tłumaczy nieco zmartwiona Chloe, a ja uciekam spojrzeniem do jej spokojnych oczu. – Tylko kończy zmianę w kinie dopiero za jakąś godzinę, więc stwierdziliśmy, że przez ten czas pozawracamy ci głowę.

Nie tylko ja nie mogę się pozbierać, przechodzi mi przez myśl. Ale wcale mnie to nie dziwi. Love również dla Kaydena była częścią codzienności. Razem pracowali w kinie, razem studiowali, od paru lat byli praktycznie nierozłączni. On też musi czuć się zwyczajnie źle, kiedy znalazła się tak daleko.

Na myśl o dzielących nas teraz siedmiuset milach robi mi się okropnie niedobrze.

Bardziej niedobrze robi mi się tylko, gdy Chloe zwraca się do mnie z pytaniem:

– Love jest na uczelni? Byliśmy w bliźniaku, ale nikogo nie zastaliśmy.

Smutek ponownie zaczyna uwierać moje zranione serce. Przełykam z wysiłkiem i odkładam małego, żeby mógł stanąć na własnych nogach oraz przemknąć na kanapę do mamy. Sam podchodzę w dwóch krokach do biurka, na którego krawędzi przysiadam.

Stamtąd spoglądam na siostrę przygaszonym spojrzeniem.

– Kayden jeszcze o niczym ci nie powiedział – zgaduję cicho.

Wyraźnie zdezorientowana Chloe ściąga brwi.

– Co? O czym niby miałyby mi powiedzieć?

Bawię się mankietem rękawa i spuszczam beznamiętny wzrok na podłogę. Przez chwilę milczę. Chyba po prostu próbuję pokonać opór, który odczuwam na myśl, że mam wydusić z siebie opowieść o tym, jak i przez co... straciłem swoją Love na tak okrutnie długi czas.

Wyczuwam, jak szare oczy siostry uważnie śledzą na pewno zmarnowaną mimikę mojej twarzy. A ja dopiero po upływie kilkunastu sekund i znoszeniu ciszy panującej w gabinecie odwzajemniam jej spojrzenie oraz rozchylam usta, spomiędzy których wydostaje się licheszy szept:

– Love... jest teraz bardzo daleko stąd.

Chloe uśmiecha się oraz rozkłada ręce.

– Ryder, każdemu przecież należy się krótki urlop.

Dziewczyna przyciąga do siebie również wesołego synka.

– Każdy raz na jakiś czas powinien złapać oddech, odwiedzić jakieś ładne miejsce i odetchnąć – ciągnie, przewracając z rozbawieniem oczami, a ja czuję, jak zaczynają pocić mi się dłonie. – Nie róbmy z tego nie wiadomo czego, to normalne, a wy zachowujecie się, jakby...

– Chloe, ona naprawdę jest teraz bardzo daleko stąd – przerywam jej słabym tonem.

Następnie wciągam powietrze nosem i od razu je wypuszczam.

– Tylko dlatego, że wyjechała robić karierę.

Zraniony znaczeniem własnych słów odbijam się od biurka i podchodzę do przeszklonej ściany. Mam wrażenie, że z chwilą, kiedy wypowiedziałem je w przestrzeń, ciężki balast, który dźwigam na swoich barkach, nie stał się ani trochę lżejszy. To wciąż dokucza mi tak mocno...

Wsuwam dłonie do kieszeni eleganckich spodni i wyglądam za szybę.

Niebo ciemnieje z każdą upływającą minutą.

– Wyjechała krążyć po całych Stanach przez szesnaście miesięcy – wyjaśniam cicho. – Występować na wielkich scenach i zbierać pochwały setek tysięcy ludzi. Wyjechała prawie tydzień temu, a ja, nawet jeśli twierdziłem, że jakoś zniosę jej nieobecność, już teraz mam wrażenie, że ona nie daje mi w kość, tylko wydziera moje jebane serce. – Zaciskam usta.

Zwieszam nieznacznie głowę i patrzę, jak ludzie przechadzają się chodnikiem.

– To już teraz przypomina koszmar. Ja... nie wiem, Chloe.

Chociaż tego nie widzę, czuję, że siostra wciąż uważnie mi się przygląda.

– Nie wiem, czy nie zmarnuję wszystkich sił, by przecześć te szesnaście miesięcy, na samym starcie. Boli mnie to, że nie mogę nawet jej do siebie przytulić, że zaraz nadejdą święta, a ja tak strasznie nie chcę spędzać ich inaczej niż w ubiegłym roku, gdy spędzałem je z nią.

Wyciągam dłoń z kieszeni i przecieram nią strudzoną twarz.

– Wtedy zrobiła mi z kuchni pobjowisko – wspominam, uśmiechając się krzywo i niewyraźnie, a następnie opuszczam bezradnie rękę i odwracam głowę, by spojrzeć na Chlo.

Tak jak sądziłem, skupiona jest tylko na mnie, zaś Raine na jej telefonie.

Mija krótki moment, zanim kontynuuję nostalgicznie:

– Cały dom ubrała we wnerwiająco lampki, a na końcu zdarła sobie gardło, drąc się do świątecznych piosenek – dopowiadam z ledwie wyczuwalnym rozbawieniem. – Kazała mi wychodzić ze sobą na spacer, kiedy padał śnieg, leżeć z nią na kanapie przy ciepłym kominku, poprawiać ozdoby na choince tysiąc razy, a ja naprawdę to polubiłem. Te święta i... całą ją.

Przechodzę spojrzeniem zaciemnioną przestrzeń i wypuszczam tchnienie.

– Wszystko po to, żeby rok później zamknąć się w pustym gabinecie i udawać, że wcale nie łamię sobie głowy, że w najbliższym czasie to się nie powtórzy. – To jedno zdanie, które wyrzywa mi się pomiędzy ustami, wypowiadam w cholernie żalospodobny sposób.

Ponieważ naprawdę tego nie powtórzymy.

Nie w te święta. Nie w następne.

Boże, jak to okropnie boli.

– Bo ona jest siedemset mil stąd i z każdym miesiącem będzie znajdować się jeszcze dalej – dokończam z trudem i nagle zapatrzonej w ścianę czuję przy sobie czyjąś obecność.

To Chloe zdążyła podnieść się ze znajdującej się nieopodal sofy i znaleźć obok mnie. Teraz stoi nieruchomo, zadziera delikatnie brodę i patrzy w moim kierunku ze współczuciem migoczącym w szarych oczach, odcieniem zbliżonych do moich. Czując, że oparła smukłą dłoń na moim ramieniu, nakrywam ją swoją i wypuszczam przeciągłe westchnienie.

Siostra jedynie pociąga smutno nosem, nadal mnie obserwując.

– Kayden nie powiedział mi jeszcze o tym... Nic a nic.

Słyszę jej drżący głos i czuję, jak bije od niej niepokój.

– Może dlatego, że to stało się w przeciągu kilku dni – wysnuwam swój wniosek, pewny, że Kayden mógł po prostu w tym czasie nie czuć się gotowy, by o tym gadać. – Love musiała podjąć tę decyzję bardzo szybko. Przez dwie doby była się z myślami, jak powinna postąpić.

Aż w końcu zgodziła się wyjechać, więc teraz... teraz muszę wziąć się w garść.

Muszę być silny. Ona również musi taka być. Oboje musimy być silni.

Nawet jeśli pierwsze dni z daleka od siebie przypominają mękę.

Chloe zsuwa dłoń z mojego ramienia i opiera o nie skroń.

– Przykro mi – wyszeptuje szczerze i spuszcza wzrok.

Ale mi i tak nie umyka, że oczy błyszczą jej od łez.

– Tak strasznie mi przykro, Ryder...

Obejmuję ją w tali i przyciągam mocno do siebie.

– Nie powinno, Chlo – odpowiadam już spokojnie i tak, jakbym nie czuł się wciąż paskudnie źle. – Ja też nie powinienem się załamywać. W końcu Love spełnia marzenia, a ona, akurat ona po tym wszystkim, co przeszła, zasłużyła, żeby los się do niej uśmiechnął.

Oboje milczymy przez kilkanaście sekund. Mały Raine nawet jeśli przeczuwa, że temat, który krąży po gabinecie, jest poważny, nie wtrąca się w rozmowę w żaden sposób. Nieprzejęty koncentruje całą uwagę na ekranie telefonu, zgaduję, że grając w jakąś grę.

Wtem Chloe podrywa głowę i znowu na mnie spogląda.

– Szesnaście miesięcy... – zaczyna z lekką chrypką.

Również skupiam wzrok na jej zasmuconej twarzy.

– Więc po tym czasie skończą się jej występy.

Przytakuję i wykrzywiam delikatnie usta. Na razie to bowiem tylko szesnaście miesięcy. Istnieje szansa, że jeśli Love wróci do Aspen za ten czas, minie ich kilka, a potem ta cała grupa baletowa, korzystając z tego, że jest tak strasznie rozslawiona, wybierze się w kolejną trasę.

A Love... Love wybierze się w nią razem z nimi.

Historia zatoczy koło.

Chloe mruga powoli, gdy patrzymy na siebie bez słów, a ja zaczerpuję wdech.

– Boję się, bo to może się zdarzyć – wyznaję niemrawo, nieprzerwanie oraz mocno przytulając do siebie przygnębioną siostrę. – Po tym czasie może nie być, co po nas zbierać...

Gryzę policzek, wlepiając wzrok w zamknięte drzwi. Tak naprawdę jeśli Chloe będzie chciała się ze mną zobaczyć kolejny raz, powinna najpierw sprawdzić, czy nie ma mnie w poradni. Przesiadanie w domu już pięć dni temu przestało kojarzyć mi się dobrze, więc ograniczałem je. Dbałem jednak, jak

mogłem, by zwierzaki nie odczuły braku Love.

Wyrwany z krótkiego letargu westchnieniem siostrzeńca, kiwam głową.

Robię to w zamyśleniu, przy czym stwierdzam pod nosem:

– Ale dam z siebie wszystko, by tak nie było.

Chloe odpowiada mi coś niezrozumiałego, a ja o czymś sobie przypominam.

– Kiedyś zupełnym przypadkiem rozmawialiśmy z Love o tym, że nie dalibyśmy rady tak jak wy – mówię, choć nasza sytuacja trochę różni się od sytuacji Chlo i Kaydena, bo oni mogą do siebie jeździć, kiedy tylko chcą. – Tkwić w relacji na odległość. Nie pomyślałbym, że kiedyś będę stał właśnie tutaj, patrzył w dal i błagał, żeby wszystko poszło po naszej myśli.

Gdy to robię, wydaje mi się, że zaczynam zapadać się w sobie coraz bardziej.

Rozchyłam nieznacznie usta, lecz długo nic nie mówię.

– Żeby mnie i Love... żeby nam się poszczęściło – wyduszam w końcu.

Stojąca obok dziewczyna wyswobadza się z moich objęć i wyrasta nagle przede mną. Chloe chwytą moją dłoń. Patrzy na mnie, mając w oczach coś na kształt czystego przekonania.

– Jestem pewna, że tak będzie – stwierdza, machając delikatnie moją ręką w powietrzu. – Uporacie się ze wszystkim, na pewno to zrobicie.

Potem na moment spuszcza wzrok, jakby z zawstydzeniem.

– Ryder, przepraszam, że naciskałam, żebyście dali znać, co z bankietem – mówi, znowu krzyżując ze mną spojrzenie, a ja natychmiast przypominam sobie pytania, które od niej dostawałem w ciągu ostatnich dni. Wszystkie dotyczyły nieszczęsnego bankietu.

Od razu kręcę bezpretensjonalnie głową, by nie produkowała się na ten temat.

– Nie wiedziałaś. Jest dobrze, Chloe – zapewniam ją. – Po prostu nie przyjedziemy.

Brunetka przygląda mi się bacznie, z niemym zatroskaniem.

– A może powinienes przyjechać? – wzdycha, przesuwając uważnym spojrzeniem po mojej twarzy. – Wyglądasz tak marnie. Siedzenie non stop w gabinecie cholernie ci nie służy.

Już chcę jej odpowiedzieć, gdy wtem oboje słyszymy szmer. Odwracamy głowy. Mały zeskakuje akurat z kanapy, zostawiając na niej telefon. Rusza do nas szybkim krokiem, aż w końcu zatrzymuje się tuż pomiędzy nami, patrząc to na mnie, to na swoją mamę.

– Wujek nie przyjedzie do babci i dziadka? – pyta z zainteresowaniem.

Ani ja, ani Chlo nie wiemy chyba, co takiego moglibyśmy mu na to odpowiedzieć. Nie myślę za dużo, kiedy zabieram dłoń z lekkiego uścisku dziewczyny i kucam przy siostrzeńcu, żeby zrównać się z nim oraz powiedzieć mu coś prosto w twarz.

– Nie wiem, mały – rzucam odrobinę przyciszonym tonem.

Szare oczy patrzą na mnie z zaciekawieniem.

– Dlaczego nie wiesz?

W mojej głowie od razu kiełkuje ta najszczerza odpowiedź.

Bo ubiegłego roku będąc na nim z nią, czułem się naprawdę szczęśliwy.

A tej zimy... tej zimy czułbym się tam bez niej jak skończony wrak.

Chowam jednak to wszystko głęboko w sobie i rzucam:

– Zastanowię się, dobrze?

Otrzymuję w zamian krótkie skinienie. Czochram więc dłonią czuprynę siostrzeńca i na powrót wstaję. Robię to w tej samej chwili, w której po gabinecie rozbrzmiewa odgłos nadchodzącego połączenia. Chloe od razu podchodzi do kanapy i podnosi z niej komórkę.

Patrząc na jej ekran, skubie nerwowo zębami wargę.

– To mama – mówi z lekkim zawahaniem po tym, jak wymieniamy spojrzenia. – Ona... kazała mi tutaj przyjść i cię ponaglić, żebyś nareszcie się określił, kiedy przyjedziecie.

W sumie mogłem się tego spodziewać, stwierdzam w duchu.

Podchodzę do biurka i zamykam z cichym trzaskiem laptopa, z którego na pewno dzisiaj już nie będę korzystał. W międzyczasie zastanawiam się, jak rozegrać sprawę z tym beznadziejnym bankietem. Najchętniej naprawdę nie jechałbym do Denver, ale szkoda mi mamy, która co roku chciałaby mieć przy sobie w dniu urodzin zarówno ojca, jak i mnie.

Zgarniam notesy z biurka i kładę je na jednej z półek regału.

– Powiedz jej, że być może przyjadę sam – mówię w końcu.

Odwracam się ponownie do siostry i dodaję niemrawo:

– Powiedz też zresztą dlaczego.

Chloe nie wydaje się przekonana moją propozycją.

– Powinam to zrobić ja? – pyta wąpiąco, wciąż trzymając w dłoni dzwoniący telefon, a ja porządkuję resztę rzeczy na biurku, stwierdzając w myślach, że muszę niedługo, jak Chloe i mały wyruszą do Kaydena, również udać się do domu, żeby dać zwierzakom kolację.

No i może wybrać się na jakiś dłuższy spacer z Gargamelem.

– Tak – odpowiadam siostrze, zgarniając jeszcze z powierzchni biurka swój telefon i chowając go do kieszeni. – Nie chcę, żeby ktokolwiek więcej podnosił mnie na duchu, Chloe.

Potem zbliżam się do dziewczyny, a ona patrzy na mnie znowu z troską.

– Ryder...

– Jest okej – ucinam krótko temat. – Nie potrzebuję tego.

Uporam się z tym. Przywyknę do tego. Przywyknę do braku Love.

Chloe wypuszcza przeciągły oddech z płuc, odbiera telefon i rusza w stronę korytarza, by porozmawiać z Jane. Ja w tym czasie ponownie kucam przed siostrzeńcem rozglądającym się z zaciekawieniem po pomieszczeniu, w którym panują coraz to większe ciemności.

– Trochę tutaj strasznie – mówi, podziwiając surowy wystrój.

Unoszę słabo kącik ust, przyznając mu rację skinieniem.

– Pokazać ci cały gabinet? – proponuję.

Mały kiwa energicznie głową.

– Tak.

– No to wchodź – mówiąc to, obracam się do niego tyłem, by mógł wskoczyć mi na plecy. Siostrzeniec od razu się mnie uczepia, a ja wstaję i zaczynam krążyć z nim po gabinecie i skrycie liczyć na to... liczyć na to, że z czasem jakoś się z tym wszystkim oswoję.

Jakoś przebrnę przez te szesnaście długich miesięcy bez Love.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI



RYDER

Unoszę powoli spojrzenie znad laptopa i przeczesuję dłonią rozczochrane włosy. Dopiero teraz, rozglądając się wokoło, orientuję się, że ogień w kominku dogasł, a czerń zalała pokój. *Szlag, znowu zaczytałem się w cholernych artykułach o grupie baletowej*, uświadamiam sobie. Zdarzało mi się to często, odkąd przypadkowo znalazłem w jednym z nich wzmiankę o Love. Od tego czasu zacząłem przyglądać jej codziennie, chcąc nadażyć za tym, co się u niej dzieje.

Szkoda, że akurat w tej chwili czytanie ich znowu nie wychodzi mi na dobre.

W czasie lektury zupełnie straciłem poczucie czasu i przez to pewnie spóźnię się na dzisiejszy bankiet w Denver. Chociaż mam takie przecucie, nie pędzę na złamanie karku do sypialni, żeby jak najszybciej się ogarnąć. Zamiast tego odkładam niespiesznie laptopa i drapię siedzącego obok Gargamela za uchem, wbijając wzrok w przystrojoną choinkę.

Minęło już kilkanaście dni, odkąd Love wyleciała do Phoenix.

A ja wciąż śledzę uważnie jej życie w Arizonie. Wsłuchuję się w każde słowo, którym opisuje mi przez telefon spędzone tam pierwsze dwa tygodnie. Podobno przygotowania do występów idą pełną parą. Każdy wylewa siódme poty, bo wie, że za niedługo mu się to opłaci i zostanie pochwalony za swój wysiłek brawami.

Love mimo wszystko czuje się tam podobno nieswojo. Brakuje jej mnie, tak jak mnie brakuje jej. Ostatnio przyznała mi się, że któreś nocy spędzonej w hotelowym apartamencie przez głowę przeszła jej myśl, żeby wrócić, bo kiedy zasypia... za bardzo potrzebuje czuć mnie przy sobie. Powiedziałem jej wtedy, że to minie, a my *jakoś dobruimy do końca*.

Boże, Love. Dobrujmy do końca.

Tak strasznie potrzebuję mieć cię z powrotem.

Po chluśnięciu w twarz zimną wodą, doprowadzam się do porządku i przebieram w eleganckie, bardziej pasujące do okazji, ciuchy. Później wychodzę z domu na padający śnieg i wsiadam do range rovera, żeby udać się w samotną podróż do Denver. Kiedy docieram już prawie do celu słyszę odgłos przychodzącego połączenia. Zerkając mimochodem na komórkę, od razu je odbieram i przełączam na tryb głośnomówiący, kładąc sobie urządzenie na nogach.

Jednocześnie wciąż prowadzę samochód, skupiony na widoku pokrytej błotem jezdni. Wycieraczki odgarniają z szyby kolejną niedużą warstwę śniegu, a szum ulicy dociera do wnętrza samochodu przez uchyloną nieznacznie szybę, na co od razu zwraca uwagę Love.

– Dobrze słyszysz? Jedziesz gdzieś? – pyta zaciekawiona, a ja wzdycham cicho.

– Tak, na bankiet do Denver.

Dziewczyna od razu orientuje się, o jaki bankiet mi chodzi.

– Ach, ten z okazji urodzin twoich i Richarda – przypomina sobie i założę się, że jej twarz zdobi uśmiech w tym jednym momencie, kiedy dodaje jeszcze: – Gdybym była teraz w twoim samochodzie i zaśpiewała ci coś z tej okazji, pewnie byś mnie wysadził.

Również uśmiecham się, tyle że słabo i nostalgicznie.

– Pewnie bym to zrobił.

– Więc jeśli teraz zaśpiewam ci coś, bo masz urodziny, rozłączysz się?

– Nie... myślę, że tym razem ci odpuszczę – odpowiadam, siląc się na lekko rozbawiony ton, a następnie zatrzymuję się przed bramą wjazdową na posesję rodziców i czekam cierpliwie kilka minut, aż ochrona mi ją otworzy. – Opowiedz mi o Phoenix, w porządku?

Sięgam po leżący na nogach telefon i w oczekiwaniu na to, aż będę mógł wjechać, przełączam tryb rozmowy. Teraz widzę twarz Love na ekranie komórki i czuję, jak jej widok przynosi mi pewien rodzaj ulgi. Porter leży na brzuchu na materacu łóżka i zdmuchuje sprzed nosa kosmyk ciemnych włosów, gdy patrzy na mnie z niezmiennym uśmiechem.

– Nie umywa się do Aspen... – zaczyna, lecz prędko milknie, gdy tylko ktoś wchodzi do jej pokoju, co rozpoznaję, słysząc trzask drzwi. Love odwraca głowę. – Co się stało, Zack?

Ściągam brwi i dociskam gaz, bo brama zdążyła się już otworzyć. Dopiero po czasie Love skupia uwagę na rozmowie, dlatego od razu zadaję jej cholernie nurtujące mnie pytanie:

– Zack? – Zdecydowanie jestem zbyt dociekliwy. – Jaki Zack?

Dziewczyna wzrusza ramionami z nieprzejęciem.

– To choreograf naszej grupy. Chciał coś.

– Rozumiem – przytakuję. – A faceci?

– Słucham?

Zatrzymuję samochód na parkingu, gdzie stoi zaparkowanych całkiem sporo aut. Mimo że dotarłem do celu swojej podróży, nie kończę połączenia. Wyciągam kluczyki ze stacyjki, odpinam pas bezpieczeństwa oraz poprawiam swój czarny krawat, kiedy dopytuję:

– Nie umywają się do tych w Aspen?

Love przekrzywia głowę oraz uśmiecha się pięknie.

– Nie umywają się do mojego narzeczonego. Sprawdziłeś piwnicę?

Poprawiam się na siedzeniu, siedząc w ciemnym aucie.

– Czy są w niej szczury? – zgrywam kretyna.

Dziewczyna przewraca z rozbawieniem oczami.

– Zostawiłam ci tam...

– Wiem – przerywam jej i nie spuszczam wzroku z brązowych oczu patrzących na mnie ze szczerą radością. – Prezent urodzinowy obok wina. Zerknę na niego, jak wrócę do domu.

Pewnie dość szybko, przechodzi mi przez myśl. Nie zamierzam przesiadywać w Denver w nieskończoność, myślę, że dwie godziny znoszenia tych bankietowych tortur w zupełności wystarczą. Moje podejście pewnie byłoby całkiem inne, gdyby towarzyszyła mi dzisiaj Love.

Ale ona wcale mi tutaj dzisiaj nie towarzyszy. Nie robi tego dzisiaj.

Ani nie będzie robić tego przez najbliższe szesnaście miesięcy.

– Mam nadzieję, że się zakochasz – mówi żywo dziewczyna.

Love zaczesuje kosmyk włosów za ucho, a ja znowu się uśmiecham.

– Cokolwiek to jest, musiałbym najpierw odkochać się w tobie – rzucam cicho pod nosem i patrzę, jak brunetka przetacza się po łóżku, parszkając głośnym, szczerym śmiechem.

– Pokażę ci bałagan, jaki mam w pokoju, i zapewniam, że przyjdzie ci to łatwo. – Po tych słowach rzeczywiście oddała telefon od twarzy, by móc objąć zasięgiem kamery swój hotelowy apartament. Jest spory, jasny, bogato urządzone, ale też wala się po nim co popadnie.

Cała Love Porter, kpię w duchu i uśmiecham się szerzej, nie uciekając rozbawionym spojrzeniem od ekranu telefonu, chociaż już zaliczyłem niezłą gafę – spóźnienie na bankiet odbywający się tuż pod moim nosem z okazji również moich cholernych urodzin.

Mimo tej wiedzy opieram swobodnie rękę na drzwiach auta i stwierdzam:

– Lepiej go ogarnij, bo znając twoje szczęście, potkniesz się, zaliczysz glebę i kontuzja gwarantowana. A chyba jej akurat teraz nie potrzebujesz, co?

Love bierze głęboki wdech nosem i wraca do poprzedniej pozycji, ukazując mi swoją delikatnie zasmuconą twarz, na której dostrzegam odznaczające się sińce pod oczami. Pewnie dają jej popalić na niekończących się próbach i ma bardzo niewiele okazji do odpoczynku.

Gazety wypisują o tym, że szykują wielkie widowisko, więc... pewnie tak właśnie jest.

– Wolałabym, żebyś stanął na środku pokoju, zmierzył mnie tym swoim surowym spojrzeniem i groźnie rozkazał mi to sprzątać – odpowiada moja Porter, unosząc wtedy z lekkim przygnębieniem kącik ust. – To na pewno ruszyłoby mnie z łóżka od razu.

Również uśmiecham się smutno.

– Ja też bym wolał to zrobić.

– Przyleć do mnie.

Te słowa, które wyrwywają się spomiędzy jej warg jakby niekontrolowanie, rozpalają we mnie coraz to większy ból. Naprawdę chciałbym odrzucić na bok każdy jeden obowiązek. Chciałbym zrezygnować chociaż na kilka krótkich dni z odwiedzania poradni, opiekiowania się zwierzakami i innych zajęć, które odwodzą mnie od tego, żeby wsiąść w samolot do Arizony.

Chciałbym znaleźć się w Phoenix, a nawet obejrzeć którąś z jej prób, przyjrzeć się jej staraniom z bliska. Ale... nie mogę. Nie teraz. Przecieram palcami oczy i opuszczam rękę na drzwi auta oraz krzyżuję spojrzenie z wyczekującą mojej odpowiedzi, pełną smutku Love.

Dopiero potem przełykam ślinę i wyduszam z siebie kilka cichych słów:

– Wiesz, że się stąd nie wyrwę. Nie tuż przed świętami, skarbie.

Moja ukochana odpowiada mi nieśmiałym skinieniem.

– Wiem to – potwierdza szeptem.

A potem spuszcza wzrok gdzieś w dół i gryzie zawstydzona wargę.

– Rzuciłam tym „przyjedź”, bo po prostu chciałabym cię tu przez chwilę mieć... – przyznaje, bardzo powoli unosząc zbolące spojrzenie na ekran telefonu i sprawiając, że mięsień mojej szczęki nieznacznie drga, bo najchętniej zacisnąłbym ją teraz naprawdę mocno.

Tak jak muszę mocniej zacisnąć zęby, by przeboleć jakoś tę całą sytuację.

– A ja chciałbym móc się tam jak najprędzej dostać, żebyś przez ten krótki czas mogła mnie mieć – kontryję podłamany i uciekam spojrzeniem do szyby, na którą opada coraz więcej śniegu. Mimo to wyglądając za nią, widzę wchodzących do posiadłości ludzi.

Jest ich dużo. Tak dużo, że jeszcze mniej chce mi się stąd wychodzić.

– Jak myślisz, kiedy najprędzej do tego dojdzie? – zastanawia się Love.

Przebiegam nerwowo językiem po wnętrzu policzka.

– Trudno mi to określić. Arizona nie jest... nie jest wcale blisko, a ja mam masę spotkań z pacjentami wpisanych w kalendarz i nikogo, kto mógłby zająć się zwierzakami, bo Kayden spędza podobno święta z Chlo w Denver – mówiąc to, ponownie spoglądam na swoją Porter, której twarz wykrzywia delikatny grymas. *Siedemset mil*, słyszę cichy głos w swojej głowie. *Siedemset mil to dopiero początek. Potem będzie już tylko gorzej.*

Instynktownie zaciskam pięść na drzwiach samochodu.

– Ale nawet jeśli zobaczymy się dopiero w styczniu, to nic, prawda? – Moja ukochana podpira brodę na dłoni, wciąż leżąc nieruchomo w jednej wygodnej pozycji na dużym łóżku.

Rozchyłam nieznacznie usta, lecz moją odpowiedź wyprzedza jej kolejne pytanie:

– Nie wyrzucisz mnie z głowy, prawda?

– Za żadne skarby, Love.

Dziewczyna milczy przez kilka sekund, jakby się nad czymś zastanawiała.

– Ryder? Czy ty już dawno dojechałeś na miejsce?

Natychmiast rozglądam się po prowizorycznym parkingu. Jest porządnie zaśnieżony, pęka w szwach od samochodów i już nikt się po nim nie przechadza. *Wszyscy na pewno uciekli do środka przed ujemną temperaturą, jaka tego wieczora panuje w Denver*, uświadamiam sobie.

Zerkam ponownie na ekran telefonu i tym samym na Love.

– No... tak. Dojechałem dawno na miejsce.

Dziewczyna marszczy brwi.

– Nie wchodzisz?

Nie zastanawiam się długo nad odpowiedzią.

– Wolę patrzeć na ciebie jeszcze przez moment – rzucam absolutnie szczerze.

Zasmucona Love uśmiecha się delikatnie, niejako z pewnym sentymentem.

– Szkoda, że nie mogę wejść tam z tobą – zaczyna cicho, jakby mówiła sama do siebie. – Jak rok temu. Moglibyśmy pograć w bilard. Porobić sobie głupie zdjęcia albo mógłbyś znieść mnie znowu po schodach i marudzić przy tym, że porównuję cię do zielonego Shreka.

Tak, ja też wolałbym, żeby ten wieczór przypominał do złudzenia tamten. Myśląc o nim, od razu zaczynam czuć ciepło rozlewające się po klatce piersiowej. Unoszę rękę położoną swobodnie na drzwiach samochodu, a potem opieram o nią głowę i dorzucam coś od siebie:

– Albo mógłbym zabierać cię pod jemioly i pod każdą całować... jak wtedy.

Mam głupie wrażenie, że oczy Love delikatnie jaśnieją.

– Skoro o tym mowa, nie zbliżaj się do nich, gdy nie ma mnie przy tobie – rzuca, starając się przy tym brzmieć surowo i groźnie, lecz zdradza ją dyskretny uśmiech, po którym nie zostaje ślad, kiedy po drugiej stronie znowu słyszę charakterystyczny trzask zamykanych drzwi.

Love po raz kolejny ucieka spojrzeniem gdzie indziej.

– Już idę – wzdycha. – Moment, dobrze?

Po kilku sekundach zostaje sama w pokoju.

– Znowu ten... Zack? – dopytuję niemrawo.

Wydaje mi się, że widziałem to imię w jednym z artykułów. Rzeczywiście facet mógł być wspomniany w nim jako choreograf grupy. Podobno jest młody, ale cholernie zdolny. W całym tym przedsięwzięciu bierze udział od kilku dobrych lat. Tak przynajmniej doczytałem.

Wracam jednak myślami do Love, gdy tylko słyszę, jak wstaje z łóżka.

– Mamy wieczorną próbę. W końcu za kilka tygodni pierwszy występ.

Odpowiadam jej na to przytaknięciem.

– Tak. Wieczorna próba, rozumiem.

– Zdzwonimy się, gdy będziesz w drodze powrotnej do Aspen – zapowiada, posyła mi jeden ze swoich uroczych uśmiechów, a potem rozłącza się, zanim zdążę zwrócić się do niej z krótkim: *kocham cię straszliwie mocno, Love*.

Wypuszczam ze świstem powietrze i chowam telefon do kieszeni garniturowych spodni. Potrzebuję jeszcze paru minut, żeby zmobilizować się oraz otworzyć drzwi range rovera i zwlec się z fotela pasażera. Śnieg niezmiennie prószy z nieba, kiedy ruszam niespiesznym krokiem w stronę rezydencji, wsuwając dłonie do kieszeni ciężkiego, zimowego płaszcza.

Wchodzę do środka i już od progu czuję się zmęczony ilością bodźców, które do mnie docierają. Muzyka klasyczna rozbrzmiewa po posiadłości, tak jak gwar rozmów i głośne śmiechy osób zaproszonych na bankiet. Wkraczam głębiej w ten bałagan. Dopiero po pewnym czasie ignorowania cudzych spojrzeń odnajduję Jane i Richarda.

Stoją przy jednym z zastawionych stołów i sprawiają wrażenie zadowolonych z tego, jak przebiega zorganizowana przez nich uroczystość. Mama wygląda materiał czarnej, wieczorowej sukni i kiedy tylko mnie zauważy, posyła mi zatroskane spojrzenie.

– Przyjechałeś – zaczyna, całując mnie w policzek, a następnie przepuszcza tatę, by ten mógł poklepać mnie na powitanie po ramieniu. – Jak dobrze. Wszystkiego najlepszego, Ryder.

Kiwam głową w podziękowaniu i przeczesuję wzrokiem zapełnioną gośćmi przestrzeń.

– Znowu sporo tutaj ludzi – zauważam słusznie.

Mama chwyta delikatnie moją dłoń.

– Jak się trzymasz?

Ponownie skupiam się na jej twarzy.

– Jest w porządku. – Sam nie wiem, czy mówię jej prawdę, czy też kłamię w żywe oczy, bo nie jestem pewny, jak się czuję. Postanawiam zmienić temat, nie chcąc roztrząsać tego, co stało się ze mną i Love: – Gdzie Chlo i Kayden? Mały?

Odpowiedzi udziela mi ojciec.

– Poszli na spacer wokół domu. Zaraz powinni wrócić.

– Zaczekam na nich. Do was powoli ustawia się kolejka.

Wskazuję kiwnięciem na kręcące się przy nas tłumy. Już wyswobadzam dłoń z uścisku mamy z zamiarem odejścia gdzieś na bok, gdy nagle Jane zaciesnia swój chwyt. Od razu ponownie zaglądam w jej oczy, w których niezmiennie mieni się zmartwienie.

– Tak, mamo? – pytam nieco zbity z tropu.

Spomiędzy ust kobiety wyrzywa się westchnienie.

– Przyjeżdżaj teraz częściej, Ryder.

Początkowo nie mówię niczego.

– Będę się starał – odpowiadam w końcu, zanim odchodzę.

Zostawiam rodziców w towarzystwie gości i ruszam do przeciwległego stołu, przy którym nie krząta

się ich tak dużo. Stojąc przy nim, wyjmuję telefon i decyduję się poczekać, aż Chloe, Kayden i mały wrócą z tego spaceru. Pogadam z nimi trochę i wtedy się zmyję.

Natłok pracy brzmi jak ciągle tak samo skuteczna wymówka.

Przez dłuższy moment gapię się w telefon. Tkwiąc w zawieszeniu dosłownie kilka minut, zanim wchodzę na stronę grupy baletowej, którą ostatnio i tak odwiedzałem już często. Nie wiem, dlaczego wyszukuję na niej informacje o Zacku Mortonie. Po prostu robię to i czytam o nim, przynajmniej dopóki nie słyszę, jak odzywa się do mnie dziwnie znajomy głos.

– Nie wierzę.

Podrywam głowę znad ekranu komórki. Dostrzegam kogoś, kogo widok wcale nie powinien mnie dziwić. Mogłem domyślić się, że natknę się na nią tego wieczoru. Ubrana w błękitną sukienkę przyjaciółka siostry, której imię mi umknęło, patrzy na mnie z dołu z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

A ja naprawdę nabieram ochoty na to, żeby spławić ją natychmiast.

– W końcu wywiało cię z tego Aspen. Ale jesteś tutaj... sam? – pyta wyraźnie zdziwiona, przeczesując spojrzeniem skąpaną w świetle lamp salę wypełnioną ludźmi.

Ściągam brwi i zgaduję jej imię:

– Polly?

– Jesteś tutaj sam – ciągnie pod nosem. – Nie ma jej.

Chowam telefon do kieszeni płaszcza i sznuruję usta.

– Love nie mogła dzisiaj przyjechać ze mną, jeśli to ją masz na myśli.

Mój ton głosu jest zdecydowanie nieprzystępny, ale nie dość, że przeczuwam, że ta dziewczyna znowu będzie zachowywać się wobec mnie nachalnie, to jeszcze fakt, że zaczyna temat Love, który wciąż nie jest dla mnie łatwy, porządnie mnie rozdrażnia.

Polly prycha na moje słowa, poprawiając ramiączko sukienki.

– Nie mogła? – powtarza za mną. – To twój dzień, a ona nie mogła przyjechać z tobą? Gdybym to ja była na jej miejscu, rzuciłabym wszystko i tu przyfrunęła, żebyś nie czuł się tak, jak czujesz się teraz. Bo nie trzeba się specjalnie wysilać, żeby widzieć, że kiepsko z tobą.

– Powiniennem iść poszukać Chloe – mówię, czując się dziwnie nieswój.

Wycofuję się, lecz wtem brunetka oplata dłońią moją rękę.

– Nie idź. – Polly mruży podejrzliwie oczy. – O co z nią chodzi?

Marszczę czoło, patrząc na nią z miną, która niewiele wyraża.

– Z Love? O co niby ma z nią chodzić?

– Ma cię gdzieś, a ty się z tym godzisz.

Słyszę, jak jej słowa echem rozbrzmiewają w mojej głowie. Zaczynam czuć się jeszcze bardziej wytracony z równowagi, a to mnie cholernie dziwi, bo przecież byłem i wciąż jestem cierpliwy jak diabli. Natomiast teraz, gdy ona mówi to wszystko o Love... coś we mnie ożywa.

Jakaś jebana frustracja i niepokodzenie, które z trudem w sobie duszę.

Mija chwila, zanim rzucam jej zachrypniętym tonem w twarz:

– Nie ma mnie gdzieś.

Polly uśmiecha się fałszywie, przekrzywiając głowę.

– Więc dlaczego nawet teraz do ciebie nie wydzwaniam? Nie pisze? – wylicza to wszystko wściekle zadowolonym tonem, który jeszcze bardziej zaczyna podburzać we mnie pokręcone emocje. – Nie interesuje się tobą nawet dzisiaj. Dlatego wyglądasz tak paskudnie źle.

Mierzę ją od stóp do głów pełnym jawnej niechęci spojrzeniem, aż zaglądam jej w oczy.

– To chyba nie leży w twoim interesie, by rozliczać z czegoś moją narzeczoną. – Po tych słowach próbuję na początku delikatnie zabrać rękę, którą ona wciąż kurczowo trzyma.

A teraz uśmiecha się jeszcze szerzej i tak bardzo działa mi, kurwa, na nerwy.

– Boże, Ryder. Narzeczoną? Dałeś ciała i się przed nią płaszczyłeś? Robiłeś to przed kimś, komu jesteś obojętny? – To, co wyrzuca z siebie ta dziewczyna, coraz bardziej mnie rozjusza. Po co ona w ogóle do mnie podchodziła? Mogłaby przyssać się do kogoś innego.

Podminowany wywracam oczami i wlepiam zimne spojrzenie w tę małolatę.

– Tak, bo ty wiesz, jaki dla niej jestem. Idę szukać Chloe.

Ona wzmacnia jedynie chwyt, w którym więzi moje przedramię.

– Odupść ją sobie. Traktuje cię, jakbyś był dla niej nikim.

Gula wyrasta mi gdzieś w gardle.

– Zabierz tę rękę – wydycham.

– Może jeszcze spędza ten wieczór z kimś innym? Z innym facetem?

Próbuję odpędzić od siebie każdą myśl związaną z pieprzonym Zackiem, która nagle kłębi się w mojej głowie. To jebany choreograf. Love musi spędzać z nim czas. Próbuję poznać samego siebie, gdy nachylam się nad twarzą brunetki i wlepiam w nią pełen nienawiści wzrok.

A potem pozwalam, by spomiędzy ust wyrwało mi się warknięcie:

– Gównu wiesz, Polly.

Dziewczyna poważnie i zadziera brodę. Nawet jeśli mam świadomość, że kilka par oczu wpatruje się w nas z daleka, nie dbam o to. Gapię się na nią wściekle i czuję, jak ogarnia mnie jakiś pokręcony amok. Grdyka podskakuje mi pod skórą, kiedy przełykam powoli.

– Zabierz. Ze mnie. Swoją. Pieprzoną. Rękę – recytuję twardo.

Polly nagle doznaje olśnienia.

– Ciebie to boli – wydusza z sapnięciem. – Ciebie boli, że jest z innym.

Nabieram głęboki wdech nosem, przesiąknięty gniewem.

– W tej chwili ją, kurwa, ze mnie, zabieraj.

Dziewczyna wachluje się teatralnie wolną dłonią.

– Naprawdę miała taki tupet? – docieka, a ja nie umiem utrzymać w ryzach furii.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś zabrała ze mnie tę jebaną łapę, co?! – wydzieram się na nią, wyszarpuję rękę i dyszę ciężko, nie spuszczać z niej wzroku jeszcze przez kilka kolejnych sekund. Upokorzona Polly patrzy na mnie zaszklonymi oczami, a ja przecieram wyszarpiętą dłonią usta, powoli rejestrując, na co się przed paroma sekundami porwałem.

Powoli się wycofuję. Czuję dłoń na ramieniu. Zapewne Kaydena.

– Ryder, chodź – rozpoznaję jego głos, lecz nie daję mu się przekonać.

Ruszam natychmiast w stronę wyjścia z posiadłości. Mijam gości i kelnerów. Czuję krążące w żyłach resztki gniewu. Jakim cudem straciłem całą samokontrolę? Przeczesałem dłonią włosy i ciągnę za nie, kręcąc głową. *Jakim cudem ją, do cholery, straciłem?* Wychodzę na zewnątrz i na panujący tam mróz. Podmuch wiatru uderza mnie od razu, a wraz z nim śnieg.

– Kurwa mać, to się nie dzieje – wzdycham do siebie.

W kilkudziesięciu krokach pokonuję nieduży dystans, jaki dzieli mnie od samochodu. Wsiadam do niego od razu i również od razu przecieram dłonią strudzoną twarz, nic z tego nie rozumiejąc. Nic nie rozumiejąc z tego, jak łatwo zdołałem wytrącić się z równowagi.

Zsuwam ręce z twarzy i wydycham w mrok ciche, pełne udręki:

– Cholera jasna, co jest?

Co ja wyprawiam?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI



LOVE

Zaciskam palce na desce toalety tak mocno, że aż bieleją mi knykcie i zwracam wszystko to, co zalega w moim żołądku. Załzawione oczy pieką mnie niemiłosiernie, a gardło schnie jeszcze bardziej, kiedy po parunastu sekundach męczarni wycofuję się na klęczkach i wstaję. Następnie przecieram palcami kącik ust i na cholernie wiotkich nogach doczłapuję się do hotelowego pokoju, wiedząc, że jeszcze chwila mojej zwłoki, a Zack wpadnie tutaj po raz kolejny.

Dawno nie wymiotowałam. Ale dzisiaj wcale nie zrobiłam tego dlatego, że poczułam się ze sobą gorzej niż zwykle. Tym razem nie mogłam powstrzymać wyrzucenia z siebie czegokolwiek, kiedy po rozmowie z Ryderem coś ścisnęło mnie z nerwów w brzuchu z taką siłą, że pierwszym, co zrobiłam, po rozłączeniu połączenia, było pobiegnięcie do toalety.

Myślałam, że to mnie opuści.

Że jeśli będę przebywać w Phoenix, skupiać się wyłącznie na tańcu i swoich nowych obowiązkach, jakoś odeprę od siebie cały ból, który odczuwam, będąc tak daleko od Aspen, od domu i od mojego Rydera. Sęk w tym, że to uczucie wcale nie daje się przepędzić.

Zamiast tego cały czas wzbiera na sile.

A ja już sama nie wiem, czy decyzja, którą podjęłam, była właściwa. Może gdy byłam młodsza, a tata uparcie powtarzał mi, że jestem zerem, chciałam udowodnić mu, że coś znaczę i umiem wiele osiągnąć. Ale teraz, w tej chwili... może wcale nie potrzebuję osiągać aż tyle?

To by wyjaśniało, dlaczego zamiast się cieszyć, ciągle płaczę w poduszkę.

Może życie na walizkach po prostu nie jest dla mnie?

Wykrzywiam usta z powodu kolejnych wątpliwości, które rodzą się w mojej głowie. A może dopiero gdy skończymy etap przygotowań do występów i zaczniemy je wystawiać, zakocham się we właśnie takiej codzienności? W ciągłych treningach, podróżowaniu z kąta w kąt i byciem obserwowaną przez media? Nie wiem. Nie mam pojęcia, co z tego wyniknie.

Mam pojęcie tylko o tym, jak źle jest mi bez Rydera.

– Love, ja nie chcę, żebyś wzięła mnie za wrzód na tyłku, ale wszyscy czekają już w lobby – słysząc znowu głos Zacka, choreografa grupy, od razu odwracam głowę w jego stronę.

Młody mężczyzna stoi w progu pokoju, opierając się swobodnie ramieniem o framugę drzwi. Posyłam mu słaby uśmiech oraz sięgam po swoją torbę leżącą na niezaścielonym łóżku.

– Już skończyłam, możemy schodzić na dół.

Gaszę światła, biorę płaszcz, klucz do pokoju i ruszam do wyjścia.

– Płakać – mówi spokojnie szatyn, gdy mijam go w przejściu.

Zatrzymuję się i przełykam ślinę.

– Słucham?

– Skończyłaś płakać – wzdycha Zack. – Widzę.

Odwracam wzrok od jego twarzy i wlepiam go w dywan, jakim wyłożony jest hotelowy korytarz. Mężczyzna w tym czasie zamyka drzwi pokoju oraz czeka cierpliwie, aż się odezwę.

– Po prostu próbuję się zaaklimatyzować w Phoenix, ale dość nieudolnie – odpowiadam nareszcie i zaczynam powolny marsz do windy, nadal nie patrząc na towarzyszącego mi Zacka.

Wchodzę do niej pierwsza i opieram się o jedną z jej ścian.

– Nie próbuj. – Szatyn staje obok mnie i chyba wsuwa dłonie do kieszeni swojej skórzanej kurtki. – Zaraz i tak stąd wyjedziemy. No i nie próbuj też omijać prawdy. Kogoś ci brakuje. Z tym kimś rozmawiałaś

przez telefon, a ja, głupi, wchodziłem i ci przeszkadzałem.

Winda rusza w dół po tym, jak wciskam przycisk na panelu.

– Przecież nie mogłeś odwlekać w czasie wyjazdu całej grupy na salę, bo ja rozmawiałam sobie przez telefon – mamroczę cicho i unoszę wzrok na lustro przed nami.

Widzę w jego odbiciu, że Zack unosi pytająco brew.

– Chłopak?

Mój kącik ust dźwiga się słabo do góry.

– Narzeczony. Ma dzisiaj urodziny.

– Weź, tym bardziej jest mi głupio.

Kręcę głową na jego nieco zawstydzony ton.

– Przestań, Zack. Wiedzieliśmy, że będą takie chwile, kiedy czasowo... się nie zgramy. Zresztą on też musiał już lecieć. Jest na bankiecie. Mam nadzieję, że chociaż dobrze się bawi.

Mężczyzna odpowiada mi skinieniem. Zaraz potem trąca mnie delikatnie łokciem.

– A tobie zostało harowanie po nocach – rzuca, chcąc pewnie pozbyć się tej smutnej atmosfery, która spowiła niewielką windę. Patrzę wciąż w lustro i widzę, jak jego brązowe oczy przyglądają mi się wesoło. Zwracam też uwagę na to, że Zack jest niewiele wyższy ode mnie, a jego brązowe włosy niemalże zawsze znajdują się w wielkim nieładzie.

Cień uśmiechu przemyka przez moją twarz, gdy docinam mu:

– Zostało mi harowanie po nocach i to jeszcze do układu jakiegoś drania, który najwyraźniej chce, żebym coś sobie nadwyrężyła przy tych najtrudniejszych elementach tańca.

Szatyn mruży oczy i grozi mi śmiesznie palcem.

– Uważaj, bo dowalę wam bardziej.

– Lepiej już wychodź, zamiast coś tam mamrotać – poganiam go, bo winda zatrzymuje się na najniższym piętrze i otwiera, a wtedy od razu dostrzegam stojącą w lobby całą grupę.

Wszyscy bez słowa wychodzimy z hotelu do zaparkowanych przed budynkiem vanów. Z Zackiem prędko wsiadamy do jednego z nich, uciekając przed paskudną pogodą, jaka dzisiaj wyjątkowo przechodzi nad zaludnionym Phoenix. Padający z nieba strugami deszcz odwołuje ludzi od nocnych spacerów po mieście. Samochód rusza, a ja, patrząc przez szybę na puste ulice stolicy, widzę tylko kilka wieżowców, tyle samo knajp i chodniki, którymi nikt się nie przechadza.

Po dłuższej chwili namysłu postanawiam odezwać się do Zacka:

– Właściwie jak udało wam się zostać takim fenomenem?

Odwracam się do niego, a on błyska do mnie uśmiechem.

– Cóż, Love, to oczywiście zasługa moich choreografii.

– A tak naprawdę? – Rozbawiona unoszę brew.

Szatyn wzrusza ramionami.

– Każdy z nas dołożył swoją cegiełkę, a potem jakoś to poszło – mówi. – Teraz ty też możesz dołożyć swoją. Zresztą na pewno to zrobisz. Shannon miała co do ciebie świetne oko.

Spomiędzy moich ust wydostaje się ciche westchnienie.

– Tak sądzisz? – pytam niepewnie.

Mój rozmówca przytakuje.

– Poruszasz się dobrze. Może jeszcze potrzebujesz paru wskazówek od nas, ale zobaczysz, zostaniesz *kimś* w tym świecie, jak w zasadzie każde z nas. – Po tych słowach mężczyzna wyciąga z plecaka notes, z którym się nie rozstaje, a mi do głowy wpada pewna myśl.

– Zack? – zagajam, zaś on znowu krzyżuje ze mną spojrzenie.

– Tak?

– Nie zdążyłam zerknąć na rozpiszkę, gdy wychodziłam z pokoju.

– A co chcesz wiedzieć? – Szatyn wyciąga wspomnianą rozpiszkę z notesu, w czasie gdy ja zaczynam się wahać, czy zadać mu pewne pytanie. Jestem bowiem przekonana, że odpowiedź, jaką na nie otrzymam, albo mnie uskrzydli... albo naprawdę mocno zrani.

Dopiero po jakimś czasie wypowiadam kilkanaście słów przyciszonym tonem:

– Czy w styczniu zatrzymamy się na dłużej, może na kilka dni, w jakimś mieście?

Zack nawet nie musi przebiegać spojrzeniem po rozpisce.

– W którymś najwyżej dwa dni. Dlaczego pytasz?

Bo chciałam wiedzieć, czy jemu w ogóle opłaci się do mnie przyjechać chociaż w kolejnym miesiącu, odpowiadam smętnie w duchu i odwracam się ponownie do szyby samochodu, za którą dostrzegam kilka znajomo wyglądających już dla mnie budynków.

Wzdycham pod nosem i zmieniam temat:

– Nieważne. Zaraz będziemy na miejscu.

– Już rozpoznasz okolicę?

Mam wrażenie, że mężczyzna delikatnie się uśmiecha.

– Powoli się jej uczę – potwierdzam. – Jest całkiem ładna.

– Poczekaj, aż ruszymy zaraz w trasę. – Od Zacka zdecydowanie bije podekscytowanie na myśl, że niedługo to się wydarzy. – Dopiero wtedy będziemy odwiedzać *piękne miejsca*.

Unoszę nieznacznie kącik ust i już chcę się do niego odwrócić oraz mu odpowiedzieć, gdy nagle coś sobie przypominam. Moja mina błyskawicznie rzadnie, a beznamiętny wzrok pozostaje wlepiony w szybę samochodu, na której rozbryzgują się krople deszczu.

Myślę, że jeszcze moment i odpadnie mi dłoń. Noc jest dzisiaj piękna, kiedy z ciemnego nieba ciągle sypie śnieg, ale też okropnie zimna. Na pewno temperatura na zewnątrz wynosi wiele stopni poniżej zera. Chcę więc schować skostniałe palce do kieszeni płaszcza, lecz nagle... nagle ktoś sięga po moją rękę i otula ją ciepłem swojej, dużej i szorstkiej w dotyku.

Przechodzą mnie ciarki. Ryder właśnie splótł nasze dłonie. Dopiero po krótkiej chwili, gdy otrząsam się po tym, na co z taką łatwością się zdobył, pytam z delikatnym uśmiechem:

– Gdzie nas zabierzesz?

Po moich słowach krzyżujemy spojrzenia.

– *W piękne miejsce* – odpowiada mężczyzna.

Wydaje się zamyślony, ale wciąż na mnie patrzy.

– *Piękne miejsce?* – dociekam, nic z tego nie rozumiejąc.

– *Takie, z którego zabierzesz same dobre wspomnienia, Love.*

Rozchylam usta, bo gdzieś to już słyszałam. Nawet wiem gdzie. Kiedy wróciłam z wypadu z Kaydenem na lodowisko, Ryder rąbał drewno. Wtedy go podglądałam, a on mnie zauważył. Zaczęliśmy temat randek i tak wyszło, że zdradził mi, na jaką zabrałby swoją wybrankę.

Odejmuje mi mowę. Mrugam powoli i na chwilę przenoszę wzrok przed siebie.

– *Kiedyś powiedziałeś...*

Ryder chyba wzrusza ramionami.

– *Powiedziałem w swoim życiu wiele – stwierdza, kiedy ja próbuję zebrać myśli.*

– *Powiedziałeś mi kiedyś, że w dokładnie takie miejsce zabrałbyś dziewczynę, której chciałbyś zaimponować* – odpowiadam i znowu wbijam wzrok w jego twarz. *Jest nieczytelna. Jest poważna i spokojna. Jego mina nie zdradza mi absolutnie niczego, gdy stwierdza:*

– *Może właśnie to chcę dzisiaj zrobić, Love. Zaimponować ci.*

Przymykam powieki na krótką chwilę i usilnie staram się nie rozlecieć, gdy ból znowu przedziera się przez każdy skrawek mojego ciała. Samochód się zatrzymuje. Dojechaliśmy na miejsce. Otwieram oczy. Odwracam się w końcu do Zacka, który uważnie mi się przygląda.

Czeka na moją odpowiedź, uświadamiam sobie i odchrząkuję.

– Tak... pewnie masz rację – rzucam. – Najlepsze przed nami.

Mężczyzna posyła mi następny uśmiech.

– Otóż to, Love.

Jest już naprawdę późno, kiedy wracam po próbie do hotelowego apartamentu. Chyba dochodzi jedenasta w nocy. Nie wiem, trudno rozszyfrować mi, co pokazuje ekran telefonu, kiedy patrzę w niego lekko zaszklonymi oczami i wkraczam w mroczny głąb pokoju na miękkich nogach. Mam wrażenie, że takie kryzysowe momenty dopadają mnie coraz częściej i częściej.

Kiedy mimo piekielnego zmęczenia, jakie odczuwam po odbytej próbie, o wiele bardziej czuję nawarstwiający się we mnie smutek lub nawet rozpacz, bo wracam do miejsca, w którym nie czuję się nawet

odrobinę dobrze. W którym nie odnajdę kogoś, kogo potwornie mi brakuje. Nie zapalam światła. Wychodzę na balkon, mając nadzieję, że podmuchy wiatru chociaż delikatnie mnie ocucą. Przysiadam na płytkach i szczerzej opatulam się płaszczem.

Nie wiem, czy Ryder już wrócił z bankietu, ale i tak do niego dzwonię.

Drżąc z zimna, wpatruję się wtedy w panoramę nocnego Phoenix. Deszcz przestał już co prawda padać, ale wichura przechodząca nad miastem sprawia, że nie dziwią mnie niezmiennie pustki na szerokich chodnikach, które dostrzegam, siedząc tak wysoko.

Przyciągam kolana do brody, słysząc nagle szmer przy uchu. *Ryder odebrał.*

– Jesteś jeszcze na bankiecie? – pytam na samym wstępie, bo nie chcę mu przeszkadzać, jeśli jest zwyczajnie zajęty albo, nie wiem, może dobrze się bawi.

Mężczyzna wypuszcza przeciągłe westchnienie z płuc.

– Nie, ja... Musiałem wyjść wcześniej.

Poprawiam się, siedząc na zimnej podłodze.

– Coś się stało?

– Trochę mnie zmęczył – stwierdza. – A jak próba?

Zaczesuję kosmyk włosów za ucho, kiedy rozwiewa je wiatr.

– Dobrze, minęła mi szybko – odpowiadam z lekkim oporem, lecz nie chcąc o tym gadać i uświadamiając sobie, że Ryder jest w podróży, dorzucam od razu z troską: – Jedź ostrożnie, nawet jeśli nie możesz doczekać się już mojego prezentu. Drogi pewnie są oblodzone.

Przeczuwam, że brunet kiwa głową, słysząc moją prośbę.

– Będę ostrożny – odpowiada, a ja zamykam oczy.

Gdy otwieram je po kilkunastu sekundach ciszy zarówno z mojej, jak i z jego strony, spod powieki wypływa mi pierwsza, długa łza. Nie ścieram jej jednak, przekonana, że akurat ta jedna jedyna wyschnie za moment, kiedy pomoże jej w tym bardzo porywisty wiatr.

Problem rodzi się wtedy, gdy po paru minutach siedzę już zapłakana na pustym balkonie, wychodzącym z mojego apartamentu, i z trudem łapię dech, mając przytknięty telefon do ucha i starając się słuchać, jak Ryder opowiada smętnym głosem o bankiecie rodziców, na którym dzisiaj był.

To znowu się we mnie budzi.

Znowu strasznie nie chcę tu być. Znowu jest mi ciężiej, niż kiedykolwiek wcześniej było. Znowu mam ochotę płakać, dopóki nie zasnę z wycieńczenia fizycznego i psychicznego. Moje drżące palce lądują we włosach. Ciągnę za pasma i uwalniam bezgłośnie, bezradny wydech.

Odchylam głowę i opieram jej tył na elewacji hotelu. Jednocześnie patrzę załzawionymi oczami na panoramę stolicy, czując się tak, jakby ktoś porozrywał mnie na części. Mam dosyć. Mam znowu dosyć pułapki, w którą sama nas zapędziłam tą jedną podjętą decyzją.

Tym razem nie dbam o to, by nie słyszał mojego płaczu.

– Ryder? – udaje mi się wydusić przez ściśnięte gardło.

Mężczyzna przez chwilę milczy.

– Tak? – wydycha, jakby bał się, co mu powiem.

Ściskam powieki i wykrzywiam z bólem usta.

Kolejne mokre ślady płyną po mojej twarzy.

– To mnie męczy... – przyznaję z trudem. – Tylko bardziej mnie męczy.

Słyszę, jak Ryder wypuszcza drżące powietrze. Mogę tylko domyślać się, jak teraz wygląda. Mogę domyślać się, że zaciska mocniej dłoń na kierownicy samochodu i kręci głową, mając w oczach cierpienie, którego smak tak dobrze znam, bo sama je odczuwam.

Gryzę wargę, próbując nie wydusić z siebie kolejnego sapnięcia.

Nie chcę już brać w tym udziału. Po prostu nie chcę.

– Rozumiem, skarbie. – Głos Rydera przesiąka smutkiem. – Ale musimy wziąć się w garść, tak? Przecież ja i ty... akurat nam dopisze to szczęście i jeśli tylko się postaramy, jeszcze będziemy z siebie dumni, że uporaliśmy się z tym beznadziejnym związkim na odległość.

Czuję, że stara się podeprzeć mnie na duchu. *Ale to rani tak okrutnie mocno.*

– Nie mogę się z tym uporać – łkam żałośnie, przelękając łzy.

– Love...

Opatulam się bardziej płaszczęm i ściskam telefon między skostniałymi palcami.

– Z tym, że ciągle tylko się mijamy – ciągnę beznadziejnie, już niemalże zawodząc mu do słuchawki i płacząc głośniej. – Z tym, że wciąż się od siebie oddalamy. Z myślą, że wszystko, co się dzieje, przybliży nas do czegoś, co twierdziłeś, że się nie wydarzy. Chcę ciebie.

Kręcę głową, a ucisk w mojej piersi ponownie nie pozwala mi złapać oddechu.

– Chcę z powrotem swojego ciebie, Ryder – dopowiadam okrutnie zraniona.

Zraniona tym, co się z nami dzieje. Zraniona tym, co może się z nami stać.

– Skarbie...

Nabieram łapczywie powietrza, patrząc piekącymi oczami w dal.

– Dlaczego ci zaufałam? – pytam łamliwym szeptem.

Oplatam ramiona dłońmi na kolejny podmuch zimnego wiatru.

– Zaufałam ci, że jakoś to udźwignę...

Ryder początkowo nic na to nie odpowiada.

– Masz mi coś za złe? – wydusza nareszcie, a ja wiem, że wiele go to kosztuje.

Mnie też wiele kosztuje wychlipanie na głos dwóch okropnie brzmiących słów:

– Tak, mam.

Podkurczam bardziej kolana do brody. Zaciskam bezradnie pięść i nie poluźniam uścisku nawet na krótki moment, trzymając ją przy swojej poruszającej się niespokojnie piersi.

– Przedstawiałeś relację na odległość tak, jakbym była w stanie ją udźwignąć, jeśli będę próbować z całych sił... – Kolejne sapanie wydostaje się spomiędzy moich rozchylonych ust, a ja przełykam następne łyż, niemalże dławiąc się nimi, gdy robię to w pośpiechu.

Zwieszam głowę i ciągnę zmarnowanym szeptem:

– Ale ja to robię, próbuję to dźwigać z całych sił, lecz to wciąż... – Robię nagle przerwę, nie widząc nic na oczy i wydychając jęk. – Wciąż przytłacza mnie tak, że nie umiem już ustać na nogach. Balkon jest zimny. Wiatr wieje mi w twarz, ale nie mogę się nawet z niego zwlec.

– Zamarzniesz. – Ryder mówi to tak, jakby sam ledwo był w stanie składać zdania.

Od razu przypominam sobie, że przecież prowadzi. Poluźniam pięść.

– Zatrzymaj się – proszę załamana. – Prowadzisz, nie rób tego w tym stanie.

Mężczyzna nie przywiązuje wagi do moich słów, gdy zmienia temat.

– Wyszedłem z bankietu prawie od razu, bo odstawiłem pojebany teatrzyk – wyznaje kompletnie rozbity, pociągając w międzyczasie nosem. – Polly plotła o tobie bzdury, a ja wydarłem się na nią przy ludziach jak jakiś skończony pajac.

Przecieram palcami szczypiące oczy, a moją twarz wykrzywia grymas.

– Nie znała powodu, przez który byłem tam sam, ale uparcie powtarzała, że jestem ci obojętny. Potem... stało się ze mną coś dziwnego. Nie mogłem się powstrzymać – opowiada pełnym udręki głosem, a ja wykrztuszam kolejne niekontrolowane sapanie.

Opuszczam wolną rękę i pocieram nią ramię, czując na wargach wilgoć łez.

– Mnie też męczy to bycie ze sobą na odległość, Love – wydycha żałośnie Ryder. – Ale to przecież nasza jedyna przepustka, żeby wrócić do tego, co było przed twoim wylotem.

To ten jeden ostatni włos, na którym się trzymamy, będąc tak daleko od siebie.

– Musimy wziąć się w garść. – Jakimś cudem powstrzymuję kolejny wybuch.

Ryder przyznaje mi rację, kiedy wyszeptuje:

– Musimy, Love.

Ale akurat tej jednej nocy nie umiem wziąć się w garść.

Płaczę i wymiotuję, tak strasznie nie chcąc tu dłużej być.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY



RYDER

Odrzucam szklankę na stolik. Odgłos szurającego po nim szkła wypełnia zaciemniony salon i sprawia, że leżący na dywanie pies czujnie rozgląda się po pomieszczeniu. Gargamel od razu dostrzega w mroku mnie – siedzącego na kanapie w zgarbionej pozycji, w pomiętej, białej koszuli oraz gotowego otworzyć następną butelkę alkoholu, byle tylko jakkolwiek sobie ulżyć. Cholera jasna. Każdy kolejny kryzys jest, kurwa, o wiele gorszy od poprzedniego.

A mamy dopiero pieprzoną połowę stycznia.

Love dopiero dzisiaj zacznie występować na scenach.

Przecieram palcami oczy, po czym opuszczam gwałtownie rękę i sięgam zamaszystym ruchem po butelkę z resztką czystej wódki. Ta wymyka mi się jednak z dłoni i zanim zdążę ją przechwycić, leży już potłuczona na panelach. Sfrustrowany wstaję i z trudem utrzymując się w pionie, ruszam do kuchni, bo przecież sierściuchy nie mogą się na to natknąć.

Pozbywam się szkła i ścieram to, co rozbryzgało się na podłodze. Potem przeczesuję zamglonym wzrokiem salon, ale nie zauważam w nim ani Gargamela, ani Klakiera. Musieli zwiać. W sumie nie dziwię im się. Gdybym mógł, sam bym od siebie wiał, gdy urządzam sobie w samotności jakieś jebane pijackie posiedzenie. W kuchni odrzucam szmatę do zlewu. Nawet nie wiem, czy trafiam. Ledwo widzę na oczy. Ledwo jestem w stanie to przeboleć.

Przeboleć myśl, że to będzie trwało jeszcze piętnaście miesięcy.

Jeszcze przez piętnaście długich miesięcy będę słuchać, jak Love w chwilach załamania zanosi się płaczem do słuchawki, a ona będzie słuchać, jak ja... mówię do niej przez ściśnięte gardło, że jest najdzielniejsza i że zaprezentuje się najpiękniej, gdy dojdzie do występu.

Liczę, że wtedy wciągnie się w ferwor następnych. Skupi się na karierze. Liczę, że wtedy nie będzie jej aż tak źle z tym, że jestem daleko. Moja Love może zepchnąć mnie na drugi plan, ale niech to przestanie ją tak ranić. Błagam, niech to przestanie ją tak strasznie ranić.

W co my się wpakowaliśmy, Love?

W co najlepszego się wpakowaliśmy?

Sprawdzam czas. Po czterech próbach rozszyfrowuję, że wskazówki na moim zegarku układają się w ósmą. Za jakąś godzinę rozpocznie się pierwszy występ grupy baletowej, która od miesiąca przygotowywała go w pocie czoła. Za jakąś godzinę zobaczę na transmisji na żywo Love. Love, którą dopinguję i jednocześnie której tak bardzo... tak bardzo mi brakuje.

Poluźniam niedbale krawat przy szyi i wykrzywiam usta.

Chyba dopiero teraz, w tej chwili, kiedy nie myślę do końca trzeźwo, mogę zdobyć się na coś, co odwlekałem w czasie. Miałem zrobić to już dawno. Zejść do piwnicy i sprawdzić, co takiego zostawiła mi na półce z winami Love, a co miałem zgarnąć stamtąd zaraz po bankiecie.

Schodzę więc do niej teraz, powolnym i niechlujnym krokiem. Zacerpuję wdech nosem, gdy przedzieram się przez wszechobecny mrok, świetnie orientując się, gdzie co znajduje. Po kilkunastu sekundach trzymam już w dłoni opakowanie prezentowe i wracam z nim na górę. Wchodząc do gabinetu, wyciągam z torebki... nowy aparat, który podarowała mi Love.

Opadam z łoskotem na fotel.

Potem odchylam bezradnie ciężką od myśli głowę i opieram jej tył na zagłówku, mocniej ściskając w dłoniach prezent. Obracam się przodem do okna. Dostrzegam prószący z nocnego nieba w ogromnych ilościach śnieg i z oporem wracam do czegoś pamięcią.

Zaczynam bawić się aparatem. W przeciągu pierwszych sekund, które spędzam na przymierzaniu się do wykonania zdjęcia, nawiedza mnie myśl, że nawet jeśli minęło ładnych kilkanaście lat, odkąd trzymałem to ustrojstwo w rękach, to nadal miło jest mi się z nim obchodzić. A już zwłaszcza, gdy obchodzę się z nim, trzymając przy sobie swoją cholernie wyszczerzoną i jak zwykle niewinnie piękną Porter.

Tak, wtedy naprawdę miło jest go używać.

– Love? – zagajam po paru minutach.

Brunetka mruga powoli.

– Tak? – dopytuje pogodnie.

– Jesteś w tym całkiem dobra.

– Muszę być w tym dobra.

Marszczę czoło.

– Niby dlaczego musisz?

– Bo tak się składa, że teraz jesteś wszystkim, na czym potrzebuję skupić uwagę.

Czuję, jak grdyka podskakuje mi pod skórą, gdy przełykam ślinę. Nie mam pojęcia, czego poszukuję w jej oczach, kiedy zaglądam w nie z zaciekawieniem. Po prostu zaglądam w nie i patrzę, a Love patrzy na mnie. Aż w pewnym momencie znowu oboje się uśmiechamy.

Robię wtedy kilka świetnych ujęć.

Nie sądziłem, że mógłbym poczuć się tak spokojnie i dobrze, ślęcząc wczesnym wieczorem na przypadkowej ławce w pobliskim parku, z Love na kolanach, aparatem w dłoni i czując, jak Gargamel – który zdążył już do nas doskoczyć – trąca mnie merdającym ogonem w nogi. A jednak normalność z nimi przypomina coś, co chcę, by wciąż trwało i trwało.

Co potrzebuję, by trwało jak najdłużej może.

Ponownie obracam się przodem do biurka i kładę na jego powierzchni aparat. Opieram też na niej przedramiona i splatam na blacie palce. Przez jakiś czas siedzę tak w ciemnościach, pijany i załamany, dopóki nie słyszę, jak po domu roznosi się odgłos dzwonka do drzwi.

Z ociąganiem zsuwam do końca krawat. Odrzucam go gdzieś na ziemię i zaczynam dopinać niezgrabnie guziki rozpiętej koszuli. W międzyczasie zwlekam się z trudem z fotela i ruszam mozolnym krokiem do przedpokoju, nie wiedząc, kogo mogę się spodziewać.

Wypuszczam przeciągłe westchnienie. Przecieram jeszcze usta dłonią i otwieram drzwi, za którymi stoi Kayden, wyglądający w równym stopniu mizernie jak ja. Bez choćby jednego słowa wchodzi do środka i wita się z Gargamelem, który zdążył do niego skądś podbiec.

Po chwili ciszy prostuje się i zaczyna zachrypniętym głosem:

– Zaraz zaczyna się pierwszy występ. Pewnie będziesz go oglądał.

– Wchodź.

Mówię to i wzruszam niedbale ramionami, wkraczając znowu do korytarza, a potem do kuchni, skąd biorę jeszcze jedną szklankę i butelkę z... w zasadzie, sam nie wiem czym. Salon oświetla światło stojącej lampy zapalanej przez Kaydena, a ja kładę zgarnięte przez siebie rzeczy na stolik i opadam z łoskotem na kanapę, patrząc tępo w ekran laptopa, na którym zaraz wyświetli się transmisja z występu grupy baletowej w Phoenix.

– Sprawdzałem ich kolejne przystanki – stwierdzam cicho.

– Gdzie ich wywieje?

– Na dobrą sprawę to wszędzie. Mają bardzo dużo występów w krótkim czasie. – Uśmiecham się słabo oraz krzywo. – Ale za dwa tygodnie, kiedy będą w Austin, pomyślałem, że mógłbym do niej polecieć. Chociaż na te dwa dni, które tam podobno spędzą.

Kayden poprawia kaptur bluzy, gdy na niego spoglądam.

– Zająłbyś się wtedy domem?

– Jasne. To tylko dwa dni.

No właśnie, dopowiadałam w duchu. Tylko dwa krótkie dni z nią.

– Love o tym wie? – pyta Graves. – Zgaduję, że będzie wniebowzięta.

– Powiem jej o tym jutro. Dzisiaj pewnie się do niej nawet nie dobiję.

– Fakt. Po występie pewnie pójda świętować dobry początek trasy – przyznaje mi rację Kayden, a potem sięga po leżący na stoliku alkohol i rozlewa go do szklanek. Ja w tym czasie skupiam zobojętniały

wzrok na przystrojonej choince i zastanawiam się nad jego słowami.

Zapewne rzeczywiście pójdą świętować dobry początek.

Grupa pójdzie się nim cieszyć. Love również. W końcu jest jej częścią. Będzie spędzać czas razem z resztą i... z tym całym choreografem Zackiem, który dziwnym przypadkiem na zdjęciach, zamieszczanych na kontakach grupy, znajduje się ciągle w jej pobliżu.

Niemilosiernie mnie to wkurwia.

Nawet nie próbuję wmawiać sobie, że nie jestem zazdrosny, bo, cholera, potwornie jestem. Morton to ulubieniec mediów. Młody, utalentowany choreograf, który zna się na swoim fachu. Podobno jest również wygadany i błyskotliwy – tak samo jak Love. Mogłaby zaistnieć pomiędzy nimi jakaś nić porozumienia, a on mógłby uznać, że wpadła mu w oko.

A potem... nie. Nie ma, cholera, szans. *Ona kazałaby mu przecież spadać na drzewo.*

Zaciskam usta w kreskę, podczas gdy pytanie Kaydena wytrąca mnie z letargu.

– Która z nich to Love? Poznajesz?

Dopiero teraz orientuję się, że występ już się zaczął. Skupiam uwagę na ekranie komputera i przez chwilę patrzę na wyświetlony na nim obraz. Wydarzenie trwa w najlepsze. Wygląda naprawdę zdumiewająco dobrze, nawet jeśli oglądam się je na odległość. Wielka scena i tańcząca na niej grupa zdecydowanie utalentowanych ludzi składa się na ładny pokaz. Sala jest zaciemniona, a cały błysk fleszy i reflektorów koncentruje się na rozświetlonych tancerzach.

Po kilku sekundach odpowiadam Kaydenowi:

– Bez trudu. Spójrz w lewo.

Chłopak kręci głową, jakby z niedowierzaniem.

– Cholera, czy ja naprawdę oglądam ją w takim ogromnym widowisku?

– Tak – potwierdzam smutno. – Oglądasz ją właśnie w nim.

Mnie też z początku trudno w to uwierzyć.

Moja Porter wspięła się tak cholernie wysoko. Kiedy ubiegłej zimy dopiero się na siebie natknęliśmy... nie podejrzewałem nawet, że mogłaby tańczyć, a co dopiero, że pewnego styczniowego wieczora zobaczę, jak będąc moją kobietą, zacznie robić to profesjonalnie.

Od razu odpływam gdzieś myślami, wciąż wpatrując się w ekran laptopa.

Jej dotyk, mimo że niewinny, sprawia, że moja grdyka mimowolnie drży. Karczę się w duchu i szybko skupiam znowu na drodze, dziękując wszelkim istniejącym bóstwom za przekłete zielone światło.

– *Naprawdę jesteś świrięta – stwierdzam.*

Porter macha lekceważąco ręką w powietrzu.

– *Po prostu moja niechęć do ciebie weszła na inny poziom.*

Szczera, przechodzi mi przez myśl i uśmiecham się.

– *Czym mnie jeszcze zaskoczysz, co?*

– *Skoro pytasz... mam kilka pomysłów, jak doprowadzić cię do szaleństwa. – Zagryza wargę, a mnie aż włos jeży się na karku. Nie wiem, czy to przez to, że tembr jej głosu uderza we mnie jak grom, czy po prostu jestem przerażony tym, co dla mnie przygotowała.*

– *Są gorsze od opony? – dopytuję.*

– *Hej, mówiłam, że to nie była moja sprawka. – Porter mruży oczy.*

Oczywiście, że nie.

– *Powiedzmy, że ci wierzę.*

– *Ale tak. Są gorsze od opony, którą przebił ci ktoś, kto naprawdę cię nie lubi... – odpowiada mi po chwili namysłu. – Jeszcze dwie przecznice. Niedaleko tego nowego stoku, który otworzyli w tamtym tygodniu – informuje mnie, na co skinieniem głowy potwierdzam, że zrozumiałem.*

I po paru minutach rzeczywiście docieramy na miejsce. Budynek, który widzę przed sobą, jest średniej wielkości. Zmierzają do niego raczej młode dziewczyny, wszystkie dzierżąc w dłoniach baletki. Instynktownie uciekam spojrzeniem do Love Porter szperającej w torebce.

– *Tańczysz? – pytam, próbując wyobrazić ją sobie na scenie.*

Rzeczywiście jest drobna. Lekka jak piórko. Mógłbym w to uwierzyć.

– *Mhm – odpowiada krótko, zaczesując kosmyk włosów za ucho.*

– *Nie przypuszczałbym.*

Porter uśmiecha się słabo w moją stronę.

– Myślę, że mam dużo więcej sekretów, których byś się po mnie nie spodziewał, Ryderze Callahanie – mówi, a potem dodaje: – Dzięki za podwózkę. I za niewywiezienie mnie do lasu. – Prostuje się i wysiada niezgrabnie z samochodu.

Odprowadzam ją wzrokiem i myślę, że chciałbym poznać jej sekrety.

Wszystkie sekrety Love Porter.

Wciąż patrzę na ubraną w kostium dziewczynę. Porusza się z niezmienną gracją. Mam wrażenie, że śledząc wzrokiem to, co prezentuje, czuję się jednocześnie urzeczony, dumny, ale również... podłamany. Podłamany wiedzą, że to dopiero pierwszy z wielu występów, które będę musiał odhaczyć z listy, zanim ponownie zdołam zamknąć ją w swoich ramionach.

Sięgam po szklankę stojącą na stoliku. Wypijam jej zawartość.

Znowu skupiam się na występie i patrzę na niego z każdą chwilą z coraz mniejszymi emocjami. Aż w końcu staję się zupełnie odrętwiały. Po tym, jak widowisko dobiega końca, a Kayden wychodzi z bliźniaka, zamawiam białe tulipany do hotelowego pokoju Love.

Dopiero potem zasypiam na kanapie, pośród mroku i ciszy.

– Nie mów tylko, że to zapalenie płuc.

Słyszając lekką panikę w głosie Love, kiedy następnego dnia siedzę na kanapie i próbuję dojść do siebie po paskudnej nocy, odchrząkuję. Mój głos naprawdę brzmi nienaturalnie przez to, ile wypiłem. Zatraskana Porter od razu wyłapała ten szczegół, gdy odebrałem od niej telefon. Teraz próbuję jakoś uratować sytuację, bo ani mi się śni przyznać, jak źle ze mną wczoraj było.

Przeczesałem dłonią rozczochrane włosy opadające mi na czoło i zaprzeczam:

– Nie. To chyba zwykłe przeziębienie.

Westchnienie Love przebija się przez jakiś szum.

– Ryder, masz o siebie dbać – mówi dziewczyna.

Opieram się plecami o oparcie kanapy.

– Wolę dbać o ciebie.

Moja Porter od razu wie, o co mi chodzi.

– Te kwiaty są prześliczne – rozczuła się. – Bardzo dziękuję.

Wtem słyszę, jak rozbawiony ton zadaje jej pytanie:

– Udźwigniesz je? – Czy to ten cały Zack?

Ściągam brwi i przebiegam językiem po wnętrzu policzka.

– Gdzie idziecie? Słyszę, że jesteście na zewnątrz – pytam i wstaję z wysiłkiem na nogi, potrzebując rozchodzić wiedzę, że Love towarzyszy akurat on. Podchodzę do okna tarasowego, za którym rozpościera się niezmienny widok na zaśnieżony las i górskie szczyty.

Love w tym czasie nabiera naprędce wdech. *Chyba gdzieś się im śpieszy*, przechodzi mi przez myśl, kiedy w słuchawce rozbrzmiewa coraz większy szum i szybszy stukot obcasów.

– Do taksówek, zabiorą nas na lotnisko – wyjaśnia Love. – Dzisiaj lecimy do Great Falls.

Patrzę wciąż w dal z nieprzeniknioną żadną emocją miną.

– Montana? – upewniam się.

– Tak.

Powstrzymuję westchnienie. Domyślam się, że za moment będziemy musieli skończyć rozmowę, dlatego zanim to nastąpi, decyduję się powiedzieć jej o czymś jeszcze. Wsuwam dłoń do kieszeni spodni, opieram ramię o szybę i wciąż wpatrując się w góry, zagajam:

– Love? – Mój głos pozostaje nadal dziwnie zachrypnięty.

Czekam dosłownie sekundę na odpowiedź dziewczyny.

– Słucham?

– Tak pomyślałem, że może przyleciałbym za dwa tygodnie, gdy będziecie w Austin? Mam wtedy niewiele spotkań, które mógłbym przełożyć. Kayden byłby w stanie przypilnować dom...

Nie dokańczam, ponieważ moja ukochana zupełnie nagle przerywa mi w pół zdania:

– Mógłbyś?

Unoszę słabo kącik ust na ekscytację i radość w jej głosie.

– To powiedziałem, skarbie – potwierdzam, kiwając głową.

Oczami wyobraźni widzę, jak jej oczy delikatnie jaśnieją.

– Rety, tak, przyleć! – Love ledwo jest w stanie coś z siebie wydusić, a ja czuję, że robi mi się ciepiej, gdy jest taka wesoła i ożywiona. – Matko, jak ja mam się teraz doczekać Austin?

Jej śmiech do złudzenia przypomina mi śmiech przez łzy radości. Sam uśmiecham się już jak głupi, nawet jeśli wciąż czuję się jak pieprzony wrak po kolejnej trudnej dla mnie nocy. To brzmi abstrakcyjnie. Myśl, że po miesiącu spędzonym osobno obejmę ją potwornie mocno.

Odbijam się ramieniem od szyby, mówiąc z zadowoleniem:

– A ja? Dwa tygodnie, Love. Zobaczymy się za dwa tygodnie.

Moja Porter znowu się śmieje. Znowu z trudem łapie oddech.

– Wtedy cię nie puszcze – zapowiada rozweselona. – Naprawdę nie.

Kąciki moich ust dźwigają się jeszcze wyżej na jej entuzjazm.

– W porządku. Nie pogniewam się.

– A jak na powitanie dam ci dużo buziaków?

– Miałbym mieć do ciebie o to pretensje? – Unoszę brew.

Love po raz kolejny wydusza radosne parsknięcie.

– Wysmaruję ci przez to szminką całą tę twoją poważną twarz...

– To będzie miły początek pobytu w Austin – stwierdzam od razu.

Szkoda, że nie miał on później wyglądać właśnie tak.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY



RYDER

Podeszwy moich butów zatapiają się w zaspach śniegu na chodniku, a Gargamel biegnie wesoło przed siebie. Wlokę się za nim, trzymając w jednej dłoni szarą smycz, zaś w tej drugiej – przytkniętej do ucha – telefon. Jednocześnie wpatruję się w dal, prosto w bliźniak, który już z daleka jestem w stanie dostrzec, oraz skupiam się na przejętym tonie głosu swojej Porter:

– Pewnie teraz wszyscy nabijają się ze mnie w swoich pokojach...

Kręcę głową z pobłażaniem na jej kolejne niedorzeczne wizje.

– Jestem przekonany, że nie palnęłaś niczego aż tak głupiego, żeby mieli się z ciebie nabijać.

– Rezygnuję z wywiadów – zapowiada twardo Love, a ja mógłbym uwierzyć, że naprawdę to zrobi po tym, jak strasznie się dzisiaj zestresowała przed pierwszym, którego musiała udzielić dla jakiejś tam sławnej gazety. – Nie tknę ani jednej propozycji więcej.

Nawet przeczuwając, że nie poszło jej wcale tak tragicznie, jak sama twierdzi, postanawiam odrobinę zboczyć z tematu i obrócić sytuację w coś... coś na kształt żartu.

– No dobrze, panno Porter. A może mnie udzieli pani tego ostatniego wywiadu? – pytam z zaciekawieniem, przyjmując w zamian ciche parsknięcie śmiechem.

– To zależy, o co mnie pan w jego trakcie zapyta.

Nie zastanawiam się długo nad pytaniem, które zadaje.

– Czy cieszy się pani na myśl, że za tydzień występ w Austin?

Czuję, że na twarz Love wkracza jeszcze szerszy uśmiech. Przez miniony tydzień to myśl, że zobaczymy się niedługo w Austin dodawała nam otuchy, której tak bardzo potrzebowaliśmy.

– Bardzo – stwierdza radośnie. – Chyba nawet przebieram za nim nogami.

– Dlaczego?

– Bo dorwę tam nareszcie kogoś, kogo chciałabym już uściskać z całych sił.

Sam unoszę wysoko kącik ust i nadal idę przed siebie leniwym tempem.

– Też chciałabym uściskać cię z całych sił, Love. O niczym innym teraz nie marzę, jak o tym, by móc po prostu przyciągnąć cię do siebie i tak zostać – przyznaję szczerze i zaciągam się rześkim powietrzem, a potem sięgam do kieszeni po kluczyki od auta i odblokowuję drzwi.

– Jak długo? – pyta wesoło dziewczyna.

– Najdłużej.

Po tej odpowiedzi wyciągam z range rovera pozostawiony w nim portfel i ponownie blokuję pilotem drzwi. Love najwyraźniej słyszy charakterystyczny odgłos, bo wiedząc, że znalazłem się przy samochodzie, zwraca się do mnie z pewnym rozkazem:

– Pokaż szybę auta. – Jej głos zdradza rozbawienie.

Ściągam delikatnie brwi.

– Słucham?

– Pokazuj.

Coś zaczyna mi świtać.

– Czy to kontrola? – pytam, uśmiechając się znowu i patrząc na nabazgrane wcześniej z nudów na zamarniętej szybie słowa, które dawno zapowiedziałem, że będę ciągle na niej kreślił. Wszystkie składają się na jedną informację: *cholernie kocham swoją Porter*.

– Tak – rzuca dumnie Love, a ja wzdycham ze zrezygnowaniem.

– W takim razie chyba powinienem się jej poddać – mówiąc to, przełączam od razu tryb rozmowy

i pokazuję na kamerze, że rzeczywiście zostawiłem na szybie pewien ślad po sobie.

Po chwili opieram się swobodnie plecami o karoserię samochodu i nakierowuję kamerę na swoją twarz, żeby przyjrzeć się przy okazji Love, która jest... cóż. Szeroko uśmiechnięta, ale też ewidentnie wzruszona, kiedy przeciera palcami oczy, chcąc odpędzić łzy.

– Ty wciąż to robisz... – zaczyna, nabierając drżący wdech ustami.

Zaczyna padać rzadki śnieg. Kilka płatków spada na ekran telefonu.

– Przecież wiedziałas, że będę to robił. – Przebiegam dłonią po wyświetlaczu.

– Ale nie miałam pojęcia, że tak strasznie zachce mi się beczeć, gdy codziennie będziesz mi potwierdzał, że nie przestajesz bazgrać po tej głupiej szybie.

Pierwsza łza toczy się po policzku uśmiechniętej Love. Przewracam z rozbawieniem oczami i patrzę na nią z niezmiennie wygiętymi ku górze kącikami ust.

– No i co ja mam z tobą zrobić, bekso? – pytam kpiąco.

Porter wzrusza krótko ramionami, pociągając nosem.

– Może stwierdzić, że za tydzień nie odstąpisz mnie na krok? – sugeruje, a ja zaczynam czuć, jak na myśl o tym przez moje ciało przetacza się pewien rodzaj ulgi. *W końcu ją zobaczę. Nareszcie obejmę ją potwornie mocno. Może na dwa dni przestanę czuć się swoim cieniem.*

Skupiam wzrok na dużych oczach patrzących na mnie z ekranu telefonu i przyznaję:

– Za tydzień nie odstąpię cię na krok. Choćby na jeden, Love.

Przez chwilę milczymy. Uśmiech brunetki odrobinę gaśnie.

– Myślisz, że to zrobimy? – pyta z wahaniem dziewczyna.

– Co takiego?

– W jeden, dwa dni pozbieramy się do kupy po tym ponad miesiącu? – dokańcza szeptem, jakby nie była pewna, czy chce znać odpowiedź na to pytanie. Ponownie zaczerpuję wdech, tyle że bezgłośnie, a następnie kiwam bardzo powoli głową.

– Spróbujemy, skarbie.

Love przytakuje słabo.

– Muszę już lecieć – zapowiada. – Jedziemy zobaczyć salę, a potem na kolację do jakiejś restauracji w centrum miasta. Odezwę się wieczorem, jak już stamtąd wyjdziemy, dobrze?

Patrzę na nią wyrozumiale i znowu przecieram ekran.

– Pewnie – stwierdzam. – Kocham cię, bekso.

– A ja ciebie, Ryder.

Połączenie dobiega końca, a ślad po moim niemrawym uśmiechu znika. Szlag by to. Naprawdę liczę, że tydzień, który pozostał do mojej wycieczki do Austin upłynie szybciej, niż upływał mi ten pierwszy. *Chyba zniknę do reszty, jeśli ten też będzie mi się tak paskudnie dłużył*, myślę, gdy odbijam się od karoserii auta i ruszam do domu. Dociera do mnie wtedy, że nigdy nie brakowało mi tak bardzo towarzystwa mojej Love i... coś sobie przypominam.

– *Daleko jeszcze do tego sklepu?*

– *Zimno ci?*

Prycham pogardliwie.

– *Może po prostu mam już dość twojego towarzystwa, Porter? – sugeruję.*

Dziewczyna odwraca głowę i posyła mi pretensjonalne spojrzenie.

– *Nie kłam – rozkazuje twardo. – Kochasz je.*

Uśmiecham się i dżgam palcem sterczący pompon.

– *Toleruję – poprawiam ją.*

– *Znam tylko jeden sposób, żeby rozwiązać ten spór – odpiera dumnie Love, wypinając pierś i zadzierając nos, jak naburmuszone dziecko, które nie dostało upragnionego lizaka.*

– *Tak? Niby jaki?*

Szybko zaczynam żałować, że o to zapytałem. Porter odbiega nieco ode mnie, bierze w dłoń odrobinę śniegu i formuje z nich śnieżkę, którą trafia mnie w ramię. Z westchnieniem spuszczam głowę, by dostrzec na płaszczu biały ślad.

– *Bitwa na śnieżki! – woła z daleka, szczerząc się jak głupia.*

– *Ty naprawdę chcesz zostać wytarzana w zaspie – rzucam na tyle głośno, by była w stanie mnie*

usłyszeć, a potem... ruszam w pogoń za nią. I wcale nie potrzebuję dużo czasu, by ją złapać, przerzucić sobie przez ramię oraz zacząć szukać wzrokiem największej zasy w parku, w którą będę mógł ją wrzucić.

– Nie taki był plan! – słyszę jej udręczone westchnienie.

– Jesteś wolna, Porter. – Ściskam jej udo.

– A ty masz manię przrzucania mnie przez ramię.

Nabieram powietrza w płuca i zaczynam marsz w stronę dużej warstwy puchu widocznej z daleka. Brunetka kołysze się lekko na moim ramieniu z każdym krokiem, który stawiam. Z jakiegoś powodu przyjemnie tak mi się ją nosi.

– Może ją mam – nie protestuję.

Zrzucam ją na śnieg i z satysfakcją patrzę, jak dziewczyna tonie w zaspie. Przez chwilę leży w bezruchu, biorąc niespokojne wdechy, aż w końcu wyciąga dłoń w moją stronę i prosi:

– Nie stój tak, tylko mi pomóż.

Obserwuję ją z kpiną wymalowaną na twarzy, ale chwytam jej rękę. Chcę pociągnąć ją w górę, ale ona jest szybsza i ciągnie mnie z całą siłą, jaką w sobie ma, w dół. Tracę równowagę i ląduję w zaspie tuż obok niej w akompaniamencie charakterystycznego chrupnięcia śniegu.

– Jesteś oszustką. – Oddycham ciężko.

Porter parska melodyjnym, niewymuszonym śmiechem. Jest coś słodkiego w sposobie, w jaki się śmieje. Lekko, szczerze, z niewielką chrypką i bezwstydnie. Zerka na mnie spod długich, kruczoczarnych rzęs, ale niczego nie mówi. Zwyczajnie milczy.

I ja również milczę, napawając się ciszą spowijającą park, śniegiem sypiącym mi na twarz, zimnym powietrzem smagającym rozgrzaną skórę oraz obecnością najbardziej pokręconej dziewczyny, jaką kiedykolwiek dane mi było poznać.

W przedpokoju zostawiam płaszcz, buty i smycz psa, który pognał już gdzieś do przodu. Sam również wkraczam do korytarza i decyduję się zająć uzupełnieniem notatek dotyczących kilku pacjentów. Przechodzę więc do gabinetu, biorę leżące na regale dwa notesy i z nimi w ręku opadam na fotel przy biurku. Odpalam jeszcze laptopa i rzucam się w wir pracy.

A tkwiąc w nim jakąś niecałą godzinę, ponieważ po tym czasie słyszę wibracje telefonu. Odciągnięty od obowiązków sięgam od razu po urządzenie i widząc nazwę kontaktu, bezzwłocznie odbieram połączenie od Gravesa. *Może coś się stało?*, zastanawiam się.

– Co jest, Kayden? – rzucam do słuchawki, przy okazji nie spuszczać wzroku z ekranu laptopa, na którym – przez to, że przeglądam często artykuły o grupie baletowej – właśnie wyświetla się propozycja przeczytania jakiegoś świeżego tekstu napisanego przez czasopismo.

– Mam ważne pytanie – wzdycha chłopak.

– No to wyduś je z siebie.

Po tych słowach znudzony klikam w artykuł. Może znowu Love zgarnie w nim wiele pochwał? Po ostatnich występach zwracano na nią więcej uwagi. A mnie napawało to dumą i nawet niedużą dawką siły, by jakoś radzić sobie z całą tą sytuacją.

Zaczynam śledzić wzrokiem tekst, wciąż słuchając jednak jednym uchem Kaydena.

– Chlo przyjeżdża do mnie dzisiaj, a mi już skończyły się pomysły, gdzie ją zabrać.

– Potrzebujesz rady – zgaduję.

– Najlepiej takiej na szybko.

Wypuszczam w zamyśleniu powietrze.

– No to może zabierz ją tam, gdzie zabrałaś kiedyś Love? – proponuję, nadal przeglądając pobieżnie artykuł. – Tam, dokąd dojedziecie wyciągiem? Możecie zrobić ogni...

Zamieram w przeciagu ułamka sekundy, gdy natrafiam na coś spojrzeniem.

– Ognisko? – dokańcza za mnie Kayden. – W sumie brzmi nieźle.

Rozchyłam nieznacznie usta. Czuję, jak plecy natychmiast oblewa mi zimny pot. Przez chwilę nie ruszam się choćby o cal, mierząc się z paraliżem, który nagle ogarnął mnie na widok czegoś, czego, Boże jedyny, naprawdę nie chciałem zobaczyć na własne oczy.

– Ryder? – słyszę Kaydena przy uchu, jednak zupełnie na to nie reaguję.

Wciąż gapię się tępo w wyświetlone zdjęcia. Sięgam bardzo powoli po materiał swojej bluzy tuż przy szyi i odciągam go od niej, czując, jakby coś mi się wokół niej owinęło i nie pozwalało nabrać powietrza. To

jednak nie działa. Wciąż mam wrażenie, że dławi mnie szok.

Wciąż mam wrażenie, że przez całego mnie przetacza się dziwne zranienie na widok zdjęć, które przedstawiają Love i tego jebanego Zacka, wychodzących z hotelu w Madison, dokąd dzisiaj dotarli. Jeszcze mocniej zaciskam palce na materiale bluzy. Idą przed siebie roześmiani, a on obejmuje ją w talii i nachyla się nad jej twarzą tak, jakby miał zamiar skraść jej za chwilę pocałunek. Nawet jeśli coś sobie dopowiadam, ten widok mnie, kurwa, pokonuje.

Moja usta wykrzywia grymas prawdziwego bólu.

Bo to boli. Cholera jasna, dlaczego to boli aż tak?

Natychmiast zamykam klapę laptopa. Podrywam się z fotela. Opieram wyprostowane ręce na krawędzi biurka. Rozłączam połączenie i odrzucam niedbale komórkę, nie chcąc przez chwilę słyszeć niczego, nawet pytań Kaydena. Zaciskam powieki i wargi tak mocno, że aż odczuwam przy tym dyskomfort. Kiedy je uchylam, coś... coś we mnie pęka.

Wyrzucam z siebie ryk tak głośny, że gardło schnie mi na wiór.

Przecieram po nim pospiesznie usta. Ciężko dyszę, a oczy zaczynają mnie piec. Nie mogę utrzymać tego w ryzach. Tego pojebanego amoku, w który popadam, kiedy oczami wyobraźni nadal widzę ją w jego ramionach, kiedy pamiętam o tym, że ilekroć dzwoniłem, on jej towarzyszył, kiedy wyobrażam sobie, ile czasu musieli wspólnie spędzić, kiedy przypominam sobie, co powiedziałem jej na wyciągu w dniu, kiedy wylatywała do Phoenix.

Nie odtrącaj troski, którą ktoś inny mógłby ci dać.

Nadal chcę. Nadal chcę, żeby była najszczęśliwsza na świecie, ale błagam, dlaczego w tej jednej chwili, w której dociera do mnie, że ktoś doprawdy mógł o nią zadbać, to mnie tak kurewsko wykańcza? Dlaczego sprawia, że wciąż i wciąż wydzieram się, jakby ktoś obdzierał mnie z pierdolonej skóry? Robię to tak długo, aż w końcu głos mi siada. Zaczyna mnie dławić, zaczynam się dusić, zaczynam ledwo widzieć na oczy, zaczynam przypominać kogoś, kim na pewno nie jestem.

Wydecham spazmatycznie powietrze, kręcąc głową.

Nie dam rady. Kurwa, nie dam sobie jebanej rady.

Błagam cię, nie rób... Nie rób mi tego.

Przetykam resztki śliny w ustach i wykrzywiam je znowu, pragnąc pozbyć się wrażenia, jakbym był rozbijany na kawałki. To musiało być niefortunne ujęcie, ale, ja pierdołę, z jakiegoś powodu nie potrafię się pozbierać po tym, jak je zobaczyłem. Z jakiegoś powodu wypuszczam kolejny przerażająco głośny ryk, zaciskając przy tym powieki i palce na krawędziach biurka.

Nie chcę tak dłużej. Nie chcę dłużej w tym tkwić.

Nie chcę być daleko. Nie od niej.

Prostuję się i przecieram dłońmi zmarnowaną twarz. Uporczywe pieczenie w moim gardle nie ustaje. Czuję, jak mocno wali mi serce i jak wzbiera we mnie pewna potrzeba. Nie trzymam jej na uwięzi. Nie potrafię. Nie teraz. Opuszczam gwałtownie ręce i momentalnie zrywam się z miejsca, wycieńczony w każdym znaczeniu tego słowa. Wkraczam do sypialni. Wyszarpuję torbę, która leży w szafie, i zaczynam wpakowywać do niej losowe ubrania.

Z mojej piersi raz po raz wydobywa się drżący oddech. Rzucam wszystko. Zostawiam to samo sobie. Muszę natychmiast znaleźć się w Madison. Nie mogę pozwolić, by ktoś inny robił to, co robiłem tak długo i co wciąż zamierzam robić ja. Coś rozlewa mi się w krtani. Nie dbam jednak już o nic, gdy chwytam torbę i ruszam pędem do gabinetu. Rzucam ją na biurko.

Nachylam się nad nim i zaciskam usta, dobierając się ponownie do laptopa. Zamykam kartę z artykułem. Zaczynam desperacko szukać najbliższego lotu do Madison. Ponad cztery godziny. Tyle zajmie mi dostanie się do miasta, które znajduje się w Wisconsin. Kupuję bilet, a potem sięgam po telefon i wybieram numer do Kaydena, przebiegając palcami wzdłuż grzbietu nosa.

Muszę się opamiętać. Chociaż na chwilę. Chociaż na czas tej rozmowy.

Nie rób mi tego. Nie rób mi tego, Love. Uczynię cokolwiek, ale nie rób mi tego.

– Halo, jesteś tam? – Graves odbiera niemalże od razu.

Zbieram się w sobie przez kilka pierwszych sekund.

– Tak – potwierdzam nareszcie.

– Brzmisz, jakby coś się stało.

Przeczესuję dłonią włosy i ciągnę bezradnie za końcówki.

– Nic się nie stało. – Siłę się na neutralny ton, ale przychodzi mi to z wielgachnym trudem. – Kay, możecie iść do miejsca, które ci zaproponowałem, jutro w nocy?

Chłopak przez chwilę trawi sens moich słów.

– Myślisz, że dzisiaj ktoś tam będzie? – pyta.

Postanawiam nie owijać niczego w bawełnę.

– Muszę jechać. Do Madison. Do Love. Natychmiast.

Domyślam się, że porządnie zbijam go tym z tropu, ale ta potrzeba, która we mnie tkwi, by wyrwać się z Aspen i znaleźć w Madison, za cholerę nie odpuszcza. Wspomnienie tego, co przedstawiało zdjęcie w artykule, wydziera ze mnie resztki zdrowego rozsądku. Wariuję jak diabli. Wariuję jak nie ja, gdy zamaszystym ruchem sięgam po torbę i ruszam do przedpokoju.

Nie mam pojęcia, co wyprawiam, kiedy idę przed siebie i miażdżę w dłoni telefon.

– Nic z tego nie rozumiem. Miałeś jechać za tydzień do Austin – zauważa Kayden.

Niechlujnie narzucam na siebie ciężki płaszcz i zaciskam powieki, zupełnie pokonany. Nie jestem pewny, czy kiedykolwiek brałem pod uwagę, że mógłbym rozsypać się tak nagle i tak bardzo, że w pewnym momencie przestanę myśleć racjonalnie i będzie mi wszystko jedno.

– Muszę jechać... muszę teraz... – Słowa wydobywają się ze mnie tak szybko, że nie składają się w żadne sensowne zdanie. – Zostaniecie w bliźniaku dzisiaj i jutro?

– Tak, jasne – rzuca Kayden. – Ale...

– Chlo ma klucze. Wybacz, że pokrzyżowałem wam plany.

Rozłączam się, a następnie, wychodząc w pośpiechu z bliźniaka, trzaskam drzwiami. Stojąc już przy samochodzie i wystawiając na chwilę twarz na sypiący z nieba śnieg, myślę tylko o tym, że mam... mam dużo do powiedzenia Love. Zamierzam cofnąć pewne słowa.

A nawet bez ceregieli wyszarpać ją z cudzych ramion.

I zamknąć ją, moją, szczelnie w swoich.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY



RYDER

Jest już naprawdę późno, gdy docieram nareszcie do Madison. Mam wrażenie, że całe miasto wręcz tonie od śniegu, który je pokrywa. Przechesuję dłonią mokre od puchu włosy i usilnie staram się namierzyć wzrokiem knajpę, z której Love wysłała mi zdjęcie jakąś godzinę temu. Mignęła mi na nim jej nazwa, a ja... nie odpisałem nic na tę wiadomość. Jedyne zawiesiłem sobie torbę na ramieniu i wyruszyłem w dalszą podróż.

Nigdy nie zadziałałem tak impulsywnie.

Nie wsiałem na pokład pierwszego lepszego samolotu, by dotrzeć dokądś możliwie jak najprędzej. A jednak gdy dotarło do mnie, że ktoś inny kręci się wciąż wokół Love i mógłby mi ją odebrać... wszystko we mnie zawrzało. Nawet jeśli moje podejrzenia nie są słuszne, nawet jeśli nie mam racji, ona musi wiedzieć, że będę o nią walczył, dopóki tylko będę mógł.

Idąc zaśnieżonym chodnikiem, mijam kilkoro ludzi. Aż w końcu docieram do celu. Do jakiejś luksusowej knajpy. Przystaję tuż przed przeszkloną witryną, żeby sprawdzić, czy zobaczę tam twarz, którą rozpoznam. To, co jednak dostrzegam przez szybę, sprawia, że zastygam w bezruchu i po prostu... obserwuję. Obserwuję bez emocji, co właśnie ma miejsce.

Obserwuję Love. Obserwuję jego dłonie na jej biodrach, gdy tańczą roześmiani.

Moja mina pozostaje nieprzenikniona. Nie uciekam spojrzeniem nigdzie indziej. Wlepiam je w nich i czuję, jak w całym moim ciele, wystawionym na mróz, zakotwicza się coraz bardziej uporczywy ból. Robię ledwie pół kroku w tył. Wpadam na kogoś, lecz nie przywiązuję do tego wagi. Zataczam się i opieram plecami o uliczną latarnię. Śnieg topnieje na mojej skórze, spływając ciurkiem w dół. Ja pierdolę. *Jak to może boleć aż tak?*

Sponiewierany tym widokiem wykrzywiam usta. Moja Love.

Czy ona...? Mam wrażenie, że nawet stąd słyszę jej śmiech.

Ponownie tego dnia coś zawiązuje się w moim gardle, kiedy stoję pośród padającego puchu i zgiełku ulicy oraz wbijam zmarnowany wzrok w dal. W swoją Love w cudzych objęciach. W swoją Love, której nie mógłbym pokochać już mocniej, a która... wydaje się w swoim żywiole, kiedy bawi się w najlepsze z resztą grupy baletowej, z nim, z facetem, którego ma przy sobie ciągle.

Piecze mnie cała klatka piersiowa. Pieką mnie nawet jebane oczy, kiedy nie umiem nie zapadać się w sobie z każdą upływającą sekundą. Chyba cudem przełykam gorycz, którą czuję na języku. Krzywię się jeszcze bardziej, mierząc się z przeczuciem, że... że się spóźniłem.

Że spóźniłem się z prośbą, by nie pamiętała o słowach, które niegdyś wypowiedziałem.

Odwracam się i zaczerpuję głęboki wdech do płuc. Przebiegam dłonią po zmarniałej twarzy, a potem zsuwam ją powoli, odczekuję moment i... walę z całej siły pięścią w latarnię, aż ta lekko się chwieje. Nie mogę. Przecież nie mogę wypuścić jej wolno, nawet jeśli kiedyś stwierdziłem, że byłbym w stanie to zrobić. Bo nie jestem w stanie tego zrobić. Za żadne skarby.

Coś we mnie ożywa. Coś zaborczego i potwornie nieujarzmionego.

Zrywam się nagle z miejsca i wchodzę do knajpy. Skupiam na sobie cudze spojrzenia, ale nie dbam o to. Zaślepiony gniewem zbliżam się do Love i Mortona. Wyszarpuję ją z jego objęć, po czym bez zawahania popycham go na ścianę, od której odbija się z impetem.

W knajpie wybucha prawdziwa wrzawa, ale ja gapię się tylko na niego i zaciskam palce na jego koszuli.

– Nie za bardzo się zapominasz? – rzucam rozjuszony, nie mając pojęcia, co we mnie wstępuje. –

Pytam, czy, kurwa, nie za bardzo się zapominasz?! – powtarzam i wzmacniam ton.

Chłopak jest tak sparaliżowany, że nie odzywa się słowem, a ja wyczekuję, aż odpowie mi, że tak, w rzeczy samej, zapomniał się, bo *ona wcale nie jest jego*. Wtem czuję, jak czyjeś drżące palce oplatają moje przedramię skryte pod materiałem płaszcza. Sztywnieję.

– Nie, Ryder – słyszę szept Love. – Chodź do mnie. Błagam cię, chodź...

Spoglądam na nią zbolałym wzrokiem i opuszczam ręce, kręcąc mozolnie głową.

– Przecież ten natręt się ciebie uczeplił, Love.

Moja ukochana staje przede mną. Ujmuje w dłonie moje policzki i patrzy na mnie ze łzami w tych swoich ogromnych, brązowych oczach, powtarzając zacięcie coś, co z trudem jestem w stanie rozszyfrować, bo wciąż dzwoni mi w uszach szum własnej krwi.

– Nie zrobił tego, cii...

Rozbity unoszę brew.

– Nie?

Love nadal kręci głową.

– Nie zrobił nic złego – ciągnie niemalże bezgłośnie.

Przyglądam się jej z góry, a ona przelyka łyżę, patrząc wprost na mnie.

– Nie? – łapię ją za słowo po raz kolejny. – To dlaczego mam ochotę wydrapać sobie jebane oczy?

Dlaczego to mnie rusza, skoro to niby takie... – głos mi się łamie – ...takie nic?

Zsuwam delikatnie jej dłonie ze swoich policzków i dokańczam załamany:

– Dlaczego to mną tak cholernie poniewiera, Love?

Ostatni raz zaglądam w jej pełne zranienia tęczówki, a potem czym prędzej ruszam do wyjścia, bo mam świadomość tego, że przegiąłem. Mam świadomość tego, że znowu wstąpiło we mnie coś okropnego, tak jak wtedy, gdy wyżyłem się na Polly podczas grudniowego bankietu.

Wychodzę na mróz. Robię parę kroków i wkraczam w uliczkę obok knajpy, słysząc za sobą chrupnięcia śniegu. To Love. To ona za mną wyszła, a ja sam nie wiem, czy chcę ją najpierw porwać w ramiona po tych prawie dwóch miesiącach, które spędziliśmy bez siebie, czy przebłagać ją, by zapomniała zarówno o tej akcji, jak i słowach, które kiedyś do niej skierowałem.

Opieram się o ceglana ścianę i chowam twarz w dłoniach. Nie wiem. Nie wiem, co się ze mną dzieje, co wyprawiam, nie wiem... nie wiem nawet, jak zebrać myśli do kupy i ubrać je w słowa. Zsuwam ręce. Opuszczam je gwałtownie i przegrany patrzę na Love, która wlepia zbolały wzrok wprost we mnie. Ma zapłakaną twarz, wilgotne od mokrych śladów usta i oczy...

Oczy wypełnione cierpieniem.

– Na każdym zdjęciu, które ci robią od prawie dwóch miesięcy, on jest w pobliżu ciebie – zaczynam i ściągam z ramion ciężki płaszcz, bo ona nic na siebie nie założyła. Teraz trzęsie się, opatula dłońmi, a śnieg sprawia, że jasna sukienka zaczyna przylegać do jej ciała.

Okrywam ją płaszczem, sam zostając w ciemnym swetrze.

– Na każdym jednym – dodaję niemrawo, szczerze zamykając na niej poły materiału. Jednocześnie wciąż zaglądam jej w oczy, czując się okropnie źle z tym, co zrobiłem.

Przymykam ciężące mi powieki, lecz od razu je uchylam.

– Nawet na tych, które zrobili wam dzisiaj, on cię niemalże całuje, a te hieny z czasopism węższą coś pomiędzy wami i rozpisują się o tym, co was łączy. Nie mogę tego nawet doczytać do końca. Nie potrafię. Boże, błagam cię. Tak bardzo cię błagam, nie rób mi tego...

Rozchylam usta i nabieram nimi wdech, ściskając między palcami zamsz płaszcza.

– Błagam cię, nie rób, nie pamiętaj słów, które wypowiedziałem na wyciągu.

Love odwraca wzrok i po raz pierwszy dusi ją niekontrolowane sapnięcie.

– Ryder... – wydusza, lecz nie jest w stanie dodać nic więcej.

Przyciskam usta do jej czoła i składam na nich przepaszające muśnięcie.

– Nawet jeśli ledwo dajesz radę to ciągnąć, nie bierz tego, co może dać ci inny – wydycham z wysiłkiem z wargami wciąż przy jej skórze. – Będę gonił za tobą częściej, niezależnie od tego, który stan odwiedzisz. Będę gonił za tobą o wiele częściej, wiesz?

Obłok ciepłego powietrza wydostaje się z mojej piersi, gdy kontynuuję:

– Będę rzucał dosłownie wszystko, jeśli powiesz, że tego chcesz tak, jak rzuciłem dosłownie

wszystko teraz. Wysilę się, jak mogę... Zadbam o ciebie, jak mogę – przekonuję ją, wciąż nie potrafiąc do końca uwierzyć w to, że nareszcie trzymam ją znowu przy sobie.

Odsuwam się, by móc objąć spojrzeniem jej zapłakaną twarz.

– Tylko błagam, nie rób mi tego i nie bierz od żadnego faceta tego, czego ci teraz brakuje – dopowiadam, patrząc prosto w brązowe oczy Love, i przenosząc dłonie na jej szyję i kawałek linii szczęki. – Bo dam z siebie wszystko, żeby już ci tego i czegokolwiek innego nie brakowało.

Love zaczepta skostniałe palce na moim brzuchu. Wcisnęła mi mocno paznokcie w skórę skrytą pod cienkim materiałem swetra. Łzy wciąż wytyczają trasy po jej napuchniętych policzkach, a jej oddech wydaje mi się, że z każdą chwilą staje się coraz bardziej urywany.

– Nie płacz – wypowiadam te słowa w przestrzeń między naszymi twarzami.

Moja ukochana zadziera brodę, a ja wzmacniam uścisk dłoni na jej szyi.

– Nie płacz i nie mów, że spóźniłem się z tą prośbą, bo coś do niego poczułaś. – Kręcę głową, lecz prędko dodaję pospiesznie: – Nawet jeśli to zrobiłaś, nie zrezygnuję z ciebie. Nie wypuszczę cię wolno, bo wiem, że wciąż coś dla ciebie znaczę, chociaż te prawie dwa miesiące kompletnie nas pokruszyły. Wiem, że jest jeszcze, co z nas zbierać, Love... Tak dobrze to wiem.

W załzawionym spojrzeniu Love kryje się teraz prawdziwa rozpacz.

A już zwłaszcza, gdy dokończam resztkami sił:

– Damy radę... Jakoś się posklejamy.

Po moich słowach między nami następuje cisza. Docierają do nas tylko odgłosy dochodzące z ulicy obok. Trwa to jednak, dopóki Love nie wypuszcza powietrza, które przez kilkanaście sekund wstrzymywała w płucach. Wtedy też popycha mnie do tyłu i cedzi:

– Nie cierpię cię. Chryste, nie cierpię cię tak bardzo. Wynoś się stąd w tym momencie – wyrzuca z siebie rozzłoszczona. Mówi to wszystko przez wciąż wypływające spod jej powiek łzy, zawzięcie próbując mnie docisnąć do ceglanej ściany, którą mam za sobą.

Nie ruszam się o krok, tylko wyduszam z siebie niepewny szept:

– Mam... się wynosić?

Love nie może złapać tchu.

– Nie możesz pozostawiać wszystkiego samego sobie, bo mi ciebie brakuje – wydycha z pretensją w głosie. – Nie możesz robić dla mnie jeszcze więcej, niż już robisz... durniu. Skończony durniu, Zack jest zajęty. Jego dziewczyna należy do grupy, to cholerna Shannon!

Stoję nieruchomo, jakby coś przytwierdziło mi stopy do podłoża.

– Słucham?

Brunetka również zatrzymuje się i rozkłada bezsilnie ręce.

– On jest przecież choreografem. Pokazywał mi kroki do innego tańca, który wychodził mi pokracznie. A te artykuły... media lubią kreować swoje własne skandale, a my nie możemy nad nimi zapanować. Mnie i Zacka nic nie łączy, a ty... nie dajesz sobie rady, zupełnie jak ja.

Love ostatnie słowa wypowiada tak słabym głosem, że ledwo mogę ją dosłyszeć.

Przez kilkanaście sekund zastanawiam się nad tym, co powiedziała. Nawet nie czuję zimna, które powinno mi doskwierać, gdy stoję w uliczce pośród mrozu i śniegu. Tylko przyglądam się Love i myślę, że ma rację. Nie radzę sobie z tym, w czym utknęliśmy. W tej paskudnej pułapce. Kiedy się w niej znajduję, zdarzają się chwile, w których nie potrafię się opamiętać.

A jedną z nich było to, co zrobiłem, gdy wpadłem do knajpy.

Skupiony na jej oczach, pytam jakby samego siebie:

– Boże, co ja znowu wyprawiam, Love?

Moja ukochana początkowo nic nie mówi.

Aż nareszcie robi krok i nieśmiało obejmuje mnie rękami w pasie, przytulając się do mojego ciała niejako z utęsknieniem. Od razu odwzajemniam uścisk i kładę brodę w jej włosach. Chryste, aż wzdycham z ulgą. Wzdycham z jebaną ulgą, którą całym sobą odczuwam.

Mam ją. Mam Love. Mam swoją Love z powrotem chociaż przez moment.

Zamykam ją w szczelnym uścisku, a ona obejmuje mnie ciaśniej w pasie. Czuję dreszcze przebiegające wzdłuż kręgosłupa i silną chęć, by trzymać ją tak o wiele, wiele dłużej.

Moja Porter pociąga smutno nosem i wtula policzek w moją pierś.

– Nie wiem, co wyprawiamy oboje – odpowiada po dłuższym czasie. – Od niemalże dwóch miesięcy nie wiem, na co my tak właściwie się pisaliśmy. Naprawdę... naprawdę na coś, co tak bardzo boli? Naprawdę na coś, co boli aż tak, Ryder? – zastanawia się na głos.

Przenoszę jedną dłoń wyżej i obejmuję nią tył jej głowy.

– Przepraszam cię. – Czuję potrzebę, by to powiedzieć.

Zaczynam gładzić palcami jej wilgotne włosy.

– Tak strasznie, ja... – Robię przerwę. – Zobaczyłem te artykuły i dobrze pamiętałem, że zawsze, gdy do ciebie dzwoniłem, słyszałem go gdzieś w tle, zawsze był gdzieś obok. Moim pierwszym odruchem był przyjazd tutaj. Pomyślałem, że muszę o ciebie zaważyć... z nim.

Love wzmacnia chwyt rąk wokół mnie, jakby w ten sposób chciała mi coś przekazać.

– A już zwłaszcza pomyślałem tak, gdy trzymał na tobie ręce – dokańczam i, cholera jasna, jest mi naprawdę źle z tym, co we mnie wstąpiło i z tym, na co sobie pozwoliłem.

Nieobecność Love przy mnie sprawia, że robię okropne głupstwa, uświadamiam sobie i odsuwam się od niej na bardzo niedużą odległość, czując, że jej dłonie wędrują po moim brzuchu i torsie. Jej oczy są przygnębione, a ton, którym się do mnie zwraca, przyciszony.

– To nas przerasta, Ryder – wysnuwa trafny wniosek.

Kręcę bezradnie głową i stykam nasze czoła.

– Widzę – zgadzam się z nią, ledwie wyduszając z siebie to jedno słowo, a co dopiero kilka kolejnych: – Ale co nam zostaje, oprócz bycia ze sobą na odległość, Love?

Dziewczyna przymyka powieki i rozchyła drżące wargi.

– Nie umiałabym nawet poczuć do niego albo kogoś innego czegokolwiek – uspokaja mnie i trąca swoim nosem mój. – Mogę być daleko od Aspen, być zajęta występami, ale w głowie nadal mam ciebie. Jedynie ciebie. A twoje słowa z wyciągu... nie biorę ich pod uwagę.

Sposób, w jaki mnie o tym zapewnia, dodaje mi otuchy. Moja Porter. Moja Porter wie, o czym mówi. Otwiera oczy, a następnie znowu trąca zaczepnie mój nos i kradnie mi krótki, ledwie wyczuwalny pocałunek, który, o zgrozo... Sprawia, że nieznacznie się rozluźniam.

Bezwłocznie, wciąż trzymając tył jej głowy, przyciągam jej usta do swoich i całuję ją zawzięcie, nie zważając na padający z nieba śnieg albo to, że ktoś może nas tu wyhaczyć. Zabieram sobie z jej piersi cichy, nieśmiały pomruk i sycę się tym, czego tak mi brakowało.

Upragnioną bliskością kobiety mojego cholernego życia.

W chwili, gdy rozdzielam nasze usta, wydycham:

– To dobrze... To dobrze, skarbie.

Zabieram jej jeszcze jeden pocałunek. Jej pełne wargi ocierają się o moje, a skostniałe ręce zacieśniają ponownie wokół moich boków, kiedy stoimy przy sobie i napawamy niewinną pieśczęcią po prawie dwóch straszliwie okropnych miesiącach rozłąki.

Wciąż czując się jednak źle z tym, co zrobiłem, dopowiadam:

– Jeszcze raz przepraszam. Powinienem to z nim wyjaśnić.

Love odsuwa się nieznacznie i patrzy na mnie z dołu. Ledwie zauważalny uśmiech gości wtedy na jej twarzy, a ona ściera z niej pozostałości po łzach, które zdążyły już wyschnąć.

– Później to zrobisz – stwierdza nagle. – Wezmę płaszcz i chodźmy.

Ściągam brwi, opuszczając rękę, którą trzymałem z tyłu jej głowy.

– Dokąd?

Dziewczyna robi krok w tył.

– Sama nie wiem. Przeszkadza ci to?

Patrzę wprost na nią i wracam do czegoś pamięcią.

– *Pójdiesz ze mną?* – pyta, a ja taksuję ją uważnym wzrokiem od stóp do głów. Love zdążyła się przebrać. Patrzę na swoją pomiętą koszulę, w której i tak wygląda zajebiście dobrze. Na krótką, czarną spódniczkę i opinające zabójczo długie nogi białe podkolanówki. Na koniec zostawiam twarz, na której nadal maluje się nieme pytanie.

– *Nie założysz na siebie nic więcej?* – Unoszę leniwie brew, mimo wszystko podnosząc się z miejsca. – Powinnaś ubrać się cieplej. Poranki wciąż bywają mroźne.

Kiedy stoję wyprostowany, góruję nad Love o niemalże trzydzieści centymetrów. Tyle w zupełności

wystarczy, by dziewczyna musiała zadrzeć brodę w celu skrzyżowania ze mną spojrzenia. W jej oczach dostrzegam coś na kształt wyzwania.

Wyzwania, które, Bóg mi świadkiem, zawsze przyjmę, jeśli to ona będzie mi je rzucać.

– A ty zamiast martwić się, czy nie zamienię się w bryłę lodu, powinieneś głowić się, gdzie wyciągam cię o piątej nad ranem, wyglądając jak wiedźma z tymi rozczochranymi włosami. – Porter przewraca z rozbawieniem oczami.

A ten widok – jej trochę bardziej spokojnej i czującej się po prostu lepiej mimo smutnych wspomnień, którymi parę godzin temu się ze mną podzieliła – sprawia, że pewien rodzaj ulgi kielkuje gdzieś w moim wnętrzu.

– Chyba nie sądziłaś, że najbardziej będzie zastanawiać mnie to, jaki cel zamierzasz obrać. Love. Mam to gdzieś – mówię zupełnie szczerze. – Pójdę z tobą dokądkolwiek tylko stwierdzisz, że pragniesz.

Z letargu wyrywa mnie chwila, w której Love splata nasze dłonie. Od razu pomrużuję parokrotnie, wyostrzam wzrok oraz orientuję się, że czeka na moją odpowiedź. Odruchowo mocniej ściskam jej rękę, a potem wydecham powietrze i razem z nim coś więcej:

– Nie przeszkadza mi to.

Uśmiecham się słabo.

– Naprawdę nie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY



RYDER

Naprawdę nie podejrzewałem, że tak skończy się ten dzień. Że późnym wieczorem, a raczej wczesną nocą, będę przechadzać się po parku miejskim w mroźnym Madison, trzymając ciasno w swojej dłoni tę drobną, należąca do Love. A jednak teraz maszerujemy leniwym tempem przez zaśnieżoną ścieżkę, mając splecione ręce i zachowując się tak, jakby ona wczesnym rankiem nie musiała udać się na próbę, a ja w południe wracać do odległego Aspen.

Jakbyśmy wcale nie byli jedną z tych par, która żyje ze sobą na odległość.

Zerkam mimochodem na Love. Patrzę, jak rozgląda się wokół i delikatnie uśmiecha. Wydaje się weselsza niż była jeszcze przed godziną, gdy oboje lekko przygaszeni po tym, co się wydarzyło, wyruszyliśmy spod knajpy na długi spacer, który nie miał celu. Po prostu szliśmy tam, gdzie Love stwierdziła, że niosą ją nogi, a ja pozwalałem jej się za sobą ciągnąć.

– Coś się stało? – słysząc nagle jej pytanie, wracam do rzeczywistości.

Nie spuszcza z niej wzroku choćby na krótki moment.

– Nic. Po prostu myślę o czymś, czego żałuję.

Obserwuję jej spąsowiałe od zimna policzki, rozwiane po bladej twarzy, ciemne pasma włosów i zatroskane oczy, którymi patrzy w moją stronę, wzdychając.

– Ryder...

Pewnie sądzi, że chodzi mi o Zacka, myślę.

Jeśli tak jest, prędko wyprowadzam ją z błędu:

– Szkoda, że nie mam przy sobie swojego urodzinowego prezentu. Chciałbym zobaczyć cię właśnie taką przed obiektywem aparatu – mówię spokojnie, a Love rozchyła usta, co podpowiada mi, że zdecydowanie nie to spodziewała się ode mnie usłyszeć.

Po paru sekundach uśmiecha się szerzej.

– Chciałbyś zobaczyć mnie przed nim ze śladami po tuszu na twarzy?

Przystaję w miejscu i zmuszam ją do tego samego. Zatrzymujemy się akurat pod jedną z wielu parkowych latarni, w słabym świetle której doskonale widać nadal padający z nieba śnieg oraz które pozwala mi zajrzeć głębiej w brązowe tęczęwki Love.

– Mówiłem ci, że już ich nie masz – stwierdzam, a następnie wyciągam wolną dłoń w stronę jej, w rzeczy samej, nieumazanego tuszem policzka i obejmuję go palcami.

Dziewczyna mruży podejrzliwie oczy.

– Chyba nie jesteś tego pewny, skoro się tutaj zatrzymaliśmy i tak mi się przyglądasz. – Love wydaje się rozbawiona, a ja robię nieduży krok w jej stronę i zbliżam usta do jej warg.

– Przyglądam ci się, bo nawet sobie nie wyobrażasz, jak cholernie wariowałem bez widoku tego... – Składam krótkiego, aczkolwiek czułego buziaka na jej okropnie czerwonym nosie, a potem kolejno na pomalowanej brwi i skroni. – Tego, a nawet tego...

Gdy kończę, nie umiem powstrzymać własnego, dyskretnego uśmiechu. Po niemalże dwóch miesiącach naprawdę dobrze jest móc poczuć, że nic nie uległo zmianie. Że Love wciąż reaguje cichym pomrukiem na mój dotyk i każdy jeden najdrobniejszy gest, którym ją obdarzam. Teraz szczerzy się szeroko i zdmuchuje sprzed nosa ciemne pasmo włosów.

– Ja też czegoś żałuję – obwieszcza, lecz w jej głosie nie pobrzmiwa smutek.

Unoszę pytająco brew.

– Czego?

– Nasze spotkanie po tak długiej rozłące powinno wyglądać zdecydowanie romantyczniej – stwierdza tajemniczo, a ja nie mam pomysłu, o co mogłoby jej chodzić.

– To znaczy? – dociekam.

– To znaczy, że musimy zrobić dubla.

Przewracam oczami i po tym, jak opuszczam rękę z policzka dziewczyny, na powrót wlepiam pełne politowania spojrzenie w jej twarz. Opada na nią coraz więcej płatków lawirującego wokół nas w powietrzu śniegu.

– Porter, to głupie – pry cham.

Love natomiast wskazuje gestem ręki gdzieś za mnie.

– Stań tam i się nie ruszaj – rzuca rozkaz.

Mimo że niechętnie, to jednak się wycofuję. Dla pewności rozglądam się jeszcze wokoło i upewniam, że żadna para oczu nie jest na nas zwrócona. Nawet jeśli nikt nas tu na sto procent nie zna, to jednak robienie z siebie skończonego debila brzmi tak samo żałośnie.

Po chwili patrzę z pewnej odległości na Love i parskam ironicznie:

– Każ mi się jeszcze uklonić.

Dziewczyna nadal pięknie się uśmiecha.

– Obejdzie się bez ukłonów. Po prostu mnie złap.

W pierwszej chwili nie mam pojęcia, o co jej chodzi. W drugiej zaś ona wbiega we mnie z impetem, a ja mam dosłownie sekundę, by zareagować. Natychmiast porywam ją w swoje ramiona, a potem bez żadnego trudu podnoszę i zaczepiam jej nogi wokół swoich bioder, zaś ręce kładę pod zgrabnymi udami. Love oddycha szybciej i patrzy na mnie iskrzącymi oczami.

– Tak? Było dobrze? – pytam, a ona, niezmiennie wyszczerzona, kiwa głową.

– Mój mięśniak – mówi, po czym kradnie mi przelotnego buziaka.

– Cholera, Love. To było całkiem przyjemne, ale powinniśmy sprawdzić, czy nie masz gorączki. Wpadasz na dziwne pomysły – proponuję, kiedy wciąż trzymam przy sobie jej ciało, a ona wydaje się aż przesadnie z czegoś zadowolona. *To podejrzone. Nawet bardzo.*

Patrzę na jej rozweseloną twarz i śnieg, który opada na jej ciemne włosy.

A Love jedynie wzrusza krótko ramionami, zagryzając wargę.

– Ty powinieneś sprawdzić, czy nie masz wady wzroku.

Mrużę oczy na jej słowa.

– Niby dlaczego miałbym ją mieć?

– Ponieważ nie zauważyłeś, że jakiś paparazzi zrobił nam kilka zdjęć.

Odruchowo znowu rozglądam się po parku, ale nikogo nie zauważam.

– Poważnie? – dziwię się.

Dziewczyna przytyka dłoń do ust, by powstrzymać śmiech.

– Wydaje mi się, że jutro może powstać o nas jakiś artykuł...

Wypuszczam ze świstem powietrze.

– I co wtedy?

– Wtedy już nikt nie będzie miał wątpliwości, że to od ciebie – mówiąc to z wyraźnym zadowoleniem, Love wystawia mi przed nos swoją dłoń, której jeden z palców ozdobi... szlag by to. Pierścionek, który podarowałem jej tuż przed tym, gdy wyleciała z Aspen.

Ten, którym chciałem się jej oświadczyć. Patrzę na niego, a następnie wracam spojrzeniem do uszczęśliwionej Love. Nasze ciepłe oddechy mieszają się przez chwilę ze sobą, kiedy wydychamy je w niedużą przestrzeń pomiędzy naszymi zwróconymi ku sobie twarzami.

Zaglądając prosto w oczy dziewczyny, szepczę jakby pod nosem:

– Założyłaś go...

Love odpowiada mi skinieniem.

– Dopiero dzisiaj. Niech zrobią zbliżenie, bo mój facet ma świetny gust.

Tym razem to ja przyciskam swoje usta do jej. Podgryzam prowokująco jej dolną wargę, otrzymując w zamian cichy, melodyjny śmiech. Porter kładzie dłonie na moich ramionach i odwzajemnia pieśczość, a ja czuję, jak przez moje ciało przedziera się pieprzony, elektryzujący prąd. Litości, reaguję na Love Porter jak szczeniak. Ale niech będzie. Minęły dwa miesiące, odkąd miałem ją przy sobie. Mogę dostawać na jej

punkcie fioła.

Wtem dziewczyna głaska mnie po ramieniu i odsuwa usta od moich.

– Dobra, daj mi zejść. Idziemy dalej.

– Upatrzyłaś sobie jednak jakiś cel wycieczki?

Love przytakuje niemalże natychmiast.

– Lodowisko. Jest tuż za tobą.

Brunetka wskazuje gestem ręki gdzieś za moje plecy, a ja posłusznie odstawiam ją na śnieg, by stanęła na nim o własnych siłach. Potem, nawet jeśli wcale nie mam ochoty zakładać dzisiaj łyżew, sięgam po dłoń dziewczyny i ruszam z nią w stronę wspomnianego lodowiska.

W międzyczasie Love spogląda kątem oka na ekran telefonu i po tym, jak chowa go ponownie do kieszeni płaszcza, wbija we mnie wzrok oraz zapowiada:

– Po lodowisku wracamy do hotelu. Bo... zostaniesz chociaż na noc?

W jej głosie bez trudu wyłapuję delikatną obawę. Ściskam jej dłoń.

– Zostanę na noc – potwierdzam, lecz piękny czar pryska, gdy tylko dodaję po chwili nieco ciszej: – Będę musiał wylecieć jakoś w południe. Cały wieczór zapchany mam spotkaniami z pacjentami... No i nie mogę w nieskończoność wysługiwać się Kaydenem.

Love stara się tego nie pokazywać, ale widzę, że smutnieje.

– Ja z samego rana mam próbę – wzdycha smętnie.

Rozdzielam nasze splecione dłonie, a potem obejmuję ręką talię swojej Porter. Przyciągając ją do siebie maksymalnie mocno, staram się zdusić w sobie przygnębienie, które i we mnie zaczyna odzywać się na myśl, że znowu będziemy musieli trwać w rozłące.

W długiej, paskudnie bolesnej i okrutnej rozłące, której oboje nie cierpimy.

– Więc na dobrą sprawę mamy jakieś kilka godzin – podsumowuję szeptem. – Ale dobre i one. – Jestem przekonany, że Love mimo wszystko wyłapuje w moim tonie niesmak.

Dziewczyna wtula policzek w moją pierś i powtarza prawie bezgłośnie:

– Tak. Chociaż one...

– Co ty wyprawiasz? Zgłupiałeś do reszty?

Dźwięczny śmiech Love rozbrzmiewa obok mnie, a sama zainteresowana chyba nawet wspina się na palcach stóp, byle tylko wyrzeć ponad moje ramię i przekonać się, co takiego kreślę palcem po zaśnieżonej szybie auta znajdującego się obok hotelu, do którego zmierzamy.

– Cicho, daj mi działać – odpowiadam nieprzejęty i nadal bazgram kilka słów.

– Działać? – prychna Love. – Pisziesz komuś po szybie samochodu, Ryder.

– Ponieważ jest już następny dzień, a ja mam coś do odbębnienia.

Oczami wyobraźni widzę, jak cień radości przemyka przez jej twarz.

– Nie wierzę – mówi, kiedy po chwili się odsuwam, a jej oczom ukazuje się napis, który już widziała. Ten sam, który kreśliłem na szybach swojego auta, odkąd wyjechała.

Love po raz kolejny tej nocy przytyka dłoń do ust, powstrzymując parsknięcie.

– Teraz musimy stąd wiać, zanim ktoś nas przyłapie – obwieszczam i po tym, jak rozglądam się czujnie wokoło, oplatam palcami przedramię dziewczyny. Zaczynam ciągnąć ją w stronę znajdującego się blisko nas hotelu, a ona ledwo utrzymuje się wtedy w pionie.

– Hej, mam naprawdę wysokie obcasy! – woła wciąż roześmiana.

Zatrzymuję się i pochylam nieznacznie do przodu.

– No to wchodź – poganiam ją.

Ale ona przez chwilę nic nie robi.

– Jestem pewna, że właściciel tego samochodu nie ruszył za nami w pościg i to nie jest konieczne – mówi rozbawiona Love, a ja prostuję się i spoglądam na nią z uniesioną brwią.

– A ja za to myślę, że jest – stwierdzam. – Chyba nawet go widzę.

Po tych słowach mrużę oczy i patrząc w dal, udaję, że to prawda.

Love kręci głową z uśmiechem, jakby nie mogła uwierzyć w to, że naprawdę zdobywa się na coś takiego, a potem posłusznie wskakuje mi na plecy i obejmuje mnie rękami. Ja za to układam swoje pod jej

udami i zaczynam marsz do wejścia hotelowego.

– Myślisz, że natknę się gdzieś na tego Zacka? – zastanawiam się, kiedy już wkraczam do wielkiego budynku po kilkunastu sekundach. W lobby dostrzegam tylko recepcjonistę. Od razu przechodzę przez pustą przestrzeń do windy, wciąż trzymając na plecach swoją kobietę.

Swoją kobietę, która po tym, jak wchodzimy do niedużego pomieszczenia, stwierdza:

– Dzisiaj nie. Jest druga w nocy, wszyscy pewnie próbują się wyspać przed występem.

– Prócz Love Porter – dopowiadam kąśliwie pod nosem i poprawiam ją na sobie, nadal drżącą z zimna, nawet jeśli weszliśmy już do ciepłego hotelu.

– Prócz Love Porter, która ma na głowie o wiele bardziej istotne sprawy.

Od razu łapię ją za tych kilka słów.

– Jestem istotną sprawą – ciągnę i spoglądam na lustro w windzie.

Love wciska przycisk na jej panelu oraz obejmuje mnie ciasno rękami.

– Jedyną, która w tej chwili ma dla mnie znaczenie. – Moja ukochana uśmiecha się wesoło i również zerka na lustro, by skrzyżować ze mną spojrzenie w jego odbiciu. Przez chwilę patrzymy na siebie bez słów, jadąc na górę, aż w końcu Love wyciąga z trudem telefon.

– Musimy zrobić sobie zdjęcie – zapowiada zadowolona.

Kręcę głową i pryham cicho.

– Rany boskie...

– Niektórzy mówią „cheese”, ale twoje „rany boskie” też przejdzie. – Porter szczerzy się jeszcze bardziej i robi nam zdjęcie. Bije wtedy od niej naprawdę ogrom radości, a ja wciąż patrzę na nią w odbiciu lustra i myślę, że chciałbym widzieć ją taką roześmianą bez przerwy.

Zapatrzony w nią przebiegam dłońmi po przestrzeni pod jej udami. Po około kilkunastu sekundach winda zatrzymuje się na właściwym piętrze. Wychodzę z niej i nawet nie muszę pytać, gdzie powinienem się udać, bo wyprzedza mnie Love:

– Czwarte drzwi od lewej – rzuca.

Mija parę minut, zanim odkładam ją na podłogę, a ona odnajduje w torebce kartę do pokoju. Kiedy do niego wchodzimy, wszędzie panuje mrok. Love zapala od razu światło, rozkłada ręce na bałagan, który panuje w środku, i spogląda na mnie niewinnie.

– Obrazisz się, jak prześledzę rozpiskę na kolejne dni?

Kręcę głową w geście protestu.

– Pójdę w tym czasie wziąć prysznic.

– W takim razie czekam – mówiąc to, Porter sięga po plik dokumentów leżących na szafce nocnej i siada na fotelu, zapewne by rzeczywiście je przejrzeć.

Sam biorę rzeczy z torby i przechodzę do łazienki, gdzie biorę prysznic. Odbyta podróż i to wszystko, co się dzisiaj wydarzyło, sprawiają, że jest on nieco dłuższy niż zazwyczaj, ale po kilkunastu minutach wracam do Love, która nadal siedzi w tym samym miejscu, tyle że nie patrzy już w żadne dokumenty, a wpatruje się z niewzruszeniem w jakiś punkt na ścianie.

Podchodzę do niej ubrany tylko w szare dresy. Stojąc już przed nią, pochylam się i opieram wyprostowane ręce na jej nogach, zniżając się tak, że nasze oczy znajdują się na tej samej wysokości. Love ucieka spojrzeniem do mojej twarzy i uśmiecha się.

Odwzajemniam ten gest.

– Zamyśliłaś się – zaczynam, patrząc wprost na nią.

Dziewczyna spuszcza delikatnie wzrok na mój tors, lecz niedługo potem ponownie krzyżuje ze mną spojrzenie i unosi ręce, by przebiec nimi po moich napiętych bicepsach. Jej palce śledzą starannie każdą krzywiznę moich mięśni, a ja pochłaniam jej dotyk całym sobą.

– My nigdy tego nie umieliśmy, Ryder. – Love wciąż jest nieco nieobecna.

– Czego?

Wpatruję się w nią bardzo, bardzo uważnie.

Brązowe oczy również skupiają się wyłącznie na mnie.

– Trzymać się na dystans – wyjaśnia ich właścicielka, a ja wiem, co ma na myśli. *Ten czas, gdy nie mogliśmy pozwolić sobie na nic, bo była moją pacjentką i siłą rzeczy musieliśmy trzymać się na dystans.* – Od samego początku mieliśmy z tym bardzo duży problem.

Wracam pamięcią do samego początku. Do pewnego wspomnienia.

– *Czy na pewno wszystko jest dla Ciebie zrozumiałe, Love? – pytam dla pewności.*

Brunetka zagryza wargę, przytakując.

– *Tak, panie Callahan.*

Na jej odpowiedź ściągam brwi w politowaniu.

– *Sorki, wczułam się – wypala, składając niewinnie usta w dzióbek. – Zawodowo jesteś tak samo sztywny jak prywatnie.*

Na to stwierdzenie jedynie przewracam oczami.

– *Przymknij się – burczę.*

– *Zmuś mnie.*

W jej głosie tkwi najprawdziwsza prowokacja, a ja nie potrzebuję więcej niż sekundy, by zrozumieć, w jaki sposób Love Porter chciałaby zostać uciszona. Na początku mam ochotę palnąć jakąś ripostę, ale później... później świadomość, że to ten ostatni raz, kiedy mogę sobie na coś takiego pozwolić, uderza we mnie jak grom. Dlatego po prostu ponownie ją całuję, uznając w duchu te pełne usta za swój cholerny grzech. Słodki, uzależniający do bólu grzech.

– *Będę za tym tęsknić – mamrocze Love.*

Ja też. Kurewsko mocno.

– *Wiesz, że tak już musi być. – Uśmiecham się smutno, odchylając głowę, by móc objąć spojrzeniem całą jej twarz. – To właściwe, skoro jesteś...*

– *Twoją pacjentką – przerywa mi. – Uwierz, że usłyszałam to dzisiejszego wieczoru wystarczająco dużo razy, by to pojąć, Ryder. I nie chcę splamić twojego wizerunku czy reputacji, dlatego po prostu podporządkuję się twoim zasadom.*

Unoszę kącik ust w słabym, aczkolwiek wdzięcznym uśmiechu.

Wciąż mamy ten sam problem, przyznaję jej w myślach rację.

Nie umiemy trzymać się na dystans. Nadal utrzymuję z nią kontakt wzrokowy. Czuję, że podejmując ten temat, sprawiamy, że atmosfera w pokoju staje się przygnębiająca, dlatego, nie zastanawiając się zbyt długo, podnoszę z łatwością Love z fotela i zrzucam ją na łóżko, które znajduje się tuż obok. Później nieruchomieję nad nią i trącam nosem jej szyję.

– *Mogę dopiero pokazać ci, jak bardzo duży mam problem z trzymaniem się od Ciebie na dystans – pomrukuje nisko w miękką skórę, w czasie gdy Love przetyka powoli ślinę.*

Podrywam głowę, by dostrzec na jej twarzy słaby uśmiech.

– *Możesz – przytakuje. – Chętnie się o tym przekonam.*

Odnajduję palcami zamek jasnej sukienki dziewczyny. Zaczynam zsuwać powoli materiał z jej ciała, nie uciekając przy tym spojrzeniem od jej spokojnych oczu. W pewnym momencie muszę jednak to zrobić, ponieważ Love zamyka w drżących dłoniach moje policzki i przyciąga mnie do leniwego pocałunku. Biorę wdech nosem i pochłaniam jej usta.

A potem jest już południe, gdy budzę się w hotelowym łóżku.

Zupełnie sam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY



LOVE

Brawa nie ustają. Słyszę je jakby przez mgłę, kiedy stoję dłuższy czas na ogromnej scenie, wśród reszty członków grupy, i przeczesałem wzrokiem całą skąpaną w mroku publiczność. To kolejny występ, który przebiega po naszej myśli i zostaje okrzyknięty fenomenalnym... ale również kolejny, po którym nie czuję się w żaden sposób rozemocjonowana czy szczęśliwa.

Powoli zaczynam wątpić w to, że stojąc na scenie w którymkolwiek mieście, poczuję się właśnie tak. Wyglądam dłonią materiał kostiumu i po paru minutach ruszam nareszcie w stronę zaciemnionego zejścia za kulisy, natrafiając tam na szczerze wniebowziętego Zacka.

– Poszło wam świetnie – słyszę jego komplement i kiwam głową w podziękowaniu, ale nic na niego nie odpowiadam. Mam wrażenie, że smutek ściska mnie w gardle tak mocno, że cokolwiek spróbowałabym z siebie wydusić, ta próba i tak spełzałaby na niczym.

W garderobie zjawiam się pierwsza.

Pozbywam się swojego kostiumu, przebieram w normalne ciuchy, a potem, gdy ktoś zmywa mój makijaż, zamawiam taksówkę do hotelu. Tej nocy potrzebuję już tylko jak najszybciej się w nim zaszyć i skontaktować z moim Ryderem, który jest bardzo daleko stąd.

Dzisiaj znowu brakuje mi go naprawdę mocno.

A wątpliwości w mojej głowie krzyczą coraz głośniejsze.

Staram się przemknąć do zaparkowanego nieopodal budynku samochodu niezauważona i chyba mi się to udaje. Nie mam ochoty uczestniczyć dzisiaj w żadnej imprezie grupy. Nadal czuję się w niej paskudnie nieswojo i nadal... nadal zaczynam powątpiewać, czy chcę to w ogóle jeszcze ciągnąć. Czy chcę brać w ogóle w tym wszystkim jakikolwiek udział.

Skoro to mnie nie rusza i nie uszczęśliwia, jaki to ma sens?

Zapinam pasy bezpieczeństwa i podaję kierowcy adres hotelu. Gula w moim gardle staje się bardziej uporczywa, kiedy odjeżdżając spod miejsca, gdzie odbył się występ, widzę tłumy ludzi. *Co jest ze mną nie tak?*, zastanawiam się. *Co jest ze mną nie tak, skoro wspinam się na najwyższe szczyble, osiągam sukcesy i nie czuję się z tego powodu nawet odrobinę spełniona?*

Wyciągam telefon z kieszeni płaszcza i bez choćby najkrótszego namysłu dzwonię do Rydera. Odbiera po dłuższym czasie, a ja nabieram wtedy głębszy wdech.

– Ryder? – pytam ledwie słyszalnym szeptem.

Głos, który słyszę w słuchawce, nie należy do niego.

– Wujek przed chwilą przysnął – rozpoznaję małego synka Chlo.

– Raine? Co ty robisz u wujka? – dociekam.

– Mieliśmy męski dzień.

Unoszę słabo kącik ust na jego dumny ton.

– Aż tak was wymęczył, że teraz śpicie?

– Tak. Ale był naprawdę super – zarzeka się mały.

Opieram rękę na drzwiach samochodu i wyglądam za szybę.

– W takim razie śpicie, nie będę wam przeszkadzać. – Po tych słowach żegnam się z chłopcem i rozłączam połączenie, czując się bardziej przybita nie dość, że wątpliwościami, które od dawna kłębią się w mojej głowie, to jeszcze wiedzą, że nie usłyszę tej nocy Rydera.

Siedząc w ciszy na tyłach jadącej przez miasto taksówki, przyłapuję się na myśleniu, że zaczynam... zaczynam tym wszystkim gardzić. Zaczynam gardzić występami, popularnością i zainteresowaniem, którym obdarzają mnie ludzie i media. Zaczyna być to dla mnie balastem.

W żadnym wypadku drogą usłaną różami, a ciężkim balastem.

Płacę kierowcy i przez chwilę stoję na chodniku przed hotelem, wystawiając twarz na padający z nieba śnieg. Pewnie podpięłabym swój dzisiejszy okropny stan pod kolejny kryzys związany z byciem z dala od ukochanego Aspen, gdyby tylko taki nie trzymał się mnie praktycznie ciągle. Przeczesałam bezsilnie dłonią włosy, czując, że stają się wilgotne.

Wchodzę powoli do budynku i wlokę się do windy, a później do swojego pokoju, w którym nie zapalam światła. Od razu rzucam się na łóżko, zaciskając palce w pięść oraz wypuszczając drżący oddech z płuc. Nie wiem, jak mam postąpić. Chyba nie dam rady tak dłużej. To nie jest życie, z którym mogę się oswoić, ani takie, które sprawia, że odczuwam szczęście.

Przeliczyłam się, myśląc, że kiedy dobrnę tu, gdzie jestem, poczuję się dobrze.

Zaciskam z bólem powieki i leżę w ciemnościach jeszcze przez długi czas.

W pierwszej chwili nie mam pojęcia, czy po pokoju naprawdę roznoszą się wibracje telefonu, czy tylko je sobie wyobraziłam. W drugiej zaś ekran urządzenia jaśnieje, a ja wyciągam dłoń, by sięgnąć nią po komórkę zakopaną głęboko w jasnej pościeli. Uwalniam bezradne westchnienie. Zanim odbieram połączenie od Rydera, upewniam się, że mój głos nie drży.

– Raine wygadał się, że dzwoniłaś – zaczyna mężczyzna.

Przekręcam się na plecy i spoglądam smutno w sufit.

– Tak – potwierdzam.

Ryder cicho wzdycha.

– Mogłaś powiedzieć mu, żeby mnie obudził.

Kręcę głową, chociaż zdaję sobie sprawę, że on tego nie widzi.

– Przestań. Nie chciałam od ciebie niczego ważnego... Tylko pogadać. – Mimo że z całych sił staram się, by w moim głosie nie pobrzmiało przygnębienie, jestem pewna, że mój mężczyzna wyłapuje je bez żadnego wysiłku.

Odruchowo zerkam na szafkę nocną.

– No i rzecz jasna podziękować za kwiaty, nawet jeśli wracając z występu, nie miałam pewności, że dzisiaj też je dostanę – dorzucam, uśmiechając się słabo i patrząc na bukiet białych tulipanów, który kilkanaście minut temu dostarczono mi do hotelowego pokoju.

Ryder przez chwilę nic nie mówi, aż w końcu wypowiada kilkanaście słów:

– Powinnaś się go spodziewać. Znowu wprawiałaś mnie w osłupienie.

W mojej pamięci ożywa pewne niedawne wspomnienie.

Ryder schyla się nieznacznie, utrzymując ze mną kontakt wzrokowy. Z upływem kolejnych sekund nasz taniec staje się coraz bardziej leniwy, niezgrabny i może nawet nieco pokraczny, lecz nie dbam o to. Po prostu mierzę się z rozczuleniem rozlewającym się gdzieś w piersi, w czasie gdy mój ukochany zjeżdża spojrzeniem na moje usta i szepcze cicho:

– To zacznij mieć mnie za faceta, który nie odpuści okazji, by poczuć, jak wprawiasz go w osłupienie tym, co robisz na scenie.

Szczęśliwa opieram znowu część twarzy o jego ramię.

– Gdy na niej jestem wprawiam cię w osłupienie?

– Bez przerwy.

Pociągam nosem, poddając się jego kontroli. Ryder przyciąga mnie do siebie jeszcze ściślej i milknie na dłuższą chwilę tak samo, jak milknę również ja. Kołyszymy się przy sobie, na zimnych panelach, w zaciemnionym salonie, a Gargamel krąży zaciekawiony wokół nas, jakby zastanawiał się, co my tak właściwie wyprawiamy. Urocze.

Wtem mężczyzna trąca zaczepnie ustami płatek mojego ucha.

– And I'll look after you – słyszę, jak wyspiewuje pod nosem ten jeden wers i uśmiecham się maksymalnie szeroko, mocniej wtykając twarz niżej, w jego twardą pierś.

Odrywamy się od siebie dopiero, gdy w bliźniaku nastaje chwilowa cisza. Wtedy Ryder unosi w powietrzu moją dłoń i zaglądając mi z góry prosto w oczy, składa długie i szarmanckie muśnięcie ust na jej wierzchniej części. Od razu czuję skurcz w dole brzucha. Mój jedyny.

Mój jedyny, wymarzony mężczyzna.

– Czujesz się dzisiaj gorzej, prawda? – słyszę jego pytanie i choć pomiędzy ust pragnie mi się

wyrwać *jeszcze żadnej nocy, od kiedy to trwa, nie czułam się gorzej niż tej*, to duszę je głęboko w sobie i zastępuję czymś, co nie brzmi aż tak źle.

– Odrobinę – odpowiadam cicho.

Ryder chyba wychodzi na zewnątrz, bo słyszę trzask drzwi.

– Zaraz zostanie nam już do przeczekania tylko trzynaście miesięcy, Love – mówi to z lekkim wahaniem, bo zapewne domyśla się, jak marnym pocieszeniem wydaje mi się ta wiedza. – To prawie... to prawie już tylko rok. – Na mojej twarzy na pewno kwitnie teraz grymas bólu.

Lecz wcale nie to jest najgorsze.

Najgorsze jest to, że znowu czuję przeraźliwie silny ucisk w podbrzuszu. Wiedząc, co zwiastuje, natychmiast zrywam się z łóżka i na miękkich nogach kieruję się w stronę łazienki. W międzyczasie zmiotam z twarzy włosy i rzucam do słuchawki pospieszne:

– Przepraszam, muszę kończyć.

Rydera na pewno dziwi moja reakcja.

Potwierdza to zresztą jego zmartwione:

– Love?

Ściskam komórkę mocniej w dłoni.

– Oddzwonię, w porządku? – pytam przez ściśnięte gardło, lecz zanim zdążę otrzymać odpowiedź, rozłączam połączenie i będąc już w łazience, odrzucam telefon na blat umywalki.

Moje kolana natychmiast spotykają się z chłodnymi kafelkami. *Zaraz zostanie nam już do przeczekania tylko trzynaście miesięcy, Love*, słyszę cichy głos w głowie, który powtarza słowa wypowiedziane przez Rydera. *To prawie... to prawie już tylko rok.*

Zaciskam powieki i czuję, jak z nerwów mój żołądek się zaciesnia.

Znowu wyrzucam z siebie absolutnie wszystko, chociaż nie ma tego wcale dużo. Łkam nad toaletą, zaciskając mocno pięści i czując, jak piecze mnie wewnętrzna część dłoni, w którą wbijam boleśnie paznokcie. Wpatrując się zaszklonym spojrzeniem w mrok, tkwię w dziwnym transie i nie słyszę nawet, jak ktoś wchodzi do mojego pokoju. A tym kimś jest Zack, który po chwili zjawia się w łazience i zastaje w niej... mnie. Kompletnie rozsypaną.

Musiałam zostawić kartę do pokoju w drzwiach, uświadamiam sobie.

– Love? – słyszę jego zatroskany ton, a po chwili światło wypełnia łazienkę.

Nachylam się bardziej nad toaletą, czując, że zaraz mogę znowu poczuć znajomy ucisk w żołądku. Zack w tym czasie zbliża się do mnie i najpierw odgarnia moje ciemne włosy na plecy, a potem zaczerpuje potężny wdech do płuc, jakby... coś sobie przypomniał.

– To dlatego wydawałaś się taka niewyraźna podczas występu? – pyta przejęty, w czasie gdy ja znowu ściskam powieki. – Strułaś się czymś, tak? Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Odsuwam się od toalety, z trudem podnosząc się na wiotkie nogi.

– Ponieważ niczym się nie strułam, Zack – wyszeptuję słabo.

Podchodzę do umywalki. Odkręcam kran. Przeplukuję usta i ani na sekundę nie przestaję czuć, jak ciężar spojrzenia młodego mężczyzny przesuwają się po mojej zmarnowanej twarzy, która jest blada jak diabli i po której rozsypują się splątane, ciemne pasma.

Szatyn opiera dłonie na biodrach, a ja doczłapuję się do pokoju.

– Nie rozumiem – wzdycha. – W takim razie dlaczego...

Wyczerpana przerywam mu nieelegancko w pół zdania:

– Z nerwów. Denerwuję się. Bardzo się denerwuję.

Siadam na łóżku, a Zack siada na nim obok mnie. Wtedy wlepiam spojrzenie w swoje dłonie i biję się z myślami, jak mam powiedzieć mu o tym wszystkim, co leży mi na sercu. Mój rozmówca nakrywa pokrzepiająco moją dłoń swoją i głaska kciukiem jej wierzch.

– Wystęпами? – zgaduje. – Masz ich przecież za sobą już kilkanaście.

Kręcę głową. W końcu to nie występy mi ją zaprzatają.

– Ja... denerwuję się, bo od kilku tygodni wciąż się waham – przyznaję niemrawo, a potem unoszę wzrok ze swoich dłoni na twarz mężczyzny, którą ledwo jestem w stanie dojrzeć w półmroku. W pokoju wciąż jest ciemno, dobiega tu jedynie światło z łazienki.

Zack marszczy czoło, gdy dociera do niego sens moich słów.

– Wahasz? – powtarza za mną. – W jakiej kwestii?

Zaglądam mu prosto w oczy i wyszeptuję:

– Zastanawiam się, czy nie odejść.

Nieczytelna mina szatyna nie zdradza ani jednej emocji. Patrząc na niego i nie mam pojęcia, co mogłoby siedzieć mu w głowie. Czy mógłby być zły, czy mógłby być rozczarowany. Kompletnie pokonana wstaję na równe nogi i wyswobadzam tym samym dłoń spod jego. Zaczynam krążyć po pokoju niezgrabnym krokiem, wplątując dłonie w skołtunione włosy.

– Wiem... Wiem, że szansa, którą dostałam, jest najpewniej tą życiową – zaczynam, ledwo będąc w stanie składać zdania, kiedy znalazłam się już dosłownie na swojej granicy.

Nie dam tak rady. Nie dam rady trwać w tym ani sekundy dłużej.

Opuszczam gwałtownie ręce i zamykam oczy, zbierając się, by dodać coś jeszcze.

– Wiem, że gdybym rzeczywiście odeszła, przekreśliłabym karierę, która mogłaby trwać i trwać. Wiem, że przysporzyłabym też problemów wam, bo musielibyście nagle szukać kogoś, kto mógłby mnie zastąpić. Ale, Zack... ja próbowałam poczuć się z wami spełniona i szczęśliwa – kończąc, otwieram oczy i spoglądam na mężczyznę, który nie spuszcza ze mnie wzroku.

Oplatam ramiona dłońmi i dokańczam niemalże bezgłośnie szepcąc:

– Tyle że nie udało mi się tak poczuć choćby przez głupią sekundę.

Wszystko, co mówię, jest zupełnie szczerze, jest tym, co dusiłam w sobie przez ponad dwa miesiące, które spędziłam, żyjąc na walizkach. Nie chcę dłużej próbować oswajać się z takim życiem. Nie, skoro po czasie, który upłynął, ono przytłacza i smuci mnie tylko bardziej.

Znowu zaczynam krążyć niespokojnie po hotelowym pokoju. Cisza, która w nim panuje, wydaje się ciężka i nie ułatwia mi wyduszania z siebie kolejnych zdań, lecz mimo to wlepiam po raz kolejny wzrok w siedzącego na łóżku Zacka.

– Myślałam, że te występy, ogromne sceny, wielkie podróże i zainteresowanie mediów okażą się dla mnie jak wygrana na loterii – wypowiadam te słowa delikatnie łamiącym się głosem, bo naprawdę zależało mi na tym, by polubić taką normalność. By... móc się w niej odnaleźć i trwać w niej z uśmiechem. – Myślałam, że to jest to, czego naprawdę chcę.

Znowu siadam na materacu i pocieram dłońmi ramiona.

– Ale... nie – wyduszam szepcąc. – Pomyliłam się.

Odwracam się do szatyna i kręcę powoli głową.

– Jest mi cholernie głupio, Zack, ale nie chcę brnąć w to dalej.

Mężczyzna również na mnie spogląda. Tym razem jego oczy zdradzają wyłącznie zrozumienie w naprawdę klarownej postaci. Kładę ręce na jasnej pościeli, a mój rozmówca ponownie nakrywa jedną z moich dłoni swoją, by dodać mi tym gestem chociaż niewielkiej otuchy. A kiedy to robi, ja zastanawiam się, czy on naprawdę... *nie jest na mnie ani trochę zły?*

Moje wątpliwości rozwiewa delikatny, ale też smutny uśmiech, który wkrada się na jego twarz. Zack powoli obraca się ku mnie przodem i wzdycha z pewnego rodzaju pogodzeniem. Przez chwilę patrzymy na siebie bez żadnych słów, siedząc w ciemnościach oraz nieustającej ciszy. Nie czuję się jednak tak, jakby mężczyzna miał zamiar ukatrupić mnie za to, co powiedziałam. Jest raczej... opanowany.

Zmartwiony, ale opanowany.

– Przecież nie przystawię ci noża do gardła, Love – mówi łagodnym tonem, wciąż trzymając ciasno moją dłoń i skupiając wzrok na mojej na pewno wyczerpanej twarzy. – Jeśli czujesz się tutaj nieswojo, jeśli czujesz, że to nie jest kierunek, który chcesz obrać, w porządku.

Nie waham się nad odpowiedzią, której od razu mu udzielam:

– To nie jest kierunek, który chcę obrać.

Wyraźnie przygnębiony Zack przytakuje.

– Chcesz wrócić do Aspen – bardziej stwierdza, niż pyta.

– Tak – potwierdzam chyba bezgłośnie.

Potakuję więc i powtarzam:

– Chcę wrócić właśnie tam.

A potem powiedziec komuś prosto w oczy jedno krótkie: *zostanę.*

EPILOG



RYDER

Pogrążony w letargu, wpatruję się w nieprzerwanie padający z nocnego nieba śnieg. Biały puch sypie na materiał mojego czarnego płaszcza, więc co jakiś czas strzepuję go niedbałym machnięciem ręki, w oczekiwaniu aż ktoś dosiędzie się do mnie na parkowej ławce.

Nabieram trochę mroźnego powietrza do płuc i przesuвам spojrzeniem po głównej ulicy miasta. Nawet jeśli siedzę w pewnej odległości od panującego na niej zgiełku, słyszę wybrzmiewające z knajp piosenki oraz mieszające się z nimi głośne rozmowy siedzących w środku klientów. Uliczne latarnie oblewają mętną poświatą zasypane zaspami chodniki.

Cale Aspen, przechodzi mi przez myśl i uśmiecham się w duchu.

Nagle dobiega mnie szmer. Ktoś nareszcie siada obok. Przez chwilę jednak ani ja, ani tajemniczy gość nie odzywamy się do siebie. Patrzymy na parkowe drzewa i pokrywający je biały puch. Na otaczające miasto górskie szczyty i zaciemnione niebo. W pewnym momencie przesuвам jednak bardzo powoli dłoń po ławce oraz... chwytam w nią cudzą.

A potem przyciągam ją do swoich ust oraz składam na jej wierzchu czułe, przeciągłe muśnięcie, nadal skupiony na sypiącym śniegu. Dopiero po kilku sekundach odwracam głowę oraz spoglądam prosto w wielgachne i rozweselone oczy swojej Love.

Unoszę leniwie brew i zwracam się do niej z pytaniem:

– Bajeczny widok, co?

Moja ukochana przymyka z rozmarzeniem powieki. Śnieg osiada wtedy na jej długich rzęsach, a wszechobecne, nocne zimno z każdą upływającą sekundą sprawia, że jej policzki stają się jeszcze bardziej zaróżowione. Obserwuję ją bez tchu, kiedy uśmiecha się pięknie.

– Dokładnie taki.

– Rozmawiałaś z Ivory?

Love niespiesznie otwiera oczy.

– Zrozumiała, dlaczego odpuściłam – zaczyna i wzrusza przy tym delikatnie ramionami. – Stwierdziła nawet, że moja obecność w Aspen może kiedyś jej się przydać, gdy będzie szukała kogoś, kto mógłby zostać jej „prawdziwą” prawą ręką. Myślę, że coś takiego uszczęśliwiłoby mnie bardziej, niż uszczęśliwiłoby mnie ciągle życie na walizkach, wiesz?

Kiwam głową ze zrozumieniem, a następnie podnoszę się na nogi. Love również to robi oraz nie protestuje w żaden sposób, gdy rozdzielam nasze dłonie tylko po to, by móc objąć ją szczerze ręką i przyciągnąć ciasno do swojego boku.

– Chodź do mnie.

Jestem pewny, że wyłapuje w moim głosie potrzebę. Bo nadal potrzebuję utwierdzić się w przekonaniu, że ponownie ją mam i będę miał już ciągle. Love w ciągu paru miesięcy, które spędziła na walizkach, podobno bez przerwy biła się z myślami, czego tak naprawdę pragnie. Aż pewnej zimowej nocy, kiedy leżała w pustym hotelowym apartamencie, dotarło do niej, że pragnie powrotu właśnie tutaj. Na swoje odludzie, do swojego bliźniaka... a nawet do mnie.

Więc przyleciała. Przyleciała do Aspen jak najprędzej, a ja przyrzekam, zobaczyłem ją rano na podjeździe, pośród sypiącego śniegu oraz promieni wschodzącego słońca, i straciłem dech.

– Daleko zaparkowałaś? – pyta nagle, gdy idziemy przy sobie.

Spoglądam na nią tajemniczo.

– Jeszcze nie wracamy do domu.

- Gdzie ty niby chcesz iść o tej porze?
- Za moment się przekonasz. To tuż za rogiem.

Love przygląda mi się z zaciekawieniem. Po paru minutach docieramy do celu naszej krótkiej wycieczki. Wtedy spomiędzy jej ust ucieka obłok ciepłego powietrza, a wraz z nim dwa słowa wypowiedziane pełnym nostalgii głosem:

– Diabelski młyn...

Odwracam się przodem do dziewczyny i obejmuję dłońmi jej zmarznięte policzki. Pomału odgarniam z nich posklejane od topniejącego śniegu pasma ciemnych włosów. Jednocześnie zaglądam głęboko w przepiękne brązowe oczy.

– Kiedyś, gdy odwiedziliśmy to miejsce za pierwszym razem, chciałaś tu wrócić, gdy będzie bardzo ciemno, a śnieg będzie spadał z nieba ciągle i ciągle – zaczynam spokojnie.

Nie odrywam wzroku od Love, a na jej twarz wstępuje szeroki uśmiech.

– Żebyś poczytał mi przez kilka krótkich minut... – przypomina sobie.

Kręcę głową i zsuwam dłonie z jej policzków, również się uśmiechając.

– Nie będę tego robił przez kilka krótkich minut, Love.

Po tych słowach ciągnę ją do jednej z kabin atrakcji, która świeci się na przeróżne kolory i jest doskonale widoczna z daleka, pośród ciemności oraz nieprzerwanie sypiącego śniegu. Niewiele osób z niej korzysta. Chłopak, który przyjmuje ode mnie bilety, od razu nas wpuszcza.

Moja ukochana śmieje się głośno i szczerze, kiedy tylko zauważa, ile ich trzymam.

– Kupiłeś kilkanaście wejściówek?

Spoglądam na nią cwaniem.

– Może?

– Jesteś szalony.

Zajmuję miejsce na siedzeniu. Po chwili Love leży już na nim na wznak, z głową swobodnie opartą na moich nogach oraz kącikami ust uniesionymi ku górze. Jest taka wesoła. Taka beztroska i piękna, że nie umiem skupić uwagi na niczym innym, nawet jeśli widok z góry na zaśnieżone Aspen, który otacza nas, gdy machina rusza, ciągle zachwyca.

Wyciągam z kieszeni kieszonkowe wydanie *Dziadka do orzechów*, a potem kładę rękę na oparciu siedzenia i spuszczam wzrok na niezmiennie uśmiechniętą dziewczynę.

– Jest ci wygodnie? – pytam dla pewności.

Brunetka wpatruje się we mnie z dołu.

– Bardzo.

– Domyślasz się, dlaczego cię tutaj zabrałem?

Patrzę, jak oczy Love nieznacznie jaśnieją.

– Spełniasz właśnie moje naiwne marzenie.

Wpłatom palce wolnej dłoni w jej ciemne włosy i zbliżam delikatnie twarz do jej.

– Ponieważ *zostałaś* – odpowiadam cicho oraz spokojnie. – A ja przecież dawno temu powiedziałem ci, że za twoje *zostanę* spełnię ich tyle, ile tylko przyjdzie ci na myśl.

Rozweselona Love kiwa głową na znak, że pamięta ten moment.

– Więc... to dopiero jedno spośród wielu? – pyta radośnie.

– Tak. Teraz nadeszła pora, żebyś zdradziła mi następne.

Uśmiecham się do niej, a potem dodaję czułym szeptem:

– Zdradź mi swoje kolejne *naiwne marzenie*, Love.

KONIEC

PLAYLISTA



Somewhere Only We Know – Keane

Dusk Till Dawn – ZAYN ft. Sia

Wings – Birdy

Yellow – Coldplay

Ava – Famy

Are You With Me – Lost Frequencies

Let Me Down Slowly – Alec Benjamin

Heal – Tom Odell

Bleed Out – Isak Danielson

PODZIĘKOWANIA



Dla niezastąpionej Ani. Współpraca z Tobą nad tekstem to czysta przyjemność. Dziękuję, że zadbałaś o tę historię i przeżywałaś razem ze mną losy bohaterów.

Dla moich cudownych czytelników. Ponownie. Dziękuję za to, że jesteście. Wasza obecność znaczy dla mnie bardzo dużo.

Dla Love i Rydera. Niezależnie od tego, czy i ile historii jeszcze nabazgram, to Wy zawsze będziecie zajmować szczególne miejsce w moim sercu. Bo jesteście częścią mnie.

¹ Dream – (z ang.) marzenie (przyp. aut.).

² *And I'll look after you* – (z ang.) *I zaopiekuję się tobą*. Cytat pochodzi z piosenki *Look After You* zespołu The Fray (przyp. aut.).

³ Superwizor – psychoterapeuta z dużym doświadczeniem, który szkoli innych psychoterapeutów i nadzoruje ich pracę (przyp. red.).